

WOBURN
MASSACHUSETTS
1970



Robbinsowie

Main Street

Kościół Episkopalny
Świętej Trójcy



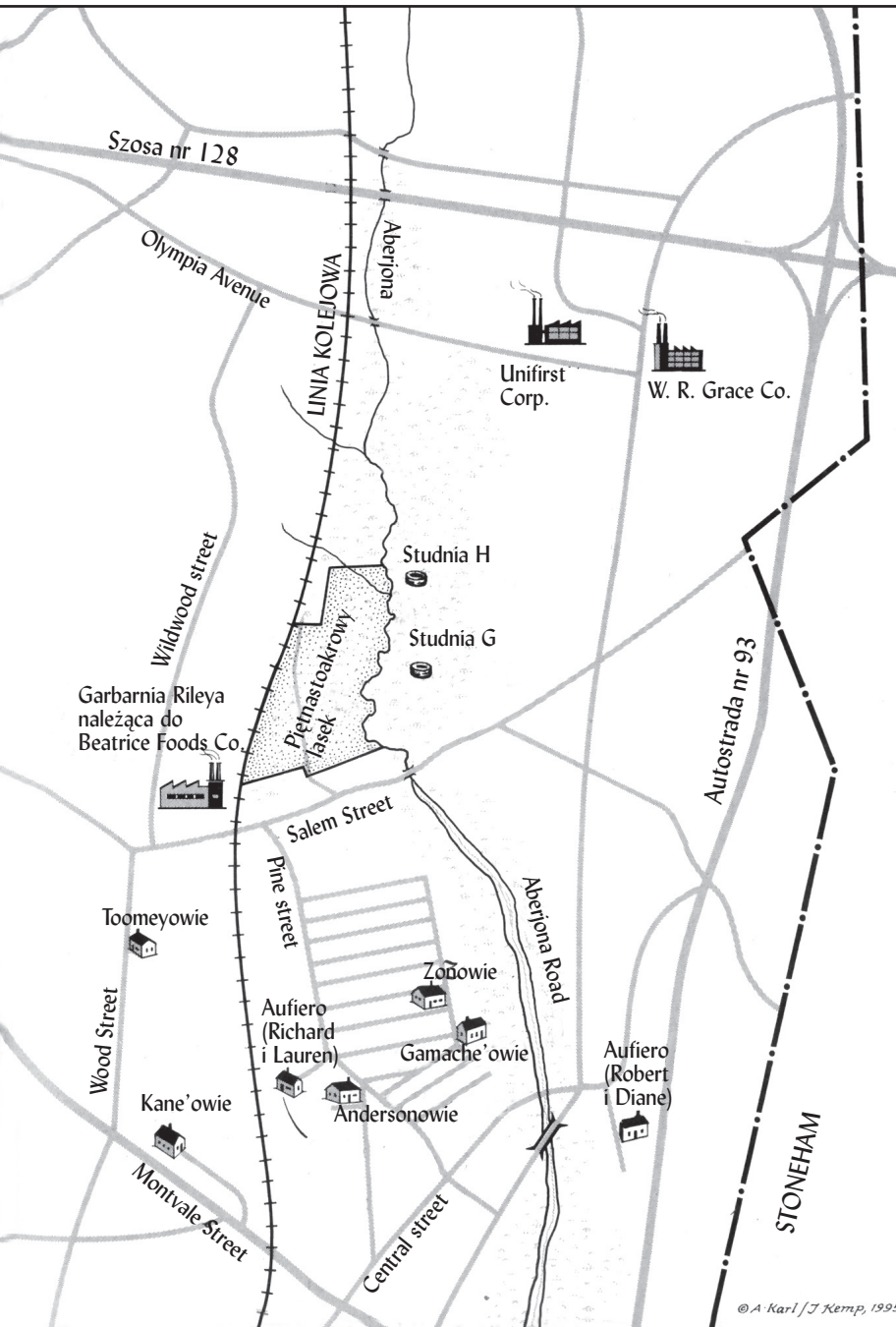
RATUSZ



Main Street

Vernon Street

Staw
Horna



Ta powieść nie jest fikcją literacką, przedstawia autentyczne wydarzenia i osoby. Oparta została przede wszystkim na moich własnych obserwacjach oraz licznych rozmowach z ludźmi zaangażowanymi w opisywaną sprawę, prowadzonych w ciągu ośmiu lat, poczynając od jesieni 1986 roku. Drugim głównym źródłem informacji był materiał dowodowy, a zwłaszcza protokoły z przesłuchań i posiedzeń sądowych, liczące łącznie około pięćdziesięciu tysięcy stron. Dokładniejsze dane czytelnik znajdzie w moich podziękowaniach zamieszczonych na końcu książki.

Jonathan Harr

Boston, lipiec 1986 roku

1

Była sobota, lecz mimo to adwokat Jan Schlichtmann musiał wyskoczyć z łóżka o wpół do dziewiątej rano. A nie dość, że położył się późno, to jeszcze długo nie mógł zasnąć. Kiedy obudził go dzwonek telefonu, śnił właśnie o młodej pracownicy działu rozrachunkowego bostońskiej firmy ubezpieczeniowej, która miała gładką cerę, smutne piwne oczy i proste, sięgające ramion ciemne włosy. Od pięciu miesięcy każdego dnia siadała niemal naprzeciwko niego na sali sądowej, nie dalej niż trzy metry. Przez cały ten czas nie zamienili ze sobą ani słowa. Raz tylko na początku rozprawy słyszał jej głos i teraz nawet nie mógł sobie przypomnieć jego brzmienia. Kiedy ich spojrzenia się czasem spotykały, oboje szybko odwracali wzrok, aby nie naruszyć przepisów, które kategorycznie zabraniały im jakiegokolwiek porozumiewania się.

Kobieta zasiadała w ławie przysięgłych. Schlichtmann miał nadzieję, że wzbudził jej zaufanie. Bardzo chciał się dowiedzieć, co ona myśli. I w swoim śnie stał obok niej w środku lasu gęsto zarośniętego krzewami i dzikim winem. Za nimi czekała grupa ludzi, których twarze także były mu już znane – pozostałych sędziów przysięgłych. Kobieta nie mogła się zdecydować, którą ścieżką dalej iść, on zaś próbował jej wskazać właściwy kierunek. Gotów był ją ciągnąć na siłę, lecz ona wciąż się wahała. I nawet w tym proroczym śnie nie doczekał rozwiązania, gdyż obudził go dzwonek telefonu. Pozostało po nim tylko wrażenie narastającego lęku.

Rozmówca przedstawił się jako urzędnik Baybank South Shore, firmy, w której Schlichtmann zaciągnął kredyt na samochód i od kilku miesięcy zalegał ze spłatą rat. Kategorycznie zażądał natychmiastowego uregulowania należności, wynoszących już dziewięć tysięcy dwieście trzy dolary, bo w przeciwnym razie firma będzie zmuszona odebrać mu auto, czarnego porsche'a 928.

Zaspany adwokat nawet nie mógł sobie przypomnieć, czy w ciągu ostatnich miesięcy wpłacał jakieś pieniądze na konto Baybank South Shore. Przeczucie mu jednak mówiło, że urzędnik nie kłamie.

– Proszę się skontaktować z Jamesem Gordonem, który prowadzi moje sprawy finansowe – odparł krótko, po czym przedyktował numer Gordona i odłożył słuchawkę.

Położył się z powrotem, ale nie zdążył zasnąć, kiedy po dwudziestu minutach znów zadzwonił telefon. Tym razem był to szeryf okręgu Suffolk. Powiedział, że dzwoni z budki przy Charles Street, tylko dwie przecznice od domu Schlichtmanna, i przyjedzie za parę minut, aby odebrać porsche'a.

Adwokat poprosił o dziesięciominutową zwłokę. Zadzwonił do Gordona, ale nikt nie podniósł słuchawki. Padł z powrotem na łóżko i przez parę minut bezmyślnie gapił się w sufit. Wreszcie znów zadzwonił telefon.

– To jak? Pokaże mi pan, gdzie stoi ten samochód? – zapytał szeryf.

– Chyba nie mam innego wyjścia – burknął Schlichtmann.

Kiedy wyszedł przed dom, potężnie zbudowany mężczyzna w niebieskiej bluzie mundurowej z odznaką szeryfa już na niego czekał. Od bezchmurnego nieba bił w oczy klujący blask. Po rzece Charles, odbijającej setki słonecznych refleksów, mimo wczesnej pory pływało sporo żaglówek. Szeryf wręczył mu plik dokumentów dotyczących zajęcia niespłaconego auta. Adwokat przebiegł je tylko wzrokiem i rzekł krótko, że samochód stoi w garażu trzy ulice dalej. Zostawiwszy szeryfa przed domem, ruszył do skrzyżowania i skręcił w Charles Street, główną arterię osiedla Beacon Hill. Z licznych kafejek wydostawały się na zewnątrz kuszące aromaty świeżo parzonej kawy i pączków. Po chodniku spacerowały matki z małymi dziećmi w wózkach, amatorzy joggingu biegali wzdłuż nadrzecznej esplanady. Schlichtmann pomyślał nagle, że jego kariera, a może nawet cała przyszłość, znalazła się w dziwnym zawieszeniu, podczas gdy dookoła nadal toczy się normalne życie.

Otworzył garaż i krytycznym spojrzeniem omiółł czarny sportowy wóz, grubo pokryty patyną wielkomiejskiego brudu. Kupił go prawie dwa lata temu, lecz do tej pory przejechał zaledwie osiem tysięcy kilometrów. Przez całą zimę auto stało nieużywane w garażu. Gdy którejś wiosennej niedzieli jego przyjaciółka zapragnęła pojechać na wycieczkę, okazało się, że akumulator jest całkiem rozładowany. A gdy naładowano go w warsztacie i tydzień później wycieczka mogła dojść do skutku, James Gordon ostrzegł, że upłynął termin obowiązkowych składek ubezpieczeniowych i lepiej samochód zostawić w garażu.

Schlichtmann wyprowadził porsche'a na ulicę, wrócił na Pinckney Street i przekazał kluczyki szeryfowi, który szybko zaczął odkręcać tablice rejestracyjne. Adwokat przyglądał się temu z założonymi rękami. Później szeryf przyniósł z wozu patrolowego duży zielony plastikowy worek na śmieci i począł wrzucać do niego kasety magnetofonowe, mapy i różne papiery powciskane do schowka w desce rozdzielczej. Na tylnym siedzeniu leżało kilka książek prawnych oraz kartonowe teczki z aktami sprawy „Anne Anderson i inni kontra W. R. Grace Co. i inni”. Wszystko jak leci lądowało w przepaścistym worku. Szeryf działał szybko i skutecznie, świetnie wiedział, że jego obecność zazwyczaj nie wzbudza entuzjazmu osób, z którymi ma do czynienia. Ale ciężkie teczki z aktami go zainteresowały.

– Jest pan adwokatem? – spytał.
Schlichtmann przytaknął ruchem głowy.
– I uczestniczy pan w tej rozprawie?
– Owszem. Ława przysięgłych obraduje już od tygodnia. Mam nadzieję, że w poniedziałek zapadnie werdykt.

Szeryf odparł, iż widział wywiad z tą kobietą, Anne Anderson, w telewizyjnym programie „Sześćdziesiąt minut”. Później wręczył worek adwokatowi i poprosił o podpis na pokwitowaniu. Z pewnym trudem wcisnął się za kierownicę porsche’a, przekręcił kluczyki w stacyjce, po czym wychylił głowę za okno i powiedział:

– Niezła gabłota. – Spojrzał z ukosa na Schlichtmanna, który z kwaśną miną tylko pokiwał głową, i dodał: – To musi być cholernie ciężka sprawa.

Adwokat zachichotał. Szeryf także uśmiechnął się szeroko i rzucił:

– No cóż, życzę powodzenia.

Zawrócił ostrożnie. Schlichtmann podszedł do krawężnika i odprowadził wzrokiem czarne auto, który skrzyżowało w Brimmer Street i zniknęło za rogiem. Łatwo przyszło, łatwo poszło – przemknęło mu przez myśli.

Dwa dni później, w poniedziałkowy rano, ubrał się szczególnie elegancko. Włożył ciemny garnitur, szyty na miarę w nowojorskim salonie Dmitriego, swoje najlepsze pantofle marki Bally oraz wiśniowy krawat firmy Hermès, który dotąd przynosił mu szczęście. Zwykle zajeżdżał taksówką pod gmach sądu federalnego, ale ponieważ nie miał nawet centa przy duszy, poszedł do śródmieścia pieszo. Niedaleko budynku rady miejskiej z bramy wyszedł jakiś włóczęga w brudnym płaszczu, ściskający w garści cały swój dobytek wrzucony do plastikowego worka na śmieci, i wyciągnął rękę po jałmużnę. Schlichtmann z wahaniem odpowiedział, że w ogóle nie ma pieniędzy.

Poszedł dalej, rażony myślą, jak niepewny jest wywalczony status społeczny. Z formalnego punktu widzenia on sam mógł się teraz zaliczyć do bezdomnych, gdyż administracja osiedla już wystąpiła przeciwko niemu na drogę sądową o zaległy półroczny czynsz. Nie potrafił nawet zliczyć swoich długów, zalegał ze spłatami aż trzech pożyczek pod zastaw hipoteczny. Zanim ława przysięgłych rozpoczęła obrady, trwający siedemdziesiąt osiem dni proces pochłonął wszelkie jego oszczędności. W trakcie ostatniego zebrania James Gordon oznajmił trzem współnikom:

– Zostało wam tylko powietrze do oddychania.

Co prawda kancelaria Schlichtmann, Conway i Crowley otrzymywała jakieś częściowe wynagrodzenia za ukończone dawno sprawy, ale było tego najwyżej sto pięćdziesiąt dolarów tygodniowo, podczas gdy na same pensje sekretarek i aplikantów potrzeba było czterech tysięcy. Pozew przeciwko firmie złożył bank American Express, gdyż od czterech miesięcy nie wpłynął ani cent na pokrycie debetu kart kredytowych, sięgającego dwudziestu pięciu tysięcy dolarów. Firma leasingowa Heller Financial wystosowała pismo, w którym groziła zdemontowaniem

terminali komputerowych kancelarii w dniu pierwszego sierpnia. Gdyby więc Schlichtmann przegrał prowadzoną sprawę, musiałoby upłynąć co najmniej pięć lat, według ostrożnych szacunków Gordona, zanim kancelaria zdołałaby się wykaraskać z długów.

Ale nawet pieniądze nie były jego największym zmartwieniem, co współników dziwiło tym bardziej, że cieszył się u nich opinią szczególnie rozrzućnego. Najbardziej martwiło go, iż tak bezgranicznie poświęcił się tylko tej jednej sprawie. Stąd też wynikały jego obawy, że jeśli się pomylił i zapadnie niekorzystny dla niego wyrok, utraci coś o wiele cenniejszego od pieniędzy – pewność siebie, wraz z którą jakimś tajemniczym sposobem przepadnie również jego talent i zapał do dalszej pracy. Oczyma wyobraźni już widział siebie śpiącego na parkowej ławce, trzymającego pod głową plastikowy worek ze starannie złożonym eleganckim garniturem.

Zwolnił kroku dopiero w korytarzu sądu. Była dopiero za piętnaście ósma, miał więc przed sobą jeszcze kwadrans oczekiwania. Rozkład pomieszczeń w tej części gmachu znał już na pamięć. Zwykle zatrzymywał się przy ławce stojącej dokładnie naprzeciwko biura sędziego Waltera Skinnera, znaczącej dla niego tyle samo, co klęcznik w kościele. Nieco dalej, za automatem telefonicznym, znajdowały się masywne drzwi sali rozpraw, gdzie Schlichtmann spędził w sumie kilkadziesiąt godzin i dokąd teraz wracał z niechęcią. Dlatego wołał czekać w korytarzu, którego przeciwległy koniec był oddalony o dobre sto metrów; po drodze mijało się dziesiątki zamkniętych drzwi innych sal rozpraw, pokojów sędziowskich, sal konferencyjnych i prywatnych gabinetów. A ponieważ w korytarzu nie było okien, wszystko tu wyglądało dokładnie tak samo o ósmej rano, na początku dnia pracy, jak i o czwartej po południu, gdy wszyscy rozchodzili się do domów. Zawieszona pod sufitem jarzeniówka starego typu dawała tak mało światła, że całe otoczenie wydawało się pogrążone w wiecznej mgle. Powietrze w korytarzu wypełniała mieszanina zapachów pasty do podłóg, środków odkażających i zatęchłego dymu papierosowego.

Parę minut przed ósmą zaczęli się pojawiać pierwsi sędziowie przysięgli. Obradowali w niewielkiej sali na półpiętrze, do której prowadziły wąskie schodki na końcu korytarza. Schlichtmann nigdy nie widział tego pomieszczenia. Dotąd przyjeżdżali najczęściej parami bądź w większych grupach i dyskutowali zawzięcie, wysiadając z windy, lecz milkli natychmiast na jego widok. Zwykle witali go ledwie zauważalnym uśmiechem i sztywnym skinieniem głowy. Starał się sprawiać wrażenie całkiem obojętnego, ale w rzeczywistości odprowadzał ich badawczym spojrzeniem. Po minach, zachowaniu i ubiorach zawsze próbował odgadnąć nastroje ludzi.

Tego dnia, kiedy w korytarzu ucichły już kroki sędziów przysięgłych, Schlichtmann poczuł się przeraźliwie osamotniony.

Woburn, lato 1966 roku

1

Kiedy dwudziestoosmioletni wielebny Bruce Young obejmował tego lata parafię Kościoła Episkopalnego Świętej Trójcy w Woburn, pierwszą w swojej karierze, miał wiele ambitnych planów. Gmach kościoła był dość mały, pokryty stromym dwuspadzistym dachem, o wnętrzu wyłożonym białymi płytkami i wypełnionym światłem wpadającym przez sześć wysokich okien. Nowy pastor od razu dostrzegł ślady zaniedbania. Na trawnikach królowały chwasty, między oazami czerwonego zielska widać było pasy nagiej ziemi. Żywopłoty na gwałt domagały się strzyżenia, gonty były powyginane ze starości, a ciężkich, utrzymanych w stylu gotyckim drzwi od dawna nie malowano. Kościół, zbudowany w roku 1902, nawet w czasach świetności miasta nie przedstawiał się imponująco.

W okresie, gdy Bruce Young obejmował parafię, na niedzielne nabożeństwa przychodziło regularnie około pięćdziesięciu osób, w większości pamiętających jeszcze te czasy, kiedy parafia została utworzona. Pastora uderzyło, że kościół Świętej Trójcy jest chyba jedynym episkopalnym przybytkiem na świecie, gdzie wierni nie mogą uzyskać bezpłatnej porady prawnej bądź lekarskiej. Dlatego też dość szybko razem z żoną, specjalistką z zakresu opieki społecznej, doszli do wniosku, że Woburn jest niezłe na rozpoczęcie kariery, nie należy jednak do tych miejsc, gdzie chciałoby się zostać na zawsze.

Całe trzydziestosześcioletnie miasto, położone trzydzieści kilometrów na północ od centrum Bostonu, także wymagało gruntownego odmalowania. Paręset metrów na południe od kościoła, za bazą transportową Sunoco, ośrodkiem rekrutacyjnym marynarki wojennej i kilkoma pawilonami handlowymi, znajdował się miejski rynek. Była to wysepka zieleni wiecznie otoczona sznurami samochodów, nad którą górował odlany z brązu pomnik ku czci weteranów wojny domowej. W słoneczne dni, w czasie przerw śniadaniowych, na ławeczkach skweru spotykało się paru urzędników z pobliskiego ratusza. Każdej wiosny służby miejskie obsadzały rabaty tulipanami, nagietkami i petuniami, ale ponieważ rady nie stać było na zatrudnienie stałego ogrodnika, skwer szybko

porastał zielskiem. I co roku już na początku lata stawało się jasne, że chwasty znów będą górą w walce z kwiatami.

Wokół rynku stały dwu- i trzypiętrowe kamienice, pamiętające okres gwałtownego rozwoju miasta. Większość pochodziła z przełomu wieków, lecz ich ceglane i kamienne fasady – według mody z lat pięćdziesiątych, a więc ostatniego okresu prosperity w Woburn – pookładano żółtozielonymi i pomarańczowymi taflami z tłoczonego plastiku. Teraz na nich także dominowała warstwa brudu, szyby we frontowych oknach były zmatowiały ze starości, a w bramach zalegały sterty naniesionych wiatrem śmieci. W ślady zlikwidowanego wcześniej salonu odzieżowego Marrama i sklepu zoologicznego ostatnio poszedł także sklep narzędziowy Perillo. Za brudną szybą w drzwiach wisiała tabliczka z napisem ZAMKNIĘTE, na której ktoś, być może nawet sam właściciel, dopisał: NA DOBRE. Przy rynku przetrwało kilka pizzerii, kręgielnia Bowladrome, bank Tannera oraz salon fryzjerski Mahoneya, założony w 1899 roku.

Pierwszym zakładem przemysłowym w Woburn była garbarnia zbudowana przez braci Wymanów w 1648 roku. Wówczas osadę otaczały jeszcze nieprzebyte lasy porastające pasma wzgórz na północy i zachodzie, a równinę na wschodzie, przeciętą rzeką Aberjona, pokrywały bagna i mokradła. Firma Wymanów przetrwała aż do wojny Króla Filipa*, podczas której najstarszy syn Johna Wymana poległ na trzęsawiskach w walce z Indianami. Tej samej zimy spleśniał cały zapas wyprawionych skór i fabrykę zamknięto. Niedługo potem inny przedsiębiorca, niejaki Gershom Flag, wykarczował w pobliżu hektar lasu i zbudował kolejną garbarnię. Do wojny domowej w Woburn powstało aż dwadzieścia podobnych zakładów, dzięki czemu w produkcji skór miasto zrównało się z Filadelfią. Wtedy też zyskało przydomek Miasta Garbarzy. Jak na ironię, najsolidniejszym bankiem w mieście okazał się bank Tannera**, a drużyna footballowa tutejszej szkoły średniej do dzisiaj nosi nazwę „Garbarze”.

Przetwórstwo skór zainicjowało rozwój innych gałęzi przemysłu. W roku 1853 Robert Eaton założył w północnej części miasta, nad Aberjona, zakłady chemiczne, których wyroby – wiotriol miedziany, sól glauberska czy kwas siarkowy – były niezbędne w garbarniach. I już u schyłku wieku zakłady Eatona stały się jednym z największych przedsiębiorstw chemicznych w kraju. Z kolei przemysł skórzany podpadł po drugiej wojnie światowej i pod koniec lat sześćdziesiątych zaczęto zamykać kolejne garbarnie z powodu nieopłacalności produkcji wobec spadku cen towarów importowanych. W następnym dziesięcioleciu już tylko fabryka Rileya położona we wschodniej części miasta, nad Aberjona, nadal wyprawiała skóry. Jej wielki, sześćdziesięciometrowy komin z czerwonej cegły, z rozciągniętym pionowo białym napisem: J. J. Riley, był doskonale widoczny z rynku odległego prawie o dwa kilometry.

* Mowa o powstaniu Indian przeciwko osadnikom w Nowej Anglii, krwawo stłumionym w 1676 roku. Kierował nim Metakomet, wódz plemienia Wampanoag, przez kolonistów pogardliwie zwany Królem Filipem (przyp. tłum.).

** Nazwisko Tanner po angielsku znaczy garbarz (przyp. tłum.).

W celu przyciągnięcia inwestorów władze miejskie zdecydowały się wykarzować i przeznaczyć pod hale przemysłowe wiele hektarów ziemi na północnym wschodzie. Wybuchło przy tym kilka skandali, gdy wyszło na jaw, że część urzędników jest powiązana finansowo z firmami stającymi do licytacji udostępnionych terenów. Niemniej nastąpiło pewne ożywienie. Przy Commerce Way, niedaleko autostrady numer 93, powstała parę większych fabryk i baz spedycyjnych. Stare zakłady chemiczne Roberta Eatona nad Aberjoną przejął concern Monsanto. Na terenie dawnego sadu wybudował niewielką fabrykę W. R. Grace, inny finansista z branży chemicznej. Tak więc Woburn nadal było miastem przemysłowym, ale jakimś sposobem w kasie miejskiej nigdy nie starczało pieniędzy na naprawę krzywych chodników czy łatanie dziur w jezdnich.

Bruce Young planował zatem pozostać tu przez jakieś pięć lat, bo chociaż nie brakowało pracy dla pastora, przeczuwał, że ubóstwo, w jakim pozostawała parafia Kościoła Episkopalnego Świętej Trójcy, jest w stanie każdego pozbawić zapału i energii. Zgodnie z tymi planami po kilku latach zaczął się rozglądać za ciekawszymi propozycjami, ale miejsca w parafiach, o jakich marzył, nie zwalnają się nazbyt często, a gdy już tak się dzieje, rywalizacja o ich objęcie jest ogromna.

Tymczasem parafianie z Woburn polubili młodego pastora, choć nawet najbardziej pobłażliwi mówili otwarcie, że nie jest on porywającym mówcą. Wolał odczytywać niż wygłaszać z pamięci niedzielne kazania, a w dodatku czynił to w sposób monotony i usypiający. Na jego korzyść przemawiało, że zdawał sobie sprawę z własnych wad i nigdy zanadto nie przeciągał kazań. Zawsze chętnie udzielał mądrych, trafnych rad. Żywo interesował się wszelkimi problemami, z jakimi ludzie do niego przychodzili. Szczególnym talentem odznaczał się w niesieniu pociechy osobom chorym i kalekim, a począwszy od stycznia 1972 roku opieka nad cierpiącymi stała się jego prawdziwym duszpasterskim powołaniem.

2

Rodzice Jimmy'ego Andersona sądzili początkowo, że chłopiec się przeziębił. W styczniu, kiedy pospolite infekcje zmogły jego starsze rodzeństwo, nikogo nie dziwiły typowe objawy: kaszel, katar i lekka gorączka. Nawet matka Jimmy'ego, Anne, nie czuła się wtedy za dobrze. Ale po paru dniach, gdy inne dzieci szybko wracały do zdrowia, stan trzyletniego malca zaczął budzić niepokój. Gorączka to opadała, to znów narastała, nie dopisywał mu apetyt. Oprócz wyraźnej bladeści uwagę matki przykuły liczne siniaki na całym ciele chłopca, tym dziwniejsze, że od paru dni w ogóle nie wstawał z łóżka. Dlatego też razem z mężem, Charlesem, postanowiła następnego ranka złożyć wizytę lekarzowi rodzinnemu, specjalście pediatrii.

Doktor Donald McLean uznał objawy za wysoce niepokojące. Gorączka sugerowała typową infekcję, którą potwierdzały także lekki obrzęk górnych dróg oddechowych. Ale pozostałe symptomy wydały się lekarzowi niezwykle. Uderzająca

bledość skóry i ospałość wskazywały na poważną anemię. Uznał więc, że za siniaki na całym ciele odpowiada niedobór trombocytów, płytek krwi regulujących powstawanie i usuwanie skrzepów w tkankach. Pobieżne badanie nie wykazało niczego niezwykłego poza lekkim powiększeniem gruczołów limfatycznych. Niemniej bledość, siniaki oraz powracająca gorączka sugerowały jakieś schorzenie układu krwionośnego.

McLean od razu nabrał podejrzeń, że Jimmy Anderson zachorował na białaczkę, nie powiedział o tym jednak rodzicom. Zdawał sobie sprawę, że to rzadko spotykana przypadłość, która rocznie dotyka średnio czworo spośród stu tysięcy dzieci. Dlatego przed postawieniem diagnozy wolał się zapoznać z wynikami analizy krwi. I mimo że było sobotnie przedpołudnie, zdołał nakłonić laboranta do przeprowadzenia badań jeszcze tego samego dnia. Rodziców zaś poprosił, by wieczorem skontaktowali się z nim telefonicznie.

W drodze powrotnej do domu Anne powiedziała grobowym głosem do męża:
– Podejrzewam, że Jimmy ma białaczkę.

Zarówno brzmienie jej głosu, jak i troska malująca się na twarzy sprawiły, że Charles spoglądał na nią przez dłuższą chwilę. W jej oczach ujrzął strach, toteż i jego naszyły najgorsze obawy. Kiedy wieczorem zadzwonił do doktora, McLean odpowiedział równie posępnym tonem:

– No cóż, wyniki analiz krwi nie są dobre. Trzeba będzie przeprowadzić dokładniejsze badania, aby wykryć przyczynę choroby.

Dodał jeszcze, że na poniedziałek załatwi Jimmy’emu miejsce w szpitalu Massachusetts General. Nie wspomniał nawet słowem o białaczce, a Charlie wolał się nie dopytywać o wstępną diagnozę.

– Gdyby miał już pewność, co Jimmy’emu dolega, na pewno by nam powiedział – uspokoił żonę.

Tego wieczoru Andersonowie przyjmowali gości. Anne popłakała się w kuchni, szykując obiad. Charles w żaden sposób nie mógł jej wyperswadować, że choroba syna to nie białaczka. Dla Anne bowiem wiązała się ona z przykrymi wspomnieniami. W roku 1950, gdy miała czternaście lat i mieszkała z rodzicami w Somerville, pewna dziewczynka z sąsiedztwa zapadła na białaczkę i zmarła po kilku tygodniach. Co prawda Anne się z nią nie przyjaźniła, znała ją jednak z widzenia, a największe wrażenie zrobiły na niej przekazywane szeptem w domu i szkole przerażające wiadomości o tej chorobie. Właśnie wtedy po raz pierwszy w życiu zetknęła się z problemem śmiertelności i utraty bliskich osób. Białaczka wydawała jej się szczególnie groźna, gdyż pozostawała wielką tajemnicą. Atakowała niespodziewanie, prowadziła do nieuchronnej śmierci i nikt nie wiedział, co ją wywołuje.

W poniedziałkowy rano 31 stycznia Anne i Charles pojechali z małym Jimmym do Massachusetts General, największego szpitala w Bostonie, gdzie chłopca zbadał doktor John Truman kierujący oddziałem hematologii dziecięcej. W karcie odnotował: „Drobny, szczupły, wiek trzy i pół roku, uderzająco błydy, ze skłon-

nością do zasinień na całym ciele. Ogólna łagodna limfodenopatia, kilka lekkich siniaków, ale brak żyłaków. Powiększenie śledziony niewyczuwalne”.

Truman zaordynował badanie szpiku kostnego, zwrócił przy tym uwagę na trudności z pobraniem nawet najmniejszej próbki. Wynik analizy ujawnił jednak aż trzydzieści dwa procent zdegenerowanych białych krwinek, wytwarzanych w nadmiarze, lecz nieosiągających normalnego etapu dojrzałości. Rezultat ten nie pozostawiał żadnych wątpliwości co do diagnozy: był to przypadek ostrej białaczki limfatycznej.

Po południu w swoim gabinecie doktor Truman zapoznał rodziców z wynikami badań. Anne zapamiętała, że tego mroźnego pogodnego dnia promienie nisko stojącego słońca pod uniesionymi żaluzjami wpadały ukośnie do pokoju. Czują się jakby wyrwana z rzeczywistości, słowa lekarza z trudem do niej docierały, a przed oczyma miała jedynie drobiny kurzu unoszące się w tej smudze światła.

Truman orzekł, że najbliższych kilka tygodni będzie dla Jimmy'ego niezwykle ważnych. Chciał powstrzymać gwałtowny rozwój choroby, stosując kombinację paru leków oraz naświetlania. Istniały jeszcze spore szanse na zahamowanie białaczki. Nie ukrywał jednak, że nawet na tym etapie w jednym przypadku na dziesięć nie udaje się powstrzymać rozwoju choroby i pacjent umiera w ciągu miesiąca. Największe zagrożenie stanowiła teraz nie sama białaczka, ale możliwość przypadkowej infekcji. Chemioterapia mogła dość skutecznie zwalczyć komórki rakowe we krwi i szpiku kostnym, ale jednocześnie powodowała znaczne obniżenie naturalnych zdolności obronnych organizmu. Dlatego też podczas kuracji każda typowa u dzieci infekcja, choćby wietrzna ospa czy nawet zwykła grypa, mogła przynieść fatalne skutki.

Kiedy na początku lat sześćdziesiątych Truman zaczął się specjalizować w dziecięcej białaczce, nie znano skutecznych leków na tę chorobę. Większość małych pacjentów umierała w ciągu paru tygodni od jej wykrycia. Ostatnio jednak poczyniono olbrzymie postępy, głównie dzięki pracom prowadzonym w Pediatrycznym Szpitalu Badawczym Saint Jude w Memphis. Doktor szczegółowo objaśniał Andersonom przebieg metody leczenia zwanej terapią Saint Jude. Po pomyślnym zakończeniu miesięcznej kuracji, polegającej na stosowaniu określonego zestawu leków na przemian z naświetlaniem, James mógłby wrócić do normalnego życia, ale przez najbliższe trzy lata pozostawałby pod opieką specjalistycznej przychodni. Okresowo musiałyby nadal przyjmować spore dawki silnych leków według rygorystycznego harmonogramu. Była to bardzo intensywna kuracja, z wieloma efektami ubocznymi, stwarzała jednak nadzieję na wyleczenie.

– Jeżeli u chłopca nastąpi zahamowanie rozwoju białaczki pod wpływem pierwszej serii leków – oznajmił Truman – jego szanse na przeżycie kolejnych pięciu lat wzrosną powyżej pięćdziesięciu procent.

Doktor nawiązał także do przyczyn występowania ostrej białaczki. Mówił, że większość rodziców niepotrzebnie zarzuca sobie brak dostatecznej troski o swoje dzieci, ponieważ nie ma sposobów na zapobieżenie tej chorobie. Starał się rozwiać obawy, powtarzając z naciskiem, iż przyczyny białaczki limfatycznej wciąż pozostają nieznanne. Najnowsze badania pozwalały określić niektóre czynniki cho-

robotwórcze, takie jak promieniowanie jonizacyjne czy pewne chemikalia, na przykład benzen, ale wywoływały one białaczkę mielocytyczną, a więc innego rodzaju, niż stwierdzono u Jamesa. Część naukowców podejrzewała, że chorobę wywołują wirusy, gdyż istniały uzasadnione podejrzenia, iż białaczka u kotów, krów, ptaków i gryzoni ma właśnie podłoże wirusowe. Na Harvardzie trwały intensywne prace zmierzające do wyizolowania wirusa powodującego białaczkę u kotów. Truman był jednak przeświadczony, że chodzi tu o innego rodzaju zakażenie niż występujące u ludzi.

Już następnego dnia, czyli we wtorek, rozpoczęto u małego Jamesa terapię Saint Jude. Na początku wykonano mu kilka transfuzji krwi w celu obniżenia bardzo wysokiej zawartości białych krwinek. Truman odwiedzał chłopca codziennie i badał go sumiennie, zwracając uwagę na objawy ewentualnej infekcji, jak też na siniaki i żylaki – skupiska drobnych zakrzepów we włoskowatych naczyniach krwionośnych skóry, tak charakterystyczne u osób chorych na białaczkę. Anne także zjawiała się wczesnym rankiem każdego dnia. Początkowo wracała na noc do domu, szybko jednak zaczęła nocować u boku syna w sali szpitalnej. Jej matka przyjechała do Woburn, aby zaopiekować się dwojgiem starszych dzieci.

Pod koniec pierwszego tygodnia kuracji liczba białych ciałek we krwi Jamesa nadal utrzymywała się na wysokim poziomie, ale już nie rosła. Przystały się też pojawiać dalsze siniaki. Wskutek naświetlań zaczęły mu wypadać włosy, Jimmy ciągle narzekał na nudności, ale doktor Truman był zadowolony z rezultatów. Po miesięcznym leczeniu analizy nie wykazały już komórek rakowych ani we krwi chłopca, ani w szpiku kostnym. Sprawdzaly się wstępne założenia, nic więc dziwnego, że Truman zaczął mówić optymistycznie o perspektywach powrotu Jamesa do zdrowia.

Tej zimy, kiedy u malca wykryto białaczkę, Anne Anderson skończyła trzydzieści pięć lat. Była bardzo ładną kobietą, wysoką i postawną, z lekko wystającymi kośćmi policzkowymi, urzekającymi niebieskimi oczyma i jasnoblond włosami, jednoznacznie świadczącymi o norweskim pochodzeniu. Wychowywała się w Somerville niedaleko Bostonu, po drugiej stronie rzeki Charles, i była najmłodszą z czworga rodzeństwa, jedyną córką średnio zamożnych rodziców. Po ukończeniu szkoły średniej podjęła pracę w tamtejszej bibliotece publicznej, a gdy miała dwadzieścia cztery lata, podczas randki w ciemno poznała Charlesa Andersona, o rok od niej starszego syna robotnika portowego. Miał bardzo ambitne plany życiowe, uczył się w college'u i chciał pracować nad projektowaniem komputerów. Chodzili ze sobą przez rok, wreszcie, w roku 1961, wzięli ślub.

Wynajęli małe mieszkanie w Bostonie, ale już po czterech latach małżeństwa zaczęli się rozglądać za własnym domem. Często przyjeżdżali do Woburn, gdzie kilka lat wcześniej zamieszkała wraz z mężem Carol Gray, najlepsza przyjaciółka Anne z dzieciństwa. Grayowie zaraz po ślubie zlecili agentowi handlu nieruchomości, by wyszukał dla nich większą posiadłość, leżącą wśród drzew rozsia-

nych po otwartej przestrzeni i niezbyt odległą od Bostonu. Przyjęli już pierwszą propozycję i osiedlili się na wschodnich krańcach Woburn.

W połowie lat sześćdziesiątych była to rzeczywiście malownicza okolica. Rzeka Aberjona, mająca zaledwie kilka metrów szerokości i głęboka do pasa, o brzegach porośniętych trzciną, pałkami i kępami wysokiej trawy, leniwie toczyła wody przez odkryty teren, między polami uprawnymi, łąkami i sadami, z których do dzisiaj zachowało się jedynie kilka. Wzdłuż samej rzeki, oraz na skrajach pobliskich mokradeł, rosły skupiska klonów, dębów i hikory.

Andersonom także się tu podobało. Zwłaszcza Anne przypadło do gustu osiedle domków przy ulicy Pine Street, niedaleko posiadłości Carol Gray. Było to niemal samodzielne miasteczko, poprzecinane kilkunastoma wąskimi przecznicami, odległe o dwa kilometry od centrum Woburn, położone na niewysokim garbie łagodnie opadającym ku wschodowi i mokradłom po obu brzegach Aberjony. Wzdłuż cichych uliczek ocienionych wysokimi drzewami stały dosyć skromne domy, w większości zbudowane przed drugą wojną światową. Na pewno nie stanowiły łakomych kąsków dla ludzi z wypchanymi portfelami, a ponadto odnosiło się wrażenie, że w tym miłym i spokojnym sąsiedztwie ludzie osiadają już na stałe. Charles znalazł wystawiony na sprzedaż dom w stylu ranczerskim, pochodzący z początku lat pięćdziesiątych. Były w nim trzy małe sypialnie i duży salon z wielkim panoramicznym oknem. Gonty pokrywające ściany od zewnątrz wymagały malowania, a zniszczoną podłogę w kuchni trzeba było zakryć linoleum, ale dom kosztował zaledwie siedemnaście tysięcy dziewięćset dolarów.

Kiedy tylko Andersonowie się w nim urządzili, zaczęli uczęszczać do kościoła Świętej Trójcy. Wielebny Young nie krył swej radości, że jego trzódka powiększyła się o nową rodzinę. Charles był w przybliżeniu równy pastorowi wiekiem i szybko zawiązała się między nimi nić przyjaźni. Wkrótce Anderson został włączony do grona rady parafialnej, a później, na prośbę Younga, objął funkcję skarbnika.

Kiedy w połowie lutego Jimmy Anderson wrócił ze szpitala do domu, mieszkańcy osiedla Pine Street zaczęli go odwiedzać, przynosząc rozmaite smakołyki i domowe wypieki. Podczas jednej z takich wizyt pewna kobieta, Kay Bolster, mieszkająca nieco dalej, przy Gregg Street, wspomniała Anne, że w jej sąsiedztwie aż w dwóch rodzinach są mali chłopcy chorzy na białaczkę. Kay doszła do wniosku, że Andersonowie mogliby znaleźć wsparcie u ludzi, których życie doświadczyło tak samo ciężko jak ich. Matka jednego z tych chłopców, Joan Zona, była stałą klientką salonu piękności, w którym pracowała Bolster, i dała się poznać jako miła, sympatyczna kobieta, mimo że – zdaniem Kay – z wielkim trudem znosiła ciężką chorobę syna. Tenże Michael podobno bardzo źle przeszedł intensywną kurację. Drugą rodzinę, Naglesów, Bolster знаła tylko z widzenia, słyszała jednak od znajomych, że stan zdrowia małego Nagle'a dość szybko ulegał poprawie.

Krótko po tej rozmowie Anne zadzwoniła do Joan Zony, która bardzo się ucieszyła i zaprosiła ją na kawę. Spotkanie trwało dwie godziny, na pożegnanie

zaś Joan serdecznie uściskała nową znajomą. Wkrótce wzajemne odwiedziny i rozmowy telefoniczne stały się nieodłącznym elementem ich codziennego życia.

– Zawiązała się między nami prawdziwie głęboka przyjaźń – wspominała po latach Anne.

Michael Zona, najmłodszy spośród czworga dzieci Joan, również był leczony w bostońskim szpitalu dziecięcym, gdzie przechodził taką samą kurację jak Jimmy. Wykryto u niego białaczkę dziesięć miesięcy wcześniej, toteż matka zdążyła już świetnie poznać szpitalną rutynę, rytm dawkowania leków i naświetlań oraz skutki uboczne ich działania. Chętnie dzieliła się tą wiedzą z Anne.

Jednakże przypadek Michaela wydawał się znacznie cięższy, nie widać było żadnych perspektyw na wyzdrowienie chłopca. U niego także zaczęło się od łagodnego kaszlu, z czasem przybierającego na sile. Lekarz domowy zapisał mu syrop i antybiotyki, lecz te nie przyniosły najmniejszej poprawy. Któregoś wieczoru, kiedy dziecko poczęło się skarżyć, że w ogóle nie może oddychać, Joan pojechała z nim na pogotowie. Lekarz początkowo uznał, że Michael cierpi na astmę oskrzelową, lecz prześwietlenie szybko wykazało u niego złośliwy guz wielkości oliwki, limfosarkomę umiejscowioną między lewym a prawym płucem. Poddano go cyklowi naświetlań. Dopiero gdy te nie przyniosły rezultatów, badanie szpiku kostnego ujawniło ostrą białaczkę limfatyczną, dokładnie tę samą chorobę, na którą zapadł Jimmy Anderson.

Anne od początku wydało się dziwne, że w tak małym osiedlu, w promieniu kilkuset metrów, wystąpiły aż trzy przypadki ostrej białaczki. Nie potrafiła tego uznać za zbieg okoliczności, a przypomniawszy sobie obszernie wyjaśnienia doktora Trumana, doszła do wniosku, że w okolicy może się rozwijać jakiś szczególny wirus powodujący ową chorobę. Pamiętała, że nawet naukowcy nie są pewni co do wirusowego podłoża białaczki limfatycznej, niemniej poświęciła wiele rozmów z Carol Gray spekulacjom na ten temat.

Zonie także powiedziała o swoich podejrzeniach, ta jednak – mimo że przyznawała, iż wystąpienie trzech przypadków rzadkiej choroby w tak nielicznej społeczności daje do myślenia – nie chciała zaprzętać sobie głowy podobnymi rozważaniami. Nazbyt pochlaniała ją troska o Michaela, którego stan zdrowia wciąż budził wiele obaw. W czerwcu 1972 roku, kiedy rekonwalescencja Jimmy'ego przebiegała pomyślnie i rokowania były coraz lepsze, u Michaela Zony wystąpił nawrót białaczki. Lekarze zdecydowali się poddać go drugiej intensywnej terapii, tym razem z zastosowaniem eksperymentalnego leku o nazwie adriamycyna, nadzwyczaj silnego środka, który w dawkach niezbędnych podczas leczenia ostrej białaczki powodował znaczne osłabienie mięśnia sercowego. Okazał się jednak skuteczny i w lipcu chłopiec wrócił do poprzedniej, łagodniejszej kuracji. Poprawa okazała się niestety krótkotrwała. Pod koniec października, gdy wyniki analiz krwi wciąż były niepokojące, lekarz opiekujący się chłopcem zarządził ponowne badania szpiku kostnego, te zaś wykazały aż dwadzieścia pięć procent zdegenerowanych białych ciałek. Nastąpił drugi nawrót choroby. Powtórzono intensywną terapię, a gdy ta zaskutkowała, znowu prze-

stawiono Michaela na łagodniejszą kurację. Ale w tym czasie nikt nie dawał mu już większych szans na wyzdrowienie.

Tej samej wiosny, podczas kolejnej wizyty kontrolnej w szpitalu Massachusetts General, Anne powiedziała doktorowi Trumanowi o swoich obserwacjach, o podobnych przypadkach w rodzinach Zonów i Naglesów.

– Czy to nie jest podejrzane? – zapytała.

Truman wysłuchał w skupieniu teorii wysokiej i ładnej, acz nieco przygarbionej już kobiety, później przyznał jednak szczerze, iż nie poświęcił jej należytej uwagi. Wiedział z wieloletnich doświadczeń, że rodzice dzieci chorych na białaczkę odznaczają się tendencją do wyolbrzymiania problemów związanych z tą chorobą. Z pozoru dostrzegali jej objawy na każdym kroku, jakby z daleka wyczuwali inne rodziny, które doświadczają tego samego co oni. Dla niego było to dość powszechnie znane zjawisko psychologiczne. Wiele lat później, w trakcie składania zeznań przed sądem, Truman tak ocenił swoją reakcję na pytania Anne:

– Wynikała ona wyłącznie z posiadanej przeze mnie wiedzy na temat statystycznej zachorowalności na ostrą białaczkę wśród dzieci. Wziąwszy pod uwagę liczbę mieszkańców Woburn, uznałem, że trzy przypadki w tej społeczności nie stanowią żadnego powodu do szczególnych obaw. Krótko mówiąc, zlekceważyłem zaniepokojenie pani Anderson.

Jego obaw nie wzbudził również kolejny przypadek, gdy w czerwcu 1973 roku wykryto tę samą chorobę u innego chłopca z Woburn, dwuipółletniego Kevina Kane’a. Dziecko przywieziono ze szpitala Winchester, gdzie jego matka była pielęgniarką. Zgłosiła się do lekarza z powodu niesłabnącej gorączki, niezwykłej bladoci i ciągłego rozdrażnienia synka. Przez dwa tygodnie próbowano go leczyć na zapalenie górnych dróg oddechowych, lecz nawet penicylina nie przynosiła efektów. Lekarzy dodatkowo zmyliło to, że wcześniej malec często chorował na gardło i oskrzela, kilkakrotnie skarżył się też na bóle uszu. Kiedy ostatecznie przekazano go pod opiekę doktora Trumana, podejrzewano już ostrą białaczkę limfatyczną. Wyniki badań szybko potwierdziły tę diagnozę. Kevina poddano leczeniu zbliżonemu do terapii Saint Jude i gdy po czterech tygodniach analizy szpiku kostnego dały dobre rezultaty, przestawiono go na łagodniejszą kurację.

Kevin Kane senior, ojciec chłopca, mieszkał wraz z żoną Patricią oraz czworgiem dzieci także we wschodnim Woburn, przy Henry Avenue, biegnącej szerokim łukiem wzdłuż skraju drugiej, wyższej skarpy górującej nad mokradłami Aberjony. Z tylnego podwórka za domem, na tle otwierających się ku wschodowi łąk i bagien, doskonale widać było odległe o pięćset metrów osiedle Pine Street, a gdy wyteżyło się wzrok, dało się nawet wyróżnić wąską Orange Street i dostrzec między drzewami czerwoną dachówkę ranczerskiego domu Andersonów.

Anne dowiedziała się o chorobie małego Kane’a od Carol Gray, której czternastoletni syn każdego popołudnia dostarczał mieszkańcom Henry Avenue gazetę „Woburn Daily Times”. Latem 1973 roku w trakcie rozwożenia prasy syn Carol

usłyszał plotki o ostrej białaczce Kevina. Powiedział o tym matce, która natychmiast telefonicznie przekazała wiadomość Andersonom.

– Co tu się dzieje, do cholery? – spytała zaskoczona Anne.

Ta zaś po ujawnieniu kolejnego przypadku zaczęła spisywać swoje obserwacje dotyczące choroby. Na pierwszej stronie przeznaczonego specjalnie do tych celów notesu znalazła się lista obejmująca imiona i nazwiska dzieci, ich wiek i adresy, oraz przypuszczalne daty wykrycia u nich białaczki.

Świadomość, że wszystkie zachorowania muszą mieć wspólne podłoże, stała się niemal obsesją Anne, która po latach zeznawała przed sądem:

– Wszyscy oddychaliśmy tym samym powietrzem i piliśmy tę samą wodę. A woda była bardzo złej jakości. Stąd też narodziły się moje podejrzenia, że jest skażona jakimiś zarazkami, być może wirusami powodującymi białaczkę. Zawsze miała kiepski smak, czasami bywała mętna, a niekiedy odrażająco cuchnęła. Raz była lepsza, raz gorsza, ale okresami, zwłaszcza latem, po prostu nie dało się jej pić. Kiedy moja matka przyjeżdżała na weekendy z Sommerville, często przywoziła ze sobą parę litrów wody pitnej. W ciągu tygodnia musieliśmy jednak korzystać z wody wodociągowej, zabijając jej odór sokiem pomarańczowym, kawą zbożową bądź czymkolwiek innym, choć i to zazwyczaj nie skutkowało. Zmywarka do naczyń bardzo szybko uległa zniszczeniu, drzwiczki skorodowały do tego stopnia, że musieliśmy je wymienić. Później przerdzewiała i popękały druciane podstawki, na których ustawia się talerze. Niemal bez przerwy przeciekały kolanka pod zlewem w kuchni i umywalką w łazience. Regularnie trzeba było wymieniać krany. Z prysznicza w łazience bezustannie kapała woda. Kiedy tylko naprawiliśmy jedną rzecz, natychmiast dawała o sobie znać kolejna usterka.

3

Jeszcze na długo przed wykryciem białaczki u Jimmy’ego Andersona mieszkańcy wschodniego Woburn rozmawiali o kiepskiej jakości wody, tak jak gdzie indziej dyskutuje się o pogodzie. I tak jak z pogodą, wyglądało na to, że nikt nie jest w stanie zaradzić sytuacji, mimo iż podejmowano rozmaite próby.

Kiedy w roku 1961 w Woburn osiedliła się Carol Gray, wszystko było jeszcze w porządku. Ale gdy cztery lata później Andersonowie kupowali dom przy Orange Street, mieszkańcy tej części miasta zwrócili już uwagę na znaczne pogorszenie się jakości wody.

– Nie sądzisz, że tutejsza woda ma jakiś dziwny smak? – spytała Anne przyjaciółki pierwszego lata spędzanego w Woburn. – A może tylko z naszą instalacją dzieje się coś niedobrego?

Później dla wielu osób stało się jasne, że wyraźna zmiana nastąpiła w listopadzie 1964 roku, kiedy do miejskiej sieci wodociągowej popłynęła woda z nowego ujęcia. To zaś, nazwane studnią G – jako że studnie od A do F oddawano do użytku w centralnej części Woburn w ciągu minionych czterdziestu lat – usytuowano wśród mokradeł na wschodnim brzegu Aberjony, około kilometra na północ od

osiedla Pine Street. Studnia sięgała dna pradoliny uformowanej przed dwunastoma tysiącami lat, podczas ostatniego zlodowacenia na terenie Nowej Anglii. Przez stulecia ility, piasek i żwir wypełniły dolinę, a z rwącej niegdyś polodowcowej rzeki została wążutka Aberjona. Przepuszczalne podłoże działało jednak jak gąbka, przez co pod ziemią utworzył się rozległy zbiornik wodny.

Nawet po uruchomieniu studni G Woburn odczuwało nadal niedostatek wody pitnej. Władze miejskie nie chciały skorzystać z bardzo kosztownej metropolitarnej sieci wodociągowej pobliskiego Bostonu, a ponieważ miejscowa firma wiertnicza oferowała tanie usługi i działała bardzo operatywnie, podjęto decyzję o uruchomieniu kolejnego ujęcia, studni H, odległej o sto metrów od poprzedniej. W roku 1967, trzy lata po oddaniu do użytku studni G, do kranów popłynęła także woda ze studni H. I chociaż oba ujęcia zostały podłączone do sieci miejskiej, zaopatrywały przede wszystkim wschodnią część Woburn; znacznie mniej wody z nich trafiało do domów w północnej i centralnej części miasta.

Spółka Whitman & Howard, realizująca oba zlecenia na wyszukanie odpowiedniego ujęcia i wywiercenie studni, wystosowała do burmistrza pismo gratulacyjne z powodu dostępności zasobów wody pitnej. „Naszym zdaniem Woburn jest w szczególnie korzystnej sytuacji, ponieważ dysponuje bliskim zbiornikiem wód podziemnych o jakości wystarczającej do zasilenia całej wschodniej części miasta. Rozwój sieci wodociągowej opartej na tych zasobach pozwoli zażegnać wszelkie kłopoty z zaopatrzeniem ludności w wodę w najbliższych latach” – pisał naczelny inżynier firmy, L. E. Pittendreigh.

Jak się miało wkrótce okazać, Pittendreigh był w wielkim błędzie, gdyż wraz z uruchomieniem studni G i H w mieście dopiero zaczęły się poważne kłopoty z wodą.

Już latem 1967 roku Departament Zdrowia stanu Massachusetts wystąpił z wnioskiem o zamknięcie obu nowych ujęć z powodu „złych wyników badań bakteriologicznych pochodzącej z nich wody”. Władze miasta zaprotestowały. Po dłuższych deliberacjach inspektor sanitarny wydał zgodę na korzystanie ze studni pod warunkiem, że czerpana z nich woda będzie chlorowana.

Instalacja do odkażania została uruchomiona w kwietniu 1968 roku. Przez resztę wiosny i całe lato urzędnicy magistratu i okręgowy inspektorat sanitarny były zasypywane licznymi skargami mieszkańców na odrażający smak i zapach wody, jak również obecny w niej drobny rdzawy osad. „Nasza woda cuchnie jak preparat wybielający. Dlaczego nie możemy mieć w kranach takiej samej wody, jak w pozostałych częściach miasta?” – pisał jeden z rozżalonych ludzi. Pewna kobieta ze wschodniego Woburn napisała do „Joe Action Line”, codziennej rubryki w „Boston Herald Traveler”. Inni mieszkańcy zasypywali skargami redakcję „Daily Times”, w wielu listach powtarzały się zdania, że woda w ogóle nie nadaje się do spożycia, jest wyjątkowo twarda i roztacza bardzo silną woń środków odkażających.

Władze miejskie powołały specjalną komisję do zbadania tego problemu. Główny inżynier wyjaśniał, że chlorowanie, będące przyczyną nieprzyjemnego zapachu i smaku, na który skarżą się ludzie, musi być prowadzone w celu zabicia

obecnych w wodzie bakterii, natomiast obecność rdzawego osadu jest rezultatem wysokiej zawartości jonów żelaza i manganu, podczas chlorowania tworzących nierozpuszczalne związki. Zapewniał też komisję, że wbrew pozorom ta woda nadaje się do picia.

Mimo jego zapewnień wiosną 1969 roku mieszkańcy wschodniego Woburn powołali własną komisję, której głównym celem stało się zmuszenie burmistrza do zamknięcia studni G i H. W sierpniu złożono odpowiednią petycję i w październiku, po zakończeniu sezonu wzmożonego zapotrzebowania na wodę, oba ujęcia zostały zamknięte. Jednakże już następną wiosną główny inżynier polecił uruchomić studnie i wodą z nich zasilić sieć miejską. Ponownie skargi na odrażający smak i zapach, według słów Geralda Mahoneya, reprezentującego w radzie miejskiej wschodnie Woburn, „poczęły płynąć wielkim strumieniem, jak woda wyciekająca przez pękniętą tamę”. Nastąpiło upalne i suche lato. Główny inżynier ciągle zapewniał, że woda jest „całkowicie bezpieczna”. Studnie zamknięto ponownie w styczniu, kiedy zapotrzebowanie uległo zmniejszeniu, lecz uruchomiono je już po czterech miesiącach, w maju 1971 roku. Radny Mahoney powiedział w wywiadzie dla „Woburn Daily Times”, że „jest bombardowany skargami” dotyczącymi „zgniłej, cuchnącej, ohydnej wody w kranach”. Dodał też, że to „już czwarty rok z rzędu, kiedy mieszkańcy zmuszeni będą pić tę wodę i używać jej do innych domowych celów”. Dziewięć dni po otwarciu ujęć Mahoneyowi udało się przymusić w radzie miejskiej ich zamknięcie. Ale już miesiąc później, w czerwcu, główny inżynier musiał je znów uruchomić.

Wyglądało na to, że tej huśtawce nie będzie końca. Anne Anderson codziennie dzwoniła do działu technicznego magistratu ze skargami. W jej ślady poszły Carol Gray i Kay Bolster.

– Dzwoniłaś już dzisiaj? – dopytywały się nawzajem. – I co ci odpowiedzieli?

– Zawsze padały te same wyjaśnienia – wspominała później Anderson. – Z wodą jest wszystko w porządku, badania wykazują, że nadaje się do picia. Odnosiłam wrażenie, iż nie ma najmniejszych szans na zmianę tej sytuacji. Ludzie umawiali się i masowo dzwoniли ze skargami, a potem powtarzali sobie wzajemnie te same, wymijające odpowiedzi.

Latem 1972 roku, sześć miesięcy po wykryciu białaczki u Jimmy’ego Andersona, poziom wody w zbiorniku rezerwowym zasilającym wodociągi centralnej części miasta obniżył się tak bardzo, iż kierownik wydziału robót publicznych polecił mieszkańcom ograniczyć jej zużycie. Zagroził otwarciem, że jeśli nawzajem nie będą kontrolować niektórych swoich poczynań, takich jak zbyt częste mycie samochodów bądź nadmierne podlewanie trawników, władze miejskie zostaną zmuszone do ponownego dołączenia do sieci ujęć G i H, które pozostawały nieczynne przez całą zimę. Apel odniósł pożądany skutek i tego lata nie zaszła konieczność otwarcia obu studni. Anne poświęciła się całkowicie opiece nad chorym synem, a ponieważ z kranów płynęła stosunkowo czysta woda, chwilowo przestała sobie zaprzętać głowę tym problemem. Następną wiosną, w roku 1973, ponownie apel o oszczędne korzystanie z wody, nadeszła jednak dotkliwa susza i w sierpniu trzeba było uruchomić studnię G.

Tymczasem Charles Anderson odnosił sukcesy jako specjalista od komputerów w firmie GTE. Praca wymagała od niego częstych wyjazdów z miasta, ale na swój sposób przyjmował to z ulgą. W domu bowiem wszystko było teraz podporządkowane konieczności opieki nad chorym Jimmym. Chłopiec bardzo wyszczerzył, był niższy od rówieśników i prawie nie rozstawał się z matką. Anne traktowała go jak całkowicie bezbronną istotę narażoną na same niebezpieczeństwa, nie więc dziwnego, że przede wszystkim pragnęła go przed nimi chronić. Prawie dwa lata po wykryciu białaczki Jimmy rozpoczął naukę w szkole. Matka kupiła mu perukę, żeby zamaskować efekt intensywnych naświetlań, kępki rzadkich włosów poprzedzielane płatami nagiej skóry, ale i tak miała poważne obawy, że syn stanie się pośmiewiskiem. Jimmy często opuszczał lekcje, kiedy musiał jechać do szpitala albo po prostu czuł się źle. Zresztą nie lubił szkoły i zdarzało się wielokrotnie, że prosił matkę, by pozwoliła mu zostać w domu, ona zaś najczęściej się zgadzała. Charles był temu stanowczo przeciwny, zależało mu na tym, aby syn wiódł na tyle normalne życie, na ile tylko to możliwe. Ale Jimmy nie miał nawet żadnych przyjaciół, większość czasu spędzał w towarzystwie matki traktującej go ze szczególną czułością. Wystarczyło, że cmoknął ją w policzek lub objął w pasie, a natychmiast rzucała wszystko, tuliła go i głaszała po głowie, mimo że nie był już taki mały. Każdej nocy sypiał z Anne i Charlesem w małżeńskim łóżu, bo choć lata mijały, ona nie potrafiła zerwać z tym zwyczajem, zapoczątkowanym z chwilą wykrycia choroby synka.

Wielebny Bruce Young często woził Anne i Jimmy'ego do szpitala Massachusetts General i czynił to z ochotą. Traktował tę pomoc jak swoją duszpasterską powinność, ponadto lubił umilać sobie czas rozmową z doktorem Trumanem i pielęgniarkami. Z pewnym zdziwieniem obserwował jednak szczególnie głęboką więź łączącą matkę z synem.

– Wydawali się całkowicie od siebie uzależnieni, zupełnie obojętni na wszystko, co ich otacza – wspominał po latach. – Dla Anne nikt inny się nie liczył, żyła wyłącznie dla Jimmy'ego, przejęta jego chorobą i koniecznością zapewnienia mu wszechstronnej opieki. Właśnie dlatego z taką obsesją poszukiwała przyczyny białaczki. Musiała odnaleźć jej powód, konkretnego wroga, na którym mogłaby skupić swoją złość za to, co dotknęło jej syna.

Charles cierpliwie wysłuchiwał wszelkich spekulacji żony na temat związku między białaczką a złą jakością wody. Początkowo przyjmował to z pobłażliwością, lecz im bardziej Anne zagłębiała się w problem, tym bardziej sceptycznie traktował jej teorię.

– Jakość naszej wody nie jest żadną tajemnicą – mawiał. – Wszyscy o niej wiedzą, okręgowy inspektorat sanitarny, rada miejska, sam burmistrz. Przecież nie tylko ty skarżysz się ciągle na jej paskudny smak i mętność.

Ilekróć Anne sugerowała, że zapewne to właśnie woda jest przyczyną zachorowań na białaczkę, ucinał rozmowę stwierdzeniem, iż nabija sobie głowę czczyimi spekulacjami.

– Sądysz, że gdyby przyczyna zachorowań była aż tak oczywista, nikt inny by dotąd na to nie wpadł?

Jeszcze długo przedtem, nim Charles zaczął tracić cierpliwość i zbywać ją frazesami, Anne domyśliła się po jego reakcjach, iż ten temat wprawia go w złość i frustrację. Pragnienie znalezienia przyczyny było jednak silniejsze od niej.

– Więc coś innego mogłoby wywoływać chorobę? – spytała któregoś dnia, gdy wybrali się samochodem do przyjaciół w Lowell.

– Z jakiego powodu sądzisz, że odkryłaś coś, co pozostaje tajemnicą dla specjalistów z inspektoratu sanitarnego? – odpowiedział pytaniem. – Gdyby przyczyny białaczki były znane, na pewno doktor Truman by nam o nich powiedział. W końcu zajmuje się dziesiątkami podobnych przypadków.

Kłócili się przez całą drogę do Lowell. Kiedy dotarli na miejsce, ze złości oboje byli poczerwieniaли i mieli pobladłe wargi. Przez resztę wieczoru prawie się do siebie nie odzywali.

Charles doszedł do wniosku, że uporczywe szukanie przyczyn białaczki w złej jakości wody stało się destrukcyjną obsesją jego żony. Uważał to za czynnik prowadzący do rozpadu ich małżeństwa, jak podkreślił w rozmowie z Youngiem. Wkrótce też poprosił pastora, by ten spróbował wpłynąć na Anne.

– Czy nie mógłbyś przemówić jej do rozsądku? – spytał.

W trakcie podróży do Bostonu Young wielokrotnie słyszał z ust kobiety zdania na temat szkodliwego wpływu fatalnej wody. Zazwyczaj pozwalał jej się wygadać. Lecz wobec takiego postawienia sprawy przez Charlesa poczuł się zobligowany do interwencji. Kiedy po raz kolejny Anne podjęła temat wody, opowiedział jej o swoich niezwykłych doświadczeniach zaraz po zakupie samochodu, właśnie tego volvo, którym jechali. Nagle zaczął odnosić wrażenie, że dostrzega takie same auta wszędzie, gdzie spojrzy. Szybko musiał jednak uznać to za zwykłą iluzję, omam wzrokowy. W rzeczywistości po ulicach wcale nie jeździło tak wiele nowych wozów tej marki, tylko on zaczął zwracać na nie baczniejszą uwagę. Następnie podsunął kobiecie myśl, że tego samego może doświadczać i ona, skoro tak bardzo pragnie odkryć przyczynę białaczki syna.

– Bardzo się starałam nie wracać zbyt często do tego tematu – zeznawała Anderson po latach podczas przesłuchania przed sądem. – Dobrze wiedziałam, jak jestem postrzegana przez męża. Uważał mnie za opętaną obsesją histeryczkę. Wykorzystywałam natomiast spotkania z doktorem Trumanem, który zawsze wysłuchiwał mnie z uwagą. Powtarzałam mu: gdy tylko wyjdę na ganek, mogę jednym spojrzeniem obrzucić wszystkie te domy, w których są dzieci chore na białaczkę. On jednak odpowiadał, że białaczka nie powoduje już tak wielu ofiar śmiertelnych, dlatego coraz częściej spotyka się chore dzieci.

Truman nie lekcewał obserwacji Anne Anderson, ale też i nie brał ich zbyt serio. Najczęściej przyjmował je z obojętnością.

– Ogólnie rzecz biorąc, ona, jak większość matek zapadających na białaczkę dzieci, bardzo chciała poznać przyczynę choroby – ocenił. – Moim zdaniem należy uznać za naturalne, że w pierwszej kolejności szukała ich w coraz bardziej skażonym środowisku.

Kiedy Anne domagała się od niego konkretnych odpowiedzi, zazwyczaj potwarzał, iż nie ma żadnych potwierdzonych naukowo danych wiążących zachorowalność dzieci na białaczkę z czynnikami zewnętrznymi.

– Jeśli dobrze pamiętam, przeprowadziliśmy co najmniej kilkanaście rozmów na ten temat. Parę razy wspominała o złym smaku wody z sieci wodociągowej czy przykrym zapachu unoszącym się w pobliżu jej ujęć, pytając przy tym, czy jakość wody może być przyczyną białaczki.

Anne sama zdawała sobie sprawę, iż pragnienie odkrycia powodów choroby stało się jej obsesją.

– Naprawdę chciałam uwierzyć, że jakość wody nie budzi większych zastrzeżeń. Nie dawało mi to jednak spokoju. Miałam do czynienia z dwoma oczywistymi faktami: złym smakiem wody oraz liczbą zachorowań dzieci na białaczkę w tej okolicy.

Przez trzy lata, aż do lutego 1975 roku, James Anderson poddawany był intensywnej kuracji opisywanej jako terapia Saint Jude. 21 lutego kolejna analiza szpiku kostnego wykazała brak zdegenerowanych komórek, w związku z czym leczenie przerwano. Stopniowy powrót do zdrowia zgadzał się z przewidywaniami, w domu Andersonów zapanował optymizm. Chłopczyk był niski i drobny, wciąż chorobliwie bladej, wyglądem przypominał delikatną i kruchą figurkę z porcelany. Wszystko wskazywało jednak na to, że znalazł się w grupie tych pięćdziesięciu procent chorych, którzy zyskali szansę wyzdrowienia.

15 września, siedem miesięcy po zakończeniu intensywnej kuracji, podczas wizyty kontrolnej w szpitalu Massachusetts General doktor Truman zauważył u Jimmy’ego niepokojące obniżenie zawartości płytek krwi. Zaordynował kolejną analizę szpiku kostnego, lecz jej wynik okazał się niepewny. Uwagę lekarza przykuły pojawiające się na nowo zasinienia skóry, wskazujące na nawrót choroby. W krótkim czasie pobrano chłopcu dwie następne próbki szpiku kostnego. W listopadzie pod skórą Jimmy’ego ujawniły się skupiska żyłaków, zaczęły też występować krwotoki z nosa. Czwarta analiza szpiku wykazała aż czterdzieści cztery procent zdegenerowanych białych ciałek. Oczywisty nawrót białaczki pozbawił Trumana dalszych nadziei. Doktor był przekonany, że następna intensywna terapia zahamuje rozwój choroby, nie wierzył już jednak, by jej objawy ustąpiły na dłużej. Zniknęła perspektywa powrotu Jimmy’ego do zdrowia.

Tym razem chłopca poddano nieco innej terapii. Anne natomiast zyskała pewność, że jej syn umiera. Nie potrafiła już nad sobą panować. Coraz częściej histerycznie krzyczała na lekarzy i pielęgniarzy, niejednokrotnie obiektem jej ataków stawał się sam doktor Truman.

Przez cały listopad prawie nie wychodziła ze szpitala. Często sypiała na łóżku, przytulona do Jimmy’ego. Któregoś nadzwyczaj pogodnego i słonecznego dnia wyszła na korytarz, stanęła przy otwartym oknie i zapatrzyła się na słoczone dachy śródmieścia Bostonu. Po kilku minutach podeszła do niej inna kobieta, starsza, o całkiem siwych włosach i twarzy pobrużdżonej głębokimi zmarszczkami. Nie przedstawivszy się nawet, powiedziała w zamyśleniu:

– Mój chłopiec przed chwilą umarł na białaczkę.

Anne była bliska załamania. Jej syn także umierał, a ona nie miała siły, by pocieszyć nieznaną czy choćby złożyć jej zdawkowe kondolencje. Dlaczego ta kobieta nie mogła podejść do kogoś innego? – myślała. – Do jakiejś matki, której dziecko jest właśnie operowane na przepuklinę czy ma zakładany gips na złamaną rączkę i które prawie na pewno wyzdrowieje? Tamta jednak (być może babcia, jak później wspominała Anne) wydawała się nie mniej zrozpaczona, tak bardzo chciała przed kimś wyjawić swój ból, że w ogóle nie zwracała uwagi na jej nastroj. Zaczęła opowiadać o kilkuletnim chłopczyku, który zachorował całkiem niespodziewanie. Wreszcie wyszło na jaw, że również mieszkał w Woburn. Na koniec padło nazwisko: Lilley.

4

Latem 1966 roku, kiedy wielebny Bruce Young obejmował parafię Kościoła Episkopalnego Świętej Trójcy, Donna Carner miała szesnaście lat. Uważano ją za najładniejszą z czterech sióstr, ponieważ miała długie kruczoczarne włosy, a gdy się uśmiechała, na policzkach tworzyły jej się urocze dołeczki. Do chłopców odnosiła się z wielką rezerwą, zazwyczaj pozując na osobę, której niczym nie można zaskoczyć. Sądziła, że to najlepsza metoda zamaskowania własnej nieśmiałości.

Natychmiast zadurzyła się w nowym pastarze. Nie było w tym nic dziwnego, chyba wszystkie dziewczęta z parafii się w nim podkochiwały. Nie odstraszała ich ani biała koloratka duchownego, ani noszona przez niego na co dzień czarna koszula i w wielu miejscach powycierana czarna marynarka. Dla Donny był to człowiek niezwykły, odznaczający się wyszukаныmi manierami. Co prawda palił papierosy, a w prywatnych rozmowach zdarzało mu się nawet zakląć, jak gdyby bardzo chciał podkreślić, że mimo stanu duchownego nie zamierza odgrywać roli świętoszka.

W jej rodzinie, mieszkającej w północnej części Woburn, nie zadawano sobie filozoficznych pytań dotyczących istoty wiary. Wszyscy jednak regularnie uczęszczali na niedzielne nabożeństwa w kościele Świętej Trójcy. Donna Carner zdusiła w sobie platoniczne uczucia do wielebnego, gdy jego żona wydała na świat pierwszego syna. Swoją prawdziwą miłość odnalazła pewnej soboty, kiedy była w ostatniej klasie szkoły średniej. Wybrała się razem z siostrą do Bostonu i w pociągu nawiązał z nimi rozmowę przystojny chłopak w marynarskim mundurze. Nazywał się Carl Robbins i tylko odbywał służbę w Bostonie, pochodził bowiem z Alabamy. Zakochał się w Donnie od pierwszego wejrzenia, a przynajmniej tak jej później mówił. Przebywał na przepustce i przyjechał do Woburn na spotkanie z rodzicami, lecz już wkrótce zaczął regularnie pokonywać tę trasę. Dwa lata po ukończeniu szkoły średniej, gdy Donna miała dziewiętnaście lat, postanowili z Carlem się pobrać. Pracowała wówczas w bibliotece Stowarzyszenia Pracowników Hutnictwa Aluminium, mającego siedzibę w Woburn, i zdążyła odłożyć trochę pieniędzy. Carl ukończył służbę w marynarce i zatrudnił się jako spawacz. Ślubu

udzielił im walebnny Young, który później uczestniczył także w skromnym przyjęciu weselnym w domu Carnerów.

Młodzi Robbinsowie wynajęli trzypokojowe mieszkanie na parterze starej, rozsypującej się kamienicy czynszowej przy Main Street, około półtora kilometra na północ od rynku. Donna wciąż pracowała w bibliotece, mogli więc od czasu do czasu kupować jakieś pojedyncze meble do własnego domu, który chcieli mieć w bliżej nieokreślonej przyszłości. Dwa lata po ślubie, w marcu 1972 roku, Bruce Young ochrzcił ich pierwsze dziecko. Chłopczyka nazwano Carlem Robbinsem Trzecim, choć już od pierwszych dni wszyscy nazywali go po prostu Robbiem.

Urodził się duży i zdrowy, lecz tylko w pierwszym okresie był pyzaty, pogodnym malcem. Jeszcze zanim ukończył roczek, Donna kilkakrotnie jeździła z nim do lekarza z powodu infekcji uszu, które w efekcie doprowadziły do perforacji bębienka. Nieustający ból sprawiał, że chłopiec stał się marudny, płakał po całych nocach. Wkrótce pojawiły się też inne dolegliwości, wykwity skórne, które określono jako egzemę alergiczną nieznanego pochodzenia. Donna stosowała wszelkiego typu maści, oliwki i zasyпки przepisywane przez lekarzy, uczulenie jednak nie znikало. Ciągłe kłopoty z dzieckiem odbiły się na małżeństwie. Carl był nawet chętny do pomocy w opiece nad Robbie'em, ale musiał wstawać wcześnie rano, a płacz malca nie dawał mu spać. Donna zrezygnowała z pracy po urodzeniu dziecka i wkrótce rozmaite koszty, jakie pociągała za sobą jego choroba, sprawiły, że Robbinsowie popadli w długi. Coraz częściej mieli do siebie o wszystkim pretensje, w trzypokojowym mieszkaniu panował coraz większy bałagan.

Na domiar złego Donna po raz drugi zaszła w ciążę. Zwierzyła się ginekologowi ze swoich kłopotów i ten zalecił, by razem z mężem udała się do poradni małżeńskiej. Pocieszyło ją, że Carl przyjął ten pomysł bardzo dobrze, a i ona już po pierwszej sesji odniosła wrażenie, że wszelkie problemy dadzą się łatwo rozwiązać. Ich drugi syn, Kevin, przyszedł na świat w roku 1975, sześć lat po ślubie. Mimo starań Carla mieszkanie stawało się dla nich za małe, a długi wciąż rosły.

– Znajdowaliśmy się na równi pochyłej – wspominała po latach Donna przed sądem. – Już od pewnego czasu stosunki między nami były napięte, ale prawdziwe piekło rozpełtało się w czerwcu tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego szóstego roku, gdy czteroletni Robbie rozchorował się na dobre. Wcześniej skarżył się na bóle w pachwinie, aż tu nagle, dosłownie z dnia na dzień, przestał chodzić. Dostał ponad trzydzieści osiem stopni gorączki. Zabrałam go do pediatry, a ten skierował nas do szpitala na prześwietlenie.

Robbie'ego zaczęto leczyć na młodzieńczy reumatyzm, poprawa jednak nie następowała. Wreszcie ortopeda ze szpitala Choate Memorial w Woburn doszedł do wniosku, iż może to być zapalenie torebki stawu biodrowego, i postanowił wykonać bardziej szczegółowe badania. Mimo że analizy nie wykazały żadnej infekcji, zalecił później zdrenowanie stawu biodrowego chłopca. Donna wyraziła zgodę i latem Robbie został poddany operacji.

Nadzwyczaj powoli wracał do zdrowia. Kiedy wreszcie znów zaczął chodzić, dość specyficznie kotłował się na boki, ciągnąc lewą nogą po ziemi. Wysoko podnosił przy tym kolano, jakby całkiem stracił władzę w stopie. Do tego nie przestał

się skarżyć na ból, tym razem w drugim stawie biodrowym. Wkrótce zaczął cierpieć tak bardzo, że nie mógł się nawet obrócić w łóżku na drugi bok. Kolejne badania nie wykazywały niczego szczególnego. Wreszcie Robbie zaczął też narzekać na bóle w kolanach, ramionach i szyi. Znowu przestał chodzić, a niedługo potem ledwie mógł się poruszyć. We wrześniu skierowano go do bostońskiego New England Medical Center z rozpoznaniem zaawansowanego młodzieńczego reumatyzmu. Całkowita niemożność chodzenia oraz stan jego lewej nogi i stawu biodrowego wzbudziły powszechne zdumienie i stały się przedmiotem wielu konsultacji, specjaliści jednak zgodnie dochodzili do wniosku, że są to tylko efekty wtórne nierozpoznanego schorzenia. Chłopca poddawano licznym badaniom, ale nikt nie potrafił określić natury choroby.

– Byłam śmiertelnie przerażona – wspominała Donna tamten okres. – Nie wiedziałam, co się dzieje z Robbie’em. Pewnego weekendu, gdy bardzo mi zależało na pomocy męża w doglądaniu obu synów, Carl wyprowadził motocykl z garażu i dokądś pojechał. Dla niego odpoczynek w dni wolne od pracy był ważniejszy ode mnie i dzieci. Wtedy zdecydowałam, że nie dam rady walczyć o dwie rzeczy naraz, ratowanie naszego małżeństwa i zdrowie Robbie’ego, dlatego też wystąpiłam o separację.

Działo się to 12 października 1976 roku. Nazajutrz, podczas kolejnej wizyty w szpitalu New England Medical Center – trzy miesiące po pierwszym zgłoszeniu się do lekarza z dzieckiem narzekającym na bóle w biodrze – doktor prowadzący badanie zwrócił uwagę na powiększoną śledzionę Robbie’ego. Analiza krwi wykazała znaczne podwyższenie zawartości białych ciałek przy jednoczesnym bardzo wysokim procencie krwinek zdegenerowanych. Zarządzono badanie próbki szpiku kostnego. Jego rezultat potwierdził wstępne przypuszczenia: dziecko miało ostrą białaczkę limfatyczną.

Następne dwa tygodnie Donna spędziła razem z Robbiem w szpitalu. Nie mogła w tym czasie chodzić do kościoła, więc jej matka poinformowała wielebego Younga o naturze choroby małego. Pastor wybrał się specjalnie do New England Medical Center, by odwiedzić Robbinsów. Wtedy też spytał Donnę, czy lekarze choćby wspominali o ewentualnych przyczynach białaczki syna. Kobieta odparła, iż powiedzieli jej tylko, że powody nagłych zachorowań na tę postać choroby nie są jeszcze znane, a więc w pewnym sensie należy ją uznać za zrządzenie losu.

Young zapytał również Donnę, czy nie przyszło jej do głowy, że to zła jakość wody może być odpowiedzialna za białaczkę Robbiego. To pytanie ją zaskoczyło, chociaż przyznała, że woda w ich domu rzeczywiście ma kiepski smak. Mąż od początku na to narzekał, często przechowywał dużą butlę z wodą w lodówce, wydawało mu się bowiem, że schłodzenie przynajmniej częściowo pozbawia ją przykrego smaku i zapachu. Donna zwykle zabijała jej odór koncentratami owocowymi bądź mrożoną herbatą. Musieli oszczędzać, toteż zamiast mleka pasteryzowanego kupowała duże opakowania mleka w proszku. Rozrabiała je wodą z kra-

nu i dawała Robbie'emu do picia. Tylko wtedy, gdy woda miała szczególnie przykry zapach, gotowała ją przed sporządzeniem mleka. Nigdy jednak nie pomyślała, że to jakość wody może mieć cokolwiek wspólnego z chorobą syna.

Wreszcie spojrzała podejrzliwie na Younga i zapytała:

– Dowiedział się ojciec czegoś pewnego?

Wielebny wzruszył ramionami i odparł:

– Nie, pytałem z czystej ciekawości.

W kościele Donna wielokrotnie widywała Anne i Charlesa Andersonów oraz trójkę ich dzieci. Słyszała, że mały Jimmy ma białaczkę. Jednak w ciągu trzech lat od jej wykrycia nie zamieniła ani słowa z Anne, głównie dlatego, że nie bardzo wiedziała, co mogłaby jej powiedzieć. Nie najlepiej jej szło nawiązywanie kontaktów z ludźmi, wечно się bała, że zostanie uznana za wścibską. Z czasem zyskała też przekonanie, iż najkorzystniejszy moment do zawarcia znajomości z Andersonami dawno już minął.

To Anne któregoś niedzielnego przedpołudnia, jakiś miesiąc po wykryciu białaczki u Robbiego, nawiązała rozmowę z Donną. Powiedziała, że świetnie rozumie, przez co ona teraz przechodzi. Jej syn, Jimmy, nie tak dawno również otarł się o śmierć. Na koniec zaproponowała, że gdyby Donna kiedykolwiek zapagnęła się przed kimś wyzalić, ona zawsze jest do dyspozycji.

I wtedy, na stopniach kościoła, Robbins po prostu się rozplakała.

– Chciałabym się dowiedzieć, jak pani to zniosła – odparła przez łzy.

Od tej pory Donna i Anne często dzwoniły do siebie, rozmawiały o rodzajach kuracji, typach i dawkach leków, naświetlaniach, efektach ubocznych, wynikach analizy krwi czy lekarzach. Kiedy Robbie także stracił wszystkie włosy, Donna zabrała go do Bostonu, do sklepu z perukami zarekomendowanego w szpitalu. Jemu również po naświetlaniach ciągle dokuczały nudności i właśnie wtedy w sklepie zaczął wymiotować. Sprzedawca wpadł we wściekłość. W efekcie owa wyprawa, mająca służyć dobru dziecka, zakończyła się jego poniżeniem. Po powrocie do domu Donna zadzwoniła do Anne. Najczęściej nawet nie musiała mówić, co w takich chwilach odczuwa. Anderson rozumiała ją bez słów.

W lutym, gdy kuracja Robbie'ego przybrała pomyślny obrót, lekarze z New England Medical Center zajęli się jego lewą nogą. Badanie neurologiczne wykazało, że podczas operacji przeprowadzonej w Woburn uległ uszkodzeniu nerw kulszowy. To było powodem częściowego paraliżu mięśni stopy, co objawiało się powłóceniem nogą. W rezultacie mięśnie uległy tak daleko posuniętej atrofii, że lewa noga chłopca była już o trzy centymetry krótsza od prawej. Specjalista oświadczył matce, że uszkodzenie nerwu jest nieodwracalne. W celu zapobieżenia dalszemu kurczeniu się mięśni i ścięgien zalecił Donnie, aby na noc usztywniała synowi nogę w łupkach. W ciągu dnia natomiast chłopiec musiał chodzić w specjalnej szynie i robionym na miarę bucie o grubszej podeszwie, mającym zniwelować

różnicę długości nóg. Tego rodzaju buty okazały się bardzo drogie, a towarzystwo ubezpieczeń zdrowotnych odmówiło pokrycia kosztów, gdyż z formalnego punktu widzenia nie chodziło o wydatek na leczenie. Donna zaczęła jeszcze bardziej oszczędzać, byle tylko zapewnić synowi niezbędne rzeczy. Zaliczyła do nich także mały przenośny telewizor do sali szpitalnej czy obiady w restauracji podczas cotygodniowych podróży do Bostonu na badania kontrolne.

W trakcie jednej z takich wizyt ortopeda oglądający nogę Robbiego z niedowierzaniem pokręcił głową i mruknął:

- Coś takiego nie powinno się nigdy wydarzyć.
- Jak mam to rozumieć? – spytała Donna.

Lekarz odparł, że jego zdaniem chłopiec w ogóle nie chorował na reumatyzm i nie było żadnej potrzeby przeprowadzania operacji. A nawet jeżeli wystąpiło zapalenie torebki stawu biodrowego, to wystarczył prosty zabieg, na pewno nie taki, podczas którego mógłby zostać uszkodzony nerw kulszowy.

– Na pani miejscu zastanowiłbym się, czy nie pozwać do sądu odpowiadającego za to lekarza.

Im więcej Donna rozmyślała o źle wykonanej operacji, tym większa ogarniała ją wściekłość. Wreszcie zadzwoniła do jedynego znanego sobie adwokata z Woburn, który przeprowadził jej rozwód. Uważała, że dobrze się spisał i nie policzył zbyt dużo za swoje usługi. Miał skromne biuro przy Main Street, niedaleko kościoła Świętej Trójcy. Powiedział jej jednak, że nie zajmuje się sprawami błędów w sztuce lekarskiej, ale jego kolega z bostońskiej firmy Reed & Mulligan specjalizuje się w tym zakresie.

Tydzień później Donna pojechała z synkiem na spotkanie z Josephem Mulliganem. Nie potrafiła się do niego zwracać inaczej niż „panie Mulligan”, mimo że nalegał, by mówiła mu po imieniu. Był prawdziwym olbrzymem, miał prawie dwa metry wzrostu i ważył ponad sto kilogramów. Już po paru minutach rozmowy w gabinecie ukląkł na dywanie obok Robbiego i sprawił, że chłopiec zanosił się gromkim śmiechem. Donnie od razu przypadł do serca. Pod koniec spotkania oznajmił, że przypadek dziecka wydaje mu się obiecujący, ale przed podjęciem decyzji chciałby usłyszeć opinie kilku specjalistów. Kiedy zaś Donna nieśmiało spytała o honorarium, odparł:

- Proszę się o nic nie martwić, nie będzie pani musiała mi zapłacić ani centa.

Wyjaśnił następnie, iż z własnej kieszeni pokryje wszelkie wydatki do czasu uzyskania wyroku i według przyjętego zwyczaju naliczy sobie honorarium w zależności od wywalzonego odszkodowania. Dodał też, że zazwyczaj adwokaci biorą trzecią część sumy, lecz wzięwszy pod uwagę ciężką sytuację samotnej matki, on zgodzi się na dwadzieścia pięć procent odszkodowania.

Kilka tygodni później Mulligan zorganizował oględziny Robbiego przez dwóch lekarzy, ortopeda i neurologa. Donna wydzwaniała do niego coraz częściej. Zwykle zostawiała wiadomość na automatycznej sekretarce, a Mulligan oddzwaniał następnego dnia. Zapewniał, że nie zapomniał o jej sprawie, ale tego typu sprawy pochłaniają wiele czasu.

Minęły dwa lata. Kuracja Robbie’ego przebiegała pomyślnie. Donna zaopiekowała się biblioteką parafialną, bo choć była to praca społeczna, pozwalała jej

przynajmniej na krótko oderwać się od problemów rodzinnych. Zwykle zabierała ze sobą do kościoła obu synów. Robbie rozpoczął naukę w pierwszej klasie i od razu bardzo polubił szkołę. Mimo że wciąż wyraźnie utykał, dzięki pogodnemu usposobieniu szybko zjednał sobie przyjaciół. Zapisał się nawet do drużyny młodszych skautów. Także w szpitalu stał się ulubieńcem pielęgniarek i lekarzy. W opisach przebiegu wizyt kontrolnych często pojawiały się słowa „urzekający” i „radosny”. Od ciągłego przyjmowania leków bardzo często cierpiał na bóle głowy i nudności, lecz ilekroć doktor pytał go o ból brzucha, Robbie odpowiadał:

– Mój żołądek czuje się pięknie!

Pierwszy nawrót choroby wystąpił u niego w roku 1979, trzy lata po wykryciu białaczki. Lekarze usiłowali zahamować rozwój choroby, stosując nieco odmienną terapię, lecz nie przyniosła ona rezultatów. Stan chłopca błyskawicznie się pogarszał. Ponownie zmieniono rodzaj kuracji i dopiero wtedy, po dwóch miesiącach, uzyskano pozytywne efekty.

Przez cały następny rok Robbie przyjmował zwiększone dawki leków. Kiedy skończył dziewięć lat, podczas jednego z badań kontrolnych w klinice hematologii wykryto trzeci i ostatni nawrót choroby. Lekarze nie dawali chłopcu żadnych szans na przeżycie, ale Donna ani przez chwilę nie mogła się pogodzić z jego nieuchronną śmiercią.

Wielebny Young spędzał długie godziny u boku matki i dziecka w szpitalu.

– Bruce starał mi się przybliżyć Boga – opowiadała później Donna. – Nie mogłam uwierzyć, aby Bóg był aż tak okrutny i zesłał na Robbie’ego tyle cierpień. Bruce powtarzał mi jednak, że jest takie miejsce, gdzie kiedyś wszyscy się spotkamy, szczęśliwi, bezpieczni i wolni od bólu. Kiedy Robbie był mniejszy i zabierałam go do supermarketu, zawsze mu tłumaczyłam, że gdybyśmy się zgubili, ma na mnie czekać w lewym tylnym rogu sali sklepowej. I wtedy, w szpitalu, powiedział mi kiedyś: „Mamo, będę na ciebie czekał w lewym tylnym rogu nieba”.

Robbie zdawał sobie sprawę, że umiera. Gdy po raz dwudziesty szósty i ostatni przyjęto go do New England Medical Center, zdecydowano się zastosować szczególnie intensywne leczenie, mające na celu zahamowanie degeneracji białych krwinek i przyniesienie chłopcu ulgi w cierpieniach. Robbie skarżył się głównie na nieznośny ból w kościach, objaw bardzo częsty u dzieci chorych na białaczkę. Jednakże żadne leki nie mogły mu już pomóc, gdyż rakowe komórki w szpiku kostnym mnożyły się w zatrważającym tempie. Choroba osiągnęła końcowe, wyniszczające stadium. Tylko morfina łagodziła ból, choć w ostatnich dniach nawet narkotyki nie skutkowały. Któregoś dnia powiedział matce, że wolałby już umrzeć i dłużej się nie męczyć.

Przez trzy tygodnie Donna nie wychodziła ze szpitala, sypiała na składanym łóżku w pokoju syna. Odwiedzał ją nie tylko wielebny Young, lecz także matka i siostry. Tymczasem Robbie coraz częściej majaczył. Matka uspokajała go, głaszcząc po głowie i szepcząc czule. W najtrudniejszym okresie siedziała przy nim bez przerwy przez trzydzieści sześć godzin, dopóki zmęczenie nie zważyło jej

z nóg. Spała na leżance, kiedy zmarł o ósmej rano. Nie mogła sobie darować, że nie było jej przy nim w chwili śmierci. Miała nadzieję, że Robbie przeżyje choćby jeszcze jeden dzień.

Rok po pogrzebie Robbie'ego, pewnego upalnego popołudnia pod koniec czerwca, Donna stała w długiej kolejce do punktu przyjęć reklamacji w supermarkecie DeMoulas, trzymając w koszyku dwulitrowe opakowanie kupionego rano mleka, które skwaśniało zaraz po otwarciu. Przed nią stał trzydziestoparoletni blondyn, sprawiający wrażenie skrajnie przemęczonego. Był bardzo blady, oczy miał podkrążone i ciężko przestępował z nogi na nogę. W koszyku także miał karton mleka. Obejrzał się i dostrzegłszy towar reklamowany przez Donnę, zapytał z bolesnym uśmiechem:

– Skwaśniało?

Przytaknęła ruchem głowy. Domyśliła się, że mężczyzna szuka bratniej duszy.

– To ostatnia rzecz, jakiej mi teraz potrzeba – wyznał. – Właśnie przesiedziałem z synem tydzień w szpitalu.

– Strasznie mi przykro – odparła Donna. – Na co choruje?

– Ma białaczkę.

Wywiązała się półgodzinna rozmowa. Mężczyzna nazywał się Richard Aufiero i jeździł wielką ciężarówką w firmie przeprowadzkowej Mayflower, lecz tego lata niewiele zarobił z powodu ciężkiej choroby dwuletniego synka, Jarroda. Wraz z żoną, Lauren, wynajmował skromne mieszkanie we wschodnim Woburn, przy Carmen Terrace, wąskiej ślepej uliczce odchodzącej od Pine Street. Donna opowiedziała mu o chorobie i śmierci Robbiego, a także o Anne Anderson, mieszkającej zaledwie kilkaset metrów od Carmen Terrace. Na pożegnanie rzuciła:

– Proszę do mnie zadzwonić, gdyby chciał pan z kimś porozmawiać.

Trzy miesiące później, we wrześniu, dowiedziała się o śmierci małego Jarroda. W niedzielę po południu Lauren Aufiero zadzwoniła do szpitala dziecięcego w Bostonie, gdzie mały był leczony na białaczkę, z wiadomością, że martwi ją stan dziecka, które jest ospałe i na nic nie ma ochoty.

– Czy chłopiec ma gorączkę? – spytała dyżurująca pielęgniarka.

– Nie.

– A więc to nie może być nic poważnego. Proszę go przywieźć do szpitala w poniedziałek rano.

Tymczasem następnego ranka Jarrod oddychał bardzo płytko i matka z ledwością zdołała go obudzić. Zaalarmowała męża, ten wyprowadził samochód i ruszyli autostradą numer 93 w kierunku Bostonu. Na wysokości Sommerville Lauren, która trzymała synka na kolanach, zawołała:

– Och, mój Boże! Chyba całkiem przestał oddychać!

Richard szybko zjechał na pobocze, zatrzymał wóz i przez kilka minut metoda usta-usta robił synkowi sztuczne oddychanie. Gdy nie przyniosło to rezultatu,

wskoczył z powrotem za kierownicę i pognał do miasta, gdzie znajdował się jedyny posterunek straży pożarnej. Strażacy na nowo podjęli akcję reanimacyjną. Wciąż prowadzili sztuczne oddychanie, kiedy przyjechała karetka z Massachusetts General, najbliższego bostońskiego szpitala. Lekarz nie mógł jednak już nic poradzić, stwierdził zgon Jarreda.

5

Wiosną 1979 roku policja w Woburn otrzymała zadanie zabezpieczenia stu osiemdziesięciu czterech beczek z nieznanymi odpadami przemysłowymi, które znaleziono na bezpańskiej działce w północno-wschodniej części miasta. Osoba odpowiedzialna za ich porzucenie, tak zwany nocny śmieciarz, nigdy nie została schwytana, a beczki ostatecznie przewieziono na wysypisko, gdyż stanowiły potencjalne zagrożenie.

Epizod przeszedłby zapewne bez echa, gdyby nie zainteresowanie inspektora stanowego wydziału ochrony środowiska, któremu zlecono nadzór nad tą sprawą. Skojarzył on, że nie dalej niż osiemset metrów na południe od tej działki znajdują się kwestionowane studnie G i H, zarządził więc szczegółową analizę wody czerpanej z obu ujęć.

Wyniki tych analiz znalazły się na biurku Geralda McCalla, szefa inspektoratu regionu północno-wschodniego w stanowym departamencie ochrony środowiska, we wtorek po południu, 22 maja. Zaledwie rzucił na nie okiem, błyskawicznie sięgnął po słuchawkę i wybrał numer głównego inżyniera magistratu w Woburn. Poleciał mu natychmiast zamknąć obie studnie, wyjaśniwszy, iż woda z tych ujęć jest „silnie zanieczyszczona” trichloroetylenem, powszechnie znanym pod nazwą tri, stosowanym w przemyśle jako rozpuszczalnik tłuszczów i olejów. Analiza wykazała obecność dwustu sześćdziesięciu siedmiu mikrogramów tri w litrze wody ze studni G oraz stu osiemdziesięciu trzech mikrogramów w litrze wody ze studni H. W próbkach stwierdzono ponadto niższe stężenia czterech innych substancji toksycznych – a wśród nich tetrachloroetylen, także stosowanego w przemyśle rozpuszczalnika – umieszczonych przez Agencję Ochrony Środowiska na liście związków „o prawdopodobnym działaniu nowotworowym”.

McCall pojechał do Woburn, by na własne oczy zobaczyć porzucone beczki. Szybko potwierdził też opinię inspektora, że jest bardzo mało prawdopodobne, by to ich zawartość mogła zanieczyścić wody podziemne. Niedługo potem zyskał co do tego niezbita pewność. Substancję w beczkach zidentyfikowano jako starą, nieutwardzoną i nienadającą się do wykorzystania żywicę poliuretanową, która w ogóle nie zawierała substancji odkrytych w wodzie. McCall postanowił nadal szukać źródła toksycznych związków. W liście do burmistrza napisał: „Nasz departament będzie dalej wspierał dochodzenie mające na celu ujawnienie przyczyny zatrucia rzeczonych ujęć wody”.

Dwa dni po zamknięciu studni G i H doniósł o tym fakcie „Woburn Daily Times”.

Tak się złożyło, że Anne Anderson nie mogła się zapoznać z tą notatką, przebywała bowiem wówczas z rodziną na wakacjach w New Hampshire. Bruce Young

także jej nie czytał, ponieważ w ramach oszczędności zrezygnował z prenumery miejscowej prasy.

Zresztą gdyby nawet któreś z nich trafiło na ten numer gazety, zapewne nie zwróciłoby nawet uwagi na lakoniczne doniesienie. Reporter działu miejskiego napisał jedynie, iż obecność bliżej nieokreślonych „substancji zanieczyszczających” w wodzie stała się powodem zamknięcia „od dawna będących przedmiotem sporów studni G i H”. Bardziej koncentrował się na tym, że rada miejska będzie teraz musiała „szukać innych źródeł” wody pitnej, i cytował kolejny apel burmistrza o ograniczenie podlewania trawników i częstotliwości mycia samochodów.

Ostatni akapit notatki zapewniał mieszkańców, że picie wody wodociągowej jest całkowicie bezpieczne. „Woburn Daily Times” przytaczał opinię głównego inżyniera magistratu: „Woda dostarczana do domów nadaje się do spożycia i zupełnie nie ma się czego obawiać. Ujęcia, z których pochodziła woda zanieczyszczona, zostały zamknięte we wtorek po południu i nie będą wykorzystywane do czasu wyjaśnienia sprawy”.

Główny inżynier Thomas Mernin mieszkał przy Wood Street, a więc także we wschodniej części miasta, około czterystu metrów od studni G i H. W minionych latach często musiał wysłuchiwać narzekania sąsiadów na bardzo złą jakość wody. Skarzyła się nawet jego żona, która wpadała w złość, ilekroć wyjmowała z pralki poplamione, pokryte rdzawymi smugami ubrania.

– Rzeczywiście wodę czuć było chlorem – zeznał Mernin później przed sądem. – Mnie jednak ta woń nigdy nie wydawała się odrażająca.

Obok inżyniera przy Wood Street mieszkali Richard i Mary Toomeyowie, których troje dzieci często bawiło się razem z dziećmi Merninów. Richard pracował w walcowni i był olbrzymem o pogodnym usposobieniu, niemal bez reszty oddanym swojej rodzinie. Wychowywał się w środowisku bostońskich katolików, w dzielnicy Charlestown, nie przykładając jednak zbytnej wagi do znaczenia religii w życiu, dopóki jego pierwszy syn, Michael, nie zginął potrącony przez ciężarówkę, gdy zrywał dla matki polne kwiaty na poboczu drogi. Drugi syn, Patrick, został później ministrantem.

Wielokrotnie w rozmowach z sąsiadem Richard poruszał kwestię złej jakości wody, gdyż był przekonany, że to z jej powodu tak silnie korodują wszystkie domowe instalacje. Twierdził, że naprawom nigdy nie było końca. Mernin jednak nie przejmował się zaudowaniem jego skargami.

– Wykonujemy na bieżąco wszelkie niezbędne analizy – powtarzał. – Ta woda naprawdę nadaje się do picia.

Cała trójka dzieci Toomeyów cierpiała z powodu wykwitu skórnych. Mary nieraz jeździła z nimi do dermatologa i wiedziała już, że ogólnie egzemy dzieli się na dwa typy: wywoływane przez obce substancje podrażniające, takie jak sok sumaka jadowitego, wydzieliny pasożytów czy niektóre chemikalia oraz powodowane przez uczulenie organizmu na pewne rodzaje pokarmów bądź reakcje ner-

wowe, czyli powstające bez udziału czynników zewnętrznych. Lekarz początkowo przepisywał dzieciom różne łagodzące płyny, lecz gdy te nie poskutkowały, zarządził wykonanie testów alergicznych i poprosił Mary, by wyeliminowała z diety produkty mleczne oraz jajka. Tymczasem wykwity na skórze dzieci to przygasały, to pojawiały się na nowo, ale nigdy nie zniknęły do końca. W końcu Mary zaczęła podejrzewać, że skoro woda jest tak silnie korozyjna i stale niszczy rury, może i ona powoduje objawy alergiczne.

W czerwcu 1979 roku, miesiąc po zamknięciu studni G i H, Patrick Toomey zachorował. Zaczął narzekać na bóle uszu i ogólne przemęczenie. Ciągnęło się to przez całe lato. W sierpniu analiza krwi wykazała u niego znacznie podwyższoną liczbę białych ciałek. Pediatra, podejrzewając białaczkę, skierował chłopca pod opiekę doktora Trumana w szpitalu Massachusetts General.

Truman pobrał próbkę szpiku kostnego, a wyniki analizy potwierdziły wstępną diagnozę. U dziesięcioletniego Patricka stwierdzono chroniczną białaczkę mielogeniczną, odmianę o szczególnie wysokiej śmiertelności. Nie dawano mu większych szans na wyzdrowienie, ponieważ choroba prowadziła do skrajnego wyniszczenia organizmu. Podczas rozmowy Truman zapytał Richarda i Mary Toomeyów, czy nie znają w swoim sąsiedztwie innej rodziny, w której wystąpiła białaczka. Żadne z rodziców nie słyszało jednak o podobnym przypadku.

6

Carol Gray zadzwoniła do Anne Anderson po południu 10 września 1979 roku.

– Zajrzyj do gazety – rzuciła krótko.

Anne wyszła na ganek i podniosła z trawnika egzemplarz „Woburn Daily Times”. Na pierwszej kolumnie widniał ogromny, ciągnący się przez pięć szpalt tytuł: POKŁADY ARSZENIKU ODNALEZIONO W PÓŁNOCNEJ CZĘŚCI MIASTA. Był piękny, ciepły i słoneczny dzień, lecz Anne w jednej chwili zapomniała o całym bożym świecie. Czytała artykuł niczym w transie.

– Miałam wrażenie, że czas stanął w miejscu – wspominała po latach.

Młody reporter, Charles Ryan, opisywał dokonane w lipcu odkrycie na wpół przysypanej ziemią hałdy odpadów przemysłowych, zajmującej niemal pół hektara powierzchni i głębokiej na półtora metra. Ich analiza wykazała bardzo wysoką zawartość arsenu, ołowiu i chromu, jak również ślady innych metali ciężkich. Hałdę odkryła brygada budowlana, która porządkowała teren byłej kompanii chemicznej Merrimack, produkującej arsenopochodne insektycydy oraz garbniki. W trakcie prac ziemnych natrafiono także na kilka głębokich dołów zapełnionych gnijącymi szczątkami zwierząt, skórami i odpadami z rzeźni, pozostałościami kwitnącego niegdyś w Woburn przemysłu garbarskiego. W artykule znalazło się zdanie: „Związki arsenu w niewielkich dawkach mają prawdopodobnie działanie rakotwórcze”. Do kancerogenów zaliczano także związki

chromu, których drobiny we wdychanym powietrzu wywoływały podrażnienia górnych dróg oddechowych i raka płuc. Nie zostało jeszcze potwierdzone, pisał reporter, czy metale ciężkie z hałdy odpadów zanieczyściły wodę czerpaną z odległych o półtora kilometra na południe ujęć G i H. Zaznaczył jednak, że obie studnie, z których do sieci miejskiej w ciągu piętnastu lat użytkowania popłynęły miliony litrów wody, zostały zamknięte z powodu „zanieczyszczenia trichloroetylenem, przemysłowym rozpuszczalnikiem o działaniu kancerogennym”.

Kiedy wielebny Young dowiedział się o artykule, natychmiast wybiegł z domu, aby kupić gazetę.

– Oto nagle, z dnia na dzień, wszystko, o czym Anne mówiła od tak dawna, stało się całkowicie uzasadnione – wspominał później.

Tego wieczoru zdecydował, że nadeszła pora, by przystąpić do działania. Naturalnie w pierwszej kolejności, rozumował, trzeba ustalić, ile przypadków białaczki ujawniono w Woburn w ciągu tych piętnastu lat. Raz już próbował dotrzeć do tej informacji, lecz nie znalazł jej ani w urzędzie miejskim, ani w instytucjach stanowych. Anne mówiła o ośmiu przypadkach, o których wiedziała. Z pewnością nie była to szczególnie zatrważająca liczba, wziąwszy pod uwagę wielkość Woburn. Pastor pomyślał jednak, że część przypadków nie musi być dotąd powszechnie znana.

Następnego dnia zadzwonił do Anne i powiedział, że obmyślił plan postępowania. Chciał dać ogłoszenie w „Daily Times” i poprosić rodziców, których dzieci zapadły na białaczkę w ciągu ostatnich piętnastu lat, o zgłoszenie się do kościoła Świętej Trójcy. Zastrzegł jednak, że być może wystąpiło tylko tych osiem przypadków, o których już wiedzieli, toteż nikt inny nie odpowie na ogłoszenie. Warto jednak spróbować, orzekł, a Anne przyznała mu rację.

Wyznaczonego wieczoru, trzy tygodnie później, Young otworzył szeroko drzwi przykościelnej sali katechetycznej, gdzie na wyłożonej linoleum podłodze stało już przygotowanych kilkanaście składanych krzeseł. Donna Robbins przyszła wcześniej, żeby pomóc w zorganizowaniu zebrania. Pastor serdecznie powitał przybyłych, niektórych już znał z odwiedzin w szpitalach. Do wpół do ósmej zjawili się łącznie około trzydziestu osób, w większości małżeństw. Young przedstawił się i pokrótce wyjaśnił przyczynę tego spotkania.

– Chcemy się przekonać, czy zapadalność na białaczkę w Woburn jest szerszym problemem czy też nie – oznajmił.

Następnie rozdał formularze, które wcześniej przygotował przy pomocy zaprzyjaźnionej pielęgniarki ze szpitala Massachusetts General. Poprosił o ich wypełnienie i zwrot w możliwie najkrótszym czasie.

Kiedy pod koniec zebrania ludzie zaczęli go zasypywać pytaniami, stało się jasne, iż żywią wiele podejrzeń i obaw. Większość mówiła o przebiegu choroby, nie wszyscy jednak byli rodzicami dzieci chorych na białaczkę. Kilka osób miało w rodzinie chorych na różnego typu nowotwory, jedna kobieta przyszła nawet

w sprawie swojego kota cierpiącego na białaczkę, a część ludzi przygnało zwykle zainteresowanie sprawami lokalnej społeczności. Zapanowała dość swobodna, przyjacielska atmosfera. Prawie wszyscy chcieli zabrać głos w dyskusji. Tylko Anne trzymała się na uboczu. Przez całe spotkanie siedziała pod ścianą, u boku męża. Już wcześniej zapowiedziała pastorowi, że na razie nie chce ujawniać swej roli w tej sprawie, on zaś postanowił zadośćuczynić jej życzeniu. Anne nie tylko nie lubiła występować na forum publicznym, przede wszystkim się obawiała, że ludzie mogą wyśmiać jej niepotwierdzoną teorię.

– Nie chciałam wtedy jeszcze ujawniać swojego zdania – wyznała kilka lat później w trakcie przesłuchania przed sądem – głównie dlatego, że podejrzewano mnie o paranoję. A byłam tylko zwykłą gospodynią domową, bez żadnego specjalistycznego wykształcenia.

Wielebny Young niecierpliwie czekał na zwrot wypełnionych formularzy. Kilka tygodni po zebraniu spotkał się z Anne w zakrystii. W sumie napłynęło dwanaście zgłoszeń o dzieciach chorych na białaczkę. Pastor nadal uważał, że nie jest to szczególnie zastanawiająca liczba jak na piętnaście lat, zachował jednak tę obserwację dla siebie. Rozpostarł na stole plan miasta. Anne zaczęła odczytywać z formularzy kolejne adresy, a on zaznaczał miejsca na planie. Z dwunastu przypadków choroby osiem wystąpiło we wschodnim Woburn, a spośród nich aż sześć na osiedlu Pine Street, gdzie łącznie mieszkało około dwustu rodzin. Dopiero takie zestawienie zaczęło budzić poważne obawy. Young oświadczył Anne, że naza jutrz rano zadzwoni do doktora Trumana, umówi się z nim na spotkanie i pokaże plan miasta z zaznaczoną lokalizacją zachorowań. Poprosił także, by pojechała do Bostonu razem z nim, ona jednak odmówiła.

Kiedy po kilku dniach pastor zjawił się w szpitalu, zastał Trumana przy śniadaniu. Doktor zaproponował nawet, że podzieli się z nim swoimi kanapkami, lecz Young podziękował uprzejmie. Zaczął od omówienia zebrania z 4 października. Truman słuchał w skupieniu. Wreszcie pastor rozłożył na biurku plan miasta.

– To jest wschodnia część Woburn – objaśniał, wodząc palcem po mapie. – Tu mieszka Anne Anderson, tutaj państwo Zona, po sąsiedzku Naglesowie. Tu jest dom Kane’ów, tutaj Toomeyów, a tu Carlsonów. Tu mieszka Donna Robbins, tu Barbasowie, Ryanowie, Veno...

Truman odłożył nagle kanapkę i jak urzeczony zapatrzył się na plan.

– To bardzo interesujące – mruknął w zamyśleniu, jakby sam do siebie.

– Ujawniliśmy w sumie dwanaście przypadków – ciągnął Young. – Być może jest ich jeszcze więcej. Problem polega tylko na tym, że nie potrafię ocenić, czy dwanaście zachorowań w ciągu piętnastu lat stanowi powód do szczególniego zaniepokojenia.

– Na pewno niepokojące jest to, że układają się na tak niewielkim obszarze – odparł Truman.

Wyjaśnił pastorowi, że ma kolegę, który pracuje w Centrum Badań Epidemiologicznych w Alabamie i zajmował się podobnymi wypadkami licznych zachorowań na białaczkę, występującymi w bliskim sąsiedztwie.

– Chyba powinienem do niego zadzwonić – rzekł, sięgając po słuchawkę.

Doktor Clark Heath, z którym skontaktował się John Truman, rzeczywiście uchodził za specjalistę od wykrywania ognisk zachorowań na białaczkę, mimo iż sam stronił od tego rodzaju określeń, uważał bowiem, że nie istnieją jednoznacznie określone przyczyny, pozwalające na ustalenie takich ognisk.

Po raz pierwszy zetknął się z podobnym zjawiskiem w 1961 roku, jeszcze przed ukończeniem dwuletniego stażu w Centrum Badań Epidemiologicznych. Został oddelegowany do Niles w stanie Illinois, miasta położonego na obrzeżach Chicago, skąd pewien pediatra doniósł o czterech śmiertelnych przypadkach białaczki wśród młodych dziewcząt w ciągu zaledwie trzech miesięcy. Na miejscu Heath zaczął pracę od przejrzenia aktów zgonu z ostatniego okresu i natknął się na cztery dalsze przypadki, trzech dziewcząt i jednego chłopca. Odkrył ze zdumieniem, iż osiem ofiar tej choroby mieszkało w jednej parafii, na obszarze niewiele większym niż trzy kilometry kwadratowe. Siedmioro dzieci uczęszczało do tej samej przykościelnej szkoły parafialnej, natomiast ósma, dziesięcioletnia dziewczynka, mieszkała z rodzicami niespełna sto metrów od szkoły. Dalsze poszukiwania ujawniły jeszcze trzy przypadki białaczki wśród dorosłych z tej samej parafii. Dwie spośród tych osób posyłały swoje dzieci do wspomnianej szkoły. A wszystkie zachorowania wystąpiły w ciągu trzech ostatnich lat.

Młody jeszcze wówczas Heath zyskał nadzieję, że znajdzie przyczynę ostrej białaczki u dzieci. Wraz z kolegą z Uniwersytetu Chicagowskiego dokładnie zbadali wszystkie przypadki, przejrzeni karty chorobowe, przeanalizowali próbki szpiku kostnego i krwi, zlecając nawet analizy krwi członków rodzin, skontrolowali wreszcie poziom szczątkowego promieniowania wokół domów ofiar i w pobliżu kościoła oraz szkoły parafialnej. Nie wykryli dziedzicznych skłonności do białaczki, toteż Heath zdobył pewność, że chorobę musi wywoływać jakiś czynnik zewnętrzny, może nawet wirus. W tamtych czasach znano już wirusy powodujące białaczkę u myszy i ptaków, stąd też uzasadnione było podejrzenie, że analogiczny wirus może ją wywoływać u ludzi. Co więcej, badane przypadki białaczki występowały głównie u dzieci poniżej szóstego roku życia, a więc w okresie, kiedy były one najbardziej narażone na wszelkiego rodzaju infekcje. Równocześnie Heath odkrył znaczną liczbę „dolegliwości o podłożu reumatycznym” u innych dzieci, będących w podobnym wieku i mieszkających w tej samej okolicy, co tym bardziej kazało mu wierzyć w istnienie „jakiegoś nieznanego dotąd procesu infekcyjnego”. Jednakże nie dało się w sposób jednoznaczny powiązać ich z zachorowaniami na białaczkę. Badania nie przynosiły rezultatu, po roku prac Heath był nadal w tym samym punkcie co po przyjeździe do Niles. Niemniej wtedy ani trochę nie wątpił, że ma do czynienia z zagadkowym ogniskiem występowania białaczki. W artykule opublikowanym w 1963 roku w „American Journal of Medicine” napisał: „Ewidentne ognisko ośmiu przypadków białaczki wśród dzieci z Niles nie da się zakwalifikować

jako statystyczny efekt występowania tej choroby. Opisane zachorowania z pewnością należy uznać za wynik mikroepidemii”.

W ciągu następnych lat ujawniono inne podobne ogniska białaczki. Heath odwiedził miasteczko Orange w Teksasie, gdzie zanotowano trzy przypadki w ciągu dziewięciu miesięcy. Także w Douglas w Georgii napłynęły informacje o „siedlisku białaczki”; w okresie dziesięciu lat zapadły tam na tę chorobę trzy osoby. W Rutherford w stanie New Jersey odnotowano sześć zachorowań wśród dzieci, z których cztery uczęszczały do tej samej szkoły podstawowej. Z Almond w stanie New York, miasteczka liczącego dwa tysiące mieszkańców, napłynął raport o czterech przypadkach białaczki ujawnionych w ciągu niespełna roku. I wszędzie tam, podobnie jak w Niles, specjaliści nie znaleźli żadnego wspólnego elementu, nie natrafili nawet na ślad czynnika chorobotwórczego.

Od szczegółowych badań w Niles minęło dwadzieścia lat. Wiedza zdobyta w tym czasie przez Heatha wzbudziła w nim poważne wątpliwości co do istnienia ognisk białaczki. „Wyniki badań, jakkolwiek niepokojące, wciąż nie upoważniają do wyodrębnienia miejsc, w których zachorowalność na białaczkę wykracza ponad przeciętną”, napisał w roku 1982 w podręczniku zatytułowanym *Epidemiologia i profilaktyka chorób nowotworowych*. Wielu specjalistów zgadzało się z tą opinią. Jeden z lekarzy Centrum Badań Epidemiologicznych prace nad ogniskami białaczki porównał nawet do tak zwanego fenomenu teksaskiego strzelca wyborowego. Otóż jeśli zacznie się strzelać na osłep w ścianę stodoły, a dopiero później rysować wokół dziur po kulach koncentryczne kręgi tarczy, można się będzie pochwalić stuprocentową celnością. Gdyby więc ktoś poznaczał wszystkie miejsca występowania białaczki w obrębie bostońskiej metropolii, musiałby uznać ich rozkład za statystyczny, nie odbiegający od innych analogicznych rejonów w Stanach Zjednoczonych. Gdyby ograniczył się tylko do Woburn, odkryłby pewne niepokojące skupiska. A po rozpatrzeniu jedynie najbliższej okolicy osiedla Pine Street z pewnością uznałby istnienie siedliska choroby. Rodziło się więc zasadnicze pytanie: czy jest to rzeczywiście ognisko występowania białaczki, czy tylko efekt nierównomiernego przestrzennego rozkładu zachorowań w danej społeczności?

Mimo poważnych wątpliwości co do istnienia takich ognisk Heath nadal był przekonany, że „jest wielce prawdopodobne” występowanie jakiegoś wspólnego czynnika chorobotwórczego, powodującego białaczkę u dzieci. Jego zdaniem jednak musiał to być patogen o niewielkiej mocy oddziaływania, czyli taki, który występuje niemal wszędzie, lecz wywołuje chorobę tylko u pewnych, szczególnie na nią podatnych osób. Nie wierzył zatem, iż jakiegokolwiek badania epidemiologiczne mogą ujawnić przyczynę białaczki u dzieci. Dostępne metody analityczne były zbyt mało dokładne, a choroba zbyt rzadka na to, by dało się jednoznacznie powiązać ewentualne czynniki chorobotwórcze z efektami ich działania.

Kiedy jednak otrzymał wiadomość od Johna Trumana, postanowił zainteresować się bliżej opisanymi przez niego przypadkami. Obiecał wysłać do Bostonu specjalistę epidemiologa, który miałby w porozumieniu z Trumanem zebrać ze wszystkich tamtejszych szpitali informacje o wykrytych zachorowaniach na białaczkę.

Wielebny Young wyszedł z gabinetu doktora Trumana niemal całkowicie przekonany, że we wschodnim Woburn panuje epidemia białaczki. Wskazywało na to coraz więcej obserwacji. Charles Ryan – reporter „Daily Times”, który doniósł o odkrywaniu hałdy groźnych odpadów przemysłowych – opublikował właśnie artykuł dotyczący umieralności na choroby nowotworowe, oparty na danych stanowego departamentu zdrowia. Otóż w Woburn w ciągu pięcioletniego okresu z połowy lat siedemdziesiątych liczba zgonów spowodowanych nowotworami wzrosła o siedemnaście procent, przy czym szczególnie alarmujący był wzrost liczby zachorowań na białaczkę oraz na różne nowotwory nerek. Ryan napisał: „Mimo zwiększającej się stale zachorowalności na raka w Woburn wciąż trudno jest określić, jaką rolę w tym zakresie odgrywają toksyczne odpady, które odnaleziono ostatnio w północnej części miasta”.

Po przeczytaniu artykułu pastor natychmiast zadzwonił do redakcji „Daily Times” i powiedział Charlesowi Ryanowi o odkrytym przez Anne Anderson ognisku zachorowań na białaczkę. Kolejny artykuł reportera ukazał się 12 grudnia 1979 roku na pierwszej stronie gazety i nosił tytuł: CO WYWOŁUJE BIAŁACZKĘ U DZIECI?

Burmistrz, niezadowolony już z wrzawy, jaka powstała wokół skażonych arsenem odpadów, jeszcze bardziej sprzeciwił się działaniom pastora.

– Każdy obywatel nieposiadający odpowiedniego autorytetu, który stara się rozpowszechniać opinię o jakichkolwiek zagrożeniach dla warunków zdrowotnych w naszym mieście, nie mając na potwierdzenie swojej tezy wystarczających dowodów, postępuje całkowicie nieodpowiedzialnie – oznajmił na posiedzeniu rady miejskiej.

Do wielebnego Younga już wcześniej dotarły plotki, że w prywatnych rozmowach burmistrz wypowiada się ze złością o „panice” i „histerii” wywoływanej doniesieniami o zwiększonej śmiertelności na choroby nowotworowe. Członkowie komisji ekonomicznej ostrzegli publicznie, że takie akcje zaowocują jedynie znacznym obniżeniem wartości wszystkich posesji i przyczynią się do załamania gospodarki w mieście.

– Wstrzymane zostaną inwestycje, finansisci mogą nawet wycofać się z lokowania kapitałów na terenie naszego miasta – ostrzegał jeden z mówców podczas zebrania komisji. – Nowe tereny przemysłowe nie znajdują nabywców, załame się handel nieruchomościami.

Wiceprzewodniczący komisji, dostrzegając realną groźbę masowej ucieczki inwestorów, oświadczył:

– Postaramy się temu przeciwdziałać.

Jeszcze w grudniu dyrektor Centrum Badań Epidemiologicznych zażądał od władz miasta oficjalnej zgody na rozpoczęcie dochodzenia w sprawie ewentualnych przyczyn stwierdzonego ogniska białaczki. W Woburn zjawili się epidemiolodzy, których prace uzyskały wsparcie Departamentu Zdrowia stanu Massachusetts. Najpierw specjaliści z okręgowego inspektoratu sanitarnego mieli wypełniać szczegółowe ankiety dotyczące rozmaitych aspektów życia codziennego rodzin

dotkniętych dwunastoma ujawnionymi przypadkami białaczki u dzieci. Wywiad środowiskowy miał objąć także dwadzieścia cztery inne rodziny, wybrane losowo z grona odpowiadających wiekiem i statusem społecznym tamtym dwunastu, jako grupa kontrolna. Zdaniem ekspertów tego typu badania musiały potrwać co najmniej rok.

Tymczasem Young nabrał obaw, że władze miejskie będą chciały zafałszować czy wręcz ukryć rezultaty dochodzenia przed opinią społeczną. Dlatego w swoich niedzielnych kazaniach w kościele Świętej Trójcy coraz częściej nawiązywał do stanu skażenia środowiska naturalnego w Woburn i wysokiej zachorowalności na białaczkę. Wykorzystywał każdą sposobność do publicznej wypowiedzi i nigdy nie odmawiał prośbom dziennikarzy o udzielenie wywiadu. Reporterowi „New York Times” powiedział:

– Na początku chciałem udowodnić, że Anne się myli i przypadki chorób nowotworowych, a zwłaszcza białaczki, nie są w naszej parafii częstsze niż gdzie indziej. Okazało się jednak, że to ona miała rację.

Kiedy z biura senatora Edwarda Kennedy’ego nadeszło pismo zachęcające jego i Anne Anderson do złożenia zeznań przed Senacką Komisją Prac Publicznych i Środowiska Naturalnego, natychmiast przyjął zaproszenie. Natomiast Anne oświadczyła, że nie pojedzie do Waszyngtonu, bo musi się opiekować Jimmym.

– Powinnaś to zrobić właśnie dla Jimmy’ego – nalegał pastor.

W końcu Anne uległa. Zeznawała krótko, lecz jej słowa zostały zacytowane w nagłówku artykułu, jaki nazajutrz opublikował na pierwszej kolumnie „The Boston Globe”:

– Lękamy się o los naszych dzieci i wnuków. Wszyscy moi sąsiedzi żyją w ciągłym strachu.

8

Donna Robbins przyjęła w swoim mieszkaniu dwóch członków zespołu dochodzeniowego Centrum Badań Epidemiologicznych w czerwcu 1980 roku, a więc siedem miesięcy po rozmowie telefonicznej Johnna Trumanna z Clarkiem Heathem. Mężczyźni poprosili ją o przedstawienie historii wszystkich chorób w rodzinie. Pytali o częstotliwość wykonywanych prześwietleń, chcieli wiedzieć, ile razy zachodziła w ciążę i ile razy poroniła. Dopytywali się o rodzaj pracy jej i byłego męża, pochodzenie obojga, ich wyznania, przynależność do wspólnot religijnych i aktywność społeczną, nawyki i zainteresowania. Czy mieli państwo zwierzęta domowe? Czy uprawiali ogród? Czy pani bądź jej synowie często łowili ryby i pływali w jeziorach i rzekach w okolicy Woburn? Czy kiedykolwiek paliła pani papierosy? A może własnoręcznie odnawiała mieszkanie? Jak często farbowała pani włosy i używała lakieru w aerozolu? Jak często wyjeżdżała z Woburn?

Wypełnianie ankiety trwało około dwóch godzin. Donna starała się odpowiadać jak najpełniej, lecz dopiero gdy ankierzy wyszli, uzmysłowiła sobie, że w ogóle nie padło pytanie o jakość wody doprowadzanej do jej mieszkania.

Kilka tygodni później zadzwonił adwokat, który zajmował się kiedyś jej sprawą rozwodową, a po operacji Robbie'ego skontaktował Donnę z bostońską kancelarią Reeda i Mulligana. Powiedział, że uważnie śledzi przebieg dochodzenia na podstawie informacji prasowych, i zapytał, czy nie przyszło jej do głowy, żeby wystąpić do sądu, choćby przeciwko władzom miasta. Donna odparła z ociąganiem, że nie myślała o tym.

– No cóż – odrzekł adwokat. – Może warto byłoby zadzwonić do Joego Mulligana i zapytać go o zdanie w tej sprawie.

Nazajutrz Donna powiedziała o rozmowie pastorowi, temu zaś pomysł od razu się spodobał. Youngowi przede wszystkim zależało na wyjaśnieniu pewnych kwestii formalnoprawnych. Oświadczył więc Donnie, że z przyjemnością będzie jej towarzyszył podczas spotkania z Mulliganem, by móc dokładniej wyjaśnić warunki panujące w Woburn.

Robbins zadzwoniła do adwokata, który zainteresował się perspektywą takiej rozmowy, wietrząc możliwość wystąpienia do sądu. Mimo że dotąd sprawa ewentualnego odszkodowania za błędy w sztuce lekarskiej podczas operacji Robbiego pozostawała w zawieszeniu, Donna nie straciła zaufania do Mulligana. Zawsze odnosił się do niej ze szczególną uprzejmością, zapewniając przy każdej okazji, że sprawa jej syna z wolna posuwa się naprzód. A ona nie miała podstaw, aby mu nie wierzyć.

Tydzień później adwokat przyjechał do Woburn swoim białym cadillakiem. Donna powitała go przed bocznym wejściem do kościoła i poprowadziła korytarzem zawalonym plastikowymi workami pełnymi darów zebranych podczas niedawnej akcji dobroczynnej – stertami używanej odzieży, powyszczerbianej zastawy stołowej i podniszczonych zabawek. Skromny gabinet pastora okazał się niemal tak samo zagracony jak korytarz, potężnie zbudowany Mulligan omalże nie miał się w nim jak poruszać.

Wielebny Young rozpostarł na stole plan miasta z zaznaczonymi miejscami występowania białaczki, wyjaśniając, jakim sposobem wraz z Anne Anderson zebrali potrzebne informacje. Opowiedział też o swojej wizycie u doktora Trumana i szczegółowo skomentował dotychczasowe reakcje przedstawicieli władz miejskich.

– Szanse na to, że mamy do czynienia z nierównomiernym statystycznie rozkładem ujawnionych przypadków, a nie rzeczywistym ogniskiem chorobotwórczym, wynoszą jak jeden do stu – rzekł stanowczo.

Mulligan był pod wrażeniem. Dwanaście przypadków białaczki wśród dzieci, z których ośmioro mieszkało w promieniu kilkuset metrów, a sześcioro w najbliższym sąsiedztwie, oraz ewidentne skażenie wody rozprowadzanej w sieci miejskiej to z prawnego punktu widzenia, jak się wyraził adwokat, niemalże *res ipsa loquitur*, czyli fakt mówiący sam za siebie. Mimo to Mulligan natychmiast uwypuklił podstawowy problem: kto odpowiada za obecność trichloroetylenu w wodzie czerpanej ze studni? Wielebny Young odparł, że Agencja Ochrony Środowiska już rozpoczęła dochodzenie, a prowadzone badania powinny przynieść konkretną odpowiedź. Ostatecznie adwokat zaproponował, żeby zwołać zebranie

wszystkich rodzin dotkniętych białaczką. Pastor zgodził się je zorganizować i Mulligan wyjechał z Woburn z teczką pełną wycinków prasowych zbieranych przez Younga.

Anderson osobiście знаła większość osób, których dzieci chorowały, toteż pastor ją obarczył zadaniem zachęcenia ich do wzięcia udziału w spotkaniu z adwokatem. Anne poczuła się zażenowana, nie była bowiem pewna, jak ludzie zareagują na ten pomysł. Próbowała ułożyć sobie jakiś wstępny szkic wystąpienia, który następnie wielokrotnie poprawiała. Wreszcie wbiła sobie w pamięć zdanie: „Pomyśleliśmy, że byłoby dobrze porozmawiać z adwokatem i rozeznaczyć się w możliwościach obrony własnych interesów”.

Pewna kobieta, której syn zmarł niedawno, odparła z oburzeniem:

– Podobna myśl nigdy nawet nie przyszła mi do głowy!

Sam ton jej głosu zdawał się oskarżać Anne, że chce czerpać korzyści z tragicznego losu chorych na białaczkę. Kilkakrotnie – w tych wypadkach, gdzie kuracja dzieci przebiegała pomyślnie – Anderson spotkała się z uprzejmą odmową, przy czym odniosła wrażenie, iż rodzice żywią całkiem bezpodstawną obawę, że przez szukanie pomocy prawnej mogą jakimś tajemniczym sposobem wywołać nawrót choroby. Większość okazała jednak zainteresowanie.

Do spotkania z Mulliganem doszło w kościele pod koniec sierpnia. Adwokat pokrótce przedstawił siebie i swoją firmę, kładąc nacisk na rodzaj spraw, w jakich kancelaria się specjalizuje. Później już tylko słuchał dramatycznych relacji ludzi. Nadal pozostawało otwarte pytanie, kogo należy winić za skażenie wody w studniach G i H. Niemal wszyscy skłaniali się ku opinii, że odpowiedzialne są stare, nieczynne już garbarnie. Ktoś zaproponował od razu, by zaskarżyć władze miejskie czy nawet stanowe. W końcu magistrat zasypywano skargami dotyczącymi złej jakości wody w kranach, lecz nikt z rady miejskiej się tym nie zainteresował. Takiemu pomysłowi sprzeciwił się pewien właściciel sklepu w śródmieściu, którego córka zmarła przed dwoma laty. Obawiał się, że jego klienci bardzo niechętnie przyjmą wystąpienie do sądu, w wyniku którego władze miejskie mogą zostać zmuszone do znacznego zwiększenia podatków.

Ktoś zapytał Mulligana, ile trzeba będzie mu zapłacić za jego usługi. Adwokat wyjaśnił, że w grę wchodzi jedynie podpisanie standardowej umowy, według której jego honorarium miałyby wynieść trzecią część wywalczonego odszkodowania powiększoną o zwrot wszelkich kosztów związanych z przygotowaniem pozwu. Nikt nie byłby zobowiązany do płacenia mu choćby centa do czasu uzyskania korzystnego wyroku bądź ustalenia polubownej ugody ze stroną pozwaną.

Mulligan zrobił na ludziach dobre wrażenie, mówił z przekonaniem i pewnością siebie, uważnie wysłuchiwał wszelkich komentarzy i obserwacji. Nie czynił żadnych głośnych obietnic, z dumą jednak opowiadał o niektórych prowadzonych przez siebie sprawach. Cieszył się ustaloną reputacją.

Podczas następnego spotkania, we wrześniu, poprosił osoby zainteresowane wystąpieniem na drogę sądową o indywidualny kontakt i podpisanie stosownych

dokumentów. Zdecydowało się na to pięć rodzin: Andersonowie, Robbinsowie, Zona, Kane'owie oraz Toomeyowie. Jeszcze tej jesieni każda z nich zawarła oddzielny kontrakt, wybierając Mulligana na swego rzecznika.

9

Charles Anderson zyskał możliwość awansu, związanego jednak z przeprowadzką do Toronto. Oświadczył Anne, że zamierza przyjąć propozycję i zabrać ją oraz dzieci do Kanady. Odparła, że w tej sytuacji przeprowadzka mogłaby źle wpłynąć na stan zdrowia Jimmy'ego.

– Przecież Toronto nie leży na końcu świata – tłumaczył. – Tam również są dobrzy lekarze.

W lecie 1980 roku, po dziewiętnastu latach małżeństwa, Anne i Charles wystąpili o separację. Ona chciała pozostać z dziećmi w Woburn.

Jimmy miał wówczas jedenaście lat. Był drobny, ponad miarę szczupły i wciąż z niechęcią chodził do szkoły. Już od pięciu lat analizy nie wykazywały u niego groźnego wzrostu liczby białych krwinek. Anne nabierała przekonania, że z czasem jej syn całkowicie wyzdrowieje.

Ale już pod koniec lata doktor Truman stwierdził ze zdziwieniem spadek zawartości zarówno płytek, jak i leukocytów w jego krwi. Badanie szpiku kostnego wykazało obecność nie w pełni rozwiniętych białych ciałek ze zdegenerowanymi jądrami. Pojawiła się groźba nawrotu choroby. Dwie następne analizy szpiku kostnego nie dały jednoznacznych rezultatów. Wreszcie w listopadzie wyszło na jaw, że sumaryczna zawartość komórek w szpiku kostnym Jimmy'ego gwałtownie maleje, co prowadzi do choroby zwanej anemią aplastyczną. Nie wystąpił zatem nawrót białaczki, lecz poważne ograniczenie normalnych funkcji szpiku kostnego także musiało prowadzić do nieuchronnej śmierci.

Truman nigdy wcześniej nie zetknął się z podobnym przypadkiem, toteż był zaskoczony. Natychmiast przerwał podawanie leków przeciwbiałaczkowych i podjął próbę pobudzenia szpiku do wytwarzania większej liczby krwinek przez zastosowanie sterydów anabolicznych. Musiał jednak skorzystać z niewypróbowanego jeszcze do końca leku, oznaczanego skrótem ATG.

– Nie przyniosło to żadnych rezultatów – wspominał później podczas składania zeznań przed sądem. – Pacjent coraz częściej miewał krwotoki. Leukocyty, tworzące naturalny układ odpornościowy, zanikały w przerażającym tempie. Nawet najslabsza infekcja mogła się zakończyć tragicznie.

22 grudnia 1980 roku Anne zadzwoniła do pogotowia ratunkowego w Woburn i poprosiła o przysłanie karetki, która przewiozłaby jej syna do szpitala Massachusetts General. Jimmy dostał krwotoku z nosa i ust, którego nie dało się zahamować, wystąpiły także ślady krwi w jego moczu. Kiedy chłopca układano na noszach, jeden z sanitariuszy zapytał:

– Czy pani syn jest pod opieką doktora Trumana?

– Tak. Jak się pan domyślił? – odparła zaskoczona Anne.

– Mój syn także miał białaczkę i leczył go Truman.

Kobieta nie mogła sobie jednak przypomnieć, by widziała tego człowieka na którymś zebraniu.

– Jak się pan nazywa? – spytała.

– John Lilley.

Natychmiast sobie przypomniała, że słyszała już to nazwisko przed sześcioma laty, w trakcie pierwszego nawrotu choroby syna, gdy na korytarzu szpitala zrozpaczona kobieta powiedziała jej o śmierci chłopca chorego na białaczkę, Michaela Lilleya.

Ostatecznie krwotok u Jimmy’ego udało się zahamować i zapobiec jego następstwom poprzez transfuzję krwi. Ale dwunastoletni chłopiec świetnie zdawał sobie sprawę z losu, jaki go czeka.

– Niedługo umrę – powiedział z żalem matce ósmego dnia po przyjęciu do szpitala. – To niesprawiedliwe. Czuję, że już nigdy stąd nie wyjdę.

Ból, który towarzyszył mu stale od paru miesięcy, stał się nie do zniesienia. Całym ciałem wstrząsały dreszcze, powtarzały się krwotoki z nosa i ust, nie słabło dzwonienie w uszach i zawroty głowy. Wkrótce zaczął się też skarżyć na silne bóle brzucha. Kiedy nie przynoszono mu na zawołanie leków przeciwbólowych, krzyczał na pielęgniarkę:

– Czy pani nie rozumie, jak bardzo tego potrzebuję?!

Wreszcie któregoś dnia ogarnęło go skrajne przygnębienie. Gdy pielęgniarka próbowała go rozweselić i pomóc wstać z łóżka, burknął:

– I tak już nigdy nie wrócę do domu.

Anne prawie nie wychodziła ze szpitala, czasem tylko wybiegała do najbliższego baru, żeby coś zjeść, większość czasu spędzała jednak przy łóżku syna na oddziale dziecięcej onkologii. Charles Anderson przyjechał z Toronto, żeby odwiedzić syna i dodać żonie otuchy.

Już w połowie stycznia stan zdrowia chłopca stał się beznadziejny.

– Gorączka w ogóle mu nie słabła – wspominała jedna z pielęgniarek. – Matka siedziała przy nim przez okrągłą dobę, więc i ona wyglądała na śmiertelnie zmęczoną. A Jimmy tylko powtarzał pytanie: „Dlaczego to musiało spotkać właśnie mnie?”

Jimmy Anderson zmarł w niedzielny rano, 18 stycznia 1981 roku. Pięć dni później ukazało się sprawozdanie, opublikowane wspólnie przez Centrum Badań Epidemiologicznych oraz Departament Zdrowia Publicznego stanu Massachusetts, zatytułowane: *Woburn – przypadki chorób nowotworowych a skażenie środowiska naturalnego*. Omawiano w nim wyniki dochodzenia, które zostało wszczęte ponad rok wcześniej po telefonicznej rozmowie doktora Trumana z Clarkiem Heathem.

Specjaliści pisali w raporcie, że na terenie osiedla Pine Street notuje się zwiększoną liczbę zachorowań. „Szczegółowa analiza miejsc zamieszkania dzieci, u których wykryto białaczkę, wskazuje na znaczną koncentrację tych przypadków we

wschodniej części miasta, gdzie zachorowalność w stosunku do ogólnej liczby mieszkańców siedmiokrotnie przekracza wartość średnią, spotykaną w innych regionach kraju. Jednocześnie liczba zachorowań wśród dzieci z pozostałych dzielnic Woburn nie odbiega w znaczący sposób od tej wartości średniej”.

Autorzy sprawozdania przyznawali jednak, że nie potrafili powiązać przyczyn występowania białaczki u dzieci z zanieczyszczeniem wody pitnej rozprowadzanej w sieci miejskiej. Akcentowali tylko swe zaniepokojenie: „Chociaż brak jest danych, że substancje wykryte w wodzie ze studni G i H powodują białaczkę, nie należy lekceważyć faktu występowania w niej zanieczyszczeń organicznych w tak wysokich stężeniach”. W sprawozdaniu stwierdzano też, że oba ujęcia „były intensywnie eksploatowane w okresie krytycznego nasilenia zachorowań dzieci na białaczkę, a pochodzącą z nich wodę dostarczano głównie do osiedli we wschodniej części Woburn”.

Autorzy wskazywali ponadto, że źródła zanieczyszczeń wody pitnej są wciąż nieznane. Agencja Ochrony Środowiska została zobligowana do ich identyfikacji, lecz to zadanie, czasochłonne i bardzo kosztowne, musiało zająć co najmniej rok dalszych intensywnych badań.

Adwokat

1

Był piątkowy wieczór przed Dniem Poległych, toteż „U Jasona”, w modnym ostatnio lokalu w bostońskiej dzielnicy Back Bay, panował ścisk. Teresa Padro, młoda komiwojażerka zajmująca się skupem odzieży do posezonowych wyprzedaży w największych sieciach domów towarowych, czekała przy barze na znajomego. Wiele podróżowała służbowo, nocowała w motelach i część spraw załatwiała wieczorami, była więc oswojona z koniecznością studzenia zapędów swoich kontrahentów, zazwyczaj panów w średnim wieku, którzy oczekiwali od niej czegoś więcej poza wspólnym obiadem w restauracji. Miała trzydzieści jeden lat, bujne ciemnoblond włosy sięgające do ramion, piękną oliwkową cerę i zgrabną sylwetkę, ponieważ bardzo dużo ćwiczyła dbając o zachowanie pięknej figury.

Dwaj nieznajomi od pewnego czasu próbowali wciągnąć ją w rozmowę. W delegacji pewnie zareagowałaby ostro, ale w rodzinnym Bostonie mogła sobie pozwolić na niewinny flirt.

Jeden z nich właśnie prawił jej komplementy, gdy przypadkiem zerknęła w stronę drzwi i zwróciła uwagę na stojącego w nich mężczyznę. Ich spojrzenia się spotkały. Był wysoki, szczupły i nosił bardzo drogi garnitur, co natychmiast dostrzegła okiem fachowca nawet z pewnej odległości. W pierwszej chwili przemknęło jej przez myśl, że jest „nadzwyczaj interesujący”, jak później wspominała.

Nadskakujący jej mężczyzna właśnie poprosił ją do tańca, ale szybko odmówiła. Zaraz to samo uczynił jego przyjaciel, lecz także spotkał się z odmową. Chwilę później usłyszała tuż za sobą:

– To może ja spróbuję szczęścia, gdy inni dostali już kosza.

Odwróciła się i popatrzyła na stojącego tuż za nią wytwornie ubranego nieznajomego. Przedstawił się jako Jan Schlichtmann i zapytał, czy kiedykolwiek o nim słyszała. To pytanie wydało jej się szczególnie zuchwałe.

– Nie – odparła, po czym spytała z lekkim rozbawieniem: – Czyżby był pan aż tak sławny?

Wyjaśnił, że jest adwokatem i ostatnio wywalczył polubowne odszkodowanie dla rodzin ofiar pożaru w hotelu „Copley Plaza”, wynoszące dwa i pół miliona dolarów.

– To największe odszkodowanie z powództwa cywilnego w historii sądownictwa stanu Massachusetts! – oznajmił butnie. – Moje zdjęcie było na pierwszej stronie „Boston Herald”. Nie czytuje pani gazet?

– W jakich sprawach się pan specjalizuje?

– Występuję w imieniu osób poszkodowanych w wypadkach.

– Ach, więc należy pan do gatunku ludzi uganiających się za karetkami pogotowia!

– Nic podobnego – odparł niezrażony. – Reprezentuję ofiary.

– I pewnie skarży pan lekarzy? W takim razie niewiele mamy ze sobą wspólnego. Zarówno moi rodzice, jak i brat pracują w służbie zdrowia.

Na chwilę zapadło milczenie.

– Co pani porabia w ten weekend?

– Chcę zrobić wypad na Przylądek*.

– Naprawdę? Ja również się tam wybieram.

– Jedzie pan samochodem?

– Nie, samolotem.

– W ogóle nie ma pan auta?

– Mam. Niedawno kupiłem sobie nowego porsche’a.

Był tak bezwstydnym zarozumialcem, że Teresa chciała mu się roześmiać prosto w nos. Robił na niej jednak wrażenie, miał ponad sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu i szczupłą, pociągłą twarz z lekko garbatym nosem zdradzającym semickie pochodzenie. Nosił gęste, starannie przystryżone wąsy. Teresie wystarczył jeden rzut oka, by ocenić, że elegancki garnitur został uszyty na miarę, lecz i on nie mógł zatuszować niezgrabnej tykowatej sylwetki, jak u wyrosniętego nastolatka. Szczególnie urzekające było spojrzenie jego piwnych oczu, nadzwyczaj ciepłe i pogodne. Kiedy parę dni później powiedziała mu o tym, wybuchnął śmiechem i wyjaśnił, że nawet ojciec drwił z jego maślanych oczu spaniela. Tamtego wieczoru udowodnił, że potrafi mówić z irlandzkim oraz włoskim akcentem, i opowiadał tyle świetnych dowcipów, że mimo woli Teresa rozbawiła się na dobre.

– Masz dziewczynę? – zapytała wprost.

– Nie – odparł, kręcąc głową. Jednocześnie po tajemniczym uśmiezku błakającym mu się po wargach można było odgadnąć, że jest przekonany, iż z nią łatwo nawiąże romans.

– Jesteś żonaty? – dopytywała się.

* Tak powszechnie określa się Cape Cod, półwysep o długości ponad 100 km, którego wąska mierzeja stanowi park narodowy, ulubione miejsce wycieczek mieszkańców Bostonu (przytłum.).

– Nie, nie jestem.

Wzruszyła ramionami.

– To jest z tobą coś nie w porządku?

Kiedy wreszcie zjawił się jej przyjaciel, Alma, zatańczyła kolejno z obydwo-
ma. Przekonała się szybko, że adwokat nie tańczy najlepiej, jakby długie nogi
tylko mu przeszkadzały. Był jednak pełen zapału i energii.

Większą część weekendu spędzili razem, w Bostonie. Mieszkał na ostatnim
piętrze eleganckiej dziewiętnastowiecznej kamienicy na osiedlu Beacon Hill. Z bal-
konu rozciągał się malowniczy widok na rzekę Charles i esplanadę. W szafie miał
więcej garniturów niż jakikolwiek znany jej dotąd mężczyzna, ale szybko wyszło
na jaw, że w gruncie rzeczy bardzo mało wie o ubraniach.

– Kupuje metki – oceniła po kilku latach znajomości. – Należy do ludzi, któ-
rzy kupią porcelanową zastawę Baccarata wyłącznie ze względu na markę wy-
twórcy. Nigdy nie jest pewien, czy coś będzie dobrze wyglądało, jeżeli nie ma
odpowiedniej metki.

Zaczęła go uczyć sztuki dobierania garderoby. Kupiła mu trochę drobiazgów
i kilka krawatów. Kiedy wywalczył duże odszkodowanie, mając na sobie jeden
z nich, od razu stał się przesądny i od tamtej pory nigdy nie występował przed
ławą przysięgłych, jeżeli ona wcześniej nie wybrała mu krawata.

Często zabierał Teresę z dwoma jej najlepszymi przyjaciółkami do centrum,
gdzie zabawiał panie do późnej nocy, sypiąc dowcipami jak z rękawa i tańcząc z każ-
dą po kolei. Przekonała się, że jest nadzwyczaj wnikliwym obserwatorem. Potrafił
natychmiast odgadnąć, gdy którąś z nich trafił jakiś kłopot. Dopytywał się o niego
i zawsze słuchał z uwagą. Teresa poznała ludzi pracujących w jego biurze i zaprzy-
jaźniła się z sekretarką, Kathy Boyer, która współpracowała ze Schlichtmannem od
czasu założenia kancelarii. Ilekroć udawało mu się wywalczyć odszkodowanie bądź
zawrzeć korzystną ugodę, przydzielał pracownikom wysokie premie. Urodziny świę-
tował wraz z całym personelem w restauracji, zdarzało mu się też zapraszać wszy-
stkich na obiad bez okazji, przy czym zawsze płacił rachunki z własnej kieszeni. Gdy
przygotowywał wstępne bądź końcowe wystąpienie do jakiejś rozprawy, zwoływał
do sali konferencyjnej cały zespół, nie wyłączając recepcjonistki i gońca, wygłaszał
mowę i prosił o ocenę. Ostatniego dnia procesu wszyscy musieli się zjawić na sali
sądowej, by obserwować szefa przy pracy.

Początkowo Teresa sądziła, że wynika to jedynie ze skrajnego egocentryzmu.

– Właśnie dlatego jest tak hojny – oceniała – bo ma wyrzuty sumienia z po-
vodu swego egoizmu.

Amerykańscy prawnicy nigdy nie byli szczególnie lubiani. Jako jeden z pierw-
szych zjawił się w Nowym Świecie niejaki Thomas Morton, Anglik, który przy-
był do kolonii Plymouth w 1625 roku, cztery lata po jej założeniu. Po dwóch
latach uwięziono go za sprzedaż broni palnej Indianom, a później wydalono z kol-
onii. W roku 1740 w stanie Massachusetts działało piętnastu adwokatów, zaję-
tych głównie ściąganiem długów i rozstrzyganiem kupieckich sporów. Ale

w czasach wojny wyzwolenczej było ich siedemdziesięciu i już wtedy obywatele zaczęli narzekać na te „przeklęte chciwe pijawki”, których honoraria „pochłaniają każdy cent ze wspólnej kasy”. Przez dwieście lat powszechna ocena ani trochę się nie zmieniła.

– Jesteśmy na najlepszej drodze do stworzenia społeczeństwa kierowanego przez hordy prawników, żarłocznych jak szarańcza – oświadczył w 1977 roku sędzia sądu najwyższego Warren Burger.

Za młodu Schlichtmann także nie darzył specjalnym szacunkiem tej profesji. Urodził się we Framingham, robotniczym mieście całkowicie uzależnionym od fabryki należącej do koncernu General Motors. Jego ojciec, komiwojażer, bez przerwy powtarzał trzem synom, że powinni zarabiać na własny rachunek. Przy stole w jadalni obserwował z uwagą zaangażowanie, z jakim średni syn, Jan, włącza się do każdej dyskusji. Chłopak miał niezwykle talent do przekonywania innych i jeśli nawet był w błędzie, z niesłabnącym zapałem przedstawiał własny punkt widzenia. Z czasem ta skłonność zaczęła drażnić wszystkich domowników, ojciec pomyślał jednak, że chłopak ma zadatki na dobrego adwokata, i zaczął namawiać syna, by zainteresował się prawem.

Na uniwersytecie stanowym Schlichtmann studiował jednak filozofię. Doszedł do przekonania, że adwokatura nie jest wcale bardziej niezależnym czy szanowanym fachem od zawodu hydraulika. Owa analogia przyszła mu do głowy, kiedy rozważał, czy rzeczywiście nie warto skończyć prawa, i od tamtej pory powtarzał, że ludzie wynajmują adwokata do wykonania drobnych napraw w ich życiu, spisania testamentu, przeprowadzenia rozvodu czy ściągnięcia wierzytelności, podobnie jak angażują hydraulika do wymiany pękniętej rury bądź uszczelnienia przeciekającego zlewu w kuchni. Perspektywa pracy w dużej firmie prawniczej wydawała mu się jeszcze gorsza, ponieważ musiałby odwalić brudną robotę za ludzi bogatych i wpływowych.

W 1972 roku ukończył college i ożenił się ze szkolną koleżanką. Zamieszkali w Rhode Island, gdzie jego żona rozpoczęła naukę w studium podyplomowym. Schlichtmann, mający już tytuł magistra filozofii, nie mógł tam znaleźć dla siebie odpowiedniej pracy. Chcąc zarobić na życie, zaczął sprzedawać studentom polisy ubezpieczeniowe. W ciągu pół roku sprzedał ich prawie za milion dolarów, ale nie znosił tego zajęcia. W małżeństwie też mu się nie układało. Pewnego wiosennego dnia 1973 roku zerwał umowę z towarzystwem ubezpieczeniowym, bo jego uwagę przykuły telewizyjne transmisje z przesłuchań w sprawie afery Watergate. Przez trzy miesiące prawie nie ruszał się z domu, śledząc niecodzienne przedstawienie. Żona coraz częściej narzekała na jego niezaradność życiową. Kiedy wreszcie transmisje dobiegły końca, nie mógł już wrócić do poprzedniej pracy. Wmówił sobie, że powinien się zająć czymś bardziej użytecznym dla społeczeństwa, wciąż jednak nie mógł się zdecydować. Przeglądał ogłoszenia w gazetach, aż wreszcie trafił na anons: „Organizacja społeczna o zasięgu ogólnokrajowym otwiera nowy oddział w stanie Rhode Island i poszukuje młodej energicznej osoby na stanowisko dyrektora z roczną pensją ośmiu i pół tysiąca dolarów”. Dopiero wypełniając stosowne formularze, dowiedział się, że tą tajemniczą organizacją jest

Amerykańska Unia Praw Obywatelskich. Następnego wieczoru usłyszał w wiadomościach telewizyjnych, że Unia otworzyła właśnie nowy oddział w tym stanie, a jego dyrektorem został Jan Schlichtmann.

Pierwsza prowadzona przez niego sprawa dotyczyła grupy pielęgniarek oraz działaczek społecznych, które zbierały się w gmachu Zgromadzenia Stanowego, żeby zaprotestować przeciwko ograniczeniu przez gubernatora dotacji na cele społeczne. W środowe popołudnia kobiety przez pół godziny blokowały hol gmachu, intonując modlitwy oraz pieśni religijne. Kiedy zebrały się po raz trzeci, gubernator kazał strażnikom wyrzucić je na ulicę. Tydzień później zagroził, że poleci je aresztować i oskarżyć o utrudnianie pracy władzom stanowym.

Schlichtmann początkowo zaczął szukać w Unii prawnika, który mógłby pokierować tą sprawą, w końcu jednak, zniecierpliwiony i zdesperowany, zajął się nią sam. Dowiedział się, że zaraz po wyrzuceniu protestujących kobiet na ulicę hol gmachu zajęła trupa teatralna, która na zaproszenie żony gubernatora miała zabawiać kilkuset uczniów miejscowych szkół. Kilka dni wcześniej Ogólne Zgromadzenie Stanowe w tym samym holu na Dzień Świętego Józefa urządziło festyn włoskiej kuchni i muzyki ludowej. Wówczas nikt się nie sprzeciwiał takiemu wykorzystaniu przestrzeni i nikt się nie skarżył na utrudnianie pracy przebywającym w tym samym gmachu urzędnikom.

Gromadząc materiały, Schlichtmann dokonał fundamentalnego odkrycia – istniało coś takiego, jak wymiar sprawiedliwości, a przepisy prawa umożliwiały działaczkom społecznym występowanie przeciwko gubernatorowi. Praca adwokata nie ograniczała się zatem do spisywania testamentów, przeprowadzania rozwodów i oceny przewinień złodziejasków i rabusiów, czyli łatania ciekających rur systemu społecznego. Stało się dla niego jasne, że praca prawnika może być najwyższym powołaniem. Pospiesznie złożył formalną skargę w imieniu szycanowanych pielęgniarek i aktywistek społecznych, po czym zorganizował na stopniach gmachu Zgromadzenia Stanowego konferencję prasową z udziałem swoich klientek. Musiał odpowiadać na wiele pytań, a tego wieczoru po raz pierwszy zobaczył siebie w telewizji. Od razu nabrał przekonania, że powinien przedstawić swoją sprawę przed sądem federalnym, a ponieważ nie mógł tam występować samodzielnie, zaangażował młodego adwokata, który dopiero co ukończył wieczorowe studium prawa. Kilka tygodni później zasiadł u jego boku na sali sędziego Raymonda Pettine'a, wprawnie dyrygującego przesłuchaniami świadków i prezentacją materiału dowodowego.

Wcześniej zapisał się na studia i został przyjęty na Uniwersytet Cornella. Jego małżeństwo całkiem się rozpadło. Był jeszcze na pierwszym roku, gdy na wniosek sędziego Pettine'a przygotowany przez niego trzydziestostronicowy raport w sprawie pielęgniarek i działaczek społecznych został włączony do corocznego wydania materiałów prawniczych *Federal Supplement*.

Na uniwersytecie bez reszty pochłonęły go najważniejsze kierunki, obrona praw obywatelskich oraz zapisy pierwszej poprawki do konstytucji. Ale jak wszyscy studenci musiał zaliczyć też powództwo cywilne, tę olbrzymią gałąź, obejmującą kompensację strat ludzi, którzy z takich czy innych powodów stracili bli-

skich bądź ponieśli uszczerbek na zdrowiu. Zaliczył ten przedmiot na trójkę, gdyż wydawał mu się niezmiernie nudny i mało istotny.

Wówczas nie zastanawiał się jeszcze, jak będzie zarabiał na życie po uzyskaniu dyplomu. Większość kolegów z wydziału marzyła o robieniu dużych pieniędzy w wielkich firmach prawniczych, co udzieliło się także Schlichtmannowi. Był jeszcze na trzecim roku, gdy zaproszono go na rozmowę z jednym z wspólników nowojorskiej kancelarii Skadden, Arps, Slate, Meagher & Flom, wtedy jednej z największych i najbogatszych firm w kraju. Rozmowa trwała jednak bardzo krótko. Adwokat, który przywitał go niemal w biegu, obrzuciwszy krytycznym spojrzeniem, zerknął do papierów i zapytał, czy nie żałuje objęcia posady w Unii Praw Obywatelskich. Uczynił to w dodatku tonem sugerującym, że Schlichtmann powinien gorzko żałować tego kroku. Odparł więc:

– Żałuję tylko tego, że przyjechałem na tę rozmowę.

Szybko wstał z fotela i wyszedł bez pożegnania.

Korciło go, żeby podjąć pracę gdzieś w terenie, na własny rachunek, ostatecznie zdecydował się jednak na małą kancelarię waszyngtońską, niemal całkowicie związaną z decyzjami Federalnej Komisji Łączności. Pierwszego dnia jeden ze wspólników firmy zabrał go do siedziby komisji i przedstawił urzędnikom, z którymi musiałyby się spotykać. Drugiego dnia Jan zasiadł przed wielkim stołem formularzy, jakie trzeba było wypełniać, ilekroć któraś sieć telewizji kablowej występowała o zgodę na udostępnienie abonentom nowego kanału. Trzeciego dnia zaczął deliberować, jak można by sobie ułatwić pracę, gdy zadzwonił do niego Robert Blakey, wykładowca prawa karnego z Uniwersytetu Cornella, który właśnie uzyskał nominację na przewodniczącego Specjalnej Komisji do Spraw Zabójstw przy Zgromadzeniu Stanowym. Zapropomował Schlichtmannowi pracę w swoim zespole.

Jan poszedł natychmiast do dyrektora kancelarii i poprosił o roczny urlop bezpłatny.

– Na działalność publiczną? – zdziwił się tamten. – Nie odpowiada ci działalność publiczna, którą tu prowadzimy?

– Miałem nadzieję, że wpłynie to pozytywnie na wizerunek kancelarii.

– Najlepiej wpłynie na nasz wizerunek, jeżeli od razu złożysz wymówienie.

Schlichtmann poświęcił dziewięć miesięcy pracom komisji specjalnej. Był tylko jednym z szeregowych członków zespołu, nie cieszył się specjalnym poważaniem. Od pierwszych dni czuł się przytłoczony biurokracją, koniecznością składania przełożonym raportów z każdego swojego posunięcia. Coraz częściej oddawał się marzeniom o własnej skromnej kancelarii, w której sam byłby sobie panem i mógł bronić spraw zwykłych śmiertelników.

W końcu złożył wymówienie i pojechał do Portsmouth w New Hampshire z zamiarem otwarcia własnego biura. Szybko się jednak przekonał, że w Portsmouth jest aż nadto prawników. W drodze powrotnej do Bostonu, kierując się jakimś impulsem, skręcił do Newburyport, nadmorskiego miasteczka rybackiego, które szybko robiło karierę letniska i przekształcało się w kondominium hoteli, barów i butików. Napotkany agent handlu nieruchomościami powiedział mu, że Newburyport rzeczywiście potrzebuje więcej prawników, a Jan w to uwierzył.

Wynajął mieszkanie na pierwszym piętrze kamienicy przy rynku. Podzielił salon na biuro i recepcję, po czym na pół etatu zatrudnił sekretarkę. Za punkt honoru przyjął urządzenie najlepszej biblioteki prawniczej w całym okręgu Essex, zaczął więc kupować regały i zastawiać je podręcznikami branymi na kredyt. W czerwcu otworzył kancelarię. Interes szedł leniwie, Schlichtmann miał więc mnóstwo czasu na czytanie zgromadzonych książek. Już w październiku znalazł się na krawędzi bankructwa, od dwóch miesięcy zalegał z opłatami za lokal, wienien był właścicielowi osiemset dolarów. Wreszcie pewnego jesienno dnia zjawił się w biurze klient z nadzwyczaj zagmatwanym problemem praw własności zajmowanego domu, który przedstawił ze wszystkimi szczegółami i zapytał wprost:

- Weźmie pan tę sprawę?
- Tak – odparł Schlichtmann z bijącym mocno sercem.
- A ile to będzie kosztowało? – zapytał mężczyzna.
- Osiemset dolarów – wypalił Jan bez zastanowienia.

Już wtedy zaczął podejrzewać, że prowadzenie własnej praktyki również nie jest dla niego.

Przez następne półtora roku zajmował się różnymi drobnymi sprawami. Komuś pomógł odzyskać zastaw gwarancyjny za wynajem mieszkania, wywalczył dla grupy robotników należne odszkodowania od pracodawcy, załatwił polubownie ugody między ofiarą a sprawcą wypadku drogowego spowodowanego po pijanemu i między klientką a właścicielem sklepu, zajął się wreszcie typowym „paktnięciem” – sprawą młodej kobiety, której w wejściu do baru obcas buta zakłaniał się w szczelinie między płytami chodnika, wskutek czego upadła i zwichnęła sobie staw barkowy. Zamierzał wydać wojnę miejscowemu bankom, zbyt gorliwie przejmującym niespłacane terminowo posiadłości, ale nie odniósł większego sukcesu. Z ledwością zarabiał na życie, stale rosły jego długi za sprowadzane książki.

Pewnego ranka zjawił się w biurze przejęty i zdenerwowany młody człowiek, Lowell Eaton, który nieśmiało poprosił o rozmowę z „panem adwokatem Schlichtmannem w pewnej sprawie prawniczej”. Wyjaśnił, że jego jedynak, trzyletni chłopczyk o imieniu Stuart, przed pięcioma laty utonął w wypełnionym wodą wykopie pod fundamenty. Zdarzyło się to sobotniego popołudnia, kiedy Lowell razem z żoną pracowali na drugiej zmianie w tutejszej fabryce obuwia. Malcem opiekowała się babcia. Zostawiła go na parę minut samego i poszła do domu po koszyk wypranej bielizny, którą zamierzała rozwiesić na podwórku. Gdy po powrocie nie zauważyła nigdzie Stuarta, natychmiast pobiegła do sąsiedniego domu, gdzie mieszkała jej druga córka, lecz i tam chłopca nie było. Rozpoczęto energiczne poszukiwania i po jakimś czasie odnaleziono zwłoki pływające w mętnej wodzie wypełniającej dół na pobliskiej budowie. Już następnego dnia właściciel firmy budowlanej przysłał cały konwój ciężarówek z piaskiem, którym zasypano wykop.

Lowell powiedział, że wynajął już w tej sprawie adwokata, który złożył pozew przeciwko firmie budowlanej, wszystko jednak utknęło w martwym punkcie. Dzwonił do adwokata co jakiś czas, dopytując się o rezultaty, lecz przez trzy lata niczego nie wskórał. Wreszcie prawnik dał mu wyraźnie do zrozumienia, aby przestał liczyć na jakiegokolwiek odszkodowanie za śmierć syna. W ciągu tych trzech

lat zmarła babcia Stuarta, jedyny świadek wypadku, dlatego adwokat uznał, że sprawa jest beznadziejna.

Eaton zapytał, czy Schlichtmann chciałby występować w jego imieniu, i ten zgodził się przejrzeć akta sprawy. Nigdy wcześniej nie miał do czynienia z przypadkiem nieumyślnego spowodowania czyjejs śmierci. Świetnie wiedział, że będzie musiał spisywać wyczerpujące zeznania, dobierać świadków do wystąpienia na sali sądowej i gromadzić wszelką dokumentację. A gdyby doszło do rozprawy, czekał go także wybór ławy przysięgłych, wygłoszenie mowy wstępnej, a potem końcowej, szykowanie pytań do świadków i gromadzenie materiału dowodowego. Nigdy dotąd się tym nie zajmował, ale ponieważ nie miał nic innego do roboty, po krótkim zastanowieniu powiedział Eatonowi, że weźmie jego sprawę.

Starannie ułożył nowy pozew, w którym oskarżał firmę budowlaną o opieślność, skutkiem której przygotowany wykop zapełnił się wodą, nieogrodzenie placu budowy i niezabezpieczenie groźnego dołu. Krótco potem spotkał się z rzecznikiem firmy, Clementem McCarthym, surowym i ponurym weteranem sal sądowych, który zaprzeczył, jakoby na terenie należącym do jego klienta wydarzył się jakikolwiek wypadek, skoro nigdy nie było tam żadnego wykopu. Nie ma go i dzisiaj, perorował, a gdyby nawet kiedyś istniał, to Stuart Eaton nie miał prawa wstępu na teren budowy. Ponadto rodzice chłopca musieli być świadomi niebezpieczeństwa, jeśli mieszkali tuż przy placu, na którym wykop pod fundamenty jest rzeczą normalną, oczywiście gdyby został zrobiony.

Schlichtmann zaczął pospiesznie czytać podręczniki omawiające zasady gromadzenia materiału dowodowego oraz procedury sądowe. Wynajął fotografa, który zrobił z samolotu kilka zdjęć zasypanego przed laty wykopu. Zgromadził fotografie przedstawiające Stuarta na tydzień przed śmiercią, w otoczeniu uszczęśliwionych rodziców. Dotarł też do fotoreportera, który zaraz po wypadku zrobił zdjęcia wypełnionego wodą dołu, opublikowane następnie w miejscowych gazetach. Powiększył je wszystkie do formatu afiszy i przygotował do przedstawienia w sądzie. Opłacił inżyniera budownictwa oraz pediatrę, którzy zgodzili się wystąpić w roli biegłych. I wreszcie któregoś wieczoru zrozumiał, że odnalazł swoje powołanie.

– Właśnie takimi sprawami chciałbym się zajmować do końca życia – miał.

Po czterech miesiącach pracy był wreszcie gotowy do rozprawy. Na próżno jednak domagał się wyznaczenia jej terminu, gdyż McCarthy ciągle wnioskował o odroczenie i je uzyskiwał. A za każdym razem Schlichtmann znajdował jeszcze coś do poprawienia. Zaczął jednak tracić cierpliwość po upływie siedmiu miesięcy. Na przygotowania wydał piętnaście tysięcy dolarów, w większości pożyczonych. Tkwił w długach po uszy. Dostawca książek zasypywał go monitami, właściciel kamienicy groził eksmisją, bezustannie nachodzili wierzyciele. Jego sekretarka, Kathy Boyer, pracowała już na cały etat, ale też za darmo.

Tydzień przed wyznaczonym ostatecznie terminem rozprawy zadzwonił do niego przedstawiciel Liberty Mutual, towarzystwa ubezpieczającego pozwaną firmę, i zaoferował ugodę.

– Skończmy wreszcie z tymi przepychankami – oświadczył. – Wszyscy zainteresowani już zmarli, zarówno właściciel firmy budowlanej, jak i babcia chłopca, który utonął. Nie ma pan ani jednego świadka wypadku. Proponuję pięć tysięcy dolarów odszkodowania. Nie będzie pan musiał więcej tracić czasu na tę sprawę.

– Ta propozycja jest nie do przyjęcia – odparł Schlichtmann.

– Przecież to więcej pieniędzy, niż rodzice chłopca kiedykolwiek mieli na koncie. Nie ma pan większych szans na wygranie procesu. Radzę przyjąć te pięć tysięcy, przynajmniej zwrócą się panu koszty.

– Wydałem już piętnaście tysięcy.

Tamten zaśmiał się gardłowo.

– To naprawdę pańska pierwsza rozprawa przed sądem? Chyba przyjdę, żeby obejrzeć sobie faceta, który sknocił sprawę Eatonów.

Proces trwał osiem dni. Schlichtmann zasiadał przy stole powoda wraz ze swoją sekretarką, Kathy Boyer. Clem McCarthy bez przerwy zgłaszał sprzeciwy w sprawach proceduralnych: a to nie widział podstaw do zadawania jakichś pytań, a to protestował przeciwko cytowaniu pogłosek, krytykował każde odbieganie od rzeczy bądź poruszanie spraw nieistotnych. Sędzia Peter Brady co i rusz wzywał Jana do swego stołu i udzielał pouczeń w podstawowych kwestiach formalnych. Był nadzwyczaj cierpliwy, gdyż olbrzymie wrażenie zrobił na nim ogrom pracy włożonej w przygotowanie materiałów. Ostatniego dnia rozprawy wezwał obu rzeczników do swego gabinetu.

– Coraz bardziej jestem przekonany, że któraś ze stron poniesie olbrzymią stratę – powiedział. – Czuję się zobowiązany nakłonić panów do polubownego załatwienia sprawy. – Popatrzył na McCarthy’ego i dodał: – Sądzę, że siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów będzie stosownym odszkodowaniem.

– Wysoki Sądzie, chce mnie pan zrujnować?! – jęknął tamten, równocześnie zerkając czujnym okiem na Schlichtmanna. – Matko Boska! Nie wierzę, by przysięgli przyznali aż tak olbrzymią kwotę!

W korytarzu Jan poprosił Kathy Boyer o radę.

– Bierz te pieniądze – odparła, myśląc przede wszystkim o należnych jej zaglętych poborach.

Sledzący rozprawę urzędnik Sądu Najwyższego odciągnął go na bok i szepnął:

– W tym stanie przysięgli nie są zbyt hojni. Wcześniej obserwowałem proces pijanego kierowcy, który na trawniku przed domem przejechał dzieciaka, i rodzicom przyznano tylko dwadzieścia tysięcy dolarów odszkodowania. Powinien pan przyjąć ofertę.

Jednakże Schlichtmann, który poświęcił tej sprawie niemal rok pracy, bardzo chciał usłyszeć wyrok ławy przysięgłych. Kiedy przedstawiał Eatonom propozycję ugody, rzekł:

– Jestem pewien wygranej i sądę, że przysięgli dadzą nam większe odszkodowanie.

Lowell zdecydował, że Jan może postępować według własnego uznania.

Kiedy po przerwie znów spotkali się w gabinecie sędziego, McCarthy powiedział:

– Rozmawiałem z moim klientem, który jest gotów wypłacić plubownie siedemdziesiąt pięć tysięcy odszkodowania.

Sędzia Brady popatrzył na Schlichtmanna, a ten odparł:

– Nie mogę przyjąć takiej oferty.

– Prowadziłem już wiele procesów cywilnych – rzekł sędzia, mierząc go uważnym spojrzeniem. – Moim zdaniem powinien się pan jeszcze raz głęboko nad tym zastanowić.

– Już się zastanowiłem. Mój klient woli nie dostać ani centa od sędziów przysięgłych, niż wziąć siedemdziesiąt pięć tysięcy z kasy towarzystwa ubezpieczeniowego.

McCarthy uśmiechnął się szeroko i z niedowierzania pokręcił głową.

– No cóż, Wysoki Sądzie, pan Schlichtmann chyba jeszcze nie rozumie, że nie będzie już czasu do namysłu, gdy nadejdzie pora wylewania gorzkich łez.

Jan wygłosił mowę końcową tuż przed przerwą na lunch. Kiedy przysięgli zebrali się na naradę, wciąż dreptał nerwowo po korytarzu, zbyt przejęty, by cokolwiek przelknąć. Po godzinie i piętnastu minutach przysięgli wrócili na salę rozpraw i ogłosili wyrok, przyznający Eatonom ćwierć miliona dolarów odszkodowania oraz pięćdziesiąt tysięcy dolarów kapitału inwestycyjnego, korzystnie ulokowanego i powiększonego o odsetki liczone od dnia śmierci Stuarta. McCarthy z zatroskaną miną złożył wniosek o odrzucenie wyroku z powodu nadmiernej wysokości odszkodowania, na co sędzia z ironicznym uśmiechem oddalił wniosek i zacytował jego własne słowa:

– Sam pan powiedział, mecenasie, że nie ma już czasu do namysłu, gdy nadchodzi pora wylewania łez.

Oplącała się pokerowa zagrywka Schlichtmanna, chociaż z perspektywy czasu przyznawał, że był to szczyt głupoty, dający się usprawiedliwić jedynie brakiem doświadczenia, jak również tym, że ostatecznie wygrał. Powtarzał jednak, iż nie była to najlepsza lekcja dla początkującego adwokata.

2

Jego honorarium wyniosło w sumie prawie sto tysięcy dolarów. Pospłacał długi, dał Kathy Boyer sowitą premię i poszedł do salonu krawieckiego, by sprawić sobie elegancki garnitur. Zamierzał bowiem rozślawić swoje nazwisko w gronie prawników zajmujących się powództwem cywilnym, a wiedział doskonale, że można tego dokonać tylko w Bostonie. Rozesłał listy z ofertą pracy do trzech najszynniejszych kancelarii adwokackich w metropolii. Minął jednak miesiąc, a nie nadeszła żadna odpowiedź. Wysłał więc kilka następnych listów, z których jeden był zaadresowany do kancelarii Reeda i Mulligana.

Wciąż czekał na jakikolwiek odzew, gdy zarządzeniem losu trafiła mu się następna duża sprawa. Pewien przedsiębiorca z Newburyport, dumny właściciel

nowiutkiego jednosilnikowego samolotu marki Piper Arrow, wybrał się z przyjaciółmi na weekend do Atlantic City, by przetracić trochę forsy w tamtejszych kasynach. W drodze powrotnej do Massachusetts samolot roztrzaskał się w zatoce Long Island Sound. Nikt nie przeżył katastrofy. Nie odnaleziono nawet ciał zabitych, morze wyrzuciło tylko na plażę szczątki rozbitej maszyny. Wśród uczestników wycieczki była młoda rozwódka, której czteroletni synek został teraz oddany pod opiekę ojca. Tak się złożyło, że druga, zatrudniona czasowo sekretarka Schlichtmanna nawiązała znajomość z tym mężczyzną w jednym z barów Newburyport. I gdy tamten wyznał, że poszukuje adwokata, który mógłby się zająć sprawami jego synka, kobieta wykrzyknęła:

– Ależ ja pracuję w kancelarii wyśmienitego adwokata!

Schlichtmann przystąpił do gromadzenia materiałów, kiedy zadzwonił do niego Barry Reed, jeden ze współników bostońskiej kancelarii, i w odpowiedzi na listowną ofertę pracy zaprosił go na rozmowę.

– Byłoby najlepiej, gdyby zechciał pan przyjechać do Bostonu na lunch.

Jan spotkał się z Reedem w dzielnicy Beacon Hill, w eleganckiej włoskiej restauracji często odwiedzanej przez gubernatora, burmistrza i resztę stanowych prominentów. Idąc za nim przez salę, patrzył z podziwem, jak tamten zatrzymuje się przy kolejnych stolikach, odpowiada na słowa powitania, ściska dłonie i zamienia po parę słów ze znajomymi. Reed był bowiem u szczytu sławy. Napisał powieść zatytułowaną *Werdykt*, którą ostatnio sfilmowano w autentycznych wnętrzach, w Bostonie, a w głównej roli wystąpił Paul Newman. Miejscowe media na bieżąco śledziły wydarzenia na planie zdjęciowym i niemal w każdym artykule prasowym pojawiało się nazwisko Reeda, adwokata i powieściopisarza. Często publikowano także jego zdjęcia. Odznaczał się zresztą urodą gwiazdora filmowego. Mimo że przekroczył pięćdziesiątkę, był szczupły, nosił starannie przystrzyżone siwe włosy, bez śladów łysiny, i miał przyjemne rysy twarzy. Cieszył się reputacją znakomitego gawędziarza i przy stole jął zasypywać Jana opowieściami o prowadzonych przez siebie sprawach, przerywając monolog tylko na krótko, by przywołać kelnera lub skinieniem głowy powitać kolejnego znajomego. Schlichtmann poczuł się przytłoczony. Zwrócił jednak uwagę, że Reed ani razu nie zapytał o jego doświadczenia, toteż po godzinie zaczął się zastanawiać, w jakim właściwie celu tamten zaprosił go na lunch.

W pewnej chwili, jakby mimochodem, Reed wspomniał, że reprezentuje spadkobierców dwóch pozostałych osób zabitych w katastrofie samolotu. Właściciel ubezpieczył wszystkich na milion dolarów, teraz zaś można było wywalczyć to odszkodowanie dla rodzin ofiar, gdyby tylko dało się udowodnić, że katastrofę spowodował pilot. Reed dowiedział się, że rodzina trzeciej pasażerki przekazała sprawę Schlichtmannowi, toteż w końcu rzekł:

– Pomyślałem, że mógłby mi pan przekazać tę sprawę.

Dołączył szybko, iż po uzyskaniu ugody, rzecz jasna, przekazałby mu część swego honorarium. Natomiast teraz uwolniłby go jedynie od ciężkiej pracy.

– Ależ to moja jedyna sprawa! – zaprotestował Jan, który zyskał pewność, że jest uważany za nieudacznika, niezdolnego do jej poprowadzenia. – Dlaczego nie moglibyśmy pracować nad nią razem?

Reedowi niezbyt się spodobał ten pomysł. Próbował jeszcze namawiać Schlichtmanna do zmiany decyzji, lecz gdy ten stanowczo odmawiał, ostatecznie zgodził się na współpracę, choć chyba tylko po to, żeby bez przerwy mieć na oku początkującego adwokata.

– W porządku – oświadczył. – Zrobimy ci miejsce przy stole w sali konferencyjnej.

Schlichtmann zaczął spędzać większość czasu w bostońskiej kancelarii. Ilekroć Reed przechodził korytarzem, zaglądał do sali konferencyjnej, żeby się przekonać, jak idzie „chłopakowi” (gdyż od pierwszego dnia tak go nazywał). Dziwiło go jednak, że kiedy wychodził do domu, chłopak jeszcze siedział nad papierami, a gdy pojawiał się rano w biurze, on już tam był. W kancelarii Reeda i Mulligana tylko wyjątkowo pracowało się po godzinach. Kiedy indziej chłopak zniknął na parę dni, po czym zjawiał się jak grom z jasnego nieba i ciskał na stół bądź to jakiś fragment rozbitego samolotu, bądź część garderoby wyrzuconą przez morze na plażę Long Island. Nie można się go było doprosić o ciszę. Każdemu odkryciu towarzyszyły dzikie wrzaski radości dobiegające z sali konferencyjnej. Błogi spokój powracał tylko wtedy, gdy Schlichtmann po raz kolejny wyjeżdżał do Atlantic City w celu przesłедzenia ostatnich godzin czworga przyjaciół, spędzanych hucznie w kasynach gry i obficie zakrapianych alkoholem. A zniknął w jednej chwili, gdy chłopak wracał z plikiem kopii rachunków opłacanych kartami kredytowymi czy paragonów z restauracji, jak też spisanyymi zeznaniami barmanów i kasjerów, dobrze pamiętających rozbawione towarzystwo.

Schlichtmann wzmówił sobie, że pilot był pijany i dlatego rozbił samolot. Co więcej, posiadał licencję dopiero od czterech miesięcy i nie miał żadnego doświadczenia w pilotowaniu przy słabej widoczności. Mimo to wystartował z Atlantic City około osiemnastej, przy bardzo silnym zachmurzeniu. Na wysokości Long Island, widocznie chcąc uniknąć padającego deszczu ze śniegiem, wprowadził samolot w nisko wiszące chmury. Kiedy Schlichtmann zdobył kopię nagrania ostatniej rozmowy między pilotem a kontrolerem z wieży lotniska Kennedy’ego, w sali konferencyjnej zebrał się cały personel kancelarii, żeby jej wysłuchać. Właściciel awionetki zameldował przerażonym głosem, że w chmurach stracił orientację, i prosił o zgodę na zejście na niższy pułap. Gdy kontroler nakazał mu skrócić w prawo podczas schodzenia, tamten skrócił w lewo, dopiero po chwili przeprosił i zaczął naprawiać błąd. Niemal równocześnie przez radio doleciał jakiś dziwny dźwięk, wysoki i przenikliwy, jakby pisk śmiertelnie przerażonej kobiety. Kilka sekund później piper arrow zniknął z ekranów radarowych.

Trzy miesiące po wypadku Schlichtmann złożył pozew w Sądzie Najwyższym stanu Massachusetts. Już po kilku dniach wraz z Reedem rozpoczął negocjacje z przedstawicielem towarzystwa ubezpieczeniowego, w którym właściciel samolotu ubezpieczył pasażerów na milion dolarów. Niemal od początku było jasne, że zakończą się one ugodą i zostanie wypłacone odszkodowanie bliskie okrągłej sumy, na jaką opiewała polisa.

Jeszcze nigdy dotąd w dziejach kancelarii żadna sprawa nie została przygotowana tak sumiennie i szybko. Reed zaczął więc traktować Schlichtmanna jak

własnego syna i pewnego ranka powiedział mu, że firma dysponuje wieloma podobnymi sprawami, którymi trzeba by się zająć.

– Ten chłopak jest jak buldog – oznajmił swojemu wspólnikowi, Joemu Mulliganowi. – Wystarczy, że zaciśnie na czymś szczęki, a już nie puści.

3

Donna Robbins wydzwaniała do biura Mulligana prawie od trzech lat, to znaczy od chwili, kiedy adwokat zgodził się pozwać do sądu lekarza, który nakazał niepotrzebną operację stawu biodrowego jej syna. Sprawa, od początku zakwalifikowana jako trudna, po śmierci Robbie’ego została uznana za bezwartościową. Mulligan był zdania, że da się na niej wywalczyć najwyżej parę tysięcy dolarów, a więc „marną jałmużnę”.

Minęły ponadto cztery miesiące od czasu podpisania przez niego indywidualnych kontraktów z rodzicami dzieci chorych na białaczkę i założenia akt „sprawy Woburn”, toteż teraz wydzwaniała do niego także Anne Anderson. Początkowo sam z nią rozmawiał.

– Takie rzeczy wymagają czasu – powtarzał, używając dokładnie tego samego zwrotu, którym zbywał Donnę w sprawie Robbie’ego.

Dość szybko polecił sekretarce odsyłać obie klientki i tłumaczyć, że wyjechał służbowo lub występuje właśnie przed sądem. Kobiecie zrobiło się przykro wobec takiego traktowania zrozpaczonych matek. Po kolejnym telefonie w rozmowie z jednym z pracowników kancelarii zapytała mimochodem:

– I cóż my zrobimy w sprawie tych biednych ludzi?

Tamten był jednak tylko zwykłym aplikantem, wrzucił więc obojętnie ramię. Miał szczęście, to nie on zajmował się tym przypadkiem.

W kancelarii prowadzono wiele spraw dotyczących odszkodowań dla pokrzywdzonych klientów. Te najbardziej obiecujące Mulligan z dumą nazywał żyłami złota. Zdarzało się też, że jakaś początkowo obiecująca sprawa po bliższym zbadaniu okazywała się zawikłana, a jej akta lądowały na innej półce. We wszystkich firmach prawniczych na całym świecie jest mnóstwo teczek z dokumentami, które spotkał podobny los.

Mulligan wciąż jednak uważał sprawę Woburn za potencjalną żyłę złota, chociaż dotąd nie zajmował się nią specjalnie. Raz tylko pojechał do okręgowego inspektoratu ochrony środowiska, mając nadzieję, że dowie się od specjalistów, kto zanieczyścił wody podziemne czerpane ze skażonych studni. Nikt jednak nie kwapił się z udzielaniem informacji, jak sformułował to w swojej notatce. Później za najniższą stawkę wynajął dwóch studentów Studium Prawnego Okręgu Suffolk, które i on sam kończył przed laty na kursach wieczorowych. Zlecił gromadzenie wszelkich użytecznych wiadomości, do jakich zdołają dotrzeć w Woburn, pozostawiwszy im całkowicie wolną rękę. Pierwszy zerwał umowę już po paru tygodniach, drugi także niewiele wskórał, gdyż dostarczył do kancelarii jedynie plik wycinków z miejscowej prasy, głównie z „Woburn Daily Times”.

Mulligan z uwagą śledził poczynania Schlichtmanna w sprawie katastrofy samolotowej. Zrobiła na nim wrażenie nadzwyczajna skuteczność młodego adwokata, postanowił więc przekazać mu sprawę Woburn. Pewnego zimowego wieczoru przed wyjściem z biura zajrzał do sali konferencyjnej i zaprosił Schlichtmanna na drinka.

– Będę w „Najmniejszym” – powiedział. – Spotkajmy się tam.

Bar „Najmniejszy” przy Providence Street był jego ulubionym lokalem. Nie tylko odpowiadał rozmiarami nazwie, ale mieścił się w suterenie, o sześć wysokich schodków poniżej poziomu ulicy. W takie jak ten zimowe wieczory było tam tłoczno, małą salkę przesiąkniętą zapachami whisky i dymu tytoniowego zapelniali głównie prawnicy pochodzenia irlandzkiego. Mulligan wyróżniał się w tłumie. Nie dość, że średnio był o głowę wyższy od reszty mężczyzn, to jego tubalny głos dominował nad gwarem rozmów. Wśród wtajemniczonych klientów baru krążyły pogłoski, że to właśnie on stał się pierwowzorem głównego bohatera *Werdyktu* Reeda. A Mulligan temu nie zaprzeczał.

Kiedy po paru minutach w „Najmniejszym” zjawił się Schlichtmann, szef postawił mu drinka i zaczął przedstawiać kolegom. Po ojcowsku objął go ramieniem – był jeszcze o parę centymetrów wyższy od Jana, który też górował wzrostem nad innymi – po czym zaciągnął do stolika w kącie sali. Gdy wywiązała się rozmowa na temat katastrofy samolotu, Mulligan powiedział otwarcie, że wielkie wrażenie zrobiła na nim szybkość i efektywność pracy Schlichtmanna.

– W naszej kancelarii jest dużo innych, bardzo obiecujących spraw – rzekł. – Myślę zwłaszcza o jednej, którą chętnie dam ci do przejrzenia. Chodzi o tragiczną w skutkach falę zachorowań. To nasza najlepsza sprawa, może się okazać prawdziwą żyłą złota. Trzeba będzie włożyć w nią mnóstwo pracy, nie widzę jednak nikogo, kto by się do tego bardziej nadawał od ciebie.

Następnie Mulligan w skrócie przedstawił mu wydarzenia z Woburn.

Schlichtmann przypomniał sobie, iż czytał w „The Boston Globe” o wykryciu ogniska zachorowań dzieci na białaczkę, nie wiedział jednak, że wszczęto w tej kwestii postępowanie prawne i że zajmuje się nim Mulligan. Poczul się zaszczycony, że szef kancelarii osobiście prosi go o przejrzenie akt tak ważnej i obiecującej sprawy.

– Kiedy będę mógł się z nimi zapoznać? – spytał.

– Poproszę sekretarkę, żeby jutro ci je przekazała. W materiałach jest wiele luk, trudno sobie nawet wyrobić pełny obraz sytuacji.

Później jeszcze przez godzinę rozmawiali o sprawie Woburn, a Mulligan kilkakrotnie powiedział Schlichtmannowi, że jest bardzo zadowolony z jego zainteresowania.

Następnego ranka na stole konferencyjnym czekała już szara, cienka, najwyższej dwucentymetrowej grubości kartonowa teczka opatrzona tytułem „Sprawy Woburn”. Jak na historię ogniska masowych zachorowań na białaczkę faktycznie zawierała niewiele dokumentów. W tym czasie akta dotyczące katastrofy samolotu zajmowały już całą półkę w regale. Schlichtmann szybko otworzył teczkę i za-

czał przerzucać wycinki prasowe oraz kontrakty podpisane z rodzicami chorych dzieci. Zawierały typową klauzulę, w myśl której adwokat godził się „prowadzić wszelkie niezbędne działania w celu zaspokojenia roszczeń klienta wobec” – tu zaś Mulligan dopisał własnoręcznie: „wszystkich pozowanych winnych, jakich uda się rzecznikowi zidentyfikować”.

Oprócz tych dokumentów w teczce znajdowało się jeszcze tylko sprawozdanie wspólnej komisji Centrum Badań Epidemiologicznych oraz stanowego departamentu zdrowia. Jan zaczął je uważnie czytać. Liczne stwierdzenia od razu uznał za bardzo korzystne, na przykład to, że jest wręcz nieprawdopodobne, by tak duża liczba zachorowań dzieci na białaczkę we wschodnim Woburn była tylko dziełem przypadku. Ale końcowe wnioski szybko go otrzeźwiły. Autorzy pisali: „Poza kilkoma wyjątkami, dotychczasowe badania ognisk zachorowań na białaczkę nie wykazały powiązań choroby ze stanem zanieczyszczenia środowiska naturalnego... Żaden ze związków, wykrytych w wodzie pochodzącej ze studni G i H, nie jest znanym czynnikiem leukemogennym, mimo że badania laboratoryjne na zwierzętach zdają się potwierdzać kancerogenne działanie trichloroetylenu i tetrachloroetylenu. Źródła tych związków zanieczyszczających wodę pozostają nie zidentyfikowane”.

Po przeczytaniu sprawozdania poczuł się rozczarowany. W głowie kołatały mu się setki pytań. Skąd pochodzą związki chemiczne skażające obie studnie? Kto wylał te rozpuszczalniki i jakimi drogami przedostały się one do wód podziemnych? Czy faktycznie to chemikalia stały się przyczyną białaczki? W aktach nie było co szukać odpowiedzi na te pytania. Nie uległo też wątpliwości, że dotąd Mulligan poświęcił sprawie bardzo mało czasu.

Schlichtmann zabrał ze sobą teczkę do Newburyport i w domu ponownie przejrzał dokumenty. Nie potrafił nawet w pamięci przytoczyć nazw związków, które skażyły studnie w Woburn, instynkt podpowiadał mu jednak, że to właśnie one powodują białaczkę u dzieci. On sam zawsze zwracał baczną uwagę na to, co je i pije. Jego dziadek prowadził aptekę połączoną z małą cukiernią. Gdy któregoś dnia ujrzał syna z torbą soczystej, dojrzałej maraski*, rzucił ze złością:

– Nie jedz tego świństwa. Jest tak grubo spryskane chemikaliami, że na pewno brzuch cię rozboli.

Zapewne stąd Jan za młodu słyszał w domu wiele podobnych ostrzeżeń. Zresztą to ojciec głównie robił domowe zakupy. Miał obsesję dokładnego czytania wszystkich napisów na etykietach, podczas gdy większość ludzi lekceważy nawet wytłuszczone ostrzeżenia, dlatego też mówił synom o niebezpieczeństwach, jakie niosą ze sobą chociażby obecne w puszkowanych produktach konserwanty. Pomny tych nauk adwokat nigdy nie brał żadnych silniejszych leków od aspiryny, nigdy też nie palił i nie pijał kawy. Rzadko jadał wołowinę i unikał picia wody z kranu. Zazwyczaj kupował butelkowaną wodę mineralną, do której stosował zasadę: im droższa, tym lepsza.

* Odmiana wiśni, używana głównie do produkcji słynnego likieru maraschino (przyp. tłum.).

Początkowo przyznał więc Mulliganowi rację: sprawa była obiecująca, gdyż wszystko wskazywało na to, że białaczkę powodują zanieczyszczenia obecne w wodzie pitnej. Wiedział jednak dobrze, iż bardzo trudno będzie udowodnić ten wniosek przed sądem. Wcześniej musiałyby wniknąć w obszerny problem przyczyn choroby, których nawet specjaliści z zakresu medycyny nie potrafili dotąd ustalić. Poza tym przygotowania do rozprawy musiały być bardzo kosztowne. Sprawa Eatona, o wiele prostsza od tej, kosztowała go piętnaście tysięcy dolarów i siedem miesięcy wyteżonej pracy. W dodatku Schlichtmann, który parał się adwokaturną od niespełna trzech lat, dopiero raz występował przed sądem. Dlatego też po namyśle uznał, że sprawa Woburn jest zbyt obszerna, zanadto skomplikowana i kosztowna jak na jego umiejętności.

Sekretarka Mulligana zaczęła jednak przełączać telefony od Anne i Donny do Schlichtmanna. Kartki z zostawionymi wiadomościami szybko utworzyły pokaźny stosik. I pewnego wiosennego popołudnia Jan wybrał się do Woburn na spotkanie z rodzicami chorych dzieci. Wyszedł z kancelarii o zmierzchu, było więc już ciemno, kiedy wjechał między pogrążone w ciszy, otoczone pięknie kwitnącymi krzewami forsycji domy osiedla Pine Street. W salonie Andersonów paliły się wszystkie światła, ludzie czekali na niego. Przedstawił się pospiesznie i wyjaśnił, że Mulligan poprosił go o zajęcie się tą sprawą.

Świetnie wiedział, że ludzie chcą przede wszystkim usłyszeć o dokonanych postępach, toteż uprzedził pytania, oświadczając, iż na obecnym etapie nie ma żadnych podstaw do złożenia pozwu. Jakikolwiek wystąpienia do sądu musiały zacząć od chwili, gdy odpowiednie instytucje zidentyfikują źródło zanieczyszczeń wody pitnej.

– W całym kraju wypływają kwestie toksycznych odpadów i ścieków – tłumaczył. – Agencja Ochrony Środowiska ani nie dysponuje funduszami, ani nie ma tak liczego personelu, by równocześnie analizować wszystkie ujawnione wypadki. Musicie się uaktywnić i zmusić agencję do podjęcia badań. W tej chwili trzeba rozpocząć batalię polityczną, a nie prawną. Do batalii prawnej nie jesteśmy jeszcze przygotowani.

Spędził w domu Andersonów prawie dwie godziny, odpowiadając na pytania. Wykorzystywał okazję do bliższego poznania wszystkich klientów. Od śmierci Jimmy'ego minęły już cztery miesiące, lecz Anne wciąż była bardzo blada, miała podkrążone i zaczerwienione oczy, jakby dopiero niedawno przestała opłakiwać syna. Na Schlichtmannie wywarła ogromne wrażenie, zadawała bardzo trafne i mądre pytania, niczego nie mówiła pochopnie. Poświęcił też sporo czasu na rozmowę z Toomeyami, których syn również zmarł na początku roku. Richard, od trzydziestu lat pracujący w walcowni, pełen rezerwy i zamknięty w sobie, już na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie człowieka godnego zaufania. Jan od razu go polubił.

– Nie chodzi nam o pieniądze – powiedział Toomey na pożegnanie. – Pragniemy tylko poznać prawdę, a do tej pory nikt nam nie chciał niczego wyjaśnić.

Schlichtmann wyjeżdżał z Woburn pełen żalu współczucia dla tych ciężko doświadczonych ludzi. Nie wpłynęło to jednak na przekonanie, że w bardzo małym stopniu może im pomóc.

4

W archiwum kancelarii odnalazł akta wielu innych ciekawych spraw, pokrywające się kurzem i daremnie czekające na to, by ktoś się nimi zainteresował. Widział w nich nieoszlifowane drogocenne kamienie, tylko z pozoru przypominające bryły węgla. Większość nie była nazbyt obiecująca, jak na przykład sprawa zbędnej operacji dziecka Donny Robbins, a uzyskane z nich honoraria mogły najwyżej pokryć koszty pracy włożonej w przygotowania. Kilka ocenił jako zupełnie beznadziejne, część jednak zdawała się kryć prawdziwe diamenty pod warstwą zwykłego kamienia. Pospiesznie zaczął się z nimi zapoznawać i wkrótce akta sprawy Woburn znalazły się na spodzie wielkiej sterty teczek.

Schlichtmann dostał do pomocy adwokata, który zajmował mały pokójki sąsiadujący z gabinetem Mulligana. Nazywał się Kevin Conway. Miał około trzydziestu pięciu lat, a więc był nieco starszy od Jana, niski i krępy, z dość wydatnym brzuchem. Nieświadomie roztaczał wokół siebie tak silną atmosferę wrażliwości i opiekuńczości, że wszyscy pracownicy kancelarii zwracali mu się ze swych kłopotów. Ilekroć sekretarkę Mulligana ogarniało przygnębienie na myśl o losie mieszkańców Woburn, chodziła się wyżalić właśnie do Conwaya.

Pracował tu od dwóch lat, zajmował się głównie gromadzeniem papierków, lecz wspólnicy opłacali go procentowo od wywalczonych honorariów. Była to już jego trzecia praca, mimo że skończył wydział prawa Uniwersytetu Georgetown jako jeden z najlepszych ze swojego rocznika. Rozpoczął karierę w dużej nowojorskiej firmie, gdzie otrzymał gabinet z pięknym widokiem za oknem oraz wysoką pensję. Po sześciu latach doszedł jednak do wniosku, że prawdziwe życie toczy się bez jego udziału. Zatracił poczucie celowości wykonywanej roboty. Kiedy zaczął się uważniej przyglądać kolegom, którzy bez reszty poświęcali się pracy w firmie, stwierdził, że jeśli teraz nie złoży wypowiedzenia, to już nigdy się na to nie zdecyduje.

Postanowił otworzyć prywatną kancelarię, chociaż oznaczało to znaczne obniżenie statusu społecznego, rezygnował bowiem z pięknego gabinetu na piętnastym piętrze nowoczesnego wieżowca w samym sercu metropolii na rzecz podrzędne biura pogardzanego w środowisku prawników wolnego strzelca. Przeniósł się do sutereny stuletniej kamienicy w Belmont na obrzeżach Bostonu i zamiast wspaniałej panoramy miał teraz za oknem brudny chodnik robotniczego miasteczka oraz podrzędne sklepiki po drugiej stronie ulicy. Dobrze się tu jednak czuł, gdyż dorastał w tej okolicy, był drugim z dziewięciorga dzieci wiejskiego nauczyciela spod Belmont. W jego domu rodzinnym zawsze brakowało pieniędzy, w bród było natomiast uprzejmości i serdeczności. Każdego niedzielnego popołudnia cały liczny klan Conwayów zbierał się w saloniku i urządzał koncert,

gdyż każdy grał na jakimś instrumencie. Panowała tak wspaniała atmosfera, że w domu wiecznie było tłoczno i gwarno, bo oprócz mieszkańców nieodmiennie kręciły się tam dzieciaki z sąsiedztwa.

Urządziwszy swoje nowe biuro, Conway zatrudnił sekretarkę, Peggy Vecchione, piękną trzydziestoletnią Włoszkę, była dziewczynę swego młodszego brata. Wyznała mu otwarcie, że w ogóle się nie zna na prawie, a na maszynie do pisania potrafi pisać tylko jednym palcem. Bardzo potrzebowała jednak stałej pracy, ponieważ była świeżo po rozwodzie i miała na utrzymaniu dwoje dzieci. Kevin przyjął ją bez namysłu.

Wspólnymi siłami bez trudu radzili sobie ze sprawą każdego, kto przekroczył próg biura, gdyż chodziło głównie o najprostsze problemy – testamenty, drobne wykroczenia, kłopoty z długami hipotecznymi. Trafiały się także sprawy rozwodowe, tych jednak Conway nie cierpiał, gdyż zasmucały go do głębi. Mimowolnie poświęcał więc mnóstwo czasu na łagodzenie małżeńskich konfliktów. Gdy jeden z klientów, zniecierpliwiony jego perswazją, rzucił z wściekłością: – Czy pan tego nie rozumie?! My chcemy rozwodu! – po czym wyszedł z biura, trzaskając drzwiami, Peggy zauważyła:

– Odwalasz kawał dobrej roboty. Przynajmniej wyładowują złość na tobie, zamiast na sobie nawzajem.

Każdego dnia Conway przesiadywał w biurze regularnie od wyznaczonej godziny otwarcia do zamknięcia, mimo że niewiele miał do roboty. Zawsze konsultował z Peggy sumę, jaką powinien zainkasować od klienta. Za niezbyt obszerny testament ona proponowała sto pięćdziesiąt dolarów, na co odpowiadała półmrukiem:

– Tych ludzi nie stać na tyle.

Następnie wystawiał rachunek na pięćdziesiąt dolarów. Kiedy zaś pytał Peggy, ile jej zajmie przepisanie na czysto testamentu, łącznie z wszystkimi poprawkami, ona rzucała:

– Mniej więcej tydzień.

Zauważał ze zdziwieniem:

– Aż tak długo? – Nie protestował jednak.

Jeśli kończyły mu się pieniądze, szedł do wydziału karnego sądu okręgowego i brał pierwszą lepszą sprawę, w której szukano adwokata z urzędu. Tego także nie znosił, traktował jak ostateczność. W sądzie dostawał jednak siedemdziesiąt pięć dolarów od klienta, co pozwalało mu przeżyć, a nie miał zbyt wielkich potrzeb.

Po kilku latach spędzonych w Belmont ożenił się z kobietą, którą darzył uczuciem już od przyjazdu z Nowego Jorku. Po ślubie jego potrzeby znacznie się zwiększyły. Od dłuższego czasu znał Joego Mulligana, więc gdy ten zaproponował mu pracę, Conway natychmiast przyjął ofertę. Godził się nawet na część honorarium z wywalczonego odszkodowania zamiast regularnej pensji, miał tylko jeden warunek: zatrudnienie w nowym miejscu także jego sekretarki.

Tak więc już od dwóch lat gnieździł się w małym pokoiku kancelarii Reeda i Mulligana, kiedy pojawił się w niej Schlichtmann. Peggy jeszcze po latach pamiętała ten dzień.

– Kevin często narzekał na monotonię – wspominała – powtarzał, że nudzą go prowadzone sprawy. I oto jak grom z jasnego nieba zjawił się Jan. Reprezentował jedną z ofiar katastrofy lotniczej, a Barry’emu Reedowi strasznie zależało na tym kliencie. Lecz nawet Reed nic nie wskórał z Janem, bo na niego nie było mocnych. Kevin od początku go podziwiał. Powiedział mi kiedyś: „On jest dokładnie taki, jaki chciałby być każdy absolwent prawa”.

Conway pomógł Schlichtmannowi napisać pozew w imieniu rodzin ofiar katastrofy samolotowej. Potem służył mu radą podczas szperania w starych aktach kancelarii. To on wygrzebał sprawę trzyletniej dziewczynki, którą przywieziono do lekarza z wysoką gorączką i torsjami, ten zaś przepisał aspirynę i odesłał ją do domu. Jak się później okazało, dziecko miało zapalenie opon mózgowych i w wyniku błędnej diagnozy doznało porażenia mózgu. Obaj wystosowali pozew i uzyskali ugodowe odszkodowanie w wysokości sześciuset siedemdziesięciu pięciu tysięcy dolarów. Od tej pory niemal każdy dzień spędzali razem. Popołudniami wychodzili na obiad do restauracji „Cesarz Chin” przy Tremont Street, po czym wracali do pracy. Zajęli się sprawą uszkodzonego szpitalnego inkubatora, w którym przetrzymywane niemowlę także doznało porażenia mózgowego. W tym wypadku uzyskali odszkodowanie wynoszące milion sto pięćdziesiąt tysięcy. W następnej sprawie firma ubezpieczeniowa odmówiła wypłaty odszkodowania, gdy prześwietlenie wykazało obecność chirurgicznego zacisku w jamie brzusznej starszego mężczyzny operowanego dziewięć lat wcześniej. Conway i Schlichtmann rozpoczęli więc przygotowania do rozprawy. Miała się ona odbyć przed sądem okręgu Essex w północnej części stanu. Niedaleko znajdowała się także kancelaria Jana w Newburyport, zatem przenieśli się tam, później zaś wynajęli pokój w tanim motelu w pobliżu gmachu sądu okręgowego. Mieszkali w nim przed dwa tygodnie, pośród stert kartonowych teczek z aktami, podręczników medycyny i notatników. Zadowalali się starą walizkową maszyną do pisania, na której Schlichtmann mozolnie wystukiwał niezbędne pisma. Stołowali się w barze po sąsiedzku, zazwyczaj w towarzystwie kierowców ciężarówek. Pracowali do drugiej bądź trzeciej w nocy, by po krótkim wypoczynku zjawiać się na sali sądowej. Conway czuł się skrajnie przemęczony, ale podniecał go dreszcz emocji związany z takim trybem działania.

– Praca z Janem – wspominał później – była dla mnie jak powrót do życia po długim okresie letargu.

Lawa przysięgłych zasądziła ich klientowi odszkodowanie w wysokości czterystu dziewięćdziesięciu dwóch tysięcy dolarów.

Już wtedy Conway traktował Schlichtmanna jak rodzonego brata, mimo że pod wieloma względami stanowili swoje przeciwieństwa. Jan był wysoki i szczupły, Kevin niski i przysadzisty. Pierwszy zawsze nosił pantofle wyglansowane do połysku, buty drugiego niezmienne pokrywała gruba warstwa kurzu. Schlichtmann paradował w nakrochmalonych i starannie wyprasowanych koszulach, z niegąbanie zawiązanym krawatem przytrzymywanym złotą spinką, a koszule Conwaya opinały się na wydatnym brzuchu, z tyłu zawsze wylaziły ze spodni, jego krawat zaś był co najmniej o centymetr poluzowany, jeszcze zanim adwokat

przestąpił z rana próg kancelarii. Jan, ściśle przestrzegający zdrowej diety, z niechęcią patrzył na tłuste pączki i litry kawy pochłaniane przez kolegę.

– Traktujesz swój żołądek jak śmietnik – mawiał.

Conway miał zawsze ciepłe słowo dla wszystkich dookoła, nie wyłączając sekretarek, recepcjonistek czy gońców, podczas gdy zabiegany i zamyślony Schlichtmann nieraz zapominał o zwykłym powitaniu. Kevin ze wszech miar uniikał pochopnych osądów, powtarzał niejednokrotnie:

– Nie wolno nam zakładać żadnych powodów, dla których ktoś w konkretnej sytuacji postąpił tak, a nie inaczej.

Różniło ich także podejście do pieniędzy. Conway żył oszczędnie, zbierał na kupno domu, chciał urządzić rodzinne gniazdko. Schlichtmann natychmiast wydawał każdego zarobionego centa. Wiele osób zwracało uwagę, że sprawia wrażenie przygnębionego pieniędzmi leżącymi na koncie bankowym. Kierowało nim niepojęte pragnienie jak najszybszego uwolnienia się od wszelkich rezerw i dopiero gdy zostawał bez grosza przy duszy, z nowym zapałem i radością rzucał się w wir pracy.

Kevin wciąż wygrzebywał jakieś akta z archiwum i starał się nimi zainteresować kolegę, nie lubił bowiem sprawy Woburn. Ilekroć Jan do niej nawiązywał, starał się go zniechęcić.

– To czarna dziura – mawiał.

Nigdy nie rozmawiał z rodzicami chorych dzieci, oceniał więc wszystko na chłodno, bez emocji. Wiedział już, że Schlichtmann niczego nie robi połowicznie, a doprowadzenie sprawy Woburn do końca ze względu na jej obszerność, złożoność i związane z nią koszty po prostu go przerażało.

– W gruncie rzeczy nikt nie chce tej sprawy – powtarzał, gdy robili sobie przerwę i szli na lunch, by przy nim omawiać strategię dalszych działań.

5

Przez pewien czas po śmierci syna Anne Anderson prawie nie wychodziła z domu z obawy, że się załamie i wybuchnie płaczem w miejscu publicznym. W jej snach Jimmy nadal żył, ale gdy się budziła, wciąż z takim samym przerażeniem uświadamiała sobie, że jednak go już nie ma. Kiedy tylko w sklepie zwracała uwagę na jakąś zabawkę, która mogłaby mu się spodobać, natychmiast łzy napływały jej do oczu.

Długo nie mogła odzyskać równowagi. Kilka miesięcy po pogrzebie zaczęła pracować w warsztacie kamieniarskim brata w Sommerville, lecz tylko w niewielkim stopniu z braku pieniędzy. Przede wszystkim chciała zapomnieć o Jimmym. Odbierała telefony i wystawiała rachunki, ale myślami uparcie wracała do skończonych studni. Coraz bardziej zależało jej nie tylko na poznaniu prawdy, lecz i na ukaraniu winnego choroby oraz cierpień jej syna. Zdawała sobie sprawę, że ani Mulligan, ani Schlichtmann nic dotąd nie zrobili. Ten ostatni przestał nawet odpowiadać na jej telefony.

Wracając do domu któregoś wieczoru jesienią 1981 roku, włączyła w samochodzie radio. Nadawany był właśnie popularny talk-show Jerry'ego Williamsa, tym razem poświęcony adwokatowi. Słuchaczy zachęcano, by dzwonili do studia i zadawali pytania dwóm obecnym tam prawnikom. Anne nie zwracała specjalnej uwagi na treść rozmów, ale w pewnym momencie jej uwagę przykuł znajomy głos. Na pytania odpowiadał Schlichtmann. Przez radio mówił o uświęconych zasadach sprawiedliwości i służeniu klientom, podczas gdy ona nie mogła się nawet z nim skontaktować. Natychmiast przyspieszyła. Z piskiem opon zatrzymała wóz przed domem, wbiegła do kuchni i nie zdejmując nawet płaszcza, wybrała numer studia radiowego.

- Mam pytanie do pana Schlichtmanna.
- Słuchamy, proszę mówić – rzekł zachęcająco gospodarz programu.
- Co powinnam zrobić, kiedy mój adwokat nie zadaje sobie trudu, żeby odpowiedzieć na telefon?
- Chwileczkę! – wykrzyknął prawnik. – Znam pani głos. Czy to ty, Anne?
- Wydzwaniam i wydzwaniam, Janie, i nigdy nie mogę zamienić z tobą nawet paru słów.

Schlichtmann zaśmiał się gardłowo.

- Wiadomości od ciebie są drugie co do ważności, zaraz po wiadomościach od mojej matki, a z nią także od dawna nie rozmawiałem. – Zawiesił głos i dodał po chwili: – Dobrze wiesz, że zawsze możesz się połączyć z Kathy.

– Ale Kathy nie potrafi mi odpowiedzieć na żadne pytanie.

Schlichtmann również nie umiał odpowiedzieć, ale do tego wolał się nie przyznawać na antenie. Obiecał zadzwonić do niej nazajutrz rano.

Anne odwiesiła słuchawkę, lecz po krótkim namyśle podniosła ją znowu i wykręciła numer Donny Robbins.

- Zgadnij, co przed chwilą zrobiłam?

Sprawa Woburn nie dawała Schlichtmannowi spokoju. W jego pojęciu miała swoje dobre strony. Uważał, że jeśli chce dokonać w swoim życiu czegoś wielkiego, właśnie ona podsuwa mu niepowtarzalną okazję. Gdyby ją wygrał, stworzyłby nowy precedens i na zawsze zdobył znakomitą reputację w środowisku prawniczym. Nie wątpił też, że mógłby się na niej wzbogacić. A przede wszystkim pomógłby biednym ludziom z Woburn. Sława, pieniądze i szlachetny postęp – połączenie tych trzech elementów sprawiało, że warto było podjąć największy wysiłek.

Jednakże jeszcze na początku 1982 roku Jan wahał się z ostateczną decyzją w tej sprawie. Czasu było coraz mniej, gdyż okres występowania z formalnymi skargami osób poszkodowanych, w stanie Massachusetts ograniczony do trzech lat, liczył się od dnia zamknięcia skażonych ujęć wody, czyli od 22 maja 1979 roku. Jeśli więc miałby zrezygnować, powinien jak najszybciej powiadomić o tym klientów. Gdyby zaś chciał prowadzić sprawę dalej, musiał czym prędzej zabrać się do przygotowywania pozwu. Kierowała nim ambicja, ale zwykł też uważać

siebie za pragmatycznego biznesmena. Nie potrafił zapomnieć, że Conway, nie bez racji, nazywał sprawę Woburn czarną dziurą. W końcu zadecydował, żeby poświęcić się raczej innym obiecującym sprawom, stwarzającym większe szanse na wygraną przed sądem.

W lutym zadzwonił do Anne i poprosił ją o zorganizowanie zebrania zainteresowanych rodzin w Kościele Episkopalnym Świętej Trójcy. Kiedy wyznaczonego dnia szykował się już do wyjazdu, Conway zajrzał do jego gabinetu i wymusił na nim obietnicę, że tym razem wreszcie rozmówi się szczerze z klientami, oświadczy wprost, że na podstawie zgromadzonego materiału nie ma podstaw do wystąpienia na drogę sądową. Odprowadziwszy Schlichtmanna do drzwi kancelarii, powiedział:

– Mam nadzieję, że kiedy wrócisz, nie będziemy już mieli na głowie sprawy Woburn. Zgadza się, Janie?

– Tak.

W przedsiönku kościoła niewielka grupa ludzi siedziała na składanych krzesłkach przy długim stole bankietowym, zwykle służącym do posiłków podczas parafialnych akcji charytatywnych. Był wśród nich wielebny Young. W słabo oświetlonym wnętrzu panował chłód, większość kobiet została w paltach. Wszyscy liczyli na to, że Schlichtmann w końcu przedstawi informację o jakichś postępach. Tylko Anne miała wątpliwości, była przekonana, że adwokat zwołał zebranie, by powiadomić, że rezygnuje ze sprawy. Nikomu jednak nie powiedziała o tych obawach, nawet Donnie czy pastorowi.

Schlichtmann zajął miejsce naprzeciwko nich i zaczął od znanej już wyliczanki trudności – braku winnego, niemożności udowodnienia, że chemikalia obecne w wodzie wywołują białaczkę, oraz o przerażających kosztach. W zasadzie mówił głównie o kosztach.

– Nadal pozostaje wiele pytań – tłumaczył – na które nikt dotąd nie potrafi odpowiedzieć. Obawiam się, że po prostu nie znajdziemy środków na dalsze próby wyjaśnienia prawdy.

Dopiero teraz zebranych ogarnęło poczucie beznadziejności. Anne pomyślała: nie pozostało mu już nic więcej, jak się z nami pożegnać.

Przez pewien czas panowała martwa cisza. Wyglądało na to, że Schlichtmann nie może z siebie wydusić tej ostatecznej decyzji. Wreszcie Young odchrząknął i rzekł nieśmiało:

– A gdybym powiedział, że wiem, skąd możemy uzyskać fundusze?

Adwokat spojrział na niego z powątpiewaniem. Do dalszego prowadzenia przygotowań były potrzebne o wiele większe sumy, niż można by zdobyć podczas parafialnych akcji dobroczynnych.

Pastor jednak wyjaśnił, że właśnie tego dnia po południu rozmawiał telefonicznie z pewnym waszyngtońskim prawnikiem, dyrektorem nowej organizacji działającej w obronie interesów publicznych, nazwanej Adwokaci Procesowi na Rzecz Sprawiedliwości Społecznej.

Schlichtmann wyprostował się na krześle.

– Ależ ja znam tę organizację! – wykrzyknął. – Ściśle mówiąc, jestem nawet jednym z założycieli. Pół roku temu, na konwencji adwokatów procesowych w San Francisco, wpłaciłem tysiąc dolarów na jej fundusz założycielski.

Powiedział, że podoba mu się nie tylko nazwa organizacji, ale również jej cele, a głównie szersze wykorzystanie wymiaru sprawiedliwości do rosnących potrzeb społecznych.

Do rozmowy z waszyngtońskim prawnikiem, mówił dalej Young, doszło przypadkowo. Otóż do pastora zadzwoniła pewna pracownica z biura senatora Edwarda Kennedy'ego i przekazała, że nowo utworzona organizacja o nazwie Adwokaci Procesowi na Rzecz Sprawiedliwości Społecznej poszukuje obiecującej sprawy wymierzonej przeciwko trucicielom środowiska naturalnego, ona zaś natychmiast przypomniała sobie wydarzenia z Woburn. Zapytała, czy Young jest zainteresowany, po czym podała numer i umówiła pastora na szesnastą z dyrektorem tej organizacji, Anthonym Roismanem. Przez telefon pastor omówił pokrótce sytuację w mieście, na co Roisman przyznał, że sprawa rzeczywiście wygląda obiecująco. Dodał też, że organizacja zebrała już pewien fundusz przeznaczony właśnie na wsparcie podobnej sprawy. Nie mogła jednak przejąć jej z rąk prowadzącego adwokata.

– Właśnie dlatego – zakończył Young, spoglądając po twarzach ludzi zebranych w kościele – do tej pory w ogóle o tym nie wspominałem.

Schlichtmann zaczął się dopytywać o wszelkie szczegóły rozmowy z Roismanem. Kilkakrotnie nadmienił, że jest to „zdumiewający zbieg okoliczności”. Wreszcie powiedział, że jutro rano zadzwoni do Roismana i ma nadzieję, iż tamten zechce z nim współpracować. Kiedy tego wieczoru wychodził z kościoła Świętej Trójcy, wśród zebranych panowały już lepsze nastroje.

Następnego ranka w drzwiach kancelarii powitał go Conway.

– No i co? – zapytał.

– Nadal prowadzimy sprawę – odparł Schlichtmann. – Po prostu nie mogłem zawieść tych ludzi.

6

Poświęcił Roismanowi dwa dni, gdy ten w następnym tygodniu przyleciał do Bostonu. Czterdziestoletni absolwent Harvardu, który za prezydentury Cartera kierował Wydziałem Zwalczania Niebezpiecznych Odpadów w Departamencie Sprawiedliwości, świetnie wiedział, jak należy poprowadzić tak dużą i złożoną sprawę. A opierając się na wszelkich uzyskanych informacjach, twierdził, że jest ona bardzo obiecująca.

Schlichtmann poprosił więc Roismana, by został głównym rzecznikiem powodów. Ten się zgodził pod warunkiem, że to Jan nadal będzie ich formalnie reprezentował. Zawarli porozumienie. Schlichtmann bardzo się ucieszył z perspektywy bliskiej współpracy z kolegą doświadczonym w podobnych sprawach. Dogadali się też w kwestii równego podziału kosztów związanych z przygotowa-

niem pozwu. Organizacja Roismana miała otrzymać dwie trzecie wywalczonego ewentualnie adwokackiego honorarium, natomiast jedna trzecia pozostałaby do dyspozycji Schlichtmanna i Mulligana.

Tak więc prawie po dwóch latach, kiedy to ograniczono się jedynie do sporadycznych rozmów, wydarzenia nagle nabrały tempa. Jeden z asystentów Roismana przystąpił błyskawicznie do gromadzenia materiałów naukowych dotyczących oddziaływania na organizmy żywe trichloroetylenu oraz innych chemikaliów wykrytych w wodzie pitnej. Powołując się na ustawę o swobodnym dostępie do informacji, Roisman uzyskał także z Agencji Ochrony Środowiska wstępny raport z badań prowadzonych w Woburn. Objęto nimi obszar o powierzchni około dwóch kilometrów kwadratowych wokół ujęć G i H w dolinie Aberjony. Na obrzeżach terenu zostały wywiercone studnie do pobrania próbek wód podziemnych. Ich analiza wykazała, że trichloroetylen oraz inne zanieczyszczenia organiczne płyną w kierunku ujęć z północnego wschodu. Najwyższe stężenia toksycznych substancji wykryto w wodach podziemnych gromadzących się w pobliżu samego koryta rzeki, pod piętnastoakrową działką porośniętą zdziczałym zagajnikiem, graniczącą od zachodu z ujęciami wody pitnej. W raporcie agencji znalazł się spis kilku zakładów przemysłowych usytuowanych na obrzeżach objętego badaniami obszaru, nie udało się jednak zidentyfikować konkretnego winowajcy skażenia. Końcowe wnioski zamykało stwierdzenie o „konieczności prowadzenia dalszych badań”.

Wobec tych rezultatów Agencja Ochrony Środowiska umieściła „basen Woburn” na liście „krajowych priorytetowych miejsc badań”, na które przydzielano specjalne rządowe fundusze. Podczas jej sporządzania brano głównie pod uwagę wpływ skażenia terenu na życie mieszkańców, rodzaj wykrytych zanieczyszczeń oraz stopień ich przenikania do wód gruntowych i skażania wody pitnej. W roku 1982 roku na liście figurowało czterysta osiemnaście lokalizacji, przy czym wschodnią część Woburn na podstawie wymienionych kryteriów umieszczono od razu na trzydziestej dziewiątej pozycji.

Raport agencji był wysoce specjalistyczny, uzupełniony mapami i przekrojami rozmieszczenia warstw gleby o różnych charakterystykach, technicznymi specyfikacjami ujęć wody i tabelami wyników analiz chemicznych. Do odczytania naukowego żargonu Roisman wynajął profesora z Uniwersytetu Princeton, specjalistę z zakresu skażenia wód podziemnych, który na podstawie wyników badań oszacował, że zanieczyszczenia, które napływają z północnego wschodu, pochodzą prawdopodobnie z fabryki W. R. Grace’a, należącej obecnie do międzynarodowego koncernu chemicznego. Innym źródłem chemikaliów obecnych w wodzie czerpanej z ujęć G i H mógł być silnie zatruty podziemny basen leżący pod piętnastoakrowym laskiem, będącym niegdyś częścią terenu garbarni Johna J. Rileya. Jak się wnet okazało, właścicielem garbarni był obecnie wielki chicagowski koncern Beatrice Foods, wytwarzający bardzo szeroką gamę produktów, od skórzaných walizek Samsonite po damską bieliznę marki Playtex i od masła orzechowego Peter Pan po sok pomarańczowy Tropicana.

Obie firmy były notowane wysoko na liście Fortune 500, w żargonie adwokatów procesowych miały „bardzo głębokie kieszenie”, co tym mocniej zmobilizo-

wało Schlichtmanna i Roismana. Żaden z nich nie uważał powództwa cywilnego za pole działalności charytatywnej, wszelkie wystąpienia o odszkodowanie dla osób pokrzywdzonych musiały być według nich uwarunkowane zasobnością portfela pozwanego bądź wysokością jego polisy ubezpieczeniowej. Dla Jana pozwanie takich gigantów, jak Grace i Beatrice Foods graniczyło niemal ze świadomością, że oblubienica, którą matka szykuje mu do ołtarza, jest panną z olbrzymim posagiem.

Pewnego słonecznego dnia w połowie kwietnia Schlichtmann wybrał się swoim nowym porsche'em do Woburn. W czasie wcześniejszych wizyt zdążył nieco poznać miasto, ale nie podobało mu się specjalnie. Zwłaszcza jego wschodnia część, stanowiąca mozaikę osiedli domków jednorodzinnych i starych, podupadających zakładów przemysłowych, działała na niego przygnębiająco. Uważał, że w całym kraju są tysiące niemal identycznych miasteczek, w których nie warto się nawet na dłużej zatrzymywać. Tym razem jednak ocenił Woburn z całkiem innego punktu widzenia, odmiennym spojrzeniem ogarniał wszelkie zabudowania, starając się utrwalić w pamięci ich rozmieszczenie.

Skierował się na południe Washington Street, ruchliwą dwupasmową arterią, odchodzącą w pobliżu skrzyżowania autostrady międzystanowej 93 i szosy numer 128. Jeszcze dwadzieścia lat wcześniej na lewo od niej ciągnęły się wyłącznie tereny rolnicze, z których teraz pozostały tylko pojedyncze zaniedbane pola i skrawki lasów rozdzielające nowoczesne, duże hale produkcyjne i przeszklone biurowce. Na prawo zaś rósł gęsty stary las, o tej porze roku obsypany młodymi liśćmi i pąkami, a za nim, dnem doliny, płynęła Aberjona, niewidoczna jednak przez gęstwinę drzew.

Dotarł do starszej części miasta i zaparkował naprzeciwko rozległej hali z czerwonej cegły, o dużych przeszklonych drzwiach, nad którymi umieszczony był napis z połyskliwych aluminiowych liter: W. R. GRACE. Zza szyb auta omiótł spojrzeniem teren zakładów, wyróżniający się spośród innych. Starannie przystrzyżony trawnik przed biurowcem ocieniały wypielegnowane żywopłoty. Pod rozłożystym klonem przed wejściem ustawiono stolik i parkowe ławki. Na rampę rozładunkową ciągnącą się wzdłuż hali produkcyjnej z rzadka wychodzili robotnicy w brązowych kombinezonach. Z raportu Agencji Ochrony Środowiska Schlichtmann dowiedział się tylko tyle, że są tu produkowane stalowe narzędzia dla przemysłu spożywczego. Trichloroetylen był używany w przemyśle głównie do odtłuszczenia metalowych części maszyn, wszystko wskazywało więc na to, że stosuje się go również w tej fabryce. Janowi przyszło do głowy, że być może przed chwilą któryś z robotników w brązowym kombinezonie miał do czynienia z tą substancją. Bardzo był ciekaw, co się robi ze zużyтым rozpuszczalnikiem. Miał wielką ochotę porozmawiać z pracownikami, wejść do biura i poprosić o umożliwienie zwiedzenia zakładu, lecz oczywiście nie mógł tego zrobić. Dla niego ten teren był niedostępny, niczym forteca. A ponieważ niewiele potrafił wywnioskować na podstawie pobieżnej obserwacji, dość szybko znudził go widok ceglanych murów.

Wyjechał z powrotem na ulicę i ruszył dalej na południe, w kierunku osiedla Pine Street. Pokonawszy pół kilometra, skręcił na zachód w Salem Street biegnącą północnym skrajem osiedla. Przejechał mały betonowy mostek i znalazł się na zachodnim brzegu Aberjony. Na północy szeroką dolinę rzeki zapełniały mokradła. Na ich skraju, z mostku ledwie widoczne za kępami bezlistnych jeszcze drzew, znajdowały się dwa ceglane budynki mieszczące pompy nieczynnych ujęć wody, studni G i H. Tam raczej nie miał czego szukać. Natomiast na wprost, przy wznoszącej się na rozmytą nadrzeczną skarpe Salem Street, strzelał w niebo gigantyczny ceglany komin dawnej garbarni J. J. Riley'a.

Schlichtmann zatrzymał wóz i przez drucianą siatkę ogrodzenia popatrzył na teren zakładów. Powietrze wypełniała ostra, nieprzyjemna woń rozkładających się szczątków zwierzęcych. Obok głównego budynku garbarni, o ścianach z mocno poczerniałej cegły, stało kilka nowszych betonowych baraków i przybudówek z zardzewiałymi blaszanymi dachami. Pod ścianą w kącie leżało kilkanaście bel surowych skór bydlęcych.

Między mostkiem a garbarnią Jan minął wylot bitej drogi prowadzącej w głąb piętnastoakrowej działki wymienionej w raporcie Agencji Ochrony Środowiska, także należącej do koncernu Beatrice Foods. Teren ten, o kształcie wydłużonego trapezu, od zachodu przylegał do ogrodzenia garbarni i ciągnął się aż do samego brzegu Aberjony. Właśnie na nim znajdowało się ujęcie, z którego zakłady czerpały wodę do celów technologicznych, w niej zaś stwierdzono bardzo wysoką zawartość trichloroetyleny, trzykrotnie wyższą niż w wodzie pompowanej do miejskiej sieci wodociągowej.

Po kilku minutach Schlichtmann uruchomił silnik, zawrócił na Salem Street i skręcił w bitą drogę. Dwadzieścia metrów od skrzyżowania stanął przed zamkniętą na kłódkę bramą z żelaznych prętów. Po prawej stronie, ogrodzony dwumetrowej wysokości parkanem, znajdował się plac firmy Aberjona Auto Parts, przypominający składnicę wraków. Po lewej ciągnął się teren należący do Whitney Barrel Company, przekształcony w składowisko starych blaszanych dwustulitrowych beczek i olbrzymich stalowych podziemnych zbiorników dla stacji benzynowych. Wzdłuż siatki na tyłach placu piętrzyła się gigantyczna sterta pordzewiałych beczek, od których biła ostra woń jakichś chemikaliów.

Jan wysiadł z samochodu, podszedł do ogrodzenia i zajrzał w głąb działki należącej do Beatrice Foods. Bitą drogą po drugiej stronie bramy sprawiała wrażenie dość często używanej, tylko na jej obrzeżach obficie pleniło się zielsko. Przy niej zaś, już po zewnętrznej stronie siatki, także leżała sterta pordzewiałych beczek. Trudno było ocenić, czy i one są własnością Whitney Barrel Company. Jemu jednak od razu przyszedł na myśl argument nadający się do przytoczenia przed sądem. Skoro ten teren należał do Beatrice Foods, koncern ponosił pełną odpowiedzialność za jego użytkowanie, a jeśli Whitney Barrel zamieniła swój plac w składowisko starych beczek, właściciel działki równie dobrze mógł pójść w ślady podnajemcy.

Roisman przystąpił do kompletowania materiałów mających stanowić podstawę wystąpienia z pozwem przeciwko firmom W. R. Grace'a oraz Beatrice Foods. Schlichtmann, który lepiej znał przepisy prawa cywilnego obowiązujące w stanie Massachusetts, służył mu radą. W piśmie przewodnim oskarżyli podmioty podległe obu pozwanym o skażenie wody pitnej powodów toksycznymi chemikaliami. W uzasadnieniu opisali te związki, między innymi trichloroetylen, jako „substancje mogące wywoływać degenerację układu nerwowego i prowadzić do takich objawów neurologicznych, jak nudności, utrata apetytu czy zaburzenia koordynacji ruchowej, ponadto wpływające na pracę wątroby, powodujące mutację komórek, a co za tym idzie, choroby nowotworowe”. Zanieczyszczenie wody, jak wskazywali w uzasadnieniu, było powodem utworzenia się ogniska zachorowań na białaczkę, a w rezultacie śmierci pięciorga dzieci i poważnego narażenia wszystkich rodzin występujących po stronie powodowej na „zwiększone ryzyko dalszych zachorowań na białaczkę oraz inne choroby nowotworowe, zaburzenia wątroby i centralnego układu nerwowego, jak też wszelkie nierozpoznane dotąd schorzenia”. Strona powodowa żądała odszkodowania za poniesione straty oraz przykładowego ukarania działających w pełni świadomie i całkowicie nagannie przedstawicieli obu pozwanych firm.

Roisman i Schlichtmann ukończyli ostateczną wersję pozwu 14 maja 1982 roku, na osiem dni przed upływem terminu występowania ze skargami. Jan osobiście zaniósł dokumenty do kancelarii bostońskiego Sądu Najwyższego i wypełnił niezbędne formularze.

Tydzień później treść pozwu została przedstawiona w artykule opublikowanym przez „The Boston Globe”. Następnego dnia w biurze Reeda i Mulligana zjawily się aż dwie ekipy telewizyjne, by nagrać wywiad ze Schlichtmannem. Rozmowy filmowano w bibliotece kancelarii, a Conway uważnie im się przysłuchiwał. W głębi duszy bardzo się cieszył, że to nie on musi odpowiadać na pytania reporterów. Widok kamer telewizyjnych i blask jupiterów bardzo go peszył, ale Schlichtmann w tej sytuacji czuł się jak ryba w wodzie.

Kiedy tego wieczoru poszli razem do restauracji „Cesarz Chin”, zamówili przy barze drinki, a Jan poprosił barmana o włączenie telewizora, chciał bowiem zobaczyć siebie w wiadomościach lokalnych. Jak się okazało, oba reportaże nadawano równolegle, toteż barman był zmuszony do ciągłego przełączania kanałów, ponieważ Schlichtmann nie chciał uronić ani słowa z własnych wystąpień.

Conway obserwował uważnie, jak przyjaciel wlepia wzrok w ekran telewizora. Doskonale wiedział, ile czasu Jan poświęcił przygotowaniom do sprawy, którą od tej pory miał prowadzić jedynie formalnie. Większość obowiązków spoczywała na Roismanie, oni dwaj mieli być tylko jego lokalnymi przedstawicielami. Dlatego też Conway musiał sobie wmówić, że nie ma się czym przejmować.

Paragraf jedenasty

1

Każdego środowego popołudnia, od lutego do maja, Jerome Facher kończył pracę w bostońskim biurze kilka minut po piętnastej i jeździł metrem do Harvard Square w Cambridge. Kiedy wychodził ze stacji na ulicę i ruszał w kierunku gmachu wydziału prawa, nad miastem zapadał już wczesny zmierzch. Sześćdziesięcioletni Facher – niski, drobnej budowy, o krótko ostrzyżonych siwych włosach – był kierownikiem sekcji procesowej w dużej firmie prawniczej Hale’a i Dora, a ponadto od dwudziestu lat prowadził na Harvardzie zajęcia z procedur sądowych. Od początku swojej uniwersyteckiej kariery korzystał z tego samego podręcznika, teraz gęsto poplamionego, o pozaginanych rogach. Nosił go w równie zniszczonej czarnej teczce, zazwyczaj wypchanej innymi papierzyskami, zeznaniami, wnioskami, notatkami i protokołami z prowadzonych spraw. Kiedy przed paroma laty skórzana rączka teczki pękła od nadmiernego obciążenia, Facher sam zrobił sobie drugą ze skręconego drucianego wieszaka na ubrania, grubo owiniętego taśmą samoprzylepną. Co jakiś czas prowizoryczny uchwyt trzeba było naprawiać, więc Facher dokładał kolejne warstwy, nie żałując przylepca. Miał w domu kilka innych podobnych teczek – dla odróżnienia oznakowanych foliowymi samoprzylepnymi literkami, których arkusik odnalazł kiedyś w opakowaniu płatków śniadaniowych – lecz do tej jednej był bezgranicznie przywiązany, mimo że bardziej przypominała teraz własność jakiegoś włóczęgi. W kręgu wtajemniczonych określano ją mianem „świnki”, gdyż na skórze miała wytłoczony firmowy znaczek przedstawiający łeb świni. Przez wiele lat towarzyszyła Facherowi w wędrowkach między salami sądowymi, biurem, uniwersytetem i domem; był przekonany, że przynosi mu szczęście podczas rozpraw. Jeśli gromadziło się zbyt wiele dokumentów, zabierał do sądu kilka teczek, ale zawsze wśród nich musiała się znajdować świnka.

– Nigdy nie należy zmieniać skarpetek w trakcie bicia rekordu świata pod względem długości pasma sukcesów – tłumaczył młodszemu współpracownikom w firmie.

Na uniwersytecie nieodmiennie zasiadał przy poobijanym stole tej samej auli, w której rzędy ław wznosiły się przed nim jak w amfiteatrze. Wśród słuchaczy, obok piętnaściorga studentów danego rocznika, zawsze znajdowali się najmłodszy pracownicy jego macierzystej kancelarii, którzy przychodzili po nauki mistrza. Facher znany był z wiecznie półprzymkniętych powiek za grubymi szkłami okularów, jakby lada moment miał zapaść w drzemkę, oraz z częstego przygryzania ironicznie wydętych warg, co upodabniało go do właściciela sklepu ze słodyczami, uważnie patrzącego na ręce kręcących się między regałami dzieciaków.

Co tydzień wprowadzał swoich słuchaczy w tajniki innej podręcznikowej rozprawy i nakazywał im na przykład kierowanie przesłuchaniem świadków. Tej środy wyznaczył na rzecznika powoda młodą studentkę, która dotąd na jego zajęciach nie odezwała się jeszcze ani słowem. Kiedy on uczęszczał na podobne zajęcia pod koniec lat czterdziestych, był tak samo milczący i zamknięty w sobie, jak gdyby speszony błyskotliwymi wypowiedziami kolegów z roku, wywodzących się z najbardziej renomowanych uczelni – Princeton, Yale czy też Harvardu. Wcześniej Facher ukończył mniej znany Bucknell Junior College i na Harvardzie żył w ciągłym strachu, że zostanie wyrwany do odpowiedzi. Śmiałe wystąpienia innych studentów zazwyczaj sprawiały, że powtarzał w duchu: Mój Boże, ja nawet o tym nie pomyślałem. Przez cały trzyletni okres studiów odpowiadał na pytania wykładowców najwyżej kilkanaście razy, nie przeszkodziło mu to jednak w zdobyciu wyróżnienia, a jego nazwisko zostało wymienione w „Law Review”.

W roli wykładowcy Facher diametralnie zmienił sposób bycia, bez przerwy komentował poczynania studentów. Kiedy więc dziewczyna zaczęła wstydliwie przedstawiać skargę powoda, przerwał jej, ostro krytykując obraną metodę. Nie żywił dla niej ani trochę współczucia. Podejrzewał, że już za rok podejmie pracę w jakiejś dużej, nowojorskiej bądź chicagowskiej firmie i będzie zarabiała siedemdziesiąt tysięcy dolarów rocznie. Po upływie pół godziny studentka zagubiła się niemal do reszty, gdy większość jej wniosków została oprostowana przez energicznego kolegę występującego w roli obrońcy. Początkowo Facher usiłował ją nakierowywać na właściwy tok postępowania, lecz z czasem jego uwagi stawały się coraz rzadsze i coraz bardziej zgryźliwe. W zamyśleniu to skubał węzeł krawata, to znów bębnił palcami po stole czy też gładził okrywające blat zielone sukno. Kiedy studentka wystąpiła z wnioskiem o zaliczenie jakiegoś pisma do materiału dowodowego, a kolega zakwestionował jego autentyczność, Facher zapytał:

– I co pani na to?

Zakłopotana dziewczyna w milczeniu zaczęła przeglądać notatki. Włosy opadły jej na twarz, zakrywając oczy. Atmosfera robiła się napięta. Wreszcie ktoś z sali odpowiedział, iż można by powołać biegłego grafologa, który potwierdziłby autentyczność pisma.

– Po co? – warknął poirytowany Facher. – To zbędny wydatek pięciu tysięcy dolarów. – Zwróciwszy się do zakłopotanej studentki, rzekł: – Czekamy na odpowiedź. Poddaje się pani? Woli pani powiedzieć szefowi kancelarii, że z powodu takiego drobiazgu przegrała sprawę, i zacząć zarabiać na życie, sprzedając hamburgery?

Dziewczyna pochyliła się jeszcze bardziej. Ramiona zaczęły jej dygotać. Ukradkiem otarła łzy.

– Czy możemy prosić o pięciominutową przerwę, Wysoki Sądzie? – zapytał ktoś z sali.

Facher szybko oddalił wnioszek. Dotarło do niego nagle, że studentka płacze (a zdarzyło się to po raz pierwszy w dwudziestoletniej historii jego zajęć), pomyślał jednak, że zgoda na przerwę sprawiłaby ją tylko w jeszcze większe zakłopotanie.

– To profesja czysto intelektualna, nie mająca nic wspólnego z wbijaniem gwoździ – rzekł ostro. – Przecież wystarczy zapytać świadka: Kto napisał to pismo? Kiedy to się zdarzyło? Kto był przy tym obecny? Czy polecił pan je napisać swojej sekretarce? – Powiódł wzrokiem po słuchających w skupieniu studentach i dodał: – Takie z pozoru mało znaczące pytania są jak cegiełki, z których buduje się potężne mury. Wszyscy aż nazbyt często stronimy od prostych pytań. Nie zapomnijcie, że podstawowymi narzędziami w waszym fachu są język angielski i umiejętność przedstawienia materiału dowodowego.

W miarę wydłużania się dni Facher bywał coraz bardziej rozdrażniony, a winą za to obarczał swoją chroniczną bezsenność. Teraz jednak nie wątpił, że powodem złego nastroju jest nieporadna studentka.

– Tylko proszę się nie spieszyć – rzekł do niej, siląc się na łagodny ton. – Pytania należy zadawać pojedynczo i zwięźle, aż odnajdzie się ich właściwy rytm. – Ponownie zwracając się do słuchaczy, spytał: – Kto wie, dlaczego ten dokument nie został zakwestionowany jako dowód znany świadkowi tylko ze słyszenia?

– Dlatego, że jest oryginalny? – szybko odparł jeden ze studentów.

Facher westchnął ciężko.

– Oryginalny był też dzisiejszy numer „The Boston Globe”, a zamieszczono w nim więcej niesprawdzonych pogłosek, niż napotkają państwo przez pierwszych pięć lat swojej zawodowej kariery. Trzeba być zawsze gotowym do zgłaszania sprzeciwów, do kwestionowania każdego dowodu, który tylko da się wyeliminować. Jeżeli kiedykolwiek zdarzy się państwu zasnąć przy stole obrony, natychmiast po przebudzeniu powinniście krzyknąć: Sprzeciw!

Po zajęciach Facher często wracał do biura i pracował do północy, nim wreszcie zdecydował się jechać do domu. Miał duży segment w Arlington, pięć kilometrów od wydziału prawa, lecz mieszkał w nim sam, jedynie ze starym, rozleniwionym kocurem. Wcześniej był żonaty przez siedemnaście lat, ale związek ten rozpadł się dawno temu. Jako młody adwokat, z pasją zasypujący świadków krzyżowym ogniem pytań, nie umiał przepuścić okazji do szlifowania swych umiejętności, a zazwyczaj obiektem jego słownych ataków stawała się żona.

– Nie potrafię tego udowodnić – mawiał z przekąsem – ale jestem przekonany, że adwokaci procesowi przeżywają o wiele więcej problemów małżeńskich niż przedstawiciele innych grup zawodowych. Od samego początku nie byłem wzorowym mężem.

Po rozdzie zaczął pracować także w weekendy, a jednocześnie cierpieć na bezsenność. Długimi godzinami leżał w łóżku, układając w myślach kolejne py-

tania, jakie miał zadać świadkowi. Ten dziwnie hipnotyzujący rytm pytań i odpowiedzi zarazem go uspokajał, lecz mimo to Facher nie mógł zasnąć. Kiedy wreszcie dolegliwość zbytnio dała mu się we znaki, zaczął szukać pomocy lekarza w przychodni uniwersyteckiej. Poddano go badaniom w zaciemnionej dźwiękoszczelnej sali. Siedział w wygodnym fotelu z przymocowanymi do ciała elektrodami, a urządzenia mierzyły jego puls, ciśnienie krwi i częstotliwość oddechu. Terapeuta kazał mu oddychać głęboko i w celu pełnego rozluźnienia myśleć o najprzyjemniejszych dla niego rzeczach. Facher wyobraził więc sobie ciepłe popołudnie w parku Fenway i mecz piłkarski, w którym drużyna Red Sox prowadziła kilkom punktami, a jej napastnik rzucał się właśnie z piłką na pole przeciwnika. W laboratorium udało mu się całkowicie odprężyć, ale we własnym łóżku, gdy nie było przy nim nikogo, kto służyłby mu radą i dopingował do wzmożenia wysiłków, znowu nie potrafił zasnąć, coraz bardziej zły na siebie.

W kancelarii Hale'a i Dorra pracowało dwustu adwokatów, z czego osiemdziesięciu w sekcji procesowej. Według wielu bostońskich prawników firma upodabniała się do nowojorskich molochów, stosujących w sprawach cywilnych metodę „wygrazania zaciśniętą pięścią”. W czasach, kiedy większość pracowników tego rodzaju firm nigdy nie musiała nawet zaglądać na salę sądową, Facher należał do wyjątków, miał bowiem na koncie ponad sześćdziesiąt rozpraw, z których tylko nieliczne zakończyły się jego przegraną.

– Uwielbiam występować przed sądem – mawiał – bo to kwintesencja życia prawnika. W całej dotychczasowej karierze w kancelarii Hale'a i Dorra nie przeżyłem ani jednego przegranego dnia.

Firma zajmowała dziesięć pięter betonowo-szklanego drapacza chmur przy State Street, w samym centrum Bostonu, dwie przecznice od gmachu sądu federalnego. Mimo że budynek był stosunkowo nowy, recepcję wyłożono orientalnym dywanem, umeblowano ciężkimi, grubo lakierowanymi sprzętami i ozdobiono wazami z chińskiej porcelany, by sprawiać na klientach wrażenie renomowanej, solidnej kancelarii. Gabinet Fachera znajdował się na dwudziestym czwartym piętrze, naprzeciwko biblioteki, i był stosunkowo mały, jak na jego pozycję w firmie. Kilka razy proponowano mu znacznie przestronniejsze pomieszczenie dwa piętra wyżej, uparcie jednak odmawiał. Zresztą i tak nie spędzał w gabinecie zbyt wiele czasu. Zazwyczaj wpadał rano, by przejrzeć pocztę i wiadomości telefoniczne, po czym, jak sam mawiał, zaszywał się w jednej ze swoich kryjówek, gdzie nikt mu nie przeszkadzał w pracy.

Miał tych kryjówek kilka, na różnych piętrach, ale najbardziej lubił znikać za ciężkimi, obitymi blachą drzwiami na końcu korytarza dwudziestego piętra. Mieściło się tam obszerne archiwum starych dokumentów kancelarii. Pod ścianami stały szare metalowe szafy na akta o szufladach wypełnionych rozmaitymi papierzyskami, na nich, jak i na podłodze, wznosiły się istne piramidy równie wypchanych kartonowych pudeł. W suficie brakowało niektórych płyt paneli, a z mrocznych czeluści zwiślały pęki kabli w wielu miejscach owiniętych czarną taśmą izolacyjną. Oświetlenie pokoju było bardzo słabe, toteż Facher zgromadził na środku trzy stoliki i pozastawiał je lampkami, tworząc namiastkę ogromnego biurka. Z cza-

sem na stolikach też potworzyły się sterty sprawozdań, protokołów, spisanych przesłuchań i wystąpień, a stopy zrzuconych na kupę notatników utworzyły chwiejne kolumny na zakurzonej, żółtobrazowej sofie – chyba jedynym meblu kancelarii, którego nikt przy zdrowych zmysłach nie odważyłby się wystawić na widok publiczny w innych pomieszczeniach.

Facher najczęściej zasiadał między tymi kilogramami papierów w rozchełstanej pod szyćką koszuli o kieszonce poplamionej od przeciekających długopisów, z rozpiętymi bądź podwiniętymi rękawami. Wyglądał jak emerytowany urzędnik bez reszty pochłonięty biurokratycznymi obowiązkami. Nawet trudno byłoby się domyślić, że za każdą godzinę jego pracy klient musi zapłacić kilkaset dolarów, on sam natomiast zarabia o wiele więcej, niż byłby w stanie na siebie wydać.

Żył nadzwyczaj oszczędnie. Wielokrotnie budził zdumienie, gdy na firmowy piątkowy lunch przychodził z dużą plastikową torbą i zbierał do niej pozostawioną na półmiskach żywność, którą później upychał w domowej lodówce. Nie lubił jadać poza domem, nawet jeśli zapraszano go do restauracji. Zazwyczaj urządzał sobie posiłek na biurku, urozmaicając go zimnymi kawałkami gotowanego selera czy kalafiora, przynoszonymi w papierowych serwetkach z bufetu.

– Nie znoszę marnotrawstwa – mawiał. – W każdej dziedzinie życia stosuję reguły ekonomii, nawet jeśli niektórzy nazywają to skąpstwem.

Rzeczywiście był aż do przesady oszczędny, tym bardziej więc dziwiło, że tak mało dba o swoje oszczędności. Kiedy kupił segment w Arlington, koledzy z firmy radzili, aby wziął przynajmniej jedną pożyczkę pod zastaw hipoteczny, co pozwoliłoby mu zredukować płacone podatki. Facher jednak, który wszystkie swoje należności regulował w gotówce, wyznawał zasadę, że jakiegokolwiek kredyty są przykładem marnotrawstwa funduszy.

Wszyscy współpracownicy kancelarii obarczali młodszych kolegów różnymi zadaniami dotyczącymi prowadzonych przez nich spraw, ale Facher, i pod tym względem ekonomiczny, korzystał najwyżej z pomocy jednego adwokata i jednego aplikanta. Nie miał zaufania do młodych pracowników, był względem nich jeszcze surowszy niż dla studentów na uniwersytecie. Przed laty złą sławę przyniosły mu „czarne liściki”, jakie rozsyłał do młodych adeptów prawa niespełniających jego oczekiwań. Pisał na przykład: „Popełniliśmy chyba wielki błąd, zatrudniając cię w tej kancelarii. Gdzieś ty się uczył angielskiego?!”. Nie należały do rzadkości widniejące na marginesach maszynopisów jego uwagi w rodzaju: „Bzdura! Kto uwierzy w takie brednie?!”, albo: „Po co marnujesz mój czas?”. On sam uważał, że zmiękł na starość, gdyż teraz by napisał: „Moim zdaniem jest to źle sformułowane i źle uzasadnione. Czy nie lepiej wyrzucić całe pismo do kosza i zacząć od początku?”.

Z tego powodu większość młodych adwokatów bała się z nim pracować, ale ci, którzy wzięli do serca jego nauki, zyskiwali ogromny szacunek dla mistrza. Niektórych nazywano nawet „chłopcami Jerry’ego”. Powtarzali często, że otrzymali najlepszą możliwą w tej kancelarii szkołę. Mimo to woleli nie podejmować na nowo współpracy z Facherem, jeśli tylko mogli tego uniknąć.

Akta sprawy Woburn pojawiły się na biurku Fachera w ostatnim tygodniu maja 1982 roku, przysłał mu je z Chicago zastępca głównego radcy prawnego koncernu Beatrice Foods. Adwokat miał wówczas trzydzieści lub czterdzieści innych spraw na różnych etapach przygotowań, niektóre z nich czekały na swój finał już od paru lat. Do tej pory przegrał jedynie kilka rozpraw, znacznie częściej doprowadzał do ugody, nigdy jednak nie zetknął się dotąd ze sprawą, którą od początku oceniłby jako niemożliwą do wygrania.

– Każdy proces cywilny da się wygrać – oznajmił kiedyś butnie swoim studentom.

Do grona jego klientów należały duże i bogate firmy, najważniejszy jednak był koncern Beatrice Foods, którego mniej ważny oddział, garbarnię Johna J. Riley’a z Woburn, oskarżano teraz, jak przeczytał w pozwie, o „zanieczyszczenie toksycznymi chemikaliami... wód podziemnych używanych przez powodów i ich rodziny do picia oraz innych domowych zastosowań”, co doprowadziło do śmierci pięciorga dzieci.

Jak stąd wynikało, pozew należał do wystąpień o odszkodowanie z powodu nieumyślnego spowodowania śmierci lub uszkodzenia ciała, a więc do grupy spraw znacznie prostszych od zatargów między przedsiębiorstwami, którymi Facher się głównie zajmował. Szybko jednak zrozumiał, że wbrew pozorom jest to kwestia bardzo obszerna i złożona. Powodów było wielu, a każdy z nich solidarnie skarżył się na „zwiększone ryzyko zachorowania na białaczkę oraz inne choroby nowotworowe, zaburzenia wątroby i centralnego układu nerwowego, jak też wszelkie nierozpoznane dotąd schorzenia”. Próba udowodnienia tego rodzaju oskarżeń – jeśli w ogóle dało się je udowodnić, w co Facher bardzo wątpił – była zadaniem nie tylko gigantycznym, lecz także nad wyraz kosztownym.

Słyszał już parokrotnie o podobnych pozwach kierowanym przeciwko trucicielom środowiska naturalnego, które ostatnio były chyba w modzie. Nie mógł sobie jednak przypomnieć, by któraś z rozpraw przyniosła powodowi duże odszkodowanie. W tym świetle nie było się czym martwić. Ale zgodnie z przepisami musiał teraz sformułować odpowiedź na wystąpienie rzecznika powodów, doszedł więc do wniosku, iż należy wysłać kogoś do Woburn na rozmowę z Johnem Rileyem kierującym garbarnią. Po krótkim namyśle Facher obarczył tym zadaniem Neila Jacobsa, absolwenta Harvardu, młodszego wspólnika kancelarii, również zaliczanego do „chłopców Jerry’ego”.

Jacobs miał już kiedyś okazję rozmawiać z Rileyem, gdy razem z Facherem zajmował się jakimś mniej istotnym wystąpieniem przeciwko garbarni. Pamiętał jednak dobrze sam zakład, jak też jego dyrektora, należącego do ludzi, których się łatwo nie zapomina. Wysoki i potężnie zbudowany, o dłoniach jak bochny chleba i nalanej, ogorzałej twarzy, odznaczał się nadzwyczaj wybuchowym temperamentem. Gdy miał siedem lat, zaczął pracę od zamiatania podłóg w garbarni ojca, założonej w roku 1909, kiedy w mieście działało około dwudziestu podobnych zakładów. Teraz pozostał już tylko ten jeden, a Riley mówił o sobie z dumą, że jest ostatnim garbarzem z Woburn.

Na wiele sposobów pomagało mu to w prowadzeniu interesów. Dobiegający sześćdziesiątki, inteligentny, dobrze wykształcony dyrektor był bardzo dumny z tego, że nadal kieruje rodzinną inwestycją. Nie miał specjalnych konfliktów z mieszkańcami, nie licząc częstych skarg na przykrą woń roztaczającą się wokół zakładów. Zwykł je traktować jak osobistą urazę. Sam mieszkał we wschodnim Woburn, nie dalej niż kilometr od garbarni. Kiedy pewnego razu jeden z jego sąsiadów napisał zjadliwy artykuł o garbarskim odorze do pisma „Civic Association Newsletter”, Riley późnym wieczorem załomotał do jego drzwi, po czym wpadł jak burza do saloniku i dźgając ogromnym paluchem w pierś gospodarza, zaczął dziko wrzeszczeć, że jest jednym z najważniejszych podatników zasilających miejską kasę, więc jakim prawem on śmiał przedstawić jego fabrykę w tak niekorzystnym świetle. Mężczyzna, zaskoczony tą słowną napaścią, ledwie zdołał z siebie wydusić, żeby Riley wynosił się z jego domu.

Wprowadzenie całego pakietu ustaw dotyczących ochrony środowiska do głębi rozwścieczyło właściciela garbarni. Nie krył się z opinią, że tak zwane lobby ekonomiczne dąży do wyeliminowania go z konkurencji, tak jak wcześniej doprowadziło do zamknięcia pozostałych garbarni w mieście. Kiedy na podstawie nowych przepisów władze stanowe poleciły mu wybudować indywidualną oczyszczalnię ścieków za milion dolarów, doszedł do wniosku, że na to go nie stać. Na szczęście dowiedział się od kolegów z branży, iż koncern Beatrice Foods chce przejąć kilka garbarni, by zapewnić sobie rytmiczne dostawy wyprawionych skór do własnych wyrobów. Podjął negocjacje i wkrótce postanowił sprzedać rodzinny interes. Czynił to z ciężkim sercem, zdołał jednak przeforsować dodanie do umowy klauzuli, że pozostanie na stanowisku dyrektora zakładów, a zarząd Beatrice Foods przyznał mu godziwą pensję.

Kiedy Jacobs przyjechał do Woburn, Riley powitał go w drzwiach starego, rozsypującego się, otynkowanego na biało budynku mieszczącego biura zakładów. Później w niewielkiej zagraconej sali konferencyjnej oznajmił wprost, że oskarżenia spisane w pozwie są stekiem wierutnych kłamstw, ponieważ on nigdy nie składował żadnych odpadów przemysłowych na swoim terenie, nigdy też nie używał trichloroetylenu. W garbarni przez jakiś czas stosowano podobny rozpuszczalnik, tetrachloroetylen, kiedy w połowie lat sześćdziesiątych realizowano zamówienie na dostawę impregnowanych skór na buty dla wojska. Riley przysięgał jednak, że zużytej cieczy nie wylewano na ziemię.

Gdy Jacobs zapytał o piętnastoakrową działkę, na której wykryto silne skażenie trichloroetylenem, dyrektor wyjaśnił, że jego ojciec wydzierżawił ten teren od miasta przed trzydziestoma laty, w 1951 roku, po czym wywiercił tam studnię dostarczającą wody do celów technologicznych. Poza tym działka pozostawała niezagospodarowana, porośnięta zdziczałym laskiem i krzakami. Mimo że sąsiadowała z terenem zakładów, Riley postanowił zawieźć tam adwokata. Wsiadli do dużego wozu terenowego, dyrektor wyprowadził go z parkingu, wyjechał na Salem Street i pięćdziesiąt metrów dalej skręcił w bitą drogę prowadzącą w głąb lasu, między zawalonymi porzeczkałymi beczkami placem firmy Whitney Barrel a złomowiskiem należącym do Aberjona Auto Parts.

Zatrzymali się przed tą samą bramą, przed którą jakiś czas wcześniej stanął Schlichtmann. Kiedy Riley otwierał bramę, Jacobs zwrócił uwagę na stertę blaszanych beczek leżących również po tej stronie ogrodzenia, na skrawku nagiej, ubitej na kamień ziemi. Dyrektor pospiesznie wyjaśnił, że one także stanowią własność Whitney Barrel Company. Droga tylko z brzegu sprawiała wrażenie używanej, w lesie poczęła stopniowo zanikać pod gęstą trawą, coraz częściej gałęzie drzew uderzały w przednią szybę auta. Riley zatrzymał samochód jakieś sto metrów od ulicy. Adwokat wysiadł i rozejrzał się dookoła. Dziesięć metrów od drogi leżała duża sterta śmieci. Ruszył ostrożnie w jej kierunku, wysoko podnosząc nogi, był bowiem w eleganckim garniturze i lakierowanych pantoflach. Hałdę – opisaną później w materiale dowodowym jako sterta śmieci E – tworzyło kilka dalszych dwustulitrowych beczek znajdujących się w różnym stadium rozpadu, do połowy przysypanych gnijącą korą i liśćmi drzew. Z jednej z nich wypływała na ziemię jakaś gęsta smolista maź. Obok stało parę sześciennych pojemników z dykty używanych do transportu chemikaliów, wypełnionych metalowymi i plastikowymi taśmami, które służą do spinania kartonowych opakowań, oraz płatami zardzewiałej blachy i butlami po pestycydach. Przy stercie leżały robocze rękawice, samotny dziurawy but skórzany, miotła z długim trzonkiem i dość imponująca kolekcja puszek po piwie. Ziemia w wielu miejscach była poczerniała i poplamiona, w powietrzu unosił się cierpki odór chemikaliów. Kilka metrów dalej, za kępą krzaków, Jacobs dostrzegł kolejną stertę śmieci, w której także znajdowały się beczki, chyba starszą, gdyż niknącą w wysokiej trawie pośród młodych drzewek.

Wrócił na drogę i spytał Riley, czyje to śmieci, ten jednak powtórzył, że on nie zwał tu żadnych odpadów. Każdy mógł zjechać z ulicy i wyrzucić śmieci w lesie. Znał Jacka Whitneya, właściciela firmy wynajmu beczek, i wiedział tylko tyle, że tamten na swoim placu trzyma najwyżej puste zbiorniki na benzynę. Wielokrotnie upraszał go o zrobienie porządku z beczkami zalegającymi po obu stronach ogrodzenia, ale bez większego rezultatu.

– No cóż, Whitney nie prowadzi wzorowego przedsiębiorstwa – zaopiniował.

Po powrocie do garbarni Riley oprowadził adwokata po zakładzie. Przeszli przez halę mokrą, gdzie skóry były moczone w wodzie, wapnowane i odwłazsane, a następnie przez halę garbarską, gdzie je trawiono w roztworach do garbowania, natłuszczano i wreszcie barwiono. Jacobs zwrócił uwagę na wielki zbiornik na tyłach zabudowań, wypełniony gęstą cuchnącą cieczą. Każdego dnia trafiało tu prawie dwa tysiące metrów sześciennych ścieków. W zbiorniku osady opadały na dno, a sklarowana ciecz była przepompowywana do kanalizacji miejskiej, skąd ostatecznie trafiała do morza, niedaleko portu w Bostonie. Władze stanowe wymieniały garbarnię na drugim miejscu listy największych trucielei wód przybrzeżnych, a okolice portu uważano za najsilniej zanieczyszczone w całym kraju. Właśnie z tego powodu Riley został zobowiązany do wybudowania oczyszczalni ścieków za milion dolarów, co z kolei stało się przyczyną sprzedania zakładu koncernowi Beatrice Foods.

Budowa oczyszczalni jeszcze się nawet nie rozpoczęła, nie miało to jednak nic wspólnego z pozwem sądowym i zatruciem czerpanych ze studni G i H wód podziemnych. Jacobs zdążył się też naocznie przekonać, że zanieczyszczenia piętnastoakrowej działki mogą pochodzić co najmniej z trzech źródeł – z placu firmy Whitneya, ze składowiska Aberjona Auto Parts oraz ze stert śmieci wysypanych w lesie przez nieznanego sprawcę.

Po powrocie do Bostonu natychmiast przystąpił do pisania odpowiedzi na wystąpienie rzecznika powodów. Nie była to zbyt trudna praca, wystarczyło bowiem dokonać pewnych przeróbek gotowego schematu pisma. „Pozwany koncern Beatrice Foods Co. nie dysponuje informacjami wystarczającymi do potwierdzenia prawdziwości zarzutów wyszczególnionych w punkcie 45. pozwu”. Dane statystyczne komputerowego procesora tekstów wskazywały, że Jacobs obrabiał ten sam plik po raz sześćdziesiąty piąty, zmieniając jedynie numery opisywanych punktów wystąpienia.

A jego punkt 53. dotyczył właśnie piętnastoakrowej działki „pokrytej młodymi lasami przecinanymi wąskimi pasami podmokłych łąk. W głąb działki prowadzi wzdłuż nadrzecznych pastwisk bita droga, wzdłuż której [*sic!*] są składowane metalowe zbiorniki i beczki. Znajdują się w różnym stanie, część jest nowych, część zniszczonych, niektóre otwarte, inne zamknięte. Podobne składowisko beczek znajduje się przy torach linii kolejowej. Na całym obszarze działki występują poławie silnie zniszczonej roślinności, co może wskazywać na miejsca skażone toksycznymi substancjami”.

W odpowiedzi Jacobs napisał: „Pozwany koncern Beatrice Foods Co. przyznaje, że działka ta w rzeczywistości jest pokryta zagajnikiem poprzecinanymi wąskimi pasami podmokłych łąk i że w jej głąb prowadzi bita droga. Pozwany zaprzecza jednak wszelkim innym zarzutom sformułowanym w punkcie 53. pozwu”.

Co prawda adwokat widział składowane tam beczki na własne oczy, nie zamierzał jednak potwierdzać tego w imieniu klienta. Sumiennie przestrzegał uswieconych tradycją reguł postępowania adwokatów procesowych, które mówiły jasno, że obowiązek udowodnienia każdego zarzutu spoczywa na rzecznikach strony powodowej, a więc na Schlichtmannie i Roismanie.

Wreszcie Jacobs wydrukował gotową odpowiedź i zaniósł ją Facherowi. Ten szybko przebiegł pismo wzrokiem i je zaaprobował. Przygotowywał się właśnie do ważnego procesu i miał znacznie pilniejsze sprawy na głowie.

2

Rzecznikiem drugiego pozwanego w tej sprawie, firmy W. R. Grace’a, był niejaki William Cheeseman, starszy wspólnik z bostońskiej kancelarii Foley, Hoag & Eliot. W przeciwieństwie do Fachera od razu uznał pozew za szczególnie istotny, co w znacznej mierze wynikało z nastawienia klienta. Tego samego dnia, kiedy odbierał akta, usłyszał od wicedyrektora firmy:

– Ta sprawa przyciągnie uwagę wszystkich pracowników naszego zakładu, od najwyższego do najniższego szczebla.

Następnego dnia rzecznik prasowy nowojorskiego zarządu spółki wydał oświadczenie, w którym „stanowczo sprzeciwiał się” wszelkim „nieodpowiedzialnym i nieuzasadnionym zarzutom” stawianym firmie przez powodów. Należący do niej zakład w Woburn nie produkował żadnych chemikaliów, „nie mógł zatem stać się przyczyną zanieczyszczenia wód podziemnych”.

Nie po raz pierwszy spółkę W. R. Grace’a oskarżano o zatrucie środowiska naturalnego. Kompania skupiała wiele zakładów chemicznych i przetwórczych rozrzuconych po całym Stanach Zjednoczonych, miała swoje fabryki także w Europie, Ameryce Południowej, Nowej Zelandii oraz Japonii. Cheeseman reprezentował już firmę w podobnej sprawie, w której należące do Grace’a zakłady chemiczne w Acton w stanie Massachusetts były oskarżane o zanieczyszczenie wód podziemnych. Tam jednak nikt nie zarzucał, że na skutek zanieczyszczenia zmarło pięcioro dzieci, a mieszkańcy sporego osiedla zostali narażeni na zwiększone ryzyko zachorowań. Właśnie z powodu ciężaru tych zarzutów, podsuwających doskonały temat na krzykliwe nagłówki w prasie, sprawa Woburn mogła mieć dla kompanii olbrzymie znaczenie. I Cheesemanowi nie trzeba było specjalnie tłumaczyć, że powinien dołożyć wszelkich starań, by nie doszło do rozprawy przed sądem.

Był jednak na to przygotowany, w kancelarii cieszył się reputacją najlepszego fachowca od zduszania rozmaitych wystąpień w zarodku metodą formułowania ostrych zarzutów przeciwko oskarżeniom bądź kierowania spraw do rozpatrzenia w trybie doraźnym. Wystąpił właśnie z wnioskiem o orzecznictwo doraźne wobec pozwu, jaki wpłynął przeciwko zakładom w Acton. Zazwyczaj miewał do czynienia z żądaniami jednych przedsiębiorstw w stosunku do drugich bądź też instytucji państwowych wobec firm, a więc sprawami często złożonymi, lecz zwykle jałowymi i bezkrwawymi, które kończyły się ugodami poza salą sądową. W dotychczasowej karierze tylko czterokrotnie występował przed ławą przysięgłych, a i to w sprawach prostych, małej wagi. Nie lubił brać udziału w rozprawach, może dlatego, że podświadomie wyczuwał, iż nie jest w tym najlepszy.

Miał żywo w pamięci pierwszą rozprawę z udziałem sędziów przysięgłych, jaką mógł obserwować przed piętnastoma laty, jeszcze podczas studiów na Harvardzie. Z galerii bostońskiego sądu okręgowego przysłuchiwał się zeznaniom kilkunastoletniej dziewczyny, której młodsza siostra zginęła w wypadku samochodowym. Adwokat poprosił świadka o szczegółowe opisanie wydarzeń, dziewczyna opowiedziała więc o tym, jak podróżowała na przednim siedzeniu samochodu, trzymając siostrzyczkę na kolanach, kiedy niespodziewanie najechał na ich auto miejski autobus. Jej relacja zaczęła się rwać i po chwili dziewczyna wybuchnęła szlochem. Adwokat, starszy i doświadczony, przystanął obok ławy przysięgłych i w milczeniu czekał cierpliwie, zerkając to na świadka, to na sędziów. Gdy dziewczyna uspokoiła się nieco, zadał jej kolejne pytanie, ale i tym razem odpowiedź przerodziła się w płacz. Z widowni Cheeseman przyglądał się z uwa-

ga, jak niektórzy przysięgli sięgają po papierowe chusteczki. On sam zresztą był poruszony tym wypadkiem.

Po ogłoszeniu przerwy wyszedł z sali i czekając na windę, zauważył adwokata wyprowadzającego świadka. Kiedy ten przekazał z powrotem dziewczynę pod opiekę rodziców, wszyscy zaczęli dyskutować z wyraźnym ożywieniem, zapanował wręcz radosny nastrój. A po chwili prawnik powiedział dziewczynie coś, co wywołało jej szeroki uśmiech.

Ta scena również zrobiła na nim wielkie wrażenie. Od tamtej pory był przeświadczony, że każde wystąpienie przed sądem stanowi pełną cynizmu farsę. Dopiero później pojął, że nie jest to w pełni prawdą. Wy tłumaczył sobie, że tamta dziewczyna naprawdę przeżywała stratę siostry, a śmiech w korytarzu mógł być tylko próbą rozładowania napięcia. Ale tamto doświadczenie stało się dla niego znakomitą lekcją postępowania przed ławą przysięgłych i wykorzystywania naturalnej podejrzliwości sędziów.

– Wszyscy doskonale wiedzą, że nie startujemy z tych samych pozycji – oświadczył po latach. – Osoba pokrzywdzona z założenia cieszy się sympatią przysięgłych. Duże firmy rzadko mają szansę ją zdobyć.

W bogatych kancelariach obsługujących sprawy przedsiębiorstw konieczność występowania przed sądem zachodzi jednak sporadycznie. Tak samo było w firmie Foley, Hoag & Eliot, zatrudniającej około stu prawników, z których ledwie paru miało specjalność adwokatów procesowych. Starannie pielęgnowano tam reputację kancelarii „intelektualnej”. Większość osób, w tym także Cheeseman, wywodziła się z Harvardu, a znaczna część kończyła studia z wyróżnieniem.

„Doskonałe wykształcenie pracowników zawsze stanowiło wyróżnik w wizerunku kancelarii”, napisał Foley w broszurze reklamowej.

Właśnie to „doskonałe wykształcenie” prawników zazwyczaj rzutowało na poziom i objętość wychodzących z biura materiałów. Wśród bostońskiej palestry firma zyskała sławę (a raczej niesławę, jak przyznawał Cheeseman) producenta szczególnie obszernych uzasadnień.

Sam Cheeseman zaliczał siebie do ludzi o nadzwyczaj ścisłym umyśle. Podczas wstępnych studiów w Harvard College jako główny przedmiot wybrał fizykę teoretyczną. Uważał się za bystrego i zdolnego studenta, choć w chwilach samokrytyki stwierdzał, że jest typem nudnego pedanta. I z wrodzoną sobie metodycznością usiłował zwalczać wszelkie przejawy pedanterii.

– Bardzo ciężko pracowałem nad każdą odrobiną niechlujstwa w moim życiu – wyznał kiedyś.

Kultywował rozmaite elementy nieszkodliwego ekscentryzmu. Z czasem zgromadził imponującą kolekcję nakryć głowy – беретów, kapeluszy, stetsonów i czapek marynarskich – w których chodził do pracy, nawet jeśli całkiem nie pasowały do baraniego kożuska, jaki sprawił sobie zamiast typowego kaszmirowego płaszcza. Garnitury kupował na wyprzedających i nosił do czasu, aż zaczynały się pruć na szwach. Okresowo zapuszczał sobie włosy prawie do ramion, nie bacząc, że nawet ośmioletnia córka zwraca mu uwagę na konieczność wizyty u fryzjera. Jeździł maleńkim angielskim triumphem, którym parokrotnie brał udział w niedziel-

nych rajdach sprawnościowych, jakie organizowano na pustych placach przeladunkowych bądź parkingach supermarketów. Marzył o kupieniu sobie porsche, lecz choć zarabiał bardzo dużo, wciąż powtarzał, że nie stać go na taki wydatek. Zadawał się więc małym plastikowym modelem najnowszego porsche carrery, który trzymał na eksponowanym miejscu w biurze.

– Masz najbardziej zadziwiającą odmianę impulsywnej obsesji, z jaką się do tej pory zetknąłem – powiedział mu kiedyś zaprzyjaźniony psychiatra, a Cheeseman uznał to za komplement.

W kancelarii był jednak powszechnie lubiany. Nie traktował z góry młodszych pracowników, którzy nie legitymowali się dyplomem Harvardu, jak to czyniło wielu jego kolegów. Nie należał do żadnego stronnictwa w firmie i nigdy nie zostawał po godzinach, żeby wymieniać plotki o klientach i ich sprawach, o wrogach i przyjaciółach. Wyznawał zasadę, że nie wolno dać sobie wleźć na głowę, toteż wyznaczał ściśle granice swojego zaangażowania w sprawy kancelarii. Wielu młodych adeptów prawa, którzy przesiadywali w biurze do późnej nocy i poświęcali wolne dni na pracę w nadziei, że uda im się błyskawicznie awansować na wspólnika, podziwiała Cheesemana za jego nieugiętość, choć zazwyczaj nie mieli odwagi, by pójść w jego ślady.

Cheeseman zwrócił się o pomoc do kolegi i ten pokrótce scharakteryzował mu należące do Grace'a zakłady w Woburn. Fabryka, zbudowana w 1960 roku, zatrudniała około stu osób przy produkcji narzędzi i urządzeń do próżniowego pakowania żywności – przede wszystkim mięsa, wędlin czy gotowych kanapek – w specjalną folię, także produkowaną przez koncern Grace'a w zakładach w Indianie, Iowa i Teksasie. Z dokumentacji wynikało, że w fabryce w Woburn zaledwie raz, na początku lat sześćdziesiątych, wykorzystywano trichloroetylen, kupiono jednak tylko jedną dwustulitrową beczkę tego rozpuszczalnika. Używano go do ręcznego odtłuszczenia drobnych metalowych części. Nie dało się zatem wykluczyć, że robotnicy wylali pewną ilość zużytej cieczy do rowu biegnącego za terenem zakładów. W grę wchodziły jednak niewielkie objętości, z pewnością nie takie, jak zapewniał Cheesemana kolega, które mogłyby silnie zanieczyścić ujęcia wody pitnej, usytuowane kilkaset metrów dalej.

Jeden z dyrektorów fabryki pokazał adwokatowi zarejestrowaną na kasecie wideo konferencję prasową Schlichtmanna dotyczącą złożonego pozwu. Reportaż zaczynał się od panoramicznego ujęcia zakładów w Woburn. Sfilmowany przed ich bramą dziennikarz zapowiedział:

– Adwokaci występujący w imieniu kilku rodzin mieszkających we wschodniej części Woburn oskarżają zakłady chemiczne Grace'a o zanieczyszczenie środowiska rozpuszczalnikami i odpadami przemysłowymi, z których chemikalia przedostały się do wody pitnej i w efekcie spowodowały śmierć pięciorga dzieci.

W następnym ujęciu pokazano dość dużą, choć nisko sklepioną salę konferencyjną. Cheeseman ujrzał wysokiego i szczupłego mężczyznę w eleganckim

ciemnym garniturze i czerwonym krawacie spiętym złotą spinką. Stał przed regałem zastawionym oprawionymi w skórę książkami prawniczymi.

– Jednym z adwokatów reprezentujących rodziny z Woburn jest Jan Schlichtmann – ciągnął reporter. – Panie Schlichtmann, czego pańscy klienci spodziewają się po rozprawie sądowej?

Tamten śmiało spojrzął w obiektyw kamery i odpowiedział:

– Przede wszystkim zależy nam na uzyskaniu odszkodowania od winnych śmierci dzieci. Pragniemy, aby pozwane firmy zaprzestały zanieczyszczania środowiska naturalnego chemikaliami i oczyściły teren, który został do tej pory skażony.

Później Schlichtmann zaczął obszernie wyjaśniać, że zgromadzone dowody jasno wykazują, iż od dwudziestu lat, czyli od chwili uruchomienia produkcji, zakłady Grace’a zanieczyszczają całą okolicę różnymi chemikaliami.

Na zakończenie reporter nadmienił, że grupa mieszkańców Woburn wystąpiła już do władz miejskich z wnioskiem o zamknięcie fabryki.

Cheeseman natychmiast uznał, że wystąpienie Schlichtmanna było wysoce nieprofesjonalne. Jakiegokolwiek publiczne komentarze do wysuwanych formalnie zarzutów, a tym bardziej omawianie materiału dowodowego, stały w jawnej sprzeczności z zasadami etyki zawodowej. Za takie postępowanie palestra mogła ukarać adwokata. Dość młody jeszcze Schlichtmann sprawiał wrażenie mało doświadczonego, Cheesemanowi przyszło więc na myśl, że być może chciał w ten sposób zdingować zarząd fabryki do podjęcia energicznych działań, a może zależało mu jedynie na osiągnięciu szybkiej ugody.

Po powrocie do biura zaczął rozpytywać kolegów, ale nikt z kancelarii nie słyszał dotąd o Schlichtmannie. Nawet specjalnie go to nie zaskoczyło, skoro firma tak rzadko miała do czynienia z cywilnymi wystąpieniami o odszkodowanie. Z informatora prawnego Martindale’a-Hubble’a dowiedział się, że trzydziestoletni Schlichtmann jest absolwentem wydziału prawa Uniwersytetu Cornell, lecz zdał egzaminy kwalifikacyjne do palestry zaledwie przed czterema laty.

– Jest dokładnie tak zielony, na jakiego wygląda – rzekł w rozmowie z jednym ze współników.

Doszedł do wniosku, że będzie musiał udzielić tamtemu gorzkiej lekcji na temat występowania przeciwko takim firmom jak kompania W. R. Grace’a. Przede wszystkim postanowił przenieść sprawę ze stanowego sądu najwyższego do sądu federalnego, na tej podstawie, że pozwana firma działa nie tylko w wielu stanach, lecz również poza granicami kraju. Był dogłębnie przekonany, że w instytucjach federalnych pracują sędziowie znacznie lepsi, a zarazem odporniejsi na ludzkie cierpienia i bardziej tolerancyjni wobec ewentualnych sprawców tych nieszczęść.

Napisał więc list do Schlichtmanna i Roismana, doradzając im wycofanie pozwu. Pisał w nim: „Jeżeli panowie nie cofną bezpodstawnych oskarżeń, muszą się liczyć z ewentualnością podjęcia przez nas stanowczych kroków zmierzających do oddalenia pozwu oraz uzyskania od panów finansowej rekompensaty za stracony czas”.

Cheeseman nie otrzymał odpowiedzi na swój list. Przez całe lato i wczesną jesień nic nie było słyhać o sprawie Woburn, co go bardzo cieszyło. Zaczął już podejrzewać, że Schlichtmann skorzystał z jego rady. Takie rzeczy się zdarzały, często zbyt gorliwi prawnicy przedwcześnie formułowali zarzuty, a dopiero później zaczynali się zastanawiać nad swoimi szansami na wygranie procesu. Wyglądało więc na to, iż rzeczników powodów odstraszył jego list.

Dopiero pewnego październikowego ranka przekonał się ze zdumieniem, że sprawa wcale nie przycichła. Schlichtmann przysłał mu bowiem obszerne materiały, a wśród nich pięćdziesiąt dwie strony pytań dotyczących historii i technologii stosowanych w zakładach Grace'a. Zgodnie z przepisami musiał odpowiedzieć na oficjalne zapytanie w ciągu miesiąca, ale nie miał na to najmniejszej ochoty. Zaczął przygotowywać kontrposunięcie, jakie zaplanował jeszcze na wiosnę.

Postanowił sięgnąć po jedną ze swoich ulubionych metod, które przyniosły mu reputację fachowca od zduszania rozmaitych wystąpień w zarodku. Wśród wielu przepisów proceduralnych Kodeksu Cywilnego znajdował się dość mało znany i rzadko wykorzystywany paragraf jedenasty, wprowadzony pół wieku wcześniej, w 1938 roku. Miał on zapobiegać lekkomyślnym i nieuzasadnionym pozwom, był jednak na tyle niejasno sformułowany i tak łatwy do zakwestionowania, że mało kto decydował się tracić czas i składać oparte na nim wnioski formalne. Cheeseman nie miał takich oporów, tym bardziej że obilo mu się o uszy, iż senacka komisja prawa rozpoczęła już prace na nowelizacją tego paragrafu. Między innymi zamierzano znacznie zaostrzyć kary dla adwokatów występujących z „bezwstydnymi i kłamliwymi” oskarżeniami, poszerzając je o wysokie grzywny, publiczną naganę oraz zawieszenie prawa wykonywania zawodu. Nadal obowiązywały jeszcze stare przepisy, lecz mimo to Cheeseman postanowił się do nich odwołać, był bowiem przekonany, że każdy zarzut sprawy Woburn da się zakwalifikować jako lekkomyślny i bezzasadny.

„Nie ulega wątpliwości, że przepisy paragrafu jedenastego powinno się stosować jedynie w najpoważniejszych wypadkach”, napisał w uzasadnieniu do wniosku o oddalenie pozwu. Dalej jednak systematycznie wyliczał przyczyny, które zmusiły go do powoływania się na te przepisy. Największym zaskoczeniem był dla niego artykuł opublikowany w „Providence Journal” dwa tygodnie po złożeniu pozwu w kancelarii sądu. W rozmowie z dziennikarzem zbierający materiały współpracownik Roismana powiedział otwarcie, że „nie ma żadnych dowodów na istnienie związku między losem poszkodowanych rodzin, zanieczyszczeniami występującymi w wodzie pitnej oraz dwoma pozwanymi przedsiębiorstwami, a oskarżenia zostały sformułowane »tylko na wycucie«. Dość bezpiecznie można jednak założyć istnienie takich powiązań”.

Skoro osoba odpowiedzialna, współpracująca z rzecznikami powodów, wypowiadała się publicznie o braku formalnych podstaw do formułowania zarzutów, było oczywiste, że pozew należy oddalić na podstawie przepisów paragrafu jedenastego. W dalszej części uzasadnienia Cheeseman podkreślał, iż nie zostało naukowo udowodnione, że trichloroetylen bądź tetrachloroetylen mogą wywoływać białaczkę.

Co więcej, w raporcie ze wspólnych badań Agencji Ochrony Środowiska oraz Centrum Badań Epidemiologicznych znalazło się stwierdzenie, że „brak jest danych, by substancje wykryte w wodzie ze studni G i H powodowały białaczkę”.

Wreszcie przytaczał wniosek, że te same badania nie ujawniły, by obecne w wodzie zanieczyszczenia pochodziły z zakładów Grace’a. Autorzy raportu sygnalizowali konieczność prowadzenia dalszych prac w tym zakresie. Więc jeśli specjaliści z agencji nie potrafili określić źródeł toksycznych chemikaliów, to jakim cudem udało się to Schlichtmannowi i Roismanowi? Dla niego było oczywiste, iż pozwano zakłady Grace’a tylko dlatego, że należały do koncernu wartego sześć miliardów dolarów i powszechnie zaliczanego do branży chemicznej.

W trakcie pracy nad wystąpieniem Cheeseman postanowił skontaktować się z Jacobsem z kancelarii Hale’a i Dorra, by poinformować go o swoich planach. Wychodził z założenia, że oba pozwane przedsiębiorstwa powinny w tej sprawie ściśle ze sobą współdziałać. Poznał Jacobsa jeszcze latem, kiedy przygotowywał wniosek o przeniesienie sprawy do sądu federalnego, na co tamten ochoczo się zgodził, miał więc nadzieję, że i teraz uzyska jego poparcie. Po cichu liczył też, że nazwisko Fachera, głównego obrońcy koncernu Beatrice Foods, nada odpowiedniej rangi jego wystąpieniu.

W rozmowie telefonicznej Jacobs wyraził zainteresowanie powołaniem się na przepisy paragrafu jedenastego. Obiecał, że porozmawia z Facherem w tej kwestii i oddzwoni do niego.

3

Tymczasem w Woburn nie tylko dzieci zapadały na białaczkę. Choroba zatakowała także Rolanda Gamache’a, który mieszkał z żoną, Kathryn, oraz dwójkiem dzieci na osiedlu Pine Street, niedaleko Zonów, o kilka przecznic od domu Anne Anderson. Latem 1980 roku trzydziestopięcioletni Gamache uraził się w kostkę podczas jazdy na nartach wodnych, kiedy spędzał urlop w swoim domku letniskowym w New Hampshire. Mimo że przez kilka godzin nie mógł powstrzymać krwawienia, nie potraktował rozcięcia poważnie. Tydzień później udał się do dentysty na usunięcie kamienia nazebnego, a następnego ranka obudził się z ustami pełnymi krwi, na poplamionej poduszce. Dopiero wtedy poddał się dokładnym badaniom w New England Medical Center, a ich rezultaty ujawniły u niego chroniczną białaczkę mielogeniczną.

Gamache’owie wiedzieli z doniesień prasowych o wykryciu we wschodnim Woburn ogniska zachorowań na białaczkę. Wiedzieli też, że chłopiec Zonów zmarł na tę chorobę. Zнали ponadto Patricia Toomeya, który był ministrem w ich kościele, natomiast córka, Amy, chodziła do jednej klasy z Kevinem Kane’em. Po wykryciu u Rolanda choroby Kathryn zapytała lekarkę, czy przyczyną białaczki u męża może być zła jakość wody pitnej, ta jednak odpowiedziała, że nie wie, bo przyczyny występowania białaczki nie są jeszcze znane.

Przez dwa lata od postawienia diagnozy Roland czuł się dobrze, nie brał żadnych leków i często się nawet dziwił, że jego choroba uważana jest za śmiertelną. Specjaliści nie pozostawiali mu jednak złudzeń, na jego natarczywe pytania odpowiadali, iż ma przed sobą najwyżej osiem lat życia. To skłoniło go do poświęcenia każdej wolnej chwili nieźle prosperującej rodzinnej firmie transportowej o nazwie Severance Trucking, dysponującej pięćdziesięcioma ciężarówkami i zatrudniającej osiemdziesięciu pracowników. Roland zaczął żyć nadzieją, że doczeka, aż jego dwoje dzieci ukończy szkołę średnią i podejmie naukę w college'u.

Przed wykryciem u Rolanda choroby Gamache'owie nie interesowali się problemem białaczki, nie uczestniczyli więc w zebraniach w Kościele Episkopalnym Świętej Trójcy. Nic nie wiedzieli również o szykowanym pozwie, dopóki pewnego wieczora w kwietniu 1982 roku – miesiąc przed oficjalnym złożeniem przez Schlichtmanna dokumentów w sądzie – nie odwiedziła ich Joan Zona. Zapytała Rolanda, czy nie chciałby dołączyć do grupy powodów. Wyjaśniła, że adwokaci pragną zdobyć jak najwięcej podpisów mieszkańców Woburn, których rodziny zostały dotknięte białaczką. Roland obiecał, że się nad tym zastanowi. Po dyskusji z Kathryn doszedł do wniosku, że jeśli tylko ta forma masowego protestu nakłoni przedsiębiorstwa do większej troski o stan środowiska naturalnego, jego obowiązkiem jest się do niego przyłączyć. Dowiedział się ponadto, że trichloroetylen obecny w wodzie może wywoływać podrażnienia skórne, a jego dzieci bezskutecznie walczyły z rozmaitymi wykwitami od czasu uruchomienia obu kwestionowanych ujęć wody. Nie chcąc narażać ich na dalszą styczność z toksycznymi chemikaliami, postanowił dołączyć do grona powodów.

Gamache'owie wybrali się do Bostonu na rozmowę ze Schlichtmannem. Długo musieli odpowiadać na pytania dotyczące ich rodziny, w końcu podpisali odpowiednie dokumenty. Jednakże od tamtej pory niewiele się zastanawiali nad formalnymi aspektami sprawy.

Kilka miesięcy później, jesienią 1982 roku, Roland postanowił się wybrać z ośmioletnim wówczas synem do Bostonu na mecz hokejowy drużyny Bruins. Miał wykupione dwa bilety na cały sezon, ale ponieważ chłopak chciał zabrać ze sobą dwóch kolegów, potrzebne były dwa dodatkowe bilety. Roland wiedział, że zarząd garbarni ma do dyspozycji pewną liczbę wejściówek, zdecydował się więc zadzwonić do właściciela firmy i zaproponować mu wymianę: odstąpienie dwóch biletów na mecz koszykarskiego zespołu Celtics w zamian za wypożyczenie kart wstępu na lodowisko. Nawet nie znał Jacka Riley'a, nie wiedział też, że jest on jednym z pozwanych w założonej sprawie.

Kiedy zadzwonił po południu do garbarni, dowiedział się od sekretarki, że dyrektora nie ma w biurze, niedługo jednak wróci, toteż ona chętnie przekaze wiadomość.

Gdy tylko Riley wrócił z lunchu i przeczytał leżącą na biurku notatkę, natychmiast skojarzył, że nazwisko Rolanda Gamache'a figuruje także na liście powodów wystosowanego przeciwko niemu pozwu. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego ten człowiek proponuje mu wymianę biletów, skoro jednocześnie występuje przeciwko niemu do sądu.

– Proszę mu przekazać, że będę na niego czekał – powiedział sekretarce. – Chciałbym z nim porozmawiać.

Gamache przyjechał do garbarni tuż przed zmierzchem. Na powitanie serdecznie uściśnął dłoń Riley'a, uśmiechnął się przyjaźnie i zaczął mówić o proponowanej wymianie biletów.

– Nie lubię koszykówki – odparł Riley lodowatym tonem.

Roland, jakby speszony marsową miną rozmówcy, szybko wstał z krzesła i bąknął:

– No cóż, w takim razie...

– Mówiłem o sobie, a to wcale nie oznacza, że ktoś z moich pracowników nie będzie zainteresowany tymi biletami. Chciałem zapytać o coś innego. Dlaczego proponuje mi pan wymianę biletów, jednocześnie występując przeciwko mnie do sądu?

– Do sądu? – zdziwił się Gamache.

– Owszem. – Riley obrzucił go uważnym spojrzeniem. – To prawda, że jest pan chory na białaczkę?

– Tak, jestem – odparł tamten z ociąganiem.

– No więc o co mnie pan oskarża?

– Nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

– Należy pan do grona osób, które wystąpiły z pozwem przeciwko koncer-nowi Beatrice Foods, a konkretnie przeciwko mojej garbarni.

Gamache nie potrafił ukryć zdziwienia. Przez parę sekund rozmyślał gorączkowo, co odpowiedzieć. Poruszył się nerwowo na krześle.

– Proszę posłuchać... – mruknął. – Bardzo mi przykro... Chyba lepiej już sobie pójdę. Nie wiedziałem, że pozew jest skierowany przeciwko pańskiej garbarni. Prawnicy szukali osób, które mogłyby powiększyć grupę powodów... Przede wszystkim zależy nam na powstrzymaniu firm zanieczyszczających środowisko...

– Powinien pan wiedzieć, Rolandzie, że urodziłem się i wychowałem w tym mieście – odparł Riley. – Byłem przewodniczącym komitetu szkolnego, zasiadałem w komisji planowania i w radzie nadzorczej naszego banku. Całe życie poświęciłem tutejszej społeczności. I ja także korzystam z wody dostarczanej siecią miejską, więc musiałbym być szaleńcem, by ją zatrwać jakimiś odpadami przemysłowymi. To pan bardziej zanieczyszcza środowisko, robiąc jedną wymianę olejów w swoich ciężarówkach, niż ja przez cały okres kierowania garbarnią. Nigdy nie wywoziłem do lasu żadnych śmieci i nie robi tego również Beatrice Foods. Zatem jak można oskarżać moją firmę o to, że przyczyniła się do zachorowań dzieci na białaczkę?! Do cholery, jak można w ogóle w ten sposób myśleć?!

Zaskoczony tym wybuchem Gamache znów wstał z krzesła, lecz Riley ciągnął dalej, spokojnym, łagodnym tonem:

– Proszę nie traktować tego jak przejaw arogancji, ale ja także mam w rodzinie przypadek białaczki. Choruje moja siostra z Rhode Island, która w swoim życiu nie wypila ani kropli wody wodociągowej z Woburn. Doskonale zdaję sobie sprawę, jakie emocje budzą tego rodzaju choroby.

– Najbardziej boję się tego – odparł Gamache – że władze miejskie znów będą musiały uruchomić oba ujęcia. Za żadne skarby nie chciałbym więcej narażać dzieci na kontakt z tą wodą. Tylko dlatego zdecydowałem się podpisać pozew.

– Przede wszystkim woda z tych cholernych studni nigdy nie powinna trafić do sieci miejskiej. Powiedział mi to Denny Maher, który je wydrążył. Jego zdaniem woda z tych studni nadaje się wyłącznie do celów przemysłowych. Ja natomiast prowadzę czysty zakład, między innymi dlatego w mieście pozostała już tylko moja garbarnia. – Riley otworzył szufladę i wyjął karty wstępu na lodowisko. – Proszę z nich skorzystać. Może któregoś dnia poproszę pana o bilety na mecz koszykówki.

Po wyjściu Gamache’a Riley zadzwonił do Jacobsa, by mu opowiedzieć o całym zdarzeniu.

– Ten facet nawet nie miał pojęcia, przeciwko komu złożył pozew! – oznajmił. – Przyznał, że podpisał dokumenty, gdyż namawiał go do tego adwokat.

W ten sposób Jacobs zyskał podejrzenia, że to Schlichtmann namawiał mieszkańców Woburn do złożenia w sądzie pozwu, zaczął się więc zastanawiać, czy wnieść przeciwko adwokatowi oskarżenia o baraterię, czyli złośliwe wnoszenie bezzasadnego powództwa. To archaiczne wykroczenie, którego pierwotnie dopuszczali się kapitanowie statków działający na niekorzyść armatora, obecnie rzadko bywało tematem rozpraw, choć na początku stulecia, nim jeszcze w radzie pałestry zasiadło nowe pokolenie prawników, uznawane było za jeden z najcięższych zarzutów stawianych adwokatom występującym w sprawach cywilnych. Mimo to słowa Gamache’a, przekazane mu przez Riley’a, sugerowały właśnie tego rodzaju wypadek.

Jacobs wspomniał o tym Facherowi, ale ten zlekceważył jego wnioski. Powiedział również szefowi o planowanym przez Cheesemana wystąpieniu opartym na przepisach paragrafu jedenastego, lecz i ten pomysł nie przypadł mistrzowi do gustu.

– Takie posunięcia nie mają większych szans powodzenia – oświadczył Facher, po czym przytoczył jedną ze swoich ulubionych maksym: – Przede wszystkim liczy się skuteczność działania. Jeśli chcemy wyeliminować kogoś z gry, trzeba to zrobić raz a dobrze, by na zawsze pozbyć się kłopotu.

Jacobs natychmiast zadzwonił do Cheesemana, by powiadomić go, że Facher nie autoryzuje wniosku o oddalenie pozwu na podstawie paragrafu jedenastego. Następnie dodał szybko, że jest jeszcze coś, co tamtemu może się przydać do wystąpienia, po czym opisał przebieg rozmowy między Rileyem a Rolandem Gamache’em. Dodał też, że jeśli Cheeseman nadal myśli o zduszeniu sprawy w zarodku wobec uchybień proceduralnych, może również wziąć pod rozwagę ewentualność oskarżenia Schlichtmanna o baraterię.

Cheesemanowi pomysł się spodobał. Był rozczarowany, że Facher nie poprze jego wniosku, chciał jednak wykorzystać wszelkie dostępne środki do wyeliminowania Schlichtmanna z gry. A zarzut stosowania baraterii doskonale pasował do wystąpienia o oddalenie pozwu na podstawie paragrafu jedenastego.

Dlatego w swoim piśmie dodał jeszcze jeden punkt, w którym napisał: „Dysponujemy bezspornymi dowodami na to, iż rzecznik powodów dopuścił się baraterii, chociaż na tym etapie muszą one pozostać objęte tajemnicą wymiany informacji, do jakiej mają prawo obrońcy obu pozwanych firm”. A ponieważ źródło tej informacji, przynajmniej teoretycznie, objęte było prawem zachowania przez adwokata w sekrecie wszelkich wiadomości udostępnionych przez klienta, Jacobs nie miał również obowiązku ujawniania go przed Schlichtmannem. Jednakże w celu uwiarygodnienia swoich oskarżeń w piśmie skierowanym do sądu okręgowego dodał: „Gdyby Wysoki Sąd zdecydował się jednak zorganizować przy drzwiach zamkniętych przesłuchanie w tej sprawie, rzecznik W. R. Grace Co. gotów jest złożyć zeznania pod przysięgą”.

Oprócz nagannego oświadczenia złożonego przedstawicielom prasy („mającego na celu jedynie wzbudzenie sensacji”, jak ocenił Cheeseman) Schlichtmann i Roisman zostali oskarżeni o sformułowanie bezzasadnego pozwu i osobiste zaangażowanie w nagabywanie klientów, czyli poważne uchybienia względem zasad etyki zawodowej. Tego rodzaju działalność nie mogła się spotkać z aprobatą żadnego sędziego, natomiast odpowiednia komisja palestry powinna od razu podjąć kroki dyscyplinarne. Schlichtmannowi groziła co najmniej publiczna nagana.

4

Wniosek Cheesemana spowodował, że sprawa Woburn została przeniesiona ze stanowego sądu najwyższego do federalnego okręgowego, a jej akta trafiły do kancelarii wydziału cywilnego, mieszczącej się na trzynastym piętrze gmachu Johna McCormacka w śródmieściu Bostonu. Została wpisana do rejestru pod numerem 4 811, bo tyle właśnie spraw napłynęło do sądu okręgowego od początku roku. Kierownik kancelarii rozdzielał je między dziewięciu pracujących tu sędziów metodą losową, co miało zapobiec wszelkim targom adwokatów pragnących występować tylko przed sędzią najbardziej im przychylnym.

Po wciągnięciu akt do rejestru otworzył więc szufladę i na chybił trafił wyjął z pudełka jedną z dziewięciu kopert. Otworzył ją, wysunął ze środka kartonik i odczytał: W. J. Skinner.

Sędzia Walter Jay Skinner miał w tym czasie na wokandzie ponad pięćset spraw, a każdego miesiąca kancelaryjna loteria dorzucała dwadzieścia bądź trzydzieści nowych. Co prawda większość z nich kończyła się polubowną ugodą, ale do jej zawarcia najczęściej dochodziło dopiero po interwencji sędziego, który wzywał do gabinetu rzeczników obu stron i z zaskoczenia wyznaczał im pierwszy dostępny termin rozprawy. To zwykle skutkowało. A Skinner dokładał także innych starań, aby skrócić listę spraw oczekujących na jego wokandzie. Był pięćdziesięciosześcioletnim absolwentem Harvardu, miał szpakowate włosy, łagodne błękitne oczy i nosił okulary w kościanej oprawce. Zawsze pilnie dbał o zachowanie właściwych form. W towarzystwie mówił do żony: pani Skinner, a gdy kiedyś jeden z zaprzyjaźnionych urzędników odezwał się do niej po imieniu: Sylvia,

sędzia spiorunował go wzrokiem. W bostońskiej palestrze cieszył się reputacją bardzo solidnego i bezstronnego, lecz powszechnie znana była też jego obcesowość i brak cierpliwości. Do adwokatów zwracał się często:

– Panowie, bądźcie uprzejmi wreszcie zapiąć spodnie i zabrać się do roboty. Nie zamierzam czekać z rozprawą do czasu, aż któryś z waszych pomocników trafi w bibliotece na coś ciekawego.

Zdarzyło mu się kiedyś obu rzeczników występujących w procesie ukarać obowiązkowym zaliczeniem uniwersyteckiego kursu procedur sądowych za źle przygotowane wystąpienia i nieumotywowane wnioski formalne. Często uderzał otwartą dłońią w kant stołu sędziowskiego i ostrzegał groźnym tonem:

– No, dość tego! Życie jest za krótkie!

Z lubością grywał w tenisa, a gdy tylko czas mu na to pozwalał, wchodził na czternaste piętro gmachu po schodach. Byłby wysokim i przystojnym mężczyzną o arystokratycznym wyglądem, gdyby nie drobna przypadłość: chodził wyraźnie przygarbiony. W roku 1948, jeszcze przed ukończeniem Harvard College, wykryto u niego deformację kilku dysków kręgosłupa. Z wiekiem wada coraz bardziej dawała o sobie znać i teraz Skinner poruszał się na lekko ugiętych nogach, pochylony ku ziemi, z zadartą głową, jak gdyby wечно dźwigał na ramionach niewidoczny ciężar.

Był zbyt zajęty na to, by choćby pobieżnie zapoznawać się z każdą przydzielaną mu sprawą, ale pozew mieszkańców Woburn potraktował jak wyjątek. Czytał w prasie o wykryciu ogniska zachorowań na białaczkę, także z gazet znał z grubsza sformułowane przez Schlichtmanna zarzuty. Widział nawet krótki reportaż nadany w wieczornym dzienniku telewizyjnym i sam był zdania, że wypowiedzi adwokata wykraczają poza reguły etyki zawodowej, ale jego zdaniem ocenę należało pozostawić komisji miejscowej palestry. Pamiętał zresztą Schlichtmanna, gdyż trzy lata wcześniej spotkali się na sali rozpraw. Wówczas nawet polubił prosto dusznego, wypowiadającego się otwarcie adwokata. Ponadto od początku uznawał jego racje. Schlichtmann reprezentował wtedy Clamshell Alliance, organizację społeczną protestującą przeciwko uruchomieniu kolejnego reaktora w elektrowni jądrowej Seabrook. Kiedy przywódcy ruchu postanowili zorganizować marsz protestacyjny przez Salisbury, zwrócili się do władz miasta o stosowne zezwolenie. Inne ugrupowania, zrzeszenia weteranów czy komitety organizacyjne świątecznych festynów, otrzymywały je bez kłopotu, ale naczelnik policji nie wyraził zgody na przemarsz zwolenników Clamshell Alliance. Skinner pamiętał, że po krótkiej rozprawie wydał wyrok korzystny dla klientów Schlichtmanna i udzielił napomnienia naczelnikowi policji za łamanie konstytucyjnych praw obywateli. Po ogłoszeniu wyroku Schlichtmann wystąpił z wnioskiem, by jego honorarium zostało wypłacone z kasy miejskiej Salisbury.

To już się Skinnerowi mniej podobało. Po namyśle odrzekł:

– Uważam, że pański klient powinien się cieszyć z wyroku, a więc szybko zwinąć manatki i zniknąć mi z oczu.

– Właśnie tego się obawiam, Wysoki Sądzie, że weźmie do serca tę radę, a ja zostanę na lodzie.

Skinner przyjął to z uśmiechem.

- Jaka jest pańska stawka?
- Sześćdziesiąt dolarów za godzinę.

Sędzia popatrzył na rzecznika magistratu i zapytał:

- Czy pańskim zdaniem pan Schlichtmann jest wart tych sześćdziesięciu dolarów za godzinę?
- Raczej tak, Wysoki Sądzie – odparł z ociąganiem adwokat.
- W takim razie proszę mu zapłacić – zawyrokował Skinner.

Kiedy w połowie listopada do kancelarii wpłynął wniosek o oddalenie pozwu na podstawie paragrafu jedenastego, sędzia przeczytał go z wielkim zainteresowaniem. Podczas swej dziewięcioletniej kariery w sądzie federalnym nie spotkał się jeszcze z podobnym wypadkiem, nie słyszał też, by miał z nim do czynienia któryś kolega z wydziału cywilnego. Był przekonany, że faktycznie do sądów wpływa zbyt wiele pochopnych i nieuzasadnionych pozwów, określał je mianem „śmiecia” obciążającego również jego wokandę. Słyszał też o podjętych pracach nad nowelizacją paragrafu jedenastego i gorąco je popierał. Jego zdaniem należało wręcz dopingować adwokatów do częstszego korzystania z możliwości, jakie stwarzały te przepisy.

Jednak takie niecodzienne wystąpienie według Skinnera wymagało powołania obwinionego adwokata na świadka i wysłuchania jego odpowiedzi na zarzuty stawiane przez autora wniosku. A tego rodzaju posunięcia, podobnie jak i samo odwołanie się do przepisów paragrafu jedenastego, zdarzały się nadzwyczaj rzadko. W końcu zadaniem każdego adwokata procesowego była obrona racji jego klienta, a nie występowanie w roli przesłuchiwanego, tym bardziej że jego zeznania mogły stać się przyczyną oddalenia pozwu. Mimo to sędzia był przekonany, że zarzuty postawione we wniosku zmuszają go do umożliwienia Cheesemanowi publicznego przesłuchania Schlichtmanna. I tak też postanowił uczynić.

Złożony w kancelarii wniosek był poparty niezwykle obszernym uzasadnieniem. Skinner wiedział jednak, że kancelaria Foley, Hoag & Eliot specjalizuje się w takich dokumentach, wręcz uważa to za swój znak firmowy, co już nieraz doprowadzało go do irytacji. A ponieważ miał wiele spraw na głowie, zaledwie przejrzał uzasadnienie Cheesemana. W ten sposób uszedł jego uwagi sformułowany na stronie dziewiątej zarzut o baraterię.

Poprosił urzędnika kancelarii, by sprawie rozpatrzenia wniosku przydzielił najbliższy wolny termin i powiadomił o tym obu zainteresowanych prawników. Ten znalazł lukę w napiętym terminarzu Skinnera i wysłał pocztą zawiadomienia, wzywające Cheesemana i Schlichtmanna do stawienia się przed sądem w czwartek, 6 stycznia, o czternastej piętnaście. Według standardowego tekstu wezwania obaj mieli się przygotować do przedstawienia koniecznego materiału dowodowego i złożenia ustnych zeznań.

Schlichtmann zatelefonował do Cheesemana jeszcze tego samego ranka, gdy otrzymał pocztą kopię złożonego w sądzie wniosku. Nigdy wcześniej ze sobą nie rozmawiali.

– Chyba wiesz, że te zarzuty są po prostu śmieszne – rzekł ostro. – A oskarżenie mnie o baraterię zakrawa już na kpinę i jest zwykłym oszczerstwem.

– Być może, ale równie śmieszne są oskarżenia stawiane przez ciebie mojemu klientowi – odparł Cheeseman.

– Domagam się, byś wycofał wniosek. Nie lepiej zając się ważniejszymi sprawami?

– Jeżeli ty wycofasz pozew, ja natychmiast wycofam wszelkie zarzuty przeciwko tobie.

– Wiesz dobrze, że nie mogę wycofać pozwu.

– Więc bądź przygotowany na to, że mój klient użyje przeciwko tobie wszelkich możliwych oskarżeń.

Chłodne, wyważone odpowiedzi Cheesemana doprowadziły Jana niemal do furii.

– Posłuchaj, łajdaku! Masz natychmiast wycofać wniosek!

– Ani mi się śni!

Schlichtmann cisnął słuchawkę na widelki. Z trudem oddychał przez zaciśnięte zęby, poczerwieniał mocno i był tak wściekły, że ręce mu się trzęsły. Conway nigdy go jeszcze nie widział aż tak wzburzonego.

– To jakiś kretyn! – wrzasnął Jan. – Ale jeśli sędzia mu uwierzy, mogę zostać oskarżony o nieetyczne postępowanie i nawet usunięty z palestry!

Roisman przytęczał z Waszyngtonu, żeby wstępnie omówić z nim strategię składania zeznań przed sędzią Skinnerem. W wezwaniu było wyraźnie zaznaczone, że przed sądem mają się stawić obaj rzecznicy powodów i obaj muszą być przygotowani na przesłuchanie. Roisman twierdził więc, że nie ma innego wyjścia, jak podporządkować się decyzji sędziego. Natomiast Schlichtmann nie godził się na składanie wyjaśnień.

– A jeśli Skinner wyda ci taki nakaz? – zapytał Conway.

– I tak nie będę zeznawał. To niezgodne z prawem. Jestem rzecznikiem moich klientów, więc nawet sędzia nie może mnie zmusić, bym zeznawał przeciwko nim.

– Może cię ukarać za lekceważenie postanowień sądu.

– Nic mnie to nie obchodzi, i tak nie będę zeznawał.

– Więc pozostanie mu tylko wtrącić cię do aresztu. Chyba wiesz, jakie warunki panują w więzieniu przy Charles Street – tłumaczył Conway. Oczywiście wyobraźni już widział kolegę w wyglansowanych pantoflach, eleganckim krawacie marki Hermès i garniturze wartym tysiąc dolarów, siedzącego bezradnie z długopisem w dłoni wśród pijaków, złodziei i narkomanów. – Szóstego stycznia lepiej zabierz ze sobą do sądu również szczoteczkę do zębów.

W końcu to właśnie Conway wpadł na pomysł, aby obrócić oskarżenie o baraterię przeciwko wnioskodawcy.

– W uzasadnieniu zaproponował wprost, żebyś złożył wyjaśnienia pod przysięgą, za zamkniętymi drzwiami, powołując się na tajemnicę zawodową. Nie wierzę, by sędziemu się to spodobało, prędzej go rozzłości taki wniosek. Czemu więc nie skorzystać z okazji i nie podsycić w nim złości na Cheesemana?

Schlichtmann zaczął się nad tym zastanawiać. Natychmiast pojął, że gdyby udało mu się przeciągnąć sędziego na swoją stronę od początku posiedzenia, być może Skinner cały wniosek o oddalenie pozwu potraktowałby bardziej sceptycznie. Podjął wreszcie decyzję, że zacznie mówić niemal bez przerwy, już od chwili przekroczenia progu sali sądowej, dopóki nie skupi uwagi sędziego tylko na oskarżeniu o baraterię. Nie umiał jedynie ocenić, jakie ma szanse powodzenia. Pamiętał, że Skinner bardzo lubi kontrolować wszystko, co się dzieje na jego sali rozpraw.

Postanowił też zabrać wszelkie materiały, a więc sprawozdania Agencji Ochrony Środowiska, raporty Centrum Badań Epidemiologicznych dotyczące analizy ogniska zachorowań na białaczkę, opracowania naukowe na temat toksykologii wykrytych w wodzie chemikaliów, wycinki prasowe – jednym słowem wszystko, co dotyczyło wody czerpanej w Woburn z ujęć G i H. Miał ochotę zgromadzić to na stole strony powodowej, przed nosem Skinnera, by udowodnić, jak wiele danych zgromadził dotąd na poparcie zarzutów. Wspólnie z Conwayem spakowali papiery do trzech wielkich pudeł kartonowych i ustawili je na wózku na kółkach. Rzeczywiście akta sprawy, nawet na tym etapie przygotowań, przedstawiały się imponująco.

Conway obrzucił fachowym okiem zgromadzoną dokumentację i rzekł:

– Nie zapomnij jeszcze przynieść szczoteczki do zębów.

6

6 stycznia 1983 roku niebo było szczelnie zaciągnięte chmurami, zanosilo się na kolejną śnieżycę. W to czwartkowe popołudnie z siedziby kancelarii Reed & Mulligan wyruszyła istna procesja – przodem kroczył Schlichtmann, mając po bokach Roismana i Conwaya, za nimi szli obaj właściciele firmy, dalej zaś kilkunastu przyjaciół i współpracowników, pragnących udzielić głównym bohaterom moralnego wsparcia, gdyż wieść o niezwykłym przesłuchaniu lotem błyskawicy rozeszła się w środowisku adwokatów procesowych. Cała grupa pomaszerowała Tremont Street, minęła kutą bramę cmentarza Old Granary, na którym spoczywała ją doczesne szczątki Paula Revere*, po czym skręciła w Milk Street.

Federalny sąd okręgowy dla dystryktu Massachusetts mieści się w budynku Johna McCormacka, dwudziestodwupiętrowym gmachu z granitu i czarnego marmuru, zbudowanym w latach trzydziestych i zajmującym cały rozległy kwartał.

* Amerykański bohater narodowy, bostoński złotnik (1735-1818), który podczas wojny o niepodległość wybrał się w długą podróż do Lexington, by ostrzec oddziały kolonistów o nadciągającej armii brytyjskiej (przyp. tłum.).

Jego masywna bryła o mrocznej kamiennej fasadzie i wąskich, wysokich oknach dominuje nad sąsiednimi zabudowaniami. Okna niższych pięter i boczne wejścia są zabezpieczone ciężkimi kratami z brązu, a nad sklepionym kopulasto głównym portykiem widnieje pendentyw z wielką płaskorzeźbą przedstawiającą orły trzymające włócznie, wyżej zaś, w strzelnicach blankowanego parapetu, gnieźdzą się sokoły wędrownie, które żerują na gołębiach kręcących się wiecznie po Post Office Square.

Na tle ciemnoszarego zimowego nieba gmach sądu wydał się Schlichtmannowi złowieszczy. Denerwowały go krople potu występujące na czoło i stale wilgotne dłonie. Źle spał ostatniej nocy, długo przewracał się w łóżku, rozmyślając o karach dyscyplinarnych, publicznej naganie i wydaleniu z palestry. Zaczął żałować, że w ogóle podjął się prowadzenia tej sprawy. Kiedy wjechali windą na czternaste piętro, gdzie znajdowała się podległa sędziemu Skinnerowi sala rozpraw numer 7, od razu poszedł do toalety. Umył starannie ręce, opłukał twarz zimną wodą, a potem dość długo wyglądał przez okno, żeby ochłonać.

W końcu przez ciężkie, obite skórą dwuskrzydłowe drzwi wszedł na salę – obszerną, wysoko sklepioną, wyłożoną czarną lakierowaną boazerią. Wzdłuż ścian stały szeregi żłobkowanych kolumn. Przez okna nad ławą przysięgłych do środka wpadało szarawe światło pochmurnego dnia. Od rozmieszczonych pod nimi, cicho szumiących starych żeliwnych grzejników biło lekko zatęchłe ciepłe powietrze. Wysoko ponad stołem sędziowskim o połyskliwym blacie z czarnego marmuru wisiało na ścianie koliste godło z brązu przedstawiające orła trzymającego w szponach strzały. Salę rozdzielała na dwie części masywna drewniana bariarka, bliżej wejścia ciągnęły się rzędy ław dla widzów, a po drugiej stronie znajdowały się stoły rzeczników obu stron, ława przysięgłych oraz stół sędziowski. Na prawo od niego, dokładnie naprzeciwko ławy przysięgłych, na podwyższeniu było miejsce dla świadków, składające się z wąskiego biurka o ciemnym lakierowanym blacie i obitego skórą wielkiego fotela.

Schlichtmann nie odczuwał już tremy, widok sali sądowej zazwyczaj go podniecał i budził lekkie zdenerwowanie. Jednak nigdy wcześniej nie występował w charakterze obwinionego, poczuł się więc, jakby miał ręce skute kajdankami. Dlatego też przepastne, nieprzytulne pomieszczenie wydało mu się posępne, a miejsce dla świadków, na którym sędzia zamierzał go dzisiaj posadzić, równie groźne jak krzesło elektryczne.

Razem z Roismanem i Conwayem zajął miejsce przy długim stole dokładnie na wprost stanowiska sędziowskiego, zwykle zarezerwowanym dla rzeczników powoda. Reszta jego świty rozlokowała się na widowni. Kilka minut później na salę wkroczyły dwie inne grupki, liczące łącznie ośmiu prawników. Schlichtmann nie znał żadnego z nich. Na czoło wysunął się wysoki, może czterdziestoletni mężczyzna o zdecydowanie za długich włosach, ubrany w staroświecki barani kożuszek i skórzaną czapkę z wąskim daszkiem. Energicznym krokiem podszedł do stołu obrony. Kiedy chwilę później odezwał się do kobiety w eleganckim żakiecie, siedzącej obok niego, Jan rozpoznał go po głosie. To był Cheeseman. Na lewo od niego, przy sąsiednim stole, zajęło miejsca dwóch mężczyzn. Starszy

miał około sześćdziesiątki, młodszy był w przybliżeniu równy wiekiem Schlichtmannowi. Pierwszy nosił szary garnitur, wyglądający na najtańszy wyrób z poliestru, drugi, niski i krępy, z sumiastymi wąsami, w okularach, odznaczał się okrągłą, pyzată twarzą. Ich także nie znał, domyślił się jednak, że reprezentują Beatrice Foods.

Otworzyły się drzwi za stołem sędziowskim i wszedł przez nie Skinner. Nawet obszerna czarna toga nie mogła zamaskować jego przygarbionej sylwetki.

– Proszę wstać – odezwał się woźny. – Sąd rozpoczyna obrady. Sprawa z powodztwa cywilnego numer osiemdziesiąt dwa łamane przez tysiąc sześćset siedemdziesiąt dwa, Anderson i inni kontra Grace i inni.

Sędzia powiódł po sali pełnym zdumienia wzrokiem.

– Rozpatrujemy w tej chwili tylko jedną sprawę? – zapytał woźnego. – Skąd się tu wzięło tak wielu prawników? – Spojrzał na adwokatów siedzących przy stołach obrony i od razu rozpoznał Fachera, którego znał od trzydziestu lat, nie tylko z licznych rozpraw, ale także z uniwersyteckich kursów. – Panie Facher, czy jest pan rzecznikiem którejs z stron w tej sprawie?

– Jestem rzecznikiem współpozwanego, Wysoki Sądzie – odparł tamten. – Ale to nie mój wniosek będzie dziś rozpatrywany.

– Rozumiem. Jeśli dobrze pamiętam, rozpatrujemy wniosek kancelarii Foleya i Hoaga. Złożony pozew niepotrzebnie już wzbudził spore zainteresowanie opinii publicznej. Jak sądzę, podniesione zostaną pewne kwestie dyscyplinarne, a jeśli do tego dojdzie, zajmie się nimi komisja etyki zawodowej palestry, lecz w oderwaniu od rozpatrywanej tu sprawy. – Urwał na chwilę, po czym dodał: – Zajmiemy się wyłącznie wnioskiem o oddalenie pozwu na podstawie paragrafu jedenastego.

Schlichtmann przez cały czas stał. Nie potrafił ocenić, czy Skinner go pamięta.

– Wysoki Sądzie, nazywam się Jan Schlichtmann...

– Tak, wiem.

– Wysoki Sądzie, to dla mnie niezwykła procedura...

– Dla mnie też – przerwał mu sędzia. – Przyznam jednak, że jestem zainteresowany wykorzystaniem przepisów paragrafu jedenastego. Moim zdaniem w przeszłości nazbyt często się o nim zapominało, przez co niepotrzebnie na wszystkich salach rozpraw każdego roku trzeba rozpatrywać mnóstwo prawniczego śmiecia.

Schlichtmann zaczerpnął głęboko powietrza.

– Chciałbym zwrócić uwagę Wysokiego Sądu na pewną bardzo istotną rzecz. Otóż pod oskarżeniem mnie o baraterię pan Cheeseman napisał, iż dysponuje specyficznymi i bezspornymi dowodami na poparcie zarzutu, że osobiście zaangażowałem się w nagabywanie klientów, co stanowi jawne naruszenie zasad etyki zawodowej i może być przyczyną usunięcia z palestry w razie udowodnienia winy. Mój oponent twierdzi, że zdobył te dowody na drodze objętej tajemnicą wymiany informacji z kancelarią Hale'a i Dorra, reprezentującą współpozwanego w tej sprawie. Zatem to prawnicy z tej właśnie kancelarii musieli powiadomić pana Cheesemana o moim niezgodnym z przepisami postępowaniu.

Skinner w zamyśleniu przygryzł wargi. Wyglądało na to, że dotąd w ogóle nie łączył wniosku o wycofanie pozwu z oskarżeniem Schlichtmanna o łamanie zasad etyki.

– Barateria? – mruknął po chwili. – I cóż to za objęta tajemnicą wymiana informacji? Od kogo one pochodziły?

– Od pracowników kancelarii Hale’a i Dorra reprezentujących koncern Beatrice Foods, do którego należy pozwana garbarnia Johna Rileya – odparł Jan.

Sędzia popatrzył na Cheesemana.

– Z jakiego powodu te informacje miałyby być objęte tajemnicą?

Tamten szybko wstał i wyjaśnił:

– Chodzi o pewne wiadomość przekazane przez klienta, Beatrice Foods, jego rzecznikowi, który z kolei udostępnił je mnie.

– W takim razie przestały być objęte tajemnicą, czyż nie tak?

– Uważam, że nie.

– Na jakiej podstawie?

– Wspólnie zostaliśmy zaangażowani do obrony pozwanych w tej sprawie. Według mojego rozumienia przepisów...

Skinner uciszył go szybko lekceważącym ruchem ręki.

– Jeśli sądzi pan, że pozwolę na wykorzystanie jakichś objętych tajemnicą informacji przeciwko temu człowiekowi – tu wskazał palcem Schlichtmanna – nie dając mu szansy na publiczną obronę przed zarzutami, to jest pan w grubym błędzie. Prędeż oddałę pański wniosek. Więc jeśli ma pan coś na poparcie swoich oskarżeń, proszę to natychmiast ujawnić, a jeśli nie, to proszę wycofać zarzuty.

– Wysoki Sądzie... – zaczął Schlichtmann.

– Chwileczkę! – przerwał mu Skinner. – Będzie pan miał jeszcze niejedną okazję do wylewania swoich żalów, więc proszę się na razie wstrzymać. – Z powrotem obrócił się do Cheesemana, czekając na odpowiedź.

– Jeśli Wysoki Sąd nie chce zapoznać się ze złożonym pod przysięgą wyjaśnieniem – odparł tamten – to na tym etapie nie widzę żadnej potrzeby ujawniania zdobytej przeze mnie informacji.

– Nie zgodzę się na przesłuchanie za zamkniętymi drzwiami adwokata w kwestiach dotyczących jego zawodowej reputacji. Możemy zatem przejść do rozpatrzenia wniosku o oddalenie pozwu na podstawie paragrafu jedenastego.

Schlichtmann nie był jednak gotów do zajęcia się tą sprawą.

– Czy mogę coś powiedzieć, Wysoki Sądzie?

Skinner przytaknął ruchem głowy.

– Mam nadzieję, że Wysoki Sąd rozumie, iż oskarżenie mnie o baraterię kompromituje moje stosunki zarówno z klientem, jak też z Wysokim Sędem, ponieważ zostałem otoczony aurą osoby nieodpowiedzialnej...

– Ja nie dostrzegam żadnej aury.

– No cóż, kłamstwo zdążył obieć pół świata, nim prawda ujrzy światło dzienne – odparł Schlichtmann, co sędzia przyjął z pobłażliwym uśmiechem. – Domagam się, by przedstawiciele kancelarii Hale’a i Dorra ujawnili tę objętą tajemnicą informację, dzięki czemu Wysoki Sąd mógłby się ustosunkować do stawianych

mi oskarżeń, rzutuujących na rozpatrywaną sprawę. W przeciwnym razie będę musiał występować przed Wysokim Sądem jako osoba nieodpowiedzialna, a Wysoki Sąd nie będzie miał pewności, czy te zarzuty są prawdziwe czy też nie.

Skinner westchnął ciężko.

– Panie Facher, czy zechciałby pan już teraz ujawnić panu Schlichtmannowi tę informację?

– Nie chciałem przedłużać dyskusji, Wysoki Sądzie – rzekł Facher, ociężałe wstając z krzesła. – Zresztą to nie ja określiłem tę wiadomość jako specyficzny i bezsporny dowód na poparcie zarzutów stawianych rzecznikowi powoda, tylko on. – Oskarżycielsko wskazał palcem Cheesemana. – To prawda, że uzyskaliśmy tę informację od klienta i udostępnił ją rzecznikowi współpозwanego, ale nic poza tym. W żaden sposób nie zamierzaliśmy jej wykorzystać. Nie widzę zatem specjalnych przeszkód, aby pan Cheeseman ujawnił ją panu Schlichtmannowi, choć moim zdaniem, z formalnego punktu widzenia, informacja ta pozostaje objęta tajemnicą, gdyż pochodzi od naszego klienta, a wspólnie prowadzimy obronę w tej sprawie.

– Powtarzam, że nic mi o tym nie wiadomo – uciał Skinner.

– Chciałem tylko podkreślić, że to nie ja uznałem tę wiadomość za dowód popierający sformułowane zarzuty.

Schlichtmann, który wciąż stał, obejrzał się na Cheesemana, ten jednak mierzył piorunującym wzrokiem Fachera.

– Wysoki Sądzie, zgłaszam wniosek o oddalenie skandalicznych i bezpodstawnych oskarżeń – powiedział. – Jak rozumiem, pan Cheeseman wysunął zarzuty wyłącznie w celu skompromitowania mnie przed Wysokim Sądem.

– Nie tak szybko. Zamiast oddalić zarzuty, wolę je pozostawić w zawieszaniu. Kto wie? Może wcale nie są takie bezpodstawne?

– Dokładnie o to chodziło autorowi wniosku, Wysoki Sądzie – odparł Jan. – Stawia mnie to w nader niezręcznej sytuacji.

– Nic podobnego. Może się pan uważać za uwolnionego od zarzutów do czasu ich udowodnienia. Szczerze mówiąc, jestem gorącym zwolennikiem szykowanych zmian przepisów dotyczących nagabywania klientów. Kiedy tylko wszczyna się dyskusję na temat adwokatów reprezentujących ludzi, których niejako z założenia nie stać na wynajęcie prawnika, niemal automatycznie rodzą się podejrzenia o nagabywanie. Dlatego uważam, że trzeba zaostrzyć dotychczasowe przepisy.

– Przedstawiciel kancelarii Hale’a i Dorra oświadczył jednak, że to nie on scharakteryzował...

– Panie Schlichtmann – przerwał mu sędzia. – Doskonale rozumiem, że znalazł się pan w kłopotliwej sytuacji, ale dzisiaj nie mogę zrobić dla pana niczego innego oprócz zostawienia złożonego wniosku w zawieszaniu.

– Jeśli dobrze zrozumiałem, pan... Flacher jest gotów pójść mi na rękę. – Jan nie dosłyszał nazwiska, dlatego wymówił je błędnie, szybko jednak się zorientował po delikatnie uniesionych brwiach i wydętych wargach sędziego, jak też po głośnym pomruku dezaprobaty, który rozległ się za jego plecami, że popeł-

nił niewybaczalną gafę. Nieznajomość nazwiska nestora bostońskich prawników aż nadto wymownie dowodziła jego braku doświadczenia.

– Nie mogę jednak do niczego przymusić pana Fachera – odparł Skinner, kładąc lekki nacisk na prawidłowe brzmienie nazwiska obrońcy.

– Jestem gotów wystąpić w tej sprawie o zgodę mojego klienta – odezwał się Facher.

– I zechciałby pan już w tej chwili skontaktować się z nim telefonicznie? – zapytał sędzia.

Jeśli nawet Facher nie takie rozwiązanie miał na myśli, to tylko wzruszył obojętnie ramionami, wstał i ruszył do wyjścia. W korytarzu tuż przy drzwiach sali znajdował się automat telefoniczny.

– Tymczasem chciałbym wrócić do wniosku o oddalenie pozwu na mocy paragrafu jedenastego.

Schlichtmann powoli usiadł.

– Wszystko wskazuje na to, że mamy do rozstrzygnięcia dość prostą kwestię – ciągnął Skinner, zwracając się do niego. – Najważniejsze pytanie brzmi: jakimi dowodami dysponował rzecznik powodów w momencie składania pozwu? A najprościej uzyskać na nie odpowiedź, pozwalając panu Cheesemanowi przesłuchać pana. Jeżeli miał pan podstawy do wystąpienia z pozwem, wniosek obrony zostanie oddalony. A jeżeli nie zadał pan sobie wcześniej trudu zebrania pewnych informacji, zarządzę oddalenie pozwu.

Schlichtmann poderwał się z krzesła.

– Moim zdaniem to nie do przyjęcia, Wysoki Sądzie, żeby nakłaniać rzecznika powodów do zajęcia miejsca dla świadków i udzielania odpowiedzi na pytania rzecznika pozwanego. Odnoszę wrażenie, że w takiej sytuacji musiałbym angażować własnego adwokata. Dlatego jestem gotów złożyć przed Wysokim Sądem konieczne wyjaśnienie pod przysięgą.

– W tej sprawie nie mogę się zgodzić na składanie oświadczeń za zamkniętymi drzwiami. Chcę usłyszeć pańskie zeznanie. O ile zdążyłem się zorientować, jednym z głównych zarzutów jest to, że oskarżył pan firmę Grace'a o wytwarzanie w zakładach w Woburn jakichś chemikaliów, podczas gdy są tam jedynie produkowane części metalowe.

Sędzia błędnie interpretował podstawowe fakty, nie ulegało wątpliwości, że opierał się jedynie na pisemnym uzasadnieniu Cheesemana, bo tylko on mógł sformułować taki zarzut.

– To prawda, nie są to zakłady chemiczne – przyznał Schlichtmann – ale podczas produkcji części metalowych stosuje się różne chemikalia i rozpuszczalniki.

– Nie występuje pan jeszcze przed ławą przysięgłych – rzekł Skinner z lekkim rozbawieniem. – W złożonym wniosku pan Cheeseman wystąpił o możliwość przyjęcia pańskich zeznań, a ja nie widzę powodu, dla którego miałbym mu odmówić.

– Wysoki Sądzie, złożyliśmy już stosowne oświadczenia dotyczące zgromadzonego materiału dowodowego, poświęconych godzin pracy, wykorzystanych

aktów prawnych i zebranych opinii biegłych. Doszliśmy do wniosku, że mamy wszelkie podstawy do wysunięcia tezy, iż w zakładach Grace'a używano pewnych chemikaliów, które przedostały się do wód podziemnych i zanieczyściły je, narażając na szkodę moich klientów.

– Rozumiem – odparł sędzia. – Zechce pan jednak odpowiedzieć teraz na pytania pana Cheesemana.

Cheeseman wstał szybko i sięgnął po notatnik, jakby nie mógł się już doczekać początku przesłuchania. Ale Schlichtmann nie był jeszcze gotów do składania zeznań.

– Z chwilą, gdy zajmę miejsce dla świadków, przestanę być rzecznikiem moich klientów, Wysoki Sądzie, stanę się wyłącznie świadkiem w zupełnie innej sprawie, podlegającym wszelkim zasadom składania zeznań. Nie będę już dłużej mógł obiektywnie, zgodnie z zasadami profesji reprezentować swoich klientów.

– Zamierzam ściśle nadzorować przebieg tego przesłuchania, panie Schlichtmann. Na pewno nie dopuszczę, by wykroczyło ono poza podyktowane koniecznością granice.

– Ja jednak nie mogę wystąpić w roli świadka, Wysoki Sądzie, nie rezygnując wcześniej z funkcji rzecznika powodów.

– Nie sądzę, aby to było niezbędne.

– Przecież zasady etyki zawodowej nie pozwalają mi świadczyć na niekorzyść klientów, Wysoki Sądzie, a to, co zeznam dziś pod przysięgą, zadecyduje, czy zarzuty wysunięte przez moich klientów przeciwko pozwanym zostaną oddalone czy nie.

– Pod tym względem ma pan rację – przyznał Skinner.

– Poza tym to niespotykane, żeby adwokat...

– Proszę posłuchać! – przerwał mu ostro coraz bardziej rozszluszczony sędzia. – Podjąłem już decyzję w tej sprawie i nie zamierzam jej zmieniać. Postąpił tak, jak zadecydowałem. Nie chcę więcej słuchać pańskich wykrętów.

– Wysoki Sądzie, zmuszając mnie do tego poniżenia i zniewagi...

– Jakoś pan to wytrzyma. Życie prawnika nie jest usłane różami. A teraz proszę usiąść, żeby pan Cheeseman mógł powołać swojego pierwszego świadka.

Schlichtmann skrzywił się boleśnie, ale usiadł. Skinner popatrzył na Cheesemana.

– Kogo pierwszego chce pan przesłuchać?

– Pana Schlichtmanna – odparł tamten.

– Z całym szacunkiem odmawiam zajęcia miejsca dla świadków – odrzekł stanowczo Jan, znów podrywając się na nogi. – Apeluję o wyrozumiałość Wysokiego Sądu i przedstawienie mi powodów, dla których to przesłuchanie miałoby być konieczne.

Skinnerowi już bardzo trudno było o wyrozumiałość. Mógł udzielić Schlichtmannowi nagany, skazać go na grzywnę czy nawet pobyt w areszcie za odmowę składania zeznań. Mógł też od razu przyjąć wniosek obrony i oddalić pozew. Przez kilka sekund zastanawiał się więc nad ewentualnymi sankcjami, wreszcie rzekł:

– Nie mogę nawet udzielić panu nagany, jeżeli to zachowanie jest według pana podyktowane regułami etyki zawodowej. Mogę natomiast przychylić się do wniosku obrony.

– W takim razie Wysoki Sąd doskonale rozumie moją sytuację – odparł Schlichtmann, szeroko rozkładając ręce. – Jestem związany umową z klientem, mam wobec niego powinności, tymczasem dzisiaj się mnie zmusza, bym swoim zachowaniem przyczynił się do oddalenia pozwu klienta.

Skinner westchnął ciężko.

– Myślę, że jednak mógłby pan odpowiedzieć na podstawowe zarzuty pana Cheesemana. Ostatecznie chodzi najwyżej o sześć pytań.

Schlichtmann pojął, że sędzia skłania się ku jego argumentacji.

– Spróbujmy postąpić nieco inaczej. Czy to pan mógłby mi zadać owoych sześć pytań, Wysoki Sądzie?

– Chce pan, żebym wstępnie zaakceptował pytania pana Cheesemana?

– Tak, Wysoki Sądzie.

– Panie Cheeseman, zgadza się pan na taki tryb przyjęcia zeznań?

– Mam trochę więcej pytań niż sześć, Wysoki Sądzie – odparł z ociąganiem adwokat, któremu najwyraźniej nie odpowiadało takie rozwiązanie.

– Mniejsza z tym. Czy mógłby mi pan pokazać te pytania?

– Obawiam się, że Wysoki Sąd będzie miał kłopoty z odczytaniem moich notatek.

– Dam sobie radę. – Sędzia przywołał go ruchem ręki. – Będzie pan łaskaw się zbliżyć i przejść na tę stronę stołu.

Cheeseman wziął notatnik i z wyraźnym oporem obszedł koniec sędziowskiego stołu, po czym stanął przy fotelu Skinnera.

Schlichtmann przyglądał się temu z osłupieniem. Ostatecznie wystarczyło, by Cheeseman sprzeciwił się temu niezwykle trybowi postępowania, gdyż miał do tego pełne prawo, i sędzia musiałby wrócić do swojej pierwotnej koncepcji. Obróńca poddał się jednak bez walki. Dlatego też podniesiony na duchu Jan obejrzał się na Roismana, uniósł wysoko brwi, po czym uśmiechnął się ledwie zauważalnie, samymi kącikami ust.

Przez jakiś czas Skinner szeptem porozumiewał się z adwokatem. Na widowni, gdzie siedziało około piętnastu prawników, panowała martwa cisza, jakby wszyscy usiłowali coś wyłowić z wymiany zdań przy stole.

Wreszcie sędzia odchrząknął i powiedział:

– Rzeczywiście pan Cheeseman ma kilka uzasadnionych wątpliwości, pierwsze pytanie chciałbym jednak skierować do pana Roismana. Kiedy po raz pierwszy został pan wciągnięty do współpracy nad tą sprawą?

Roisman wstał i odpowiedział:

– Pan Schlichtmann zwrócił się do naszej organizacji o pomoc w lutym tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego roku.

Skinner na nowo pogrążył się w dyskusji z Cheesemanem, który miał coraz bardziej kwaśną minę.

– A kiedy obaj panowie po raz pierwszy uzyskali wgląd w materiały Agencji Ochrony Środowiska dotyczące zanieczyszczenia terenu wokół zakładów Grace'a?

– W czerwcu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego roku – odparł Roisman.

Znów nastąpiła cicha wymiana zdań przy stole sędziowskim.

– Następne pytanie... – zaczął sędzia, urwał i po chwili rzekł: – Moim zdaniem, panie Cheeseman, to jest pytanie retoryczne.

– Chyba jednak nie, Wysoki Sądzie.

– To może zechce mi pan to jeszcze raz wytłumaczyć.

Schlichtmann obserwował to z rosnącym zainteresowaniem. Był już niemal pewien, że sędzia stracił wszelki zapał do przyjmowania jego zeznań. Sprawiał wrażenie zmieszanego, zakłopotanego tym, że wobec świadków, poza protokołem, tak długo dyskutuje szeptem z obrońcą na temat innego adwokata. Jan coraz bardziej był pewien, że wygrał tę pierwszą batalię.

Po kilkunastu sekundach intensywnej wymiany zdań Skinner oznajmił w końcu:

– W porządku. Chyba możemy skończyć to przedstawienie, panie Cheeseman. Czy jest coś, co chciałby pan dodać przed zamknięciem posiedzenia?

– Ja mam jeszcze jedną sprawę, Wysoki Sądzie – odezwał się Schlichtmann. – Sądze, że pan Facher zdążył się już naradzić ze swoim klientem.

Ten zaledwie po minucie wrócił na salę i z równym zainteresowaniem obserwował prowadzoną szeptem naradę Skinnera z Cheesemanem. Teraz obejrzał się w stronę stołu strony powodowej i odparł:

– Nie uzyskałem zgody klienta, cały zarząd firmy z Chicago ma przerwę na lunch. Powtarzam jednak, że osobiście nie widzę żadnych przeszkód, aby ujawnić objętą tajemnicą informację. Nie zawiera ona niczego szczególnie groźnego dla pana.

– Zatem na podstawie tego oświadczenia – podjął natychmiast Schlichtmann, zwracając się do sędziego – proszę Wysoki Sąd o ogłoszenie decyzji, że nie ujawniono żadnych dowodów mojego niewłaściwego postępowania.

Skinner zamyślił się na chwilę.

– Rzeczywiście pan Facher rozsądził tę kwestię, nie wolno mi jednak dopuścić, by jego osąd zastąpił moją decyzję. – Ponownie zamilkł, po czym dodał cicho, jakby do siebie: – Szczerze mówiąc, bardzo sobie cenię jego zdanie.

Schlichtmann otworzył już usta, żeby coś powiedzieć, ale sędzia nie dał mu dojść do słowa.

– Chyba rozumie pan, że postawiona kwestia sporna powoli umiera śmiercią naturalną. Czemu w ogóle podjął pan ryzyko publicznego jej rozpatrywania?

– Bo wołałem, żeby to ona umarła śmiercią naturalną, a nie ja, Wysoki Sądzie.

– Z mojego punktu widzenia już możemy zapomnieć o wszelkich zarzutach przeciwko panu – oznajmił głośniej Skinner, tym samym zamykając posiedzenie.

Po wyjściu sędziego Schlichtmann szybko wstał i podszedł do Fachera, który właśnie wkładał płaszcz. Nawet przelotnym spojrzeniem nie zaszczycił Cheesemana stojącego dwa metry dalej i przekładającego papiery na stole. Wyciągnął rękę i powiedział:

– Chciałem panu bardzo podziękować. Zachował się pan po dżentelmeńsku, odmawiając autoryzacji tych śmiesznych oskarżeń.

Facher uśmiechnął się blade, jakby w zamyśleniu, a następnie uściśnił mu dłoń. Świetnie zdawał sobie sprawę, że Schlichtmann najprostszym sposobem

jednocześnie zapędził w kozi róg Cheesemana oraz sędziego Skinnera, a on zwykły był czerpać nauki z takich doświadczeń. Jednak uwagę na temat dżentelmeńskiej postawy potraktował jak żart, ponieważ jego zdaniem w życiu adwokatów procesowych w ogóle nie było miejsca na kurtuazję. Dlatego też odparł:

– Znakomicie się pan spisał. Jeszcze nie wiem, czy zajmuje pan właściwe stanowisko w sprawie Woburn, nie wątpię jednak, że trzeba się będzie z panem liczyć.

Sędzia ogłosił wyrok dwa tygodnie później. „Przepisy paragrafu jedenastego są doskonałym orężem do zwalczania lekkomyślnych i bezzasadnych wystąpień”, pisał w uzasadnieniu, „ale w tym wypadku nie mogą mieć zastosowania, gdyż byłoby to z krzywdą dla powodów wnoszących nadzwyczaj poważne zarzuty, w pełni uzależnione od wyników badań, nawet jeśli te nie były jeszcze powszechnie znane w chwili występowania z powództwem”. Zatem, według Skinnera, sprawozdanie Agencji Ochrony Środowiska oraz raport Centrum Badań Epidemiologicznych dotyczący ogniska zachorowań na białaczkę w Woburn stanowiły wystarczającą podstawę do sformułowania pozwu. „Co za tym idzie, ODRZUCAM wniosek obrony o oddalenie pozwu na podstawie paragrafu jedenastego”.

Schlichtmann świętował już od pewnego czasu, był przekonany o swoim zwycięstwie w chwili zamknięcia posiedzenia. Jeszcze tego samego wieczoru w siedzibie kancelarii Reeda i Mulligana otworzył butelkę szampana. Dowcipkował i parodiował Cheesemana – a zwłaszcza dumny krok, z jakim tamten podchodził do stołu sędziowskiego, i bezgraniczne zdumienie na jego twarzy, gdy sędzia oświadczył, że to pytanie jest retoryczne. Wszyscy koledzy przyłączyli się do fety, która trwała aż do późnej nocy.

Następnego ranka, tuż po przebudzeniu, Schlichtmann od razu pomyślał o sprawie Woburn. Ta jednak musiała jeszcze długo czekać w kolejce na rozpatrzenie. Później przyszło mu do głowy, że nic się nie zmieniło i nadal pozostaje tylko lokalnym doradcą Roismana. Nie miał pojęcia, jak wiele szacunku dla niego wśród mieszkańców Woburn wywalczyło nieudane posunięcie Cheesemana.

„Sieroty” i „psy”

1

Przez następne półtora roku akta sprawy Woburn pokrywały się kurzem w gabinecie Schlichtmanna. Rzadko do nich sięgał. Życie toczyło się swoimi torami, jego kariera nabierała rozpędu. Razem z Conwayem jeszcze przez jakiś czas pracowali w kancelarii Reeda i Mulligana. Barry Reed zdobył nadzwyczaj obiecującą sprawę, śmierć biznesmena podczas pożaru hotelu, i Schlichtmann całkowicie się w nią zaangażował. Wynajął najslawniejszego amerykańskiego biegłego od pożarów w hotelach i wydał łącznie dwadzieścia dwa tysiące dolarów na przygotowania do rozprawy. Później zaprosił na spotkanie radcę prawnego zarządu hotelu i przedstawicieli towarzystwa ubezpieczeniowego. A wychodząc z założenia, że nie warto oszczędzać na drobiazgach, kiedy toczy się walkę o astronomiczne odszkodowanie, zarezerwował wielką salę balową oraz przyległy salon w hotelu „Ritz-Carlton”. Po pierwszym dniu rozmów uczestnicy negocjacji zostali przyjęci wystawnym obiadem, na który składała się zupa z homarów, ziemniaki po prowansalsku, pieczeń jagnięca oraz markowe bordeaux. Schlichtmann za wszystko płacił z własnej kieszeni.

Rozmowy ciągnęły się przez trzy dni. Przy pomocy Conwaya oraz jeszcze jednego młodego pracownika kancelarii, Billa Crowleya, Jan zapoznał swoich gości z całym zgromadzonym materiałem dowodowym. Później w obecności adwokatów obrony przesłuchał opłaconego biegłego, na co zarząd hotelu powołał własnego eksperta. Wywiązała się tak zażarta dyskusja między obydwojma specjalistami, że omal nie doszło do kłótni, ostatecznie jednak obaj potwierdzili wagę materiału dowodowego. I pod koniec trzeciego dnia Schlichtmann wyszedł z hotelu na ulicę, z dumą niosąc w teczce podpisaną ugodę, w myśl której pozwany godził się dobrowolnie wypłacić odszkodowanie w wysokości dwóch milionów dwustu pięćdziesięciu tysięcy dolarów.

Postanowił częściej wykorzystywać ten sposób załatwiania spraw. Negocjacje w sali balowej Ritz'a często przypominały prawdziwą rozprawę, przebiegającą jednak w zupełnie innej atmosferze niż na sali sądowej. Co prawda organizacja

spotkania sporo kosztowała, ale i tak było to tańsze od dwutygodniowego procesu, a już na pewno wiązało się z mniejszym ryzykiem. Za to efekt rozmów pozwalał Schlichtmannowi chodzić z dumnie podniesionym czołem, nie widział więc żadnych powodów, dla których podobne negocjacje nie mogłyby przynieść analogicznych rezultatów w innych sprawach.

Barry Reed wziął lwią część z adwokackiego honorarium, mimo że ani razu nie pokazał się podczas negocjacji w hotelu Ritza. Natomiast Schlichtmann sprawiedliwie podzielił się swą częścią z Conwayem i Crowleyem. Później zaś, gdy do kancelarii zadzwonił reporter „The Boston Globe” i poprosił o wywiad w sprawie osiągniętej ugody, również został przyjęty przez Reeda, który sobie przypisał wszelkie zasługi.

– Mógłby chociaż wymienić moje nazwisko – skomentował z zalem Schlichtmann.

Krótko potem zrezygnował z pracy w kancelarii, żeby założyć własną firmę. Bill Crowley od razu zdecydował się przyłączyć do niego, a i Conway nie zastanawiał się zbyt długo, bo od samego początku był przekonany, że powinien związać swój los ze Schlichtmannem. Nadal nie mógł zapomnieć, jak nudne było jego życie przed pojawieniem się Jana w biurze.

Tak oto doszło do powstania kancelarii adwokackiej Schlichtmann, Conway & Crowley. Jan nie żałował pieniędzy na urządzenie biura, po negocjacjach w hotelowej sali balowej zyskał pewność, że zewnętrzne przejawy prosperity są motorem napędowym sukcesu. Wspólnicy wynajęli więc pomieszczenia na pierwszym piętrze starej, trój kondygnacyjnej kamienicy niedaleko nadrzecznej esplanady, u zbiegu Milk Street i India Street, dwie przecznice od gmachu sądu federalnego, po czym Schlichtmann zaangażował jednego z najmodniejszych bostońskich dekoratorów wnętrz. Niemal całe swoje honoraria z ostatniej sprawy poświęcili na odremontowanie i urządzenie biura, nie wahając się przed wyburzeniem ścianek działowych, przebudową archaicznych, łukowato sklepionych przejść i odsłonięciem starych, masywnych dębowych belek stropowych. U rzemieślnika, który wykonywał meble do Sali Błękitnej w Białym Domu, Jan zamówił stół do sali konferencyjnej, zrobiony z nierdzewnej stali, z blatem ze specjalnie doboranych płyt klonowych o bardzo regularnym układzie słoików. Wokół niego stanęło osiem foteli z kremowej skóry, z których każdy przypominał niewielką sofę. Także na zamówienie robione były dębowe regały, przy czym znaczna ich część została przeznaczona do biblioteki, w większości utworzonej z nader imponującej już prywatnej kolekcji książek Schlichtmanna. Na życzenie klienta dekorator urządził małą kuchenkę i elegancką łazienkę wyposażoną nawet w telefon oraz obszerną kabinę prysznicową wyłożoną drogą glazurą. Kancelaria wzięła w leasing najnowocześniejszy w tym czasie system komputerowy. A Kathy Boyer, która objęła w posiadanie te wspianiałe wnętrza, złożyła w pobliskiej kwiaciarni zamówienie na codzienne dostawy świeżych kwiatów.

Na otwarcie firmy zorganizowano huczne przyjęcie. Dźwig, który trzeba było ściągnąć w celu wywindowania olbrzymiego fortepianu koncertowego do sali na pierwszym piętrze, przez kilka godzin tarasował ruch na India Street. Na parterze

kamienicy znajdował się popularny irlandzki pub o nazwie „Patten’s Bar & Grill”. Schlichtmann zarezerwował lokal na cały wieczór i zaangażował najlepszego kucharza w mieście. Kelnerzy w białych koszulach i czarnych krawatach serwowali szampana. Jeden zespół jazzowy przygrywał w pubie, drugi w sali konferencyjnej na piętrze. Na przyjęciu zjawili się Reed i Mulligan, a oprócz nich około setki zaprzyjaźnionych adwokatów z damami, w tym także wielu radców prawnych firm i agentów towarzystw ubezpieczeniowych, którzy na salach rozpraw występowali jako oponenci Schlichtmanna. Była tam również Teresa, jak też matka Jana oraz większa część klanu Conwayów. Późnym wieczorem, kiedy zabawa trwała na dobre, Kevin natknął się na Schlichtmanna wychodzącego z łazienki. Uśmiechnął się szeroko, dając do zrozumienia, że przed nimi świetlana przyszłość, po czym złapał przyjaciela za rękaw i powiedział:

– Mam tylko jedno zastrzeżenie. – A kiedy ten popatrzył na niego pytająco, wyjaśnił: – Pozbądź się sprawy Woburn. Bardzo proszę.

Jan jednak tylko zachichotał.

Niektóre rodzaje spraw dotyczących uszkodzeń ciała są bardziej ryzykowne od innych. Na przykład udowodnienie błędów w sztuce lekarskiej zwykle bywa szczególnie skomplikowane, wymaga poświęcenia mnóstwa czasu, energii i pieniędzy, przy czym do końca trudno jest przewidzieć rezultat. Według statystyki tych spraw, które znalazły epilog przed sądem, tylko w co trzecim wypadku strona powodowa uzyskiwała odszkodowanie. A adwokaci, jak wszyscy ludzie, nie lubią inwestować własnych pieniędzy, gdy spore jest ryzyko ich utraty. Stąd też większość takich spraw bądź to kończy się ugodą, bądź zostaje oddalona ze względu na brak podstaw do wystąpienia z pozwem. Firmy, które specjalizują się w tych zagadnieniach, prowadzą szczegółowe kartoteki różnorodnych przypadków i zazwyczaj podejmują się tylko drobnych i niezbyt złożonych spraw, bo choć przynoszą one niewysokie honoraria, zapewniają byt prawnikom.

Schlichtmann nie darzył żadnymi względami takich metod postępowania, nie zamierzał poświęcać kariery na setki drobnych, mało opłacalnych przypadków. Miał ambitne plany, chciał, by jego kancelaria prowadziła tylko złożone i najbardziej obiecujące pod względem finansowym sprawy, mimo że praca nad nimi wymagała sporych inwestycji. Conway popierał ten punkt widzenia. Wspólnie doszli do wniosku, że będą przyjmowali najwyżej dziesięć spraw rocznie. I właśnie Conway wziął na siebie obowiązek ścisłego pilnowania tych ustaleń. Miał wstępnie oceniać wielkość szkody klienta oraz perspektywę wygrania sprawy, a następnie decydować, czy warto się nią zająć.

Część z tych, które wpływały do kancelarii przez pierwszy rok, Kevin natychmiast odrzucał jako bezpodstawne. (Jeden z klientów domagał się nawet odszkodowania za „poważne konsekwencje cielesne, jakie po dwudziestu pięciu latach wynikły z picia piwa”). Conway określał je mianem „psów”. Ich przeciwieństwem były „sieroty” – sprawy mniej czy bardziej obiecujące, które z różnych powodów wędrowały między kancelariami i nikt za bardzo nie chciał się nimi

zając. Z czasem zebrała się ich spora kolekcja, a w większości dotyczyły ewentualnych błędów w sztuce lekarskiej, których skutki objawiały się rozmaicie, od zwykłej gorączki lub niestrawności, poprzez pęknięte tętniaki czy niewydolność nerek, aż po zgony na raka bądź przypadki całkowitego paraliżu pacjenta. Odrzucając takie sprawy, Conway najczęściej wyrokował, że powodem przykrych skutków nie były błędy lekarzy, lecz czynniki obiektywne, czyli tak zwany palec boży. Bo choć łatwo było zyskać jego współczucie, ostrożny z natury prawnik nigdy nie podejmował pochopnych decyzji.

– Ważną miarą sukcesu adwokata jest liczba odrzuconych przez niego spraw – mawiał.

Trwała właśnie akcja wyciągania koncertowego fortepianu przez okno sali konferencyjnej na pierwszym piętrze, kiedy na biurko Conwaya trafiła jedna z „sierot”, lecz ta natychmiast przykuła jego uwagę. Wcześniej odrzuciły ją nie tylko renomowane firmy bostońskie, lecz także największa z nowojorskich kancelarii zajmujących się podobnymi zagadnieniami, Kriendler & Kriendler. Już na pierwszy rzut oka sprawa wydawała się zagadkowa. Młody mężczyzna po wypadku samochodowym znalazł się w szpitalu z lekkim urazem karku. Wszyscy sądzili, że wyjdzie po kilku dniach, tymczasem po pięciu miesiącach wywieziono go na wózek inwalidzkim, niezdolnego do poruszania się o własnych siłach na skutek rozległej infekcji, która niemal doszczętnie zniszczyła stawy biodrowe. Od tamtej pory był poddawany licznym operacjom, zestaw jego kart chorobowych przekroczył objętość książki telefonicznej Manhattanu, a łączny okres pobytów w szpitalach zbliżał się do dwóch lat.

Conway od razu ocenił, że to wielce nieprawdopodobne, by niegroźny wypadek drogowy przerodził się w istny medyczny koszmar. Postanowił więc zaadaptować tę sierotę. Przekazał akta Janowi, który wziął je na weekend do domu i przez następne pół roku nie potrafił już myśleć o niczym innym. Tymczasem sprawa Woburn, wzgardzona przez Conwaya i zapomniana przez Schlichtmanna, stopniowo także stawała się sierotą.

Jan postanowił za wszelką cenę wyjaśnić przyczyny tragicznego losu młodego człowieka. Zanim jednak poznał w końcu odpowiedź, wydał na ten cel dwieście tysięcy dolarów, znacznie więcej niż on, a tym bardziej Conway, gotów byłby poświęcić na jakąkolwiek sprawę. Okazało się, że zaraz po wypadku Paula Carneya poddano kuracji sterydowej, zalecanej w celu szybkiego zmniejszenia obrzęku, tym groźniejszego, że powodującego ucisk na odcinek szyjny kręgosłupa. Pacjent przyjmował jednak duże dawki sterydów aż przez trzy tygodnie, o wiele dłużej, niż powinien. W trakcie swoich badań Schlichtmann dotarł do informacji, że nadmierne dawki sterydów mogą doprowadzić do uszkodzenia tkanek kostnych, zwłaszcza w miednicy i okolicach stawów biodrowych. U Carneya osłabiony kościec został zaatakowany przez infekcję, która się wywiązała wskutek niedokładnego odkażenia cewnika. Choroba rozwinęła się błyskawicznie, gdyż jej objawy, gorączka i obrzęk zakażonych miejsc, zostały przygaszone podawanymi nadal sterydami.

Od tej pory Schlichtmann nie szczędził już środków na przygotowania do procesu. Dwukrotnie organizował próbne rozprawy, prezentując zebrany materiał

dowodowy ludziom z ulicy, którzy za niewielką opłatą zgodzili się wystąpić w roli sędziów. I za każdym razem prowizoryczna ława przysięgłych ogłaszała taki sam wyrok: trzymilionowe odszkodowanie dla jego klienta.

Później Schlichtmann zaprosił obrońców i agentów towarzystwa ubezpieczeniowego do sali balowej hotelu „Ritz-Carlton”. Jak poprzednio, negocjacje ciągnęły się przez kilka dni i przyniosły pozytywny rezultat. Firma ubezpieczeniowa, która dotąd nie godziła się wypłacić poszkodowanemu ani centa, zaproponowała milion dolarów, czyli maksymalne odszkodowanie, jakie obejmowały warunki polisy. Ale Jan odrzucił tę propozycję.

W środowisku bostońskich prawników błyskawicznie rozeszły się plotki. Ostatecznie milionowe oferty ugody, podobnie jak wyroki przyznające milionowe odszkodowania, należały do rzadkości. Coraz częściej różni ludzie zaczepiali Schlichtmanna na ulicy i pytali, czy naprawdę odrzucił tę ofertę. Niektórzy mówili z uznaniem o jego odwadze, inni nabierali przeświadczenia, że postradał zmysły. Ale żaden z kolegów po fachu nie dawał wiary pogłoskom, że na przygotowanie tej sprawy Jan poświęcił już dwieście tysięcy dolarów.

Sprawa Carneya budziła jednak emocje tylko w pewnych kręgach bostońskiej palestry. Adwokaci pracujący na zlecenia przedsiębiorstw rzadko stykają się ze specjalistami od powództwa cywilnego, toteż do Williama Cheesemana nawet nie dotarły plotki o sprawie Carneya. Od czasu odrzucenia jego wniosku o oddalenie pozwu na podstawie paragrafu jedenastego, czyli od ponad roku, w ogóle nie interesował się Schlichtmannem. Któregoś wiosennego popołudnia, kiedy energicznym krokiem wracał Milk Street do biura, omal nie wpadł na niego na rogu ulicy.

Serdecznie uścisnęli sobie dłonie. Jan odczuwał pewien niesmak po tamtym posiedzeniu sądu, wciąż jednak żywił dla swego oponenta zawodowy respekt. Wywiązała się krótka rozmowa.

– W przyszłym tygodniu mam rozprawę – rzekł w pewnym momencie Schlichtmann, a gdy Cheesemana to zainteresowało, opowiedział mu o sprawie Carneya i odrzuceniu milionowej oferty towarzystwa ubezpieczeniowego, później zaś musiał jeszcze odpowiedzieć na pytania dotyczące planowanej strategii i zebranego materiału dowodowego.

– Z przyjemnością zapoznałbym się bliżej z tymi opracowaniami – rzucił Cheeseman.

– Naprawdę? Moje biuro jest dwa kroki stąd. Zapraszam.

W kancelarii przywitał ich zgiełk, panowała taka atmosfera, jak za kulisami teatru na kilka minut przed premierą. Przygotowane dokumenty nie tylko tworzyły ogromną stertę na wielkim stole konferencyjnym, ale zdawały się też wpływać szerokim strumieniem na korytarz i do recepcji. Na ścianach były poróżwiane ręcznie kolorowane rysunki, ilustrujące rozwój choroby klienta, od wstępnego stadium degeneracji tkanki kostnej po zaawansowaną nekrozę. Kopie kart chorobowych z podkreślonymi niektórymi wpisami lekarzy miały wielkość plakatów filmowych. Wielobarwne wykresy uwidaczały pogarszanie się stanu pacjenta

w ciągu trzech tygodni intensywnej kuracji sterydowej. Schlichtmann zlecił nawet realizację filmu dokumentalnego, który można by opatrzyć tytułem: *Jeden dzień z życia Paula Carneya*. Na końcu stołu konferencyjnego leżał naturalnej wielkości anatomiczny model ludzkiej miednicy wraz ze stawami biodrowymi i kośćmi udowymi.

Cheeseman został oprowadzony niczym po wystawie, zapoznał się z hipotezą rozwoju choroby oraz metodami, jakimi należało ją udowodnić przed sądem. Schlichtmann z radością obserwował, że rosnące zainteresowanie gościa nie wynika z samej kurtuazji, i w myślach powtarzał z dumą: Niech się naocznie przekonają, jak może wyglądać materiał dowodowy w sprawie Woburn!

Gdy Cheeseman zapytał, ile go kosztowały przygotowania do rozprawy, odparł śmiało:

– Bardzo dużo, kilkaset tysięcy dolarów.

Cheeseman popatrzył na Jana ze zmarszczonymi brwiami i spytał:

– Wszyscy pracownicy biura są zajęci tą jedną sprawą?

– Owszem. My w ten sposób pracujemy.

W ciągu dwudziestominutowej rozmowy nie padło ani jedno słowo na temat sprawy Woburn. Gdy się żegnali, Cheeseman rzekł:

– Z uwagą będę się przysłuchiwał tej rozprawie. Mógłbyś mnie powiadomić telefonicznie o terminie jej rozpoczęcia?

– Tak, oczywiście.

Zgodnie z przypuszczeniami Jana wrażenia z tej wizyty zapadły Cheesemanowi głęboko w pamięć. Był wręcz oszołomiony, że Schlichtmann tak wiele zainwestował w jedną ryzykowną sprawę. Na jego miejscu, myślał, nie mógłbym spać po nocach. I w rzeczywistości wcale nie był zainteresowany przebiegiem rozprawy, chciał się tylko przekonać, czy ziszczą się jego nadzieje i Schlichtmann przegra.

Jan wyraził się kiedyś, że szykowanie rozprawy jest jak zejście na kilka tygodni do pracy na dnie morza. Z otoczenia docierają do człowieka tylko słabe, wytłumione echa. Wybuch wojny, głośny skandal czy klęska żywiołowa całkowicie tracą znaczenie. Szczegóły rozpatrywanej sprawy pochłaniają bez reszty, częstokroć nie dając spać po nocach. Bledną również wszelkie życiowe potrzeby. I gdy w końcu można się znów wynurzyć na powierzchnię i odetchnąć świeżym powietrzem, cały świat wydaje się już inny, głęboko odmieniony. Bez względu na wynik procesu ze zdwojonym zapałem odnajduje się na nowo drobne codzienne przyjemności. Wszystkie kolory wydają się żywsze, smak potraw wyraźniejszy, pogoda za oknem znów zaczyna wpływać na nastrój człowieka.

Proces w sprawie Carneya, przygotowywany przez pół roku, trwał piętnaście dni. Conway i Kathy Boyer przynosili Schlichtmannowi do sądu kanapki i prosili, aby coś zjadł, on jednak nie miał apetytu. Przez dwa tygodnie rozprawy stracił na wadze siedem kilogramów.

W poniedziałek po południu, kiedy wygłaszał mowę końcową, widownia była zapelniona do ostatniego miejsca. Na sali nie zabrakło nikogo z pracowników

kancelarii. Przyszedł nawet prezes banku, który udzielił kredytu na przygotowania do rozprawy, żeby, jak się wyraził, „mieć oko na tak wysoki zastaw”. Większość publiczności stanowili zainteresowani prawnicy oraz stali bywalcy sal sądowych, nie było jednak wśród nich Cheesemana. Schlichtmann, może nawet celowo, zapomniał do niego zadzwonić.

Wśród zaciekawionych adwokatów znalazła się za to pewna uderzająco piękna kobieta o kasztanowych włosach, która specjalnie w celu wysłuchania mowy Jana przyleciała do Bostonu z Atlanty, gdzie broniła jakiegoś przemytnika narkotyków. Nazywała się Rikki Klieman i robiła błyskotliwą karierę. Dziennikarz magazynu „Time” w artykule zatytułowanym „Nowe kobiety w sądownictwie: pięć najlepszych i najbardziej przebojowych” określił ją mianem „wschodzącej supergwiazdy”. Rikki przez rok pracowała jako asystentka sędziego Skinnera, później jakiś czas była związana z sekcją procesową kancelarii Hale’a i Dorra, gdzie niepodzielnie rządził Facher. Kilka lat wcześniej Barry Reed przedstawił jej Schlichtmanna i ku swemu zdumieniu znalazła się pod urokiem tego człowieka, a z czasem zapalała do niego miłością. Miała nadzieję, że pewnego dnia się pobiorą i założą rodzinę.

– Z jakiegoś powodu wydawało mi się, iż to, że oboje ciężko pracowaliśmy w tym samym zawodzie, wystarczał, byśmy kiedyś założyli rodzinę – przyznawała po latach z rozbawieniem.

Wtedy jednak byli tylko przyjaciółmi. Kilka razy Schlichtmann zaprosił Rikki na obiad, lecz ku jej rozczarowaniu mówił przy stole wyłącznie o sprawach zawodowych.

Wówczas, w sądzie, Jan wydał się Rikki bardzo szczupły, niemal wychudzony. Garnitur wisiał na nim, jakby był sporo za duży. Przed rozpoczęciem posiedzenia podeszła do niego na korytarzu i życzyła powodzenia, ale on tylko spojrzął na nią błyszczącymi, jakby nie widzącymi oczyma i obojętnie skinął głową. Odniosła wrażenie, że chyba nawet jej nie poznał.

Doskonale znała wszystkie chwytosy stosowane w mowach końcowych, sama wiele razy się do nich uciekała. Wcale jej nie zdziwiło, że Jan odwoływał się głównie do współczucia sędziów przysięgłych, szczegółowo opisywał bezradność swojego klienta i codzienny rytuał, który zmuszał jego ojca do ściągania syna z łóżka, pomagania mu w toalecie, ubierania go i sadzania na wózku inwalidzkim. Dramatyczne zakończenie mowy uznała za najlepsze, jakie dotąd słyszała. Część osób na widowni ocierała chusteczkami łzy. Nawet Rikki, mająca spore doświadczenie w takich wystąpieniach sądowych, poczuła się do głębi poruszona i bliska płaczu.

Jak zwykle Schlichtmann chodził nerwowo po korytarzu sądu w oczekiwaniu na wyrok. Ale zamiast orzeczenia pod koniec drugiego dnia obrad przewodniczący składu przekazał sędziemu wiadomość, ten natomiast wezwał rzeczników obu stron do swego gabinetu. Przysięgli prosili sędziego, aby jeszcze raz wyjaśnił im zakres prawnego pojęcia zaniedbania. Dla Jana był to zły znak. Sędzia, który wiedział o odrzuceniu milionowej oferty ugody, popatrzył na niego badawczo i rzekł:

– W tej sytuacji radziłbym panom jeszcze raz się naradzić i podjąć próbę osiągnięcia porozumienia.

Schlichtmann natychmiast przypomniał sobie słowa innego sędziego, jakie padły w analogicznej sytuacji w sprawie Eatona. Odniosł wrażenie, że historia się powtarza, ale tym razem obleciał go o wiele silniejszy strach, bo i stawka była znacznie wyższa.

Tego wieczora wraz z Conwayem i Crowleyem zaprosił grupę przyjaciół do Parker House. Znalazła się w ich gronie także Rikki Klieman. Wszyscy byli przejęci, ktoś zaproponował, żeby Jan zwrócił się powtórnie do towarzystwa ubezpieczeniowego i ostrożnie wybadał, czy nadal jest gotowe wypłacić milion dolarów odszkodowania. Jan odpowiedział, że nie ma najmniejszych powodów do paniki, a chcąc uwiarygodnić swoje stanowisko, skłamał, że tylko jeden z przysięgłych wciąż ma jeszcze pewne wątpliwości.

– A co ty o tym sądzisz? – pytał wszystkich po kolei.

Kiedy po powrocie do domu położył się do łóżka i próbował zasnąć, wydawało mu się, że serce łomocze w jego piersi jak oszalałe, a oczyma wyobraźni widział, jak przy każdym uderzeniu do krwi jest pompowana kolejna porcja adrenaliny. Rozmyślał o swojej reputacji i dotychczasowej karierze, a także o kolegach, którzy odrzucenie ugodowej oferty nazywali otwarciem szczytem głupoty. Nieodmiennie jednak wracał mu na myśl Paul Carney przykuty do wózka inwalidzkiego, który z takim samym lękiem oczekiwał wyroku.

Wstał o świcie i poszedł do biura. O szóstej rano, kiedy miał już dość obserwowania zza szyby słońca wschodzącego ponad dachami Bostonu, zadzwonił do Klieman. Niecierpliwie wsłuchiwał się w kolejne sygnały, nim wreszcie Rikki podniosła słuchawkę i usłyszał jej zaspany głos.

Zasypał ją pytaniami: Czy powinien przystać na milionową ugodę? Czy lepiej czekać spokojnie na ogłoszenie wyroku ławy przysięgłych?

– Przecież już podjąłeś decyzję – odparła. – Odrzuciłeś propozycję.

Wysunęła się spod kołdry i włożyła szlafrok, nie wypuszczając słuchawki z dłoni. Później poszła do łazienki i wymyła zęby, wciąż słuchając jego monologu. Ani trochę nie było jej żal.

– Jak sądzisz, co zawyrokują przysięgli? – zapytał w końcu.

– Myślisz, że potrafię wróżyć z fusów? Ta prośba o wyjaśnienie dobrze nie wróży, ale byłoby się czym przejmować, gdyby jeszcze istniał jakiś wybór. A ty przecież już się zdecydowałeś, prawda?

– Tak.

– No to będziesz musiał jakoś z tym żyć.

Jeszcze tego popołudnia przysięgli ogłosili wyrok, w którym uznawali zasadność oskarżenia lekarzy i szpitalnego personelu o zaniedbania oraz przyznawali Paulowi Carneyowi odszkodowanie w wysokości czterech milionów siedmiuset tysięcy dolarów.

Po wyjściu z sądu Schlichtmann zaczął tańczyć na Pemberton Square. Wskoczył na ławkę i wykonał taniec radości, kręcąc w powietrzu piruety, dziko wymachując rękoma i wierzgając nogami. W eleganckim czarnym garniturze stanowił niecodzienny widok. Conway – w pomiętej, wyłożonej spod marynarki koszuli, z poluzowanym krawatem – z uśmiechem przyglądał się wyczynom współlnika.

– Właśnie wygrał wielką sprawę w sądzie – tłumaczył zdziwionym przechodniom.

„Boston Herald”, dziennik słynący z pogoni za sensacją, opisał to zwycięstwo na pierwszej kolumnie, pod tak olbrzymim tytułem, jakby obwieszczano wybuch wojny: „Największe odszkodowanie w historii stanu Massachusetts”. Autor artykułu nie bawił się w drobiazgi i lekką ręką zaokrąglił sumę odszkodowania do pięciu milionów dolarów.

Było to dopiero piąte wystąpienie Schlichtmanna przed sądem, a zarazem piąte zwycięstwo, największe z dotychczasowych. Dzięki sprawie Carneya nie tylko stał się prawdziwie bogaty, ale i zyskał bezgraniczną pewność siebie. W porównaniu z przypadkiem Carneya każda inna sprawa dotycząca błędów w sztuce lekarskiej wydawała mu się żałośnie bagatelna. Poczuł się wreszcie gotów do jeszcze większego sukcesu, a więc do wygrania sprawy Woburn.

2

Tak się jednak złożyło, że sprawa Woburn wróciła na pierwsze strony gazet bez jego udziału. Był w trakcie gorączkowych przygotowań do przedstawienia sprawy Carneya przed sądem, kiedy dwóch naukowców z harwardzkiego Wydziału Zdrowia Publicznego opublikowało raport ze swoich trzyletnich badań na ogniskiem zachorowań na białaczkę. Wiedział o prowadzonych pracach, ale dotąd specjalnie go nie interesowały. Znalazł się jednak w gronie trzystu osób, które wieczorem 8 lutego 1984 roku zebrały się w Kościele Episkopalnym Świętej Trójcy, by poznać wyniki badań, określonych później skrótowo jako Studium Harwardzkie.

Rozpoczęły się wiosną 1981 roku, kiedy to wielbny Young i Anne Anderson zostali zaproszeni do wygłoszenia referatu podczas seminarium na Wydziale Zdrowia Publicznego. Jednego z wykładowców, pięćdziesięcioletniego Marvinna Zele-
na, specjalistę z zakresu statystycznej obróbki danych, zaintrygowały przedstawione wówczas odkrycia. Uznał problem białaczki w Woburn za interesujący materiał badawczy. Zaciekawilo go, czy rzeczywiście da się wykazać związek pomiędzy złą jakością wody wodociągowej a zachorowaniami na białaczkę. I jeszcze zanim seminarium dobiegło końca, Zelen znalazł sposób na podejście do tego zagadnienia.

Badania statystyczne, w jakich się specjalizował, wykazały między innymi istnienie związku między paleniem papierosów a zapadalnością na raka płuc, tyle że były oparte na dziesiątkach tysięcy analizowanych przypadków choroby. Do większość badań statystycznych potrzebne są olbrzymie zbiory danych, a w spra-

wie Woburn Zelen miał do czynienia tylko z dwunastoma przypadkami białaczki. Postanowił więc poszerzyć zakres obrabianych informacji. Doszedł do wniosku, że jeśli faktycznie jakość wody jest przyczyną choroby, to równie dobrze może powodować inne niedomagania u dzieci. Gdyby udało mu się znaleźć statystyczną zależność między stanem zdrowia noworodków czy nawet powikłaniami okresu okołoporodowego w rodzinach korzystających z wody czerpanej z ujęć G i H, potwierdziłoby to teorię, że istnienie ogniska zachorowań na białaczkę w Woburn nie jest tylko sprawą przypadku.

Wraz z kolegą przystąpił do ambitnych badań. Rozpoczęli od gromadzenia wszelkich informacji dotyczących przebiegu ciąży oraz wszystkich narodzin w mieście w okresie od roku 1960 do 1982. Przyjęli, że najbardziej wiarygodne informacje można uzyskać jedynie metodą bezpośrednich wywiadów z mieszkańcami, choć była ona szczególnie kosztowna i czasochłonna. Zelen i jego współpracownicy, znaleźli w Woburn liczną grupę wolontariuszy (która w sumie liczyła kilkadziesiąt osób, znalazły się w niej także Anne Anderson i Donna Robbins), ci zaś zbierali informacje od sąsiadów. W ten sposób zgromadzono dane o ponad pięciu tysiącach dzieci.

„Ten materiał statystyczny – pisał Zelen w podsumowaniu liczącego ponad sto pięćdziesiąt stron opracowania – wyraźnie dowodzi, że woda pochodząca ze studni G i H jest odpowiedzialna za pogorszenie średniego stanu zdrowia mieszkańców”. Naukowcy z Harvardu odkryli, że wśród kobiet zaopatrywanych głównie w skażoną wodę wystąpiło znaczne zwiększenie liczby poronień oraz martwych porodów. Natomiast na osiedlu Pine Street, najbardziej narażonym na efekty zanieczyszczenia, wśród dzieci wystąpił wyraźnie podwyższony współczynnik zapadalności na alergie, choroby skórne w postaci różnego rodzaju egzemy i schorzenia układu oddechowego, przede wszystkim przewlekłe zapalenia oskrzeli i płuc oraz astma. Ponadto badania wykazały „znaczny wzrost podatności” na wrodzone wady wzroku i słuchu, niedoczynność nerek i układu moczowego, a także „mającego podłoże środowiskowe” niedorozwoju noworodków, obejmującego rozszczepienie podniebienia, rozszczep kręgosłupa, zespół Downa i inne upośledzenia genetyczne.

Wreszcie udało się wykazać również istnienie związku między używaniem skażonej wody a zachorowalnością na białaczkę. Według obliczeń statystycznych w domach dzieci chorych średnio 21,2 procent wody pochodziło z zatrutych studni, podczas gdy w pozostałych, gdzie nie było przypadków białaczki, tylko 9,5 procent.

Kiedy pewnego mroźnego lutowego wieczoru Zelen przedstawił wyniki badań ludziom zgromadzonym w kościele Świętej Trójcy, wybuchła głośnie wrzawa. – Dzięki ktoś oznajmił głośno:

– Dziękuję Bogu, że jest ktoś taki jak Marvin Zelen.

Odpowiedziały mu gromkie owacje.

Część specjalistów znała rezultaty Studium Harwardzkiego za bardzo pożyteczne. Doktor John Truman, który także był tamtego wieczoru w kościele, rok później powiedział w swoich zeznaniach:

– To bardzo sumienna praca badawcza. Wykazuje niezbicie istnienie związku między ekspozycją ludzi na zanieczyszczenia, czyli kontakt ze skażoną wodą, a zwiększonym wskaźnikiem zachorowań na białaczkę. Przed zapoznaniem się z nią nie wierzyłem, aby białaczkę u dzieci mogły wywoływać jakieś czynniki zewnętrzne. Teraz jestem skłonny uważać, że odgrywają one pewną rolę.

Inni natomiast twierdzili, że interpretacja wyników jest tendencyjna. „To sprawozdanie cechuje (...) ignorancja w kwestii zagadnień dotyczących epidemiologii”, napisał recenzent z federalnego Centrum Badań Epidemiologicznych. Amerykańska Przemysłowa Rada Zdrowia, grupująca naukowców zajmujących się wpływami przemysłu na stan zdrowia ludzi, oceniła raport jako stronniczy. Nawet jeden z kolegów Zelena powiedział publicznie: „Niewybaczalnym błędem było zaangażowanie do gromadzenia danych ludzi zainteresowanych wynikiem badań. Moim zdaniem to poważnie zaciążyło na wiarygodności uzyskanych rezultatów”.

Niezależnie od opinii fachowców sprawozdanie Zelena stało się natychmiast prasową sensacją. Krzykliwy tytuł na pierwszej stronie „The Boston Globe” – SKAŻONA WODA PRZYCZYNĄ BIAŁACZKI W WOBURN – niezmiernie ucieszył Schlichtmanna. Z jego punktu widzenia wyniki badań potwierdzały zasadność powództwa cywilnego w sprawie Woburn, a wielce znaczące było to, że badania wykonali naukowcy z Harvardu.

Nie przejął się rosnącą falą krytyki, zrozumiał jednak, że sprawozdanie tylko w ograniczonym zakresie może być wykorzystane jako materiał dowodowy w rozprawie. Przede wszystkim nie wyjaśniało biologicznych przyczyn białaczki, nie dostarczało także niezbitego dowodu, że to właśnie skażona woda powoduje chorobę. Z rezultatów wynikało jedynie, że wśród dzieci narażonych na kontakt z zanieczyszczeniami obecnymi w wodzie z ujęć G i H obserwuje się zwiększoną zachorowalność na białaczkę. Schlichtmann nie miał więc żadnych wątpliwości, iż razem z Roismanem będą musieli znaleźć inny sposób na udowodnienie, że to właśnie trichloroetylen występujący w wodzie stał się przyczyną choroby u Jimmy’ego Andersona i pozostałych dzieci.

3

Studium Harvardzkie spowodowało także reakcję drugiej strony, a konkretnie Cheesemana. Znany z metodyczności adwokat opracowywał długofalową strategię w sprawie Woburn. Po nieudanej próbie oddalenia pozwu na podstawie paragrafu jedenastego postanowił zaczekać na kolejne posunięcie Schlichtmanna. Upływały jednak miesiące, w końcu minął rok, a nic się nie działo. Stąd też Cheeseman zaczął powoli nabierać przeświadczenia, że sprawa Woburn zo- stała osierocona.

Publikacja wyników badań statystycznych zniweczyła jego nadzieje. Zaczął więc przygotowywać następne wystąpienie, wnioski o rozpatrzenie sprawy w trybie doraźnym. Szkykował go już od paru miesięcy, a nawet kończył zbierać niezbędne dokumenty, kiedy przypadkiem spotkał Schlichtmanna na rogu Milk Street. Bar-

dzo go ucieszyła możliwość zwiedzenia jego kancelarii i obejrzenie materiałów zgromadzonych do procesu w sprawie Carneya. Wiedział teraz, czego się spodziewać, jeżeli sprawa Woburn będzie rozpatrywana przed sądem.

Wystąpił do sędziego Skinnera z wnioskiem o rozpatrzenie sprawy w trybie doraźnym, motywując, że Schlichtmann w żadnym wypadku nie będzie w stanie udowodnić, iż to właśnie trichloroetylen obecny w wodzie powoduje białaczkę, a bez takiego dowodu sprawa, przynajmniej z formalnego punktu widzenia, w ogóle nie powinna być rozpatrywana przed ławą przysięgłych.

Początkowo nawet Cheeseman sądził, że taki wybieg ma niewielkie szanse powodzenia. Traktował go raczej jako środek unaocznienia Skinnerowi rzeczywistego stanu wiedzy w tym zakresie. Ale w miarę przygotowywania wniosku zapatrywał się na niego coraz bardziej optymistycznie. Odwiedził wydział medycyny Harvardu, gdzie spotkał się z dwoma lekarzami, światowej sławy specjalistami od chorób układu krwionośnego. Łącznie obaj przebadali ponad dwa tysiące pacjentów chorych na białaczkę. Jeden z nich, James Jandl, kończył właśnie pisać rozdział poświęcony tej chorobie do swej nowej książki zatytułowanej *Krew: podręcznik hematologii*, miał zatem świeżo w pamięci wszelkie naukowe dane z zakresu leukemogenezy i stanowczo twierdził, że nie zostało udowodnione, aby trichloroetylen odgrywał znaczącą rolę wśród ewentualnych przyczyn zachorowań. Stąd też odnosił się do sprawy Woburn z nieskrywanym lekceważeniem.

Wiedział, że Agencja Ochrony Środowiska umieściła tę substancję w spisie „prawdopodobnych kancerogenów”, uczyniono to jednak na podstawie badań laboratoryjnych, które wykazały, że długotrwałe oddziaływanie trichloroetyleny w wysokich stężeniach wywołuje u myszy, chomików i szczurów choroby nowotworowe. Zwłaszcza wśród białych myszy stwierdzano wysoki odsetek nowotworów układu limfatycznego wytwarzającego białe krwinki, lecz według Jandla niektóre populacje tych zwierząt laboratoryjnych mają „naturalne” skłonności do limfosarkomatozy, co nadmieniali nawet autorzy prowadzonych testów, często odrzucając takie rezultaty badań. Co więcej, obaj naukowcy z Harvardu powiedzieli Cheesemanowi, że ekstrapolacja wyników otrzymanych na zwierzętach pozostawia wiele wątpliwości. Ostatecznie długością życia, budową genetyczną i przemianą materii zwierzęta laboratoryjne bardzo różnią się od ludzi.

Cheeseman powiadomił Fachera o swoim wniosku. I tym razem mu zależało, by wystąpienie było autoryzowane przez rzeczników obu pozwanych, lecz tak jak poprzednio Facher nie wykazał żadnego zainteresowania.

Musiał więc działać sam. Nakłonił obu lekarzy do podpisania oświadczeń stwierdzających stanowczo, że nie ma żadnych naukowych dowodów na poparcie tezy, iż trichloroetylen wywołuje u ludzi białaczkę. Wobec braku takiego dowodu, jak napisał w uzasadnieniu, Schlichtmann nie będzie w stanie wykazać prawdziwości zarzutów sformułowanych w pozwie. „W takich okolicznościach sprawa powinna zostać rozpatrzona w trybie doraźnym, a powództwo odrzucone jako bezzasadne”.

Cheeseman był przekonany, że sędzia zwoła posiedzenie w celu wysłuchania argumentów obu stron, chcąc jednak podsunąć takie rozwiązanie, zakończył swój

wniosek następująco: „Pozwany Grace & Co. żywi wiarę, że publiczna dyskusja w tej sprawie pomoże Wysokiemu Sądowi podjąć decyzję, dlatego wnioskuje o zwołanie posiedzenia, zakładając, że godzina w zupełności wystarczy każdej ze stron na przedstawienie swoich racji”.

Wniosek Cheesemana, który wpłynął zaledwie tydzień po ogłoszeniu wyroku w sprawie Carneya, całkowicie zepsuł Schlichtmannowi dobry nastrój. Był świetnie uzasadniony i w dodatku poparty opiniami dwóch lekarzy światowej sławy. Jan zamierzał udać się na krótki wypoczynek po męczącej rozprawie, teraz jednak w ciągu dziesięciu dni musiał z Roismanem wystosować oficjalną odpowiedź. Gdyby nawet uzyskał od Cheesemana zgodę na miesięczną zwłokę, i tak powinien wziąć się ostro do pracy, by zebrać materiały w sprawie o tak kolosalnym znaczeniu. I właśnie dlatego, że musieli się śpieszyć, Roisman dał mu wolną rękę w sformułowaniu pisma.

Schlichtmann zadzwonił do Cheesemana i poprosił o miesiąc na przygotowanie odpowiedzi.

– To bardzo dobry wniosek – dodał. – Moim zdaniem ma spore szanse na to, by sędzia go przyjął.

Cheeseman był o tym do głębi przekonany, niemniej zaskoczyło go, że oponent przyznał to otwarcie. Od razu zaakceptował proponowaną zwłokę.

Jan przystąpił do pracy. Spotkał się z pewnym kalifornijskim immunologiem poleconym mu przez Roismana. W dodatku Alan Levin świetnie znał się na zagadnieniach prawnych. Często występował przed sądem jako biegły w zakresie toksykologii. Na początku rozmowy zaznaczył, że jego zdaniem powództwo cywilne to bardzo silna broń służąca wprowadzaniu zmian w poglądach społecznych. Środowisko lekarskie, jak wyjaśnił, jest zbyt labilne i nie potrafi odpowiednio szybko reagować na postępujące skażenie środowiska naturalnego.

– Jeszcze dwadzieścia lat temu nie wahano się przed wykorzystywaniem aparatów rentgenowskich do sprawdzania, jak buty leżą na nogach, nie bacząc, że jednocześnie napromieniowuje się narządy płciowe – powiedział. – Gdyby dziś zaproponować to średnio rozgarniętemu dwudziestolatкови, na pewno uznałby to za szczyt głupoty. Nie wątpię, że wkrótce dzieci będą pytały rodziców: „Czy za waszej młodości naprawdę rozpylano środki owadobójcze z samolotów?”

Levin miał już wyrobiony punkt widzenia na sprawę Woburn. Uważał, że stały kontakt nawet z niezbyt wysokimi stężeniami trichloroetylenu w wodzie musiał doprowadzić u wszystkich mieszkańców miasta do znacznego osłabienia układu immunologicznego.

– Żadne chemikalia nie są obojętne dla ludzi – powiedział. – Tylko w większości wypadków skutki ich działania nie są na tyle drastyczne, byśmy zwrócili na nie uwagę. Jeżeli utraci się parę komórek ciała, nikt tego nie dostrzeże, gdyż jest ich bardzo wiele i wciąż wytwarzane są nowe.

Zdrowy, skutecznie działający układ obronny bez trudu radzi sobie z usuwaniem martwych i zniekształconych komórek, lecz jeśli zostanie on uszkodzony,

tłumaczył Levin, zdegenerowane komórki zyskają szansę przetrwania i zaczynają się rozmnażać.

Takie wyjaśnienie trafiło Schlichtmannowi do przekonania. Zapytał więc, czy istnieje jakiś sposób na zbadanie sprawności układu immunologicznego. Okazało się, że kolega Levina jest immunopatologiem na Harvardzie i kieruje laboratorium monitorującym system obronny u pacjentów po przeszczepach organów. Są to jednak kosztowne badania, a w dodatku nie ma żadnej pewności, czy cokolwiek wykażą.

Schlichtmann zdecydował się jednak spróbować. Levin zadzwonił do doktora Roberta Colvina i poprosił go o przeprowadzenie szeregu specjalistycznych analiz krwi. Wyjaśnił, że chce się przekonać, czy spożycie skażonej wody doprowadziło do uszkodzenia układów immunologicznych u wszystkich członków rodziny, a nie tylko u dzieci chorych na białaczkę.

Colvin słyszał wcześniej o ognisku zachorowań w Woburn i o Studium Harvardzkim. Przyznał, że ta teoria jest bardzo interesująca, po czym zapytał, o jakiego typu analizy chodzi. Levin odparł, że oprócz zwykłego sprawdzenia zawartości limfocytów przydałoby się ich zliczenie z podziałem na rodzaje.

Podczas rutynowych badań, wykonywanych niemal w każdym laboratorium analitycznym, liczy się jedynie białe ciała krwi w próbce, a więc zarówno limfocyty B, jak i T. Uwzględnienie rodzajów tych ostatnich to zupełnie inna sprawa. Wszystkie limfocyty typu T wyglądają identycznie, spełniają jednak odmienne funkcje, a ich rozróżnienie wymaga zastosowania nadzwyczajnych środków. Na przykład istnieją limfocyty pomocnicze, wyspecjalizowane w rozpoznawaniu zagrożeń, czyli wirusów, bakterii bądź komórek rakowych. Ściągają one w zakażone rejony limfocyty zwalczające, później zaś potrzebna jest interwencja limfocytów powstrzymujących, które przerywają atak po unieszkodliwieniu zarazków.

Różne typy limfocytów T Colvin naznaczał różnymi odczynnikami, a następnie zliczał je za pomocą promienia laserowego. Nigdy dotąd nie stosował tych metod w celu zbadania skutków działania chemikaliów na ludzi. Upowiedział więc, że nawet jeśli wyniki analiz wykażą jakiegokolwiek odchylenia od normy, i tak nie da się określić ich przyczyn, a zatem owe kosztowne badania nie mogą być zastosowane w celach diagnostycznych.

Levin był jednak przekonany, że powinny wystąpić różnice w proporcjach poszczególnych rodzajów limfocytów T. Nie wiedział tylko, jakich konkretnie odchyżeń należało szukać. Mimo wszystko ocenił, że warto nawet w ciemno wykonać kilka wstępnych analiz.

To już mniej się podobało Colwinowi. Jego laboratorium było zavalone pracą, on sam zaś nie miał zbyt wiele czasu, by spełniać wszelkie prośby kolegów. Niemniej teoria Levina go zaintrygowała, toteż ostatecznie zgodził się przeanalizować parę próbek.

– Nie sądzę jednak, byśmy cokolwiek wykryli – orzekł.

Postanowił na początek zbadać krew członków tylko jednej rodziny, postawił przy tym twarde warunki, że próbki nie mogą być zamrożone i należy je dostarczyć do laboratorium natychmiast po pobraniu. Ich analiza miała zająć cały dzień. Najpierw należało zglutynować krwinki czerwone, później żmudnie pooddzie-

łać i poznać limfocyty, nim wreszcie można je było poddać zliczaniu. Schlichtmann podjął się zorganizować pobranie próbek krwi i ich transport do laboratorium. Przebadanie wszystkich członków jednej z rodzin strony powodowej kosztowałoby dziesięć tysięcy dolarów, postanowił jednak wydać te pieniądze, uświadomiwszy sobie szybko, że więcej pochłonał robiony na zamówienie stół do sali konferencyjnej nowego biura.

Wybór padł na rodzinę Zonów. Próbki bez przeszkód dotarły do laboratorium, technik przygotował je do analizy i poznał odczynnikami limfocyty T, po czym Colvin umieścił preparaty w automatycznym laserowym liczniku komórek marki Spectrum 3.

Ledwie zaczął nanosić uzyskane wyniki na wykres, natychmiast zauważył odstępstwa od normy. Przede wszystkim w każdej próbce była znacznie podwyższona liczba białych krwinek, co sugerowało limfocytozę pacjentów i wskazywało, że ich układy obronne są pobudzone do wzmożonych działań. Obliczenie proporcji limfocytów wspomagających do zwalczających dało kolejny zaskakujący rezultat. U wszystkich badanych osób tych drugich komórek było zdecydowanie za dużo, zwłaszcza na wykresach porównawczych dwojga dorastających dzieci Zonów powstały wyraźne ostre piki. Colvin nigdy wcześniej nie widział tak zdumiewających wyników, nie potrafił określić ich przyczyny. Nie wykluczał jednak, że zgodnie z teorią Levina zachodzi tu przypadek intensywnego zwalczania jakiegoś kancerogenu w organizmach ludzi. Tak czy owak nie miał najmniejszych wątpliwości, że są to wyniki wręcz szokujące.

Szybko zapoznał kolegę ze swoim odkryciem. Dodał przy tym, że z naukowego punktu widzenia koniecznie trzeba potwierdzić te rezultaty.

– Moim zdaniem powinniśmy powtórzyć analizy w rodzinie Zonów, aby zyskać pewność, że nie są to wyniki przypadkowe.

Czekając na dostarczenie drugiej serii próbek, Colvin postanowił skalibrować aparat. Dość regularnie wykonywał na nim analizy własnej krwi bądź pobranej od innych pracowników laboratorium, wierzył bowiem, że jeśli dadzą one wyniki mieszczące się w granicach normy, będzie to oznaczało, iż urządzenie działa prawidłowo.

Tym razem w serii porównawczej Colvin nieświadomie umieścił próbkę krwi laboranta, który kilka lat wcześniej był leczony na czerniaka, nowotwór skóry. Analiza wykazała w niej znacznie podwyższoną liczebność limfocytów zwalczających, przez co nie mogły być wykorzystane do kalibracji aparatu. Ale przy okazji Colvin spostrzegł, że proporcje między poszczególnymi rodzajami limfocytów u tego człowieka są niezwykle zbliżone do rezultatów analizy krwi Zonów.

Tymczasem Schlichtmann poprosił Cheesemana o następny miesiąc zwłoki. Już wstępne wyniki skłoniły go, by analizie poddać próbki krwi wszystkich dwudziestu ośmiu żyjących członków rodzin strony powodowej. Colvin musiał dwukrotnie powtarzać każdą analizę. Kiedy skończył serię badań, miał już dość klarowny obraz sytuacji. „Te wyniki są doprawdy szokujące – pisał 15 czerwca w liście do Levina. – U wszystkich przebadanych pacjentów stwierdziłem podwyższoną liczbę białych krwinek o fenotypie zgodnym z limfocytami zwalczającymi. Możli-

na wnioskować, że jest to odpowiedź układu immunologicznego na obecność w organizmach ludzi jakiegoś kancerogenu”.

Levin specjalnie przyleciał z Kalifornii na spotkanie ze Schlichtmannem.

– Najprościej rzecz ujmując, Colvin uważa, że organizmy przebadanych ludzi zostały narażone na działanie jakiegoś kancerogenu i muszą nieustannie go zwalczać – wyjaśniał. – U dzieci, które zapadły na białaczkę, ta walka po prostu została przegrana.

Colvin, przekonany, że odkrył interesującą prawidłowość, chciał kontynuować badania. Zaproponował kolejną serię analiz, tym razem obejmujących testy funkcjonalne, jeszcze bardziej złożone, a zarazem droższe. Wspólnie z Levinem wpadł także na pomysł wykonania badań porównawczych u pięćdziesięciu mieszkańców Woburn nie narażonych na kontakt ze skażoną wodą. Tak rozległe badania miały kosztować aż pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

Schlichtmann, zafascynowany rezultatami pierwszej serii, postanowił sfinansować dalsze badania. Musiały one jednak potrwać parę miesięcy, on zaś nie miał już czasu, za kilka dni mijał termin wystosowania odpowiedzi na wniosek obrony.

Równocześnie Levin zaczął przeglądać rozmaite publikacje naukowe, szukając danych dotyczących toksyczności trichloroetyleny. Znalazł sprawozdanie z badań epidemiologicznych, którym poddano trzystu trzydziestu pracowników pralni chemicznych, mających na co dzień kontakt zarówno z trichloroetylenem, jak i tetrachloroetylenem, obydwoma rozpuszczalnikami wykrytymi w wodzie wodociągowej w Woburn. Badania te wykazały zwiększoną zapadalność na choroby nowotworowe, w tym raka nerek, pęcherza moczowego i krtani, odnotowano też aż pięć przypadków białaczki, podczas gdy statystycznie w poddanej eksperymentom grupie osób powinny wystąpić najwyższe dwa. Autor opracowania nie przywiązywał jednak większej wagi do tego odkrycia. Ponadto zaznaczał, że skoro pracownicy pralni byli narażeni na kontakt z różnymi rozpuszczalnikami – oprócz wymienionych także z groźnym czterochlorkiem węgla, powszechnie nazywanym tetra – nie jest możliwe wyciągnięcie wniosków co do kancerogennego działania poszczególnych substancji.

Schlichtmann stopniowo zaczął odzyskiwać pewność siebie. Nadal nie dysponował niezbitym dowodem na to, że trichloroetylen może wywoływać u ludzi białaczkę, ale na poparcie zarzutów miał Studium Harvardzkie, uzyskane przez Colvina szokujące wyniki analiz, oraz dwa odszukane przez Levina, a przemilczane przez biegłych Cheesemana opracowania z badań nad zwierzętami laboratoryjnymi, których autorzy wyraźnie stwierdzali, że trichloroetylen powoduje zanik komórek krwiotwórczych w szpiku kostnym. Poprosił więc Levina o fachową pomoc w sformułowaniu pisemnej odpowiedzi na wniosek obrony. Ten zaś napisał, iż „z medycznego punktu widzenia jest całkiem prawdopodobne”, że trichloroetylen obecny w wodzie pitnej „spowodował bądź też znacznie się przyczynił do powstania groźnych schorzeń, obejmujących wyraźne osłabienie układu immunologicznego oraz białaczkę” u ludzi zmuszonych do korzystania z tej wody.

Posłaniec Schlichtmanna dostarczył kopie pisma sędziemu i Cheesemanowi. Było to w piątkowe popołudnie pod koniec lipca. Skinner zwykle spędzał cały

sierpień w swoim domku letniskowym na wybrzeżu stanu Maine, było zatem wielce prawdopodobne, że posiedzenie w sprawie wniosku obrony zostanie zwołane dopiero we wrześniu.

Odpowiedź rzecznika powodów nie zrobiła większego wrażenia na Cheesemanie. Wciąż dobrej myśli, zaczynał się już szykować do ustnego przedstawienia sędziemu swoich argumentów, kiedy niespodziewanie, cztery dni po złożeniu przez Schlichtmanna odpowiedzi, zadzwonił do niego urzędnik z kancelarii.

– Sędzia podjął decyzję w sprawie pańskiego wniosku – oznajmił. – Może pan ją odebrać jeszcze dziś po południu.

Cheeseman pomyślał, że się przestęszął.

– Sędzia podjął decyzję? – spytał z niedowierzaniem. – A co z posiedzeniem?

– Nie zostawił żadnego polecenia w tej sprawie.

Stało się jasne, że obrona znów poniosła klęskę, a Skinner najwyraźniej zignorował sugestię dotyczącą rozpatrzenia wniosku na posiedzeniu. Cheeseman w pieskim nastroju poszedł do sądu, żeby odebrać pisemną decyzję. Jej uzasadnienie było nadzwyczaj lakoniczne. „Ze względu na to, że złożony problem przyczyn zaistniałej sytuacji stał się już przedmiotem licznych sporów i dyskusji, rozpatrzenie sprawy w trybie doraźnym byłoby wielce nie stosowne. Wniosek obrony zostaje więc ODDALONY”.

Czuł przez skórę, że znaczny wpływ na decyzję sędziego miała jego nieudana próba oddalenia pozwu na podstawie przepisów paragrafu jedenastego.

– Skinner sądził zapewne, że chce go sobie owinąć dookoła palca – wspominał później. – Dlatego nie traktował mnie zbyt przychylnie.

Cheesemana martwiło to tym bardziej, że jego kontakty z sędzią musiały potrwać jeszcze bardzo długo.

4

Dwukrotnie Schlichtmann bronił się przed atakami Cheesemana, jednego z najlepszych bostońskich specjalistów od wstępnych manewrów proceduralnych, i za każdym razem wychodził z tych starć zwycięsko. Tymczasem od złożenia pozwu upłynęło dwa i pół roku, on zaś nie uczynił niczego poza odpieraniem ataków obrony. Wiele lat później przyznał, że gdyby nie posunięcia Cheesemana, a zwłaszcza pierwszy wniosek o oddalenie pozwu na podstawie paragrafu jedenastego, zapewne poszedłby za radą Conwaya i zrezygnował ze sprawy. W tej sytuacji odnosił jednak coraz silniejsze wrażenie, że zdominuje ona całą jego karierę.

Kiedy Skinner wrócił z urlopu, wezwał do siebie rzeczników obu stron.

– Zamierzam znacznie przyspieszyć bieg tej sprawy – oznajmił surowym tonem trzem prawnikom, po czym dał im dziewięć miesięcy na przygotowanie materiału dowodowego. Dodał, że w maju przyszłego roku mają się już szykować do wyboru składu przysięgłych.

Conway przypomniał Schlichtmannowi, że wciąż są jedynie lokalnymi przedstawicielami rzecznika powodów – gdyż formalnie tę funkcję pełnił Roisman występujący w imieniu stowarzyszenia Adwokaci Procesowi na Rzecz Sprawiedliwości Społecznej – mimo że to Jan płacił dotąd wszystkie rachunki i samodzielnie przygotował odpowiedź na ostatni wniosek obrony. Tylko to zadanie, według szacunków Conwaya, kosztowało kancelarię około dwudziestu pięciu tysięcy dolarów, nie było więc żadnych wątpliwości, że do ukończenia przygotowań potrzebna będzie spora fortuna. Tymczasem Levin, w celu dokładnego przeanalizowania obecnego stanu zdrowia wszystkich dwudziestu ośmiu osób strony powodowej, zalecił powołanie szerokiego grona biegłych, między innymi neurologów, kardiologów, toksykologów oraz internistów. Natomiast Colvin rozpoczął porównawcze badania pięćdziesięciu innych mieszkańców Woburn. Jaką rolę odgrywają tu Adwokaci Procesowi na Rzecz Sprawiedliwości Społecznej? – perorował Conway. Jeżeli Roisman i jego stowarzyszenie chcą otrzymać dwie trzecie wywalzonego honorarium, to powinni przynajmniej w jakiejś części partycypować w ogromnych wydatkach.

Jesienią Schlichtmann wybrał się do Milwaukee na doroczne posiedzenie głównego zarządu stowarzyszenia. Przedstawił tam szczegółowy plan przygotowań do rozprawy wraz z szacunkowym zestawieniem ich kosztów, opiewającym na trzysta tysięcy dolarów, zaznaczając przy tym, że suma ta może wzrosnąć nawet do pół miliona.

W skład zarządu wchodził doświadczeni prawnicy, sporo starsi od niego, mający w dorobku wielomilionowe odszkodowania. Przewodniczył Ted Warshafsky, dobiegający sześćdziesiątki adwokat z Milwaukee, który specjalizował się w wystąpieniach przeciwko producentom leków. Powszechnie znany był z nadpobudliwości, z częstych wybuchów gniewu i nieprzebirania w słowach. Widocznie wychodząc z założenia, że kojąco podziała na niego towarzystwo wiernego stworzenia, kupił olbrzymiego boksera i zabierał go ze sobą wszędzie. Janowi wydało się to po prostu niestosowne. Kiedy Warshafsky usłyszał, ile mają kosztować przygotowania do rozprawy, zaczął wykrzykiwać wściekle na Schlichtmanna i tak silnie poczerwieniał na twarzy, jakby miał zaraz dostać apopleksji. Pies natomiast skoczył mu do nóg, a później stanął, wspierając się przednimi łapami o brzeg stołu, i groźnie łypnął błyszczącymi ślepiami na Jana. Ten na wpół podniósł się z krzesła, gotów w każdej chwili wybiec z sali.

Warshafsky szybko uspokoił psa i wciąż mamrocząc wściekle pod nosem, przekazał dalsze prowadzenie zebrania Salowi Liccardo, kalifornijskiemu prawnikowi znanemu z wystąpień przeciwko wytwórcom samochodów.

– Przygotowując pozew przeciw zakładom Forda – rzekł Liccardo ze złością – a była to jedna z moich największych spraw, wydałem tylko pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Nigdy nie słyszałem, by ktoś poświęcił na przygotowania trzysta tysięcy. To nie do przyjęcia.

Schlichtmann chciał już powiedzieć, że mnie więcej tyle wydał na sprawę Carneya, ale w porę ugryzł się w język.

– To jedyny znany mi sposób na załatwienie tak dużej sprawy – odparł, bez przerwy zerkając trwożnie na boksera. – Z przyjemnością jednak zdejmę ten ciężar ze swoich barków. Od tej pory sprawa jest w waszych rękach.

Kiedy wieczorem Roisman zaprosił go na drinka, powiedział:

– Zarząd podjął decyzję o zmianie naszej umowy. Okretem powinien dowodzić tylko jeden kapitan. A ponieważ tak bardzo zaangażowałeś się już w tę sprawę, pozwolimy ci ją poprowadzić na własną rękę.

Po powrocie do Bostonu Jan z radością przekazał Conwayowi nowiny. Według zmienionej umowy Adwokaci Procesowi na Rzecz Sprawiedliwości Społecznej mieli otrzymać jedynie dwanaście procent wywalzonego honorarium jako rekompensatę wydatków poniesionych w trakcie przygotowań pozwu. Zarówno strategia działań, jak i zakres ryzyka finansowego od tej pory miały zależeć wyłącznie od prowadzących sprawę.

5

Jeszcze tej jesieni, krótko po powrocie z Milwaukee, Schlichtmann po raz drugi spotkał Cheesemana na ulicy. Wymienił właśnie swojego porsche 911 na najnowszy sportowy model 928 o wydłużonej sylwetce i lakierze połyskującym niczym klejnot. Wysiadł z wozu, kiedy zauważył obrońcę.

– Twój? – zapytał Cheeseman.

Jan przytaknął ruchem głowy.

– Kupiłem go niedawno.

– Widzę, że interes idzie znakomicie.

Schlichtmann uśmiechnął się szeroko i wzruszył ramionami.

– Wygrałem sprawę Carneya – odparł.

Cheeseman musnął palcami błotnik, zajrzał do środka, po czym spytał, czy może na chwilę usiąść za kierownicą. Samochód miał na liczniku zaledwie kilkadziesiąt kilometrów. Obrońca usadowił się wygodnie, położył dłonie na kierownicy i popatrzył na deskę rozdzielczą. Od dawna marzył o takim aucie. Zaczął się dopytywać o moc silnika, liczbę cylindrów, moment obrotowy.

Schlichtmann przyznał otwarcie, że nie zna parametrów technicznych.

– Szkoda takiego cacka dla ciebie – mruknął Cheeseman z uśmiechem.

W tym czasie znał już pewne smutne fakty dotyczące działania zakładów Grace'a w Woburn. Pobieżna kontrola dokumentów wykazała, że w fabryce zużyto co najmniej cztery dwustulitrowe beczki trichloroetylenu, a nie tylko jedną, jak tłumaczono inspektorom Agencji Ochrony Środowiska. Cheeseman wiedział także, iż przed dziesięcioma laty dyrektor polecił robotnikom zakopać w rowie tuż za terenem zakładów sześć beczek z toksycznymi odpadami, zawierającymi również zużyty trichloroetylen. Agencja Ochrony Środowiska nakazała właścicielowi fabryki wydobycie tych beczek z ziemi, a przy ekshumacji był obecny fotoreporter „Woburn Daily Times”. Na pierwszej stronie gazety ukazała się wielka fotografia, przedstawiająca zardzewiałą, w wielu miejscach silnie powgniataną beczkę podnoszoną dźwigiem z dna rowu.

Tak więc Cheeseman nabrał przekonania, że w tej sytuacji niemal każdy skład przysięgłych byłby gotów uznać jego klienta za winnego skażenia wód podziem-

nych, choć on nadal nie wierzył, by tak małe ilości trichloroetylenu mogły spowodować tragiczne następstwa. Nie musiał jednak specjalnie wysilać wyobraźni, by pojąć wagę zeznań wezwanych przez Schlichtmanna na świadków matek dzieci zmarłych na białaczkę. Prawie już widział łzy w ich oczach, co natychmiast przywołało wspomnienia sprzed piętnastu lat i zeznania dziewczyny oplakującej przed sądem zmarłą siostrzyczkę. Coraz bardziej był pewien, że ze względu na opinię społeczną sprawa ta stanie się najgorszym koszmarem, spędzającym sen z powiek przemysłowcom. A idąc dalej, mógł już sobie wyobrazić głośny wyrok, nakazujący jego klientowi wypłacenie wielomilionowego odszkodowania.

Dwa jego dotychczasowe wnioski zostały oddalone, to jednak nie wyczerpywało dostępnych możliwości. We wstępnym raporcie Agencji Ochrony Środowiska wymieniano także trzeciego ewentualnego winowajcę zatrucia ujęć wody, świetnie prosperującą rodzinną firmę o nazwie Unifirst, produkującą ubrania robocze dla przedsiębiorstw całego wschodniego wybrzeża, od Florydy po Maine, w której zużywano sporo tetrachloroetylenu do czyszczenia gotowych wyrobów. Firma przyznała się nawet do rozlania pewnej ilości rozpuszczalnika, zapewniano jednak, że został on zebrany z ziemi. Cheeseman nie wierzył w te zapewnienia, podejrzewał zresztą, że nie tylko raz doszło do skażenia terenu zakładów tetrachloroetylenem. Postanowił zatem chronić swego klienta poprzez wciągnięcie Unifirst do grona pozwanych, by ewentualne odszkodowanie obciążało nie dwóch, lecz trzech sprawców tragedii.

Szybko przygotował formalny wniosek o powiększenie składu pozwanych. Był to manewr czysto obronny, ale dla Cheesemana miał jedną dużą zaletę: musiał jeszcze bardziej uprzykrzyć życie Schlichtmannowi, zmuszonemu w ten sposób do przeciwstawiania się aż trzem obrońcom reprezentującym wpływowe i bogate firmy.

Po zakończeniu pracy nad tym wystąpieniem zastanawiał się przez jakiś czas, czy nie powiadomić o nim Fachera. Ten jednak nie był zainteresowany dwoma wcześniejszymi wnioskami, toteż Cheeseman doszedł do przekonania, że tym razem nie warto nestorowi zwracać głowy. Jak się miało okazać, był to bardzo duży błąd.

Sędzia Skinner bez wahania przyjął wniosek obrony, po raz pierwszy odniósł się życzliwie do wystąpienia Cheesemana. Schlichtmann ze swej strony nie zgłosił żadnych zastrzeżeń wobec powiększenia grona pozwanych. Na początku sam się zastanawiał, czy nie pozwać także firmy Unifirst, ale stwierdził, że nie jest to konieczne. W wodzie z ujęć G i H wykryto tylko niewielkie ilości tetrachloroetylenu, a w firmie w ogóle nie używano trichloroetylenu podejrzewanego o działania nowotworowe. Co więcej, wcale nie sądził, że posunięcie Cheesemana utrudni mu życie, skwitował więc ten pomysł gromkim śmiechem.

– Tylko posłuchaj! – wykrzyknął do Conwaya i odczytał na głos fragment pisma: – „Unifirst powinien mieć swój udział w powinnościach wobec powodów ze względu na to, że w procesie produkcyjnym wykorzystuje, transportuje i utyli-

zuje groźne chemikalia, z lekceważeniem traktując zdrowie, bezpieczeństwo oraz interesy ekonomiczne powodów”. – Znów zaśmiał się głośno. – Pojmujesz ironię sytuacji? Cheeseman używa niemal tych samych określeń co ja w zarzutach stawianych spółce Grace’a!

Następnego ranka Schlichtmann zadzwonił do adwokata z kancelarii Goodwin, Proctor & Hoar reprezentującej interesy Unifirst.

– Widzę, że dostaliście zaproszenie do uczestnictwa w naszym przedstawieniu – rzekł.

– Teoretycznie powinienem się zdziwić, że do mnie dzwonicz – odparł tamten – muszę jednak przyznać, iż zastanawiałem się przed chwilą, czy nie zadzwonić do ciebie.

– Kiedy moglibyśmy się spotkać?

– Masz teraz czas?

Już w trakcie pierwszej rozmowy rzecznik Unifirst powiedział Schlichtmannowi, że ma nadzieję na osiągnięcie sensownej ugody, dzięki której jego klient nie będzie musiał stawać przed sądem. Właściciel firmy gotów był wypłacić odszkodowanie, skoro formalnie występował przeciwko niemu Cheeseman reprezentujący spółkę Grace’a. Schlichtmanna nie traktowano jako przeciwnika w tej sprawie.

Natomiast Facherowi nie było ani trochę do śmiechu. Do tej pory nawet lubił Cheesemana, chociaż miał mu za złe zarówno sam wniosek o oddalenie pozwu na podstawie paragrafu jedenastego, jak i to, że w trakcie posiedzenia dał się Schlichtmannowi wywieść w pole. Jego zdaniem dotychczasowe wystąpienia obrony nie świadczyły o niej najlepiej, ale wciągnięcie do sprawy firmy Unifirst uznał za prawdziwą kompromitację. Dopiero teraz należało oczekiwać poważnych kłopotów, bo Unifirst z pewnością nie zamierzał się przyłączyć do wspólnej obrony, skoro właśnie z jej strony firma została zmuszona do stawania przed sądem. Wielce prawdopodobne były teraz właśnie trzech pozwanych przedsiębiorstw i wzajemne zrzucanie na siebie winy za skażenie wody. Na samym początku Facher rozmawiał o tym z Cheesemanem i doszli do porozumienia, że takie posunięcie byłoby jedynie na rękę Schlichtmannowi.

Teraz zadzwonił do niego rozwścieczony. O ile mógł sobie później przypomnieć, zaczął rozmowę bardzo ostro:

– Jakimu celowi, do jasnej cholery, miałyby to służyć?! Napisałeś w uzasadnieniu, że to Unifirst zanieczyścił teren i zatrzał ludzi! Dokładnie to samo twierdzi Schlichtmann. Zwałać winę na innych mógłbyś w każdej sytuacji, niekoniecznie ściągając Unifirst do sądu. Prawdę mówiąc, byłoby nawet bezpieczniej formułować zarzuty pod nieobecność trzeciej strony na sali.

– Chciałem, żeby Unifirst też się poczuwał do odpowiedzialności – odparł Cheeseman. – Jeśli nawet teraz właściciel firmy jest na nas wściekły, to wkrótce zrozumie, że najlepszym wyjściem dla niego jest ścisła współpraca z nami.

– Bzdura! – warknął Facher. – Nie pójdzie na żadną współpracę! Ty zaś będziesz miał jednego przeciwnika więcej.

Miał rację. Wkrótce Unifirst wystąpił z pozwami przeciwko spółce Grace'a oraz Beatrice Foods. Cheeseman upierał się przy tym, by nie rezygnować z zarzutów przeciwko Unifirst, ale główny radca prawny Grace'a zdecydował za niego. Już od pierwszej chwili wniosek Cheesemana przyniósł jedynie kłopoty i nic nie wskazywało na to, by Unifirst nabrał ochoty do współpracy i przyłączył się do wspólnej obrony. Tak więc wbrew swej woli adwokat musiał wycofać wniosek o poszerzenie grona pozwanych.

Tymczasem Schlichtmann podjął negocjacje z przedstawicielami Unifirst. Na pierwszym spotkaniu adwokat firmy zaproponował sto tysięcy dolarów odszkodowania. Jan po raz kolejny zorganizował naradę w szczęśliwym dla niego hotelu „Ritz-Carlton” i ściągnął na nią eksperta z Uniwersytetu Princeton, specjalistę z dziedziny wód podziemnych. Adwokat Unifirst szybko zwiększył ofertę do sześciuset tysięcy. Schlichtmann chciał jednak więcej. Nastąpiła krótka przerwa w negocjacjach, po czym doszło do kolejnego spotkania w hotelu. Ostatecznie Unifirst zgodził się wypłacić w ramach ugody milion pięćdziesiąt tysięcy dolarów odszkodowania, z czego czterysta tysięcy od ręki, w gotówce, a pozostałą część w ratach rozłożonych na pięć lat.

Jan zwołał zebranie zainteresowanych rodzin. Sobotniego ranka w jego biurze wszyscy ochoczo przystali na proponowaną przez Unifirst ugodę i na wniosek Schlichtmanna zgodzili się przeznaczyć tę pierwszą wypłatę na finansowanie dalszych przygotowań do rozprawy. Było to niezwykle istotne, gdyż z miliona dolarów zarobionych na sprawie Carneya niewiele już pozostało na koncie kancelarii. Nie licząc sowitych premii wypłaconych wszystkim pracownikom biura, od Kathy Boyer po sprzątaczkę, Schlichtmann odremontował sobie mieszkanie i wymienił samochód na nowy, natomiast Conway i Crowley kupili domki jednorodzinne na przedmieściach Bostonu. A i tak większa część pieniędzy poszła na prowadzenie dalszych przygotowań. Nikomu zaś nie trzeba było tłumaczyć, że sprawa Woburn dopiero zaczyna pochłaniać fundusze niczym studnia bez dna.

Materiał dowodowy

1

Richard Aufiero wiedział o prawie tylko tyle, ile przybliżyły mu tę dziedzinę filmy i telewizja. Tymczasem 7 stycznia 1985 roku, w poniedziałek rano, miał się stawić w Bostonie w celu złożenia oficjalnych zeznań przed adwokatami Grace'a i Beatrice Foods. Już gdy się obudził wczesnym rankiem, był podenerwowany. Podejrzewał, że sprytni rzecznicy bogatych i wpływowych firm będą próbowali go wykołować, podejść chytrze, aby powiedział coś niekorzystnego dla siebie bądź przynajmniej wyszedł na głupka.

– Czuję się jak kretyń – powiedział żonie, Lauren, która miała zeznawać po południu, zaraz po nim.

Richard był pierwszym z grona powodów, a ściślej rzecz biorąc, w ogóle pierwszym człowiekiem mającym składać zeznania w sprawie Woburn, czyli, mówiąc żargonem prawniczym, dostarczyć materiału dowodowego. Wolałby inną kolejność, miałby wówczas okazję, żeby popytać inne osoby o przebieg posiedzenia czy rodzaj zadawanych pytań. Nie mógł jednak decydować w tej sprawie. Z sobie tylko znanych powodów rzecznicy obrony wybrali go na pierwszego świadka. Schlichtmann szczegółowo wyjaśniał mu procedurę przesłuchania, tłumaczył również, że nie ma się czym przejmować, lecz Richard i tak się denerwował. Włożył czystą koszulę i odświeżone spodnie. Przez jakiś czas się zastanawiał, czy nie wybrać swojej ulubionej stylonowej zielonej szwedki, doszedł jednak do wniosku, że lepiej będzie wygadał w typowej sportowej kurtce. Ta miała co prawda już osiem lat i w niektórych miejscach była powycierana, ale nie dysponował żadnym lepszym wierzchnim okryciem.

Pocieszało go, że Lauren sprawia wrażenie jeszcze bardziej zdenerwowanej od niego. Od śmierci Jarroda często miewała dziwne stany lękowe, podczas których ciśnienie wzrastało jej tak gwałtownie, że czuła się, jakby miała za chwilę umrzeć albo zwariować. Po pogrzebie syna spędziła tydzień w szpitalu i od tamtej pory regularnie odwiedzała psychoterapeutę, ale zdaniem Richarda niewiele jej pomagały te wizyty. W dodatku zaczęła pić. U niego natomiast śmierć Jarroda

wywołała zupełnie odmienną reakcję. O ile kiedyś nawet lubił sobie wypić, o tyle teraz sporadycznie brał do ust choćby kroplę alkoholu.

Byli już spóźnieni, kiedy oboje wychodzili ze swego skromnego drewnianego domu przy Pine Street, a w dodatku trafili na wzmożony ruch na autostradzie do Bostonu. Richard zawodowo prowadził ciężarówkę i od czasu śmierci trzyletniego Jarroda, który zmarł na kolanach matki właśnie w samochodzie, setki razy przemierzał ten odcinek szosy, lecz ilekroć mijał zjazd do Somerville, w jego pamięci odżywały tamte tragiczne chwile, gdy jak szalony skręcił z autostrady i pognął do remizy strażackiej, szukając ratunku dla syna. Wcześniej, kiedy Lauren krzyknęła, że mały całkiem przestał oddychać, zatrzymał wóz na poboczu autostrady i sam usiłował reanimować dziecko, robiąc mu sztuczne oddychanie. Nie mógł tego zapomnieć: krzyki żony trzymającej Jarroda, ryk przejeżdżających obok autostradą wielkich ciężarówek, bezwładne ciało syna przelewającego mu się przez ręce. Często o tym rozmyślał, chociaż od dawna nie rozmawiał na ten temat z Lauren, żeby jej nie denerwować. Również tego dnia, gdy mijali zjazd do Somerville, w samochodzie panowała martwa cisza. Richard podejrzewał, iż żona także nie może się uwolnić od wspomnień, mimo że w rozmowie do nich nie wracała.

Często powtarzała, że nie chce mieć nic wspólnego z rozprawą przed sądem, nie chce rozdrapywać zabliznionych ran.

– Żadne pieniądze nie wrócą nam Jarroda – mawiała. – Nienawidzę tych ludzi, którzy zatruli wodę. Czemu to nie oni stracili dziecko? Nawet wypłata odszkodowania na pewno aż tak ich nie zabolii.

– Nie występujemy tylko o odszkodowanie – odpowiadał. – Przede wszystkim musimy pokazać całemu światu, że przyczyną naszych cierpień były ich działania.

Zanim znaleźli wolne miejsce na parkingu i doszli do biura Schlichtmanna, było już piętnaście po dziesiątej. Przesłuchanie miało się zacząć o dziesiątej w kancelarii Hale'a i Dorra, lecz adwokat najwyraźniej się tym nie przejmował. Poprosił, żeby się rozebrali i usiedli w fotelach, po czym zaczął od nowa tłumaczyć zasady składania zeznań.

– Słuchajcie uważnie pytań i nie mówcie niczego więcej, niż potrzeba. Odpowiadajcie precyzyjnie i starajcie się nie powtarzać w kółko: nie wiem. To mogłoby się wydać podejrzane. Nad każdą odpowiedzią dobrze się zastanówcie, gdyż nie będzie szansy cofnięcia tego, co się już raz powiedziało.

Richard zapytał, czy muszą odpowiadać na wszystkie pytania, nawet te nie mające nic wspólnego z chorobą i śmiercią Jarroda, na przykład dotyczące drobnych kłopotów z prawem, które miał jako nastolatek, czy też wzajemnych stosunków z żoną.

Schlichtmann świetnie znał przeszłość Aufiero, zatem od razu się domyślił, że chodzi o zarzut nadużywania narkotyków, jaki został mu postawiony przed piętnastoma laty, gdy Richard miał siedemnaście lat, oraz o głębokie rozcięcie skóry na czole Lauren, z którym zgłosiła się do lekarza, będące wynikiem uderzenia głową o szafę, kiedy pchnął ją silnie w trakcie jakiejś kłótni. Niestety, Facher

i Cheeseman także wiedzieli o tych zdarzeniach. Schlichtmann, zobligowany przepisami o jawności materiału dowodowego, musiał udostępnić obronie między innymi karty chorobowe wszystkich powodów. Podejrzał zresztą, że właśnie z uwagi na te incydenty Facher chciał przesłuchać małżonków Aufiero w pierwszej kolejności.

– Mogą zadawać dowolne pytania, a wy musicie na nie odpowiedzieć – tłumaczył teraz. – Zanim przesłuchanie dobiegnie końca, będą zapewne wiedzieli o was więcej niż wy sami. Mówcie tylko prawdę, bo jeśli skłamięcie i to się wyda, znajdziecie się w bardzo niekorzystnej sytuacji podczas składania zeznań przed ławą przysięgłych.

Lauren została w biurze, a Schlichtmann i Conway poszli z Richardem do odległej o kilkaset metrów kancelarii Hale’a i Dorra. Było już wpół do jedenastej. Kiedy wjechali na dwudzieste szóste piętro, sekretarka zaprowadziła ich do obszernej, jasno oświetlonej, wyłożonej grubym dywanem sali konferencyjnej o ścianach obitych boazerią. Z wielkiego okna roztaczał się panoramiczny widok na bostoński port i dzielnicę North End. Richardowi sala wydała się niemal zatłoczona. W sumie naliczył aż ośmiu prawników, bez wyjątku w ciemnych garniturach, siedzących przy wielkim prostokątnym stole. Kiedy tylko weszli do środka, natychmiast umilkły rozmowy, on zaś poczuł na sobie chłodne, taksujące spojrzenia. Uśmiechnął się wstydliwie. Chciał przywitać się głośno, ale ze ściśniętego gardła wydobył mu się tylko nieartykułowany pomruk, odchrząknął więc i wbił wzrok w podłogę. Conway, który siedł tuż za Richardem, położył mu dłoń na ramieniu i szepnął do ucha:

– Proszę się nie martwić, wszystko będzie dobrze.

Schlichtmann wskazał Richardowi miejsce pośrodku długości stołu, sam usiadł obok. Conway przeszedł na drugą stronę, odsunął nieco krzesło do tyłu i usadowił się dokładnie naprzeciwko nich. Przy rogu, przed maszyną stenotypiczną ustawioną na trójnogu, siedziała korpulentna protokolantka sądowa.

Zebraniu przewodniczył Facher, który zajmował miejsce u szczytu stołu. Po jego prawej stronie siedział Jacobs, dalej jeszcze jeden młody pracownik kancelarii Hale’a i Dorra, nieznanym Schlichtmannowi. Na lewo od Fachera usadowił się Cheeseman, któremu towarzyszyło aż trzech kolegów z kancelarii Foleya, Hoaga i Eliota. Obie firmy wcześniej uzgodniły, że proces przyjmowania zeznań powodów należy zorganizować jak najoszczędniej. Wiele późniejszych przesłuchań miało się odbyć w siedzibie kancelarii Cheesemana, ale już po tym pierwszym spotkaniu można było ocenić, że to Facher zamierza odgrywać pierwszoplanową rolę w składzie obrony.

– Proponuję zacząć – oświadczył stanowczo, po czym poprosił protokolantkę, by zaprzysiężyła świadka. Później zadał kilka krótkich pytań dotyczących stanu zdrowia Richarda, pomijając jednak milczeniem rolę narkotyków w jego przeszłości. Aufiero szybko się rozluźnił, odpowiadał krótko i rzeczowo, toteż Facher postanowił przejść do ważniejszych rzeczy i zapytał: – Czy to prawda, że już od chwili zamieszkania w Woburn zwrócił pan uwagę na dziwny smak wody?

– Tak. Zauważyłem to, gdy tylko zacząłem się częściej spotykać z moją przyszłą żoną.

– A więc kiedy się pan przeprowadzał do Woburn, wiedział pan już, że tamtejsza woda wodociągowa jest niedobra?

– Tak, ale w wielu innych miastach woda jest równie kiepska.

– To prawda – przyznał Facher.

– Staraliśmy się jak najczęściej używać wody butelkowanej.

– Od samego początku kupowaliście wodę pitną w butelkach?

– Czasami. Nie mogliśmy jej używać do wszystkiego. Kiedy gotowaliśmy obiady, korzystaliśmy z wody kranowej. Stosowaliśmy ją też do rozcieńczania soku pomarańczowego. Lecz jeśli chcieliśmy się napić czystej wody, sięgaliśmy po butelkę.

– Czy kiedykolwiek dowiedział się pan w trakcie badań lekarskich, że pański układ immunologiczny nie jest w pełni sprawny?

– Nie – odparł Richard. – Dopiero po śmierci syna dowiedzieliśmy się, że przyczyną było całkowite wyniszczenie jego układu immunologicznego.

Facher zajął do rozłożonych na stole kart chorobowych.

– Jako bezpośrednią przyczynę jego śmierci wymieniono salmonellozę. Wie pan coś na ten temat?

– Rzeczywiście, bezpośrednią przyczyną śmierci syna była salmonella, lekarze powiedzieli jednak, że na pewno nie umarłby z powodu tej infekcji, gdyby wcześniej jego układ immunologiczny nie został bardzo silnie osłabiony przez intensywną chemioterapię. Jeśli dobrze pamiętam, w wynikach autopsji zostało to mniej więcej tak zapisane. Nie orientuję się dokładnie, nie jestem lekarzem.

– Z jakiego powodu zażądał pan autopsji?

– Wcześniej syn czuł się dobrze, naprawdę bardzo dobrze. Był leczony na białaczkę dopiero od trzech miesięcy i jego stan wyraźnie się poprawiał.

– Rozmawiał pan osobiście z lekarzami w tej sprawie?

– Rozmawiałem... dość ostro – przyznał Richard. – Proszę zrozumieć, straciłem syna... całkiem niespodziewanie, ni stąd, ni z owąd, tymczasem nie przeprowadzono żadnych badań...

– Dość ostro? Czy to znaczy, że był pan rozwścieczony?

– Nawrzeszczałem na nich. – Richard pokiwał głową. – Szybko mnie zapewnili, że natychmiast przeprowadzą autopsję, z której chcieli zrezygnować, choć to w żadnym stopniu nie pomoże już Jarrodowi.

– Podsumujmy zatem – rzekł Facher. – Pański syn czuł się dobrze, kuracja przebiegała pomyślnie i byliście jak najlepszej myśli, gdy niespodziewanie zachorował i zmarł. Zgadza się?

– Lekarze uznali, że powinniśmy się tego spodziewać. Chorzy na białaczkę mogą umrzeć w każdej chwili.

– A mimo to był pan rozwścieczony, może nawet zachowywał się obraźliwie, kiedy...

– Każdy by tak zareagował na moim miejscu – przerwał mu Richard, wyraźnie rozżłoszczony. – Straciłem syna.

– Tak, rozumiem – odparł uspokajająco Facher. – Chciałem tylko odtworzyć bieg zdarzeń.

– Poprzedniego dnia był prawie zdrow, bawił się normalnie, a nazajutrz umarł. Tylko to spowodowało moją ostrą reakcję. Każdy rodzic wie, kiedy jego dziecko nie czuje się dobrze, lecz gdy próbuje się to wytłumaczyć lekarzowi przez telefon, pada pytanie: „Czy ma gorączkę?” Odpowiadam, że nie, na co słyszę: „W takim razie nic mu nie jest. Proszę się o nic nie martwić i przywieźć syna do szpitala w poniedziałek rano”. – Richard zamilkł na chwilę. – A w poniedziałek rano Jarrod już nie żył.

– Zmarł w szpitalu?

– Nie, w samochodzie, na autostradzie międzystanowej.

Facher zrobił taką minę, jakby o tym nie wiedział.

– Zmarł w samochodzie, gdy wioził go pan do szpitala? – zapytał.

– Tak, na autostradzie, przy zjeździe do Sommerville. Skręciłem do miasta, dojechałem do remizy straży pożarnej... – Ewidentnie chciał powiedzieć coś więcej, ale głos mu się załamał i łzy napłynęły do oczu. Szybko sięgnął po szklanekę z wodą i w kilku haustach niemal ją opróżnił.

Na kilka sekund w sali zapadła grobowa cisza, w której wyraźnie było słychać chrapliwy urywany oddech Richarda usiłującego odzyskać panowanie nad sobą. Conway, do głębi poruszony jego zachowaniem, uniósł dłoń do oczu. Nie uszło to uwagi Fachera, który obrzucił adwokata ostrym, karcącym spojrzeniem. Po chwili zaczął łagodnym tonem:

– Zadzwonił pan, chcąc oddać syna do szpitala, tymczasem powiedziano panu...

– Zgadza się, dzwoniłem w niedzielę rano. Kazali mi przywieźć syna w poniedziałek.

Facher zadał jeszcze kilka krótkich pytań dotyczących kuracji Jarroda i przekazał świadka rzecznikom zakładów Grace’a. Zabrał głos jeden ze współpracowników Cheesemana, lecz on również miał tylko parę drobnych spraw i skończył po paru minutach.

– Nie mam na razie więcej pytań do świadka, panie Schlichtmann – oznajmił Facher, po czym zwrócił się Richarda: – Bardzo panu dziękujemy.

Aufiero podniósł się szybko. Jan także wstał od stołu i delikatnie poklepał Richarda po ramieniu. Wszyscy rzecznicy obrony pozostali na miejscach, jakby żaden nie miał odwagi się odezwać.

Schlichtmann włożył płaszcz i pociągnął Richarda do wyjścia. Sięgał już do klamki, gdy za jego plecami rozległ się głos Fachera:

– Do widzenia. Życzymy panu powodzenia.

Zabrzmiało to nieco wyzywająco. W opinii Jana Facher pożegnał świadka takim tonem, jakby chciał dodać: „Krzyżyk na drogę”. Odwrócił się więc szybko, spojrzał na adwokata i rzekł:

– W tej sytuacji to raczej wam należałoby życzyć powodzenia.

Facher w żadnej mierze nie pragnął, by jego słowa zostały odczytane jak wyzwanie, był jednak zaniepokojony atmosferą, jaka się wytworzyła w czasie zeznań Richarda. Już to pierwsze przesłuchanie poszło nie po jego myśli.

– Niektórych spraw żaden adwokat nie powinien przegrać – mawiał swoim słuchaczom na Harvardzie. – Innych nie da się wygrać. Po prostu trzeba rozgrywać takimi kartami, jakie przychodzą w rozdaniu.

Po przesłuchaniu Aufiero nabrał przekonania, że ma do czynienia ze sprawą, której nie da się wygrać, zwłaszcza na sali sądowej. Nie musiał zbyt wiele wysilać wyobraźni, by pojąć wymowę zeznań Richarda, na polecenie Schlichtmanna opisyującego ze szczegółami okoliczności śmierci Jarroda. Wszyscy obecni na sali, może nawet sam sędzia, ocieraliby łzy z oczu, jeszcze zanim adwokat zwolniłby świadka. A przecież Aufiero nie był jedyny, w kolejce czekało siedem innych rodzin mających do przedstawienia własne tragiczne historie.

Na tym etapie Facher oceniał, że jego szanse na zwycięstwo wynoszą jeden do dziesięciu. Skłaniał się więc ku wnioskowi, że najlepiej byłoby osiągnąć ugodę, choć perspektywa negocjacji budziła jego obrzydzenie. Dotychczas powtarzał z dumą, że jeszcze nigdy nie zgodził się polubownie wypłacić miliona dolarów odszkodowania, ale w tym wypadku nie miał wątpliwości, że gra idzie o bardzo wysoką stawkę.

Wmówił sobie, że za wszelką cenę nie wolno dopuścić do tego, by któryś z powodów składał zeznania przed sądem. Nie miał tylko pojęcia, jak tego dokonać bez oferowania ugody. Pocieszał się, że czasu jest pod dostatkiem, gdyż rozpoczęli dopiero przesłuchiwanie świadków. Wiele się jeszcze mogło wydarzyć do chwili pierwszego zebrania ławy przysięgłych.

2

Przez cały styczeń ciągnęły się przesłuchania, którymi objęto łącznie trzynastu dorosłych mieszkańców Woburn. Schlichtmann uczestniczył we wszystkich, nie potrafił jednak czerpać satysfakcji z prawdziwych dramatów, w jakie przeradzały się zeznania jego klientów. Całkowicie pochłaniały go rozważania nad sposobami udowodnienia winy pozwanym zakładom Grace'a i Beatrice Foods. Wciąż brakowało mu przekonujących dowodów. Ostatecznie za skażenie wód podziemnych w dolinie Aberjony odpowiadali konkretni ludzie, on zaś powinien nie tylko ich zidentyfikować, lecz także odkryć, ile odpadów i na czyje polecenie zakopano w ziemi.

Również przystąpił do przesłuchiwania świadków, które odbywało się przy robionym na zamówienie stole konferencyjnym za dwanaście tysięcy dolarów. Na pierwszy ogień wybrał zakłady Grace'a. Ich kierownictwo przyznało się inspektorom Agencji Ochrony Środowiska, że tuż za ogrodzeniem fabryki, w pogłębionym odcinku rowu melioracyjnego, zostało złożonych kilka beczek, twierdziło jednak, że znajdujące się w nich odpady są „ogólnie nieszkodliwe”, a beczek wcale nie zakopano w ziemi i nie zamierzano tego robić. Schlichtmann doskonale wiedział, że jeśli nawet nie jest to umyślne kłamstwo, to przynajmniej nie w pełni zgadza się z prawdą. W końcu pracownicy agencji musieli odkopać i wydobyć na powierzchnię sześć skorodowanych beczek, ułożonych w rowie ścisło jedna przy

drugiej. Stwierdzili też, że w beczkach pierwotnie znajdował się trichloroetylen i inne toksyczne rozpuszczalniki.

Schlichtmann chciał postawić przed sądem pracownika odpowiedzialnego za składowanie beczek z odpadami poza terenem zakładu, a także jego przełożonego. Dlatego też zwrócił się do Cheesemana z wnioskiem o umożliwienie przesłuchania osoby „najbardziej kompetentnej” w zakresie metod wykorzystania rozpuszczalników oraz ich usuwania. W umówionym terminie, rano w pierwszą środę marca, obrońca stawiał się w jego biurze z niejakim Paulem Shalline'em, kierownikiem działu bezpieczeństwa i higieny pracy w zakładzie Grace'a.

Wstępne pytania pozwoliły ustalić, że Shalline pracował w Woburn przez trzydzieści lat i choć legitymował się tylko średnim wykształceniem handlowym, dość szybko awansował w fabryce na odpowiednik stanowiska superintendenta, później jednak pełnił mniej odpowiedzialne funkcje. Obecnie miał sześćdziesiąt lat, sprawiał wrażenie zgorzkniałego i wyraźnie wrogo nastawionego. Reagował na pytania bardzo wolno, z namysłem, często udzielając wymijających odpowiedzi bądź twierdząc, że pamięć go zawodzi. W pewnym momencie rzekł, iż został w zakładzie mianowany „inspektorem ochrony środowiska”, a gdy Jan zapytał, kiedy to było, tamten odburknął niechętnie, że nie pamięta.

– Co należało do pańskich obowiązków?

– Miałem nadzorować opróżnianie i czyszczenie zbiornika ścieków, kontrolować, czy nie zatruwamy powietrza wokół zakładów i tak dalej.

– Zatem powinien pan wiedzieć, czy jakieś odpady były zakopywane w ziemi tuż za terenem fabryki.

– Nic o tym nie wiem.

Schlichtmann zmarszczył brwi. Nawet Cheeseman przyznawał w swej oficjalnej odpowiedzi na pozew, że „od czasu do czasu” na nieużytkach za terenem zakładów mogły zostać rozlane „niewielkie ilości” zużytych rozpuszczalników. Teraz zaś uznał Shalline'a za osobę najbardziej kompetentną w omawianym zakresie, ten jednak stanowczo zaprzeczał, by cokolwiek wiedział o podobnych praktykach. Jan postanowił więc dążyć ów temat, niemal dosłownie przytaczając sformułowania Cheesemana:

– Na pewno pan nie wie, czy od czasu do czasu jakieś drobne ilości odpadów nie były wyrzucane na obszar poza terenem zakładów?

– Proszę odpowiedzieć, tylko jeśli pan wie – wtrącił szybko Cheeseman.

– Nie wiem – odparł Shalline.

– A osady ze zbiornika ścieków za maszynownią też nie były rozrzucone na ziemi za terenem fabryki?

– O tym też nic mi nie wiadomo.

– Jest pan przekonany, że w latach sześćdziesiątych nie było przyjętym zwyczajem pozbywanie się osadów ze zbiornika metodą rozrzucania ich po ugorach tuż za ogrodzeniem zakładu?

– Proszę odpowiedzieć, tylko jeśli pan wie – powtórzył jak echo Cheeseman.

– Nie wiem – podchwycił Shalline. – Nie podejrzewam jednak, by coś podobnego można w ogóle uznać za przyjęty zwyczaj.

- Więc może ktoś to robił na własną rękę, bez wiedzy przełożonych?
- Niewykluczone. Mogło się to odbywać bez mojej wiedzy.

Przesłuchanie Paula Shalline'a ciągnęło się przez dwa dni, ale po dwunastu godzinach zadawania pytań Schlichtmann odnosił wrażenie, iż oprócz zaprzeczeń i zasłaniania się niewiedzą nie uzyska od tego człowieka żadnych konkretnych odpowiedzi. Shalline utrzymywał nawet, że nic nie wiedział o sześciu beczkach z odpadami złożonych w rowie melioracyjnym, których ekshumacji dokonali inspektorzy Agencji Ochrony Środowiska. To świadczyło wyraźnie, że kłamie – po to, by chronić siebie, a z pewnością także firmę. Nie ulegało zatem wątpliwości, że jest tylko sprawą czasu, kiedy owe kłamstwa wyjdą na jaw.

W odpowiedzi na oficjalne zapytanie Cheeseman wyjaśnił, że trichloroetylen był przechowywany i używany na terenie lakierni, gdzie stosowano go do odłuszczenia metalowych wyrobów przed malowaniem. Na tej podstawie Schlichtmann powołał na świadka lakiernika z zakładów Grace'a.

Thomas Barbas miał niewiele ponad czterdzieści lat, był dość krępy, o okrągłej, nalanej twarzy i ciemnoblonde włosach z wysokimi zakolami nad czołem. Przyszedł w za małej granatowej marynarce sportowej, która opinała mu się na ramionach i brzuchu, a w dodatku nosił ją zapiętą na wszystkie trzy guziki. Wyglądała na to, że jest bardzo stara i używana tylko na specjalne okazje, do kościoła lub do sądu. Pod tym względem Barbas przypominał nieco Richarda Aufiero. Usiadł na brzegu krzesła tuż przy Cheesemanie, sztywno jakby kij połknął. Sprawiał wrażenie nie tyle zdenerwowanego, ile wręcz przerażonego.

Protokolantka zaprzysiężyła go i Schlichtmann rozpoczął od pytania o zawód świadka.

- Jestem zaopatrzeniowcem – odparł Barbas.
- Zaopatrzeniowcem? – powtórzył zdziwiony Jan, który spodziewał się lakiernika. – Od jak dawna pracuje pan w dziale zaopatrzenia?
- Od początku tego roku.
- A czym się pan wcześniej zajmował?
- Byłem lakiernikiem.
- Jak długo pracował pan w lakierni?
- Prawie dwadzieścia dwa lata.
- Dlaczego został pan przeniesiony z lakierni do działu zaopatrzenia?
- Zwolniło się miejsce, wystąpiłem o przeniesienie i je otrzymałem.

Schlichtmann zaczął się dopytywać o szczegóły pracy w lakierni. Barbas odpowiadał pojedynczymi słowami, bardzo cicho, czasami ledwie słyszalnie. Przyznał, że gdy rozpoczynał pracę w zakładach Grace'a w 1961 roku, wylewało się zużyte rozpuszczalniki do rowu biegnącego za terenem fabryki.

– Po zakończeniu pracy po prostu zbierało się resztki płynów i wylewało za płot – powiedział. – Chyba właśnie tego od nas oczekiwano.

Wszystko wskazywało na to, że właśnie od Barbasa Cheeseman uzyskał wstępne informacje.

- Jak długo postępował pan w ten sposób?
- Najwyżej kilka miesięcy.

Parę minut później świadek stwierdził, że zerwał z tymi praktykami już po dwóch miesiącach.

– To ja wpadłem na pomysł, żeby zlewać zużyte rozpuszczalniki i resztki farb do beczek i pozbywać się ich zgodnie z przepisami. Właśnie taki wniosek przedstawiłem szefowi.

- To znaczy komu?
- Paulowi Shalline’owi.
- Powiedział pan Shalline’owi, że pańskim zdaniem nie powinno się wylewać rozpuszczalników i farb do rowu?
- Zgadza się.
- Dlaczego uznał pan, że to nie jest najlepsze rozwiązanie?

Cheeseman zgłosił sprzeciw. Zgodnie z przepisami wszelkie sprzeciwy pozostawały w zawieszeniu do właściwej rozprawy, gdyż tylko sędzia miał prawo rozstrzygać o ich podtrzymaniu bądź odrzuceniu. Podczas przyjmowania zeznań do materiału dowodowego świadek musiał odpowiedzieć na pytanie, nawet jeśli zostało obłożone sprzeciwem. Cheeseman pośpiesznie wyjaśnił to Barbasowi.

- Wcale nie uważałem tego za kiepskie rozwiązanie. Ale i nie zdawałem sobie jeszcze sprawy, że to może być niebezpieczne.
- Więc czemu zgłosił pan szefowi taki wniosek?
- Przyszło mi do głowy, że tak będzie lepiej.
- Z jakiego powodu?

Cheeseman ponownie zgłosił sprzeciw.

– Pomyślałem, że to tak samo, jakby napełniać benzyną bak samochodu, a potem opróżniać go do rowu – odparł niepewnym głosem Barbas. – To marnotrawstwo.

Następnie wyjaśnił, że Shalline poparł jego wniosek i od tej pory lakiernicy musieli wylewać zużyte rozpuszczalniki do dwustulitrowej beczki stawianej obok tylnej bramy fabryki. Przyznał jednak, że nie wie, co robiono z tymi beczkami, gdy zostały zapełnione.

- Panie Barbas, nie miał pan nic wspólnego ze składowaniem takich beczek z odpadami w rowie melioracyjnym poza terenem zakładów?
- Nie.
- Nie robił pan tego ani razu?
- Nie.
- I nie widział pan, jak robili to inni pracownicy?
- Nie.
- Nie słyszał pan nawet, żeby kiedykolwiek postępowano w ten sposób? – naciskał Schlichtmann.
- A owszem, słyszałem. Ostatnio nawet odkopano te beczki, prawda?
- Nie wie pan nic więcej na ten temat?
- Być może coś jeszcze obilo mi się o uszy, ale nie jestem pewien.

- Od kogo mógł pan coś słyszeć?
- Nie pamiętam.
- Jak, pańskim zdaniem, mogło wyglądać takie potajemne usuwanie odpadów?
- No nie, protestuję! – uniósł się Cheeseman. – Świadek zeznał, że nie brał w tym udziału, nie widział niczego na własne oczy, a ty chcesz, żeby to opisał?
- Zgadza się – odparł Schlichtmann, nie spuszczać wzroku z Barbasa. – Więc co pan może powiedzieć w tej sprawie?

Cheeseman, wyraźnie poirytowany jego zachowaniem – spojrzeniem utkwionym w świadku i błyskawicznym zadawaniem kolejnych pytań – poinstruował Barbasa:

– Proszę nie zwracać uwagi na ton jego głosu, napastliwy wzrok i tę wycieczającą pozycję przy stole.

– Rzeczywiście pochylał się nisko nad stołem i wpatruję w świadka – powiedział Schlichtmann na użytek protokołu, wciąż nie odwracając spojrzenia. – Mogę się odchylić na oparcie krzesła, jeżeli to panu sprawi przyjemność. Mogę nawet stanąć na rękach.

Barbas, jakby w obliczu zagrożenia, przygarbił się wyraźnie i wcisnął głowę w ramiona.

- Więc co pan wie? – powtórzył Schlichtmann.
- Tylko to, co słyszałem w zakładzie i co czytałem w gazetach... Parę beczek zostało zakopanych w rowie...
- Czy rozmawiał pan o nich kiedykolwiek z Paulem Shaline'em?
- Powiedziałem mu, że o niczym nie wiedziałem, że moim zadaniem było tylko zlewanie zużytych rozpuszczalników. Kto inny miał się zajmować tym, żeby odpady usuwano zgodnie z przepisami. To wszystko.

Jan doszedł do wniosku, że niczego już się nie dowie, chociaż miał pewność, że Barbas wie o wiele więcej. Jeszcze tego wieczora, kiedy siedział samotnie w swoim gabinecie, pomyślał o zastanawiającym awansie lakiernika, który spotkał go właśnie teraz, na krótko przed przesłuchaniem. Przecież był to jego pierwszy awans, po dwudziestu dwóch latach pracy w lakierni.

3

Trzy tygodnie później, na początku kwietnia, w czwartek rano przyjechał do Bostonu Al Love, wezwany na przesłuchanie magazynier zakładów Grace'a.

Wcześniej przesiedział parę godzin z Cheesemanem, który wypytywał Alę o jego pracę i warunki w fabryce oraz tłumaczył, czego się spodziewać w trakcie przesłuchania. Teraz też, gdy szli razem Milk Street do kancelarii Schlichtmanna, adwokat udzielał rozmaitych rad.

– Schlichtmann jest niezłym aktorem, świetnie potrafi udawać ekscytację czy zaskoczenie. Proszę nie zwracać na to uwagi. Nie wolno dać się ponieść. Najlepiej odpowiadać jak najkrócej, tak albo nie.

W sali konferencyjnej powitał ich krępy mężczyzna w pomiętym garniturze, który uśmiechnął się przyjaźnie do Love'a i przedstawił jako Kevin Conway. Po kilku minutach wkroczył do środka wysoki, tykowaty, elegancko ubrany prawnik. Sztwno skinął głową gościom i Love odwzajemnił ten gest. Od razu się domyślił, że to musi być Schlichtmann.

Zgodnie z zaleceniami Cheesemana początkowo odpowiadał lakonicznie, wyrzucając z siebie więcej niż jedno słowo tylko wtedy, kiedy był zmuszony. Zznał, że mieszka we wschodnim Woburn, przy Pine Street, i zaczął pracować w zakładach metalowych w 1961 roku, sześć miesięcy po ich uruchomieniu. Na początku, zanim awansował na magazyniera, zajmował się w lakierni odłuszczeniem gotowych elementów, a czynił to za pomocą rozpuszczalnika czerpanego z beczki.

– Czy kiedykolwiek zwrócił pan uwagę na etykietę na beczce? – zapytał Schlichtmann.

– Owszem.

– Co to był za rozpuszczalnik?

– Nie umiałbym powtórzyć.

– Na etykietce nie było napisane, że to trichloroetylen?

– Nie pamiętam – przyznał Love.

Kiedy rozmowa zeszała na temat sposobów pozbywania się zużytego płynu, potwierdził, że miał obowiązek wynosić go na tyły lakierni i zlewać rozpuszczalnik do ustawionego tam pojemnika.

– Czy kiedykolwiek widział pan, co robiono z tym pojemnikiem po jego zapelnieniu?

– Tak.

– Dokąd go zabierano?

– Poza teren zakładu.

– I co dalej?

– Wylewano.

– Gdzie? – zapytał szybko adwokat. – Na ziemię?

– Tak.

– I pan to widział na własne oczy? Niejeden raz był pan świadkiem opróżniania pojemnika?

– Zgadza się.

Love uważnie obserwował Schlichtmanna, który pochylił się nisko i wpatrywał w niego z napięciem. Nie ulegało wątpliwości, że uważał te zeznania za eks-cytujące.

– W jakich okolicznościach był pan świadkiem takiego postępowania?

– Podczas przerwy na kawę.

– Jacy ludzie się tym zajmowali?

– Mam wymienić nazwiska? – zapytał z ociąganiem.

– Tak.

– Tom Barbas i Joe Meola, konserwator. – Urwał na chwilę i dodał: – Tylko ci dwaj to robili.

– Gdzie to się odbywało? To znaczy gdzie pan wychodził podczas przerwy na kawę?

– Na plac za tylną bramą – odparł Love. – Zawsze nosiłem przy sobie piłeczkę do golfa, a tam było gdzie potrenować uderzenia.

– Naprawdę? Pozwalało panu ćwiczyć golfa na terenie zakładów Grace’a? – Schlichtmann uśmiechnął się szeroko do Cheesemana. – Proszę mi powiedzieć dokładnie, jak to się odbywało, jak ci dwaj opróżniali zbiornik.

– Po prostu przewracali go i wylewali wszystko do rowu.

– Jakiego rowu?

– Tuż za terenem zakładu jest rów z wodą. Chyba naturalny, płynie tam jakiś strumyk.

Adwokat poprosił go, by narysował schematyczny plan zakładów Grace’a i wskazał to miejsce, gdzie Barbas i Meola wylewali zużyty rozpuszczalnik do rowu. Później zapytał, czy nie zna innego dołu, do którego wylewano odpadowe płyny, Love nakreślił więc nieco dalej wydłużony prostokąt.

– Nie zna pan innych miejsc, gdzie usuwano odpady?

– Nie, wiem tylko o tym jednym.

Następnie musiał wyjaśniać, że w roku 1974, kiedy przy głównej hali produkcyjnej stawiano dobudówkę, przez pewien czas był tam odkryty dół pod fundamenty. Razem z Tomem Barbasem żartowali wówczas, że właściciel szykuje plac rekreacyjny dla pracowników, a to jest wykop pod basen kąpielowy. Nigdy nie widział, aby opróżniano tam czy zakopywano beczki z odpadami, słyszał jednak, jak ludzie mówili o tym między sobą.

Dochodziła pierwsza, przesłuchanie ciągnęło się niemal od trzech godzin.

– Proszę o dwie minuty przerwy, potem szybko skończymy i będzie pan mógł pójść na lunch – rzekł Schlichtmann, wstał i ruchem ręki dał znak Conwayowi, by wyszedł z nim na korytarz.

Kiedy tylko Conway zamknął drzwi, Jan przekazał mu szeptem, że w zasadzie nie ma dalszych pytań, ale czuje, iż mógłby osiągnąć znacznie więcej. Love na początku był przez pewien czas zdenerwowany, podobnie jak inni świadkowie, ale zaszła wyraźna zmiana w jego postawie. Teraz odpowiadał pewnie i swobodnie. Siedział prosto, z uniesionym czołem i sprawiał wrażenie człowieka, który niczego się nie boi i potrafi o siebie zadbać. O ile Barbas i Shalline z ledwością maskowali swoje kłamstwa, o tyle Love, zdaniem Schlichtmanna, zapewne w ogóle nie mógłby się zniżyć do poziomu kręactwa.

– Co o tym sądzisz? – zapytał.

– Mieszka przy Pine Street we wschodniej części Woburn – odparł po krótkim namyśle Conway – zaledwie parę kroków od Anne Anderson. Może spróbuj go zapytać o jakość wody, o to, czy wzbudza w nim troskę o zdrowie całej rodziny.

Po powrocie na salę Schlichtmann zwrócił się do świadka:

– Od jak dawna mieszka pan we wschodnim Woburn?

– Dziewiętnaście lat.

– I ma pan dzieci?

– Ośmioro.

Jan zaczął się dopytywać o ich wiek oraz imiona, a Love z chęcią odpowiadał.
– Ma pan wspaniałą rodzinę – orzekł w końcu adwokat. – Czy wie pan, jaka woda jest dostarczana do domów na osiedlu Pine Street?

– Kiedy? Teraz?

– Proszę powiedzieć, jaka była w latach sześćdziesiątych.

– Dobra.

– A w siedemdziesiątych?

– Cuchnąca.

– Czym cuchnęła?

– Chlorem albo czymś podobnym. To był taki ostry, nieprzyjemny odór.

– A jaki miała kolor? Jak wyglądała?

– Niekiedy była bardzo mętna.

– To znaczy, że coś w niej pływało, jakiś osad?

– Zgadza się.

– Piliście ją w domu czy może...?

– Tak, piliśmy – odparł szybko Love.

– Nie zaniepokoiło pana, kiedy wyszło na jaw, że ta woda jest zanieczyszczona?

Cheeseman zgłosił sprzeciw. Donald Frederico, jeden z młodych współpracowników Fachera, przysłuchiwał się składanym zeznaniom tylko jednym uchem. Nie interesował go ten świadek, gdyż omawiane sprawy nie dotyczyły koncernu Beatrice Foods, Facher domagał się jednak, by na każdym przesłuchaniu był obecny przedstawiciel kancelarii Hale'a i Dorra. Wcześniej Frederico musiał uczestniczyć w przepytaniu Shal-line'a i Barbasa, toteż większą część tego przedpołudnia poświęcił porannemu wydaniu „Boston Herald”. W ogóle nie lubił spraw z powództwa cywilnego dotyczących uszkodzeń ciała, a stopniowo z coraz większą niechęcią myślał także o Schlichtmannie.

– Tego rodzaju adwokaci są jak ścierwojady – ocenił pewnego razu. – Dla nich każdy zmarły to przede wszystkim okazja do zrobienia interesu.

Kiedy teraz Cheeseman głośno się sprzeciwił, Frederico uniósł głowę znad gazety i po krótkim namyśle dorzucił także swój sprzeciw.

– Więc był pan zaniepokojony skażeniem wody? – powtórzył Schlichtmann, na co Cheeseman i Frederico ponownie sprzeciwili się chórem.

– Tak – odparł Love.

– Martwił się pan o zdrowie swojej rodziny?

Znowu padły dwa sprzeciwy.

– Tak – odpowiedział świadek.

– Czy ktoś w pańskiej rodzinie cierpi na jakąś poważną chorobę?

Sprzeciw. Wyglądało na to, że od tej pory każde pytanie będzie oprostowane. Love poczuł się nieswojo, nie potrafił zrozumieć, dlaczego Cheeseman i Frederico tak energicznie sprzeciwiają się pytaniom dotyczącym stanu zdrowia całej rodziny. Cheeseman powinien być jego sprzymierzeńcem w trakcie przesłuchania, lecz role jakby się odmiennieły i to Schlichtmann stanął teraz po jego stronie.

– Owszem, zdrowie dzieci pozostawia trochę do życzenia. Najmłodszy syn cierpi na zaburzenia ruchowe. Jedna z córek poroniła, druga urodziła niedorozwiniętą dziewczynkę.

- Czy któreś z pańskich dzieci miało wysypkę?
- Frederico energicznie odłożył gazetę na stół.
- Mamy tu siedzieć w nieskończoność i wysłuchiwać o wszystkich chorobach w jego rodzinie? – spytał z ironicznym uśmiechem.
- W każdej chwili może pan wyjść – odparł Schlichtmann.
- Przecież to są głupoty, bez żadnego znaczenia! – warknął tamten.
- Love szybko popatrzył na niego. Kiedy odwrócił z powrotem głowę, złowił badawcze spojrzenie Schlichtmanna. Wydawało mu się, że dostrzegł leciutkie, ledwie zauważalne, porozumiewawcze skinienie głowy adwokata.
- Jan jeszcze raz spiorunował wzrokiem Frederico i powtórzył:
- Naprawdę nikt pana tutaj nie trzyma.
- Nie wyjdę, dopóki trwa przesłuchanie.
- W takim razie proszę siedzieć spokojnie i słuchać – rzucił Schlichtmann takim tonem, jakby karciał niegrzeczne dziecko, po czym zwrócił się do świadka: – Czy pan bądź pańska żona odczuwaliście dziwne pieczenie oczu?
- Sprzeciw! – warknął Frederico.
- Love przytaknął ruchem głowy.
- Tak, pod prysznicem, a zwłaszcza latem, kiedy woda była najbardziej cuchnąca.
- I pańska żona skarżyła się na to?
- Sprzeciw!
- Tak – odparł Love, ale jego odpowiedź zagłuszył przypominający echo sprzeciw Cheesemana.
- Nie tak szybko – dodał obrońca. – Dajcie mi przynajmniej okazję do wyrażenia własnej opinii.
- Czy zna pan sąsiadów, u których w rodzinie wystąpiły przypadki białaczki? – ciągnął Schlichtmann.
- Nawet kilkoro.
- Zna pan wyniki raportu dotyczącego skażenia wody wodociągowej?
- Tak.
- I martwi pana wpływ tego skażenia na stan zdrowia członków rodziny?
- Tak.
- Jest pan zaniepokojony o jej przyszłość, zgadza się?
- Owszem.
- Schlichtmann popatrzył mu prosto w oczy i uśmiechnął się przyjaźnie.
- W porządku, nie mam więcej pytań. Bardzo dziękuję, panie Love.
- Ten skinął głową i odwzajemnił uśmiech adwokata.

Love wspominał później, że tuż po zakończeniu przesłuchania ogarnęła go złość i rozgoryczenie. Kiedy szedł z obrońcami ulicą, zmęczenie dało o sobie znać narastającym bólem głowy.

– Doskonale się pan spisał – rzekł Cheeseman. – Sądziłem, że zdenerwują pana osobiste pytania na temat rodziny.

– Dlaczego miałyby mnie zdenerwować? – zdziwił się Love.

Adwokat jednak nie odpowiedział, szybko zmienił temat i zaczął go wypytywać o dyrektora fabryki w Woburn, Vincenta Forte’a. Wspomniał, iż obilo mu się o uszy, że Forte jest porywczy i wybuchowy.

– Jak pan by go ocenił?

Love’a niepomiernie zdziwiło to pytanie, zwłaszcza ze strony Cheesemana, wiedział bowiem, że obrońca poświęcił już sporo czasu na rozmowy z dyrektorem. Pomyślał więc, że adwokat próbuje go wy badać, jakby podejrzewał, iż żywi on jakąś urazę wobec dyrektora. Odniosł też wrażenie, że ból głowy jeszcze się nasilił.

– Nigdy się nie kłóciłem z Vinem – odparł. – Nasze stosunki zawsze układały się poprawnie.

Kiedy stanęli przed kancelarią, Cheeseman zatrzymał go jeszcze na parę minut. Love chciał jak najszybciej wyjechać z miasta i wrócić do domu, lecz prawnik gadał jak najęty.

– Gdyby miał pan jakieś wątpliwości czy po prostu chciał porozmawiać, proszę zadzwonić – rzekł wreszcie i zapytał łagodnym tonem: – Wraca pan jeszcze do pracy?

Love zadął głowę i popatrzył w górę. Było dość chłodno, lecz między pojedynczymi chmurami prześwitywał klarowny błękit kwietniowego nieba.

– Nie – odpowiedział z lekką przekorą w głosie. – Chyba pójdę pograć w golfa.

Im dłużej Al Love nad tym rozmyślał, tym bardziej złościły go reakcje Cheesemana, a zwłaszcza Frederico, kiedy Schlichtman zaczął pytać o jego rodzinę i stan zdrowia dzieci. Tydzień po przesłuchaniu w Bostonie zasiadł rano przy swoim biurku i popatrzył na telefon. Po namyśle podniósł słuchawkę i nakręcił numer obrońcy. Był lekko zdenerwowany, z trudem mógł pozbierać myśli.

– Wiele się zastanawiałem nad tą dziwną sytuacją – powiedział. – Czuję się jakby między młotem a kowadłem. Nie wiem, po której stronie powinienem się opowiedzieć, bo chyba nie wszystko, co się tutaj dzieje, ujrzało do tej pory światła dzienne.

Cheeseman odparł szybko, że nazajutrz ma spotkanie w fabryce.

– Może byśmy porozmawiali? – zaproponował.

Następnego popołudnia zjawił się w drzwiach kantorku w magazynie i podsunął myśl, żeby przejść do sali konferencyjnej, bo tam nikt im nie będzie przeszkadzał.

– Powiedz mi, co cię trapi, Al – rzekł Cheeseman, starannie zamykając za sobą drzwi.

Love wyjaśnił, że naprawdę martwi go zdrowie całej rodziny.

– Zastanawiałem się, czy nie wynająć indywidualnie adwokata, w trosce o przyszłość dzieci.

– Nie mogę ci niczego doradzić w tej kwestii. Musisz sam podjąć decyzję – odparł Cheeseman, zawiesił na chwilę głos i dodał: – Szczerze mówiąc, nie wierzę, aby chemikalia wykryte w wodzie faktycznie powodowały jakieś choroby.

– A co z białaczką? Jest przecież udokumentowane jej ognisko...
– Nikt nie wie, co wywołuje białaczkę – rzekł uspokajająco adwokat. – I nikt też nie wie, dlaczego w Woburn powstało ognisko tej choroby. Osobiście uważam, że to sprawa przypadku. Jeśli weźmiesz sto monet i wyrzucisz je w powietrze, to połowa spadnie reszką do góry, a połowa orłem. Gdyby przyjrzeć się dokładnie ich rozłożeniu na ziemi, prawdopodobnie udałoby się znaleźć pewne zastanawiające skupiska, w których wszystkie monety byłyby odwrócone reszką do góry. Jest to rozkład losowy i nikt nie potrafi tego wyjaśnić.

Love zamyślił się na chwilę, wreszcie pokręcił głową i odparł:

– Mnie to nie przekonuje. Wiem, że woda jest skażona, i wiem też od kolegów z pracy, iż na terenie zakładów opróżniano beczki z różnym świństwem oraz zakopywano je w ziemi. Sam w tym nie uczestniczyłem, ale na pewno robiono takie rzeczy.

– To bardzo ważne, Al. Musisz mi wyjawić nazwiska osób, które to robiły.

Love nie zamierzał jednak stać się donosicielem. Już w czasie przesłuchania musiał wymienić nazwiska Barbasa i Meoli, gdyż był związany przysięgą. A z Tommym Barbasem znał się od dzieciństwa. Kiedy tamten zaraz po ukończeniu szkoły średniej zaczął pracować w fabryce, Al wziął sobie nawet do serca, że musi się opiekować młodszym kolegą. Podczas świątecznych przyjęć dla załogi wraz z żoną, Evelyn, zawsze siadali przy jednym stoliku z Barbasami. Często zapraszali ich także do domu na obiad. Love nie zamierzał sprawiać żadnych kłopotów przyjacielowi. Wychodził z założenia, że jeśli Tommy ma coś do powiedzenia prawnikom, powinien sam to uczynić.

– Nie, tego nie mogę zrobić – odparł Cheesemanowi, kręcąc głową.

– W takim razie porozmawiaj z tymi ludźmi i poproś, żeby się ze mną skontaktowali.

– Zastanowię się nad tym.

– To niezwykle istotne. Musimy wiedzieć o wszystkim, co się tu wydarzyło.

Love dopiero teraz pomyślał, że być może Cheeseman rzeczywiście nie ma pojęcia o tym, co się dzieje w zakładzie. Na pewno o wszystkim wiedział Vin Forte. Więc skoro prawnicy tkwili w nieświadomości, dyrektor musiał zataić przed nimi prawdę, żeby osłaniać siebie. A stąd wynikało, że Tommy Barbas zapewne także kłamał podczas składania zeznań.

– Potrzebne nam te informacje, byśmy mogli je ujawnić przed właściwymi czynnikami – ciągnął adwokat – na przykład przed inspektorami Agencji Ochrony Środowiska. Jeśli nie będziemy wiedzieli, który teren został skażony, nie da się nic zrobić w celu jego oczyszczenia.

Love przytaknął ruchem głowy.

Wśród załogi szybko rozeszła się plotka, że Cheeseman przyciska Love'a w jakiejś sprawie. Niektórzy koledzy nawet sądzili, iż Al w tajemnicy próbuje osiągnąć jakieś porozumienie z prawnikami. Co prawda był tylko magazynierem i nie stał zbyt wysoko w hierarchii służbowej, cieszył się jednak powszechnym zaufaniem i wysoko ceniono jego rady. Kiedy więc owe plotki dotarły do Cy Witmera, jednego z najlepszych przyjaciół Love'a, pracującego w hali produkcyjnej, w czasie przerwy śniadaniowej zapytał kolegę wprost:

- Co się dzieje, Al?
- Mam wrażenie, że znalazłem się po niewłaściwej stronie w całej tej aferze – odparł Love.

Przez następny tydzień źle sypiał, stracił też apetyt. Evelyn zaczęła się o niego martwić. Kiedy pewnego wieczoru zmywała naczynia po obiedzie, przyszedł do kuchni i zapytał, czy jej zdaniem wypada złożyć wizytę Anne Anderson, która mieszka tuż za rogiem, przy Orange Street. Od piętnastu lat byli sąsiadami, lecz nie znali bliżej Andersonów. Kilkakrotnie widywali zajeżdżającą przed dom karetkę, gdy żył jeszcze synek Andersonów, wiedzieli też, że małżonkowie żyją w separacji. Kiedy w Woburn zrobiło się głośno o ognisku zachorowań na białaczkę, wiele razy rozmawiali na temat sąsiadów i Love określił wówczas Anne mianem „szurniętej”, uważał bowiem, że z powodu tragedii rodzinnej kobieta popadła w prawdziwą obsesję. Teraz jednak zmienił zdanie. Zastanawiał się, czy Anderson w ogóle zechce z nim porozmawiać, czy nie obarczy go winą za śmierć syna, skoro pracował w zakładach Grace’a.

Evelyn już od pewnego czasu powtarzała mu, że ktoś z kierownictwa fabryki powinien wreszcie ujawnić całą prawdę i należałoby pociągnąć do odpowiedzialności osoby winne skażenia wody. Teraz więc, gdy rozmowy męża z adwokatami wywołały tyle plotek, poradziła, by skontaktował się z Anne i powiedział jej o wszystkim. Martwiło ją tylko, że jeśli ktoś się dowie o tym spotkaniu, Al może stracić pracę. Uznała jednak, iż znacznie ważniejsze od utraty pracy jest zachowanie własnej godności, skoro więc Al uważa, że wyznanie prawdy ulży jego sumieniu, powinien to zrobić.

W środę rano, 1 maja – a więc trzy tygodnie po przesłuchaniu – Al zapukał do drzwi domu Andersonów. Anne powitała go uprzejmie, zaprosiła do kuchni, poczęstowała kawą. Powiedział, że już od pewnego czasu chciał się z nią spotkać, bał się jednak, iż nie zechce z nim rozmawiać, ponieważ pracuje w zakładach Grace’a. Wyznał, że jest zaniepokojony tym wszystkim, co się dzieje w mieście, jak również losem jej syna, i że jest wściekły na dyrektora fabryki za jego podejście do spraw zanieczyszczenia środowiska.

Anne położyła mu dłoń na ramieniu i odparła:

– Nawet pan nie wie, ile ta wizyta dla mnie znaczy.

Do oczu napłynęły jej łzy, przeprosiła go za to. Love przyznał, że martwi się o zdrowie własnych dzieci, ponieważ w zakładach obilo mu się o uszy, iż na terenie opróżniono wiele beczek z odpadami.

– Było ich chyba z pięćdziesiąt – powiedział. – Jest mnóstwo spraw, o których dotąd się nie mówiło.

Rozmawiali przez dwie godziny. Love wrócił do domu w pogodnym nastroju i tego dnia, po raz pierwszy od dłuższego czasu, zasnął spokojnie. Kiedy się zegnali, Anne zapytała, czy byłby skłonny spotkać się ze Schlichtmannem i powiedzieć mu to wszystko, co wyznał jej.

Bez wahania zgodził się ujawnić prawdę adwokatowi.

Już następnego wieczoru Schlichtmann zjawił się w domu Love'ów. Usiedli z Alem w saloniku i przez dwie godziny rozmawiali o metodach pozbywania się odpadów w zakładach Grace'a. Love przytoczył plotki o kilkudziesięciu beczkach opróżnionych do wykopu pod fundamenty przybudówki postawionej na początku lat siedemdziesiątych. Później adwokat wyjął z teczki spisane zeznania Toma Barbaso oraz Paula Shalline'a i poprosił Ala, by przeczytał je w wolnej chwili.

Kilka dni później, gdy Love przekopał się przez obszerne protokoły, spotkali się ponownie. Kręcąc głową z niedowierzaniem, Al przyznał, że Barbas nie zeznał prawdy. Przypominał sobie, jak mniej więcej przed trzema laty zajrzał z przyjacielem do zakładowej kawiarni. Kiedy rozmowa w liczniejszym gronie zesłała na temat beczek opróżnionych na terenie fabryki, kierownik działu spedycyjnego, Frank Kelly, zaśmiał się w głos i wskazując palcem Barbaso, rzekł:

– Tommy mógłby wiele na ten temat powiedzieć.

Przy stole rozległy się gromkie śmiechy, a Barbas tylko uśmiechnął się krzywo. Wszyscy traktowali to wówczas jak dobry żart, przyznał Love.

Przez następne dwa tygodnie prawie codziennie jeśli nie Schlichtmann, to Conway, bądź to wpadał z wizytą, bądź przynajmniej dzwonił do Ala. Pewnego wieczoru Jan zjawił się z grubym plikiem zdjęć lotniczych z końca lat sześćdziesiątych, ukazujących teren zakładów Grace'a. Rozłożył je na stole kuchennym i poprosił Love'a, by posługując się lupą, zidentyfikował te miejsca, gdzie opróżniono beczki, gdzie Barbas i Meola wylewali rozpuszczalniki do rowu i gdzie były rozrzucone na ziemi osady ze zbiornika ściekowego. Prosił o kilkakrotne powtarzanie informacji, jakby chciał sprawdzić, czy Love mówi prawdę, ten jednak odpowiadał na pytania śmiało, bez zająknięcia. Zazwyczaj rozmawiali do późna, siedząc przy zapalonym świetle i szeroko otwartym oknie, gdyż nastała ciepła wiosna. A pracownicy kancelarii odwiedzali dom Love'ów z taką częstotliwością, jakby założyli tu filię biura.

Kiedy Schlichtmann zaczął się dopytywać o nazwiska ludzi, którzy mogliby wiedzieć coś więcej o wylanych płynach, Love przypomniał sobie Roberta Pasqueriellę, elektryka, który jakiś czas temu odszedł z fabryki. Jan poprosił szybko Ala, by do niego zadzwonił.

Pasqueriella nie pracował w zakładach już od sześciu lat i nie od razu przypomniał sobie stare dzieje. Wspomnienia odżyły jednak dość szybko.

– Tak, masz rację – rzekł przez telefon. – Pamiętam, że Frank Kelly mówił mi kiedyś o tych beczkach.

Pół godziny później zjawił się w domu Love'a. Schlichtmannowi od razu się spodobał. Był niski i krępy, dobiegał pięćdziesiątki i mówił w charakterystyczny sposób, szybko wyrzucając z siebie oderwane sylaby, przez co po kilka razy musiał powtarzać niektóre zdania.

– Sam wylewałem tam różne świństwa – przyznał. – Tak, robiłem to sam. Eddie Orazine, który był wówczas kierownikiem produkcji, kazał mi wylewać wszystko do rowu za płotem. Nic tam nie rośło. Wtedy nie wiedziałem, że to są toksyczne chemikalia. Całe ręce miałem białe od tego paskudztwa. Musiałem myć w tym nawet pasy napędowe. Nie wiem, co to było. Nie jestem chemikiem.

– Może trichloroetylen? – podsunął Schlichtmann.

– O, właśnie, zgadza się. Podczas konserwacji silników trzeba było spuścić olej ze skrzynki przekładniowej, nalać świeżego i uruchomić maszynę na krótko, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. A jeśli olej był mocno zużyty, musialem odkręcać skrzynki przekładniowe, odchyłać je na bok, wlewać do środka trochę rozpuszczalnika i potrząsnąć, żeby zmyć stary olej ze ścianek. Dopiero potem można było wlać nowy i przykręcić skrzynkę z powrotem. W maszynowni stała beczka na wszystkie zlewki, wypełniona czymś białym jak mleko. Joe Meola co jakiś czas wywoził ją za teren i wylewał wszystko do rowu. Na pewno nie robił tego na własną rękę, nikt tak nie robił. Wszystko musiało się odbywać za wiedzą i zgodą Paula Shalline’a albo Eddie’ego Orazine’a.

– A Tom Barbas?

– Tommy wylewał przy tym rowie resztki farb i rozpuszczalniki.

– Barbas twierdzi, że nigdy tego nie robił.

Pasqueriella parsknął z pogardą i rozłożył szeroko ręce.

– Widziałem na własne oczy, jak wylewał tam różne świństwa. Często przystawałem obok niego, jak to robił, żeby zamienić parę zdań. Nikt się temu nie dziwił. Tommy wylewał tam resztki przez wiele lat, jestem tego pewien.

Schlichtmann zapytał, czy Pasqueriella mógłby przy nim zadzwonić do Barbasa i porozmawiać na ten temat.

– W tej chwili? – zdziwił się elektryk. – Czemu nie.

Jan zyskał nadzieję, że być może Barbas zechce do nich dołączyć i też przyjedzie do domu Love’a. Zdawał sobie sprawę, że tamten w luźnej rozmowie byłby skłonny wyznać o wiele więcej niż podczas oficjalnego przesłuchania w obecności Cheesemana.

Rozmowa trwała parę minut. Schlichtmann, który pozostał w saloniku, nie przysłuchiwał jej się dokładnie, pod koniec złowił jednak nieco podniesiony głos Pasquerielli:

– Tommy, przecież sam wylewałaś tam różne świństwa! Ja także. Dobrze pamiętam, jak usuwaliśmy odpady za teren zakładu. Czasami przystawałem obok ciebie, żeby zamienić parę słów. – Przez chwilę elektryk słuchał w milczeniu. – Na pewno dobrze wiesz, co się dzieje. Jeśli masz trochę oleju w głowie, powinienes wyznać prawdę. Lepiej, żebyś powiedział wszystko, co wiesz. Nie chcesz chyba odpowiadać za decyzje Vina Forte’a? – Ponownie na krótko zapadła cisza. – Posłuchaj, Tommy. Jeśli o mnie chodzi, nie zamierzam niczego ukrywać. Nie będę za nikogo nadstawiał karku!

Pasqueriella odłożył słuchawkę i wrócił do pokoju.

– Twierdzi, że nic nie wie na ten temat. Ale bez przerwy jąkał się i pokasywał. Znam Tommy’ego i dobrze wiem, że był bardzo zdenerwowany.

Ujawnione rewelacje, a zwłaszcza informacje o kilkudziesięciu beczkach opróżnionych do wykopu, niezmiernie ucieszyły Schlichtmanna. Nie było już żadnych wątpliwości, że Barbas kłamał, mimo iż zeznawał pod przysięgą. Stało się

też oczywiste, że dyrekcja zakładów podała inspektorom Agencji Ochrony Środowiska fałszywe informacje na temat wykorzystania trichloroetylenu w fabryce i sposobu pozbywania się jego resztek.

Nadal jednak nie miał żadnego dowodu, trzeba więc było mocniej przycisnąć pracowników fabryki. Stwierdził, że bardzo by mu w tym pomogło zainteresowanie wiceprokuratora federalnego do spraw zanieczyszczenia środowiska. Śledztwo podjęte przez Departament Sprawiedliwości, którego następstwem mogły być bardzo wysokie grzywny czy nawet kary więzienia dla osób z kierownictwa zakładów, powinno otworzyć ludziom usta. Już kilka miesięcy wcześniej Schlichtmann skontaktował się z prokuraturą i domagał się oficjalnego dochodzenia w sprawie fabryki Grace'a.

– Jestem pewien, że dyrektor oszukał Agencję Ochrony Środowiska. Dlaczego nie zainteresujecie się tym problemem?

– Proszę przedstawić fakty, dostarczyć dowody, wskazać świadków – odparł wiceprokurator. – Nie mogę nic zrobić, nie dysponując żadnymi konkretnymi. Gdybym w tej sytuacji rozpoczął śledztwo, zrodziłyby się podejrzenia, iż chcę panu pomóc wygrać proces.

Teraz jednak informacje ujawnione przez Love'a i Pasqueriellę powinny zainteresować prokuraturę. Schlichtmann namówił więc magazyniera, by powtórzył zeznania wobec przedstawiciela władz federalnych, i po kryjomu zorganizował spotkanie wtedy, gdy Love miał dzień urlopu. Jego najmłodszy syn – szesnastoletni, u którego dziewięć lat wcześniej stwierdzono zaburzenia koordynacji ruchowej – w tym samym terminie był zapisany na wizytę u specjalisty z bostońskiego szpitala dziecięcego.

Po zostawieniu chłopca u lekarza Schlichtmann z Conwayem zawieźli Ala i Evelyn na szóste piętro gmachu sądu federalnego. Wiceprokurator, któremu towarzyszyło dwóch starszych inspektorów Agencji Ochrony Środowiska, przyjmował zeznania Love'a prawie przez trzy godziny. Evelyn cały czas siedziała u boku męża. Bardzo ją denerwowało zachowanie prokuratora, który spod przymkniętych powiek bez przerwy wbijał lodowate spojrzenie w twarz jej męża. Al jednak znosił to dzielnie. Odpowiadał śmiało, prawie bez zająknięcia. Rysował schematyczne plany terenu zakładów i relacjonował dokładnie to samo, o czym wcześniej mówił Schlichtmannowi.

Po zakończeniu prokurator odciągnął adwokata na bok i przekazał, że zamierza wszcząć dochodzenie. Chciał rozsyłać oficjalne wezwania do kolejnych pracowników zakładów i przesłuchiwać ich przed federalną wielką ławą przysięgłych.

Co prawda Schlichtmannowi nie udało się ściągnąć Barbasa na rozmowę w domu Love'a, ostateczny rezultat był jednak nie mniej zadowolający. Tydzień po przesłuchaniu Ala przez wiceprokuratora federalnego Barbas zadzwonił do Cheesemana i powiedział, że nagle coś sobie przypomniał. Mianowicie wróciły mu wspomnienia z procesu opróżniania beczek do wykopu pod fundamenty.

Cheeseman, jak później wspominał, mimo że siedział wygodnie przy biurku, poczuł nagle „lodowaty dreszcz na plecach”. Wstał ze słuchawką przy uchu, pod-

szedł do okna i słuchając Barbasa, popatrzył na gmach sądu federalnego. Ogarnęła go wściekłość.

Tymczasem lakiernik, jakby w wielkim pośpiechu, wyrzucał z siebie „odżyłe nagle” wspomnienia. Powiedział o furgonetce z odkrytą, pomalowaną na czerwono platformą, którą dowożono beczki na skraj wykopu, podczas gdy on wraz z Joem Meolą przewracali je na ziemię, odkręcali korki i wylewali zawartość do dołu. Można było odnieść wrażenie, iż Barbas jest przeświadczony, że im szybciej mówi, tym mniej obala złożone wcześniej zeznania. Cheeseman wysłuchał go w spokoju, po czym zaczął wypytywać o różne szczegóły.

Rozumiał motywy lakiernika. Przez dwadzieścia cztery lata Barbas robił to, co mu kazano, teraz zaś nabral obaw, że wyląduje w więzieniu za ewidentne zanieczyszczanie środowiska, i tylko z tego powodu zdecydował się ujawnić prawdę.

Tego samego popołudnia Cheeseman zadzwonił do Schlichtmanna.

– Nie będę się sprzeciwiał, jeśli ponownie wezwiesz na świadka Toma Barbasa.

– A co się stało, Bill? – udał zdziwienie adwokat.

Obrońca wyjaśnił więc, że lakiernik zadzwonił do niego przed południem i wyznał prawdę.

– Twierdzi, że nagle sobie przypomniał, jak wylewali zawartość beczek do wykopu pod fundamenty.

– Panie Barbas, czy dobrze pan sobie wszystko przemyślał od czasu poprzedniego przesłuchania?

– Tak.

I tym razem spotkali się w sali konferencyjnej kancelarii Schlichtmanna, lecz teraz wokół stołu zasiadło liczniejsze grono. Co rozumiało, był tam Cheeseman oraz jeden z młodszych współpracowników Fachera, lecz ponadto przyjechało dwóch specjalistów od prawa karnego, wynajętych i opłaconych przez dyrekcję zakładów Grace’a w celu reprezentowania Barbasa w okresie trwania śledztwa federalnego.

– Więc proszę nam powiedzieć, co pan sobie przypominał. Jaką odgrywał pan rolę w procesie opróżniania beczek ze zużytych płynów do dołu wykopanego na terenie zakładów Grace’a?

– Uczestniczyłem w tym.

– Pamięta pan coś jeszcze?

– Pomagał mi w tym Joe Meola, a także Frank Kelly.

– Czy przypominał pan sobie również, kto panu polecił wylewać tam resztki cieczy?

– Tak. Paul Shalline zapytał mnie kiedyś, czy mógłbym się zająć wywozem i opróżnianiem beczek na terenie fabryki.

– I co pan odpowiedział?

– Spytałem, czy to konieczne. Proszę pamiętać, że mieliśmy wówczas gromadzić zlewki rozpuszczalników i zgodnie z przepisami przekazywać je specjali-

stycznej firmie do utylizacji. Shalline powiedział jednak, że te odpady nie są groźne i możemy je wylewać do dołu.

– Zatem przyznaje pan, że wylewał rozpuszczalniki na ziemię przez całe lata sześćdziesiąte, zgadza się?

– Przecież mówiłem już, że robiłem to tylko w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym pierwszym roku.

– Pamiętam pańskie zeznania, ale powinien pan jeszcze raz dobrze się zastanowić nad odpowiedzią. Chyba rozumie pan, że nadal zeznaje pod przysięgą?

– Tak.

– I wie pan, że za składanie fałszywych zeznań pod przysięgą grożą surowe kary?

Barbas w milczeniu pokiwał głową.

– Pamięta pan, że Joe Meola od czasu do czasu wylewał zużyte rozpuszczalniki do rowu melioracyjnego?

– Tak, pamiętam.

– Widział pan, jak to robił?

– Tak.

– Jak długo był pan świadkiem tego procederu?

– Meola zawsze to robił.

– Padło pytanie o długość pańskich naocznych obserwacji – wtrącił Cheeseman.

– Chyba mówię po angielsku, Bill, a nie po chińsku. Nie potrzeba nam tłumacza – odparł ze złością Schlichtmann, a zwracając się ponownie do Barbasa, spytał: – Czy kiedykolwiek pomagał pan Meoli?

– Nie – odpowiedział szybko lakiernik.

Jan przez chwilę przyglądał mu się w milczeniu.

– Pytam, czy pomagał pan Meoli wylewać zużyte rozpuszczalniki do rowu? Barbas spuścił wzrok i pokiwał głową.

– Musisz odpowiadać głośno i wyraźnie – upomniał go Cheeseman.

– Tak, czasami mu pomagałem, zwłaszcza gdy było mokro lub ślisko. Wtedy opróżnialiśmy pojemniki razem.

– Jak często to robiliście?

– Kiedy zachodziła taka konieczność.

– To znaczy, powiedzmy, raz w tygodniu?

– Tak, można przyjąć, że raz w tygodniu.

Tłumacz natomiast był potrzebny w trakcie przesłuchania Joego Meoli. Ten siedemdziesięcioletni mężczyzna, który po dwudziestu latach pracy na stanowisku konserwatora urządzeń w zakładach Grace'a przeszedł na emeryturę, przyznał, że za słabo zna angielski, by składać oficjalne zeznania. Schlichtmann wyznaczył więc drugi termin i zaangażował tłumacza języka włoskiego. Meola początkowo zaprzeczył, jakoby cokolwiek wylewał do rowu czy też uczestniczył w wywożeniu osadów ze zbiornika ścieków poza teren fabryki. Zarzekał się, że nawet nie wyrzucił jednego papierka za płot.

- Tom Barbas zeznał, że zajmował się pan opróżnianiem beczek ze zlewkami do wykopu pod fundamenty.
- Skłamał – odparł szybko świadek, gdy tylko tłumacz powtórzył mu zdanie po włosku.
- Pan Barbas zeznał też, że sam niekiedy uczestniczył w usuwaniu zużytych rozpuszczalników do rowu melioracyjnego.
- To jego sprawa. – Meola klepnął się dłonią w czoło i dodał: – Moja głowa już za to nie spadnie.
- Wcale nie chodzi nam o pańską głowę – rzekł uspokajająco Schlichtmann.
- Mam siedemdziesiąt trzy lata.
- Wygląda pan znakomicie.
- Znakomicie? Gdybym musiał tu odpowiadać na pytania w trochę gorszej dla mnie porze, pewnie byście mnie wynieśli od razu na cmentarz i zakopali pod cyprysem.

4

Schlichtmann przypomniał sobie ten wiosenny dzień sprzed trzech lat, kiedy wybrał się do Woburn i zatrzymał samochód przed bramą zakładów Grace’a. Pamiętał, że wówczas bardzo chciał wejść na teren i obejrzeć wszystko za grubymi murami z czerwonej cegły, które z pozoru przypominały umocnienia forteczne. Teraz jednak odnosił wrażenie, że drzwi fabryki coraz szerzej się przed nim otwierają i może przynajmniej pośrednio zwiedzić wnętrza, odbierając zeznania świadków.

Wyrobił sobie pogląd, że zakłady Grace’a pod wieloma względami były ciekawym miejscem pracy, jeśli tylko unikało się konfliktów z dyrektorem, Vincentem Forte’em. Ten bowiem od dwudziestu lat kierował fabryką jak własnym folwarkiem. Większość pracowników pozostawała z nim w dobrych stosunkach (co niekiedy oznaczało konieczność wykonywania jego prywatnych zleceń w godzinach pracy), głównie dlatego, że firma nieźle płaciła i zapewniała wysokie premie. Co roku na Boże Narodzenie w miejscowej restauracji organizowano huczne przyjęcie. Właściciele wykupili pięcioakrową zaniedbaną działkę za płotem, oczyścili ją z chwastów, utwardzili i urządzili plac sportowy. Właśnie tam Barbas wraz z kolegą organizowali sobie zawody łucznicze, natomiast Al Love ćwiczył uderzenia do golfa. Postawiono tablice do gry w koszykówkę i stoły piknikowe, by pracownicy mogli tam jadać lunch w ciepłe słoneczne dni. Joe Meola założył niewielki ogródek warzywny, który pielęgnował w czasie przerw i po pracy, później paru kolegów poszło w jego ślady. Jednakże Schlichtmann wiedział już, że nawet jeśli z pozoru teren wokół zakładów stał się niewielkim parkiem rekreacyjnym, to jednocześnie był miejscem wylewania toksycznych płynów.

Od byłych i obecnych pracowników firmy dowiedział się, że Tom Barbas miał opinię człowieka rzetelnego i sumiennego, dbającego o porządek. W klasowej kronice ze szkoły średniej jako największą jego wadę wymieniano „wiecznie brudne buty”. W zakładach kilkakrotnie otrzymywał pochwały za utrzymywanie

wzorowej czystości w lakierni. Nie miał zbyt odpowiedzialnej pracy, ale starał się ją wykonywać jak najlepiej i niespecjalnie dbał o zaszczyty. Codziennie rano dostarczano mu partię gotowych elementów maszyn do pakowania żywności. Wszystkie po procesie obróbki mechanicznej były pokryte warstwą olejów, zatem przed malowaniem Barbas musiał je odtłuścić trichloroetylenem, który czerpał z dwustulitrowej beczki stojącej w kącie pomieszczenia. Przepompowywał nieco rozpuszczalnika do blaszanej wanienki i zanurzał w niej kolejne elementy. Przepisy nakazywały mu stanowczo robić to w rękawicach ochronnych, lecz niektórych, bardzo małych części nie dało się utrzymać w palcach osłoniętych grubą gumą. Odtłuszczone wyroby zawieszał na ramie w skrzyni malarskiej mającej wielkość szafy na ubrania. Po jej tylnej ściance spływała bez przerwy woda krążąca w obiegu zamkniętym. Lakiernik malował wyroby pistoletem pneumatycznym, a do rozcieńczania farby czasami także stosował trichloroetylen. Jej resztki porywała zasłona wody wyciekającej ze skrzyni do zbiornika przez otwory w dnie.

Pod koniec dnia trzeba było ten zbiornik oczyścić z resztek nagromadzonej, na poły stwardniałej farby, która wraz z trichloroetylenem użytym do przemywania pistoletu trafiała do dużego, dwudziestolitrowego plastikowego wiadra. Przeciętnie w ciągu dnia pracy zbierało się w nim od pięciu do dziesięciu litrów cieczy. Kiedy tylko Barbas zaczynał pracę w lakierni, Paul Shalline pokazał mu rów melioracyjny tuż za płotem, na tyłach budynku, do którego należało usuwać wszystkie odpady.

Jeśli w innych działach zachodziła potrzeba użycia trichloroetyleny, pracownicy nalewali go z beczki w lakierni. Rozpuszczalnik stosowano do zmywania smarów z neoprenowych pasów napędowych oraz do końcowego czyszczenia stalowych bębnow, w których przygotowane tacki z żywnością były później obciążane folią. Jeden z pracowników maszynowni zeznał, że krótko po rozpoczęciu pracy w roku 1970 zapytał majstra, co ma zrobić ze zużytym, zanieczyszczonym olejami rozpuszczalnikiem gromadzonym w plastikowym wiadrze. Tamten zaś odpowiedział:

– Wynieś na zewnątrz i wylej.

Tenże mężczyzna w ciągu pięciu lat pracy w hali produkcyjnej niemal każdego dnia musiał wylewać do rowu melioracyjnego zgromadzone w wiadrze zlewki.

Shalline – którego pamięć również uległa wreszcie „odświeżeniu” – przypomniał sobie propozycję Barbasa, dotyczącą zlewania zużytych płynów do pustych blaszanych beczek. Zgodził się na takie rozwiązanie, ale bynajmniej nie w trosce o czystość środowiska.

– To było znacznie praktyczniejsze – wyjaśnił Schlichtmannowi w trakcie przesłuchania. – Nadchodziła zima i świetnie rozumiałem, że Tommy’emu wygodniej będzie zlewać te odpady do beczki ustawionej przy tylnym wejściu do lakierni. Nie mógł przecież każdego dnia, bez względu na pogodę, wynosić wiadra poza teren zakładu.

Mimo to Barbas nie zrezygnował całkowicie z wylewania cieczy do rowu. Schlichtmann początkowo nie mógł tego zrozumieć, dopóki nie uzmysłowił sobie, że lakiernik zupełnie inaczej traktował zbierane do wiadra resztki farb i roz-

ciężczalników oraz trichloroetylen z wanieki, wykorzystany do odtłuszczenia malowanych elementów. Według Barbasa nie było nic złego w wylewaniu płynów z wiadra na ziemię, jeśli nawet zawierały one również trichloroetylen. Lakiernik był bowiem człowiekiem metodycznym i po kilku dniach, gdy w miejscu opróżnienia wiadra zostawała jedynie skorupa zaschniętej farby, zgarniał ją z ziemi i wynosił do śmieci.

Co innego jeszcze bardziej zastanowiło Schlichtmanna. Jeśli Barbas rzeczywiście był niechętny wylewaniu zużytego rozpuszczalnika do rowu, to dlaczego zgodził się pomóc Joemu Meoli opróżnić beczki do wykopu pod fundamenty, skoro zawierały niemal sam zużyty rozpuszczalnik? Stanowiło to rażącą niekonsekwencję, lecz lakiernik ani razu podczas przesłuchań nie zdołał wyjaśnić motywów, jakie nim kierowały. Owa zagadka do końca pozostała niewyjaśniona.

Życie Barbasa było bardzo ściśle związane z zakładami metalowymi w Woburn. W roku 1967 został powołany do wojska i wysłany do Wietnamu, bez większych wstrząsów odsłużył jednak rok w żandarmerii, po czym wrócił do zakładów na to samo stanowisko. Później się ożenił, a gdy na świat przyszło pierwsze dziecko, Barbasowie przeprowadzili się do obszerniejszego domu w stylu ranczerskim, w północnej części Woburn. Z wiekiem Tommy'emu przerzedziły się włosy i wyrósł dość pokaźny brzuszeczek. Love zeznał, że przyjaciel czasami zastępował go w magazynie, ale robił to bez większego zaangażowania. Kiedy pewnego razu po dłuższej nieobecności zastał bałagan w lakierni, uznał, że popełnił błąd i nigdy już nie opuści z własnej woli tego stanowiska.

Prawda stopniowo wychodziła na światło dzienne, ale Schlichtmann wciąż nie mógł uzyskać informacji, ile trichloroetylenu rzeczywiście zużywano w zakładach. Na początku dyrektor powiedział inspektorom Agencji Ochrony Środowiska, że zakupiono tylko jedną beczkę tego rozpuszczalnika. „Został on w całości wykorzystany do 1975 roku i nie był już nigdy więcej sprowadzany”, głosiło oświadczenie zarządu koncernu. Mijało się to jednak z prawdą. W odpowiedzi na oficjalne zapytanie Cheeseman przyznał, że zużyto cztery beczki tri. W to również Schlichtmann nie wierzył. Nie miał jednak żadnego dowodu poza krążącymi wśród pracowników pogłoskami. A według Cheesemana wszelka dokumentacja dotycząca działalności fabryki do roku 1975 została „zgodnie z przepisami” zniszczona.

Później jednak wśród materiałów nadesłanych przez obronę Schlichtmann odnalazł notatkę datowaną na 30 października 1973 roku. Została sporządzona odręcznie, nieco koślawym, jakby dziecięcym pismem i podpisana inicjałami P.S. W trakcie przesłuchania Paul Shalline przyznał się do jej autorstwa i wyjaśnił, że napisał ją dyrektorowi w odpowiedzi na wystąpienie okręgowego inspektora ochrony środowiska. Jeden z punktów notatki brzmiał następująco: „Do września zużyliśmy około 600 litrów trichloro”. Na tej podstawie adwokat wynioskował, że skoro przez dziewięć miesięcy 1973 roku zużyto w fabryce trzy beczki rozpuszczalnika, to – przynajmniej do tego czasu – sprowadzono do Woburn cztery beczki rocznie, a nie tylko cztery w całej historii zakładów. Zgadzałoby się to z ilością odpadów, gdyż według plotek do wykopu opróżniono ponad pięćdziesiąt beczek zużytego trichloroetyleny.

Schlichtmann dowiedział się także, iż właśnie latem 1973 roku uległa zmianie polityka zarządu koncernu względem wykorzystania tri, a bezpośrednim skutkiem owej zmiany stało się wylanie nagromadzonych odpadów do wykonanego dołu w zakładach Grace'a. Jan musiał pieczołowicie odtwarzać tamtą sytuację ze zdawkowych zeznań czy rozmaitych pism, jakie trafiły do dokumentacji nadsyłanej przez Cheesemana. Wszystko zaczęło się od ostrzeżenia na temat szkodliwości trichloroetylenu, które wiceprezes zarządu koncernu, Richard Stewart, otrzymał z Krajowego Instytutu Bezpieczeństwa i Higieny Pracy. W piśmie stwierdzano, że rozpuszczalnik ten „jest szczególnie niebezpieczny dla ludzi, jeśli używa się go w otwartych naczyniach, na przykład do odtłuszczania drobnych elementów za pomocą pędzla”. Wdychanie jego par mogło według specjalistów wywołać silne podrażnienia spojówek, zaburzenia pracy mięśnia sercowego i układu nerwowego, jak również niedoczynność wątroby oraz innych organów. W instytucie trwały prace nad znacznym zaostrzeniem przepisów bezpieczeństwa w przedsiębiorstwach stosujących tri; zamierzano między innymi wprowadzić nakaz montażu specjalnych kurtyn wodnych służących do wylapywania cząsteczek trichloroetylenu z powietrza. Dla zarządu oznaczało to przede wszystkim znacznie częstsze inspekcje i obowiązek wprowadzenia regularnych badań lekarskich całego personelu zakładów.

Z tego też powodu Stewart zdecydował, że najbezpieczniejsze i najbardziej ekonomiczne dla zakładów Grace'a będzie wyeliminowanie tri z procesu produkcyjnego wszędzie tam, gdzie to możliwe. Wysłał więc pismo do dyrektora fabryki, w którym nakazywał zaprzestanie używania trichloroetylenu. Zaądał też, aby dyrektor sporządził sprawozdanie z działań podjętych w tym zakresie.

W Woburn jego pismo wylądowało na biurku kierownika produkcji, ten zaś niezwłocznie wysłał odpowiedź, w której pisał, że zakłady wyeliminują trichloroetylen z użycia najpóźniej do listopada. Następnie polecił zająć się tą sprawą Paulowi Shalline'owi, kierownikowi działu bezpieczeństwa i higieny pracy.

Mijały miesiące, lecz mimo ciągłych upomnień Shalline nie robił nic w celu wykonania poleceń zarządu. Któregoś dnia, zauważywszy nadal stojącą w kącie lakierni beczkę trichloroetylenu, rozszoszczony kierownik produkcji wysłał do niego notatkę służbową, w której pisał: „Zleciłem panu to zadanie dziesięć miesięcy temu, w tym czasie wysłałem dwadzieścia sześć pism dotyczących użycia tri. Jak długo jeszcze mam czekać na rezultaty?”

Po zapoznaniu się z notatką pochodzącą sprzed dziesięciu lat Schlichtmannowi zrobiło się nawet żal Shalline'a. Ostatecznie do tego czasu w zakładach nie wypracowano żadnych metod pozbywania się zużytego rozpuszczalnika oprócz wylewania go za płot. Zmuszony do działania Shalline udał się po radę do Barbasa i ten powiedział, że są specjalistyczne firmy zajmujące się utylizacją chemikałów. Podczas przesłuchania zeznał, iż podał nawet koledze nazwę takiego przedsiębiorstwa z Burlington. Jednakże Shalline nie zadał sobie trudu, by zadzwonić do wskazanej firmy. Polecił tylko lakiernikowi, by usunął beczkę ze zlewkami spod drzwi lakierni i przetransportował ją na tyły głównej hali produkcyjnej, gdzie stało już kilkadziesiąt podobnych beczek z rozpuszczalnikiem.

Shalline również zeznał pod przysięgą, że nie zadzwonił do przedsiębiorstwa, którego nazwę podał mu Barbas. Beczki z odpadami przestały pod ścianą hali jeszcze przez rok, a wtedy rozpoczęły się wykopy pod przyszłą dobudówkę. Kiedy prace były na ukończeniu, Vincent Forte zlecił firmie budowlanej poszerzenie i pogłębienie wykopu, aby można było pod fundamentami zasypać gruz i inne śmieci z terenu zakładów. To właśnie wtedy pojawiły się żarty o szykowanym dla pracowników basenie kąpielowym, o których wspomniał w swoich zeznaniach Al Love. I według Barbasa kilka dni później Paul Shalline zwrócił się do niego z prośbą:

– Chciałbym, żebyś pomógł opróżnić beczki z odpadami do tego dołu.

– To po co je gromadziliśmy? – zdziwił się lakiernik. – Myślałem, że zużytymi rozpuszczalnikami ma się zająć jakaś specjalistyczna firma utylizacyjna.

Shalline miał ponoć wtedy odpowiedzieć:

– To nie są groźne odpady. Można je wylać. Przyślę ci kogoś do pomocy. – A widocznie dostrzegłszy wahanie Barbasa, który doskonale wiedział, że w beczkach znajduje się głównie zanieczyszczony trichloroetylen, dodał szybko: – Od tej pory będziemy inaczej postępować z rozpuszczalnikami.

Lakiernik zeznał, że przez otwarte drzwi budynku obserwował, jak robotnicy przetaczają beczki na podnośnik hydrauliczny, a z niego na platformę furgonetki. Następnego ranka wszystkie stały już na krawędzi wykopu, który według Barbasa miał około sześciu metrów szerokości i dwunastu długości. Razem z Joem Meolą przystąpili do ich opróżniania, przewracali beczki na ziemię i odkręcali korki. Uporali się z kilkunastoma, kiedy podszedł do nich Frank Kelly, kierownik działu spedycyjnego, i powiedział, że ma większą partię elementów do malowania. Barbas wrócił więc do lakierni. Po zakończeniu pracy podszedł na skraj wykopu i zajrzał do niego. Na dnie połyskiwała ogromna kałuża rozlanej cieczy, dookoła walały się blaszane zakrętki od beczek, tych jednak nie było w wykopie. Ślady na ziemi wskazywały, że odtoczono je na tyły hali produkcyjnej. Barbas zajrzał za róg i zobaczył puste beczki poustawiane w tym samym miejscu pod ścianą budynku. Kilka dni później zniknęły, podobno zostały sprzedane firmie zajmującej się ich odzyskiem. Dół w ziemi zasypano, pozostał jedynie wykop pod fundamenty, toteż lakiernik zapomniał o całej sprawie. Przypomniał sobie o niej dopiero po pięciu latach, kiedy badania chemiczne wykazały skażenie wody pompowanej do sieci wodociągowej ze studni G i H.

Pozostawała jeszcze sprawa sześciu innych beczek z odpadami, które inspektorzy Agencji Ochrony Środowiska wydobyli z rowu biegnącego wzdłuż terenu zakładów. Barbas uparcie powtarzał, że nic o nich nie wiedział. Schlichtmann dotarł jednak do robotnika z hali produkcyjnej, Paula Kelly'ego, dwudziestoletniego syna Franka Kelly'ego, który pewnego dnia zwrócił uwagę na koparkę pracującą tuż za ogrodzeniem zakładów. A pod koniec dnia pracy majster kazał mu razem z kolegą zasypać łopatami rów za płotem. Okazało się, że w wykopie zostało złożonych jedna obok drugiej siedem blaszanych beczek – a zatem nawet więcej, niż po latach wydobyli stamtąd inspektorzy. Według zeznań Kelly'ego pogłębiony odcinek rowu miał długość od dziesięciu do dwunastu metrów i szerokość około półtora metra.

Tak więc Schlichtmann zebrał dowody na istnienie dwóch miejsc wylewania ciekłych chemikaliów, a było ich zapewne więcej, jeśli tylko Bob Pasqueriella mówił prawdę. Bob przypomniał sobie jakąś luźną rozmowę z Frankiem Kellym, do której doszło krótko po rozpoczęciu oficjalnych badań przez Agencję Ochrony Środowiska.

– Jeśli inspektorzy odnajdą wszystko, co tam jest zakopane w ziemi, znajdziemy się w wielkich kłopotach – powiedział wówczas Kelly. A gdy Pasqueriella zapytał, co ma na myśli, wyjaśnił: – Trochę bliżej, na tyłach magazynu, jest zakopanych dwadzieścia jeden beczek. Lepiej, żeby nigdy nie zaczęli tam kopać.

Schlichtmann nie miał jednak szans, aby przesłuchać Kelly’ego, gdyż ten zmarł na atak serca niedługo po owej rozmowie. Nie udało się też uzyskać potwierdzających zeznań od dyrektora, Vincenta Forte’a, który podobno wiedział o wszystkim, co się działo na terenie fabryki – ten również zmarł na atak serca w przeddzień drugiego przesłuchania.

Jan doszedł więc do przekonania, że nigdy już nie zdoła ujawnić wszelkich karygodnych praktyk stosowanych w zakładach Grace’a. Prawda zdawała się bezpowrotnie niknąć za grubym woalem kłamstw i wykrętów, którymi zarówno zwykli robotnicy, jak i członkowie kadry kierowniczej, zasłaniali się przed odpowiedzialnością. Niektóre fakty ginęły z powodu śmierci bądź niedomagań pamięci pewnych osób. Dla Schlichtmanna jednak nie miało już większego znaczenia, czy płynne odpady były wylwane w dwóch czy też w czterech miejscach. Zdobył wystarczająco dużo materiału dowodowego, by przedstawić go przed sądem.

5

Tymczasem zainicjowane przez niego i Ala Love’a śledztwo federalne wywołało prawdziwy popłoch na terenie zakładów. Barbas, Shalline i czterech innych pracowników fabryki Grace’a, w tym także wiceprezes zarządu macierzystego koncernu, otrzymało wezwania do złożenia zeznań przed wielką ławą przysięgłych. Wśród robotników, którzy coraz częściej w małych grupkach dyskutowali zawzięcie, zaczęły krążyć dziesiątki różnych plotek. Podejrzenia wzbudzali prawnicy – zarówno ci z Bostonu, jak i reprezentujący zarząd firmy z Cambridge – których każdego dnia widywano na terenie. Później kolejne osoby były wzywane na rozmowę do sali konferencyjnej. Wytworzyła się atmosfera skandalu. W mieszczących się od ulicy biurach coraz to inni kontrolerzy przerzucali setki dokumentów. Barbas i Shalline raz po raz byli wzywani do Bostonu na przesłuchania. Nie stanowiło już żadnej tajemnicy, że tych dwóch reprezentują teraz adwokaci specjalizujący się w prawie karnym. Ich koledzy zastanawiali się między sobą, czy któryś nie pójdzie do więzienia za skażenie środowiska bądź też krzywoprzysięstwo.

Jak należało oczekiwać, Cheeseman dość szybko odkrył, że Al Love potajemnie spotykał się ze Schlichtmannem i urzędnikami prokuratury federalnej.

Dlatego też pewnego ranka stanął w drzwiach kantorku i poprosił magazyniera, by poszedł z nim na rozmowę z dyrektorem.

Love już od pewnego czasu przygotowywał się na ten moment, a mimo to ze ściśniętym gardłem wkraczał do gabinetu na piętrze. Adwokat szybko usiadł obok nowego dyrektora zakładów, Ulfa Nordina, oraz radcy prawnego zarządu firmy z Cambridge. W gabinecie była także obecna protokolantka sądowna.

– Panie Love – zaczął podniosłym tonem Cheeseman – kierownictwo fabryki chciałoby usłyszeć od pana odpowiedzi na kilka pytań. Musi pan wiedzieć, że ma prawo wyjść z tego pokoju w dowolnej chwili. Gdyby chciał pan zrobić krótką przerwę, skorzystać z toalety bądź czegoś się napić, proszę tylko powiedzieć. Nie jest pan niczym zobligowany, wolelibyśmy jednak uzyskać od pana wyjaśnienia w niektórych sprawach. – Obejrzał się na dyrektora i dodał: – Gwoli formalności, panie Nordin, czy zechciałby pan wydać panu Love służbowe polecenie udzielenia odpowiedzi na moje pytania?

Ten szybko poinstruował Ala i zapytał:

– Czy rozumie pan, że jest to polecenie służbowe?

Love, który myślał jedynie o tym, że lada chwila zostanie zwolniony z pracy, przytaknął ruchem głowy i mruknął:

– Tak, oczywiście.

Cheeseman zapytał go, kiedy po raz pierwszy spotkał Schlichtmanna.

– Koło pierwszego maja... Tak, wieczorem pierwszego maja, kiedy poszedłem do naszej sąsiadki, Anne Anderson, żeby powiedzieć jej o dylemacie, którego wraz z żoną nie potrafimy rozwiązać. Wtedy zapytała mnie, czy byłbym skłonny porozmawiać z jej adwokatem.

– O czym rozmawialiście z panem Schlichtmannem?

– Powiedziałem mu, że w trakcie przesłuchania wszystko szło gładko aż do momentu, kiedy zaczął mnie wypytywać o stan zdrowia rodziny, i że dopiero te pytania wzbudziły niepokój naszych adwokatów. Prawie każde wywoływało wasz sprzeciw.

– Rozumiem – wtrącił Cheeseman.

– Coś w moim życiu jakby się nagle zmieniło – ciągnął Love. – Powiedziałem panu Schlichtmannowi o krążących w zakładzie plotkach, bo wydawało mi się, że nikt inny nie zamierza ujawnić prawdy. Bałem się, że zostanę ukarany za krzywoprzysięstwo, jeżeli nie zmienię zeznań i nie wyjaśnię pewnych spraw. Wtedy pan Schlichtmann namówił mnie na rozmowę z prokuratorem federalnym.

– Termin następnego spotkania z panem Schlichtmannem ustaliliście przez telefon?

– Nie, jeśli dobrze pamiętam, zjawił się u mnie bez uprzedzenia.

– Przyjechał pięknym, nowiutkim, błyszczącym czarnym porsche?

– Tak, chyba tak. Jeszcze raz pytał mnie o to wszystko, co mówiłem podczas zeznań. Prawie dokładnie powtarzał te same pytania.

– Owszem, ma taki zwyczaj – mruknął Cheeseman bardziej do siebie.

Doskonale wiedział, że jeśli teraz Love zostanie wyrzucony z pracy, Schlichtmann w czasie procesu zrobi z niego męczennika. Wyobrażał już sobie krzykliwe nagłówki na pierwszych stronach „Woburn Daily Times” i „The Boston Globe”.

– Nie zamierzamy podejmować wobec pana żadnych kroków dyscyplinarnych za to, że zgodził się pan zeznawać przed prokuratorem federalnym – powiedział głośno. – Ma pan pełne prawo wyciągać własne wnioski na temat wpływu zakładów na stan środowiska naturalnego.

Później oznajmił stanowczo, że nie wolno mu jednak rozmawiać więcej ze Schlichtmannem, gdyż kierownictwo firmy nie będzie miało innego wyjścia, jak wyrzucić go z pracy. Na koniec zaś dodał obcesowo:

– Dziękuję, że zechciał pan odpowiedzieć szczerze na moje pytania.
– Cała przyjemność po mojej stronie – odparł Love, który poczuł przede wszystkim ogromną ulgę.

Pewnego czwartkowego dnia Schlichtmann przyjechał swoim pięknym, nowiutkim, błyszczącym czarnym porsche do zakładów Grace'a, uzyskawszy sądowe zezwolenie na oględziny terenu. Miał już požądane dowody, nadal jednak musiał wykazać, że trichloroetylen wylewany przez Barbasa oraz innych pracowników spowodował skażenie wód podziemnych i przedostał się do odległych prawie o kilometr ujęć G i H. Zaangażował więc liczny zespół geologów i hydrologów, którzy mieli przeprowadzić badania terenowe, pobrać próbki gleby i wywiercić studnie kontrolne w celu określenia kierunków przepływu wód podziemnych.

Przed bramą powitał go Cheeseman, który także zaangażował zespół ekspertów. Mieli nadzorować pracę specjalistów strony powodowej, zaplanowaną na cztery dni. Drugiego popołudnia nadeszła niespodziewanie ulewa, grube krople deszczu zmusiły wszystkich do szukania schronienia pod dachem fabryki. Gdy Cheeseman wybiegł na parking, żeby podnieść dach swojego sportowego triumpfa, zauważył, że w aucie Schlichtmanna nie tylko są opuszczone obie boczne szyby, lecz także otwarty szyberdach. Przez chwilę zastanawiał się, czy go nie zamknąć, ale zdecydował, że to nie jego sprawa. Tymczasem siekący falami deszcz przerodził się niemal w tropikalną ulewę. Kiedy pod koniec dnia pracy Schlichtmann podszedł do samochodu, Cheeseman obserwował go uważnie. Zza otwartych drzwi porsche'a woda chlusnęła strumieniem. Prawnik zaklął szpetnie. A obrońca tylko zachichotał, lecz na tyle głośno, by tamten go usłyszał.

6

Pierwszy wyznaczony przez sędziego termin na zgromadzenie materiału dowodowego minął wręcz niepostrzeżenie. Skinner najpierw sam musiał go przesuwać po włączeniu do sprawy firmy Unifirst, później natomiast, na jednobrzmiący wniosek obu stron, zgodził się na kolejne półroczne opóźnienie, do końca stycznia przyszłego roku.

Schlichtmannowi wciąż brakowało czasu na realizację wszystkich pomysłów. Całą wiosnę i lato poświęcił na ujawnianie praktyk stosowanych w zakładach

Grace'a, w ogóle nie zajmując się drugim pozwanym. Tylko raz przesłuchał Johna Riley'a, byłego właściciela, a obecnego dyrektora garbarni należącej do Beatrice Foods, niewiele jednak zdołał się dowiedzieć. Świadek był wyraźnie wrogo nastawiony, a Jan, początkowo bardzo wyrozumiały, wkrótce stracił cierpliwość i jął zadawać pytania równie pogardliwym tonem. Mniej więcej po godzinie Neil Jacobs, który zastępował Fachera, poczuł się zmuszony zaprotestować.

– Chwileczkę! To nie w porządku! Naprawdę nie widzę żadnego powodu, byś się odzywał tak niegrzecznie.

Schlichtmann go zignorował. Poprosił Riley'a, aby opisał sposób, w jaki impregnowano skórę mieszaniną silikonu i tetrachloroetyleny podczas realizacji zamówienia dla wojska.

– W jakim urządzeniu stosowano tę mieszaninę?

Riley popatrzył na stojącą przed nim szklanę z wodą. Miał nalaną twarz z szeroką dolną szczęką i ciemną ogorzałą cerą, jego oczy wydawały się nieproporcjonalnie małe. Powoli sięgnął po szklanę, zacisnął na niej grube i krótkie palce, po czym wbijając wzrok w twarz adwokata, przechylił ją i wylał wodę na kosztowny blat stołu konferencyjnego.

Schlichtmann przez chwilę w milczeniu spoglądał na powiększającą się kałużę i krople wody skapujące na wykładzinę.

– Proszę zaprotokołować, że świadek celowo wylał wodę ze szklanki na stół konferencyjny.

– Przecież to tylko parę kropel – rzekł pojednawczo Jacobs, pragnąc zminimalizować efekt bulwersującego zapisu w protokole.

– Co pan chciał osiągnąć, wylewając wodę na stół, panie Riley? – zapytał Schlichtmann.

– Pokazałem, jak stosowaliśmy silikon na skórę.

– Wylewaliście go tak, jak wodę ze szklanki na mój stół?

– Nie, był odmierzany za pomocą pompy.

– Zatem pewna ilość mieszaniny mogła ściekać ze skóry, podobnie jak woda skapała ze stołu na wykładzinę, czy tak?

– Nie.

Badania wykazały, że ziemia na piętnastoakrowej działce graniczącej z garbarnią i należącej do Beatrice Foods była silnie skażona tetrachloroetylenem. Jan zapytał więc szybko, ile tego rozpuszczalnika użyto w sumie przez lata pracy zakładu.

– Niewiele – odparł Riley.

– Nie pamięta pan, ile beczek wtedy zakupiliście?

– Nie potrafię odpowiedzieć dokładnie.

– A w przybliżeniu.

– Bardzo mało.

– Ile skóry impregnowano w ramach zamówienia rządowego?

– Nie pamiętam.

I tak to trwało niemal przez cały dzień. Riley uparcie i metodycznie zaprzeczał, jakoby w garbarni w ogóle był używany trichloroetylen.

– Nigdy – powtarzał. – Ani kropli.

Ale gdy Schlichtmann zapytał, czy w biurze jest przechowywana jakaś dokumentacja dotycząca obrotu chemikaliami, a więc kopie zamówień, faktury czy choćby kwity magazynowe, Riley burknął, że nie trzyma niepotrzebnych papierków.

– Wszystkie dokumenty zostały zniszczone?

– Nie mamy miejsca, żeby w nieskończoność trzymać stare świstki.

– Jak daleko wstecz sięgają przechowywane dokumenty?

– Trzy lata.

Nie było więc czego w nich szukać, gdyż ujęcia skażonej wody zostały zamknięte przed sześcioma laty.

– We wszystkich przedsiębiorstwach koncernu stosuje się politykę przechowywania dokumentacji tylko z trzech ostatnich lat?

– Tak.

– Od jak dawna postępuje się w ten sposób?

– Od zawsze.

Schlichtmann nie wierzył w ani jedno słowo Riley'a. Próbował go naciskać na różne sposoby, lecz dyrektor twierdził uparcie, że ponad trzy lata przechowuje się jedynie akta personalne pracowników. Zaprzeczał stanowczo, jakoby odpady poprodukcyjne czy toksyczne chemikalia były wywożone na piętnastoakrową działkę ciągnącą się wzdłuż Aberjony. Na tym terenie, należącym do garbarni od wczesnych lat pięćdziesiątych, znajdowało się jedynie technologiczne ujęcie wody i nic poza tym. A przecież Jan widział na własne oczy walające się tam dwustulitrowe blaszane beczki, czuł wyraźną, ostrą, lekko słodkawą woń chlorowanych rozpuszczalników, widział poczerznięte smugi wyjałowionej ziemi między karłowatymi dębami i klonami. Wiedział z raportu, iż cały ten teren jest tak silnie skażony trichloroetylenem i innymi chemikaliami, że inspektorzy Agencji Ochrony Środowiska w trosce o zdrowie okolicznych mieszkańców nakazali Rileyowi ogrodzić lasek siatką.

Kiedy jednak zapytał garbarza, czy kiedykolwiek widział w lesie porzucone beczki bądź sterty śmieci, tamten odparł:

– Nie.

– I nie widział pan, że toksyczne odpady w wielu miejscach wypaliły ściółkę do gołej ziemi?

– Nie.

– Więc jak opisałby pan tę działkę?

– Jest porośnięta zdziczałym laskiem, to wszystko.

– Zatem utrzymuje pan, że celowo pozostawił na tej działce zdziczały las i nigdy nie wywoził tam żadnych śmieci i odpadów?

– Zgadza się.

Schlichtmann był jednak przekonany, iż Riley wyrzucał nieczystości do lasu, podobnie jak pracownicy Grace'a wylewali zużyte rozpuszczalniki za płot. Nie wątpił też, że w garbarni jest dokumentacja wykorzystania rozmaitych chemikaliów, lecz nie potrafił tego udowodnić. Czuł się podobnie, jak w trakcie pierw-

szych przesłuchań Barbasa i Shalline'a. Od nich także początkowo niczego się nie dowiedział, dopiero po dalszych staraniach dopisało mu szczęście. Również w wypadku Beatrice Foods potrzebował drugiego Ala Love'a.

Skontaktował się z prywatnym detektywem, byłym policjantem, który już raz pomógł mu odnaleźć świadka w innej sprawie. Zlecił mu odszukanie w Woburn dawnych pracowników garbarni.

Detektyw w pierwszej kolejności dotarł do schorowanego sześćdziesięciosześcioletniego mężczyzny, który przepracował w garbarni trzydzieści osiem lat, a więc był z nią związany przez całe swoje życie. Ostatnio przeszedł aż cztery operacje na raka skóry i cierpiał na postępujący zanik mięśni, był też przeświadczony, że zły stan zdrowia jest wynikiem długotrwałego kontaktu z chemikaliami garbarskimi. Nie żywił specjalnego sentymentu wobec Riley, ale i nie mógł sobie przypomnieć, by kiedykolwiek w zakładzie stosowano trichloroetylen. Nie wiedział też nic o wywożeniu odpadów do lasu. Pamiętał za to wielu dawnych kolegów.

– Jack Knowlty pracował w hali garbarskiej, ale dwa lata temu zmarł na raka żołądka, a nawet nie miał jeszcze pięćdziesiątki. Maurice O'Connor z farbiarni również zmarł na raka i też wcale nie był stary. Nick Murray i Jim Feeney dostali ataku serca, a Frank Valentine, który pracował przy wyżymarce, zmarł na raka płuc.

Ta smutna litania przekonała Schlichtmanna, że praca w garbarni należącej do Beatrice Foods wiele osób kosztowała życie. Wreszcie mężczyzna zdołał sobie przypomnieć nazwisko kolegi, który jeszcze żył, chociaż i to nie było pewne.

– Joe Palino zajmował się mieszaniami farb i był w stałym kontakcie z laboratorium chemicznym. Także dostał raka płuc.

Detektyw bez trudu odszukał Palino, który właśnie wrócił do domu po dłuższym pobycie w szpitalu. Przyjął ich na sofie w saloniku, z białozieloną maseczką na twarzy oraz butlą sprężonego tlenu stojącą na wózku przy jego nodze. Po krótkim namyśle odparł, że nie pamięta, aby ktokolwiek wywoził jakieś odpady do lasu nad rzeką. Pamiętał jednak trichloroetylen, którego używano prawdopodobnie do odfuszczenia płyt deseniowych w prasach.

Schlichtmann – uznawszy, że jest to oczekiwany od dawna przełom – szybko zorganizował oficjalne przesłuchanie w domu Palino, obawiając się, że mężczyzna może nie dożyć procesu. Ale w trakcie zeznań świadek zaprzeczył, jakoby w garbarni używano trichloroetyleny, oskarżył natomiast prywatnego detektywa o najście i oszukańcze podanie się za „rzecznika pana Riley”.

Rozmowy z kolejnymi pracownikami garbarni także nie przyniosły żadnego rezultatu. Nikt nie pamiętał ani trichloroetyleny, ani wywożenia odpadów do lasu czy wylewania tam czegoś z porzuconych później beczek.

Schlichtmann zaczął więc szperać w kartotekach rozmaitych instytucji państwowych, które mogły mieć jakikolwiek kontakt z garbarnią. Prawdziwy przełom nastąpił dopiero po ujawnieniu akt stanowego departamentu zdrowia publicz-

nego. Znalazł się w nich raport, określony później mianem „zabójczego”, który jednoznacznie dowodził krzywoprzysięstwa Riley’a. Była to dwustronicowa notatka pochodząca z 12 lipca 1956 roku, sporządzona przez niejakiego A. Bolde’a, okręgowego inspektora sanitarnego, po wizycie w garbarni spowodowanej licznymi skargami mieszkańców wschodniego Woburn na „straszliwy” i „odrażający” fetor. W trakcie inspekcji Bolde udał się w towarzystwie Riley’a polną drogą w głąb lasu. W raporcie pisał: „Zwróciłem uwagę na wielką hałdę osadów ściekowych, zawierających włosie i resztki gnijących tkanek zwierzęcych, usypaną między gruntową drogą a brzegiem Aberjony na długości tysiąca pięciuset czy nawet tysiąca ośmiuset metrów. Niektóre sterty odpadów zostały znajdowały się zaledwie o centymetry od nurtu rzeki...” Bolde nakazał właścicielowi garbarni natychmiastowe usunięcie wysypiska, na co Riley odparł z oburzeniem, że ten teren należy do niego i może być wykorzystywany w dowolny sposób. „Wskazałem, iż niezależnie od prawa własności składowanie tego typu odpadów w tym miejscu może doprowadzić do skażenia wody, co stanowi naruszenie przepisów prawa”, pisał inspektor w raporcie. Ostatecznie Riley się zgodził („z ociąganiem”, jak odnotował Bolde) na uporządkowanie terenu.

Ów raport miał co prawda trzydzieści lat i dotyczył wyłącznie osadów ściekowych, które wcale nie musiały być zanieczyszczone trichloroetylenem. Mimo to dla Schlichtmanna przedstawiał olbrzymią wartość. Składając zeznania pod przysięgą, Riley powiedział, że nigdy nie wywoził żadnych odpadów do lasu. Kłamał zatem, a na tej podstawie można było wnioskować, że kłamał również w kwestii użycia trichloroetyleny w swoim zakładzie.

Jednocześnie raport naprowadził Schlichtmanna na inny trop. Zaczął intensywnie poszukiwać mieszkańców, którzy przed laty skarżyli się na fetor wokół garbarni. Ożyła w nim nadzieja, że może ktoś z nich widywał ciężarówki wywożące odpady lub beczki z chemikaliami do piętnastoakrowego lasku.

Prywatny detektyw otrzymał kolejne zlecenie i szybko dotarł do Ruth Turner*, starszej pani mieszkającej od dzieciństwa w drewnianym domu przy Salem Street, około stu metrów od garbarni, należącym do jej rodziny od ponad wieku. Kobieta pamiętała, że za jej młodości woda w Aberjony była krystalicznie czysta i pełna ryb. Na zachodnim brzegu, gdzie obecnie znajdowała się garbarnia, stał rozległy sad, na wschodnim zaś ciągnęły się pola uprawne. Wszystko zaczęło się zmieniać w latach pięćdziesiątych. Jej mąż, Paul, miał zwyczaj spacerować nad rzeką. Po powrocie do domu nieraz opowiadał o blaszanych beczkach i stertach śmieci, które wałyły się po lesie będącym już własnością Riley’a, oraz o szarej cuchnącej ławicy osadów ściekowych, wylewającej się z terenu garbarni i z wolna spływającej w dół, ku Aberjony. W roku 1980, na rok przed śmiercią, Paul często budził się w środku nocy. Później zaś mówił żonie, że o drugiej lub trzeciej nad ranem słyszał warkot ciężarówek wyjeżdżających z garbarni. Raz nawet dostrzegł w blasku księżycy jadącą ze zgaszonymi światłami platformę wyładowaną beczkami, która skręciła w polną drogę prowadzącą do lasu.

* Nazwisko oraz imiona członków rodziny Turnerów są fikcyjne

– Potajemnie w ciągu nocy wywozili tam różne odpady – powiedziała Ruth, wspominając słowa męża.

Przekazała też, że wiele więcej o zanieczyszczeniu lasku będzie mógł mu powiedzieć jej najstarszy syn, Bernard, obecnie lekarz z Chicago, który w imieniu rodziców wysyłał skargi na fetor otaczający garbarnię.

Schlichtmann zadzwonił więc do doktora Bernarda Turnera. Już po paru słowach tamten przyznał ochoczo, że doskonale pamięta, co się działo na zalesionych piętnastu akrach w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych.

– Bywałem tam cztery lub pięć razy w tygodniu. Wtedy lasek i okoliczne pola stanowiły ulubione miejsce zabaw dzieciaków z okolicy.

Powiedział, że faktycznie w późniejszych latach co najmniej dwadzieścia razy wysyłał rozmaite skargi dotyczące nie tylko smrodu bijącego z garbarni, lecz również stanu zaśmiecenia terenu wokół niej.

– Fetor był naprawdę nie do zniesienia – wyjaśniał przez telefon. – W lesie wałały się dosłownie setki porzuconych beczek, w większości silnie zardzewiałych, z których resztki wyciekały na ściółkę. Blacha błyskawicznie korodowała właśnie z powodu tych żrących cieczy. Zainteresowały mnie wówczas czerwone nalepki na beczkach, ostrzegające przed toksyczną zawartością. Chodziło głównie o rozpuszczalniki, ksylen, benzen, butanol, trichloroetylen. Do końca życia nie zapomnę woni butanolu bądź trichloroetyleny.

Schlichtmann był tak podekscytowany, że ledwie rejestrował przebieg rozmowy. Oto znalazł wreszcie kogoś, kto mógł zaświadczyć, że w latach pięćdziesiątych zużyty trichloroetylen był wylewany do lasu sąsiadującego z garbarnią. Zapytał jednak Turnera, z jakiego powodu w młodości zapamiętał te wszystkie obco brzmiące nazwy. Tamten wyjaśnił pospiesznie, że już wtedy interesował się chemią, gdyż dostał od dziadka *Podręcznik chemii i fizyki* wydany przez Instytut Przemysłu Chemicznego i Gumowego i fascynowały go egzotyczne nazwy różnych związków.

– Mówiąc szczerze, mam gdzieś tę książkę do dziś – powiedział.

Jednakże po dwudziestu minutach rozmowy Jan zaczął nabierać podejrzeń, doktor Turner oznajmił bowiem, że uzyskał dyplom akademii medycznej w Dominikanie. Dopiero wtedy uderzył go pompatyczny ton rozmówcy. Kiedy zaś lekarz zaczął przedstawiać swoją karierę, Schlichtmanna coś ścisnęło za gardło. Turner oświadczył na początku, że obecnie jest konsultantem rządu kuwejskiego do spraw ochrony środowiska oraz stałym ekspertem kliniki elektromiografii, współpracuje z kilkoma zespołami projektowymi w zakresie gazyfikacji węgla kamiennego i ropy naftowej, jest też doradcą firmy konsultingowej nadzorującej budowę laboratorium frakcjonowania krwi w Kostaryce. Jakby tego było mało, Turner dodał z dumą, że trwają rozmowy w sprawie poszerzenia jego uprawnień konsultanckich w Agencji Ochrony Środowiska, a w rzeczywistości jest nawet brana pod uwagę jego nominacja na stanowisko wicedyrektora filii agencji w Regionie Piątym.

Schlichtmann słuchał tego wszystkiego z rosnącą trwogą. W ciągu zaledwie paru minut jego koronny świadek przeistoczył się w żywy koszmar każdego adwokata procesowego. Nie dało się jednak łatwo zapomnieć o bulwersujących

wspomnieniach Turnera, Jan doszedł więc do wniosku, że lekarz musiał naprawdę widzieć rdzewiejące beczki w lesie, nawet jeśli historię nominacji na wicedyrektora agencji wysłał sobie z palca.

Przeczuwał, że przyjmowanie zeznań doktora w czasie rozprawy byłoby za nadto ryzykowne. Mógł sobie wyobrazić, z jaką przyjemnością Facher weźmie go w krzyżowy ogień pytań. Na razie jednak postanowił powołać Turnera na świadka, gdyż bardzo zależało mu na demaskatorskich stwierdzeniach dotyczących użycia trichloroetyleny oraz zardzewiałych beczek walających się aż do lat siedemdziesiątych na terenie lasu będącego własnością Beatrice Foods. Doszedł zresztą do wniosku, że warto chociażby w ten sposób napędzić strachu Facherowi.

Pojawienie się nazwiska Bernarda Turnera na liście świadków oraz pobieżny opis jego zeznań rzeczywiście zasmuciły starego wygę. Był umówiony na spotkanie z radcą prawnym koncernu w chicagowskiej siedzibie, postanowił więc przy okazji odwiedzić Turnera i przesłuchać go na własną rękę.

Schlichtmann nie mógł uczestniczyć w tym spotkaniu, był zbyt zajęty, by w ogóle brać pod uwagę możliwość wyjazdu do Chicago. Niemniej po powrocie Fachera wnikliwie zapoznał się ze spisnymi zeznaniami.

FACHER: Miał pan jedenaście lat, kiedy widział te beczki w lesie?

TURNER: Zgadza się. Przykuły moją uwagę czerwone ostrzegawcze nalepki.

FACHER: Co na nich było napisane?

TURNER: Ksylen, toluen, butanol. A także trichloroetylen.

FACHER: I wszystkie te nazwy utkwiły w pamięci jedenastoletniego chłopca?

TURNER: Czy pan przypadkiem nie próbuje mnie obrazić?

FACHER: Po prostu nie wierzę, aby jedenastoletni chłopak zapamiętał skomplikowane nazwy związków chemicznych i potrafił je przytoczyć po trzydziestu latach.

TURNER: To jednak prawda.

FACHER: A może poznał pan nazwy rozpuszczalników dużo później i teraz tylko skojarzył je z obserwacjami sprzed trzydziestu lat?

TURNER: Nie, pamiętam je jak dziś. A pan zapomniał już, jak wyglądała pańska matka?

FACHER: Jak wyglądała? Z pewnością nie była podobna do blaszanej beczki ze skomplikowaną nazwą na nalepce.

Protokół przesłuchania nie mógł oddać ani nastrojów, ani gestów czy tonu uczestniczących w nim osób, niemniej Schlichtmann z łatwością mógł sobie wyobrazić gorącą atmosferę, podniesione głosy bądź nawet krzyki.

Pod koniec maszynopisu natknął się na fragment rozmowy dotyczącej byłej żony rozwiedzionego lekarza.

FACHER: Jakie nazwisko nosi obecnie pańska była żona?

TURNER: Sharon Turner.
FACHER: Wie pan, gdzie mieszka?
TURNER: Nie.
FACHER: Wyszła ponownie za mąż?
TURNER: Nie wiem. Chyba nie.

Dla Schlichtmanna tych parę pytań nie miało większego znaczenia. Potraktował je jak rutynową próbę zdobycia wszelkich możliwych informacji.

Cztery dni po przesłuchaniu wynajęty przez Fachera prywatny detektyw odnalazł byłą żonę Turnera w Stark, niewielkiej osadzie w New Hampshire, tuż przy granicy kanadyjskiej. Powiedział jej przez telefon, że jest zaangażowany w sprawę, w której jej mąż został powołany na świadka, ale wie także o pochodzącym sprzed trzech lat nakazie egzekucji sądowej wobec doktora Turnera.

– Pozwała pani męża do sądu za uchylanie się od płacenia alimentów na dzieci? – zapytał.

Sharon przytaknęła z ociąganiem.

Detektyw odparł, że wie, gdzie obecnie przebywa jej były mąż, który dysponuje dość pokaźnym majątkiem i bez większych kłopotów mógłby uregulować wszelkie należności. Ochoczo podjął się aresztować Bernarda, gdyby ten kiedykolwiek pojawił się w Massachusetts.

Sharon odrzuciła tę ofertę. Kiedy detektyw ją powtórzył, spotkał się z jeszcze bardziej stanowczą odmową. Podziękował uprzejmie za rozmowę i na wszelki wypadek podyktował swój numer.

Schlichtmann dowiedział się o tym od samego Turnera, który był wyraźnie poruszony i zarzekł się przez telefon, że nie chce mieć więcej nic wspólnego z prowadzoną przez niego sprawą. Ale Janowi nie robiło to już większej różnicy. Zeznania doktora od samego początku uważał za podejrzane, nie potrafił więc wzbudzić w sobie ani trochę sympatii dla wyrachowanego megalomana.

Tymczasem zdołał odnaleźć innych, znacznie bardziej wiarygodnych świadków mieszkających w sąsiedztwie garbarni. Pewien starszy mężczyzna, właściciel warsztatu naprawy urządzeń elektrycznych, potwierdził, że w czasach jego dzieciństwa piętnastoakrtowy lasek był ulubionym miejscem zabaw dzieciaków z okolicy. Wraz z kolegami nazwali jedno miejsce Doliną Śmierci, gdyż lekko pochyłe zbocze wzgórza było tam grubo pokryte białawą mazią, która spływała z terenu zakładów na podobieństwo jezora lawy i zabijała wszystko na swojej drodze. Świadek przypomniał sobie też, że kiedyś znalazł przy polnej drodze starą kolejową flarę. Wetknął ją w kawałek styropianu i zapalił. Wkrótce zajął się od niej plastik, a chcąc go ugasić, wrzucił do pobliskiej kałuży. Tworząca ją ciecz stanęła jednak w płomieniach, a gęste kłęby smolistego dymu zaniepokoiły mieszkańców i wkrótce przyjechała straż pożarna.

Od ówczesnego komendanta straży Schlichtmann dowiedział się, że faktycznie lasek był dosłownie usłany porzuconymi zardzewiałymi beczkami, z których wyciekały resztki rozmaitych płynów. Następnego dnia po pożarze komendant zadzwonił do Riley'a i poskarżył się na skandaliczny stan całej posesji. Jednocześnie powiadomił rejonowy inspektorat sanitarny. Rok później w zdziczałym lasku wybuchł kolejny pożar.

– Przez ten rok nic się tam nie zmieniło – wspominał komendant.

Chyba wszyscy mieszkańcy okolicy poza właścicielem garbarni uważali owych piętnaście akrów za wysypisko toksycznych odpadów przemysłowych. Z zeznań wynikało, że Riley musiał doskonale wiedzieć, co znajduje się w lesie. Być może rzeczywiście urządził tam sobie nielegalne śmietnisko. Niewykluczone też, że za stan posesji odpowiadał Jack Whitney, który dzierżawił skrawek działki od ulicy przeznaczony na składowisko blaszanych dwustulitrowych beczek i zapewne płacił jakąś kwotę Rileyowi za wykorzystanie tego terenu.

Schlichtmann postanowił więc zainteresować się firmą Whitney Barrel. Już pierwsze rozmowy przekonały go, że był to brudny, niezgodny z żadnymi przepisami interes. Odnalazł świadka, który pracował u Jacka Whitneya w drugiej połowie lat sześćdziesiątych, i ten zeznał, że kiedyś właściciel firmy kazał mu wylać resztki pestycydów z dużej partii beczek bezpośrednio do kanału odprowadzającego ścieki miejskie do portu w Bostonie. Poświadczył również, że na polecenie Whitneya kilkakrotnie – „co najmniej pięć razy” – wylewał z beczek resztki jakichś bliżej nie określonych „trucizn” w lesie, tuż przy polnej drodze prowadzącej w głąb posesji. Co więcej, świadek pamiętał także, że właśnie trichloroetylenem musiał myć beczki z zewnątrz przed ich malowaniem.

Wskazywało to, że Jack Whitney odegrał niemałą rolę w skażeniu terenu między garbarnią a rzeką. Schlichtmann był jednak przekonany, iż ktoś taki jak Riley nie mógł pozwolić na dowolne wykorzystywanie należącej do niego ziemi bez pobierania za to stosownych opłat. Bardzo żałował, że nie zdoła się dowiedzieć niczego więcej o naturze stosunków łączących Riley'a z Whitneyem, ale właściciel firmy wynajmującej beczki zmarł mniej więcej przed rokiem, a jego przedsiębiorstwo popadło w ruinę.

Zdobyte informacje rzuciły nieco światła na sprawę. I niezależnie od szczegółów to koncern Beatrice Foods w całości odpowiadał za stan należącej do niego posiadłości, za to, że stała się ona nielegalnym, powszechnie dostępnym wysypiskiem toksycznych odpadów. Od strony formalnej nie miało większego znaczenia, kto zanieczyścił ten teren, Schlichtmann wiedział jednak doskonale, że w tym wypadku przysięgli będą musieli poznać konkretnego winowajcę. Sprawę mógł już uznać za wygraną, nie miałby jednak z tego większej satysfakcji, gdyby nie zdołał udowodnić, że skażenie wód było efektem działalności Riley'a.

Dlatego postanowił się jeszcze raz poddawać. Wynajęty zespół geologów i hydrologów został przeniesiony z sąsiedztwa zakładów Grace'a do piętnastoakrowego lasku. I tu zaczęto pobierać próbki gleby, opisywać i nanosić na mapę każdą stertę śmieci oraz wykonywać ich analizy. W kilku miejscach natrafiono na organiczną substancję silnie skażoną trichloroetylenem. Chemicy stwierdzili w niej

ponadto wysoką zawartość związków sześciowartościowego chromu, używanych w garbarstwie do wyprawiania skór. Owa półpłynna substancja nawet pachniała tak samo jak skóra, a głównym składnikiem czarnej mazi były tłuszcze zwierzęce. Prawdopodobnie chodziło więc o pozostałości garbarskich osadów ściekowych, w znacznym stopniu powstałych z sierści i rozłożonych tkanek zeszkrobywanych z surowych skór przed poddaniem ich wyprawie.

Jeśli faktycznie natrafiono na odpady garbarskie, to dlaczego były skażone trichloroetylenem, skoro Riley twierdził pod przysięgą, że w jego zakładzie nigdy nie stosowano tego rozpuszczalnika? Oczywiście, nie dało się wykluczyć, że to ktoś inny, na przykład Whitney, wylał resztki trichloroetylenu na stertę śmieci z garbarni, ale według Schlichtmanna było to zdecydowanie mało prawdopodobne. Kolejny fakt zdawał się potwierdzać krzywoprzysięstwo dyrektora garbarni.

Wciąż jednak brakowało na to dowodu. Żaden z przesłuchiwanym byłych pracowników Rileya nie mógł sobie przypomnieć, aby w zakładzie kiedykolwiek używano trichloroetylenu. Co gorsza, Riley zeznał również pod przysięgą, że najstarsze przechowywane w biurze dokumenty dotyczą działalności garbarni z 1979 roku, a wcześniejsze zostały zgodnie z praktykami koncernu zniszczone. Wydawało się więc, że nie ma szansy na odnalezienie jakiegóż dowodu.

„Drewutnia”

1

Materiał dowodowy całkowicie odmienił wnętrza kancelarii Schlichtmanna, Conwaya i Crowleya. Biurko tego ostatniego, wraz ze wszystkimi książkami i dyplomami ze ścian, zostało przeniesione do gabinetu Conwaya, gdzie zrobiło się tak ciasno, że jego właściciel musiał z wciągniętym brzuchem przeciskać się przy ścianie, by usiąść na swoim miejscu. Natomiast pokój Crowleya został przekształcony, według nomenklatury Schlichtmanna, w centrum dowodzenia. Na całej długości ściany trzeba było umocować dodatkowe półki przeznaczone na gromadzony materiał dowodowy. Naprzeciw nich stało osiem szarych metalowych szaf na akta. Na specjalnych wieszakach między masywnymi dębowymi belkami stropowymi zawisły grube kartonowe cylindry z setkami map, schematów i wykresów sporządzanych przez Agencję Ochrony Środowiska oraz federalną Służbę Geologiczną. Na ścianie nad szafami zostały rozpięte powiększone zdjęcia lotnicze wschodniej części Woburn, w większości pochodzące z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Niektóre miejsca na nich były pozakreślane okręgami, jakby miały stanowić cele dla szykowanego ataku powietrznego. Pod oknem wychodzącym na India Street stały trzy komputery, w których pamięci, obok kompletnych zapisów chorobowych wszystkich trzydziściorga trojga powodów, przechowywano także setki innych danych dotyczących sprawy. Conway musiał zatrudnić w kancelarii dwóch młodych pracowników, świeżo po dyplomie wydziału prawa, a także jednego aplikanta. Wzrosła również liczebność personelu pomocniczego, gdyż Kathy Boyer zwerbowała recepcjonistkę, trzy sekretarki i gońca oraz przyjęła na część etatu bibliotekarza. Do niedawna tylko dziewięć osób zapewniało rytmiczną pracę biura, teraz dwukrotnie liczniejszy personel musiał się uwijać jak w ukropie. Nic więc dziwnego, iż Conway, wchodząc rano do kancelarii, coraz częściej odnosił wrażenie, że pomylił drzwi.

Każdego dnia Schlichtmann przyjeżdżał punktualnie o wpół do siódmej i zazwyczaj wychodził z pracy około północy. Jeśli nie wyjeżdżał do Woburn w celu przesłuchania kolejnego świadka bądź nadzorowania swojego zespołu geologów,

najczęściej przesiadywał w sali konferencyjnej, pośród stert naukowych sprawozdań medycznych, dokumentów nadsyłanych przez rzeczników pozwanych, raportów rządowych i spisanych zeznań. Z wysokich kolumn papieru na podobieństwo wyprutych wnętrzości sterczały żółte kartki z notesu używane na zakładki do szybkiego odnajdywania ważniejszych informacji. Pokrywały je zupełnie nieczytelne dla postronnych bazgroły Schlichtmanna. I tylko on potrafił błyskawicznie zlokalizować właściwy tom lub teczkę i otworzyć w pożądanym miejscu. Kiedy tkwił bez ruchu jak posąg, ze szklistymi oczyma utkwionymi w przestrzeni przed sobą, zapomniawszy o otaczającym go świetle, oznaczało to, że wpadł na jakiś pomysł. A gdy go przemyślał, energicznie podejmował przerwana nagle pracę.

Codziennie o ósmej rano odbywały się zebrania całego personelu, na których obecność była obowiązkowa, a każde spóźnienie wywoływało atak wściekłości szefa. Wielokrotnie powtarzał, iż życzy sobie, aby w biurze wszystko szło jak w szwajcarskim zegarku. Każdy formalny wniosek, pismo procesowe czy też list do klienta bądź biegłego musiał być wysłany natychmiast. Nawet najmniej istotny błąd, jak mawiał Jan, mógł się stać przyczyną autentycznej klęski, za jaką uważał najdrobniejszą zwłokę, nieprzygotowanie świadka do przesłuchania czy też przegapienie nadarżającej się okazji.

Sprawa Woburn bez reszty wypełniła życie Schlichtmanna. Coraz częściej zapominał choćby o zwykłych przejawach grzeczności. Jeśli spotykał znajomego, z którym nie widział się od dłuższego czasu, potrafił ni stąd, ni zowąd, niemalże w połowie zdania, zacząć mu relacjonować jakieś zeznanie czy omawiać świeżo zdobyty dokument. Wielokrotnie wybiegał z kabiny prysznicowej z ręcznikiem owiniętym wokół bioder i nie bacząc na zdumione spojrzenia sekretarek, wykrzykiwał z podnieceniem coś, co przyszło mu do głowy podczas kąpieli.

Kathy Boyer dodatkowo zatrudniła wysoką, tykową dwudziestodwuletnią absolwentkę college'u do odbierania telefonów. Patti D'Addieco okazała się niezwykle sumienną pracownicą, toteż wkrótce Schlichtmann powierzył jej zadanie gromadzenia wszelkich zapisów medycznych dotyczących członków rodzin z Woburn, które wystąpiły po stronie powodowej, a więc łącznie trzydziestu trzech osób. Było to iście gigantyczne zadanie, lecz szef wymagał w jego realizacji nadzwyczajnej dokładności. Patti musiała zdobyć kopię każdego wpisu do karty chorobowej, nawet jeśli wizyta u lekarza była spowodowana zwykłym rozcięciem kolana, bólem gardła czy przeziębieniem. A kartoteki dzieci chorych na białaczkę obejmowały tysiące stron obserwacji i wyników badań, szczegółowych opisów dawkowania leków, do tego uwagi pielęgniarek i lekarzy, pracowników opieki społecznej i psychoanalityków. Natomiast w wypadku dorosłych niektóre wpisy pochodziły jeszcze z lat trzydziestych.

Patti potrafiła jednak zadziwić Schlichtmanna, ponieważ, jak później wyszło na jaw, zaczęła się w nim podkochiwać. Ze wszystkich sił starała się spełnić jego wymagania, napotykała jednak olbrzymie trudności w dotarciu do najstarszych dokumentów. Kiedy pewnego ranka wbiegła do kancelarii, natknęła się na Jana w recepcji.

– Zebrałaś już wszystkie zapisy medyczne? – spytał.

– Nie mogę dotrzeć do najstarszych kart chorobowych Anne Anderson, ponieważ...

– Nic mnie to nie obchodzi! – warknął Schlichtmann. – Masz je zdobyć!

– To niemożliwe. Rodzinny lekarz Andersonów nie żyje.

– Powiedziałem, że nic mnie to nie obchodzi! – wybuchnął adwokat, jakby specjalnie zależało mu na tym, by wszyscy go słyszeli. – Wykop tego cholernego doktora z grobu! Zrób nalot na dom wdowy i za łeb zaciągnij sukę do piwnicy! Sądzisz, że Facher będzie się interesował, dlaczego nie mogłaś znaleźć tych kart?!

Obrażona D'Addieco ze łzami w oczach biegiem uciekła do biblioteki. Kiedy minutę później usłyszała w korytarzu kroki Schlichtmanna, pospiesznie usiadła przy telefonie.

– Patti, odłóż słuchawkę – polecił stanowczym tonem.

– Nie rozumiesz, że jestem wściekła? Nie mam ochoty z tobą rozmawiać!

– Dlaczego jesteś wściekła?

– Bo naprawdę bardzo się staram – mruknęła, ocierając łzy. – Jestem tak wściekła, że nawet nie mogę mówić.

– W porządku, ja będę mówił, a ty słuchaj – rzekł pojednawczo.

Łagodnym tonem wyjaśnił, że doskonale wie, jak ona się stara, i że docenia jej wysiłki, uważa ją za szczególnie cennego pracownika. Mówił tak bez przerwy przez kilka minut, lecz w monologu ani razu nie padło słowo: przepraszam. Patti uspokoiła się jednak i w końcu, chociaż wbrew swej woli, zaczęła się nawet uśmiechać. Wtedy Schlichtmann rzucił:

– No, dobra. A teraz bierz się do roboty.

Kilka miesięcy później D'Addieco wykorzystała sposobność do zemsty. Na jego urodziny skomponowała piosenkę zatytułowaną „Schlichtmannowy rap” i wykonała ją podczas uroczystego przyjęcia w biurze. Tekst brzmiał następująco:

Opowiem wam o gościu, co ma na imię Jan
I rządzi w świecie prawa niczym feudalny pan.
Na sali rozpraw uśmiech na jego ustach tkwi,
Czyściutkie zawsze ręce i nienaganny sznyt.

Gdy karty chorobowe masz zbierać w try miga,
Nic jego nie obchodzi, czy noc, czy deszcz i mgła.
Porządek ma być, ordnung, do dzieła, ni mru mru,
Bo jeśli coś tu spieprzysz, za mordę i na bruk.

Co? Znowu nie ma soku? Mówiłem przecież, że
W tej kancelarii zawsze sok ma być, noc czy dzień,
Do tego naturalny, najlepszy, nawet – ba! —
Najdroższy z wszystkich soków, jakie znał dotąd świat!

Nim jeszcze tu zakończę ów Schlichtmannowy rap,
Dopowiem szczerze – gość ten i zalet kilka ma.

To cięty język oraz nadzwyczaj tęgi łeb.
I to, że jakoś zdzierzył ten bełkotliwy tekst.

Zgromadzenie wszystkich zapisów medycznych było pomysłem pewnej lekarki, specjalistki z zakresu medycyny pracy, niejkiej Shirley Conibear. Schlichtmann wybrał się do Chicago w celu zwerbowania jej do współpracy ponad rok wcześniej. Sporządził listę wszystkich biegłych, onkologów, patologów, immunologów i toksykologów, którzy zeznawali w głośnych rozprawach sądowych, na przykład wymierzonych przeciwko producentom azbestu. Część z nich oświadczyła, że jest teraz zbyt zajęta, by choćby odwiedzić Woburn. Inni w ogóle nie chcieli z nim rozmawiać, wyrażając się z powątpiewaniem o zasadności prowadzonej przez niego sprawy. Tym, którzy okazali choćby odrobinę zainteresowania, Jan porzysłał grube streszczenia zgromadzonej dokumentacji wraz z czekami na dwa i pół tysiąca dolarów, gdyż tyle zwykł dotąd płacić specjalistom za zgodę na wystąpienie w roli biegłego.

Doktor Shirley Conibear była autorką wielu artykułów dotyczących problemów zdrowotnych ludzi stykających się w pracy z toksycznymi chemikaliami. Zaintrygowała ją sprawa Woburn, a zwłaszcza wykonane przez Colvina analizy limfocytów T oraz Studium Harwardzkie. Przesiedziała ze Schlichtmannem wiele godzin w swoim gabinecie, omawiając rozmaite aspekty medyczne sprawy. Właśnie wtedy podsunęła myśl, by zacząć gromadzić wszelkie zapisy z kart chorobowych powodów. Wychodziła z założenia, że jeśli faktycznie przyczyną kłopotów zdrowotnych tych ludzi był obecny w wodzie trichloroetylen, sprawdzenie historii zachorowań powinno doprowadzić do ujawnienia jakichś regularności. Przede wszystkim Conibear zamierzała porównać stan zdrowia mieszkańców Woburn sprzed października 1964 roku, kiedy to do sieci wodociągowej popłynęła skażona woda z ujęcia G, ze stanem późniejszym, po narażeniu ludzi na kontakt z zanieczyszczeniami.

Potem, za odpowiednim wynagrodzeniem, lekarka zgodziła się przyjechać do Bostonu i osobiście przebadać wszystkich dwadzieścioro ośmiu żyjących członków rodzin strony powodowej. Schlichtmann wydał odpowiednie dyspozycje i na jej przyjazd personel kancelarii zarezerwował kilka pomieszczeń w pokojach gościnnych Centrum Medycznego Uniwersytetu Bostońskiego oraz wyposażył je w odpowiedni sprzęt i aparaturę. Lekarka i dwóch towarzyszących jej kolegów oraz laborant zamieszkali na okres badań w apartamentach hotelu „Ritz-Carlton”.

Do czasu otrzymania pierwszego sprawozdania, liczącego ponad dziewięćset stron, owe konsultacje lekarskie pochłonęły w sumie prawie osiemdziesiąt tysięcy dolarów, ale Schlichtmann nie żałował ani jednego wydanego centa. Dowiedział się, że już w roku 1964, kiedy oddano do użytku studnię G, Richard Toomey dostał tak silnych niestrawności i bólów brzucha, że musiał odwiedzić lekarza. A pięć lat później, gdy popłynęła też woda z ujęcia H, jego dolegliwości stały się chroniczne. Toomey stale narzekał również na bóle gardła i głowy, nudności oraz wykwity skórne. Jego córka, Mary Eileen, urodzona w 1965 roku, wielo-

krotnie miewała wysypkę na twarzy i nogach, a do tego wymioty, dreszcze i bóle brzucha oraz kłopoty z zatokami. Nawet dla laika było oczywiste, że niedomagania córki i ojca mają bardzo podobny charakter.

Karty chorobowe Anne Anderson zawierały długą historię bólów brzucha oraz dokuczliwych kurczów i podrażnień jelit, nudności, wymiotów i ogólnego zmęczenia. Jej najstarszy syn, Chuck, przez pierwsze trzy lata życia bardzo często miewał wysypki oraz infekcje górnych dróg oddechowych. Kathryn Gamache uskarżała się na bóle gardła i jamy brzusznej, nudności i niestrawności, bóle i zawroty głowy, a jej córka, Amy, miała wysypkę na twarzy, brzuchu i nogach oraz nudności, biegunkę i podrażnienie jelit. Diane Aufiero zasięgała rady lekarza w sprawie bólów gardła, nudności i zawrotów głowy, oraz wyprysków na skórze. A każde z pięciorga dzieci, które zmarły na białaczkę, przed wykryciem choroby leczono na wysypki, bóle gardła i chroniczne bóle uszu.

W miarę zapoznawania się z raportem Schlichtmann nabierała przekonania, że dolegliwości wszystkich osób strony powodowej mają bardzo podobny charakter. Conibear powiedziała mu wprost, że świadczy to wyraźnie o stałym narażeniu ludzi na kontakt z toksynami. Łączami komputerowymi przeszukała dostępną literaturę naukową i znalazła ponad sto artykułów omawiających szkodliwe działanie trichloroetyleny. W większości dotyczyły one ludzi narażonych na stały kontakt z tym rozpuszczalnikiem i podawały niemal ten sam zestaw objawów: bóle i zawroty głowy, nudności i wymioty, ogólne zmęczenie i wysypkę. Wszystkie rodziny z Woburn skarżyły się na powracające wysypki, ciągłe bóle brzucha i nudności, infekcje zatok i górnych dróg oddechowych. A chodziło przecież o sporą grupę niespokrewnionych ze sobą ludzi, mieszkających tylko w jednym mieście i korzystających z tej samej wody wodociągowej. Zatem występowanie tak wielu wspólnych niedomagań, nie licząc już zachorowań na białaczkę wśród dzieci, zdaniem Schlichtmanna pod żadnym względem nie mogło być dziełem przypadku.

Conibear odkryła jeszcze jedną prawidłowość: u dziewięciorga spośród czternaściorga dorosłych zaobserwowano arytmie bądź też słabsze nieregularności pracy serca. Można więc było sądzić, że to również jest skutkiem kontaktu z trichloroetylenem. W literaturze specjalistycznej niewiele było prac na ten temat, lecz autor jednej z nich pisał o „znacznym wpływie trichloroetyleny na działanie układu krążenia”. Jako najczęstszą przyczynę śmierci osób narażonych na stały kontakt z rozpuszczalnikiem patolodzy wymieniali „migotanie komór” – będące wynikiem zaawansowanej arytmii – lub „porażenie mięśnia sercowego”, powszechnie zwane atakiem serca.

Conibear poddała wszystkich dorosłych strony powodowej standardowym badaniom elektrokardiograficznym, podkreśliła jednak, że istnieją znacznie dokładniejsze metody stosowane w specjalistycznych ośrodkach kardiologii. Schlichtmann postanowił więc oddać swoich klientów w ręce jakiejś sławy w tej dziedzinie. Skontaktował się z Saulem Cohenem, wykładowcą z wydziału medycyny Uniwersytetu Bostońskiego, który prowadził także prywatną praktykę i miał gabinet niedaleko jego kancelarii. Przez telefon wyjaśnił, że chciałby poddać grupę osób takim badaniom, jakimi zostałby objęty prezydent w klinice rządowej.

Cohen znał wyniki badań patologicznych dotyczących wpływu trichloroetyleny na pracę układu krążenia, wątpił jednak, by dało się cokolwiek wykryć u pacjentów narażonych na tak niewielkie ilości tej substancji, tym bardziej że występującej w wodzie pitnej. Wszystkie znane mu raporty dotyczyły ludzi wdychających pary trichloroetyleny i stykających się ze znacznie wyższymi stężeniami niż te, jakie stwierdzono w wodzie z Woburn.

- Zamierza mnie pan powołać na biegłego? – zapytał wprost.
- Tak. Mam nadzieję, że pan nie odmówi – odparł Schlichtmann.
- Nie odmówię, ale zgodzę się omawiać jedynie wyniki własnych badań, a nie mogę ręczyć za ich rezultaty.

Adwokat nie wspomniał, że Conibear wcześniej wykryła dziewięć przypadków arytmii. Uznał, że będzie lepiej, jeśli Cohen sam to stwierdzi.

Badania kardiologiczne wszystkich dorosłych oraz trojga najstarszych dzieci rodzin powodów trwały sześć tygodni. Rozpoczęły się od rutynowych analiz krwi i rejestracji standardowych elektrokardiogramów, później jednak objęły też elektrokardiograficzne badania wytrzymałościowe oraz dwudziestoczerogodzinne ambulatoryjne zapisy pracy serca na monitorze Holtera. Po ich zakończeniu Cohen przysłał Schlichtmannowi obszernie sprawozdanie wraz z mającą ponad metr wysokości stertą elektrokardiogramów. A do tego rachunek opiewający na ponad pięćdziesiąt pięć tysięcy dolarów.

Okazało się jednak, że nie tylko niektóre, ale wszystkie z siedemnaściorga przebadanych osób cierpią na niemiarywość pracy serca. W rozmowie Cohen przyznał, że wyniki go zaskoczyły, uznał je nawet za „wielce zdumiewające”. Schlichtmann poprosił więc lekarza o przejrzenie raportu Conibear oraz wyciągu z historii chorób tych ludzi.

- W połączeniu z wynikami moich badań wszystkie te dane wprawiły mnie w skrajne zdziwienie – oświadczył później Cohen podczas zeznań przed sądem. – Szczególnie wielkie wrażenie zrobiło na mnie daleko idące podobieństwo niedomagania występujących w tym niezwykłym gronie osób.

W porównaniu z arytmia i białaczką, a nawet licznymi wysypkami, wiele problemów zdrowotnych, z jakimi mieszkańcy Woburn na przestrzeni lat zgłaszali się do lekarzy, miało znacznie trudniejszy do określenia charakter. Na przykład bóle głowy, ogólne zmęczenie czy depresja mogły mieć wiele zróżnicowanych przyczyn i wynikać chociażby ze stresu czy chwilowych stanów emocjonalnych, a nie z powodów czysto somatycznych. W literaturze naukowej mówiło się jednak o ewentualnym wpływie trichloroetyleny na działanie centralnego układu nerwowego, był on uważany za środek spowalniający reakcje i mógł wywoływać dokładnie takie objawy. A Conibear uważała, że częstotliwość ich występowania jednoznacznie wskazuje na niedomagania układu nerwowego u pacjentów.

Dlatego też Schlichtmann skontaktował się ze znanym miejscowym neurologiem, Robertem Feldmanem, kierownikiem Zakładu Neurologii na Wydziale Medycyny Uniwersytetu Bostońskiego. Poznał go już wcześniej, podczas prowa-

dzenia sprawy Carneya, w której doktor udzielił mu bezcennych rad, później zaś stał się nieocenionym wręcz biegłym podczas rozprawy.

Feldman początkowo także był nastawiony sceptycznie, zgodził się jednak poddać mieszkańców Woburn takim samym badaniom neurologicznym, jakimi obejmowano pracowników stykających się z parami trichloroetylenu. Przyznawał otwarcie, że wyniki uzyskane przez Cohena rzeczywiście robią ogromne wrażenie, twierdził jednak, że stężenia toksykanta w wodzie były niewielkie i neurologiczny efekt jego działania powinien być wręcz niezauważalny. Tak więc badania – nadzwyczaj czasochłonne i kosztowne, gdyż ich cena oscylowała wokół tysiąca dolarów od pacjenta – mogły nie przynieść żadnych rezultatów.

Schlichtmann uważał jednak, że wszystko układa się w jeden spójny i logiczny obraz, do którego pasował mu nawet sceptycyzm Feldmana. Cohen także przystępował do badań bez przekonania, a jednak stwierdził nawet więcej przypadków arytmii niż Conibear. Jan sądził zatem, iż nie ma się czym martwić, był bowiem przeświadczony, że dotarł już do prawdy. Chodziło mu wyłącznie o znalezienie poparcia jak najszerszego grona autorytetów i zgromadzenie możliwie pełnego materiału dowodowego do przedstawienia na sali sądowej. Zlecił więc wykonanie pełnych badań neurologicznych swoich klientów.

Feldman był autorem kilku artykułów omawiających wpływ trichloroetylenu na pracę układu nerwowego, a w jednym z nich, opublikowanym w roku 1970 w piśmie „Neurology”, opisywał konkretny przypadek. Pewnego wieczoru Schlichtmann zasiadł w sali konferencyjnej i zapoznał się z wszystkimi tymi publikacjami. Artykuł z 1970 roku relacjonował historię dwudziestosześcioletniego robotnika, który musiał zalutować przeciekający zbiornik wielkiej przemysłowej maszyny do odtłuszczania w trichloroetylenie. Okazało się, że miał nieszczelną maskę gazową i po półtorej godziny pracy w nasyconym parami rozpuszczalnika kotle zaczął odczuwać silne zawroty głowy. Dwanaście godzin później skarżył się już na dotkliwe nudności i wymioty, odczuwał zaburzenia wzroku i odrętwienie całej twarzy, a w szczególności okolicy ust i gardła. Kiedy Feldman został wezwany na konsultację, ujrzał ospałego, rozdygotanego człowieka, który ledwie mógł wydusić z siebie pojedyncze głoski i nie był w stanie wykonać nawet najprostszych poleceń.

W bibliografii doktor powoływał się na różne źródła, Schlichtmann zdołał więc dotrzeć do innego artykułu, opisującego przypadek brytyjskiego robotnika portowego, któremu zlecono oczyszczenie kotła fregaty za pomocą trichloroetylenu. Po czterech godzinach pracy mężczyźnie dokuczały silne zawroty głowy i nudności. Następnego dnia kłopoty żołądkowe nasiliły się do tego stopnia, że nie mógł niczego przełknąć, miał też trudności z mówieniem i odkaśływaniem. Całkowicie stracił czucie w okolicy ust i nosa, a jego puls osiągnął bardzo wysoką wartość. Przez kilka tygodni, aż do śmierci spowodowanej rozległą infekcją układu oddechowego, w ogóle nie jadł. Autopsja wykazała daleko posuniętą degenerację piątego nerwu czaszkowego, zwanego także trójdzielnym. Okazało się,

że osłonki mielinowe, cienkie tłuszczowe otoczki z tkanki glejowej ochraniające włókna nerwowe, „rozplynęły się w szereg zdeformowanych kuleczek”. Krótko mówiąc, trichloroetylen „odtłuszczył” włókna nerwowe tego człowieka.

Feldman niewiele mógł zrobić dla swojego pacjenta, zdołał jednak zbadać rozmiar spustoszeń w jego organizmie. Zaczął od najprostszych pomiarów szybkości przewodzenia nerwów, rejestrując natężenia i amplitudy przesyłanych impulsów elektrycznych. Szybko odkrył, że układ nerwowy człowieka zatrutego trichloroetylenem działa z tak samo obniżoną wydajnością, jak we wczesnych stadiach stwardnienia rozsianego. Następnie wykonał szereg testów psychologicznych, chcąc zbadać wydolność pamięci i koordynację ruchową pacjenta. Od tamtej pory, czyli przez szesnaście lat, uważnie śledził rehabilitację tego mężczyzny. Już w ciągu pierwszego roku w znacznym stopniu powróciło mu czucie twarzy, uległa też zwiększeniu szybkość przewodzenia nerwów, nigdy jednak nie wróciła do normalnej wartości. Nie zniknęły także problemy natury neuropsychologicznej. Mimo że wszelkie testy na inteligencję pozwalały zakwalifikować pacjenta do grupy „normalnie rozwiniętych”, zawodziła go pamięć bezpośrednia, a i zdolność koncentracji uwagi oraz logicznego wnioskowania pozostawiały wiele do życzenia. Ponadto testy psychologiczne wykazały trwającą nieustannie depresję, której przyczyn Feldman upatrywał w fizycznym wyniszczeniu centralnego układu nerwowego. „Bardzo niepokojące są u pacjenta zaburzenia w sferze uczuciowej, które występują nieprzerwanie od szesnastu lat – pisał Feldman w marcu 1985 roku, w swoim drugim artykule dotyczącym tego przypadku. – Wyniki badań sugerują wysokie prawdopodobieństwo trwałych uszkodzeń neurologicznych wywołanych tylko jednym, acz groźnym i długotrwałym kontaktem z parami trichloroetylenu”.

Przez kilka tygodni mieszkańcy Woburn przyjeżdżali do szpitala uniwersyteckiego na badania prowadzone przez zespół Feldmana. Kazano im rozpoznawać po zapachu czarną ciecz w probówce – zwykłą kawę – w ramach testu powonienia, czyli działania pierwszego nerwu czaszkowego, węchowego. Musieli pokazywać języki i przesuwac nimi na lewo i prawo, co pozwalało skontrolować dwunasty nerw czaszkowy, podjęzykowy. Słuchali dźwięku kamertonu, świecono im latarkami punktowymi w oczy, skórę w różnych miejscach nakłuwano igłami i łaskotano wełną. Usiłowali interpretować kształty atramentowych kleksów i zapamiętywać długie ciągi cyfr. Przechodzili Test Milnera na rozpoznawanie rysów twarzy, Test Wisconsin polegający na tasowaniu kart, Test Ławki Szkolnej Santa Ana, Test Sławnych Postaci Alberta, Test Pamięci Wzrokowej Bentona. W laboratorium elektromiograficznym spędzali po parę godzin na leżance, w półmroku, z elektrodami przytwierdzonymi do twarzy, ud, kostek i nadgarstków. Jeden z asystentów Feldmana dawkował im łagodne bodźce elektryczne i mierzył zwłokę oraz wielkość i czas reakcji układu nerwowego.

Wyniki tych badań, co zrozumiałe, nie były aż tak wstrząsające jak w przypadku pacjenta zatrutego trichloroetylenem. Feldman ocenił jednak, że odbiegają

od normy. Większość poddanych testom osób miała pewne kłopoty z pamięcią bezpośrednią oraz koordynacją ruchową i z niejakim trudem wykonywała proste zadania z zakresu organizacji wizualnej oraz przestrzennej. Ocena podatności na depresję wykazała, że tylko czworo pacjentów mieści się w granicach normy, a zdaniem doktora reszta stale pozostawała w stanie przygnębienia.

Najbardziej przekonujące wyniki dały „testy mrużenia powiek”, czyli pomiary czasu reakcji zamykania oczu pod wpływem bodźca elektrycznego. Odruch ten zależy od sprawności nerwu trójdzielnego, prawdopodobnie najbardziej narażonego na działanie trichloroetylenu. Otóż Feldman stwierdził, że u wszystkich badanych osób, zarówno dorosłych, jak i dzieci, czas reakcji jest wydłużony bądź utrzymuje się na samej granicy przedziału uznawanego za normalny. Na doktorze olbrzymie wrażenie zrobiło nie tyle samo wykrycie zjawiska, co zaobserwowanie go u wszystkich, niespokrewnionych ze sobą osób. Oznajmił Schlichtmannowi, że jest to „niezwykle istotne”, gdyż prawdopodobieństwo wystąpienia tego samego efektu u dwudziestu wybranych losowo osób wynosi z grubsza „jak jeden do miliona”.

Współpracownica Feldmana, specjalistka z zakresu elektromiografii, która nadzorowała owe testy, nie wiedziała, co łączy badanych mieszkańców Woburn. Co zrozumiałe, zaskoczyło ją wykrycie opóźnienia reakcji u wszystkich, nabrała więc podejrzeń co do stanu używanego aparatu TECA-4. W celu jego sprawdzenia poddała analogicznym badaniom siedmiu techników zwerbowanych na korytarzu szpitala. Okazało się jednak, że u nich czas reakcji na bodźce mieści się w granicach normy.

Schlichtmann dowiedział się o tych badaniach kontrolnych dopiero w trakcie przyjmowania zeznań lekarki. Widocznie Feldman uznał to za mało ważne, ale Jan zyskał jeszcze jeden przekonujący fakt do materiału dowodowego. Postanowił go wykorzystać podczas procesu w celu wykazania sędziom przysięgłym bezstronności prezentowanych wyników.

Niemal każdy biegły proponował zaangażowanie kolejnych ekspertów mogących służyć pomocą. Właśnie w ten sposób Schlichtmann dotarł do niejakię Beverly Paigen, biochemiczki badającej stan zdrowia ludzi mieszkających nad Love Canal. Kierowała ona laboratorium analitycznym przy szpitalu dziecięcym w Oakland, Jan musiał więc polecieć na rozmowę aż do Kalifornii. Zapoznał się jednak szczegółowo z wynikami badań mieszkańców miasteczka Gray w stanie Maine, gdzie przez pięć lat do dwudziestu trzech gospodarstw domowych była doprowadzana woda skażona niewielkimi ilościami trichloroetylenu i tetrachloroetylenu – a więc analogicznie jak w Woburn. Paigen wyjaśniła, że w ciągu pierwszego roku ludzie skarżyli się głównie na wysypkę i pieczenie oczu, zwłaszcza w czasie kąpieli. W drugim roku oprócz dokuczliwej wysypki zaczęły im dokuczać bóle głowy. W trzecim pojawiły się zawroty głowy i omdlenia, nudności oraz bóle brzucha. W ciągu pięciu lat kontaktu ze skażoną wodą z dwudziestu trzech badanych kobiet pięć zaszło w ciążę. Dwie poroniły, dwie inne straciły dzieci najpóźniej cztery miesiące po porodzie. Przeżyło tylko jedno dziecko.

- Nie było żadnych przypadków białaczki? – zapytał Schlichtmann.
- Nie. Trudno spodziewać się nowotworów w tak nielicznej populacji. Białaczka jest dość rzadkim schorzeniem. Można ją zaobserwować w badaniach znacznie liczniejszych społeczności, obejmujących tysiące ludzi.

Jak większość biegłych badających sprawę, Woburn Paigen także sądziła początkowo, że stężenia chlorowanych rozpuszczalników w wodzie wodociągowej z Gray są za małe, by mogły spowodować tak poważne problemy zdrowotne mieszkańców. Postanowiła jednak sprawdzić taką hipotezę. Wraz z kolegą, Robertem Harrisem z Uniwersytetu Princeton, zaplanowała pobranie do badań powietrza z kabiny prysznicowej otaczającego strumień ciepłej wody. Wychodziła z założenia, że trichloroetylen – bardzo lotny i słabo rozpuszczalny w wodzie – w takich warunkach powinien intensywnie parować.

Okazało się, że parowanie cieczy faktycznie jest wzmożone, gdyż w kroplach skondensowanej pary wodnej, zebranej w bezpośrednim otoczeniu strumienia ciepłej wody wypływającej w tempie około dwudziestu litrów na minutę, stężenie trichloroetyleny było dwu- lub nawet trzykrotnie wyższe niż w samej wodzie.

To by wyjaśniało, dlaczego Richard Toomey i kilkoro innych mieszkańców Woburn skarżyło się na silne pieczenie oczu podczas kąpieli. Do tej pory Schlichtmann przyjmował, że zatrucie ludzi następowało w wyniku picia skażonej wody, szacował, iż średnio każda z osób strony powodowej pochłaniała dziennie tyle zanieczyszczeń, ile znajdowało się ich w litrze wody. Teraz jednak musiał uwzględnić również, że w czasie dziesięciominutowej kąpieli pod prysznicem wszyscy byli narażeni na kontakt z taką ilością tri, jaką zawierało aż dwieście litrów wody wodociągowej, a substancja wnikała do ich organizmów poprzez inhalację.

Potwierdził te wnioski inny biegły, toksykolog z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley, który powiedział Schlichtmannowi o jeszcze jednej drodze wchłaniania toksykanta: absorpcji przez skórę. Według najnowszych badań, opublikowanych w „American Journal of Public Health”, ilość trichloroetyleny wnikającego w głąb ciała podczas kąpieli, kiedy to wszystkie pory skóry są omywane ciepłą wodą, jest porównywalna, a nawet wyższa od tej, jaka dostaje się do organizmu ze skażoną wodą pitną. Absorpcja zachodzi najbardziej intensywnie w najwrażliwszych fragmentach ciała, a więc po wewnętrznej stronie ud czy pod pachami, a dodatkowo ją zwiększa opaleniźna, zranienia czy podrażnienia skóry. Tymczasem wysypka niemal stale dokuczała dzieciom z Woburn.

Tak więc ludzie zatruli się trichloroetylenem aż trzema sposobami: pili go z wodą, wdychali podczas kąpieli i absorbowali przez skórę. Zdawało się to wyjaśniać istotną rozbieżność między skalą poważnych kłopotów zdrowotnych a stosunkowo niskimi stężeniami toksykanta w wodzie. Ostatecznie jego ilości, z którymi kontaktowali się ludzie, wcale nie były takie małe.

Jednocześnie Schlichtmann dowiedział się, że problem skażenia wody pitnej trichloroetylenem nie dotyczy tylko dwóch miast, Woburn i Gray. Z raportu opublikowanego przez federalną Służbę Zdrowia Publicznego wynikało, że „od dziecięciu do trzydziestu czterech procent wszystkich ujęć wody w Stanach Zjedno-

czonych może być zanieczyszczonych tym rozpuszczalnikiem”. Zdumiał się jeszcze bardziej, gdy w tym samym dokumencie przeczytał, że jeśli dziesięć milionów osób będzie stale oddychało powietrzem zawierającym jedną cząsteczkę trichloroetyleny na milion, co najmniej dziewięćdziesiąt trzy tysiące z nich dotknie „zwiększone ryzyko powstania choroby nowotworowej”. W tej samej chwili po-przyślął sobie, że już do końca życia nie weźmie do ust wody z kranu.

Wiele się zmieniło. Sprawa, która początkowo dotyczyła jedynie przypadków białaczki wśród dzieci, przekształciła się w przypadek chronicznego zatrucia mieszkańców miasta. Jeśli nawet nie było mocnych dowodów na to, iż bezpośrednią przyczyną białaczki jest trichloroetylen, to nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że stały kontakt ze skażoną wodą wpływa na rozwój tej choroby, która w innych okolicznościach wcale nie musiałaby się zakończyć śmiercią. Być może któregoś z dzieci żyłoby do dziś, gdyby zakłady Grace’a i Beatrice Foods nie zatruty wód podziemnych we wschodnim Woburn.

2

Liczba biegłych z zakresu medycyny urosła do dwunastu, można już było nimi obsadzić niewielką elitarną klinikę. W większości jednak ci ludzie nie znali się nawzajem, nie znali też wyników prac swoich kolegów. Dlatego też Jan postanowił zorganizować dyskusję przy okrągłym stole. Wynajął salę balową hotelu „Ritz-Carlton” i wykupił bilety lotnicze dla ekspertów z Kalifornii, Chicago i Waszyngtonu. Opłacił też pokoje hotelowe, posiłki oraz stawki swoich biegłych. Konferencja zaczęła się od obiadu w piątkowe popołudnie i trwała przez całą sobotę. A jej przebieg przyniósł tak znaczące efekty, że wkrótce trzeba było zorganizować drugą naradę, tym razem w Chicago.

Krótko po jej zakończeniu Conway odkrył, że Saul Cohen, kardiolog, policzył sobie po sto dolarów za każdą godzinę spędzoną w chicagowskim hotelu „Hilton”. Co prawda była to tylko połowa normalnej stawki, ale rachunek obejmował też godziny nocne. Rozwścieczony Conway chciał zrobić awanturę, lecz Schlichtmann rzekł obojętnie:

– Daj spokój. Jest tego wart.

Rosnące stale koszty martwiły Conwaya, choć wcale go nie dziwiły. Doskonale wiedział, że Schlichtmann jest gotów wydać wszystkie pieniądze na tę sprawę, a gdyby ich zabrakło, zaciągnąć dodatkowy kredyt. Trzy lata wcześniej Conway ocenił, że będzie to „czarna dziura”. Teraz zaś, po ośmiu miesiącach gromadzenia materiału dowodowego, jego przepowiednia się sprawdzała. Wyniki badań wydolności układu nerwowego powodów, pomiarów kardiologicznych, testów psychologicznych i analiz laboratoryjnych wraz z raportami toksykologicznymi zapełniały kolejne półki. Duży kserograf stojący przed drzwiami centrum dowodzenia pracował od świtu do nocy, wypływając z siebie kopie sprawozdań biegłych i kart chorobowych mieszkańców Woburn. Spisane zeznania, wnioski i streszczenia zdawały się mnożyć przez noc i na podobieństwo żywego organizmu, plech

toczącego biuro grzyba, spełzać ze stołu konferencyjnego na podłogę, a stamtąd na korytarz i do recepcji.

Tymczasem z Woburn, gdzie pracowała ekipa wynajętych geologów i hydrologów bez przerwy wierzących studnie i pobierających próbki gleby, napływały kolejne raporty. Schlichtmann musiał udowodnić, że to właśnie chemikalia z zakładów Grace'a i Beatrice Foods zanieczyściły wodę, toteż prace terenowe miały ogromne znaczenie, ale zarazem były szczególnie kosztowne. Wywiercono aż trzydzieści studni kontrolnych na podmokłych brzegach Aberjony, żeby ustalić kierunek przepływu wód podziemnych. Detonowano niewielkie ładunki wybuchowe, by za pomocą urządzeń do pomiarów refrakcji sejsmicznej określić ukształtowanie skał w dnie pradoliny. Specjaliści przeczesywali niemal każdy centymetr gruntów należących do obu pozwanych zakładów, a towarzyszyła im ekipa zdjęciowa, która na polecenie Schlichtmanna robiła fotografie i utrzymywała na kasetach wideo przebieg badań. Samo skompletowanie nagrań wideo miało kosztować ponad dziewiętnaście tysięcy dolarów, co w sumie było nawet niedużą sumą, gdyż całość badań geologicznych pochłonęła z górą ćwierć miliona.

Ceny nawet mniej znaczących usług, takich jak wykonanie zdjęć lotniczych wschodniego Woburn i zaangażowanie biegłego do ich zinterpretowania, szły w tysiące dolarów. A przecież rosnące sterty dokumentacji także nie powstawały za darmo. Protokolantka sądowa liczyła po trzy i pół dolara za stronę przepisanych na maszynie zeznań, stąd też na przykład całodzienne przesłuchanie Toma Barbasa kosztowało kancelarię tysiąc dwieście pięćdziesiąt sześć dolarów. Tymczasem końca przesłuchań coraz to nowych świadków wciąż nie było widać.

Jesienią 1985 roku wydatki Schlichtmanna, Conwaya i Crowleya na sprawę Woburn sięgnęły miliona dolarów, a przez najbliższych pięć miesięcy, do lutego, kiedy to miała się zacząć rozprawa, musiały wciąż wzrastać. Firma potrzebowała dalszych kredytów, toteż Schlichtmann postanowił udać się na kolejną rozmowę z prezesem banku. Nigdy jednak nie czynił tego samotnie, zwykle zabierał ze sobą Conwaya oraz Jamesa Gordona, doradcę finansowego.

Gordon był geniuszem matematycznym. Przebiegał palcami po klawiszach kalkulatora z wprawą arcy mistrza fortepianu, by wreszcie zawiesiwszy na chwilę dłoń w powietrzu, po raz ostatni zsumować liczby i triumfalnym tonem podać ostateczną kwotę. A chyba największą jego zaletę stanowiła zdolność trafnego szacowania przyszłych wydatków, jak gdyby przyszedł już na świat z zakodowaną w pamięci tabelą różnorodnych stawek i procentów.

Schlichtmann poznał Gordona krótko po przeprowadzce z Newburyport do Bostonu, zaraz po wygraniu sprawy Eatona i tuż przed osiągnięciem prawie milionowej ugody w sprawie katastrofy lotniczej. Nawet w tamtym okresie prosperity w jego finansach królował nieopisany bałagan. Wtedy też Gordon wraz ze swym współnikiem, Markiem Phillipsem, założyli własną firmę o nazwie Grupa Planowania Ekonomicznego i utworzyli biuro przy Newbury Street, niedaleko hotelu „Ritz-Carlton”, w eleganckiej części dzielnicy Back Bay. Początkowo interes szedł opornie, jakoś nie chcieli ich odwiedzać najbogatsi bostończycy żądni fachowego rozdysonowania własnego majątku. Aż pewnego dnia pojawił się

Schlichtmann ze zleceniem uporządkowania spraw finansowych kancelarii. Kilka dni wcześniej kupił sobie nowego porsche'a i chcąc się nim pochwalić, zaciągnął Gordona do okna wychodzącego na Newbury Street. Auto nie zrobiło na Jamesie większego wrażenia, uderzyło go jednak, że stoi ukosem, zajmując dwa miejsca parkingowe, a funkcjonariusz straży miejskiej właśnie wypisuje mandat.

Dwa miesiące później Schlichtmann skontaktował się z Gordonem w innej sprawie. Towarzystwo ubezpieczeniowe zaferowało mu w ramach ugody odszkodowanie w wysokości półtora miliona, ale płatne w ratach przez czterdzieści lat. Adwokat nie dał się zwieść pozorom i zapytał o zdanie fachowca, a Gordon wykonał parę obliczeń i szybko wyjaśnił, że firma w rzeczywistości zamierza wyłożyć jedynie trzysta trzydzieści tysięcy, a pozostałą kwotę uzyskać z odsetek od zainwestowanej części tej sumy.

– On po prostu rozumie pieniądze – mawiał Jan o Gordonie. – Chyba ma ten szczególnie dar od urodzenia.

Od tamtej pory Gordon i Phillips – który także był z wykształcenia prawnikiem, lecz nie praktykował – zaczęli nadzorować wszystkie finanse Schlichtmanna. Szybko jednak zrezygnowali z prób planowania lokat i inwestycji, zaczęli się natomiast specjalizować w szacowaniu możliwych polubownych odszkodowań i rozliczaniu kosztów. Okazali się niezwykle pomocni przy ustalaniu warunków ugody w sprawie pożaru w hotelu „Copley”. W trakcie przygotowań do sprawy Carneya Gordon zajmował się bieżącymi wydatkami, a Phillips organizacją dwóch próbnych rozpraw. Obaj widywali się ze Schlichtmannem i Conwayem niemal codziennie, a trzy lub cztery razy w tygodniu jadali razem z nimi obiady. Stało się już zwyczajem, że Conway przed wzięciem nowej sprawy zasięgał opinii któregoś z nich, a Schlichtmann nigdy nie podpisywał ugodowego porozumienia bez ich udziału. Wszyscy czterej tworzyli zgodny, doskonale rozumiejący się zespół, a ponadto grono bliskich przyjaciół. Wkrótce została przeciągnięta bezpośrednia linia telefoniczna między biurem Gordona i Phillipsa przy Newbury Street a kancelarią Schlichtmanna. Natomiast Grupa Planowania Ekonomicznego stała się prawie całkowicie uzależniona od działań adwokatów.

Phillips, który pochodził ze starej, bogatej i wpływowej bostońskiej rodziny, należącej do tak zwanej klasy braminów, często określał Gordona i Schlichtmanna mianem „dwóch rosyjskich Żydów, czyli macherów”. Pierwszy był o trzy lata młodszy i niewiele ustępował Janowi wzrostem, brakowało mu jednak tej wręcz wojskowej postawności i wysportowanej sylwetki. Jako młody, pulchny i pyzaty chłopak dorabiał na parkingu brooklińskiego supermarketu Purity Supreme, pomagając klientom pakować i ładować do samochodów zakupy. Najpierw zakrywał marynarką wielką tablicę ostrzegającą przed młodocianymi oszustami, po czym spryskiwał wodą białą bawełnianą koszulkę, żeby zrobić wrażenie spoconego z wysiłku. Okazywało się to nadzwyczaj skuteczne względem starszych pań. Dość szybko osiągnął imponujący wzrost, lecz jego pyzata twarz pozostała chłopięca, a jej sympatyczny wyraz podkreślała strzecha ciemnych, wiecznie zmierzwionych włosów. Gordon darzył Schlichtmanna podziwem, często usiłował przyjąć jego manieri, a zwłaszcza śpiewny, rytmiczny sposób mówienia. Próbował

też przyswoić sobie wszystkie elementy, które składały się na urok adwokata, te jednak działały tylko na jego niekorzyść, gdyż na każdym kroku stosował filozofię, że aby coś w życiu osiągnąć, trzeba się posługiwać machinacjami. Stąd też mało kogo potrafiły zwieść pozory jego subtelności. Kiedy chciał czegoś od Kathy Boyer, zwykle zaczynał od słów:

– Rety, co za piękna garsonka! Wyglądasz dziś naprawdę wspaniale!

Kathy bardzo szybko nauczyła się lekceważyć te umizgi i zachowywać czujność. Przekonała się, że każdy komplement sporo ją kosztuje. Do sekretarek Gordon zazwyczaj zwracał się „skarbie”, „słoneczko” bądź „złotko”, mając nadzieję na zdobycie ich przychylności, lecz za jego plecami kobiety najczęściej uśmiechały się ironicznie i wznosiły oczy do nieba.

Gordon podziwiał nawet osobliwe podejście Schlichtmanna do pieniędzy, chociaż pod tym względem nawet nie próbował go naśladować. Przeraziła go perspektywa klęski finansowej i życia w niedostatku. Na wszelki wypadek trzymał w domowej bielizniarce kilka studolarowych banknotów, a w jednej szaf na akta ukrył dziesięć złotych krugerrandów*. Od czasu do czasu wyciągał te pieniądze i przeliczał je, odczuwając satysfakcję, że jest zabezpieczony na czarną godzinę.

To właśnie Gordon zajmował się wydatkami związanymi ze sprawą Woburn, pilnie gromadził wszelkie rachunki i osobiście pilnował, by zostały w porę zapłacone. Zajmował się też organizacją i nadzorem nad pracami geologów w dolinie Aberjony. To on także wyciągnął z jakiegoś archiwum stare zdjęcia lotnicze okolic Woburn, później zaś urządził konferencję biegłych lekarzy. Kiedy Schlichtmann potrzebował czegoś natychmiast bądź gdy pewne sprawy się waliły, zawsze szukał pomocy Gordona, a ten najczęściej wybawiał go z kłopotów.

Jesienią Gordon oznajmił jednak Janowi, że muszą pójść na rozmowę z prezesem banku. Według jego obliczeń na zakończenie przygotowań oraz rozprawę, która miała potrwać około sześciu tygodni, potrzebowali jeszcze pół miliona dolarów, i to według bardzo ostrożnych szacunków.

– Tak więc musimy się zobaczyć z Wujkiem Piotrusiem – rzekł stanowczo.

Wujek Piotruś w rzeczywistości nazywał się George Kennedy Briggs II i był wiceprezesem Prywatnego Konsorcjum Bankowego skupionego wokół Banku Bostońskiego. Nazwisko miał doskonale pasujące do kręgów finansjery, a mimo to przyjaciele, koledzy i klienci nazywali go zdrobniale Piotrusiem. Może wynikało to stąd, że nie lubił typowo urzędniczych strojów, najczęściej chodził w sportowych tweedowych marynarkach i dużych pstrokatych muszkach. Jego dziecięce, delikatne rysy kontrastowały z ciężką, zwalistą sylwetką, lecz gdy się uśmiechał, co wcale nie należało do rzadkości, rozpromieniała mu się cała twarz.

Schlichtmann nazywał go Wujkiem Piotrusiem, lecz w głębi duszy bał się bankiera. Bezpodstawnie wbił sobie do głowy, że Piotruś nim gardzi z powodu karygodnego stanu finansów firmy, chociaż nigdy nie usłyszał od niego ani słowa

* Południowoafrykańska moneta zawierająca uncję czystego złota, mająca wartość 25 randów (przyp. tłum.).

krytyki. Niemniej w obecności bankiera Jan zmieniał się nie do poznania. Mówił mało i cicho, jakby w wielkim zakłopotaniu, i bez najmniejszego sprzeciwu akceptował wszelkie propozycje. Sam nigdy by się chyba nie zdobył na to, żeby poprosić prezesa o pożyczkę. Wręcz przeciwnie, zawsze z niezwykłą gorliwością spłacał kredyty bankowe. Już parokrotnie w ramach zastawu hipotecznego proponował czy to swoje mieszkanie na Beacon Hill, czy akt własności samochodu, ale Piotruś zawsze kwitował to rozbrajającym uśmiechem i odpowiadał:

– Na razie nie potrzebuję od ciebie żadnego zastawu.

Briggs uważnie śledził stan finansów kancelarii już od czterech lat, niemal od chwili przeprowadzki Schlichtmanna do Bostonu. Nie mógł się nadziwić, że tak wielkie sumy wpływające na jej konto potrafią zniknąć w tak krótkim czasie i ustąpić miejsca równie imponującym długom. W swojej trzydziestoletniej karierze nie spotkał się jeszcze z podobnym zjawiskiem. Z ramienia Prywatnego Konsorcjum Bankowego nadzorował finanse ponad trzystu bostońskich prawników i żadnemu nie musiał poświęcać tyle uwagi, co Schlichtmannowi. Mimo licznych zastrzeżeń z sympatią odnosił się do trzech współników, których nazywał „chłopcami”, i traktował ich nadzwyczaj wyrozumiale. Często odwiedzał sale sądowe, żeby podziwiać wystąpienia Schlichtmanna i, jak mawiał, mieć oko na swoje pieniądze. Podczas rozprawy Carneya przysłuchiwał się zarówno wstępnej, jak i końcowej mowie adwokata, a później obserwował jego nerwowe kroki po korytarzu w oczekiwaniu na wyrok przysięgłych.

– Wtedy chłopcy byli bardzo blisko poniesienia prawdziwej klęski – ocenił później.

Zauważał też ogromne różnice w zachowaniu Jana na sali sądowej i w jego gabinecie.

– Na co dzień to jeden z najsympatyczniejszych i najbardziej otwartych ludzi, jakich znam – oceniał. – Jest strasznie zakłopotany tym, że nie potrafi gospodarować pieniędzmi i tak mało wie o sprawach finansowych.

Na spotkanie z Briggsem Gordon przygotował plan wydatków. Zbilansował dotychczasowe przygotowania do rozprawy i dokonał szacunkowej wyceny pozostałych trzynastu spraw prowadzonych w kancelarii, gdyż stanowiły one jedyny realny majątek firmy. Do sprawy Woburn Piotruś pożyczył im już dwieście tysięcy dolarów, a więc w celu uzyskania następnego, półmilionowego kredytu trzeba było rzetelnie ocenić perspektywiczne zyski.

Jest to zadanie przypominające wróżenie z fusów, bo nigdy nie wiadomo, jaki wyrok ustalą przysięgli. W sprawach dotyczących uszkodzeń ciała można jednak dokonać pewnych szacunków na podstawie wcześniejszych werdyktów. Prawnicy ogólnie przyjmują, że martwy klient jest mniej wart od żywego, lecz poważnie okaleczonego. Niektóre przypadki, takie jak Carneya – w których powód jest przykuty do wózka inwalidzkiego, musi znosić wiele cierpień, a jednocześnie mnóstwo wydawać na leczenie – skłaniają przysięgłych do zasądzenia dużych odszkodowań. Według tych samych bezdusznych szacunków martwe dziec-

ko jest jeszcze mniej warte od martwego dorosłego, zwłaszcza gdy chodzi o jednego żywiciela rodziny czy też matkę kilkorga dzieci.

Wyroki zapadające dotąd w stanie Massachusetts pozwalały wnioskować, że martwe dziecko jest dla przysięgłych warte mniej niż milion dolarów. Schlichtmann wierzył jednak, że jeśli sędziowie wezmą pod uwagę tragiczny przebieg białaczki oraz ilość bólu i cierpień, jakie zmarłe dzieci musiały znieść, odszkodowanie będzie większe. A gdyby udało mu się odpowiednio naświetlić stan zatrucia dorosłych i narażenie ich na wiele chorób, głównie nowotworowych, można by oczekiwać jeszcze wyższej sumy.

Niemal od początku szacował wartość sprawy Woburn na dwadzieścia milionów dolarów i upływ czasu nie zmienił tych kalkulacji. Gordon sporządził jednak wykres prawdopodobieństwa, obejmujący ewentualne odszkodowania w wysokości od zera – wskutek przegrania procesu – do czterdziestu milionów dolarów, przy czym możliwości uzyskania każdego ze skrajnych wyników Schlichtmann ocenił na pięć procent. Po uwzględnieniu różnych parametrów wyszło z tego wykresu, że najbardziej prawdopodobne jest wywalczenie dwudziestu czterech milionów, czyli po trzy miliony na każdą rodzinę strony powodowej.

Jan bardzo liczył, że w ostatecznych szacunkach dopomogą mu próbne rozprawy, w których funkcję przysięgłych pełnili przypadkowi ludzie zwerbowani z ulicy i odpowiednio wynagrodzeni. Była to powszechnie stosowana praktyka, choć wykorzystywano ją głównie do oceny mocniejszych i słabszych punktów adwokackich wystąpień, a nie do szacowania wielkości odszkodowań. Schlichtmann przekonał się jednak, że do tej pory w próbnych rozprawach zapadały werdykty bardzo podobne do rzeczywistych, lecz na razie w rozmowie z bankierem musiał się posłużyć jedynie obliczeniami na papierze. Dlatego postarał się o ich odpowiednią prezentację, jakby szykował broszurę reklamową nowego produktu. Przeczucie podpowiadało mu, że się nie myli, ale zdawał sobie sprawę, iż obliczenia bazują wyłącznie na jego intuicji wspomaganej nadzieją na pomyślny obrót wydarzeń.

Przebieg spotkania z Piotrusiem nie był jednak zgodny z przewidywaniami. Kiedy Schlichtmann, Conway i Gordon zasiedli w gabinecie prezesa Banku Bostońskiego, w przeszklonym drapaczu chmur stojącym o trzy przecznice od gmachu sądu federalnego, ten ostatni zaczął pośpiesznie omawiać dotychczasowe wydatki i majątek kancelarii, zamrożony w czekających jeszcze sprawach. Gdy zaś przeszedł do wykresu szacunkowych zysków, Briggs przerwał mu stwierdzeniem, że najpierw wolałby usłyszeć propozycję dotyczącą sposobu spłaty zaciągniętego wcześniej, a nie zabezpieczonego kredytu na dwieście tysięcy dolarów. Gordon poprzednio obiecywał, że pieniądze te zostaną zwrócone z pierwszej raty odszkodowania, jakie zgodziła się wypłacić firma Unifirst.

– Chyba już dostaliście tę pierwszą ratę, więc macie pewien fundusz na dalsze wydatki, prawda? – rzekł Briggs.

– Już wydaliśmy te pieniądze! – odparł Gordon nienaturalnie piskliwym głosem.

Piotruś nagle poczerwieniał na twarzy, jakby za chwilę miał dostać ataku apopleksji. Schlichtmann nigdy wcześniej nie widział go w takim wstanie. Bankier rzeczywiście był rozwścieczony do ostatnich granic. „Myślałem, że dostanę ataku serca”, przyznał kilka miesięcy później.

Jan zaczął więc pospiesznie oferować w zastaw swoje mieszkanie na Beacon Hill, lecz Briggs uciszył go ruchem ręki.

– Zaraz, chwileczkę! Na co je wydałicie?!

Oczywiście na sprawę Woburn. Gordon był przygotowany na wszelkie wyjaśnienia, sięgnął więc do materiałów i począł omawiać dotychczasowe i czekające ich jeszcze wydatki, w rozbiciu na poszczególne kategorie.

Kiedy Briggs się uspokoił, przyznał rzeczowo, że jego zdaniem ta sprawa może przynieść znaczący dochód. A znając Schlichtmanna, wiedział, że ten nigdy nie przesadza w swoich szacunkach ewentualnej wielkości odszkodowania.

Koniec końców zgodził się udzielić im następnego kredytu w wysokości pół miliona dolarów, zatrzymał jednak całą dokumentację na wypadek konieczności przedstawienia jej wszystkim członkom rady nadzorczej banku. Schlichtmann jeszcze raz zaproponował w zastaw swoje mieszkanie, lecz Briggs się nie zgodził. Nie lubił tego rodzaju weksli. Wymusił jednak, by wszyscy trzej podpisali umowę, w której jako zabezpieczenie kredytu wymieniono resztę odszkodowania od firmy Unifirst, czyli sześćset tysięcy płatne w ratach przez najbliższych pięć lat, jak też ostatnią ratę honorarium ze sprawy Carneya, wynoszącą sto tysięcy dolarów.

Na pożegnanie Briggs życzył chłopcom szczęścia. Jak zwykle poprosił Gordona o informowanie go na bieżąco o rozwoju wypadków w sprawie Woburn. Powtórzył jednak, że czuje się zawiedziony w kwestii spłaty wcześniejszego kredytu z ugodowego odszkodowania od firmy Unifirst.

– Powinieneś pamiętać, że bankierzy nie lubią niespodzianek – ostrzegł Gordona.

3

Papierów przybywało w zastraszającym tempie. Każdy z rzeczników występował do Skinnera z wnioskami o wyegzekwowanie od przeciwnika kopii jakichś dokumentów, udostępnienie świadka czy sformułowanie odpowiedzi na oficjalne zapytanie. Zaraz jednak się odwoływał i prosił o ochronę przed nierealnymi żądaniami drugiej strony. Nie było dnia, żeby gońcy nie dostarczali sędziemu podobnych pism, czasami przychodziło ich po kilka na godzinę. Kolejne papierzyska, spadające na jego biurko niczym jesienne liście stręcane porywami wichury, szybko tworzyły wysokie sterty.

– Znowu to samo! – znużonym tonem powtarzał adwokatom na każdym posiedzeniu. – Pracuję tu od dawna, lecz nigdy jeszcze nie zetknąłem się ze sprawą, w której materiał dowodowy budziłby tak wiele kontrowersji. Mam nadzieję, że to już ostatnie wnioski formalne.

Kiedy Skinner nie miał ochoty wysłuchiwać słownych utarczek, odsyłał prawników do zaprzyjaźnionego sędziego pokoju, niższego rangą urzędnika sądowego przy-

mującego interesantów na drugim piętrze. Ten zaś – będący tuż przed emeryturą, chudy i kościsty, o zapadłych policzkach i wklęsniętych skroniach – już od pierwszej rozmowy czuł niechęć do Schlichtmanna. Wielokrotnie pytał go, jak zamierza dowieść swoich racji, a Jan pokazywał mu tylko grube teczki z dokumentami.

– Tu jest wszystko wyjaśnione – powtarzał, doprowadzając tym sędziego do wściekłości.

– Ile razy się spotykamy, mówi pan: Proszę zajrzeć do tych materiałów, znajdzie pan w nich odpowiedź – poskarżył się któregoś dnia sędzia pokoju. – W najmniejszym stopniu nie chce mi pan ułatwić pracy. Tak się nie postępuje w sądzie, panie Schlichtmann.

Jan zazwyczaj starał się udobruchać sędziego. Mówił na przykład:

– Ten problem, który poruszył pan dwa miesiące temu, panie sędzio, okazał się niezwykle istotny. Jestem panu niezmiernie wdzięczny.

– Ale to i tak nie oznacza, że dotarł pan już bezpiecznie do pierwszej bazy, panie Schlichtmann – odpowiadał urzędnik.

Facher i Cheeseman skrzętnie wykorzystywali niechęć sędziego pokoju do ich przeciwnika. Zasypywali go kolejnymi wnioskami, skarżąc się dosłownie na wszystko – że Schlichtmann nie dotrzymał obietnicy i nie udostępnił wyników badań, że jego świadek nie chciał odpowiadać na pytania, że adwokat spóźnił się na przesłuchanie, a potem jeszcze zarządził zbyt długą przerwę na lunch. Zazwyczaj sędzia przyjmował ich wnioski, za to niemal automatycznie odrzucał wystąpienia rzecznika powodów.

– Składa pan ustny wniosek o kolejne przesłuchanie świadka, panie Schlichtmann? – pytał z zaciekawieniem.

– Tak.

– Więc go odrzucam.

Parę minut później Jan znów próbował szczęścia, prosząc sędziego, by zmusił Fachera i Cheesemana do ujawnienia personaliów biegłych.

– Pański wniosek zostaje odrzucony – wyrokował sędzia.

– Mam rozumieć, że nie ma sensu składać jakichkolwiek wniosków? – dopytywał się adwokat.

– Złożył go pan przed chwilą, a ja go odrzuciłem.

– To po co w ogóle tracimy czas? – bąknął Jan pod nosem.

– Co pan powiedział, panie Schlichtmann?

– Nic takiego.

– A jednak! – rozżłościł się sędzia.

– Wysoki Sądzie – zaczął Jan oficjalnym tonem. – Czy pod pańskim przewodnictwem przepisy prawa cywilnego odnoszą się tak samo do obrony, jak i do rzecznika powodów?

– Oczywiście.

– W takim razie zgłaszam wniosek, przekonamy się, jak zostanie potraktowany. Proszę, aby obrona zdradziła Wysokiemu Sądowi, czy ten tajemniczy biegły będzie kiedykolwiek dysponował wolną chwilą, abym mógł go przesłuchać.

– To nie obrona występowała z pozwem do sądu – odparł tamten. – To pan go złożył. A w celu odparcia pańskich zarzutów, Bóg jeden wie, jak bezpodstawnych, obrona musi najpierw zgromadzić materiał dowodowy. Od dawna próbuję poznać stanowisko pańskich biegłych, a pan za każdym razem mi proponuje, żebym się zapoznał z jednym czy drugim opasłym raportem. Tymczasem sam chciałby pan znać każdy szczegół szykowanej obrony.

– Zgadza się. Obrona nie ma jeszcze żadnej spójnej koncepcji i bardzo mnie cieszy, że pan sędzia to dostrzeża.

– Niczego takiego nie powiedziałem, panie Schlichtmann! Powinien się pan wstydzić...

– Nie wstydzę się ani jednego słowa.

– Tak czy inaczej, to już pańska sprawa.

– Na tej sali obowiązują dwa różne standardy – wycedził ze złością adwokat. – Inne prawa mają obrońcy, inne rzecznicy powodów...

– Jeżeli naprawdę pan tak uważa, panie Schlichtmann, proszę złożyć formalny wniosek o zmianę sędziego. Mogę nawet wskazać panu odpowiednie przepisy w kodeksie. Pozostałe wnioski od razu przyjmuję.

– Moje również? – zapytał szybko Jan.

– Nie, pański wniosek został odrzucony. – Kiedy Schlichtmann zaczął znów coś mamrotać pod nosem, sędzia dodał: – Chciał pan sprawiedliwości? No to ją pan ma!

– Tak! Rzeczywiście mam!

Coraz częściej Schlichtmann widywał słońce tylko z okien kancelarii lub w trakcie podróży na przesłuchanie. Zaczął siwieć w zastraszającym tempie. Kathy Broyer zwałała to na karb przepracowania i stresu, choć zapewne tylko dawały o sobie znać cechy dziedziczne. Ale Jan także schudł i pobladł. Jego frak przestał leżeć jak ulał i wisiał na nim teraz jak na sklepowym wieszaku. Blask jarzeniówek w sali konferencyjnej zdawał się też znakomitą pożywką dla hipochondrii. Schlichtmann zaczął podejrzewać u siebie to niewydolność krążenia, to znów chorobę nowotworową. Dokuczliwe bóle głowy skłaniały go ku podejrzeniom o guza mózgu. Często miał wrażenie, że się dusi pod brzemieniem rozpatrywanych spraw. Nie potrafił już zapanować nad wszystkim, więc martwił się, że może przeoczyć coś ważnego. Do tej pory był zawsze pewien siebie, skrzętnie gromadził wszelkie fakty, ale złożoność sprawy Woburn przerażała jego możliwości. Po wyczerpującym dniu pracy walił się do łóżka jak kłoda i śnił o liczbach – zawartości limfocytów T we krwi, milisekundowych czasach odruchu mrugania czy mikrogramowych stężeniach trichloroetylenu w wodzie. Budził się nagle o piątej czy szóstej rano z takim wrazeniem, jakby przesiedział nad papierami całą noc. I gdy tylko otworzył oczy, zaczynał układać plan zajęć na ten dzień. Kiedy wszystko toczyło się po jego myśli, na chwilę odyskiwał wiarę w siebie, dość szybko jednak dochodził do wniosku, że jest w błędzie.

– Czuję się jak w samochodziku dla małych dzieci, w którym jest kierownica, ale z niczym niepołączona – wyznał kiedyś Conwayowi. – Tylko ci się wydaje, że możesz nim kierować.

Starał się nie myśleć o pieniądzach. Jego karty kredytowe były obciążone znacznymi debetami. Któregoś dnia, gdy chciał jedną z nich uregulować rachunek w restauracji, spotkał się z kategoryczną odmową. W sobotnie wieczory Teresa wyciągała go na obiad, a potem do kina. Miała nadzieję, że zdoła go choć trochę oderwać od spraw zawodowych, lecz on nie umiał się od nich uwolnić nawet na krótko. Kiedy wróciła z wycieczki na Karaiby, zaczęła mu opowiadać o swoich wrażeniach, zauważyła jednak, że tylko udaje zainteresowanie i jakby z obowiązku zadaje zdawkowe pytania. Wreszcie całkiem popadł w milczenie.

– Nad czym się tak zamyśliłeś? – spytała.

Uniósł głowę i popatrzył na nią takim wzrokiem, jakby zobaczył ducha.

Pewnego jesienno-ranka Conway z okna swego gabinetu obserwował, jak Schlichtmann wychodzi z biura na kolejne przesłuchanie. Ruszył przed siebie i wyszedł na Milk Street prosto pod koła dostawczej furgonetki. Kierowca zahamował gwałtownie i nacisnął klakson, lecz adwokat nawet nie spojrzął w jego kierunku.

– Chodzi jak w transie – mruknął Conway do Kathy Boyer.

Zaczął się zastanawiać, co by było, gdyby Schlichtmann miał wypadek bądź poważnie się rozchorował. On nie miał żadnego doświadczenia procesowego, a Crowley również w żadnej mierze nie mógłby zastąpić Jana.

Zdawał sobie sprawę, że jego uwagi nie trafiają do Schlichtmanna, lecz mimo to ciągle próbował.

– Nie zapominaj, że tylko ty posiadasz całą wiedzę o tej sprawie – powtarzał.

– To prawda – odpowiadał smutno przyjaciel. – Facher rozduśliby mnie jak karalucha, gdyby tylko mógł.

Conway prosił go również, żeby uważał na ulicy, ale Schlichtmann puszczał wszystkie rady mimo uszu.

– Zrozum, że wystarczy nawet silna gorączka, a wszystko weźmie w łeb – tłumaczył, lecz Jan uśmiechał się tylko wyrozumiale.

We wrześniu minęło dziewięć miesięcy pracy nad materiałem dowodowym. Do rozprawy, wyznaczonej na osiemnastego lutego, pozostało niespełna pół roku. Schlichtmann, coraz bardziej przejęty stanem finansów firmy i własnym zdrowiem, musiał już sobie wmawiać, że jeśli tylko dokończy dzieła i doprowadzi do procesu, wszystko będzie dobrze. Dotychczas jego wystąpienia przed sędziami przysięgłymi kończyły się sukcesem.

Musiał zatem przetrwać jeszcze pięć miesięcy, zakładając oczywiście, że nie nastąpi kolejne odroczenie. Tymczasem taka groźba stawała się coraz bardziej realna. Trzeba było jak najszybciej umożliwić Facherowi i Cheesemanowi zapoznanie się z opiniami biegłych, by w ogóle marzyć o rozpoczęciu procesu w terminie. Ale jego eksperci medyczni nie zakończyli jeszcze pracy, a co gorsza, on nie miał nawet

czasu, aby ich przygotować do przesłuchań. Większość nie składała dotąd zeznań pod przysięgą. Jan musiał więc powbić im do głowy, że występowanie w roli biegłego sądowego niekoniecznie podlega wszelkim regułom pracy naukowej, bo przede wszystkim z miejsca dla świadków nie wolno wyrażać żadnych wątpliwości. Musieli zrozumieć, iż obrona będzie się starała skłonić ich do takich wyznań, które później z łatwością dałoby się wykorzystać przeciwko nim.

Na to wszystko brakowało czasu. Mimo nieprzygotowania biegłych Schlichtmann pragnął za wszelką cenę uniknąć kolejnego odroczenia. Dobrze wiedział, że Facher i Cheeseman nie są zainteresowani jak najszybszym rozpoczęciem procesu. Sądził, że będą usiłowali maksymalnie go opóźnić, po cichu licząc na wyczerpanie się funduszy strony skarżącej. Obawiał się ponadto, że każde odroczenie może pociągnąć za sobą następne, a w okresach największego przygnębienia nabierał nawet podejrzeń, że w ogóle może nie dojść do rozprawy.

Tak więc wyraził zgodę na przesłuchanie przez obronę trojga swoich ekspertów. Zawarł jednak ustne porozumienie, że będą to jedynie „wstępne” przesłuchania, dotyczące wyłącznie spraw fachowych, czyli rodzajów przeprowadzonych badań oraz ich wyników. Według niego na tym etapie lekarze nie mogli jeszcze formułować żadnych ogólnych wniosków. Obstawiał, że na to przyjdzie czas podczas drugiej rundy przesłuchań, kiedy lekarze zakończą wszelkie prace.

Później miało się okazać, że to porozumienie było wielkim błędem popełnionym z pośpiechu. Wbrew nadziejom Jana Facher i Cheeseman ani przez chwilę nie zamierzali się trzymać wspólnych ustaleń. Gorączka działań i ciągłe zaniepokojenie sprawiły, że błąd Schlichtmanna spowodował całą serię dalszych pomyłek, co zupełnie wyprowadziło go z równowagi.

– Sądziłem, że zeznania mają się ograniczyć do wykonanych badań – rzekł ostro Schlichtmann Donowi Frederico już pięć minut po rozpoczęciu pierwszego przesłuchania.

Kilka minut później przerwał mu znowu:

– Proszę mnie poprawić, jeśli się mylę, lecz jedynym celem tego spotkania miało być omówienie przeprowadzonych badań lekarskich, umożliwiające zaplanowanie odpowiedniej linii obrony i zaangażowanie własnych biegłych. Wiem, że chciałby pan zadać od razu tysiące pytań, ale będzie pan musiał z tym poczekać. Z konieczności musimy ograniczyć zakres dzisiejszego przesłuchania.

– Panie Schlichtmann – odparł spokojnie Frederico. – Nie jestem pewien, czy wystarczy nam czasu na wysłuchiwanie pańskich przemówień.

– Przede wszystkim nie mamy czasu na te pytania, które wykraczają poza ustalony zakres zeznań.

– Zastrzegam sobie prawo do kwestionowania...

– Może pan sobie zastrzegać, co się panu podoba. Proszę tylko nie wykorzystywać dzisiejszego przesłuchania do takich celów, jakim nie powinno służyć. Niechże się pan skupi na tych cholernych badaniach i ich wynikach, jeśli zamierzacie je wykorzystać do zaplanowania obrony!

– Proszę nie krzyżeć. Chce pan poinstruować świadka, żeby nie udzielał odpowiedzi?

– Nie dam się nabrać na takie gówniane sztuczki!

– Naprawdę nie musimy się obrzucać obelgami – wtrącił jeden z asystentów Cheesemana.

– Nie pozwolę się oskarżyć o utrudnianie przyjmowania zeznań! – cedził Jan. – Zależy wam jedynie na odroczeniu procesu. Chcielibyście poskarżyć się Skinnerowi: „Wysoki Sądzie, Schlichtmann to kawał sukinsyna, ciągle robi nam trudności i dlatego potrzebujemy więcej czasu”. Nic z tego! Nie robię żadnych trudności. Zrezygnowałem z własnych planów, żeby wam pomóc. Zamierzam jednak egzekwować warunki naszego porozumienia. I mówię to z ręką na sercu.

Jakoś udało się przejść przez to pierwsze przesłuchanie, chociaż na dwustu pięćdziesięciu stronach spisanych zeznań znalazło się jeszcze wiele podobnych protestów Schlichtmanna. Ale następnym razem, podczas odpytywania immunologa, Alana Levina, sytuacja jeszcze się zaostrzyła.

– Dałem się nabrać na fałszywe pozory! – wykrzyknął Jan w pewnym momencie. – To jawne nadużycie!

Wielokrotnie groził wyjściem z sali, po czym, jak gdyby nic się nie stało, wszczynał długie dyskusje ze swoim biegłym, zanim w końcu pozwolił mu odpowiedzieć na pytanie obrony. Stanowiło to oczywiście naruszenie przepisów dotyczących procedury składania zeznań, ale Schlichtmann ani trochę się tym nie przejmował. Raz za razem powtarzał, że są to jedynie „wstępne rozmowy”, a nie „regularne przesłuchania”.

– Zanim odpowie pan na to pytanie, chciałbym porozmawiać na osobności – rzekł do Levina. – To bardzo ważna sprawa. Proszę ze mną.

Poderwał się z krzesła i pociągnął lekarza za rękaw w stronę wyjścia.

– Czyżby miał pan kłopoty ze zrozumieniem pytania? – zwrócił się do świadka Marc Temin, współpracownik Cheesemana.

– To ja mam kłopoty ze zrozumieniem pytania – rzucił adwokat, otwierając drzwi na korytarz.

– Panie Schlichtmann, proszę nie wychodzić, kiedy z panem rozmawiam!

– Wyjdę, czy się to wam podoba czy nie! To nie jest regularne przesłuchanie. O wiele spraw będziecie mogli pytać w innym terminie.

– Sprzeciwiam się takiemu stawianiu sprawy!

– I ja także się sprzeciwiam! – dodał Frederico.

– Sprzeciwiajcie się do woli, macie do tego prawo.

Kiedy obaj wrócili do sali konferencyjnej, Temin zapytał:

– Doktorze, czy uzgodnił pan odpowiedź ze swoim prawnikiem?

– Tylko bez takich insynuacji! – huknął Schlichtmann. – Jeszcze jeden podobny komentarz, a natychmiast stąd wyjdziemy! Jasne? Nie mam ochoty na tego rodzaju uwagi w protokole.

– Protokół odzwierciedli wszystko, co się tu dzieje.

– Nic podobnego! – wykrzyknął Jan.

– Panie Schlichtmann, pańskie groźby, ostrzeżenia i podniesiony głos są nie na miejscu.

– Akurat! Nie życzę sobie oskarżeń o niestosowne zachowanie ze strony kogoś takiego jak wy!

– Nie usłyszeliśmy odpowiedzi...

– Nie będzie żadnej odpowiedzi!

– Czy mogę przynajmniej dokończyć to zdanie? Pan Schlichtmann naradzał się ze świadkiem przed udzieleniem przez niego odpowiedzi na moje pytanie. Uważam, że nie ma do tego prawa...

– Nasza krótka narada nie miała nic wspólnego z pańskim pytaniem. Jeśli będzie pan rzucał podobne insynuacje, oskarżę pana o złą wolę, niestosowne zachowanie i brak kwalifikacji do prowadzenia dalszych przesłuchań.

– Może pan według uznania oceniać moje maniery.

– Proszę kontynuować przesłuchanie.

– Protokół wykaże...

– Protokół odzwierciedli wszystko, co zostało tu powiedziane. Proszę kontynuować albo zaraz stąd wyjdziemy. Tylko na waszą prośbę zgodziłem się na to przesłuchanie, jednakże pod pewnymi warunkami. A wy teraz próbujecie je zamienić w coś zupełnie innego. Czuję się urażony. Bardzo żałuję, że nie zawarliśmy porozumienia w obecności sędziego Skinnera, ponieważ teraz trudno mu będzie ocenić, kto tu kłamie, a kto mówi prawdę. Zostałem surowo ukarany za to, że wam zawierzyłem.

Facher nie uczestniczył w pierwszym przesłuchaniu, ale na wyraźną prośbę Frederico przyszedł na drugie. Siedział u szczytu stołu, obserwował to przedstawienie spod przymrużonych powiek, z pogardliwie wydętymi wargami, i nie odzywał się ani jednym słowem. Po godzinie wyszedł z sali.

Tydzień po zakończeniu tej pierwszej tury przesłuchań Skinner wezwał rzeczników obu stron do swego gabinetu. Tuż przed rozpoczęciem posiedzenia Facher wręczył Schlichtmannowi gruby plik dokumentów. Ten przejrzał je pobieżnie i osłupiał. Między innymi znajdował się tam wniosek o udzielenie mu nagany za „ewidentne zakłócanie organizowanych zgodnie z przepisami przesłuchań, bezpodstawne ingerencje w ich przebieg, szafowanie obraźliwymi groźbami(...) oraz konsultowanie ze świadkami odpowiedzi na zadawane pytania”. Do uzasadnienia było dołączonych czterdzieści stron protokołów z podkreślonymi jego uwagami i pogrózkami. Jan poczuł nagłe ukłucie strachu. Ten spisany materiał był dla niego jak przebudzenie po całonocnej hulance, o której chciałoby się jak najszybciej zapomnieć.

Skinner zajął miejsce za stołem sędziowskim i krytycznym wzrokiem obrzucił stertę leżących przed nim papierów.

– Widzę, że wpłynęło dziś sporo nowych wniosków – mruknął z odrazą w głosie. – Wygląda na to, że mamy mnóstwo roboty.

– Część dokumentów to materiał dowodowy – zauważył ostrożnie Schlichtmann.

– Nie będę się przez niego przekopywał. Odeślę go na dół, do sędziego pokoju.

Jan tylko jęknął na wzmiankę o nieprzychylnym mu urzędniku. Mimo wszystko była to dla niego lepsza perspektywa niż surowa nagana Skinnera.

Zabrał głos Facher i dość ogólnie poprosił sędziego, by zechciał od razu rozpatrzyć wnioski obrony.

– O ile dobrze pamiętam, Wysoki Sądzie, powiedział pan: „Przychodźcie z takimi rzeczami bezpośrednio do mnie, bo muszę roztoczyć specjalną opiekę nad tą sprawą” – zakończył.

– Ale w trakcie nabierało mi się dużo innej pracy – odparł sędzia. – Wydłuża się lista oczekujących spraw. Tak więc nie będę mógł sprawować nad wami specjalnej kurateli. Przykro mi, że jej potrzebujecie.

– Mnie również – wtrącił pospiesznie Schlichtmann.

– I mnie także – odrzekł Facher. – Sądzę jednak, że zaczynamy brnąć w ślepy zaułek. Materiał dowodowy jest coraz obszerniejszy i obejmuje coraz więcej zagadnień. Pojawiły się też pewne kwestie formalne, które moim zdaniem powinniśmy od razu omówić.

Skinner westchnął ciężko.

– Odeślę wszystkie wnioski do sędziego pokoju z prośbą, by rozpatrzył je w pierwszej kolejności. Zastrzegam jednak, że nie zamierzam znowu odraczać terminu rozpraw.

– Nam też na tym nie zależy – dodał Jan.

– Powinniśmy rozpocząć proces w lutym – ciągnął Skinner. – Jego dalsze odwlekanie nie przyniesie niczego dobrego.

Schlichtmann szybko zgarnął swoje rzeczy, wyszedł z sali i wcisnął guzik windy. Minęła siedemnasta, urzędnicy sądowi kończyli pracę i na powolne windy starego typu trzeba było długo czekać. Po minucie Jana uderzyło nagle, że Facher nie pojawił się jeszcze na korytarzu. Czyżby prywatnie naradzał się ze Skinnerem? – przemknęło mu przez myśl. Minęła druga minuta. Zaczął nerwowo przestępować z nogi na nogę. Upewniał się z każdą sekundą, że Facher ani chybi pokazuje sędziemu stenogramy z przesłuchań, chcąc go sobie zjednać. W końcu nadjechała winda. Schlichtmann po raz ostatni spojrzął w głąb korytarz i wszedł do środka. Dopiero gdy drzwi się zasuwały, ujrzał obrońcę wychodzącego z sali rozpraw.

Po powrocie do biura opowiedział o wszystkim Conwayowi. Był niemal pewien, że Facher zwrócił uwagę Skinnera na podkreślone fragmenty protokołów, pragnąc na nim wymusić nagane dla niego.

– Facher próbuje nastawić sędziego przeciwko mnie – orzekł.

Conway miał co do tego wątpliwości. Taka prywatna narada z sędzią pod nieobecność drugiej strony byłaby jawnym naruszeniem procedury. Więc nawet jeśli Facher próbował podobnych sztuczek, Skinner powinien się temu ostro przeciwstawić.

– Nie szukaj dziury w całym – odparł.

Następnego ranka zadzwoniła do Schlichtmanna sekretarka Skinnera.

– Sędzia chciałby pana widzieć w swoim gabinecie o piętnastej – przekazała. – Chyba jeszcze nigdy nie widziałam go tak rozszalonego.

– Mój Boże... – jęknął Jan. – Sądziłem, że odeśle wszystkie wczorajsze wnioski do sędziego pokoju.

– Zapoznał się z nimi. A potem zagroził, że wyciągnie wobec pana takie konsekwencje, jakich jeszcze nie stosował przez piętnaście lat pracy w sądzie.

– Mój Boże... – powtórzył Schlichtmann. – Co on zamierza?

– Tego nie wiem, ale na pańskim miejscu przygotowałabym się na najgorsze.

Bez trudu mógł to sobie wyobrazić. Najmniej dotkliwa byłaby nagana i nawet dość wysoka grzywna. Skinner miał jednak do dyspozycji znacznie poważniejsze kary. W ostateczności mógł mu odebrać sprawę i wystąpić do komisji nadzoru palestry z wnioskiem o zawieszenie jego licencji adwokackiej.

Przez całe przedpołudnie Schlichtmann łąził nerwowo po kancelarii, kłął pod nosem i pomstował na cały świat. Około południa skutecznie wmówił sobie, że sędzia na pewno odbierze mu sprawę, zatem cała praca pójdzie na marne, a jego nazwisko okryje się hańbą. Utwierdzał się w przekonaniu, że nie wolno mu się poddać bez walki.

– Dziś już na pewno poleje się krew – powtarzał Conwayowi.

Godzinę przed wyznaczonym terminem wybiegł w biura i pojechał do domu. Ze łzami w oczach przebrał się w swój ulubiony garnitur i zawiązał popielatoszary krawat, który nosił tylko na wyjątkowe okazje. Uważał ten strój za przynoszący szczęście. Właśnie w nim wygłaszał końcową mowę w sprawie Carneya.

– Jest dla mnie jak zbroja chroniąca przed złym losem – mawiał.

Gabinet Skinnera, przestronny i mroczny, zajmował centralne miejsce w długim ciągu połączonych wąskimi korytarzami pomieszczeń sąsiadujących z salą rozpraw. Sędzia większość czasu spędzał jednak w biurach mieszczących się po drugiej stronie głównego korytarza. Dlatego w zakurzonej gabinecie odnosiło się wrażenie, że prawie nikt tu nie zagląda. Przez jedno okno o zmatowiałych szybach wpadała wąska smuga światła słonecznego, przedzierającego się wąskim kanionem między wieżowcami sfłoczonymi przy Milk Street. Pod oknem, na wielkim żeliwnym kaloryferze, stał duży pojemnik z wodą, po której pływał biały osad kamienia. Chyba jedynym elementem pozwalającym scharakteryzować gospodarza były dwie oprawione w ramki, wyblakłe reprodukcje marynistyczne, wiszące na ścianie pomalowanej jak we wszystkich urzędach państwowych na zielono. Pośród sprzętów dominował olbrzymi dębowy stół, wokół którego stało osiem wręcz archaicznych krzesel o tapicerce z końskiego włosia i skórzanych obiciach.

Dla dodania szefowi odwagi z kancelarii przyszła kilkusobowa delegacja. Byli w niej między innymi Conway, Crowley, Kathy Boyer i Peggy Vecchione. Kiedy cała ta grupa wkroczyła do gabinetu, Facher już tam był, siedział na pierwszym z brzegu krześle, wyraźnie przysuniętym bliżej miejsca Skinnera u szczy-

tu stołu. On także miał wsparcie z tyłu. Jacobs, Frederico i jeszcze jeden prawnik usadowili się po jednej stronie. Naprzeciwko nich zasiadali Cheeseman, Marc Temin oraz dwóch ich młodszych kolegów. Dla Schlichtmanna pozostało ostatnie wolne miejsce w najdalszym końcu stołu, jego współpracownicy musieli się rozlokować na składanych krzeselkach. Kiedy tylko usiedli, Facher, który był najwyraźniej w szampańskim humorze, szepnął coś do Jacobsa, który uśmiechnął się szeroko. A Facher zachichotał. Jan popatrzył na nich w milczeniu.

Sędzia wkroczył do gabinetu z marsową miną, widać było, że jest rozwścieczony. Przystanął w pół kroku i powiódł zdumionym spojrzeniem dookoła, z widocznym trudem zadarłszy głowę. Ze zniecierpliwieniem machnął ręką i rzucił:

– Proszę wyjść. Chcę rozmawiać tylko z rzecznikami obu stron.

Przy stole pozostali Facher i Schlichtmann, reszta ruszyła pospiesznie do wyjścia. Kathy Boyer pochyliła się nad szefem i szepnęła mu do ucha kilka słów na pocieszenie. Koledzy Cheesemana przez parę sekund naradzali się szeptem, wreszcie Temin, który prowadził dotychczasowe przesłuchania biegłych, zawrócił i usiadł obok Fachera.

Kiedy drzwi się zamknęły, Skinner popatrzył przez całą długość stołu na Jana i powiedział:

– Muszę pana przywołać do porządku, panie Schlichtmann.

Ten odchrząknął w zakłopotaniu.

– Wysoki Sądzie, jeśli mam dziś zostać powieszony na rei, to wolałbym, aby przebieg tego posiedzenia był protokołowany.

– A może lepiej ściągnąć jeszcze przedstawicieli prasy? – rzucił ironicznie Facher.

– Nie zamierzam tolerować takiego zachowania – rzekł kategorycznie Skinner. – Czytałem wrywki z protokołów. Są tam odrażające rzeczy, z jakimi nigdy dotąd się nie zetknąłem, a pełnię tę funkcję już dość długo. Klnie pan na cały głos, dyktuje świadkom, żeby nie odpowiadali na pytania, albo też naradza się z nimi przed udzieleniem odpowiedzi...

– Wysoki Sądzie, czy wie pan, o co tu chodzi? Chciałbym najpierw wyjaśnić...

– Dokładnie wiem, o co chodzi, panie Schlichtmann! Uniemożliwia pan prowadzenie przesłuchań.

– To nieprawda, Wysoki Sądzie. Uzgodniliśmy wcześniej, że nie będą to regularne przesłuchania... – Jan poczuł się nagle osamotniony, nie chciał prowadzić dyskusji przez całą długość wielkiego stołu konferencyjnego. Dlatego zapytał: – Czy mogę się przesiąść bliżej pana, Wysoki Sądzie?

Zaskoczony Skinner zmarszczył brwi.

– Tak, oczywiście.

Schlichtmann wstał energicznie, rozległ się odgłos rozdieranego materiału. Adwokat obejrzał się i zauważył, że zahaczył połą marynarki o wystający z oparcia krzesła gwóźdź.

– Mój Boże... – jęknął. – To bardzo źle wróży.

Kiedy podniósł głowę, złowił ledwie dostrzegalny uśmiezek na ustach Skinera, który niemal natychmiast ustąpił miejsca poprzedniej groźnej minie.

Usiadł na wolnym krześle obok sędziego i zaczął objaśniać warunki, pod jakimi zgodził się na te wstępne przesłuchania biegłych. Na poparcie swego stanowiska wskazał ustęp protokołu, w którym sam powiedział obrońcom: „Bardzo żałuję, że nie zawarliśmy porozumienia w obecności sędziego Skinnera”.

Jednak sędzia wydawał się niewzruszony.

– Mimo wszystko nie znajduję usprawiedliwienia dla pańskiego zachowania, bez względu na jakiegokolwiek porozumienia między stronami. Nie wolno tak przeklinać w trakcie przesłuchań.

– Rzeczywiście byłem niekulturalny – przyznał Jan, starając się zrobić skruszoną minę. Lecz mimo woli wyrwało mu się: – Miałem jednak ważne powody, by tak postępować.

– Ostrzegam, panie Schlichtmann, że jeśli to się powtórzy, będę zmuszony zareagować tak, iż obaj znajdziemy się na pierwszej stronie „American Lawyer”.

Adwokat pokiwał głową, pokornie spuściwszy wzrok.

– W trakcie następnych przesłuchań ma się pan w ogóle nie odzywać, ani jednym słowem. Wolno panu jedynie wyrażać sprzeciw. Jasne?

– Wysoki Sądzie – wtrącił Facher – i tak nie widzę możliwości kontynuowania przesłuchań, skoro pan Schlichtmann gardzi nami do tego stopnia, że nawet nie chciał razem wsiąść do windy, kiedy jechaliśmy dzisiaj na górę.

Nie kłamał. Kiedy Jan wszedł do gmachu sądu, w holu czekał na niego Conway i reszta delegacji, podczas gdy prawnicy obrony stali przy windzie. I gdy ta przyjechała, Facher z kolegami wszedł do środka, a Conway ruszył w tamtym kierunku, Schlichtmann chwycił go za rękaw i powstrzymał. Przez chwilę obie grupy stały naprzeciwko siebie, mierząc się wzrokiem. Jan patrzył prosto w oczy Facherowi. Wreszcie drzwi się zasunęły i winda ruszyła.

Sędzia zmierzył go teraz krytycznym spojrzeniem.

– Niech pan skończy z tą błazenadą, panie Schlichtmann. Wolałbym, abyście w zgodzie dotrwali do rozprawy.

Ten, nabrawszy przekonania, że sędzia nie wymierzy mu jednak kary, odparł ochotczo, energicznie przytakując ruchem głowy:

– Ma pan całkowitą rację, Wysoki Sądzie. Postaram się załagodzić spory z panem Facherem i panem Teminem. Czy Wysoki Sąd mógłby nam dać kilka minut na osobności w celu omówienia tej kwestii?

Skinner zamyślił się na krótko.

– Owszem, to chyba niezły pomysł – odparł.

Po raz ostatni zmierzył Jana groźnym wzrokiem, po czym wstał i wyszedł z pokoju.

Schlichtmann uznał, że najgorsze ma już za sobą, chociaż uniknął nieszczęścia zaledwie o włos. Ale jego radość mąciło poczucie, że został zdradzony. Spojrzał szybko na Fachera i powiedział:

– Nie dam sobie odebrać tej sprawy. W lutym przedstawimy ją ławie przysięgłych. Teren twojego klienta jest przesiąknięty groźnymi chemikaliami. –

A zwróciwszy się do Temina, który podczas tego posiedzenia nie odezwał się ani jednym słowem, rzekł: – Twój klient będzie musiał zeznawać przed wielką ławą przysięgłych. Jeśli macie nadzieję, że skończą mi się fundusze na dalsze przygotowania, to jesteście w błędzie. Zawarłem ugodę z Unifirst.

– Podejrzywałem, że to się tak skończy – odparł cicho Facher, jakby sam do siebie.

– Mam dość pieniędzy, żeby dotrzeć do rozprawy, i chcę dotrzymać lutowego terminu – ciągnął Schlichtmann. – Więc może zabierzmy się rzetelnie do roboty, bo wcześniej czy później będziemy musieli zasiąść przy wspólnym stole i uzgodnić, czy możliwe jest rozwiązanie ugodowe czy też nie.

4

Od tej pory Facher zwykł nazywać posiedzenie w gabinecie Skinnera mianem „konferencji w drewni”, zapewne przez analogię do rąbania drewna i lecących wiórów. Ilekroć odnosił wrażenie, że Schlichtmann znów przyjmuje wrogą postawę wobec obrony, ostrzegał:

– Chyba nie chcesz, abym przypomniał Wysokiemu Sądowi o ustaleniach spotkania w drewni?

Zaintrygowała go wysokość odszkodowania, jakie Schlichtmann zdołał wywalczyć w ugodzie z Unifirst. Mógł o to zapytać wprost, obawiał się jednak, że zostanie okłamany, wolał więc wykorzystać inne sposoby. Sam fakt zawarcia ugody potraktował jak oznakę, że Schlichtmann w ogóle jest skłonny pertraktować i nie będzie za wszelką cenę dążył do rozprawy. Uważał też, że konferencja w drewni powinna tym bardziej zachęcić go do polubownego wycofania zarzutów przeciwko Beatrice Foods. Natomiast nic go nie obchodził Cheeseman, który powinien się martwić zarówno o siebie, jak i o swojego klienta. Oczywiście, Facher był gotów do daleko idącej współpracy, ale nic poza tym.

Wystarczyła mu jedna krótka rozmowa telefoniczna, aby się dowiedzieć, że Schlichtmann wywalczył od Unifirst milion dolarów. Ta suma także natchnęła go optymizmem. Co prawda powtarzał z dumą, że jeszcze nigdy dotąd nie zgodził się na polubowne milionowe odszkodowanie, ale teraz był gotów iść na ustępstwa, byle tylko wyłączyć Beatrice Foods z tej sprawy. Kilka dni po spotkaniu w drewni zadzwonił po południu do Schlichtmanna.

– Dostałeś już te pieniądze z Unifirst? – zapytał.

– Owszem.

– A nie chciałbyś dostać ich więcej?

Adwokat zaśmiał się głośno.

– Może byśmy się spotkali? – ciągnął Facher. – Mam pewną propozycję.

Schlichtmann zaproponował szybko naradę na gruncie neutralnym, na przykład w sali balowej hotelu „Ritz-Carlton”, z udziałem „czynników decyzyjnych”, a więc przedstawicieli zarządu koncernu oraz towarzystwa ubezpieczeniowego.

Facher odrzucił tę propozycję.

– Niepotrzebnie komplikujesz sprawę. Wolę tradycyjne metody. Przyjdź do mnie, porozmawiamy w spokoju.

Przywitał gościa w okazałej recepcji kancelarii Hale’a i Dorra na dwudziestym czwartym piętrze wieżowca. Było już po dziewiętnastej, w pomieszczeniach panowała cisza. Schlichtmann przyszedł z Conwayem i Gordonem, lecz Facher postanowił to zlekceważyć. Zaprosił wszystkich do swojego gabinetu. Usiadł za biurkiem, przed nim znalazło się miejsce dla obu adwokatów. Gordon musiał przycupnąć w kącie przy drzwiach, obok lodówki, w której Facher gromadził resztki przynoszone z bufetu. W małym, zagraconym pokoju z trudem mieściły się cztery osoby.

– Niektórzy prawnicy wolą obszerne, wspaniale urządzone gabinety, ale ja nie cierpię marnotrawstwa – wyjaśnił i dodał szybko, że wielokrotnie proponowano mu większy pokój, ale on się na to nie godził.

Oprócz imponujących stosów teczek z dokumentami uwagę przyciągały pamiątki baseballowe. W kącie przy wejściu stał poobijany, rozłupany od strony uchwyty kij, którego Facher używał do podpierania drzwi, a na honorowym miejscu pośrodku biurka leżała na podstawce piłeczka z autografami graczy drużyny Red Sox. Obok książek na regale znajdowała się spora kolekcja przedmiotów związanych z prowadzonymi sprawami. Facher nie spieszył się z przystąpieniem do rzeczy, a ponieważ spostrzegł zainteresowanie gości, zaczął tłumaczyć, że ten wielki, wykonany z detalami model wagonu towarowego jest prezentem od kompanii Southern Pacific Railroad, dla której kiedyś wygrał proces. Na ścianach wisiały oprawione dyplomy i fotografie adwokata w towarzystwie prominentnych klientów oraz kolegów z lat studiów. Przyjrzawszy się im, Schlichtmann doszedł do wniosku, że Facher niewiele się zmienił. Na zdjęciach miał tak samo półprzymknięte oczy i lekko wydęte wargi. Za młodu był nieco mocniej zbudowany i miał wyraźnie pełniejszą, bardziej okrągłą twarz niż obecnie. Musiał szczególnie cenić fotografię jednej z dwóch córek, gdyż ta stała wyeksponowana na szafce pod oknem. Jana uderzyło, że kobieta na zdjęciu nie może być wiele młodsza od niego. Uśmiechała się dziwnie tajemniczo.

– Jesteś żonaty? – zapytał z pewnym zdziwieniem, jakby dopiero teraz sobie uzmysłowił, że Facher może mieć rodzinę i prowadzić życie prywatne.

– Nie – odparł gospodarz. – Rozwiodłem się wiele lat temu.

Sięgnął po gumową piłeczkę i podrzucił ją kilka razy. Później obrócił się z krzesłem, zaczął ją odbijać o ścianę i chwycił oburącz z taką ostrożnością, jakby miał do czynienia z jajkiem.

– W ten sposób się odprężam – powiedział, nie przestając odbijać piłki.

Po chwili oznajmił, że dowody przeciwko Beatrice Foods nie są zbyt mocne. Uderzenie piłeczki o ścianę jak gdyby zaakcentowało tę wypowiedź. Stwierdzenie, że w dokumentach nie ma śladu, by w garbarni kiedykolwiek używano trichloroetylenu, zostało zakończone takim samym akcentem. A Riley nigdy nie wyrzucał żadnych odpadów na terenie piętnastoakrowego lasku. Bum! Stał się tak samo ofiarą nocnych śmieciarzy, jak reszta mieszkańców Woburn. Bum!

– Dobrze wiesz, że prowadzisz naciaganą, parszywą sprawę.

Schlichtmann przyznał, że dowody przeciwko Beatrice Foods nie są tak mocne jak przeciwko zakładom Grace’a, odparł jednak z naciskiem, że sprawa w żadnej mierze nie jest „parszywa”, skoro piętnastoakrowy lasek jest silnie skażony trichloroetylenem i innymi związkami.

– Moim zdaniem Riley wywoził odpady na tę działkę i starczy mi jeszcze czasu, żeby znaleźć na to dowody.

– Mimo wszystko nie jestem wcale ci potrzebny – odrzekł Facher. – Masz fabrykę Grace’a z wystarczająco głębokimi kieszeniami. Ja mógłbym ci tylko pomieszać szyki. Daję ci więc teraz dużą szansę pozbycia się mnie raz na zawsze.

Nie przestając odbijać piłki o ścianę, dodał po chwili, że jest w trochę gorszej sytuacji niż kierownictwo Unifirst, ponieważ nie może zaoferować aż tak wysokiego odszkodowania.

Schlichtmann zrozumiał, że Facher jakimś sposobem się dowiedział, ile zapłaciło Unifirst. W dodatku denerwowało go aroganckie, obraźliwe zachowanie gospodarza, traktował każde uderzenie piłeczki o ścianę jak wymierzony mu policzek. Nie mógł jednak dać się wyprowadzić z równowagi. Podstawową zasadą każdych negocjacji było zasypywanie przeciwnika potokiem słów, a on traktował tę rozmowę zaledwie jak wstęp do poważnych dyskusji.

– Nie musimy na razie przytaczać konkretnych liczb – powiedział. – Spotkajmy się wcześniej z ludźmi podejmującymi decyzje.

– Chcesz rozmawiać z tymi, od których zależą decyzje? Proszę bardzo, oto jestem. Chcesz kogoś z samej góry Beatrice Foods? Właśnie siedzi przed tobą. Powiedz tylko, czego żądasz. Podaj rozsądną propozycję, a natychmiast ją przyjmę i będziemy mogli rozstać się w zgodzie.

– Sądzisz, że powinniśmy już teraz urządzić licytację? – mruknął z uśmiechem Schlichtmann. – Nic z tego nie wyjdzie. Potrzebujemy trochę czasu, żeby w spokoju, na neutralnym gruncie przedyskutować parę rzeczy.

Facher jęknął z dezaprobatą.

– Czemu nie chcesz przyprowadzić do mnie swoich klientów? To są właściwi ludzie podejmujący decyzje. Pozwól mi się przekonać, czy równie stanowczo odrzucą propozycję miliona dolarów.

Jan odrzucił ten pomysł. Znaleźli się w impasie. Facher zaczął opowiadać o swoich sukcesach, głośnych sprawach Southern Pacific i Saxon Theatre. Nie nawiązał jednak do sprawy Baltic Birch, którą przed paru laty prowadził na sali sędziego Skinnera i przegrał, a była to jego ostatnia przegrana rozprawa. Po kilku minutach znów poprosił Schlichtmanna o wymienienie konkretnej sumy, ale ten ponownie odmówił.

Facher był coraz bardziej zły.

– Dlaczego nie chcesz podać żadnej liczby, jakiegokolwiek cholernej sumy?! – Wyjął portfel z tylnej kieszeni spodni, wysupłał z niego banknot dwudziestodolarowy, z hukiem położył go na biurku, odchylił się na oparcie i zapytał: – A co byś powiedział, gdybym dodał do tego sześć zer?

Oznaczało to dwadzieścia milionów dolarów.

Jan zaśmiał się krótko, lecz nie odpowiedział.

Tymczasem banknot leżał wyzywająco na biurku tuż pod nosem Conwaya, który siłą się powstrzymywał, by go nie wziąć i schować do kieszeni. Miał przy sobie zaledwie parę dolarów, a i konto bankowe świeciło pustkami. Ta dwudziestka pozwoliłaby mu zjeść obiad. Było już po dwudziestej i Conway odczuwał głód. Nie miał zresztą większych złudzeń, że ta rozmowa do czegokolwiek doprowadzi.

Przed rozstaniem Facher ostrzegł jeszcze:

– Sądysz, że zdołasz ściągnąć te rodziny z Woburn, by ich zeznania wrzuciły wszystkich obecnych na sali sądowej? Myślisz, że doprowadzisz do tego, że przysięgli będą ocierać łzy z twarzy? – Energicznie pokręcił głową. – Nic z tego. Nie uda ci się zrobić sensacji.

Schlichtmann potraktował to jak czczą pogróżkę, ani trochę się nie przejął słowami obrońcy. Facher żadnym sposobem nie mógł zapobiec zeznaniom mieszkańców Woburn po rozpoczęciu procesu.

Jan wyszedł cało z konferencji w drewnitni, lecz ten epizod zasiał w nim ziarno zwątpienia. Czekало go jeszcze mnóstwo pracy, nie mógł więc sobie pozwolić na kolejną wpadkę. Miał zresztą złe przeczucia co do nastawienia sędziego. Odnosił wrażenie, że Skinner darzy Fachera większym szacunkiem, niż on na to zasługuje. Jedno zdanie sędziego, które padło trzy lata wcześniej, w czasie posiedzenia nad wnioskiem o oddalenie pozwu na podstawie paragrafu jedenastego, zapadło Schlichtmannowi głęboko w pamięć: „Pan Facher rozsądził tę kwestię, nie wolno mi jednak dopuścić, by jego osąd zastąpił moją decyzję, choć szczerze mówiąc, bardzo sobie cenię jego zdanie”.

Skinner i Facher należeli do tego samego pokolenia, mniej więcej równocześnie kończyli tę samą uczelnię. Bardzo podobnie traktowali prawo i obaj osiągnęli w swoim fachu w przybliżeniu równie wysokie pozycje. Zdawali się nawet myśleć tak samo. Schlichtmann zwrócił uwagę, że często wpadali sobie wzajemnie w słowo, czasami czuł się tak, jakby podsłuchiwał ich prywatną rozmowę.

– Ci świadkowie nie mają specjalnego znaczenia – powiedział Facher podczas któregoś posiedzenia.

– Właśnie tak mi się wydawało, że nie są nazbyt ważni – odrzekł sędzia.

– W żadnej mierze nie można ich uznać za ważnych.

– W końcu Beatrice Foods to wielki koncern przemysłu spożywczego.

– Owszem. Wytworza Tropicane, LaChoy i wiele innych popularnych produktów.

– A więc ta prowincjonalna garbarnia dostarcza zapewne nie więcej niż jeden procent sumarycznego zysku firmy – podsunął Skinner.

– Z pewnością jej udział jest bardzo mało znaczący – przytaknął Facher.

Schlichtmann już nieraz w milczeniu przysłuchiwał się tego rodzaju wymianie uwag.

– Ci dwaj są jak Tweedledum i Tweedledee* – zwierzał się Conwayowi.

Początkowo go to śmieszyło, teraz jednak stało się powodem do zmartwień. Doskonale wiedział, że nie ma szansy rywalizować z Facherem o względy sędziego, zwłaszcza po konferencji w drewnitni.

* Pogardliwe określenie bardzo podobnie brzmiących utworów, będących wynikiem zaciętej rywalizacji Haendla z włoskim kompozytorem Bononcini (przyj. tłum.).

Charlie wart miliard dolarów

1

Charles Nesson, profesor z harwardzkiego wydziału prawa, poświęcił wiele lat studiom nad charakterem przedstawianych w sądach dowodów i ich wiarygodności. Na uczelni wykładał prawo karne i zasady prezentacji materiału dowodowego. Od pewnego czasu szczególnie interesował się sprawą przydatności obliczeń statystycznych do celów procesowych. Swoim słuchaczom zwykle przybliżał ten problem na podstawie hipotetycznego przypadku, który nazywał sprawą Niebieskiego Autobusu.

Wymyślona przez niego historia była wręcz trywialna. Pan Smith pewnego dnia po zmroku wracał samochodem do domu, gdy nagle zauważył światła pojazdu pędzącego z naprzeciwka środkiem szosy. Pragnąc uniknąć kolizji, zjechał na pobocze i uderzył w drzewo. W ciemnościach zauważył jedynie, że musiał uciekać przed autobusem. Po wyjściu ze szpitala dowiedział się, że osiemdziesiąt procent połączeń na trasie, którą jechał, obsługuje firma przewozowa Niebieski Autobus. Wystąpił więc z pozwem do sądu, domagając się od tego przedsiębiorstwa odszkodowania. W trakcie rozprawy udowodnił poznane wcześniej fakty, przyznał jednak szczerze, iż po ciemku nie zdołał zauważyć koloru autobusu, który zepchnął go z drogi.

Czy na podstawie tych dowodów pan Smith może wygrać proces? – pytał Nesson studentów.

Gdyby była to sprawa kryminalna, w której prokurator musi niepodważalnie wykazać winę oskarżonego, pan Smith nie miałby co liczyć na wygraną. W końcu pozostawało dwadzieścia procent możliwości, że pirat drogowy nie pracował w firmie Niebieski Autobus. Chodziło jednak o sprawę cywilną, której głównym zadaniem jest ocena kwestii spornych i nie trzeba aż tak niezbitych dowodów na poparcie zarzutów powoda. Pan Smith musiałby zatem wykazać, że prawdopodobieństwo winy wynosi powyżej pięćdziesięciu jeden procent. Wedłuch takich kryteriów należałoby sądzić, że powinien wygrać sprawę.

Nesson twierdził jednak, że w tym wypadku przyznanie powodowi odszkodowania byłoby olbrzymim błędem. „W tego rodzaju sprawach – pisał w „Harvard

Law Review” – powinien zapaść wyrok na korzyść pozwanego, jeśli w ogóle doszłoby do rozprawy”. Bez naocznego świadka zdarzenia czy jakiegokolwiek dowodu, na przykład śladów niebieskiego lakieru na karoserii rozbitego samochodu pana Smitha, trudno byłoby przekonać sędziów przysięgłych o winie pozwanego. Ci mogliby, oczywiście, uznać odpowiedzialność firmy Niebieski Autobus na podstawie poszlak, nie powinni jednak wyrokować odszkodowania na rzecz powoda. Bo poszlaki, nawet najsilniejsze, nie mają żadnej mocy prawnej, tłumaczył Nesson, a więc wcześniej czy później zarówno opinia publiczna, jak i wymiar sprawiedliwości musiałyby uznać wydany na ich podstawie wyrok za niedopuszczalny.

Dalej pisał: „Każdy proces sądowy jest swoistym dramatem moralizatorskim, który publiczność uważnie śledzi. Rozprawy to dla społeczeństwa nie tylko sposób na wykrycie prawdy o minionych zdarzeniach, lecz także metoda utrwalania związków między przestępstwem i karą, złem i odpowiedzialnością”. Wyroki sądowe powinny więc umacniać społeczny system wartości i pełnić funkcję odstraszającą dla osób łamiących ustalone prawa. Co za tym idzie, publiczność musi zachować wiarę, że podstawą wyroków ferowanych przez przysięgłych jest prawda o zdarzeniach, a nie tylko rachunek prawdopodobieństwa. Gdyby ta wiara przestała istnieć, społeczeństwo oparte na systemie prawnym szybko pogrążyłoby się w anarchii. Wpływał stąd wniosek, że wyrok niekorzystny dla firmy Niebieski Autobus byłby niczym innym, jak krokiem ku anarchii.

Sędzia Skinner, który był stałym czytelnikiem popularnego „Law Review” wydawanego przez jego macierzystą uczelnię, od razu dostrzegł pewne analogie między sprawą Woburn a hipotetycznym przypadkiem Niebieskiego Autobusu.

Dwa tygodnie po konferencji w drewnutni prawnicy spotkali się na kolejnym posiedzeniu. Za wysokimi oknami sali rozpraw chylące się ku zachodowi słońce zatapiało miasto w złotawej poświacie. To typowo jesienne oświetlenie przypominało Schlichtmannowi, jak mało czasu zostało już do rozpoczęcia procesu i jak wiele pracy miał jeszcze do zrobienia.

– Mam pytanie dotyczące tej sprawy – odezwał się Skinner, kiedy omówione zostały zagadnienia będące przedmiotem spotkania. – Nabrałem wątpliwości po przeczytaniu artykułu profesora Nessona z harwardzkiego wydziału prawa, omawiającego wykorzystanie obliczeń statystycznych w materiale dowodowym. Panie Schlichtmann, chyba powinien pan wyjaśnić nam pewne aspekty swojej sprawy.

Jan wstał powoli z krzesła, odczuwając narastający niepokój, jak uczniak wyrwany do tablicy.

– Moje pytanie wiąże się z samą rozprawą – ciągnął sędzia. – Dotarło do mnie, że być może będzie chciał pan dowieść stawianych zarzutów na podstawie analiz statystycznych, które wykazują niktę prawdopodobieństwo wystąpienia tak wielu przypadków choroby na tak małym obszarze. Rodzi się więc pytanie, czy materiał, sam w sobie niewystarczający do wydania wyroku, pragnie pan uwiarygodnić przez powołanie biegłego, który powie sędziom przysięgłym: „Jestem ekspertem w tym zakresie i wierzę w takie przyczyny powstania ogniska zachoro-

wań”. Jeśli na tym ma się opierać pańskie wystąpienie, chciałbym wcześniej zostać wprowadzony w jego szczegóły.

Schlichtmann ani nie znał profesora Nessona, ani nie czytał artykułu w „Law Review”, domyślił się jednak, że Skinnerowi chodzi o zakres wykorzystania Studium Harwardzkiego. Co rozumiałe, chciał zacytować jego wyniki podczas rozprawy, uważał je za znaczący element materiału dowodowego, nie ludzi się jednak, że sędzia ceni je tak samo wysoko jak on. W dodatku zupełnie nie był przygotowany do rozmowy na ten temat, postanowił więc bardzo uważać na każde swoje słowo. Rozmyślał, jak odpowiedzieć na nieoczekiwane pytanie, gdy sędzia powtórzył:

- Chcę wiedzieć, czy dane statystyczne będą wykorzystane w rozprawie.
- Co rozumiałe... – zaczął niepewnie Jan, ale zaraz zmienił zdanie i kontynuował: – Zamierzam dowieść swoich racji na podstawie badań lekarskich, Wysoki Sądzie.

Mało brakowało, żeby powiedział: tak, oczywiście, Studium Harwardzkie powinno odegrać znaczącą rolę podczas procesu. Na szczęście ugryzł się w język i postanowił skierować uwagę Skinnera na ten materiał, który nie budził większych wątpliwości – rezultaty prac Feldmana i Colvina, wyniki badań kardiologicznych oraz inne choroby nękające w przeszłości rodziny z Woburn.

Sędzia uznał odpowiedź za wymijającą.

- Chciałbym wiedzieć konkretnie, czy zamierza pan wykorzystać...
- Dane statystyczne nie posłużą mi do udowodnienia zarzutów – przerwał mu Schlichtmann.
- W porządku, na razie moje wątpliwości zostały rozwiane.
- Mogę tylko dodać, że statystyki epidemiologiczne powinny odegrać w tej sprawie znaczącą rolę.

Facher nie uczestniczył w posiedzeniu, obronę reprezentowali Cheeseman i Jacobs. Ten ostatni wstał szybko i powiedział:

- Chyba trzeba zapytać wprost, Wysoki Sądzie, czy do materiału dowodowego zostanie włączone Studium Harwardzkie, oparte wyłącznie na analizie statystycznej. Na podstawie wypowiedzi pana Schlichtmanna trudno wyciągać konkretne wnioski w tym zakresie.

Wstał również Cheeseman.

- Wysoki Sądzie, oczekujemy zakwestionowania wartości tego studium.

Ale Skinner także podniósł się już zza stołu prezydialnego. Było późno, a on przedtem przewodniczył innej rozprawie.

- Nie zaprosiłem panów na dyskusję przedprocesową – odparł, zwracając się do Cheesemana. – Chciałem się tylko dowiedzieć, czy w tej sprawie moje wątpliwości są uzasadnione i czy będę się miał czym martwić.

2

Po wyjściu z sali Schlichtmann poczuł się wycieńczony. Już wcześniej podejrzewał, że Cheeseman i Jacobs podadzą w wątpliwość rezultaty Studium Harwardz-

kiego, a Skinner weźmie ich stronę. Sporządzenie pisemnego uzasadnienia, które mogłoby wpłynąć na zdanie sędziego, zajęłoby mnóstwo czasu. A wobec takiej perspektywy odczuł jeszcze silniejsze zmęczenie, jakby miał za sobą nieprzespaną noc. Najpierw powinien się zająć setkami innych rzeczy, chociażby doglądaniem prac terenowych w Woburn, przygotowywaniem biegłych do przesłuchań czy pisaniem odpowiedzi na wystąpienia obrony. Co więcej, jeszcze w tym tygodniu miała się rozpocząć druga runda składania zeznań przez powodów.

Nie mógł zrezygnować z uczestnictwa w przesłuchaniach, musiał bronić swoich klientów. Na pytania obrony w sumie odpowiadało aż dziewiętnaście osób – wszyscy dorośli i pięcioro najstarszych dzieci – a niektóre rozmowy trwały nawet cały dzień. Facher, Cheeseman i ich współpracownicy przez trzy tygodnie maglowali mieszkańców Woburn głównie na temat stosowania w ich domach setek produktów codziennego użytku, proszków do prania i płynów do mycia naczyń, szamponów, lakierów i zmywaczy do paznokci, środków owadobójczych, farb, nawozów sztucznych, leków antygorączkowych, syropów od kaszlu, herbat ziołowych, kawy, a nawet masła orzechowego.

Dla Schlichtmanna ta strategia była oczywista, ponieważ każdy z omawianych produktów zawierał takie czy inne substancje kancerogenne. Na przykład masło orzechowe znajdowało się bardzo wysoko na liście wyrobów rakotwórczych, tuż za papierosami, gdyż były w nim obecne śladowe ilości aflatoksyny B1, naturalnego karcynogenu powodującego raka wątroby, wytwarzanego przez pleśń atakującą orzechy. Nie było więc żadną tajemnicą, że Facher i Cheeseman będą chcieli wykazać przysięgłym, że skoro przyczyny białaczki pozostają nieznane medycynie, to oprócz skażonej wody pitnej mogły ją równie dobrze wywołać setki produktów używanych w domach rodzin z Woburn.

– Czy jada pani masło orzechowe? – zapytał Anne Anderson jeden ze współpracowników Fachera.

– Nie.

– A czy kiedykolwiek je pani jadła?

– Chyba każdy choć raz go próbował – odparła Anne. – Ja także, nie używam go jednak na co dzień.

– A pani dzieci jadały masło orzechowe?

– Mieliśmy jedno opakowanie w lodówce, ale ponieważ leżało tam dosyć długo, więc i dzieci nie przepadały za tym masłem.

– Jakiego było rodzaju, zwykłe czy utwardzone?

– Zwykłe, do pieczywa.

– I robiła pani z nim kanapki dla dzieci?

– Owszem, czasami, ale rzadko.

– Co to znaczy? Każde z dzieci zjadało jedną czy dwie kanapki z masłem orzechowym tygodniowo?

Schlichtmann słuchał tego typu rozmów godzinami, bez przerwy myśląc o innych, pilniejszych rzeczach do zrobienia. Miał świeżo w pamięci konferencję w drewni, zachowywał się więc powściągliwie. Tylko niekiedy nie mógł się już opanować.

– Jest już siedemnasta – mówił stanowczo. – Tracą panowie tylko czas na te śmieszne pytania. Świadek jest zmęczony, ja także. Nalegam, aby to przesłuchanie zakończyło się najpóźniej za godzinę.

Jego prośby pozostawały jednak bez echa. Czy jadają państwo bekon? – pytał dalej obrońca innego klienta Jana (w bekonie występuje rakotwórcza dimetylonitrozoamina). Jak często? Po ile plasterków? Obsmażacie bekon czy jecie go na surowo? Macie patelnię teflonowaną? (teflon robi się z żywicy zawierającej akrylonitryl, także karcynogen). Jak często jej używacie? Kupujecie gumę do żucia bez cukru? (sacharyna działa rakotwórczo na myszy). Jak często? Korzystacie z samoobsługowych stacji benzynowych? (benzen działa leukemogenicznie). Jak często się kąpicie? Macie zasłonkę prysznicową z tworzywa sztucznego? (chlorrek winylu powoduje raka wątroby). Czy mieliście kiedyś w domu kota? (U kotów białaczkę wywołuje wirus). Pijacie piwo? (znowu nitrozoaminy). Używacie dezodorantów? (chlorowodorki związków glinu).

– Oczywiście – odpowiedziała Mary Toomey z ironicznym uśmiechem. – Od czasu, kiedy skończyłam osiemnaście lat, codziennie używam dezodorantu.

Roland Gamache był już bliski śmierci, kiedy przyjechał na drugie przesłuchanie, chociaż oboje z żoną utrzymywali to w sekrecie. Prawnicy znali jednak prawdę. Na początku października Roland osłabł do tego stopnia, że nie mógł wstawać z łóżka. Analiza wykazała, iż jego szpik kostny w ogóle przestał wytwarzać czerwone krwinki, a w rezultacie każda komórka jego ciała dusiła się z powodu niedoboru tlenu. Po transfuzji krwi i silnych lekach poczuł się jednak na tyle dobrze, aby przyjechać do Bostonu na przesłuchanie.

– Ostatnie trzy miesiące były dla mnie bardzo trudne – powiedział przepytującemu go współpracownikowi Cheesemana.

– Czy może pan z żoną mówić otwarcie o zaistniałej sytuacji?

– Jej przychodzi to z trudem, z wielkim trudem – odparł Roland. – Ilekroć zaczynamy rozmawiać o mojej chorobie, wybucha płaczem.

Tydzień później, w piątek po południu, Schlichtmann wyszedł wcześniej z biura i zajął do mieszczącego się na parterze baru Pattena. Zamówił podwójną szklarkę i usiadł przy wolnym stoliku za przepierzeniem, w kącie sali. Ledwie zdążył skończyć whisky i zamówić drugą porcję, gdy w barze zjawił się jego przyjaciel, Tom Kiley, także adwokat specjalizujący się w sprawach cywilnych. Poznali się sześć lat wcześniej w sądzie okręgu Essex, kiedy rozpoczynał się proces w sprawie Eatona. Po ogłoszeniu wyroku Kiley złożył mu przez telefon serdeczne gratulacje. Od tamtej pory nawiązała się między nimi przyjaźń, a najczęściej spotykali się właśnie w piątkowe popołudnia w tym barze.

Schlichtmann bardzo sobie cenił rady Kileya, mimo że ten hołdował zupełnie innym metodom prowadzenia spraw. Czuł się bezpiecznie dopiero wtedy, gdy na półce w jego gabinecie oczekiwało co najmniej dziesięć teczek z aktami, choć zazwyczaj dotyczyły one spraw drobnych i niezbyt skomplikowanych. Kiley określał je mianem „chleba z masłem”, bo pozwalały mu zarobić na życie. Miał jed-

nak na koncie kilka spraw dużych i złożonych, głównie dotyczących uchyleń w sztuce lekarskiej, był też bardzo ambitny, lecz prowadził skromną kancelarię, w której zatrudniał tylko dwóch aplikantów.

– Chyba przelicza nawet ołówki na biurku pod koniec każdego dnia pracy – powiedział o nim kiedyś Jan.

A Kiley, śledząc z niedowierzaniem, jak Schlichtmann w sprawie Carneya kładzie na szali prawdziwą fortunę, wyznał:

– Każdej nocy budzę się około drugiej złany potem.

Co zrozumiałe, darzył przyjaciela olbrzymim szacunkiem za sprawę Woburn, której on pod żadnym pozorem by się nie podjął.

Podczas spotkań w barze Pattena utwierdzał się tylko w tym przekonaniu, obserwując zmienne nastroje Schlichtmanna. Zwłaszcza tego dnia kolega wydawał się szczególnie blady i zasepiony, jak człowiek na krawędzi załamania nerwowego.

– Czuję się, jakbym tonął – rzekł Jan. – Za głęboko wszedłem w tę sprawę, utraciłem nad nią kontrolę i to mnie przeraża.

Następnie opowiedział o konferencji w drewni i ostatnim posiedzeniu, na którym ważyły się losy wykluczenia Studium Harwardzkiego z materiału dowodowego. Powiedział otwarcie, że czuje się przytłoczony przez dwie potężne kancelarie (bo zarówno Facher, jak i Cheeseman wyznaczili obecnie do pracy nad sprawą Woburn dziesiątki prawników), które zalewają go prawdziwym potopem dokumentów, wciąż stawiają nowe żądania i kierują ataki wymierzone osobiście przeciwko niemu. W dodatku nikt z biura sędziego nie darzy go specjalnym szacunkiem, a i Skinner wydaje się brać stronę obrońców.

Kiley nie wątpił w ani jedno jego słowo. Sam starał się unikać sądów federalnych, jego zdaniem znacznie mniej czułych na sprawy dotyczące uszkodzeń ciała niż sądy stanowe. Próbował jednak pocieszać przyjaciela.

– Weź się w garść – powiedział. – Wszystkiemu podołasz, tylko nie próbuj tego robić sam. Powinieneś znaleźć sobie kogoś do pomocy.

Zaproponował nawet swoje usługi. Wiodło mu się całkiem nieźle i mógł poświęcić trochę czasu sprawie Woburn. Później jednak podsunął myśl, że byłoby najlepiej, gdyby Jan wynajął jakiegoś profesora, kogoś, kto mógłby służyć mu radą we wszystkich aspektach prawnych i kto bez trudu znalazłby sposób na przeformowanie Studium Harwardzkiego w materiale dowodowym.

– Przeznacz na ten cel trzydzieści lub czterdzieści tysięcy dolarów – podpowiedział. – Skoro wydałeś już milion, to co znaczy dodatkowych trzydzieści tysięcy?

Kiley wymienił nawet nazwisko profesora z Suffolk, który mógłby się zainteresować tą sprawą, a Schlichtmann zapisał je na serwetce. Po kilku minutach dalszej rozmowy wyraźnie się ożywił. To była wspaniała rada! Gdyby podczas procesu u jego boku zasiadał ktoś utytułowany, typowa szara eminencja światka prawniczego, z pewnością zdobyłby należyty respekt sędziego i sprawił, że racje strony powodowej zostaną do końca wysłuchane z uwagą. Zaczęły padać kolejne nazwiska i wkrótce powstała lista prawie dziesięciu profesorów z trzech uniwersytetów, Suffolk, Northeastern i bostońskiego.

Obaj siedzieli nad tym spisem, gdy do baru weszła Rikki Klieman. Nie widywała zbyt często Schlichtmanna od czasu rozprawy Carneya, a rozmawiała z nim ostatnio tamtego ranka, gdy zadzwonił do niej targany poważnymi wątpliwościami. W niczym nie zmieniło to jednak jej nastawienia, wciąż była przekonana, że są dla siebie przeznaczeni. Wraciała prosto z sądu, gdzie broniła klienta oskarżonego o przemyt narkotyków na pokładzie łodzi rybackiej. Miała na sobie szarą garsonkę klasycznego kroju, ze spódnicą do kolan, naszyjnik z pereł i złote kolczyki.

Specjalnie zajrzała do baru Pattena, mając nadzieję, że uda jej się namówić Schlichtmanna, by pojechał z nią do Portoryko na Konferencję Sądów Objazdowych. Co prawda uczestnicy zjazdu musieli mieć imienne zaproszenia, lecz jego lokalizacja w słynącym ze złocistych plaż San Juan sugerowała, że ważniejszy od obrad będzie wypoczynek. Ponadto Rikki wiedziała już, że po raz pierwszy wysłano jej zaproszenie na wniosek sędziego Skinnera, gdyż po zrobieniu dyplomu pracowała przez jakiś czas w jego biurze. Od tamtej pory dostawała je regularnie, jakby zaliczono ją do grona bogatych i wpływowych właścicieli największych kancelarii adwokackich. Wolni strzelcy, zwłaszcza tacy jak Schlichtmann, określani pogardliwym mianem „psów ganiających za karetkami pogotowia”, rzadko bywali zapraszani na jakiegokolwiek konferencje. W tym roku jednak i on, po raz pierwszy, otrzymał pocztą zaproszenie.

Rikki przez cały tydzień usiłowała go namówić na wyjazd. Wiedziała dobrze, że wciąż jest związany z Teresą, przeczuwała jednak, iż nie będzie to trwało wiecznie.

– Pomyślałam wtedy, że mam niepowtarzalną szansę, by spędzić jakiś czas sam na sam z Janem – wyznała później z uśmiechem.

Tak więc Kiley i Schlichtmann wciąż dyskutowali nad profesorskimi kandydaturami, kiedy dosiadła się do nich Rikki. Przez chwilę przysłuchiwała się rozmowie, po czym wysunęła propozycję, która bardzo przypadła Janowi do gustu, a jednocześnie stała się argumentem przemawiającym za jego udziałem w konferencji.

– Nie pomyślałeś jeszcze o Charlie’em Nessonie? – zapytała. – Będzie wygłaszał referat w Portoryko.

Schlichtmann popatrzył na nią ze zdziwieniem.

– Na ostatnim posiedzeniu Skinner wymienił to nazwisko. Znasz Nessona?

– Tak, i to od lat.

Okazało się, że harwardzki kurs dla adwokatów procesowych, na którym Rikki co roku w styczniu wykladała, został włączony do programu nauczania właśnie przez Nessona. Nie dość tego, zaledwie parę dni wcześniej była razem z nim i kolegami przyjaciół na obiedzie.

– Pojeżdż ze mną do Portoryko. Przedstawię was sobie – powiedziała.

Schlichtmann początkowo uznał to za dający do myślenia zbieg okoliczności, lecz po namyśle doszedł do wniosku, że jest to bardziej kwestia przeznaczenia. Wkrótce zaś nie miał już żadnych wątpliwości, że profesora Nessona, którego artykuły Skinner cytował na posiedzeniach, musiała mu zesała sama opatrzność.

3

Rikki Klieman przyjechała do San Juan w następny piątek, 1 listopada. Nazajutrz od rana wypoczywała na plaży, ale od czasu do czasu zaglądała do recepcji hotelu „Dupont”, żeby sprawdzić, czy Jan jeszcze nie przyleciał. I kiedy dotarł na miejsce wczesnym popołudniem, powitała go w holu. Zamarła jednak na widok czarnej skórzaney walizki, którą boy wtoczył za Schlichtmannem na wózek. Była tak wypchana papierami, że zamki ledwie trzymały. Znajdowało się w niej chyba więcej dokumentów, niż nawet zainteresowana osoba mogłaby przeczytać przez miesiąc.

Zdołała namówić Jana, żeby poszedł z nią na plażę, ale i tam wzięła ze sobą torbę wyładowaną sprawozdaniami.

– Wszędzie taszczył ze sobą bagaż – wspominała później – a do tego miał strasznie zbolałą minę.

Ułożyła się na słońcu i słuchała jednym uchem jego opowieści o prowadzonej sprawie. Na plaży byli niemal wyłącznie prawnicy z małżonkami, znani adwokaci z wielkich firm, prokuratorzy federalni, a przede wszystkim sędziowie różnego szczebla, ze stanowych sądów najwyższych, apelacyjnych i okręgowych. A wszyscy mieli podobnie bladą cerę.

Schlichtmann począł zamęczać Rikki na temat spotkania z Nessonem. Już wcześniej sprawdził, że profesor jeszcze nie przyjechał. Wieczorem udali się razem na przyjęcie zorganizowane w Starym Forcie, gdzie Jan zaczął sączyć jednego drinka za drugim i bez przerwy rozglądać się za Nessonem. Natknęli się na jednego ze wspólników kancelarii Hale’a i Dorra, który zdążył już skosztować rumu, potraktował więc Schlichtmanna nadzwyczaj serdecznie. Oznajmił, że sprawa Woburn to znakomita „odskocznia do kariery”, która bez wątpienia przyniesie mu sławę i bogactwo.

– Pan żartuje?! – wykrzyknął Jan.

Przez następne pół godziny opowiadał szefowi Fachera ze szczegółami o złożoności sprawy. Rikki w końcu ich zostawiła i poszła szukać ciekawszego towarzystwa. Nie spotkała się już ze Schlichtmannem tego wieczoru i sama wróciła do hotelu.

Obudziła się wczesnym rankiem i poszła na plażę, żeby się poopalać. Jej nadzieje na nawiązanie romansu spełzały na niczym, przeczuwała jednak, że winna temu jest wyłącznie sprawa Woburn, która pochłaniała Jana bez reszty. Rikki doskonale to rozumiała. Ostatnie dziesięć lat sama poświęciła jedynie swojej karierze. Postanowiła jednak nie rezygnować. Musiała się tylko uzbroić w cierpliwość.

Zgodnie z programem Nesson miał wygłosić referat przed lunchem, a Rikki bardzo chciała go wysłuchać. Była osobiście zainteresowana tematem, możliwością konfiskaty mienia przemytników narkotyków przez władze federalne. Ale żał jej było słońca, więc zwinęła się z plaży dopiero przed samym wykładem. Narzuciła na kostium kąpielowy lekką bluzkę oraz spódnicę i zajęła miejsce w jednym z ostatnich rzędów. Kiedy tylko profesor skończył mówić, Schlichtmann usiadł obok niej.

- Idź i porozmawiaj z nim, jak odpowie na pytania – szepnął.
- Nie teraz. Musiałabym się przebrać.
- Po co? Wyglądasz wspaniale.
- Trochę cierpliwości! – syknęła, ale zaraz wyszła z sali.

Schlichtmann ruszył w stronę podium, gdzie Nesson stał w licznej gromadzie zainteresowanych, pogrążony w dyskusji ze starszym sędzią federalnym, Charlesem Wyzanskim. Dobiał pięćdziesiątki, był szczupłej budowy i odznaczał się wodnistą, pergaminową cerą. Miał błyszczące ciemnobrązowe oczy i gęste krzaczaste brwi. Ciemnoblonde włosy, nieco za długie, zakrywające uszy i opadające na kark, były dość gęsto poprządkane siwizną. Jan precyzyjnie przesunął się między słuchaczami i stanął tuż za profesorem. Nie mógł się doczekać przerwy w rozmowie, chciał wykorzystać pierwszą okazję do zakończenia tej dyskusji, dotyczącej jakiejś skomplikowanej, wielowątkowej sprawy. Spoglądał uważnie na Nessona, który słuchał relacji sędziego w takim skupieniu, że przypominał mistrza zen. Kiedy wreszcie opowieść dobiegła końca, Jan bezceremonialnie wyciągnął rękę i przedstawił się Nessonowi.

– Prowadzę bardzo złożoną sprawę, zapewne słyszał pan o niej – powiedział.

Profesor wcześniej zwrócił uwagę na tego młodego adwokata, o głowę przerastającego pozostałych, który z pełną skupienia miną przeciskał się w jego stronę. Od razu przyszło mu na myśl, że to mało doświadczony członek palestry szukający bezpłatnej porady. Odbierał wysokie honoraria za wystąpienia na konferencjach, nikt mu jednak nie płacił za udzielanie rad po zakończeniu każdego referatu. A w ciągu dziewiętnastu lat pracy na Harvardzie Nesson uczestniczył w tylu zjazdach, że zdążył dogłębnie znienawidzić tego rodzaju sepy. Ucisnął więc dłoń Schlichtmanna i rzekł uprzejmie:

– Pozwoli pan, że przedstawię sędziego Wyzanskiego.

Odwrócił się pospiesznie i ruszył do wyjścia. Sędzia zaczął coś mówić do Jana, ale ten go zlekceważył i rzucił się w pościg za Nessonem.

– Chce pan mojej rady? – rzucił profesor, kiedy się zrównali.

Schlichtmann gorliwie przytaknął.

– Niech pan się nigdy nie odwraca plecami do sędziego federalnego.

Skręcił w bok i po chwili zniknął w tłumie.

Kiedy Rikki wróciła na salę obrad, wykapana, w eleganckim stroju, Jan miał się jak oszalały. Na popołudnie zarezerwował już miejsce w samolocie do Bostonu.

– Na nic nie mam czasu! – syknął ze złością.

Poleciła mu zająć stolik w jadalni i ruszyła na poszukiwanie Nessona. Spozstrzegła go w korytarzu, w otoczeniu kilku sędziów i adwokatów. Podeszła bliżej, pociągnęła go za rękaw i poprosiła:

– Charlie, zjedz ze mną lunch. Chcę ci kogoś przedstawić.

Prowadząc Nessona z powrotem przez salę konferencyjną, z daleka zauważyła Schlichtmanna stojącego przy wolnym stoliku i rozglądającego się uważnie. Poczuli się jak swatka i ta myśl ją rozbawiła. Jednocześnie była trochę zdenerwowana. Niepokoiło ją, że Jan w swoim zapale może całkowicie zniechęcić Nessona.

Przedstawiła ich sobie. Profesor uśmiechnął się ironicznie i rzekł:

– Już się poznaliśmy.

Kiedy zajęli miejsca przy stoliku, Rikki pochyliła się w stronę Schlichtmanna i nakazała:

– Siedz spokojnie i pozwól mi mówić.

Zdołał się na tyle opanować, że Klieman bez przeszkód opisała sprawę Woburn Nessonowi, który wysłuchał jej w milczeniu. Kiedy Jan wspominał o kontrowersyjnym Studium Harwardzkim, profesor odparł, że czytał o nim w gazetach. Tymczasem kelnerzy zaczęli zbierać talerze, a porcja Schlichtmanna wciąż była prawie nietknięta. Na deser podano ciasto z galaretką cytrynową. Kiedy Jan zaczął uzupełniać relację Rikki, ona zwróciła uwagę, że Nesson w zamyśleniu wycina widelczykiem fantazyjne kształty w galaretkę. Nie wziął nawet jednego kawałka do ust. Trudno było jednak ocenić, czy jest tak skoncentrowany na opowieści Schlichtmanna czy też dogłębnie znudzony.

Gdy po lunchu wrócili na salę, przewodniczący konferencji przedstawiał właśnie swojego słynnego kolegę z Harvardu, Arthura Millera. Schlichtmann szybko podjął przerwany monolog. Miller przystąpił do wygłaszania referatu, a Jan nie milkł nawet na chwilę. Urwał dopiero wtedy, gdy Rikki położyła mu dłoń na ramieniu.

Siedział zaszępiony aż do końca wykładu, którego chyba w ogóle nie słuchał. Kiedy tylko Miller skończył i rozległy się oklaski, Schlichtmann natychmiast zaczął mówić dalej. Niemal w tej samej chwili Nesson wstał, przeprosił go i wyjaśnił, że na popołudnie umówił się z przyjaciółmi na zwiedzanie starego miasta.

– Rzeczywiście ma pan interesującą sprawę – dodał.

– Czy moglibyśmy porozmawiać jeszcze pod koniec dnia?

Profesor uśmiechnął się pobłażliwie i wzruszył ramionami.

– Dziś wieczorem wracam już do Bostonu.

– Ja również! – wykrzyknął Jan. – W takim razie porozmawiamy w samolocie. Nesson tylko skinął głową na pożegnanie i odszedł.

– Jan, przynajmniej w samolocie daj mu spokój – powiedziała Rikki. – Niech sobie to wszystko przemyśli. Proszę cię. Obiecuję, że nie będziesz natrętny.

Dziesięć minut po starcie Schlichtmann przeszedł do klasy turystycznej i odszukał Nessona. Przyniósł dwa grube opracowania, własne streszczenie zgromadzonego dotychczas materiału dowodowego i kopię raportu końcowego Studium Harwardzkiego.

– Obok mnie w pierwszej klasie jest wolne miejsce – powiedział. – Gdyby zechciał się pan przesiąść, moglibyśmy porozmawiać.

Profesor pokręcił głową.

– Dziękuję, tu mi wygodnie – odparł lodowatym tonem.

Jan bezceremonialnie położył mu maszynopisy na kolanach. Dotarło do niego, że nic więcej nie wskóra, że zrobił nawet więcej niż powinien, toteż odszedł bez słowa.

Nesson wykładał na Harvardzie od dziewiętnastu lat. Już jako sześciolatek wbił sobie do głowy, że zostanie prawnikiem. Po ukończeniu Harvard College rozpoczął wstępne studia na wydziale matematyki, nie mogąc się doczekać chwili, gdy będzie mógł wybrać ulubioną specjalność. A że przedmioty ściśle go nudziły, uzyskiwał przeciętne oceny. Już na pierwszym roku stanął przed komisją kwalifikacyjną wydziału prawa i zdobywszy prawie maksymalną notę, szybko złożył podanie o przedterminowe przyjęcie na studia. Przeżył szok, gdy zostało odrzucone. Zapisał się więc na rozmowę z dziekanem, lecz przeżył kolejny szok, kiedy ten poradził mu, by nie ważył się odwoływać od decyzji komisji. Dziekan powiedział wprost, że znakomite wyniki z egzaminu kwalifikacyjnego i przeciętne oceny z przedmiotów obowiązkowych świadczą jednoznacznie o lenistwie studenta, a tacy na wydziale prawa nie są mile widziani. Po latach odmowę komisji Nesson obwiodł grubą czarną ramką, upodabniając ją do nekrologu, i oprawioną w ramce powiesił sobie nad biurkiem. Zaczął się gorliwie uczyć matematyki i poprawił oceny. W terminie złożył wniosek o przyjęcie na wydział prawa i tym razem został zaakceptowany.

Postrzegał prawo jako ciąg wspaniale skomplikowanych, a przez to szczególnie wciągających zagadek dotyczących ludzkich zachowań. Kiedy pod koniec pierwszego roku sekretarka wywiesiła na tablicy w Langdell Hall listy kwalifikacyjne, Nesson znalazł się na pierwszym miejscu spośród pięciuset studentów. Wziąwszy pod uwagę wcześniejsze oceny, on sam po latach określił ten rezultat mianem „fuksa”. Nie dziwiło jednak, że po zakończeniu drugiego roku wciąż był na pierwszym miejscu. Po całym Harvardzie, gdzie zawsze panuje gorąca atmosfera silnej rywalizacji, zaczęły krążyć plotki o istnym prawniczym geniuszu. Wielu kolegów obrało sobie za punkt honoru, by w czasie trzeciego i ostatniego roku nauki wyprzedzić Nessona na czołowej lokacie. Ale nikomu się to nie udało. Był prawdziwie cudownym dzieckiem uczelni. Na Harvardzie oblicza się średnią ocenę ze studiów do trzech miejsc po przecinku i tylko bezduszna matematyka sprawiła, że Nessonowi nie udało się pobić słynnego rekordu Feliksa Frankfurtera, pochodzącego jeszcze z 1907 roku.

Na uczelni pielęgnowano tradycję zatrudniania najlepszych absolwentów. Nesson przepracował rok w biurze Johna Harlana, sędziego Sądu Najwyższego, i drugi w Wydziale Praw Cywilnych Departamentu Sprawiedliwości, w biurze Johna Doara, gdy w wieku dwudziestu siedmiu lat otrzymał zaproszenie powrotu do Cambridge. Od razu przyjął posadę na Harvardzie i już po trzech latach zdobył stały etat. Ożenił się z jedną ze swoich studentek i kupił dom w najdroższej dzielnicy Cambridge, niedaleko uczelni. Dopiero wtedy zaczął się zastanawiać, czy nie postąpił zbyt pochopnie, rezygnując z okazji zwiedzenia choćby kawałka świata. Całkowicie pochłonęła go jednak praca zawodowa, gdyż oprócz zajęć na uczelni prowadził niemalże uświęcone sprawy Berrigana i Ellsberga.

Zyskał olbrzymi prestiż i całkiem nieźle zarabiał, mimo że pod względem dochodów nawet nie mógł się równać z kolegami z roku czy nawet swoimi pierwszymi studentami prowadzącymi teraz własne kancelarie. A i sławą nie dorówny-

wał swoim dawnym rywalom, takim jakim Laurence Tribe, Arthur Miller bądź Alan Dershowitz.

Podczas lunchu w San Juan, słuchając Schlichtmanna, Nesson szybko wyrobił sobie własne zdanie o sprawie Woburn i wcale nie był nią znudzony. Później w samolocie, gdy Jan niemalże cisnął mu materiały na kolana, równie szybko przekonał się, że młody adwokat zdążył zgromadzić bardzo obszerny materiał dowodowy z zakresu immunologii, kardiologii i neurologii. Było więc jasne, że na sali rozpraw nie zamierza opierać się wyłącznie na rezultatach Studium Harvardzkiego. Jednocześnie Nesson ocenił, że Schlichtmann do tej pory musiał wydać na tę sprawę prawdziwą fortunę. A to oznaczało, że chyba nieźle zarabiał, skoro w dodatku chodził elegancko ubrany i stać go było na przelot pierwszą klasą. Oczekiwał od niego pomocy i profesor zrozumiał, jak bardzo jej potrzebuje.

Nesson napisał kiedyś wiersz, którego kopie rozdawał studentom ostatniego dnia zajęć z prawa karnego. Brzmiał on następująco:

Dąż do tego, czego pragniesz.
Pragnij więcej, niż potrafisz.
Szybko ucz się rozpoznawać
To, co nie jest ci potrzebne...
Pragnąc zdobyć upragnione,
Sięgaj zawsze dalej.
Argumenty przeciwnika
Zawsze traktuj serio...
Czego zatem pragniesz?
Więcej, niżli możesz.
A jak chcesz to zdobyć?
Wolno, po kawałku,
Aż powstanie całość.

Jeśli nawet nie było to poetyckie arcydzieło, jasno dawało do zrozumienia, że ambicja jest głównym motorem prawniczych sukcesów. Nesson już od pewnego czasu poszukiwał nowego wyzwania i oto trafiała mu się sprawa Woburn, wspinała zagadka, mająca wszelkie niezbędne cechy podręcznikowego zagadnienia prawnego – interesujący problem udowodnienia postawionych zarzutów, ważny aspekt społeczny związany ze środowiskiem naturalnym, sensacyjny wydźwięk dla mediów oraz, nie mniej ważny, olbrzymi potencjał finansowy. Krótko mówiąc, Nesson uznał, że warto się nią zająć.

Po pewnym czasie przeszedł do pierwszej klasy i poklepał Schlichtmanna po ramieniu.

Ten popatrzył na niego i uśmiechnął się szeroko.

– Zgoda – rzekł profesor. – Jestem zainteresowany tą sprawą. Co może mi pan zaoferować?

Conway nie miał nic przeciwko powiększeniu zespołu o uniwersyteckiego wykładowcę. Świetnie zdawał sobie sprawę, że potrzebna im pomoc, postanowił więc wstrzymać się z uwagami do czasu poznania Nessona. Sprzeciwił się natomiast Gordon. Zaczął narzekać na gogusiowatych teoretyków, którzy nigdy nie robią niczego konkretnego, za to mają o sobie bardzo wysokie mniemanie. Czy ten Nesson właściwie się zajmuje? – pytał. Ile będzie żądał za swoje usługi? Kancelaria nie miała już pieniędzy choćby na zaliczkę dla tego rodzaju doradcy. A nie tak dawno Schlichtmann wciągnął do zespołu Kileya, któremu obiecał jakiś procent z honorarium. Więc teraz sama myśl o konieczności dalszego uszczuplenia nie wywalczonych jeszcze pieniędzy budziła w Gordonie odrazę. Ile jeszcze trzeba będzie poświęcić, żeby doprowadzić tę sprawę do końca?

Schlichtmann nie przejmował się zanadto, co myślą koledzy. Któregoś wieczoru, krótko po powrocie z Portoryko, zaprosił Nessona do kancelarii, by przedstawić go współnikom. Zasiadli wszyscy w sali konferencyjnej: Conway i Crowley, Gordon i Phillips, Kiley oraz jeszcze jeden adwokat, Tom Neville, przyjaciel Conwaya z dzieciństwa, który na ochotnika zaproponował im swą pomoc.

Profesor pokrótce wyjaśnił zebranim, że według niego celem procesu powinno być coś więcej niż tylko zrekompensowanie strat i cierpień mieszkańców Woburn. To jest taka sprawa, mówił, która musi się odbić głośnym echem we wszystkich salach zarządów większych amerykańskich przedsiębiorstw. Bo jak inaczej można powstrzymać takie giganty, jak koncerny Grace'a i Beatrice Foods, przed dalszym zatruwaniem środowiska? Jak inaczej dać do zrozumienia decydującym, że muszą zerwać ze stosowanymi dotychczas praktykami?

– Mówimy o ludziach – perorował – którzy rozumieją tylko język pieniędzy. Cały ich świat ogranicza się do pojęć sprzedaży, obrotów, oszczędności, zysków i rezerw finansowych.

Wreszcie zapytał wprost, jakie są roczne przychody obu pozwanych koncernów.

Gordon zgromadził po kilka rocznych raportów finansowych obu firm, znał żądane liczby równie dobrze, jak bieżący stan swego konta. Odparł więc szybko, że koncern Grace'a w ubiegłym roku miał ponad pięć miliardów obrotu, przy czym zysk netto wyniósł sto dziewięćdziesiąt osiem milionów dolarów. Natomiast Beatrice Foods legitymowało się dochodem netto w wysokości czterystu trzydziestu sześciu milionów.

– Jaka suma, waszym zdaniem, mogłaby przyciągnąć uwagę zarządu Grace'a? – spytał Nesson. – Jakie najmniejsze odszkodowanie byłoby odczuwalne dla koncernu tej wielkości? Dziesięć milionów? Pięćdziesiąt? A może sto?

W sali zapadło milczenie. Profesor tym prostym pytaniem zabił wszystkim klina.

– A gdyby tak zażądać odszkodowania równego rocznemu dochodowi? – dodał po chwili. – Chyba wówczas zarząd odczułby stratę.

Nesson mówił o kwotach znacznie przekraczających najmielsze wyobrażenia Schlichtmanna. Jeszcze miesiąc wcześniej, podczas rozmowy z Wujkiem Pio-

trusiem w Banku Bostońskim, realnie szacował wielkość odszkodowania na trzy miliony dla każdej z rodzin, czyli w sumie dwadzieścia cztery miliony dolarów. Czyżby więc Nesson dał się ponieść wyobraźni? W sumie roczne zyski obu powożanych firm przekraczały pół miliarda dolarów!

– Zostało skażone całe miasto – tłumaczył Nesson. – Opinia publiczna jest do głębi poruszona. A wy schwytałyście w sieci dwie potężne korporacje warte wiele miliardów dolarów.

Zdaniem profesora w ostatniej fazie rozprawy sędzia musiałby zezwolić, by sędziowie przysięgli poznali sumaryczną wartość obu przedsiębiorstw. A jednocześnie można by się zwrócić do przysięgłych, aby przy ustalaniu wyroku zechcieli nie tylko zrekompensować straty i cierpienia powodów, lecz także przykładnie ukarać winnych, wysokością odszkodowania przestrzec inne firmy postępujące tak samo, gdyż jest to jedyny język zrozumiały dla finansistów.

– Szczerze mówiąc – przyznał na zakończenie – chcę się włączyć do tej sprawy głównie z powodu wielkości odszkodowania za straty moralne.

Profesor rzucił całkiem nowe światło na sprawę. Schlichtmann od początku powtarzał, że ma ona „podłoże polityczne”, teraz jednak odnosił wrażenie, iż sam nigdy by nie zdołał określić jej charakteru tak rzeczowo, zwięźle i przekonująco. W dodatku analizy dokonał człowiek, który prowadził wykłady dla sędziów, członków zarządów przedsiębiorstw i radców prawnych. Nesson, w znacznie większym stopniu niż którykolwiek z pozostałych prawników siedzących przy stole konferencyjnym, mógł być zaliczony do najbardziej wpływowych kręgów społeczeństwa, a więc proponował teraz wystawić rachunek na pół miliarda dolarów ludziom z tej samej warstwy.

Kiedy Nesson skończył mówić, nikt już nie miał wątpliwości, iż należy go koniecznie włączyć do zespołu.

– Ten facet jest naprawdę genialny – ocenił później Gordon.

Już wkrótce nie kto inny jak Gordon zaczął otwarcie snuć marzenia o pięknej posiadłości w Palm Beach, z pełnomorskim jachtem na przystani i dwoma mercedesami w garażu. Schlichtmann nie znosił tego typu rozważań, twierdził, że przynoszą pecha. Gordon szybko przestał mówić o swoich planach w jego obecności. Od tej pory jedynie Phillips musiał wysłuchiwać tych mrzonek, ale on doskonale znał ich rodowód. Sam nie był wolny od podobnych marzeń, które chyba zaczęły nawiedzać wszystkich członków zespołu oprócz szefa, ale traktował je z olbrzymim dystansem. Nie miał też żadnych wątpliwości, że winę za nie ponosi Charlie-Wart-Miliard-Dolarów, jak ochrzcił profesora zaraz po pamiętym spotkaniu.

Jeśli sędziego Skinnera na kolejnym posiedzeniu zaskoczyła obecność Nessona u boku Schlichtmanna przy stole strony powodowej, nie dał tego po sobie poznać. Powitał profesora serdecznym uśmiechem i pełnym szacunku ukłonem. Kilkakrotnie miał okazję uczestniczyć w jego wykładach, a że w ogóle lubił intelektualne dyskusje, z radością powitał okazję do ich urzędzenia na sali sądowej

w nadchodzących miesiącach. Chyba nie poczuł się nawet urażony, gdy Nesson, po raz pierwszy zabrawszy głos w tej sprawie, oświadczył stanowczo:

– Uważam za swój obowiązek, żeby nie dopuścić do błędnego wyroku, który w czasie apelacji mógł wywołać spór zamieszania.

Skinner odpowiedział z uśmiechem:

– Jeśli zdoła mnie pan ustrzec przed jakimś błędem, wszystkim wyjdzie to na dobre.

Uśmiech jednak szybko zniknął z twarzy sędziego, kiedy Nesson zaczął wyjaśniać swoje podejście do sprawy Woburn.

– Rodziny powodów są przekonane – mówił profesor – że wystąpiły z pozwem w imieniu całego społeczeństwa. Oczekują więc, Wysoki Sądzie, pokazowego procesu. Pragną dać wyraźny sygnał, inaczej mówiąc, uruchomić dzwonki alarmowe we wszystkich salach zarządów podobnych firm na terenie Stanów Zjednoczonych.

Tego dnia sędzia nie odpowiedział. Dopiero po kilku tygodniach, podczas następnego posiedzenia, w trakcie dyskusji na inne tematy, wyszło na jaw, do jakiego stopnia Nesson go zirytował.

– Czuję się urażony tonem pańskiego wystąpienia! – rzekł podniesionym głosem, wyraźnie rozwścieczony. – Trąbi pan po raz kolejny, że chce wysłać ostrzeżenie zarządom innych firm amerykańskich. Ośmielę się więc przypomnieć, profesorze, że powództwo cywilne dotyczy kwestii spornych między dwiema stronami, z których jedna żąda rekompensaty, a druga broni się przed zarzutami. Jeśli przemyślowcy zwrócą uwagę na tę sprawę, to jedynie w konsekwencji ogłoszonego wyroku, a nie dlatego, że taki był cel rozprawy.

– Przepraszam za swój ton – rzekł pojednawczo Nesson. – Obiecuję, Wysoki Sądzie, że nie będę już więcej trąbił na ten temat.

Niemniej włączenie profesora do zespołu rzeczników powodów uświadomiło również sędziemu, że sprawa Woburn może być warta wręcz niewyobrażalną sumę pieniędzy.

– To naprawdę bardzo interesująca i niezmiernia ważna sprawa – oznajmił rzeczowo na zakończenie jednego z następnych posiedzeń, przebiegającego w spokojnej atmosferze. – Domyślam się, że potencjalna wielkość odszkodowania może być doprawdy astronomiczna.

To słowo zapadło głęboko w pamięć Schlichtmanna.

– Trudno mi ocenić, jak zawyrokuje przysięgli – ciągnął Skinner. – Bez wątpienia można się spodziewać bardzo wysokiej rekompensaty. Nie sądzą, aby był zagrożony rekord stulecia, czyli wyrok w sprawie przeciwko Texaco, ale i ta sprawa wydaje się nadzwyczaj doniosła.

W zaciszu gabinetu Schlichtmanna Nesson mówił otwarcie o setkach milionów dolarów. A teraz w dodatku sędzia przyrównywał sprawę Woburn do głośnego procesu Pennzoil kontra Texaco, w którym sędziowie przysięgli zasądziли powodowi, czyli koncernowi Pennzoil, odszkodowanie w wysokości jedenastu miliardów dolarów!

Tego popołudnia na widowni był także Gordon, który przysłuchiwał się dyskusji. Usłyszawszy zdanie sędziego, pomyślał, że to wręcz niewiarygodne. Przy-

szło mu do głowy, żeby zabrać kopię protokołu z posiedzenia do Banku Bostońskiego i pokazać ją Wujkowi Piotrusiowi w trakcie rozmowy o ewentualnej następnej pożyczce.

5

W miarę zbliżania się terminu rozprawy przygotowania nabrały niespotykanego tempa. W grudniu już wszyscy prawnicy pracowali po siedem dni w tygodniu. Żywili się kanapkami, zimnymi przekąskami i daniami z chińskiej restauracji, które zjadali przy swoich biurkach bądź stole konferencyjnym. Rodziny rzadko miały okazję ich widywać. Conway wracał zazwyczaj do swego domu w Wellesley, gdy żona i dzieci już spały, a wstawał wcześniej, jeszcze po ciemku, także przed wszystkimi. Schlichtmann niekiedy w ogóle nie wracał na noc do domu. Sypiał na kanapie w gabinecie i zrywał się o pierwszym brzasku. Na początku grudnia zmarła jego babcia i mimo że pogrzeb odbył się w niedzielę, uczestniczył w nim zaledwie przez godzinę.

Nastała nieprzyjemna, chłodna zima, pora ciągłego przemęczenia, bólów głowy, piekących oczu i rozdrażnienia. Kiedy jedna z młodych pracownic kancelarii Hale'a i Dorra chciała wziąć ślub, Facher nakazał jej stanowczo wstrzymać się do czasu rozpoczęcia procesu, na co zgodziła się niechętnie, a w tajemnicy podjęła starania o przeniesienie z działu procesowego do sekcji nieruchomości. Podobnie działał się w kancelarii Foleya, Hoaga i Eliota. Któregoś razu Cheeseman wystawił zakładom Grace'a rachunek za sto piętnaście godzin w tygodniu, co oznaczało w przybliżeniu po sześnaście i pół godziny pracy przez siedem dni z rzędu. Jeszcze nigdy dotąd nie musiał wystawiać tak dużego rachunku, nawet w czasach zaciętej rywalizacji z kolegami o wejście do grona wspólników firmy. Miał też nadzieję, że już nigdy nie będzie do tego zmuszony.

Nawet się nie domyślał, że po konferencji w drewnitni Facher próbował polubownie oddalić roszczenia wobec Beatrice Foods. Z pozoru przymierze zawarte przeciwko Schlichtmannowi istniało nadal, lecz Cheeseman coraz bardziej miał się czym martwić. Podczas jednego z posiedzeń obserwował Fachera w trakcie dyskusji z sędzią na temat pewnych zagadnień proceduralnych, którymi i on był zainteresowany. Uderzyło go, że nestor sprawia wrażenie wycieńczonego i bezsilnego, jakby nagle bardzo się postarzał. Zaczynał coś mamrotać pod nosem, jakby w trakcie wypowiedzi zasypiał. Skinner parokrotnie prosił, aby mówił głośniej. Zdarzało się w takich momentach, że Facher tylko obojętnie wzruszał ramionami i ociężałe siadał z powrotem. Tego dnia po powrocie do biura Cheeseman poinformował wspólników:

– Facher jest już za stary, żeby występować przed sądem. Chyba całkiem stracił wiarę w siebie. Nie wiem, czy można jeszcze na nim polegać.

Przez całą jesień i zimę przedstawiciele obrony kontynuowali przesłuchania biegłych Schlichtmanna, który dwoił się i troił, żeby jak najlepiej przygotować ich do składania zeznań. I w większości wypadali nieźle.

Dosyć znamienną postawą wykazała się doktor Vera Byers, immunolożka z Kalifornii, mająca w dorobku około osiemdziesięciu pięciu artykułów na temat różnych nowotworowych guzów, opublikowanych w tak znanych czasopismach jak „Lancet”. Jeszcze latem, na wyraźne żądanie Schlichtmanna, przebadła wszystkich członków rodzin z Woburn, a zapoznawszy się z pracami innych lekarzy specjalistów, doszła do wniosku, że faktycznie są oni zatruci chemikaliami. Jej zdaniem to właśnie długotrwałe narażenie na kontakt z niewielkimi dawkami trichloroetyleny powodowało znaczne obniżenie wydolności układu immunologicznego u ludzi i zwiększenie zachorowalności na białaczkę.

Byers nigdy przedtem nie zeznawała w sądzie, po raz pierwszy została powołana na biegłego. Schlichtmann wołał jednak takich świadków, których nazywał „dziewicami”. Zwykle byli na tyle przejęci swoją rolą, że ściśle trzymali się jego rad i brali do serca wszelkie ostrzeżenia. Jeśli nawet okazywali nerwowość w czasie przesłuchania, zazwyczaj przemawiało to na ich korzyść.

– Nieco przestraszeni, ale mówiący szczerze i otwarcie świadkowie są najlepszy – powtarzał. – A zdenerwowanie tylko potwierdza ich wiarygodność. Sędziowie i przysięgli takich cenią najwyżej.

Byers, która wyglądała młodo na swoje czterdzieści parę lat, spisywała się bardzo dzielnie przez trwające aż trzy dni przesłuchanie. Kiedy Facher podetknął jej pod nos listę ponad stu opracowań naukowych z jej dziedziny i zapytał, które z nich są jej znane, rzuciła:

– Kurka wodna!

Gdy poproszono ją o wyliczenie, ile zna odmian białaczki, odparła:

– Jejku! Bardzo dużo! To zależy od podejścia, niektórzy wolą syntetyczne, inni analityczne.

Wielokrotnie wyrывało jej się: „Ani chybi!” albo „Mowa!”, kiedy musiała tylko potwierdzić jakiś wniosek Fachera.

Spowaźniała nieco, gdy przyszła kolej na Cheesemana i ten zaczął od pytania, czy Byers w szkole średniej była cheerleaderką. Później, nawiązawszy do kategorycznych wniosków w jej opracowaniu, zaczął się domagać potwierdzenia, jakich uszczerbków na zdrowiu wskutek kontaktu ze skażoną wodą doznała na przykład Anne Anderson.

– Wyraźnie spadła wydolność wielu układów jej organizmu, a więc oddechowego, krążenia, pokarmowego, nerwowego oraz immunologicznego – odparła Byers. – Nie ulega wątpliwości, że pewnym uszkodzeniom uległy także pozostałe organy.

– Także skóra?

– Oczywiście, podobnie jak nerki.

– Można stąd wnioskować, że skażona woda wpłynęła na cały jej organizm, prawda?

– Zgadza się. Mówimy o oddziaływaniu na wszystkie układy.

– Wygląda więc na to, że odkryła pani uniwersalne zło w omawianych rozpuszczalnikach – zawyrokował.

Krok po kroku jął się zagłębiać w rozmaite schorzenia opisywane w kartach chorobowych powódki, zadając pytania coraz bardziej wyzywającym tonem.

– Po zbadaniu pacjentki napisała pani, że jest to w pełni rozwinięta, dobrze odżywiona kobieta bez żadnych przewlekłych niedomagań. Czy to oznacza, że w czasie badania nie skarżyła się ona na żadne kurcze, zaburzenia żołądkowe, katar, bóle głowy, migrenę i tak dalej?

– Owszem.

– Czyżby wykonywała pani badanie w wyjątkowo korzystnym dla pacjentki momencie?

Przesłuchania dwunastu lekarzy i trzech geologów, których Schlichtmann powołał na biegłych, zajęły w sumie pięćdziesiąt trzy dni, a objętość spisanych protokołów przekroczyła dziesięć tysięcy stron. Ci specjaliści, których opinie bazowały na całkowicie wymiernych, obiektywnych rezultatach, na przykład pomiarach czasu reakcji odruchu mrugania czy wynikach badań elektrokardiograficznych, wypadali najlepiej. Najślabsze wrażenie zrobił doktor Alan Levin, drugi immunolog. Trzecie posiedzenie z trwającego sześć dni przesłuchania Facher rozpoczął od niewinnego z pozoru pytania o ilość czasu poświęcanego przez świadka zagadnieniom prawnym.

Levin oszacował, że poświęca na konsultacje od dziesięciu do piętnastu procent czasu pracy. Dodał jednak, że woli się zajmować swoimi pacjentami, gdyż sprawia mu to więcej zawodowej satysfakcji.

– Rozumiem. A w ile spraw sądowych jest pan obecnie zaangażowany?

– Mam zeznawać jeszcze w dwóch innych procesach, jednym w Sacramento, drugim w Teksasie – odparł lekarz.

– Czego dotyczy sprawa rozpatrywana w Teksasie? – ciągnął Facher. – Składał pan już w niej oficjalne zeznania?

– Jeszcze nie, ponieważ nie zdążyłem zebrać wszystkich potrzebnych informacji. Opierając się jednak na wynikach badań immunologicznych zarządzonych przez obronę, mogę stwierdzić, że bez wątplenia chodzi o przypadek poważnych zaburzeń pracy układu immunologicznego.

Facher zajrzał do notatek przygotowanych przez któregoś ze współpracowników i zapytał:

– A nie bierze pan udziału w rozprawie w stanie Iowa?

– Ach, przepraszam. Ma pan rację. To sprawa Carpentera, który zaskarżył kilku producentów pestycydów.

– Mam tu również wymienioną sprawę niejakiego Johnsona. Czy to nazwisko coś panu mówi?

Levin wzruszył ramionami.

– To pospolite nazwisko.

– Chodzi o Millie Johnson i sprawę z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego trzeciego roku.

– Aha. Millie zachorowała na astmę od długotrwałego stosowania Rajdu.

– Rajdu? Mówi pan o środku owadobójczym w aerozolu? Czy nie był to także... przypadek poważnych zaburzeń pracy układu immunologicznego?

– Tak. Zdaje się, że tak.

– Mam zapisaną jeszcze sprawę Times Beach. O co w niej chodzi?

– To prawda, jestem w nią też zaangażowany – powiedział Levin. – I mam również zeznawać w sprawie Three Mile Island.

Facher uśmiechnął się ironicznie.

– Widzę, że stopniowo wraca panu pamięć. To już wszystko?

– Więcej nie pamiętam.

– A Aircraft Stamping?

– Ten proces już się zakończył.

– Jak brzmiała pańska opinia?

– Stosowane tam chemikalia spowodowały zaburzenia układu immunologicznego u okolicznych mieszkańców.

– Czy był pan kiedykolwiek karany? – zainteresował się Facher.

Schlichtmann w pierwszej chwili chciał zgłosić sprzeciw, ale się powstrzymał.

– Nie.

– A pamięta pan Schullera? – spytał obrońca, nawiązując do starszych wydarzeń z kariery biegłego. – Czy to nazwisko się panu z czymś kojarzy?

– Schuller był moim pacjentem, uległ zatruciu chlordenem*. Interesujący przypadek.

– I pańskim zdaniem u niego też wystąpiły zaburzenia układu immunologicznego?

– Zgadza się.

– Fiberite Corporation. Co panu mówi ta nazwa?

I tak trwało to godzinami. Okazało się, że Cheeseman również zebrał sporo informacji o świadku. Któryś z jego ekspertów lekarskich musiał mu powiedzieć, że „ekologia kliniczna” – dziedzina, w której specjalizował się Levin – to „pokrewna nauka”, i ten uznał immunologa za szarlatana. Zacytował zresztą wprost tę opinię szóstego dnia przesłuchania, kiedy Levin orzekł stanowczo, że wyniki analiz limfocytów T we krwi Anne Anderson utwierdziły go w przekonaniu, iż ma do czynienia z „bardzo chorą kobietą”, narażoną na duże ryzyko poważnej choroby w niedalekiej przyszłości.

– Czyż nie brzmi to jak wróżenie z fusów? – zauważył ironicznie Cheeseman. – Albo z kart tarota? Zbiera pan talię, rzuca na stół i na podstawie rozkładu kart przepowiada przyszłość?

Levin przeżył bardzo ciężki tydzień, ale był on tak samo ciężki dla Schlichtmanna, który dotąd darzył immunologa szczerym podziwem i całkowicie mu ufał, nie mówiąc już o poczuciu wdzięczności. Uważał Levina za swego głównego biegłego, a zarazem przewodnika po wszelkich medycznych aspektach sprawy.

– Cheeseman nie może się pogodzić z faktami obciążającymi jego klienta – rzekł po zakończeniu przesłuchania immunologa. – Według niego jest pan szarlatanem. Ja jednak wierzę, że moi klienci ucierpieli, a im więcej się dowiaduję, tym bardziej jestem przekonany, że mamy rację. Ludzie rzeczywiście zatruli się chemikaliami. Nigdy nie chciałbym mieć nawet ich śladów w organizmie.

* C₁₀H₆Cl₈, chloropochodna indenu, silnie toksyczna ciecz używana jako środek owadobójczy (przyp. tłum.).

W ciągu ostatnich dwóch tygodni prac nad materiałem dowodowym Schlichtmann zyskał wreszcie możliwość zapoznania się z opiniami biegłych obrony. Cheeseman i Facher zgromadzili łącznie dwudziestoośmiuosobowe gremium specjalistów, z których wielu legitymowało się imponującymi osiągnięciami, a znaczna część pochodziła z harwardzkiego wydziału medycyny. Znalazło się w nim sześciu toksykologów, pięciu epidemiologów, trzech neurologów, biolog molekularny, pediatra hematolog, kardiolog, psychiatra, kilku immunologów, chemików i patologów. Jan nie miał już czasu, żeby wzorem przeciwników organizować szczegółowe, kilkudniowe przesłuchania. Pod koniec ostatniego tygodnia zorganizował równoczesne przesłuchanie aż ośmiu świadków, których specjalności, jak również nazwiska, niewiele mu mówiły.

Przekonał się, że wielu z tych ekspertów zna jego biegłych, czy to osobiście, czy z publikowanych prac. Jeden z lekarzy, specjalista z zakresu medycyny pracy, przyznał nawet, że parokrotnie kierował swoich pacjentów do kliniki Roberta Feldmana.

- Jakie jest pańskie zdanie o doktorze Feldmanie? – zapytał Schlichtmann.
- To znakomity neurolog. Bardzo sobie cenię jego opinie.

Jan postanowił przytoczyć tę wypowiedź przed sędziami przysięgłymi, mimo że ten sam biegły twierdził, iż nie wierzy, aby tak małe stężenia trichloroetyleny w wodzie pitnej mogły w znaczący sposób wpłynąć na stan zdrowia mieszkańców Woburn.

– Miałem do czynienia z ludźmi pracującymi w pomieszczeniach, gdzie stężenia tri w powietrzu były tysiące lub nawet dziesiątki tysięcy razy wyższe od stwierdzonych w wodzie podziemnej z Woburn, i nie odczuwającymi z tego powodu żadnych kłopotów zdrowotnych – powiedział.

Jeszcze jeden neurolog, wykładowca z Harvardu, uznał Feldmana za „kompetentnego” specjalistę, chociaż w tej sprawie nie zgadzał się z jego wnioskami. Według niego Feldman całkowicie opacznie zinterpretował wyniki pomiarów odruchu mrugania.

– Moim zdaniem zakres typowych czasów reakcji został w pracy Feldmana wyraźnie zaniżony – ocenił.

Inny profesor z Harvardu, pediatra, w podobny sposób wyrażał się o rezultatach przeprowadzonych przez Colvina badań limfocytów T. Również przyznał, że ich autor cieszy się „nienaganną” reputacją, ale w tym wypadku użył zdecydowanie zaniżonych wartości średnich do oceny stanu zdrowia mieszkańców Woburn.

Zaangażowany przez Fachera i Cheesemana kardiolog był znakomitością pod każdym względem. Nazywał się Gilbert Horton Mudge Junior, wykładał na Harvardzie i kierował programem transplantacji serca w szpitalu kobiecym w Brigham. Kiedy Schlichtmann zapytał go, czy zapoznał się z wynikami badań kardiologicznych powodów, doktor przytaknął.

- Ile z przebadanych osób, pańskim zdaniem, cierpi na arytmie?

- Według mnie wyniki tych pacjentów nie odbiegają od normy.
- U żadnego z nich nie stwierdził pan arytmii? – zdziwił się Jan.
- Występują pewne zaburzenia rytmu serca, lecz mieszczą się w granicach normy – powtórzył Mudge.

Schlichtmann uznał, że wciąż nie uzyskał odpowiedzi na swoje pytanie, zadał je więc po raz trzeci:

- Czy którakolwiek z badanych osób ma arytmie?
- Owszem – przyznał doktor.
- U ilu z nich stwierdza pan tę dolegliwość?
- Jeśli dobrze pamiętam, wszystkie przypadki można by sklasyfikować jako lekką arytmie, lecz moim zdaniem tego rodzaju zaburzenia rytmu serca mieszczą się całkowicie w granicach szeroko pojętej normy.

Pod koniec przesłuchania, które nie trwało nawet godziny, Mudge powiedział, że chętnie obejrzałby echokardiogramy ludzi z Woburn.

– Pomiary echokardiograficzne pomogłyby ustalić, czy naprawdę występują jakiegokolwiek zmiany strukturalne serca u tych pacjentów.

- Sądzi pan, że powinno się wykonać takie badania?
- Tak, żeby mieć absolutną pewność, że nie ma najmniejszego powodu, aby się martwić zaburzeniami rytmu.

Schlichtmann wyjątkowo go polubił, wręcz nie mógł się już doczekać chwili, gdy będzie mógł przesłuchać doktora Mudge'a na sali sądowej. Uśmiechnął się i rzekł:

- Dziękuję, doktorze. To wszystko. Niech pan idzie dalej leczyć chorych.

Żaden z sześciu toksykologów zaangażowanych przez obronę nie potrafił uwierzyć, żeby małe stężenia trichloroetylenu w wodzie wodociągowej mogły wpłynąć na stan zdrowia korzystających z niej ludzi. Tylko jeden, wykładowca z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley, przyznał, że tri może wpływać na pracę serca, działanie centralnego układu nerwowego i układ immunologiczny, lecz z pewnością nie w tak „nieskończenie małych stężeniach”, jakie wykryto w Woburn.

Kiedy Schlichtmann zapytał, jakie stężenia mogłyby się ujemnie odbić na zdrowiu ludzi, biegły odpowiedział:

- O wiele, wiele wyższe.
- To znaczy?
- Nie sądzę, by gdziekolwiek spotykało się wodę pitną o takiej zawartości trichloroetylenu, żeby można mówić o jej toksycznych właściwościach.
- Czy w takim razie pańskim zdaniem stężenia tri w wodzie z Woburn należałyby uznać za niegroźne dla zdrowia?

– Nie ma takich rzeczy, które są niegroźne dla zdrowia – odparł toksykolog. – Zawsze istnieje jakieś zagrożenie. Nie można powiedzieć, że chodzenie po ulicy jest niegroźne, podobnie jak przebywanie w tym pokoju, gdzie na przykład jesteśmy bez przerwy bombardowani cząstkami promieniowania kosmicznego. Część zagrożeń da się jednak zaakceptować, bo są nieporównywalnie mniejsze od innych.

Zdaniem eksperta ryzyko powstania choroby nowotworowej na skutek koczowania z wody pitnej w Woburn było w przybliżeniu takie samo, jak wskutek spędzenia trzynastu minut w kajaku na środku spokojnego jeziora czy też wypalenia trzech papierosów.

– Mówi pan o paleniu trzech papierosów dziennie? – zapytał adwokat.

– Nie, w ciągu całego życia. Sam pan rozumie, że jest to zagrożenie w pełni zaniedbywalne.

Później Schlichtmann odbierał zeznania hematologa dziecięcego z Chicago, znanego specjalisty, który miał już do czynienia z setkami przypadków białaczki u dzieci. I on przyznał, że liczba zachorowań w Woburn jest wyjątkowo duża, wyjaśnił jednak, że „wszystkie badane dotychczas ogniska białaczki uznano za efekt nierównomiernego statystycznie rozkładu, a nie wynik działania jakiegokolwiek czynnika zewnętrznego”. Jego zdaniem jakość wody wodociągowej nie miała nic wspólnego z zachorowaniami. Zarówno testy na zwierzętach, jak i badania epidemiologiczne wskazywały jednoznacznie, że trichloroetylen nie działa rakotwórczo na ludzi.

– Więc co w takim razie było przyczyną białaczki w Woburn? – zapytał Jan.

– Nie wierzę, aby ktokolwiek mógł wskazać konkretną przyczynę ostrej białaczki limfatycznej u dzieci – odparł hematolog. – Wciąż prowadzi się badania. Być może biologia molekularna zdoła nam wyjaśnić tę zagadkę, lecz na to trzeba jeszcze poczekać.

Biolog molekularny, profesor z wydziału medycyny Uniwersytetu Tuftsa, doktor John Coffin, potwierdził w czasie przesłuchania, że nie potrafi jeszcze wskazać przyczyn choroby. Miał jednak swoją teorię. Znaczną część kariery poświęcił na szukanie wirusów wywołujących choroby nowotworowe, był więc przekonany, że ostrą białaczkę limfatyczną u dzieci wywołują właśnie wirusy. W każdym razie, według Coffina, było to znacznie bardziej „uzasadnione” wyjaśnienie niż kontakt ze skażoną wodą.

– Moim zdaniem – rzekł – związki chemiczne, których dotyczy ta sprawa, w ogóle nie mają charakteru karcynogennego.

– Czy wie pan, że Agencja Ochrony Środowiska umieściła trichloroetylen na liście substancji o prawdopodobnym działaniu kancerogennym? – zapytał Schlichtmann.

– Na pewno użyto tego sformułowania? Jeśli mnie pamięć nie myli, specjaliści agencji wcale nie wnioskowali, że chodzi o związki działające karcynogenne na ludzi.

W tym wypadku jednak pamięć Coffina zawodziła.

– Zaskoczę pana, jeśli powiem, że jest pan w błędzie?

– Powtarzam, że chodzi mi o samo określenie, którego brzmienia dokładnie nie pamiętam.

Schlichtmann wyczuł wahanie świadka, postanowił więc bardziej go przycisnąć.

– Czy pańskim zdaniem, doktorze, obecność trichloroetyleny w wodzie przeznaczony do użytku domowego może stanowić zagrożenie dla zdrowia ludzi?

Było to podchwytliwe pytanie. Gdyby doktor odparł twierdząco – jak nakazywał zdrowy rozsądek – uznalby tym samym zasadność zarzutów postawionych przez stronę powodową, a więc przestałby świadczyć na korzyść obrony. Zaprzeczenie natomiast podważyłoby jego wiarygodność, a nawet go ośmieszyło.

Coffin zamyślił się na chwilę, po czym odparł:

– Trudno mi odpowiedzieć na to pytanie. Nie jestem ekspertem w zakresie źródeł wody pitnej.

Właśnie takiej wymijającej odpowiedzi należało oczekiwać, pomyślał Schlichtmann.

– Opierając się jednak na swojej wiedzy w dziedzinie toksykologii trichloroetyleny, czy może pan stwierdzić, że ten związek jest niebezpieczny dla zdrowia i nie powinien występować w wodzie wodociągowej?

– To bardzo obszerne zagadnienie. Powtarzam, że nie jestem ekspertem w zakresie źródeł wody pitnej.

– Ale jest pan ekspertem od trichloroetyleny?

– Przeglądałem literaturę dotyczącą jego karcynogennych właściwości.

– Czy wynika z niej, że trichloroetylen stanowi potencjalne zagrożenie dla zdrowia? I czy z tego właśnie powodu nie należałoby unikać jego obecności w wodzie?

Coffin zmięknął wreszcie.

– Moim zdaniem żadne obce substancje nie powinny występować w wodzie pitnej.

– Dlaczego? – podchwycił szybko Schlichtmann.

Przez pewien czas panowało milczenie. Jan wpatrywał się uważnie w świadka i ten w końcu odpowiedział:

– Zagłębiamy się w temat, w którym mogę jedynie przedstawić własne, prywatne zdanie, a nie opinię biegłego. Otóż moim zdaniem w wodzie wodociągowej nie powinno się dopuszczać żadnych obcych substancji.

– Dlaczego? – powtórzył Schlichtmann.

– A gdzie należałoby ustalić konkretną granicę? Jeśli dopuści się obecność jednej obcej substancji w wodzie, to dlaczego nie zgodzić się na obecność drugiej? Ten problem wykracza jednak bardzo daleko poza zakres moich zawodowych doświadczeń. Nie czuję się kompetentny, aby rozmawiać o tego rodzaju granicach.

Jan doskonale zdawał sobie sprawę, że większość biegłych obrony to świetni, wybitni fachowcy, którzy jedynie mają odmienne zdanie od zaangażowanych przez niego, równie wybitnych ekspertów.

– Przyznają, że tri może wpływać na pracę serca, układu nerwowego oraz immunologicznego – powiedział któregoś wieczoru, po przesłuchaniu pięciu świadków. – Jedyna różnica między stanowiskami obu grup biegłych polega na tym, że z zdaniem ekspertów obrony tak małe stężenia trichloroetyleny w wodzie nie mogły spowodować kłopotów zdrowotnych ludzi.

Wśród ekspertów obrony byli również tacy, których Schlichtmann zaliczył do szarlatanów, podobnie jak Cheeseman Levina. Jeden z lekarzy, relacjonując

swoje badania prowadzone wśród robotników stykających się na co dzień z trichloroetylenem, powiedział:

– W rzeczywistości było mniej zgonów wywołanych nowotworami, niż mogłem się spodziewać. Tak samo mniej ludzi umierało na serce. Zacząłem nawet poważnie rozpatrywać hipotezę, że trichloroetylen w występujących tam stężeniach, zamiast wpływać ujemnie na zdrowie ludzi, wręcz poprawia wydolność układu krążenia.

To przesłuchanie prowadził Conway, ponieważ Schlichtmann w tym samym czasie przyjmował zeznania innego biegłego. Zorientowawszy się w sytuacji, zapytał szybko świadka, kto finansował te badania, i lekarz odparł z ociąganiem, że prowadził je na zlecenie kierownictwa tegoż przedsiębiorstwa, w którym robotnicy stykali się z trichloroetylenem.

Tego wieczoru, kiedy Schlichtmann wrócił do biura, zapytał o przebieg posiedzenia.

– Dowiedziałem się, że trichloroetylen ma właściwości lecznicze – odparł Conway.

7

Tymczasem w Woburn Agencja Ochrony Środowiska rozpoczęła długo odkładane kompleksowe badania wody w dolinie Aberjony. Oczyszczono studnie G i H, naoliwiono pompy i uruchomiono je po raz pierwszy od prawie siedmiu lat. Zamierzano jak najpełniej odtworzyć warunki hydrologiczne z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, kiedy woda z obu ujęć płynęła do sieci wodociągowej. Wszyscy byli już przekonani, że to zakłady Grace’a i Beatrice Foods odpowiadają za skażenie podziemnego zbiornika, mimo że nie znaleziono jeszcze dowodów na potwierdzenie tej teorii. Agencja chciała jednak uzyskać bezsprzeczne dowody, pragnęła bowiem ze swej strony wystąpić na drogę prawną, by uzyskać od winowajców fundusze na oczyszczenie środowiska.

Schlichtmann niecierpliwie czekał na wyniki tych badań, bo pomogłyby one w jego sprawie. Nie miał już żadnych wątpliwości, że pozwane firmy odpowiadają za skażenie ujęć wody. Tego mroźnego ranka na początku grudnia, kiedy uruchamiano pompy, on także znalazł się na mokradłach Aberjony pośród prawdziwej armii geologów, hydrologów, chemików i wiertniczych, a także prawników Agencji Ochrony Środowiska i Służby Geologicznej Stanów Zjednoczonych oraz biegłych zaangażowanych przez wszystkie trzy strony konfliktu.

Wstępne wyniki analiz miały być znane dopiero w styczniu. Najpierw trzeba było dokładnie ustalić kierunki i szybkości przepływu wód podziemnych. W tym celu wywiercono w całej dolinie ponad sto studni kontrolnych. Na mokradłach i ugorach wyrosły nagle dziesiątki baraków i szałasów, dających ludziom schronienie przed mrozem i śniegiem. Gordon zorganizował objazdowy bufet z gorącymi napojami i okazał się na tyle wielkoduszny, że częstował nimi również przedstawiciele zakładów Grace’a i Beatrice Foods. Bładym świtem przyjeżdżał nad

Aberjonę swoim mercedesem, w którego bagażniku były poupychane kartony z kawą i herbatą oraz pudła zawierające dwieście świeżych pączków. Na widok jego auta z baraków wychodzili ludzie w futrzanych kurtkach, przypominający uczestników wyprawy polarnej, i po deskach rozłożonych między oszronionymi kępami trawy szli w kierunku drogi. Gordon przyjeżdżał po raz drugi po południu i przywoził kanapki.

Gdy po dwóch dniach badań uszkodzony został kabel zasilający wielką naczępę wyładowaną sprzętem elektronicznym, to właśnie Gordon, podejrzewając sabotaż, zorganizował ochronę. Zaangażował wszystkich funkcjonariuszy policji w Woburn, żeby po służbie, na trzy zmiany, patrolowali całą dolinę Aberjony. Kiedy indziej w sobotę rano przepalił się jakiś kondensator i specjaliści z agencji uznali, że trzeba będzie co najmniej na tydzień wstrzymać prace. Gordon załatwił przez telefon, że ten jeden element dostarczono z Denver specjalnie do tego celu wynajętym samolotem. Jeśli miał trochę wolnego czasu, parkował na skraju nadrzecznej skarpy, przy lasku należącym do garbarni Rileya, i obserwował przez lornetkę zaśmiezoną dolinę, porozumiewając się z kierownikiem ekipy Agencji Ochrony Środowiska oraz inżynierami Schlichtmanna przez krótkofalówkę.

Badania okazały się nadzwyczaj kosztowne, lecz Jan uznał, że ich rezultaty warte były każdych pieniędzy. Po zakończeniu pomiarów i analiz próbek wody biegły, ciesząc się olbrzymią sławą hydrogeolog z Uniwersytetu Princeton, potwierdził przypuszczenia Schlichtmanna – ujęcia G i H były skażone wodą podziemną napływającą od strony zakładów Grace’a i Beatrice Foods.

Pewnego wieczoru pod koniec grudnia, po całym dniu na bagnach, Gordon zasiadł w swoim gabinecie, żeby po raz kolejny obliczyć koszty prowadzonej sprawy. Trzy miesiące wcześniej szacował, że na zakończenie badań terenowych i przygotowanie syntetycznego raportu hydrogeologicznego będą potrzebowali ćwierć miliona dolarów. Tymczasem koszty już teraz okazywały się ponaddwukrotnie wyższe, a przecież prace nie dobiegły jeszcze końca.

Poświęcił cały weekend na sprawdzanie rachunków i w poniedziałek rano mógł się pochwalić zestawieniem dotychczasowych wydatków. Suma przekroczyła milion osiemset tysięcy dolarów. Z samych tylko pożyczek z Banku Bostońskiego i innych źródeł wydawali dotąd po kilkaset dolarów dziennie. O ponad pół miliona przekroczyli budżet, jaki przed trzema miesiącami zaprezentowali Wujkowi Piotrusiowi. A od rozprawy wciąż dzieliło ich parę tygodni.

Gordon doszedł jednak do wniosku, że dadzą sobie radę. Nie wykluczał, że tuż przed wyznaczonym terminem mogą zawrzeć ugodę z Beatrice Foods, a nawet z zakładami Grace’a. W przeciwnym razie trzeba było jakoś przetrzymać do końca procesu, nawet gdyby wierzyście łomotali do drzwi sali sądowej.

Stwierdził kategorycznie, że na jedną rzecz ich nie stać – na dalsze odroczenie rozprawy. Nie potrafił sobie wyobrazić, jakim sposobem mógłby finansować kolejne pomysły Schlichtmanna, gdyby termin został jeszcze raz przesunięty.

Prośba Fachera

1

Facher przesiadywał do późna w swoim centrum dowodzenia, olbrzymim, przynębiającym archiwum kancelarii na dwudziestym piętrze. Kiedy podnosił głowę znad stołu w środkowej części prowizorycznego stanowiska pracy, zalewanego jaskrawym światłem kilku biurowych lamp, widział za oknem pogrążony w ciemnościach drapacz chmur po drugiej stronie ulicy. Adwokat ukończył niedawno sześćdziesiąt lat. Jego ulubiony, jedyny pozostały przy życiu kot, zdychał na cukrzycę.

– Życie jest takie krótkie – powiedział Facher parę dni po swoich urodzinach. – Marnowanie go na ciągle wnioski o oddalenie jest szczytem głupoty, a jednak to właśnie zrobiłem.

Niekiedy wychodził z centrum dowodzenia, wałęsał się po pustych korytarzach i klatkach schodowych, od jednych drzwi do drugich. Czasami zaglądał do lodówek na różnych piętrach, szukając czegoś do zjedzenia. Kiedy natrafiał w kuchni na stertę brudnych talerzyków i filiżanek, zakasywał rękawy, napępniał zlew ciepłą wodą z płynem i zaczynał zmywać.

– Warto zrobić coś pożytecznego – mawiał do siebie, skończywszy pracę.

Jeszcze na jesieni wspólnik Cheesemana zaproponował przez telefon, aby zaangażować Litigation Sciences, firmę zajmującą się doradztwem w zakresie wyboru ławy przysięgłych. Niechętnie, wbrew swym przekonaniom, Facher zgodził się przeznaczyć dwadzieścia pięć tysięcy dolarów na przeprowadzenie sondażu wśród pięciuset potencjalnych sędziów z okręgu bostońskiego. Osobiście gardził takimi „pseudonaukowymi” metodami, mimo że chętnie wykorzystywało je wielu adwokatów procesowych, w tym także koledzy z kancelarii Hale’a i Dorra. Miesiąc później w biurze Cheesemana odbyło się spotkanie, na którym zaprezentowano wykresy przedstawiające wyniki telefonicznego sondażu. Wynikało z nich jasno, że nie ma co liczyć na wygranie sprawy Woburn. Osiemdziesiąt dwa procent, czyli czterystu dziewięciu z pięciuset pytanych, było zdania, że bogate przedsiębiorstwa z zasady są winne zanieczyszczenia środowiska. Spośród tych

osób, które słyszały o sprawie Woburn z prasy lub telewizji, aż siedemdziesiąt siedem procent uważało, że koncerny Grace'a i Beatrice Foods są odpowiedzialne za śmiertelne przypadki białaczki. Na podstawie tych wyników ekspert ze specjalistycznej firmy orzekł, iż oba pozwane przedsiębiorstwa nie mają innego wyjścia, jak „pogodzić się ze stratami”.

– Nie musiałem wydawać dwudziestu pięciu tysięcy dolarów, żeby to usłyszeć – burknął ze złością Facher.

Kilka tygodni później ten sam wspólnik Cheesemana poinformował, że zamierzają zorganizować próbny proces i sprawdzić kilka „zestawów przysięgłych” angażowanych z ulicy, śledząc ich naradę przez półprzepuszczalne lustro. Facher odmówił udziału w tym przedsięwzięciu.

– Po obejrzeniu wykresów sporządzonych przez specjalistów nie mam już ochoty wydawać ani centa – odparł. – To wyrzucanie pieniędzy w błoto.

Później ocenił, że organizacja próbnego procesu musiała kosztować klienta Cheesemana co najmniej sto tysięcy dolarów.

– Szykowali pozłocaną obronę – wspominał z obrzydzeniem. – Niektórzy klienci uważają, że im więcej muszą płacić swoim adwokatom, tym ciężiej oni dla nich pracują.

Obiło mu się o uszy, że jeden z tych przypadkowych zestawów przysięgłych zasądził na rzecz rodzin z Woburn astronomiczne odszkodowanie przekraczające dwieście milionów dolarów. Przyjął to obojętnym wzruszeniem ramion. Nie wierzył również w skuteczność próbnych procesów.

Pozostały zaledwie trzy tygodnie do terminu rozpoczęcia procesu. Facher dziwił się coraz bardziej, że sprawy zaszły aż tak daleko. Otworzył szafę z aktami i wyjął sprawozdanie z wykonanych przez Colvina badań krwi. Zaczął przeglądać tabele z wynikami, przebiegać wzrokiem długie kolumny liczb widniejące pod nagłówkami: „blastogeneza”, „ciemne 8-ki”, „stos. wspomagające / powstrzymujące”. Dopiero po chwili zrozumiał, że nie wie, o co chodzi. Odłożył raport na miejsce i z sąsiedniej szuflady wyjął drugi, dotyczący badań hydrogeologicznych. Miał ponad tysiąc stron, w tym setki rysunków i przekrojów, jak również tabele z wynikami poziomów wód gruntowych, szybkości przepływów oraz stężeń chemikaliów w wodzie wyrażonych w częściach na miliard. Facher zaczął na chybił trafił wysuwać następne szuflady. W którejś natrafił na karty chorobowe dwojga dzieci zmarłych przed ukończeniem dwunastego roku życia – łącznie sześć tysięcy stron notatek pielęgniarek, wyników analiz, przepisów dawkowania leków, rezultatów badań szpiku kostnego, uwag lekarzy konsultacyjnych. W innych szufladach znajdowały się karty chorobowe wszystkich dwadzieściora ośmiorga żyjących powodów, wyniki ich badań kardiologicznych, psychomotorycznych, elektromiograficznych oraz psychiatryczne profile osobowości. Bezmyślnie zaczął liczyć szuflady w szafach. Jeden z jego podwładnych przygotował statystykę spisanych zeznań świadków. Było tego sto pięćdziesiąt dziewięć oprawionych tomów, liczących w sumie dwadzieścia trzy tysiące trzysta trzydzieści siedem stron. W sprawie miało zeznawać czterdziestu trzech biegłych. Facher nawet nie pamiętał nazwisk większości z nich, nic go nie obchodziły specjalistyczne opinie. Nie

miał czasu, żeby się z nimi zapoznać, a przecież zeznania trzydziestu sześciu ekspertów nie zostały jeszcze przepisane na maszynie.

Facher uświadomił sobie, że nie jest przygotowany do rozprawy. Potrzebował jeszcze co najmniej pół roku. Raz już, przed dwoma miesiącami, poprosił Skinnera o odroczenie terminu, ale sędzia nie potraktował jego prośby poważnie. Uznał wtedy, że adwokat nie miał wystarczająco mocnych argumentów. Zresztą zgłosił prośbę w luźnej rozmowie, a słowa prawników, jak sam mawiał, są bardzo tanim towarem.

Postanowił ją teraz ponowić, lecz tym razem w formie pisemnego wystąpienia do sędziego, w którym mógł się powołać na swoją reputację i doświadczenie. Z zasady nie lubił tego rodzaju pism.

– Z Nowego Jorku dotarła do nas moda zasypywania sądów osobistymi wystąpieniami prawników – powiedział kiedyś. – To niegodne profesjonalisty.

Ale w tej sytuacji czuł się usprawiedliwiony. Zaczął następująco:

„Nazywam się Jerome Facher i jestem starszym wspólnikiem kancelarii Hale’a i Dorra. Od 1976 roku kieruję sekcją procesową. Mam wielkie doświadczenie w prowadzeniu złożonych spraw wszelkiego typu, dotyczących zasad obrotu papierami wartościowymi, przepisów handlowych, prawa antytrustowego, odpowiedzialności producenta, tajemnic handlowych, zastrzeżeń technologicznych, prawa patentowego, reguł bankowości...”

Dalej pisał, że „z medycznego i naukowego punktu widzenia jest to najbardziej skomplikowana sprawa, jaka kiedykolwiek była rozpatrywana w sądach tego stanu”. Szacował, że rozprawa potrwa „od siedmiu miesięcy do roku czy nawet dłużej”. Jeszcze raz przeliczył szuflady, zsumował grubość dokumentów i napisał w wystąpieniu: „Według pobieżnych szacunków objętość zgromadzonych dotąd sprawozdań lekarskich, technicznych i prawniczych jest taka, że gdyby je ułożyć w kolumnę, osiągnęłyby wysokość osiemnastu metrów, a więc pięciopiętrowego budynku”.

Poprosił o przesunięcie rozprawy o siedem miesięcy, do września, i na zakończenie dwudziestostronicowego pisma wyjaśnił sędziemu, że wystosowuje je niezbyt chętnie, „po dogłębnym namyśle i zastanowieniu, jako że odraczenie spraw kłóci się z adwokackim doświadczeniem i tradycją, według której powinno się być zawsze gotowym do przedstawienia sprawy czy to przed sądem okręgowym, czy federalnym. Po raz pierwszy występuję o przełożenie terminu rozprawy i na pewno nie wystąpię z drugim takim wnioskiem”.

Sformułowanie pisma zajęło mu tydzień, gdyż równocześnie musiał uczestniczyć w przesłuchaniach. Była to prośba osobista, ale nie uwłaczała jego zawodowej godności. Odczuwał nawet dumę. Skończył pisać w niedzielę wieczorem, miał więc nadzieję, że sędzia zdąży się zapoznać z tą prośbą przed kolejnym posiedzeniem wyznaczonym na środowe popołudnie.

Skinner nie zdążył jednak przeczytać pisma przed rozmową z rzecznikami obu stron. Mówiąc prawdę, nawet nie zwrócił na nie uwagi wśród wielu innych

wniosków formalnych, jakie zgromadziły się na jego biurku. Musiał dość długo przerzucać stertę papierów, zanim je w końcu odnalazł.

– Chciałbym, żeby Wysoki Sąd poświęcił parę minut na zapoznanie się z nim – powiedział Facher wyraźnie złkniętym tonem.

Przy stole powodów Schlichtmann, siedzący między Nessonem i Conwayem, czekał spokojnie, aż sędzia przejrzy pismo. Spojrzał na ciemnoszare zimowe niebo za oknem i zwrócił uwagę, że zaczął padać śnieg. Zdawał sobie sprawę, że jeśli Skinner przyjmie prośbę Fachera, minie lato i proces rozpocznie się dopiero jesienią. Wiedział też, że stan finansów kancelarii nie pozwoli mu dotrzeć do września. Wydawali na przygotowania prawie tysiąc dolarów dziennie i nic nie wskazywało na to, by koszty miały się nagle zmniejszyć.

– Od siedmiu miesięcy do roku czy nawet dłużej?! – wykrzyknął zdumiony sędzia, unosząc głowę znad pisma. – Nie pozwolę, aby rozprawa trwała tak długo. Wiem, że niektórzy adwokaci uwielbiają zanudzać sędziów, ale ja na to nie pójdę. Nie pozwolę, by przesłuchania świadków ciągnęły się w nieskończoność.

Wrócił do lektury. Kiedy skończył czytać, spojrzał w zamyśleniu na Fachera i rzekł:

– Świetnie rozumiem, jak trudno jest działać pod presją nadgorliwego sędziego, któremu zależy na jak najszybszym usunięciu sprawy z wokandy. Jednak równie trudno jest nagle przerwać wszelkie przygotowania i odłożyć sprawę na pół roku. To byłaby straszna strata czasu.

Kiedy tego popołudnia Facher wkroczył na salę obrad, był niemal pewien, że jego prośba odniesie skutek i sędzia zgodzi się na odroczenie. Dopiero teraz zrozumiał, że argumenty spisane w wystąpieniu są dla Skinnera niewystarczające.

– Serdecznie proszę, nawet błagam Wysoki Sąd – odparł Facher. – Bóg mi świadkiem, że nie zamierzam przerywać prac nad tą sprawą. Uważam tylko, że dotrzymanie wyznaczonego terminu jest nierealne. Musimy ściągnąć wszystkich świadków i przygotować ich do składania zeznań. Chcielibyśmy też sprawdzić kilka nowych hipotez, a to wcale nie jest proste.

Schlichtmann z rosnącym zdumieniem słuchał błagań starego wygi. Zauważył, że Nesson coś notuje. Zerknął mu przez ramię i odczytał: „To wcale nie jest proste – Jerry Facher, 29 stycznia 1986 r.”

Sięgnął po swój długopis i dopisał pod spodem: „A z naszej strony?”

„Na razie tak”, odparł profesor, a po chwili dodał: „Lepiej się nie łudzić, że zaczniemy rozprawę w lutym”.

– Pracuję na okrągło, po nocach, w niedziele i święta – ciągnął Facher. – Odłożyłem wszystkie inne prowadzone sprawy. Jak dotąd najwyżej raz przyznałem się, że nie jestem przygotowany do procesu. Tu naprawdę nie chodzi o żadne wykręty, nie próbuję Wysokiemu Sądowi wmawiać, że moja babcia umiera po raz trzeci czy czwarty z rzędu.

– Niczego takiego nie sugerowałem – odparł Skinner.

Schlichtmann doszedł do wniosku, że powinien zabrać głos w dyskusji.

– Strona powodowa jest gotowa do rozprawy, Wysoki Sądzie. My nie traciliśmy czasu. Pan Facher twierdzi, że nie miał kiedy zapoznać się z wszystkimi

sprawozdaniemi. Ja zdążyłem. Ostatnio przesłuchiwałem po ośmiu świadków dziennie...

– Daj spokój, Janie – skrzywił się Facher. – Robiłeś to tak, jakby ci nie zależało na ich zeznaniach. Zupełnie inaczej prowadzi się uważne, szczegółowe przesłuchania...

– Wcale nie jestem pewien. Sporo się od nich dowiedziałem.

– Jeśli odroczyliśmy rozprawę – zwrócił się sędzia z uśmiechem do Fachera – damy panu Schlichtmannowi sposobność do jeszcze lepszego przygotowania materiałów.

– Nie inaczej – ochoczo przytaknął Jan. – Kiedyś wreszcie trzeba powiedzieć: dość, i przedstawić sprawę przysięgłym. Wiem, że obrona jest równie dobrze przygotowana jak ja. Prowadzą ją doskonali prawnicy. Trudno znaleźć lepszych. Jestem zaszczycony, że będę występował przeciwko nim.

Facher zignorował ten gołosłowny komplement.

– Zawsze byłem dumny ze sposobu przygotowania sprawy – powiedział do Skinnera. – Ale tej nie potrafię tak samo przygotować. Czy można wywierać presję na jedną ze stron, jeśli rzecznik mówi wprost: „Po prostu nie dam rady, proszę mnie do tego nie zmuszać”? Jeśli nawet będzie to źle wyglądało w protokole, nie mogę powiedzieć nic innego. A proszę mi wierzyć, że z ciężkim sercem wyznaję prawdę, bo zaliczam się do ludzi dumnych.

– Mam taką propozycję – odparł sędzia. – Zacniemy rozprawę w terminie, wybierzemy skład przysięgłych, po czym odizolujemy ich najlepiej, jak tylko się da. Na pewno dałoby się zyskać miesiąc i rozpocząć właściwy proces w marcu. Co pan na to?

– Niewiele mi to pomoże. Nie zamierzam się targować z Wysokim Sądem, ponieważ nie należę do tych prawników, którzy we wszystkim przesadzają.

– Wcale nie twierdzę, że pańskie tłumaczenia są niewiarygodne. Gdyby chodziło o tydzień czy dwa, zgodziłbym się bez wahania. Uważam jednak, że powinniśmy zacząć rozprawę. Jedyne rozsądne wyjście jest chwycić byka za rogi i się z nim zmierzyć. – Skinner urwał na chwilę, po czym dodał, jak gdyby do siebie: – Całkowicie rozumiem stanowisko pana Fachera. Nie chciałbym być na jego miejscu.

– Jestem co najmniej rozczarowany – mruknął obrońca.

– To także w pełni rozumiem – odparł cicho sędzia. – Przykro mi.

Facher postanowił wykorzystać swą ostatnią szansę na odroczenie procesu.

– Chciałbym, żeby Wysoki Sąd osobiście się zaangażował w rozmowy na temat polubownego załatwienia sprawy. To bardzo ważna i delikatna kwestia, wymagająca interwencji Wysokiego Sądu. Mówię zupełnie szczerze, tym bardziej że nie czuję się najlepiej w tego rodzaju dyskusjach.

– O ile tylko istnieje szansa na polubowne rozstrzygnięcie – rzekł Skinner. – Nie chciałbym zasiadać do stołu z ludźmi, którzy w ogóle nie pragną ugody. – Spojrzał na Schlichtmanna i zapytał: – Czy godzi się pan na polubowne rozstrzygnięcie?

– Oczywiście – odparł szybko Jan. – Nie znam rzeczników strony powodowej, którzy by nie chcieli godziwej, rozsądnej ugody.

– Więc proszę go zapytać, jakiego żąda odszkodowania – rzekł ironicznie Facher. – Ciekaw jestem, czy udzieli konkretnej odpowiedzi, bo ja nie zdołałem jej uzyskać.

– Musi pan zaproponować jakieś warunki – powiedział sędzia Schlichtmanowi. – Chyba nie spodziewa się pan, że pozwany sam wystąpi z propozycją. Zatem czy jest pan przygotowany, żeby przedstawić realistyczne, a nie tylko formalne żądania ugodowego załatwienia sprawy?

– Oczywiście.

– Będzie pan mógł to zrobić jutro? – Nie czekając na odpowiedź, dodał: – Czasami i mnie zdumiewa, jak szybko można coś załatwić, jeśli tylko ujawnimy, czego ludzie naprawdę chcą. Główną siłą napędową dochodzenia odszkodowań za śmierć dzieci jest według mnie przytłaczające poczucie winy. Rzadko można spotkać rodziców, którzy pragną się tylko wzbogacić. Większość jest wręcz obrażona propozycją finansowej rekompensaty za życie utraconego dziecka. Ludzie chcą przede wszystkim odowodnić światu, że nie są winni tego, co się stało.

2

Było już ciemno, gdy wyszli z gmachu sądu. Mimo styczniowego mrozu podniecony Jan ruszył Milk Street w rozpiętym płaszczu. Dumnie kroczył obok Conwaya, swego Sancho Pansy, oraz Nessona, profesora z Harvardu. Przetrzywał oskarżenie o baraterię, upomnienia dotyczące materiału dowodowego, gniew Skinnera podczas konferencji w drewni i jawną wrogość sędziego pokoju. Teraz zaś uzyskał oddalenie prośby Fachera o odroczenie terminu rozprawy. Wreszcie naprawdę czuł, że jest gotów do procesu.

Po powrocie do biura zaczął entuzjastycznie wykrzykiwać. Sekretarki i aplikanci zebrali się w sali konferencyjnej, aby wysłuchać jego relacji z posiedzenia. Wieczorem musiał wszystko powtarzać, kiedy do kancelarii przyjechali Gordon z Phillipsem, a później jeszcze raz, gdy zjawili się Kiley i Neville.

– Jestem dumnym prawnikiem! Błagam Wysoki Sąd! – małpował Fachera. – Wyobrażacie sobie?! Ten stary wyga błagał sędziego o odroczenie! – Na koniec oznajmił buńczucznie: – Pozostaje tylko pytanie, jak wysoko wygramy!

Jeszcze tego wieczoru zebrali się wszyscy w restauracji „Hampshire House”, gdzie wynajęli całą boczną salę, żeby ustalić warunki ugody. Schlichtmann już zapewnił Skinnera, że nazajutrz przedstawi realną propozycję, lecz dotąd ani razu nie rozmawiali o wysokości ewentualnego odszkodowania, przynajmniej od czasu, kiedy Nesson dał do zrozumienia, że dwadzieścia cztery miliony w tej sprawie to nędzne kieszonkowe.

Po długiej dyskusji zdecydowali, że rozsądną propozycją będzie sto milionów dolarów. A tego wieczoru, zwłaszcza po wysłuchaniu błagalnych prośb Fachera, nikt już nie uważał takiej sumy za nierealną.

Później jednak Kiley zaczął mieć wątpliwości.

– W końcu to oni są gromadką zbuntowanej szlachty, a my rycerstwem wysłanym do zaprowadzenia porządku. Nie ma się co patyczkować, trzeba im cisnąć miecz na stół.

Okazało się, że i dla pozostałych sto milionów to trochę za mało.

– Szkoda przegapić taką okazję – rzekł Gordon. – Nic nas nie zmusza do uległości.

W końcu wszyscy przyjęli ten punkt widzenia i po dalszej dyskusji ustalili sumę stu siedemdziesięciu pięciu milionów dolarów. Zyskiwali więc możliwość zmniejszenia żądań do stu milionów, gdyby zaszła taka potrzeba. Co zrozumiałe, postanowili też, że nie będą się domagać jednorazowego wypłacenia tak dużego odszkodowania. Zamierzali przedstawić sensowny plan rozłożenia go na raty.

Schlichtmann przypomniał sobie, że sędzia kiedyś wspominał pewną dawną sprawę, w której część ugodowego odszkodowania posłużyła do utworzenia funduszu imienia chłopca zabitego w jakimś wypadku. Podsunął więc myśl, żeby i w tej sprawie pomyśleć o analogicznym funduszu. Ktoś inny powiedział, że byłoby lepiej, gdyby koncerty Grace'a i Beatrice Foods przekazały część pieniędzy na jakiś ośrodek leczenia białaczki, na przykład bostoński Instytut Onkologiczny imienia Dany Farber. Padła też propozycja, aby zasilić budżet uniwersyteckiej komórki ochrony środowiska.

Gordonowi bardzo spodobał się ten pomysł.

– W końcu większość zainteresowanych kończyła Harvard – rzekł. – Wszyscy ucieszą się z takiego rozwiązania.

– Można też podzielić pieniądze i dać część Uniwersytetowi Bostońskiemu – wtrącił Kiley.

Po jakimś czasie zapadła decyzja, żeby zażądać dwudziestu pięciu milionów dla jakiejś fundacji walki z białaczką, kolejnych dwudziestu pięciu w gotówce, a reszty płatnej w ratach poszkodowanym rodzinom przez trzydzieści lat.

Gordon zdjął marynarkę, podwinął rękawy i zaczął robić obliczenia na kalkulatorze. Wkrótce leżała przed nim sterta zapisanych kartek. Do tej pory kilkakrotnie miał do czynienia z milionowymi odszkodowaniami, raz uczestniczył nawet w podziale trzech milionów, ale nigdy dotąd nie operował tak wielkimi sumami. Jeśli zakładał, że wraz z odsetkami każda z rodzin otrzyma milion dolarów rocznie, wychodziły mu wręcz niewiarygodne miesięczne dochody – ponad osiemdziesiąt trzy tysiące miesięcznie. Zaproponował więc, żeby rozważyć jednorazową większą wypłatę.

– Daj spokój, Gordon – mruknął Schlichtmann. – Postaraj się. Wykombinuj coś, żeby te sumy nie szokowały aż tak bardzo.

Conway zaczął nerwowo krążyć po sali. Pochylił się nad Gordonem i popatrzył na kolumny wypisywanych liczb. Wreszcie przypalił papierosa, westchnął ciężko i rzekł do Jana:

– To czyste szaleństwo. Jeśli zażadasz takiego odszkodowania, obrona zaśmieje ci się w nos i zerwie negocjacje.

Schlichtmann chyba spodziewał się po nim takiej reakcji, gdyż odparł lekceważącym tonem:

– Nie kracz. Zobaczysz, że będą się targować przez cały dzień.

Conway miał poważne powody do zmartwień. Jego dom w Wellesley należał teraz do Banku Bostońskiego, został oddany w zastaw za pożyczkę. Gordon poszedł bowiem do Wujka Piotrusia po kolejny kredyt i ten się zgodził pod warunkiem otrzymania solidnych gwarancji. W zastaw poszły trzy nieruchomości, mieszkanie Schlichtmanna oraz domy obu jego współników.

I Conway skojarzył teraz, z jakim trudem zdołali przekonać bankiera, że ta sprawa jest warta dwadzieścia cztery miliony dolarów. Tymczasem dzielili obecnie niemal ośmiokrotnie większą sumę.

– To naprawdę czyste szaleństwo, Janie – powtórzył.

Schlichtmann zaśmiał się gardłowo. Uważał go za mięczaka, lecz wobec tylu osób jedynie pokręcił głową i odparł:

– Czemu ty zawsze przewidujesz najgorsze, Kevin?

Conway poczuł się osamotniony. Nie mógł wyłożyć swoich racji Janowi, który wraz z innymi pochylał się nad stołem i w ogóle nie zwracał na niego uwagi. Nesson i Kiley bez reszty pochłaniały rachunki. Nawet jego stary przyjaciel, Tom Neville, dotąd cyniczny i rzeczowy, dał się ponieść magicznemu urokowi wielkich liczb.

Conway pomyślał, że być może to on w tym gronie oszalał. Dlaczego nie ogarniała go taka sama euforia jak pozostałych? Nie mógł jednak zapomnieć o tym, że jego dom jest zastawiony w banku. Wziął od Gordona jeszcze jednego papierosa, usiadł przy drugim końcu stołu i w zamyśleniu popatrzył na gromadkę podskcytowanych przyjaciół. Nesson i Kiley napierali ramionami na Schlichtmanna, a Phillips pochylał się nad ramieniem Gordona, który przypalał jednego papierosa od drugiego i zaciekle bębnił palcami w klawisze kalkulatora.

Dopiero po paru minutach Phillips usiadł obok niego.

– I co myślisz? – zagadnął.

– Wprost nie mogę uwierzyć własnym oczom. Ulegacie magii liczb – odparł z goryczą w głosie.

– To przejdzie – mruknął tamten pojednawczo.

Conway niezbyt wiedział, jak to rozumieć. Phillipsa również ogarnęła ta dziwna gorączka, to on przypominał, że zakłady Grace'a są ubezpieczone na ćwierć miliarda od nieumyślnego skażenia środowiska, a wartość rynkową Beatrice Foods ocenia się w przybliżeniu na siedem miliardów dolarów.

– To szaleństwo, Mark – odparł cicho. – Sam o tym wiesz. Nikt się nie zgodzi wypłacić takiego odszkodowania. Facher rzuci krótko: „Pocałujcie mnie w dupę”. Odwróci się na pięcie i wyjdzie z sali.

Tego wieczoru nikt jednak nie chciał słuchać Conwaya.

Pod koniec zaczęli omawiać warunki, w jakich należało zorganizować negocjacje. Gordon już zarezerwował słyńczącą z kryształowych kandelabrow salę Wendella Phillipsa w hotelu „Four Seasons”. Jej okna wychodziły na przylegający do bostońskiego rynku park Public Garden i pomnik Wendella Phillipsa, stryjecznego dziadka Marka. Kiedyś Schlichtmann i Conway w towarzystwie Gordona i Phillipsa wynegocjowali w tej sali korzystne warunki ugody z towarzystwem ubez-

pieczającym Szpital Bostoński. Uczcili to butelką słodowej szkockiej whisky za pięćdziesiąt dolarów, a później poszli do parku, gdzie Mark wdrapał się na postument i na brązowym czole swego słynnego przodka, stojącego w pozie heroiczno-oratorskiej, złożył serdeczny pocałunek.

W hotelu „Four Seasons” Gordon zamówił także śniadanie: świeżo wycisnięty sok pomarańczowy, arbuzy, kawę, rogaliki i ciastka, nie licząc świeżych kwiatów i zabytkowych srebrnych pucharków na wodę mineralną. Gdyby wszystko poszło po ich myśli, nie trzeba by się martwić kosztami tego spotkania. W ogóle nie trzeba by się już przejmować sprawami finansowymi. Dlatego Gordon poczynił również wstępne ustalenia w kwestii lunchu (który miał być zakropiony, jak to określili, „awansowanym” winem) oraz kolacji, bo nie wykluczał, że negocjacje się przeciągną.

Schlichtmann zaproponował, żeby wszyscy usiedli po jednej stronie długiego owalnego stołu, na wprost okna wychodzącego na park. Nie chciał, aby Facher, Cheeseman i ich koledzy czuli się nieswojo w słońcu świecącym im prosto w oczy. Sam zamierzał usiąść pośrodku, między Gordonem i Phillipsem. Dalej z jednej strony powinni się znaleźć Conway z Crowleyem, z drugiej zaś Nesson i Kiley.

Profesor bardzo się z tego ucieszył, ponieważ nigdy dotąd nie uczestniczył w podobnych pertraktacjach.

– Widzę, że szykujecie prawdziwie hollywoodzki scenariusz – rzekł z uśmiechem.

Zgodnie z planem Schlichtmann miał najpierw przedstawić program obrad, a potem omówić zakres odpowiedzialności towarzystw ubezpieczeniowych oraz kierownictwa obu firm. Zamierzał zmusić obrońców do przyjęcia klauzuli, według której zarządy spółek miałyby się publicznie przyznać do winy i zobowiązać do oczyszczenia doliny Aberjony. Dopiero wtedy głos miał zabrać Gordon i przedstawić warunki wypłaty odszkodowania w wysokości stu siedemdziesięciu pięciu milionów dolarów.

– W co się ubierzesz? – zapytał Gordon Schlichtmanna.

– Czarny garnitur i wiśniowy krawat. Czerwony to kolor zaangażowania.

– Czarny rezerwowałeś dotąd wyłącznie na rozprawę, a to będzie właściwie spotkanie handlowe. Powinieneś włożyć szary. A ty, Mark? Przyjdiesz jutro w granatowym garniturze? – zwrócił się do Phillipsa. – Nie wygląda już najlepiej. A ty, Kevin?

Conway przysłuchiwał się temu wszystkiemu z rosnącym obrzydzeniem.

– Włożę coś specjalnego – odparł.

– Tylko nie bierz krawata z rysunkiem wilka, są na nim tłuste plamy – ostrzegł Schlichtmann. – I daruj sobie tę marynarkę, którą kiedyś upaakałeś lodami, a twoja żona próbowała ją doprać w pralce.

3

Cheeseman w towarzystwie dwóch kolegów zjawił się w hotelu „Four Seasons” punktualnie o dziesiątej. W holu powitał ich Schlichtmann, który serdecz-

nie uściśnął dłoń przeciwnikowi. Było to o tyle niezwykle, że przez ostatni rok obaj widywali się niemal codziennie i nigdy dotąd nie podawali sobie ręki. Podeszli do stołu bufetowego, gdzie w wielkim srebrnym ekspresie stała zaparzona kawa, na talerzach piętrzyły się stopy rogalików i owoców. Schlichtmann próbował zagaić rozmowę, ale się nie kleiła.

Conway wyglądał przez okno na ośnieżony pomnik Wendella Phillipsa na skraju parku i nie mógł przestać myśleć o swoim domu, którego akt własności spoczywał obecnie w sejfie Wujka Piotrusia. Wciąż nie potrafił się przełamać, żeby powiedzieć żonie o tym, że zgodził się na zastaw. Nie umiał dobrać odpowiednich słów.

Facher spóźnił się dziesięć minut. Wkroczył do holu u boku Frederico, uśmiechnął się przyjaźnie i uściśnął dłoń Schlichtmanna, a następnie Nessona. Przeprószył za spóźnienie i wyjaśnił, że musieli iść z biura na piechotę, bo on nie cierpiał wydawać pieniędzy na taksówki. Zdejmując płaszcz, niby mimochodem powiedział Nessonowi, że dostał właśnie „swój fotel” na Harvardzie.

Nesson wydawał się zaszokowany. Dotąd nie podejrzewał, że Facher cieszy się taką reputacją, żeby objąć samodzielną katedrę na uczelni.

– Co to za... fotel?

– Czarny, skórzany, z poręczami. Do ramy oparcia jest przykręcona mosiężna tabliczka z moim nazwiskiem. Dostałem go od swoich studentów.

Profesor zaśmiał się gardłowo i pogratulował Facherowi.

Kilka minut później prawnicy zajęli wyznaczone miejsca przy stole. Schlichtmann zaczął mowę od wyliczenia spraw prowadzonych w kancelarii, nadmieniwszy, że ostatnio cały zespół zajmował się wyłącznie sprawą Woburn. (Chciał w ten sposób dać do zrozumienia, że nic go już nie powstrzyma i jest gotów do rozprawy). Później stwierdził, że warunki ugody muszą ekonomicznie zabezpieczyć rodziny powodów i zapewnić środki na ewentualne leczenie w przyszłości. Ale pieniądze to nie wszystko. Mieszkańcy Woburn żądają przyznania się do winy oraz pełnego ujawnienia przypadków zanieczyszczenia środowiska.

– Czyżbyś sugerował, że coś nie zostało jeszcze ujawnione? – zapytał Facher.

– Nie – odparł szybko Jan, który dokładnie to miał na myśli, tylko nie chciał wszczynać niepotrzebnych sporów. – Zależy nam, by taki punkt pojawił się w tekście porozumienia, gdyż przekonaloby to sędziego.

Innym warunkiem ugody, jak szybko dodał, byłaby zgoda pozwanych firm na sfinansowanie rekultywacji doliny rzeki, zarówno oczyszczenia wód podziemnych, jak i usunięcia wszelkich hałd śmieci oraz odpadów przemysłowych.

Żaden z obrońców niczym się dotąd nie poczęstował. Tylko Facher w trakcie mowy Schlichtmanna sięgnął po miętówkę, rozwinął ją z namaszczeniem, włożył do ust i zaczął ssać, mlaskając.

Jan mówił przez kwadrans, wreszcie udzielił głosu Gordonowi, który przedstawił warunki finansowe ugody: roczne odszkodowania w wysokości półtora miliona dolarów dla każdej z poszkodowanych rodzin, płatne w ratach przez trzydzieści lat, a poza tym dwadzieścia pięć milionów na rzecz fundacji, która zajęła-

by się badaniem wpływu zanieczyszczenia środowiska naturalnego na stan zdrowia ludzi, i kolejne dwadzieścia pięć milionów płatne od razu w gotówce.

Cheeseman i jego koledzy zapisywali wszystkie padające liczby. Natomiast Facher tylko z zainteresowaniem oglądał wieczne pióro, w jakie zaopatrzył ich zarząd hotelu. Jego uwagę całkowicie pochłaniała złota inskrypcja na oprawce. Było to wysokiej jakości, markowe pióro. A żądania adwokatów od razu uznał za nierealne. Świadczyły wyraźnie, że Schlichtmann albo postradał zmysły, albo wcale nie zależało mu na ugodzie. Zapewne wołał doprowadzić do rozprawy. Fachera śmieszyła wystawna oprawa spotkania i usadowienie liczego zespołu adwokatów po jednej stronie długiego stołu, według wzoru *Ostatniej wieczerzy*. Bez przerw jednak zadawał sobie pytanie: Skąd oni biorą na to wszystko pieniądze?

Kiedy Gordon skończył, nastąpiła grobowa cisza.

Facher oderwał wreszcie wzrok od pióra. Uniósł głowę i mruknął:

– Gdyby nie wrodzona kultura, powiedziałbym wam szczerze, co możecie zrobić z tymi żądaniami.

Cheeseman pospiesznie zsumował wszystkie liczby. Według prowizorycznych obliczeń Schlichtmann domagał się wypłaty czterystu dziesięciu milionów dolarów w ciągu trzydziestu lat.

– Ile pieniędzy trzeba by wyłożyć już teraz? – zapytał.

– Trudno powiedzieć – odparł Gordon. – To zadanie dla waszych specjalistów od inwestycji.

Facher wziął rogalik z talerza, starannie zapakował w serwetkę i wsunął do kieszeni. Nie chciał zakończyć poczęstunku na jednej miętówce, skoro Gordon na cześć obrony urządził aż tak wystawne przyjęcie.

Tymczasem Cheeseman zadał kilka ogólnikowych pytań dotyczących innych warunków proponowanej ugody, na które odpowiedział Schlichtmann.

Facher z powrotem skupił się na wiecznym piórze.

– Czy mogę je sobie wziąć? – spytał w końcu, zerkając na Jana.

Ten, skrajnie zdumiony, przytaknął ruchem głowy.

Obronca wsunął je do kieszonki marynarki i rzekł:

– Ładne pióro. Dziękuję.

Po czym wstał, sięgnął po płaszcz i ruszył do wyjścia. Frederico, który nie odezwał się ani jednym słowem, poszedł w jego ślady.

Cheeseman również wstał i wraz z kolegami wyszedł z sali.

Schlichtmann został sam z przyjaciółmi przy wielkim stole. Speszony Gordon spojrzął na zegarek. Spotkanie trwało dokładnie trzydzieści siedem minut. Powiedział to głośno i zaraz dodał:

– Spotkamy się na sali sądowej.

Jan szybko otrząsnął się z zaskoczenia. Popatrzył na przyjaciół, wzruszył ramionami i rzekł:

– W takim razie za dwa tygodnie zaczniemy wybierać skład przysięgłych. Oni ustalą wyrok.

Conway podniósł się, przeszedł w kąt sali i zapalił papierosa. Nie miał ochoty na rozmowę, zresztą nie było o czym rozmawiać. Tak zwana konferencja ugo-

dowa nie przyniosła żadnych rezultatów, nie uzyskali nawet jakiegokolwiek informacji ze strony obrońców. Po kilku minutach włożył płaszcz i razem z Crowleym ruszył Tremont Street w kierunku biura. Nie był pewien, co się naprawdę wydarzyło w sali hotelowej.

– Czy Facher powiedział: „Pocałujcie mnie w dupę”, czy tylko mi się wydawało? – zapytał kolegę.

– Nie powiedział. Ale dał to wyraźnie do zrozumienia.

Jeszcze tego samego dnia sędzia Skinner dowiedział się, że rozmowy nie owocowały podpisaniem ugody. Na szczęście nie dopytywał się o wielkość żądań, co Schlichtmannowi było tylko na rękę.

– Padła bardzo złożona propozycja – powiedział mu Facher. – Nie chcę się wdawać w szczegóły, przyznam jednak, że na mnie osobiście nie zrobiła większego wrażenia.

Nikt już nie wracał do tego tematu przez następne dwa tygodnie, do czasu rozpoczęcia procesu. Tego ranka, przed pierwszym posiedzeniem w sprawie wyboru składu przysięgłych, w drodze do pracy Skinner przeczytał w autobusie zamieszczony w „Boston Globe” wywiad z Anne Anderson, w którym kobieta twierdziła, że odszkodowanie nie jest dla niej najważniejsze. „Byłyby to, ściśle rzecz biorąc, zakrwawione pieniądze – powiedziała reporterowi. – Przede wszystkim chciałabym usłyszeć: Tak, popełnił się błąd”.

W swoim gabinecie sędzia rzekł Schlichtmannowi:

– Pani Anderson rozgłasza w prasie, że nie dba o finansową rekompensatę. A jeśli faktycznie pieniądze nie są dla niej najważniejsze, to czemu nie doszło do polubownego załatwienia sprawy?

Jan zaśmiał się cicho, lecz zabrzmiało to tak, jakby z czystej kurtuazji zmusił się do śmiechu po usłyszeniu kiepskiego żartu.

– Cha, cha – zawtórował Skinner, wyraźnie pokpiwając z jego reakcji. – Więc jednak komuś zależy na pieniądzech.

– Owszem, zarządom pozwanych firm – odparł Schlichtmann, nabrawszy podejrzeń, iż sędzia dowiedział się o wygórowanych żądaniach propozycji ugody.

– Jeśli to nie pan chce się wzbogacić na tej sprawie, to powinno jednak dojść do porozumienia – ciągnął sędzia.

Jan z politowaniem pokiwał głową.

– Dlaczego więc nie wyjaśni pan tego swojej klientce? Niech nie sądzi, że w tej sprawie nie chodzi o pieniądze.

4

Wybór składu przysięgłych rozpoczął się w wyznaczonym terminie, we wtorek o dziewiątej, w połowie lutego. Jak można było oczekiwać, Cheeseman i jego

wspólnicy zaplanowali kolejny manewr. Na tej podstawie, że wskutek nieprzychylności opinii publicznej koncern Grace'a nie może oczekiwać bezstronności sędziów, złożyli wniosek o przeniesienie rozprawy w inne miejsce, na przykład do Bangor w stanie Maine.

– Mam to traktować poważnie? – zdziwił się Skinner. – Bangor jest siedzibą kilku federalnych instytucji wymiaru sprawiedliwości. Czyżbyście chcieli uciekać z deszczu pod rynnę?

Schlichtmann nie musiał nawet zabierać głosu w tej kwestii. Ale i on zdawał sobie sprawę z nastawienia opinii publicznej. Bardzo popularny program telewizyjny *Sześćdziesiąt minut* zamierzano wkrótce poświęcić w całości sprawie Woburn, opierając się przede wszystkim na tym, co on powiedział w prywatnej rozmowie jego producentowi, Davidowi Gelberowi. Reporter Ed Bradley montował już zdjęcia nakręcone w Woburn, po którym ekipę oprowadzała Anne Anderson, oraz wywiad z Alem Love'em i jego żoną, jaki zarejestrował w ich domu, przy stole kuchennym.

Dlatego sędzia Skinner przykładał tak dużą wagę do wyboru ławy przysięgłych. Zazwyczaj przepytawał wstępnie około pięćdziesięciu kandydatów na sali rozpraw. Tym razem jednak postanowił zorganizować indywidualne rozmowy w zaciszu swojego gabinetu, oczywiście, w obecności rzeczników obu stron, lecz pełniących wyłącznie rolę obserwatorów.

Dla Schlichtmanna idealny zespół sędziów powinien się składać z dwunastu gospodyń domowych, podobnych z charakteru do Anne Anderson i wychowujących kilkuletnie dzieci. Facher w ogóle nie pragnął żadnego składu przysięgłych, a już najmniej złożonego z młodych matek. Tak się złożyło, że już pierwsza na liście kandydatką była młoda i ładna, elegancko ubrana kobieta wychowująca dwoje dzieci w wieku czterech i sześciu lat. Sędzia zadawał jej pytania przez dziesięć minut. Czy ma jakichś znajomych w Woburn? Czy kiedykolwiek pracowała z chemikaliami? Czy ktoś w jej rodzinie chorował na białaczkę? Czy mieszkała kiedyś w okolicy, gdzie ujęcia trzeba było zamknąć z powodu zanieczyszczenia wody? Czy słyszała bądź czytała cokolwiek na temat tej sprawy? W odpowiedzi padały same zaprzeczenia.

Później sędzia wyjaśnił, że sprawa dotyczy kilkorga dzieci, które zmarły na białaczkę, a strona powodowa obwinia za ich śmierć dwa duże przedsiębiorstwa. Czy te okoliczności nie zawierają żadnych elementów, które mogłyby jej unie możliwić rzeczową i bezstronną ocenę materiału dowodowego?

Kobieta zamyśliła się na chwilę.

– Nie, chyba nie – odparła.

– Sama pani wychowuje dwoje małych dzieci. Czy one też nie będą przeszkodą?

– Nie sądzę.

– Zatem uważa pani, że potrafi zachować bezstronność?

– Tak.

Skinner podziękował kandydatce i poprosił, by zaczekała na korytarzu.

– Są jakieś zastrzeżenia? – zapytał adwokatów.

– Niezależnie od tego, co powiedziała – zaczął Facher – moim zdaniem żadna matka nie będzie potrafiła rzeczowo ocenić dowodów i pokieruje się głównie uczuciami. Dla kobiet to niewyobrażalne wyzwanie.

– A co pan powie na ojca wychowującego kilkuletnie dzieci? – zagadnął sędzia.

– To co innego. Nie da się go porównać z kobietą, która przez dziewięć miesięcy nosiła płód w łonie.

To rzeczywiście był bezdyskusyjny wyróżnik.

– Śmierć małych dzieci u wszystkich budzi silne emocje – rzekł Skinner. – Nie sposób tego uniknąć. Ta kandydatka zrobiła na mnie wrażenie bardzo inteligentnej. Proponuję ją zaakceptować.

Skutek był jednak przeciwny. Każda ze stron dysponowała prawem do wyeliminowania sześciu kandydatów bez podania przyczyn i Facher szybko skorzystał z tej możliwości.

Wiele następnych osób szczerze, a czasem nawet ochoczo przyznawało, że ich zdaniem duże przedsiębiorstwa zatajają prawdę i beztrzęsco zatruwają środowisko. Niektórzy przytaczali tę opinię tylko po to, by się wykręcić od obowiązku sędziego przysięgłego. Inni otwarcie ją podzielali. Pewna trzydziestoletnia kobieta, mężatka, ale bezdzietna, przyznała się, że wcześniej mieszkała w innym mieście, gdzie woda wodociągowa była zanieczyszczona przez rafinerię.

– Różne świnstwa płynęły z wodą do wszystkich mieszkań i nikt nie robił nic, żeby to zmienić. Po prostu ludzie są bezradni wobec samowoli bogatych i wpływowych firm.

Została wykluczona.

Woźny z college’u, którego szwagierka miała anemię aplastyczną na skutek pracy z rozpuszczalnikami w stacji obsługi samochodów, powiedział:

– Śmiesz mnie, kiedy słyszę, że bogate firmy dbają o swoich pracowników.

Wykluczony.

Sześćdziesięcioletnia kobieta, sprzątaczką ze sklepu spożywczego, matka pięciorga dorosłych dzieci:

– Chyba jestem uprzedzona do wielkich przedsiębiorstw.

– Dlaczego? – zapytał sędzia.

– Bo moim zdaniem mają kupę forsy i mogą robić, co im się żywnie podoba, nie bacząc na obowiązujące przepisy.

Wykluczona.

Następna była pięćdziesięcioletnia, dobrze ubrana, wykształcona, która wspomniła, że jej mąż miał kiedyś „pewne kontakty” z firmą Fachera.

– Czy to znaczy, że byłaby pani stronniczką kancelarii Hale’a i Dorra? – zapytał Skinner.

– Niekoniecznie. Wystawili mężowi bardzo zawyżony rachunek.

I ona została wykluczona.

Schlichtmann żalował tych wszystkich kandydatów, zwrócił jednak uwagę, że sędzia wykluczał także osoby wyrażające się z sympatią o koncernach Grace’a i Beatrice Foods. Na przykład pewien emerytowany pracownik bostońskiej kolejowej stacji przeładunkowej powiedział o prezesie spółki Grace’a:

– Podziwiam Petera Grace’a, darzę tego człowieka najwyższym szacunkiem. Nie chciałbym, żeby stała mu się jakaś krzywda.

Prawnicy byli zaskoczeni takim oświadczeniem, a mężczyzna, zauważywszy ich zdziwione miny, wyjaśnił sędziemu:

– Prosił pan o szczerą odpowiedź.

Jego także wykluczyli.

Jeśli nie napotykali żadnych kłopotów, sędzia przesłuchiwał nawet osiemnaście osób dziennie. Kiedy indziej kończyli na dziesięciu. Piątego dnia Facher i Cheeseman wykorzystali swą ostatnią okazję do wykluczenia kandydata bez podania przyczyn, pięciokrotnie eliminowali młode matki. Ale Jan także spożytkował swoje szanse, bez wyjątku na mężczyzn, urzędników, inżynierów i pracownika banku. I oto szóstego dnia przeżył chwile grozy. W gabinecie sędziego pojawił się chemik wytwarzający różne preparaty dla pracowni farmaceutycznych. Mężczyzna przyznał, że z zawodową ciekawością śledził doniesienia prasowe w sprawie Woburn.

– Nie wierzę, aby prawnicy potrafili dowieść, że rozpuszczalniki wylewane w obu zakładach na ziemię były rzeczywistą przyczyną białaczki u dzieci – powiedział.

Sędzia podziękował mu za szczerość. Wylimitował kandydata, zaraz jednak popatrzył na Schlichtmanna, zachichotał i rzekł:

– No, no... Ktoś taki, gdy zabrakło już możliwości jego wykluczenia...

Jan uśmiechnął się krzywo.

– Rzeczywiście jestem całkiem bezbronny.

Był tak samo bezbronny, gdy następnym kandydatem okazał się pracownik firmy telefonicznej, który z klubu jachtowego znał wiceprezesa zakładów Grace’a.

– Jesteście przyjaciółmi? – zapytał sędzia.

– Nie, spotykamy się tylko czasami. On pewnie nawet mnie nie pamięta.

Skinner zaakceptował mężczyznę, a dostrzegłszy kwaśną minę Schlichtmanna, powiedział:

– No cóż, nigdy nic nie wiadomo. Może nosi w duszy jakąś urazę? Może prezes zajął mu kiedyś najlepsze miejsce na przystani?

Tak więc Facher i Cheeseman zyskali na swoją korzyść łącznościowca, za to Jan zdobył dla siebie emerytowaną pracownicę socjalną, wielką miłośniczkę natury udzielającą się w Audubon Society i stałą czytelniczkę pism przyrodniczych wydawanych przez Sierra Club, która przyznała otwarcie:

– Mniej czy bardziej zgadzam się z wyrażanymi tam opiniami.

W większości jednak w składzie przysięgłych znalazły się osoby akceptowane przez obie strony. Na przykład sześćdziesięcioletnia, energiczna kobieta, całkiem siwa, pulchna, o rumianej cerze, już na pierwszy rzut oka sprawiająca wrażenie dobrotliwej babci. Miała zresztą sześcioro wnuczat i wciąż pracowała w magazynie supermarketu.

– Może to was zaskoczy, ale jeżdżę wózkiem widłowym – oznajmiła.

Kiedy sędzia zapytał ją, czy ma wyrobione zdanie o tej sprawie, po dłuższym namyśle zaprzeczyła krótko. Zapadło napięte milczenie, Skinner przyglądał jej się uważnie.

– Chce pan wiedzieć, co naprawdę myślę? – zapytała w końcu kobieta, a gdy sędzia przytaknął, odparła: – Nie jestem pewna, czy ta kobieta nie chce się tylko wzbogacić, a ponieważ miała pod bokiem dużą, bogatą firmę... – Znacząco zawiesiła głos.

Mimo tego komentarza Skinner ją zaakceptował. Schlichtmann miał jeszcze wtedy możliwość wykluczenia kandydatki, ale postanowił ją zachować na lepszą okazję. Przeważało to, że magazynierka ma sześcioro wnucząt. Facher i Cheese-man również nie sprzeciwili się tej kandydaturze. Zapewne podobała im się opinia na temat motywów powódki.

Przez sześć dni trwały rozmowy z siedemdziesięcioma dziewięcioma kandydatami, zanim ostatecznie został wybrany sześciosobowy skład podstawowy oraz sześcioro przysięgłych w rezerwie. Najstarszy sędzia dobiegał siedemdziesiątki, najmłodsza z kobiet miała niewiele ponad dwadzieścia lat. W tym gronie znalazła się tylko jedna matka wychowująca małe dzieci, była jednak w rezerwie i nie mogła uczestniczyć w obradach ławy, dopóki nie zajęłaby miejsca w składzie podstawowym zamiast osoby wykluczonej. Wybrali trzech mężczyzn, kierownika zmianowego z firmy telekomunikacyjnej, pracującego na zlecenia malarza pokojowego i pracownika poczty. Wśród trzech kobiet oprócz zażywej magazynierki była organistka kościelna, matka czworga dzieci, oraz urzędniczka towarzystwa ubezpieczeniowego, właśnie ta najmłodsza, niezamężna i bezdzietna.

Prawnicy wiedzieli o przysięgłych tylko to, czego się dowiedzieli w trakcie tych rozmów. Dla Schlichtmanna – przynajmniej z pozoru – nie był to skład wymarzony, ale nie był też taki dla obrony. Sędzia doskonale zdawał sobie z tego sprawę, gdyż zamykając ten wstępny etap rozprawy, powiedział:

– Nikt wam nie gwarantował, że będziecie mieli takich sędziów, jakich chcecie. Gwarantowana jest natomiast bezstronność ławy przysięgłych.

5

Wybór składu sędziowskiego zajmował Schlichtmannowi całe dni. Dopiero wieczorami, po powrocie do kancelarii, mógł się nieco odprężyć, a wtedy zwykle cieszył się myślą, że doprowadził sprawę aż tak daleko. Teraz, gdy miała się zacząć rozprawa, Woburn przykuwało uwagę całego społeczeństwa. „The Washington Post” w obszernym artykule opisywał „bezprecedensową sprawę”, a „The New York Times” cytował ekspertów prawnych, według których proces „powinien stworzyć forum dla ogólnonarodowej debaty” w dziedzinie toksycznych odpadów przemysłowych i zachorowalności na raka. „Newsweek”, „Time” i „The New Republic” przytaczały wypowiedź sędziego Skinnera, który spodziewał się „astronomicznego” wyroku. Według „Business Week” sprawa Woburn miała się stać „kamieniem milowym” i wywołać „szerokie reperkusje dla przedsiębiorstw”.

Na razie jednak nie było żadnego „kamienia milowego”, rozprawa się jeszcze nie zaczęła. A sędzia Skinner podjął ważną decyzję dotyczącą sposobu, w jaki Schlichtmann powinien zaprezentować materiał dowodowy.

Zaczął się od luźnej rozmowy na temat przewidywań biegu procesu.

– Próbowałem sobie wyobrazić, jak będzie wyglądała ta rozprawa – powiedział Skinner adwokatom. – Łącznie mamy trzydziestu trzech powodów, więc samo wysłuchanie ich relacji o poniesionych stratach i przeżytych cierpieniach może być niewiarygodnie uciążliwe. To bardzo skomplikowana sprawa.

Wreszcie sędzia poprosił obie strony o przedstawienie krótkich pisemnych propozycji planu rozprawy.

Do tej pory Schlichtmann zakładał, że będzie mógł powoływać swoich świadków w takiej kolejności, jaka jemu odpowiada. Zwykle było to przywilejem rzecznika strony powodowej. Skinner zaczynał jednak wątpić, czy w tym wypadku utarte reguły zdadzą egzamin.

Jan zapytał o zdanie Nessona i profesor zaproponował, żeby „na próbę” przedstawić historię tylko jednej rodziny. Można było zacząć od przesłuchania Anne Anderson i przybliżenia sędziom przysięgłym kolejnych etapów choroby Jimmy’ego, jego podróży z matką na wizyty u doktora Trumana w szpitalu Massachusetts General, spotkań Anne z innymi matkami chorych dzieci i wreszcie podejrzeń, że białaczka jest wynikiem skażenia środowiska. Później można byłoby zaprezentować dowody przeciwko koncernom Grace’a i Beatrice Foods, wreszcie wysłuchać opinii biegłych, którzy omówiliby wpływ toksycznych rozpuszczalników na stan zdrowia ludzi.

Schlichtmannowi ten pomysł się spodobał. Nesson uważał, że i sędziemu powinien przypaść do gustu z kilku powodów. Przede wszystkim skutecznie rozwiązywał problem konieczności znużonego przesłuchiwania wszystkich powodów. Ponadto nawiązywał do rzuconej kiedyś przez Skinnera myśli o „seryjności” omawianych przypadków i ich wzajemnych podobieństwach.

Był jednocześnie urzeczywistnieniem najgorszych obaw Fachera. Od czasu wysłuchania opowieści Richarda Aufiero na temat okoliczności śmierci jego syna, czyli od półtora roku, obrońca powtarzał przy każdej okazji, że nie dopuści, aby przysięgli musieli się zapoznać z tą relacją. Zresztą kilkakrotnie próbował zrealizować swoje groźby – zaproponował milion dolarów za polubowną rezygnację z roszczeń wobec Beatrice Foods, chciał odsunąć Schlichtmanna od sprawy, organizując konferencję w drewni, wreszcie usiłował przełożyć termin rozprawy w nadziei, że Jan utraci pewność siebie.

Teraz zaś powstała kolejna sposobność, żeby uwolnić przysięgłych od konieczności wysłuchiwanie wzruszających zeznań powodów. Facher szybko podsunął sędziemu myśl, żeby najpierw rozważyć problem, czy rzeczywiście „trucizny” (Skoro Janowi tak zależy na tym określeniu, mogę go używać!) obecne w wodach podziemnych spłynęły z terenów należących do Beatrice Foods. Gdyby sędziowie zawyrokowali, że garbarnia nie odpowiada za skażenie, można by wycofać zarzuty przeciwko Beatrice Foods.

– Nie trzeba by przesłuchiwać wszystkich trzydziestu trzech powodów, którzy ze szczegółami opowiadaliby o śmierci dzieci i swoich cierpieniach – powiedział Skinnerowi.

Cheeseman także wolał uniknąć przesłuchiwania mieszkańców Woburn. Wraz ze współnikami przedstawił sędziemu kilka propozycji, z których najważniejsza sugerowała wstępne rozpatrzenie, czy faktycznie trichloroetylen powoduje białaczkę, bo zdaniem obrony to był najsłabszy punkt dowodów zgromadzonych przez Schlichtmanna.

Sędzia zarezerwował sobie tydzień na rozpatrzenie wszelkich propozycji. Ostatecznie przyjął plan z grubsza zgodny z sugestiami Fachera. W pierwszym etapie procesu, jak zakomunikował adwokatowi, chciał się skupić na zagadnieniu odpowiedzialności zakładów Grace'a i Beatrice Foods za skażenie wód podziemnych. Nazwał go „etapem wodociągowym”.

– Dopóki nie zostanie udowodnione, że szkodliwe odpady były wyrzucane na ziemię, a z nich toksyczne substancje przedostały się do wody, nie będzie żadnej sprawy. Bezcelowe stałoby się rozpatrywanie wszelkich innych zarzutów.

Gdyby jednak przysięgli uznali, że pozwane firmy odpowiadają za skażenie, tłumaczył dalej sędzia, w drugim etapie należy rozpatrzyć kwestie medyczne – czy faktycznie chemikalia wpłynęły na stan zdrowia mieszkańców i przyczyniły się do śmierci dzieci.

– Dopiero gdy przysięgli w tym zakresie podejmą decyzję na korzyść powodów – zwrócił się Skinner do Schlichtmanna – będzie pan mógł postawić pytanie: Ile było warte ich życie? Jak wielkim odszkodowaniem można komuś zrekompensować stratę dziecka? – zawiesił na chwilę głos, po czym mruknął sam do siebie: – Boże! Co to za pytanie?!

Facher bardzo się ucieszył z przyjęcia jego propozycji. Odnosił wrażenie, iż sędzia ma wyrzuty sumienia po odrzuceniu jego wniosku o półroczne odroczenie rozprawy. Zresztą Skinner niemal otwarcie się do tego przyznał. Przedstawiając adwokatowi plan etapu wodociągowego, wyjaśnił, zerkając na Fachera:

– W ten sposób nie będzie pan musiał podważać wszystkich zarzutów naraz. Zyskamy trochę czasu pomiędzy kolejnymi etapami rozprawy.

Z formalnego punktu widzenia taki podział wydawał się logiczny. Nawet Nesson uznawał jego zasadność, ale dostrzegał też niebezpieczeństwo. Przysięgli oczekiwali szczegółów ludzkiej tragedii, tymczasem musieli najpierw zapoznać się z nudnymi opisami form geologicznych i kierunków spływu wód podziemnych.

– Przecież to jest plan obrony – próbował protestować Nesson, lecz sędzia szybko uciszył go ruchem ręki.

– Nie, to mój plan.

– Zgadza się, to pański plan, lecz jeśli zaczniemy proces od rozpatrywania bezkrwawych i obojętnych zagadnień, a nie od ludzkiego dramatu, podziała to na korzyść obrony.

Skinner był jednak niewzruszony.

– Wiele się nad tym zastanawiałem, panie Nesson. Rozumiem pańskie stanowisko. Jak panu wiadomo, nie podjąłem pracy w tym sądzie zaraz po zrobieniu dyplomu, i doskonale zdaję sobie sprawę, że z waszego punktu widzenia należałoby maksymalnie ożywić procedurę, na przykład, mówiąc pańskimi słowami, od

razu wykazać bezduszość i głupotę ludzi, którzy zatruli wodę groźnymi truciznami... Rety, już sam zaczynam podsuwać propozycje bulwersującej mowy początkowej.

Dla Schlichtmanna ważniejszy od planu rozprawy był sam fakt, że do niej doszło. Na pewno wolałby w pierwszej kolejności powołać na świadka Anne Anderson, lecz mimo to nadal patrzył w przyszłość optymistycznie. Dostrzegał nawet pewne plusy tego planu Fachera, tylko nieco zmodyfikowanego przez Skinnera. W końcu grunty obu pozwanym przedsiębiorstw były skażone trichloroetylenem, a raczej nie mógł tego zrobić ktoś obcy. Przysięgli powinni szybko to zrozumieć. Tak więc etap wodociągowy, jak powiedział Nessonowi, był jego zdaniem najłatwiejszy. A wygrywając tę część, mogli bardzo zyskać w oczach sędziów, umocnić swą wiarygodność, tak bardzo potrzebną na etapie medycznym, dotyczącym przyczyn białaczki.

Nie uspokoiło to Nessona, ale Schlichtmann nie za bardzo się już przejmował zdaniem profesora. Po raz kolejny stawał przed ławą przysięgłych, a jeszcze nigdy dotąd nie przegrał. Ostatecznie Nesson był jedynie teoretykiem, nie miał żadnego doświadczenia procesowego.

Jan starał się też zapamiętać, że jego doświadczenie mało znaczy w porównaniu z rutyną Fachera.

6

Po wyborze składu przysięgłych Skinner dał obu stronom jeszcze dwa tygodnie na ostatnie przygotowania. W połowie drugiego, we wtorek wieczorem, do Schlichtmanna zadzwonił Neil Jacobs i przekazał, że chciałby podjąć drugą próbę ustalenia warunków polubownego wycofania zarzutów przeciwko Beatrice Foods. Jan zdziwił się trochę, że nie uczynił tego Facher, nie miał jednak nic przeciwko temu, by porozmawiać w sprawie ugody z Jacobsem.

Jeszcze tego wieczoru spotkali się w barze „Bay Tower Room”. Schlichtmann zastrzegł na wstępie, że jeśli Jacobs zamierzał poważnie negocjować, powinien przyprowadzić ze sobą kogoś z zarządu spółki, kto byłby upoważniony do podejmowania decyzji. Jacobs odparł, że wiceprezes naczelnego zarządu koncernu jest już w drodze z Chicago. Sprawiał jednak wrażenie zdenerwowanego. Nieśmiało poprosił Jana, by ten nie zaczynał rozmowy z prezesem od przedstawienia swych nierealnych żądań.

– Mam nadzieję, że nie powtórzy się historia z hotelu „Four Seasons”.

– W porządku, nie postawię cię w kłopotliwej sytuacji – zgodził się Schlichtmann.

Tym razem zrezygnowali z kosztownych przygotowań, nie wynajęli sali balowej i nie zamówili posiłków. I zgodnie z obietnicą daną Jacobsowi nie padły od razu wygórowane żądania. W piątek rano Schlichtmann, Conway i Gordon poszli do kancelarii Hale’a i Dorra na spotkanie z wiceprezesem zarządu Beatrice Foods, chudą, bardzo dużo palącą czterdziestolatką, Mary Allen. Na ostrożną pro-

pozycję trzydziestosześcioletniego odszkodowania zareagowała wrogo. Cisnęła długopisem o stół i nazwała to zdzierstwem, po czym rzuciła Schlichtmannowi w twarz, że Beatrice Foods to potężny koncern, przy którym on jest jak natrętny komar.

Zmartwiony Jacobs wyprowadził ją z sali, a po minucie wrócił sam. Powiedział, że pani Allen się wściekła, bo padła propozycja o wiele wyższa od tego, czego można było oczekiwać. Miał jednak dla przeciwników kontrpropozycję: po pół miliona dla każdej z rodzin powodów, łącznie cztery miliony dolarów.

– Co wy na to? – zapytał.

Dla Schlichtmanna najważniejsze było to, że Jacobsowi – a więc zapewne i Facherowi – bardzo zależy na polubownym załatwieniu sprawy. Odparł rzeczowo, że jedynym sposobem na osiągnięcie porozumienia jest wzajemne otwarte przedstawienie stanowisk obu stron.

Jacobs stwierdził jednak, że nie ma na to czasu, bo jest już piątek, a rozprawa ma się zacząć w poniedziałek rano.

– Musicie mi podać najniższą sumę, jaką możecie zaakceptować.

Schlichtmann pokręcił głową.

– Nic z tego nie wyjdzie. Nasza najniższa suma będzie dla was za wysoka, a wasza najwyższa za niska dla nas.

Jacobs jeszcze raz wyszedł z sali. Kiedy wrócił, przedstawił kolejną propozycję. Zastrzegł przy tym, że nie ma jeszcze uprawnień do oficjalnego złożenia oferty.

– Lecz jeśli się zgodzicie, zrobię wszystko, by te warunki zostały zaakceptowane. W każdym razie byłoby to około miliona dla każdej z rodzin. Takie odszkodowanie jest do przyjęcia?

Mimo dotychczasowych rozważań o miliardowych rekompensatach i wypowiedniach astronomicznego wyroku tę propozycję Schlichtmann musiał gruntownie przemyśleć. Jego firma tkwiła w długach. Wyłacone od ręki pieniądze mogłyby zostać wykorzystane na prowadzenie sprawy przeciwko zakładom Grace'a, a jednocześnie spora ich część trafiłaby bezpośrednio do rąk ludzi z Woburn. Co więcej, wyeliminowanie Beatrice Foods z grona pozwanych oznaczałoby zarazem uwolnienie się od Fachera, najtrudniejszego z przeciwników, umiejętnie komplikującego wiele spraw. Bez niego rozprawa przeciwko zakładom Grace'a byłaby łatwiejsza, a mocniejsze dowody z pewnością szybciej trafiłyby do przekonania sędziom przysięgłym.

Nie wolno było jednak dawać do zrozumienia, że Beatrice Foods jest bez winy. W końcu tereny należące do garbarni zostały zanieczyszczone trichloroetylenem, a on miał na to niezbita dowody. Co prawda Riley podczas przesłuchania utrzymywał, że w jego zakładzie nigdy nie używano tego rozpuszczalnika, ale zdaniem Schlichtmanna bezczelnie kłamał. Nie stanowiło żadnej tajemnicy, że dyrektor garbarni jest członkiem wybuchowym. Jan już po tym pierwszym spotkaniu ucieszył się z perspektywy wezwania go na świadka, miał bowiem nadzieję, że zdoła go szybko wyprowadzić z równowagi, a może nawet zdemaskować jego kłamstwa.

Nie wykluczał, że Jacobs i Facher także się tego bali, strach Jacobsa był świetnie wyczuwalny podczas spotkania. W końcu nie bez powodu wysunął propozycję zawarcia ugody, później zaproponował czteromilionowe odszkodowanie, a gdy zostało odrzucone, niemal w jednej chwili podwoił ofertę.

Kiedy po południu Mary Allen odjechała na lotnisko, Jan obiecał Jacobsowi, że zadzwoni do niego wieczorem i przedstawi swoje ostateczne warunki porozumienia.

Po powrocie do kancelarii zaczął je omawiać z Conwayem i Gordonem. Nie był jednak pewien, czy wolno mu informować o propozycji Jacobsa zainteresowane rodziny z Woburn. Nie chciał stwarzać dodatkowych problemów. Obawiał się, że część powodów będzie chciała przyjąć ofertę obrony, a część nie.

W gruncie rzeczy Jacobs wcale nie zaproponował ośmiomilionowego odszkodowania, obiecał tylko, że postara się je załatwić. Poza tym negocjacje nie zostały zakończone, bo Schlichtmann musiał jeszcze przekazać telefonicznie odpowiedź.

Dlatego zdecydował, żeby na razie rozpatrzyć sprawę w gronie wspólników. Zamknął się w swoim gabinecie z Conwayem, Crowleyem oraz Gordonem i przez dłuższy czas omawiali różne warianty postępowania. Wreszcie Schlichtmann sięgnął po słuchawkę, wybrał numer Jacobsa i – zwróciwszy uwagę, że przyjaciele wpatrują się w niego z napięciem – powiedział:

- Nasza ostateczna suma to osiemnaście milionów dolarów.
- Przez chwilę słuchał w milczeniu, wreszcie odłożył słuchawkę.
- I co powiedział? – zapytał szybko Gordon.
- Podziękował i obiecał, że telefonicznie przekaże odpowiedź.

Schlichtmann spodziewał się wiadomości jeszcze w piątek, lecz Jacobs nie zadzwonił. Przesiedział przy telefonie cały weekend, oczekując w każdej chwili reakcji obrony, ale bez rezultatu. Jacobs nie dał znaku życia do poniedziałku.

Rozprawa

1

Na sali panowała cisza, gdy Schlichtmann wstał od stołu i ruszył w stronę ławy przysięgłych. Miał na sobie delikatnie prążkowany popielatoszary garnitur, który dotychczas przynosił mu szczęście, oraz nowy czerwony krawat marki Hermès, prezent od Teresy. Zatrzymał się przed barierką, lecz nawet nie spojrzał na dwunastu sędziów. Stał z pochyloną głową i wzrokiem utkwionym w podłogę, lewą dłonią głaszcząc się po policzku jakby w głębokiej zadumie. Czuł na sobie uważne spojrzenia widzów.

Wygłoszenie mowy wstępnej w procesie budzącym zainteresowanie opinii publicznej wymaga od adwokata nie lada aktorskich umiejętności. Zaledwie parę minut wcześniej sędzia Skinner zajął miejsce za stołem sędziowskim i powiódł wzrokiem po widowni, na której ludzie siedzieli ściśnięci jak pasażerowie w wagoniku metra w godzinach szczytu, trzymając na kolanach płaszcze, teczki i torebki. Wiele osób stało pod tylną ścianą, między kolumnami.

– Nie mogę zezwolić, by ktoś stał na widowni – rzekł sędzia. – Ci z państwa, dla których zabrakło miejsc siedzących, proszeni są o wyjście z sali.

Ostatecznie w ławach, oddzielonych masywną dębową barierką od głównej części sali, pozostało dwieście osób. W pierwszym rzędzie zasiedli reporterzy sądowi i rysownicy z kilku stacji telewizyjnych. Na dalszych miejscach Jan wyłowił z tłumu swoją matkę z siwymi włosami starannie upiętymi w kok, Kathy Boyer i Teresę, a jeszcze dalej Rikki Klieman. Byli na widowni Wujek Piotruś, jak zawsze mający oko na swój zastaw, Gordon i Phillips, obaj z żonami, oraz wszyscy pracownicy kancelarii, nie wyłączając recepcjonistki zatrudnionej na pół etatu. Zjawił się także wielebny Bruce Young w swoim wyświechtanym garniturze, ale ze śnieżnobiałą koloratką pod szyją. Po drugiej stronie przejścia w pierwszych rzędach siedzieli słoczeni członkowie nowojorskiego zarządu koncernu Grace'a, wszyscy w eleganckich czarnych garniturach. Był wśród nich główny radca prawny spółki, przystojny, szczupły sześćdziesięciolatek o starannie ostrzyżonych siwych włosach. Jeszcze dalej pod ścianą zasiedli ich współtowarzysze

niedoli z koncernu Beatrice Foods, nie wyłączając Mary Allen, która ponownie przyjechała z Chicago. Na widowni była nawet jedna z córek Fachera, zacieka-wiona tą największą sprawą w długoletniej karierze ojca.

Brakowało natomiast tych, którzy powinni być najbardziej zainteresowani przebiegiem procesu. Schlichtmann z trudem zdołał wymóc na mieszkańcach Woburn, żeby nie przyjeżdżali do Bostonu. Było to podyktowane taktyką. Oba „wstępne” etapy rozprawy miały potrwać kilka miesięcy. On zaś się obawiał, że któryś z jego klientów może się zaśmiać w niewłaściwym momencie, drugi zrobi znużoną minę, inni będą się pojawiać na sali jedynie sporadycznie.

– Pomyślcie tylko, jak złe wrażenie zrobiliby to na sędziach przysięgłych – powiedział.

Ostatniej nocy w ogóle nie zmrzął oka. Teresa została u niego, ale koło północy zmorzył ją sen, gdy Jan wciąż nanosił poprawki na marginesach przepisanej na maszynie mowy wstępnej. Kiedy obudziła się o czwartej nad ranem, on nadal siedział przy biurku i półgłosem odczytywał tekst wystąpienia.

W sali rozpraw jak poprzednio wiekowe grzejniki delikatnie szumiały, biło od nich gorącym, lekko zatęchłym powietrzem. Początkowy szum na widowni, lekki gwar podekscytowanych głosów, szybko umilkł, kiedy Schlichtmann wstał od stołu. On jednak wciąż czekał ze wzrokiem utkwionym w podłogę. Milczał tak długo, że jego przyjaciele zaczęli się już niepokoić.

Wreszcie zacerpnął głęboko powietrza, uniósł głowę i popatrzył na mokre od deszczu szyby w oknie.

– Panie i panowie przysięgli – zaczął cicho. – Jest pewne miasto na północ od Bostonu, które nazywa się Woburn. Miasto jak wiele innych. Są w nim domy, szkoły, kościoły, zakłady przemysłowe. Ale Woburn czymś się wyróżnia z pozostałych. Zdecydowanie większą liczbą chorób i zgonów mieszkańców.

Mówił do przysięgłych tak, jakby oprócz nich nie było na sali nikogo, jakby prowadził przyjacielską pogawędkę ze znajomym w parku. Zostawił notatki kilka kroków dalej, na stole, przy którym siedzieli Nesson, Conway, Crowley i Kiley, ale nie musiał do nich zaglądać. Opowiedział sędziom o tragediach, jakie dotknęły rodziny z Woburn, a następnie, już znacznie ostrzejszym tonem, o zakładach Grace’a i Beatrice Foods. Zostanie udowodnione, mówił, że w tych dwóch przedsiębiorstwach praktykowano wylewanie resztek rozpuszczalników na ziemię, a toksyczne substancje skażyły ujęcia wody pitnej, skąd pompowano ją do sieci wodociągowej wschodniej części miasta.

– Zanieczyszczenie środowiska stało się skutkiem działalności firm, których kierownictwa to nie obchodzi, które zdawało sobie sprawę, że może w ten sposób zaszkodzić okolicznym mieszkańcom, a mimo to nie zrezygnowało z karygodnych praktyk.

Kiedy Jan skończył mowę, na sali przez kilkanaście sekund panowała grobowa cisza. Wreszcie Skinner ogłosił krótką przerwę. Dopiero teraz stłoczeni na widowni ludzie jak gdyby wszyscy naraz głośno odetchnęli. Wszczęły się dyskusje, część osób pośpieszyła do wyjścia. Schlichtmann usiadł z powrotem przy sto-

le, tyłem do widowni. Z emocji krew napłynęła mu do twarzy. Wspólnicy poklepywali go po plecach, uśmiechali się serdecznie.

Stoły adwokatów ustawiono w ten sposób, że obrońcy znaleźli się po obu stronach rzeczników powodów – reprezentanci Beatrice Foods po lewej, a koncerny Grace’a po prawej. Siedzący obok Fachera Jacobs wstał z krzesła, lecz jeszcze przez chwilę patrzył, jak Schlichtmann odbiera gratulacje. Potem odwrócił się, wyszedł na korytarz i odszukał Mary Allen. Stała przy automacie telefonicznym i nerwowo paliła papierosa.

– Rany boskie! – rzuciła na jego widok. – Przecież on nas oskarżył o zamordowanie tych dzieci! Jak, do jasnej cholery, możemy na to odpowiedzieć?!

Jacobsa również mowa Schlichtmanna wyprowadziła z równowagi. Później wspominał, że niemal słyszał, „jak w umysłach przysięgłych zatrząskują się drzwi przed argumentami obrony”. Ale nie mógł o tym powiedzieć Mary Allen.

– Zaczekajmy – odparł. – Schlichtmann wspiął się na swoje szczyty. Od tej pory ma już tylko jedną drogę, w dół.

Sprawy cywilne mają to do siebie, że zarzuty stawiane przez poszkodowanych odznaczają się większą siłą retorycznego oddziaływania od tłumaczeń obrony. Może właśnie dlatego znaczna część obserwatorów odniosła wrażenie, że mowy wstępne adwokatów Grace’a i Beatrice Foods wypadły blado i mało przekonująco.

W obronie zakładów Grace’a wystąpił Michael Keating, jeden ze wspólników Cheesemana, który pozostał przy stole, choć nie był już rzecznikiem firmy. Jej zarząd postanowił przekazać kierowanie zespołem Keatingowi. Cheesemana niewiele to obchodziło. Nawet się ucieszył, że ciężar weźmie na swe barki kolega z Harvardu, najlepszy adwokat procesowy kancelarii, odznaczający się niezwykle dźwięcznym, czystym głosem, który jakby wykluczał możliwość przekazywania skrywanych tajemnic i rozprowadzania fałszu. Przed ławą przysięgłych Keating przyznał otwarcie, że pracownicy zakładów Grace’a rzeczywiście wylewali niewielkie ilości zużytych rozpuszczalników na ziemię, żeby wyparowały. Były to jednak bardzo małe ilości, które żadnym sposobem nie mogły zanieczyścić studni G i H, co on solennie obiecał udowodnić. A gdyby nawet jakieś ślady chemikaliów przedostały się do wód podziemnych, to nie mogły nikomu wyrządzić krzywdy, na co także miał dowody. Po tych stwierdzeniach pozostało mu tylko odeprzeć zarzut przedmówcy, czyli wykazać, że wbrew pozorom kierownictwo Grace’a obchodzi stan środowiska naturalnego.

Ludziom stłoczonym na widowni mowa Keatinga wydała się żałośnie skróto-wa. Za to Facher miał więcej do powiedzenia. Stał przed barierką i nerwowo poklepał się po kieszeniach marynarki, jak gdyby właśnie odkrył, że zgubił klucze od mieszkania. Potem zadarł głowę i ze spojrzeniem utkwionym w suficie zaczął się obracać, jakby śledził lot muchy. Kiedy zwracał się do sędziego, zwykle patrzył mu prosto w oczy, rzadko jednak czynił to samo wobec przysięgłych. Później, usiłując rozwinąć wielki plan wschodniego Woburn, omal nie przewrócił

całego stojaka na Jacobsa i Frederico. A gdy wreszcie zawiesił go na miejscu, Skinner zwrócił mu uwagę:

– Proszę obrócić stojak, żeby przysięgli dobrze widzieli mapę. Przemawia pan do nich, nie do mnie.

Mówił jednak o rzeczach istotnych. Oznajmił, że strona powodowa nie ma żadnych dowodów na to, że w garbarni Beatrice Foods kiedykolwiek używano trichloroetyleny, a tym bardziej rzucono jakieś odpady przemysłowe w piętnastoakrowym lasku. To prawda, przyznał, że obecnie ta posesja jest zanieczyszczona, ale nie ma „nawet śladu konkretnych dowodów”, że była tak samo skażona w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, kiedy z ujęć G i H woda płynęła do sieci wodociągowej wschodniego Woburn. Co więcej, żaden lekarz nigdy nie utrzymywał, że zanieczyszczenia wykryte w tej wodzie mogą powodować białaczkę. Tego „odkrycia” dokonał odnaleziony przez pana Schlichtmanna ekspert, „kalifornijski profesjonalista”, który zeznał już „w dziesiątkach podobnych procesów”.

Facher mówił przez półtorej godziny i wydawało się, że poruszył już wszystkie ważne tematy, wciąż jednak nie kończył przemówienia. Ciężko pracował nad tekstem swojej mowy. Przez ostatni tydzień wbijał ją sobie w pamięć, pokonując pieszo drogę od domu w Arlington do Harvard Square, około pięciu kilometrów dziennie – drobny, niepozorny człowieczek o wiecznie zasepionej twarzy, zakutany w grube palto, w ośnieżonej futrzanej czapce z opuszczonymi nausznikami, bez przerwy mamroczący coś pod nosem. Jego mowa była całkiem niezła, ale gdy na sali sądowej już po raz trzeci powtórzył, że w garbarni w ogóle nie używano trichloroetyleny, ludzie na widowni poruszyli się niespokojnie.

Facher dobrze wiedział, że nie jest wybitnym mówcą. Nawet nie lubił brzmienia swego głosu, który stawał się wyraźnie nosowy i dudniący, ilekroć próbował nadać mu większą moc. A mimo to zdołał wygrać prawie wszystkie swoje sprawy, czyli ponad sześćdziesiąt. Znał wielu adwokatów, którzy twierdzili, że celna i przekonująca mowa wstępna – jak ta, którą wygłosił Schlichtmann – może się w znacznym stopniu przyczynić do końcowego zwycięstwa. On wiedział jednak z doświadczenia, że jest to możliwe tylko w krótkich, nieskomplikowanych rozprawach. W długich i złożonych mowy wstępne nie odgrywały większej roli, ponieważ szybko zapadały w niepamięć. Co prawda, Facher nie umiał oszacować, jak długo przeciwnik zamierza ciągnąć ten pierwszy, wodociagowy etap, on jednak chciał uczynić wszystko, by jego zakończenie nie nastąpiło zbyt szybko.

2

Schlichtmann pragnął zakończyć tę fazę w ciągu czterech, najwyżej pięciu tygodni. Jego zadanie przedstawiało się dość prosto. Musiał udowodnić, że ziemie należące do zakładów Grace’a i Beatrice Foods są skażone trichloroetylenem i innymi toksycznymi rozpuszczalnikami, które stamtąd przedostały się do wód podziemnych i w drugiej połowie lat sześćdziesiątych zanieczyściły miejską sieć wodociagową.

Mógł powołać nawet trzydziestu świadków, lecz zamierzać się oprzeć na zeznaniach dwóch biegłych – geologa, który miał opisać przysięgłym rozmiary skażenia gruntów i przedstawić szacunki co do okresu jego powstania, oraz specjalisty z zakresu hydrologii wód podziemnych, profesora z Uniwersytetu Princeton, mającego przybliżyć drogi przenikania chemikaliów z gleby do podziemnego zbiornika, a stamtąd do ujęć G i H oraz sieci miejskiej.

Dla Schlichtmanna bardzo ważne były wyliczenia czasowe, musiał bowiem udowodnić, że trichloroetylen przedostał się do studni przed pojawieniem się ogniska zachorowań na białaczkę. W wypadku zakładów Grace’a było to proste, wystarczyło powołać na świadków Toma Barbasa i jego kolegów, którzy musieli potwierdzić, że resztki rozpuszczalników wylewano na ziemię przez całe lata sześćdziesiąte. Zdecydowanie trudniej zapowiadało się z Beatrice Foods. Nikt nie mógł zaświadczyć, że to dyrektor garbarni odpowiada za zanieczyszczenie piętnastokrowego lasku. W tym zakresie można się było opierać jedynie na dowodach pośrednich oraz wyliczeniach biegłego geologa, dotyczących przybliżonego okresu powstania skażenia gleby.

– Facher uważa wszystkich sądowych biegłych za sprzedajne dziwki. Na pewno powie: Dopasowuje pan wyniki do założonej teorii! Jest pan szarlatanem!

– To co? Mam go wyśmiać? – zapytał geolog.

Siedzieli w sali konferencyjnej kancelarii Schlichtmanna. Był późny wieczór. Ekspert, sądowa dziewczyna, wysłuchiwał ostatnich pouczeń przed jutrzejszym wystąpieniem na sali rozpraw.

– Łatwo się pan denerwuje? – zapytał Jan. – Proszę nigdy, pod żadnym pozorem, nie unosić rąk do twarzy.

Geolog uśmiechnął się szeroko.

– A mogę się podrapać w kroku?

Jan puścił żart mimo uszu.

– Najlepiej trzymać dłonie splecione przed sobą – ciągnął. – I nie opuszczać ich. Ma pan zwyczaj krzyżować ręce w ten sposób? – Wypreżył się dumnie, wygiął ramiona do przodu i skrzyżował ręce na piersi. – Proszę tego nie robić, bo wygląda to wyzywająco i obraźliwie. A teraz się pan garbi! Tego też proszę nie robić!

– Zawsze się garbię – odparł ekspert, wyprostowując się nieco.

– Należy siedzieć prosto na brzegu krzesła, wtedy łatwiej skoncentrować uwagę. I zawsze patrzeć na zadającego pytania. Podczas odpytywania przez Fachera i Keatinga nie wolno panu zerkać na mnie. – Schlichtmann poderwał się nagle z miejsca i oskarżycielskim gestem wymierzył w świadka palec. – No proszę! Właśnie uniósł pan dłonie do twarzy! Najpierw się pan garbił, a teraz zakrywa usta!

Geolog wyprostował się, ściągnął ramiona do tyłu i ułożył dłonie płasko na udach, jakby pozował do portretu. Tkwił tak usztywniony przez chwilę, lecz zaraz wybuchnął gromkim śmiechem. Odreagowywał w ten sposób długotrwałe napięcie.

– Zapytają pana, czy odebrał pan wynagrodzenie za składanie zeznań w sądzie – kontynuował Schlichtmann. – Co pan odpowie?

Ekspert się zawahał.

– Tak?... – mruknął z ociąganiem.

– Nie! Nie! Odebrał pan tylko rekompensatę za poświęcony czas. Nawiasem mówiąc, czy zawsze pan chodzi w tej jaskrawopomarańczowej sportowej marynarce i pstrokatym, zielonym krawacie? Na Boga, proszę się ubrać inaczej! Najlepiej włożyć klasyczny garnitur.

Geolog, który nazywał się Jan Drobinski, wcześniej przesiedział już z adwokatem wiele godzin nad głównymi punktami swoich zeznań. Przez cały ubiegły rok kierował pracami zespołu, który prowadził szczegółowe badania terenów należących do koncernów Grace’a i Beatrice Foods. Wywiercił kilkadziesiąt studni kontrolnych w dolinie Aberjony, wykonał pomiary refrakcji sejsmicznych w celu określenia układu warstw geologicznych i pobrał próbki skażonych gleb. W piętnastoakrowym lasku porozkopywał sterty śmieci wokół przerdzewiałych beczek i stwierdził, że są przesiąknięte trichloroetylenem. Znalazł w nich resztki porporczyków z wyborów lokalnych w Woburn z roku 1963, flakonik po lekach z roku 1967 oraz puszkę po piwie Budweiser, które według producenta znajdowało się w sprzedaży tylko do roku 1970. Nakazał ściąć zdziczałe drzewko wyrosłe na jednej z tych stert i wysłać przekrój pnia do analizy botanicznej, ta zaś wykazała, że ma ono osiemnaście lat, a zatem wysiało się w roku 1967. Na podstawie tych odkryć, a przede wszystkim na podstawie zdjęć lotniczych z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych Drobinski miał nazajutrz udowodnić, że posiadłość Beatrice Foods granicząca z terenem garbarni była dzikim wysypiskiem odpadów co najmniej od dwudziestu pięciu lat.

– Dowodzenie zarzutów strony powodowej ściśle zależy od przebiegu rozprawy – powiedział kiedyś Facher swoim studentom. – Im mniej pada sprzeciwów obrony, tym płynniej jest prezentowany materiał dowodowy. Każdy sprzeciw zakłóca rytm zeznań świadków.

Wychodząc z takiego założenia, Facher postanowił maksymalnie często zgłaszać sprzeciwy. Drugiego dnia procesu, jeszcze przed powołaniem Drobinskiego na świadka, poprosił o krótką rozmowę przy stole sędziowskim. Sprzeciwił się zaliczeniu do materiału dowodowego niektórych materiałów Schlichtmanna, tłumacząc, że nie mają one związku ze sprawą, opierają się na pogłoskach, nie są autentyczne, nie stanowią dowodu bezpośredniego bądź są tendencyjne.

– To zwykła tandeta – rzekł o jednym z raportów stanowego inspektora ochrony środowiska – najbardziej odrażające sprawozdanie, z jakim się kiedykolwiek zetknąłem.

Zakwestionował wyniki analiz chemicznych pobranych przez Drobinskiego próbek gleby, a później, gdy geolog zajął już miejsce dla świadków, sprzeciwił się prezentacji zdjęć wykonanych w piętnastoakrowym lasku.

– W takim powiększeniu wszystko wydaje się gigantyczne! – przekazał szeptem Skinnerowi przy stole sędziowskim.

– To oczywiste – odparł sędzia. – Do przedstawienia zdjęć ławie przysięgłych zawsze się je powiększa. Chyba to pana nie powinno dziwić.

– Ale w tej skali zniekształca się proporcje. Przyzna mi pan rację, kiedy sam zobaczy te fotografie. Ludzka dłoń wygląda na nich jak rakietka tenisowa.

– Jeśli chce pan wykazać, iż w rzeczywistości nie spotyka się tak olbrzymich dłoni, ma pan do tego pełne prawo – uznał Skinner.

Facher zgłosił kolejny sprzeciw, kiedy Schlichtmann chciał zaprezentować schematyczną mapę lasku z zaznaczonymi stertami śmieci.

– To jest demonstracja King Konga zamiast goryla – powiedział. – Ta mapa musi mieć ze trzy metry wysokości, bo jest większa od Jana, który ma około dwóch metrów wzrostu. Wyrysowali na niej dziesiątki beczek, jakieś linie i strzałki, a do tego sporządzili gigantyczną legendę. Sprzeciwiam się takim pokazom.

Posiedzenie zostało zakłócone, ponieważ sędzia musiał wyjść do sąsiedniego pomieszczenia, by samemu ocenić „demonstrację King Konga”. Zezwolił Schlichtmannowi pokazać mapę przysięgłym, co w niczym nie pohamowało zapędów Fachera. Parę minut później sprzeciwił się przedstawieniu fotografii ukazującej długie jęzory spływających po zboczu osadów ściekowych z garbarni.

– To fotomontaż – oznajmił Skinnerowi.

Jan popatrzył na niego ze zdziwieniem.

– Czyżby?

– Bez żadnych wątpliwości.

– Przecież to twoje zdjęcie, wykonał je twój biegły. Zarzucasz mu fałszowanie dowodów?

Przez cały pierwszy tydzień procesu każdego ranka Drobinski zajmował miejsce dla świadków, po czym w bezruchu, z dłońmi splecionymi przed sobą, musiał czekać, aż dobiegnie końca prowadzona szeptem dyskusja prawników przy stole sędziowskim. Posiedzenie było przerywane przy każdej okazji. Facher zgłaszał sprzeciw, prosił o naradę z sędzią, po czym wszyscy adwokaci, nie wyłączając Cheesemana i innych rzeczników zakładów Grace’a, gromadzili się przy stole Skinnera i półgłosem dyskutowali zawzięcie, niekiedy nawet pół godziny. Czwartego dnia rozprawy ciągłe sprzeciwy Fachera zaowocowały aż dwudziestoma dwoma takimi wycieczkami do stołu sędziowskiego. Tymczasem zarówno Drobinski, jak i przysięgli sprawiali wrażenie coraz bardziej znudzonych i ospałych. Na salę nie wolno było wносить żadnych gazet ani książek, toteż gapili się tylko bezmyślnie to na sufit, to na widownię, na której początkowy tłum szybko stopniał zaledwie do kilkunastu osób.

Nesson, ekspert w zakresie reguł prezentacji materiału dowodowego, który znał lepiej arkana tej sztuki niż ktokolwiek inny na sali, a może nawet w całym wydziale cywilnym tutejszego sądu, zazwyczaj stawał u boku Schlichtmanna przy stole i podejmował ostrą wymianę zdań z Facherem. Bez trudu wykazywał bezzasadność większości sprzeciwów, ale i on zaczął stopniowo tracić cierpliwość.

– Wysoki Sądzie – wycodził za którymś razem, nawet nie próbując ukryć rozdrażnienia – proszę o umieszczenie w protokole mojego sprzeciwu przeciwko

ustawicznym wystąpieniu rzecznika Beatrice Foods, zmierzającym do zakłócenia porządku obrad i przeciagania ich na wszelkie możliwe sposoby.

– Przyjmuję sprzeciw – odparł sędzia. – Pragnę tylko zaznaczyć, że sami sprowokowaliście takie zachowanie obrony, nalegając na wcześniejsze rozpoczęcie procesu mimo niedostatecznie przygotowanych materiałów.

Skinner także chciał za wszelką cenę dotrzymać wyznaczonego wcześniej terminu, może właśnie dlatego postanowił teraz tolerować nawet całkiem nieuzasadnione sprzeciwy Fachera. Nie wszystkie jednak były bezpodstawne. Siódmego dnia, kiedy Drobinski miał już przedstawić swą fachową opinię na temat okresu powstania skażenia gleby, obrona zarzuciła, że brak jest solidnych naukowych podstaw do sformułowania takiej opinii, skoro ma się ona opierać jedynie na kilku wykopanych z ziemi puszkach po piwie, ocenie wieku ściętego drzewka oraz starych zdjęciach lotniczych. Facher uzasadniał, że nawet jeśli sterty śmieci leżą w lesie od trzydziestu lat, to nie da się bezspornie dowieść, że od początku były nasiąknięte trichloroetylenem. Każdy mógł wejść do lasu, chociażby w roku 1979, a więc już po zamknięciu skażonych ujęć wody, i wylać rozpuszczalnik na leżące tam odpady. Na tej podstawie Facher zwrócił się do sędziego o wyłączenie opinii Drobinskiego z materiału dowodowego, a w następstwie oddalenie wszelkich zarzutów przeciwko Beatrice Foods.

Skinner miał nawet ochotę przyjąć ten wniosek. Nesson ostrzegł jednak, że taka decyzja byłaby niewybaczalnym i kosztownym błędem, który musiałby naprawiać sąd apelacyjny. Według paragrafu siedemset drugiego przepisów proceduralnych Drobinski spełniał wszelkie wymagania stawiane biegłym sądowym, a więc to w gestii przysięgłych, a nie sędziego, leżała ocena jego fachowej opinii.

Dyskusja w tej sprawie trwała całe przedpołudnie, które dwunastu przysięgłych spędziło piętro wyżej, w ciasnej, przegrzanej i dusznej sali obrad. O dwunastej Skinner ogłosił przerwę i zamknął się w swoim gabinecie, żeby przemyśleć decyzję. Po powrocie zakomunikował prawnikom, że „podjął ją z wielkim trudem”. Jego zdaniem opinia Drobinskiego rzeczywiście nie mogła być uznana za „ściśle naukową”.

– Ten człowiek widzi głębę w taki sposób, w jaki nikt dotąd na nią nie patrzył – powiedział.

Uznał jednak słuszność argumentów Nessonona i zezwolił, by opinię biegłego przedstawić przysięgłym.

W ten sposób profesor zarobił na swoje honorarium. Tylko jemu można było zawdzięczać, że nie zostały oddalone zarzuty stawiane Beatrice Foods. Tego wieczoru po powrocie do biura Schlichtmann triumfalnie wyciągnął przed siebie ręce i naśladując ruchy zonglera, wykrzyknął w podnieceniu:

– Charlie, zdołałeś się przedrzeć przez podwójną gardę sędziego! Prawie wiedziałem, jak przestawiasz mu myśli w głowie!

Dla Drobinskiego nie był to jednak koniec udręki, w gruncie rzeczy jego cierpienia miały się dopiero zacząć. W piątek po południu, pod koniec drugiego tygo-

dnia procesu, Facher przystąpił do zadawania mu pytań, a trwało to przez cały następny tydzień. obrońca chciał ukazać świadka jako uprzedzonego i mało wiarygodnego, sownie opłaconego za składanie zeznań, a co za tym idzie dobierającego informacje na niekorzyść pozwanego. Czy to prawda, pytał Facher, że większą część piętnastoakrowej działki pokrywa „dziewiczca roślinność” i pełno tam „przepięknych błękitnych kwiatów polnych”? Czy to prawda, że tylko w sześciu z dziewiętnastu próbek ziemi z odwiertów stwierdzono obecność trichloroetylenu? Dlaczego Drobinski nie poinformował o tym przysięgłych? Czy to prawda, że najsilniej skażone trichloroetylenem były powierzchniowe warstwy gleby, a jego zawartość w ziemi gwałtownie malała wraz z głębokością? Czy to nie świadczy jednoznacznie, że zanieczyszczenia powstały niedawno, a nie przed dwudziestu laty? Czyż nie jest to oczywiste dla wszystkich?

– Ludzie są chciwi – rzekł kiedyś Facher swoim studentom. – Największy problem ze świadkami polega na tym, że zazwyczaj wyolbrzymiają problemy.

I w zeznaniach Drobinskiego obrońca znalazł ewidentne oznaki skrajnej przesady. Geolog utrzymywał, że uzyskał stopień magisterski w 1976 roku, tymczasem Facher, zawsze szukający potwierdzenia informacji, dowiedział się, iż w rzeczywistości ekspert odebrał dyplom trzy lata później.

– Czy w trakcie przesłuchania nie zeznał pan pod przysięgą, że uzyskał tytuł magistra geologii w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym szóstym? – spytał.

– Owszem. Wtedy powiedziano mi w komisji egzaminacyjnej, jak i w sekretariacie wydziału, że zdobyłem dyplom.

– Powiedziano? Czy mam rozumieć, że uzyskał pan tytuł... ustnie? – spytał Facher tonem pełnym niedowierzania. – I chce pan, żeby przysięgli w to uwierzyli? Zna pan jakąś uczelnię na świecie, która ustnie przyznaje dyplomy?

Następnie pokazał świadkowi kopię podania o przyznanie licencji na wykonywanie ekspertyz geologicznych, jakie wpłynęło do odpowiedniego wydziału władz stanu Oregon.

– Czy w tym formularzu, w którym podanie fałszywych danych jest karalne, nie napisał pan również, że uzyskał stopień magistra w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym szóstym?

Drobinski uważnie obejrzał dokument.

– Zgadza się. Tak napisałem.

– Zatem usiłował pan zdobyć licencję w Oregonie, podając nieprawdziwe informacje, prawda?

– Nie określiłbym tego w ten sposób.

– Zdawał pan sobie sprawę z odpowiedzialności karnej?

– Tak, proszę pana.

– A jednak w tej rubryce, zatytułowanej: data uzyskania dyplomu, wpisany jest rok tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty szósty. Zgadza się?

– Tak.

– Wynika stąd, że próbował pan oszukać władze stanowe Oregonu, stwierdzając, że jest magistrem geologii, podczas gdy nie miał pan jeszcze prawa do tego tytułu, prawda?

I tak to trwało godzinami. Wysiłki Fachera zmierzające do podważenia wiarygodności biegłego zostały uwieńczone małym, ale dość znaczącym sukcesem.

Schlichtmann przysłuchiwał się temu w milczeniu. Siedział ze znudzoną miną, pozornie obojętny na wszystko, ale w środku kipiał z wściekłości. W trakcie wstępnego przesłuchania już dawno by się sprzeciwił i ostro zaprotestował przeciwko stosowanym przez Fachera metodom. Ale tutaj, na sali sądowej, wołał się nie odzywać, nawet jeśli miała solidne podstawy do zgłoszenia sprzeciwu. Nie lubił przerywać oponentowi przed ławą przysięgłych, nie chciał stwarzać wrażenia, że pragnie coś ukryć pod osłoną zastrzeżeń proceduralnych.

Później obrócił nieco głowę, żeby kątem oka widzieć twarz Drobinskiego. Szczupły, kościsty geolog odznaczał się wysokim czołem i sumiastymi wąsami. Siedział sztywno na brzegu krzesła, ściśle według jego wskazówek, z dłońmi splecionymi na wąskim pulpicie po wewnętrznej stronie barierki. Schlichtmanna uspokoiło to, że trzyma się bardzo dzielnie. Na pytania Fachera odpowiadał spokojnie, pewnym tonem, zazwyczaj uprzejmie dodając: proszę pana. Ani razu nie podniósł głosu, w żaden sposób nie okazał irytacji. Jan przeniósł wzrok na Fachera, który stał przed świadkiem na lekko rozstawionych nogach, wyraźnie przygarbiony, z rękoma skrzyżowanymi na piersi. Włosy miał nieco zwichrzone, oczy za grubymi szklami okularów jak zawsze półprzymknięte, a wydate wargi sprawiały wrażenie, że wszystko traktuje ze skrajnym niedowierzaniem.

W pewnej chwili zwrócił uwagę na coś dziwnego. Kiedy tylko obrońca odwracał się tyłem do świadka i ruszał wolnym krokiem przez salę, Drobinski pochylał głowę i spoglądał na swe dłonie, lecz błyskawicznie podnosił wzrok, gdy Facher zaczynał się odwracać z powrotem do niego. A później, kiedy biegły został poproszony o wyjaśnienie pewnych oznaczeń na mapie, wstając z krzesła, wsunął coś pośpiesznie do kieszeni marynarki.

Schlichtmanna to zafrapowało. Po wyjściu z gmachu sądu, w drodze powrotnej do biura, zapytał geologa o powód dziwnego zachowania. Tamten wyjął z kieszeni rodzinną fotografię, przedstawiającą jego żonę z córką i młodszym synem. Zdjęcie miało pozaginane rogi, było popękane i zaplamione.

Jan uśmiechnął się współczująco i pokręcił głową.

Drobinski schował zdjęcie do kieszeni i przeprosił za kłopot, jaki spowodowały nieścisłości w dacie uzyskania przez niego dyplomu.

– Nic się nie stało – odparł adwokat. – Przysięgli nie powinni przywiązywać do tego większej wagi.

Mówił szczerze. Ostatecznie geolog uzyskał tytuł magistra, a bezpardonowe ataki słowne Fachera mogły mu nawet zjednać nieco przychylności. Jana bardziej martwiły nieustające sprzeciwy obrońcy, przez które świadek nie mógł płynnie, w sposób spójny przedstawić swojej opinii. Pozostawało mieć nadzieję, że dwunastu inteligentnych obywateli na podstawie wyrywkowych informacji zdoła sobie wyrobić klarowny pogląd. Nie było sposobu na poznanie przekonań sędziów, ale Jan nie mógł sobie też pozwolić na żadne wątpliwości. Dlatego powtarzał w myślach, że zeznania Drobinskiego zostały właściwie zrozumiane.

3

Tej nocy przyśniło mu się, że wraz z dwoma współnikami ruszył na wyprawę żagłówką, która została uwieczniona przez zamarzające morze, to zaś – ponieważ sny nie podlegają regułom logiki – błyskawicznie przekształciło się w gigantyczny jezior lodowca. Schlichtmann pośliznął się na pokładzie, wypadł za burtę i zaczął się zsuwać w stronę szerokiej szczeliny ziejącej w gładkiej błękitnej tafli lodu. Dotarł do krawędzi i już miał runąć w przepaść, kiedy nagle się obudził w skopanej i przepeconej pościeli.

Ten sen go tak zaniepokoił, że rano opowiedział o nim wszystkim w biurze, jakby oczekiwał pomocy w wyjaśnieniu jego symbolicznego znaczenia. Rzadko miewał podobnie metaforyczne sny. Ku swemu rozczarowaniu najczęściej śnił o rozprawach – salach sądowych, sędziach, świadkach. Czasami te sny bywały tak realistyczne, że budził się o świcie z wrażeniem, iż przepracował całą noc.

Rozprawa potoczyła się teraz trochę szybciej. Schlichtmann nadal przedstawiał materiał dowodowy przeciwko Beatrice Foods, a więc Keating i Cheeseman nie mieli nic do roboty. Powołał na świadków paru mieszkańców Woburn, którzy zeznali, że w lasku sąsiadującym z garbarnią widzieli sterty śmieci i porzucone beczki od końca lat pięćdziesiątych do siedemdziesiątych. Pewien mężczyzna, trzydziestokilkuletni, opisywał zabawy z lat młodości, kiedy to wraz z kolegami z zardzewiałych beczek i kawałków desek robili sobie tratwy morskich rozbitków. Wspominał też „szarawobiałą maź spływająca po zboczu za ogrodzeniem garbarni” oraz pracowników, którzy „dociągali tam wielkie pojemniki na kółkach” i wylewali półpłynne odpady za płot.

– Wszyscy nazywaliśmy to miejsce Doliną Śmierci, ponieważ drzewa były pousychane i miały całe pnie pokryte białym pyłem.

Inny świadek widywał wyładowane beczkami ciężarówkami, które skręcały w polną drogę prowadzącą w głąb działki.

– Jak tylko robotnicy mnie zobaczyli, zaraz odganiaли – relacjonował. – Rzucali kamieniami, pokrzykiwali, odstraszałi. A gdy odjeżdżali, wracałem do lasu. Duże połacie ściółki były mokre i cuchnęły zepsutymi jajami. Teraz wiem, że musiały to być jakieś chemikalia, nic innego.

Już od kilku dni w czasie przerw Schlichtmann widywał w korytarzu przed salą rozpraw Johna Rileya. Dyrektor garbarni na początku zajął dogodne miejsce w pierwszych rzędach widowni, ale sędzia ogłosił sekwestrację wszystkich świadków i Riley musiał czekać na korytarzu. Siadał samotnie na ławce przy wejściu do biura protokolantów, w drogim granatowym garniturze, który opinał mu się na potężnych barach i udach. Przed południem, kiedy w przerwach Schlichtmann, Conway, Nesson i Kiley zbierali się na końcu korytarza i dyskutowali, Riley podnosił się z ławki i z oddali mierzył ich wzrokiem pełnym pogardy, z wyrazem bezgranicznej nienawiści na twarzy.

Jan ani razu nie odwzajemnił tego spojrzenia, zachowywał się tak, jakby nie dostrzegał starego garbarza. Świetnie wyczuwał jednak bijącą od niego wściekłość, którą odbierał jak wiosenne promienie słońca. Złość Rileya była

mu na rękę, zamierzał go jeszcze bardziej rozwścieczyć podczas przesłuchania. Czekał na tę okazję już od paru miesięcy, od pierwszego spotkania, kiedy to Riley z namysłem wylał wodę ze szklanki na cenny klonowy blat stołu konferencyjnego.

– Jeśli dobrze to rozegram – powiedział Conwayowi – Riley musi pęknąć. Sam zademonstruje przysięgłym, jaki z niego kłamliwy łajdak.

Dyrektor garbarni zajął miejsce dla świadków i został zaprzysiężony po południu 19 kwietnia, pod koniec czwartego tygodnia rozprawy. Kiedy tylko Schlichtmann przystąpił do zadawania pytań, stało się jasne, że Facher i Jacobs doskonale go przygotowali. Zrównoważonym, wręcz uprzejmym tonem stanowczo zaprzeczał, jakoby do piętnastoakrowego lasku były kiedykolwiek wywożone jakieś odpady bądź stare beczki.

– Na tym terenie znajduje się nasza studnia – mówił, nawiązując do ujęcia technologicznego. – Woda jest dla nas jak krew, nic byśmy bez niej nie zrobili. Głupotą więc byłoby zanieczyszczanie jej źródła.

Przez trzydzieści lat, od drugiej połowy lat pięćdziesiątych aż do chwili obecnej, on nigdy nie widział w lesie żadnych zardzewiałych beczek ani stert śmieci.

– Najwyżej ktoś tam wyrzucił starą oponę – rzekł, wzruszając obojętnie ramionami. – Mogły też zostać jakieś deski z baraku, który tam kiedyś stał.

Uporczywe zaprzeczenia wcale nie zdziwiły Schlichtmanna, nawet ich oczekiwał w bezpośredniej konfrontacji z Rileyem. Przedstawił więc świadkowi „zabójczy dokument” – raport inspektora sanitarnego A. Bolde’a z 1956 roku, w którym nakazywał on właścicielowi garbarni zlikwidowanie mającej prawie dwieście metrów długości hałdy osadów ściekowych, zalegających na samym brzegiem Aberjony. W papierach widniało czarno na białym, że Riley zlekceważył te żądania, twierdząc, że jest to jego działka i może na niej robić, co mu się podoba. Jan wiązał olbrzymie nadzieje z tym dokumentem. Nie spodziewał się, że garbarz potwierdzi zawarte w nim informacje, oczekiwał jednak, że choć trochę zmięknie albo – jeszcze lepiej – da się wyprowadzić z równowagi.

Riley zachował jednak spokój. Z prawdziwie majestatyczną obojętnością zaprzeczył, jakoby kiedykolwiek rozmawiał z Bolde’em.

– Nie, proszę pana – rzekł, kręcąc głową. – Nigdy nie oprowadzałem po tym lesie żadnego inspektora sanitarnego.

– Na pewno nie zawiózł pan polną drogą w głąb lasku inspektora z Departamentu Zdrowia Publicznego? – naciskał Schlichtmann.

– Nie, proszę pana. Nic podobnego się nie zdarzyło.

Przyjmowanie zeznań wrogo nastawionego świadka to jedno z najtrudniejszych zadań dla adwokata. A Schlichtmann w dodatku borykał się z ciągłymi sprzeciwami Fachera i nieodzownymi dyskusjami przy stole sędziowskim. Kiedy różnymi sposobami usiłował naciskać Rileyę, wtrącał się sędzia.

– Pytał pan o to już dwa razy, a świadek odpowiadał. Proszę iść dalej.

Już tego pierwszego dnia Jan czuł się niekiedy jak marynarz na przeciekającej łodzi. Często formułował pytania wbrew przepisom proceduralnym i utartym prawniczym obyczajom. Facher od czasu do czasu wstawał i zgłaszał sprzeciw,

sędzia go podtrzymywał, a na wargach Riley'a pojawiał się ironiczny uśmiezek. W którymś momencie Skinner zwrócił uwagę:

– To bardzo niezręczne pytanie, panie Schlichtmann.

Nesson próbował go ratować:

– Gdyby wolno mi było zabrać głos...

Ale Skinner uciszał go bez pardonu:

– Nie mam zamiaru wysłuchiwać pana przy każdej kwestii spornej. Proszę kontynuować przesłuchanie.

Schlichtmann stał przed garbarzem, ale nie patrzył na niego, zwykle zaglądał do notatek i usiłował sformułować kolejne pytanie w taki sposób, żeby nie wywołać sprzeciwu Fachera. W sali panowała cisza, która najczęściej się przedłużała, zakłócana jedynie odgłosami z ulicy.

Kiley, siedzący obok Conwaya przy najdalszym końcu stołu strony powodowej, w zasepieniu obserwował to wszystko. Miał ochotę poderwać się z miejsca i zastąpić Schlichtmanna. Pół roku wcześniej, w barze Pattena, kiedy zaoferował przyjacielowi pomoc, wyobrażał sobie, że będzie mógł przejąć część obowiązków i poprowadzić niektóre przesłuchania. Ale to Nesson został prawą ręką adwokata.

– Bez przerwy powtarzałem w myślach: To bez sensu, że muszę tak siedzieć beczynn timer – wyraził się po procesie.

Na początku pomagał Schlichtmannowi układać pytania i obmyślać najkorzystniejsze sposoby odpytywania świadków. Ale Jan zawsze postępował po swojemu. Na sali Kinley najczęściej myślał: ja bym to zrobił inaczej, a niekiedy: na pewno zrobiłbym to lepiej. Niemal bez przerwy zerkał na tarczę swojego złotego roleksa i tłumił ziewanie. W pewnej chwili podjął nawet decyzję, że przestanie uczestniczyć w procesie. Miał własną dużą sprawę, dotyczącą przypadkowego śmiertelnego porażenia prądem, i tracił cenny czas, siedząc tu beczynn timer. Sam jednak zaproponował pomoc i nawet jeśli sytuacja układała się nie po jego myśli, czuł się zobligowany, aby dotrzymać danego słowa. Gdyby coś niespodziewanego przydarzyło się Janowi, był zawsze gotów zająć jego miejsce. Nesson i Conway nie mieli doświadczenia procesowego, a Crowley nawet nie był zaznajomiony ze wszystkimi aspektami sprawy. Dlatego Kiley stwierdził, że musi wytrzymać, a nie zamierzał konkurować z Nessonem o względy Schlichtmanna. I bez tego panowała napięta atmosfera. Zresztą Jan w każdej chwili mógł go zapytać o zdanie.

Schlichtmann podniósł wreszcie głowę znad notatek i znów zaczął zadawać pytania Rileyowi, próbując zasugerować, że dyrektor doskonale wiedział o tym, że las nad rzeką został przekształcony w dzikie wysypisko śmieci. Garbarz uśmiechnął się pobłaźliwie, jakby miał przed sobą niedouczzonego gówniarza, pokręcił głową i odparł:

– Gdybym o tym wiedział, natychmiast bym ukrócił ten proceder.

– Dlaczego? – wyskoczył Schlichtmann.

Kiley skrzywił się z niechęcią. Nawet początkujący adwokat powinien wiedzieć, że wrogo nastawionego świadka nie należy pytać: dlaczego?, bo w ten sposób stwarza mu się okazję do wygłoszenia własnej opinii.

I Riley wykorzystał tę sposobność.

– Ponieważ to nasza ziemia – powiedział. – Nikt nie ma prawa bezkarnie zaśmieczać terenu należącego do garbarni.

Wieczorem Jan usiadł przy stole konferencyjnym w biurze i oparł głowę na dłoniach.

– Boże! Jestem wykończony – odezwał się do Conwaya. – Kiedy spojrziałem na zegar, była dwunasta, a mnie się wydawało, że jest co najmniej piąta.

Nesson zajął miejsce naprzeciwko niego.

– Moim zdaniem problem polega na tym, że dajesz Rileyowi za dużo swobody. Przesłuchanie traci na wyrazistości.

– A jeszcze sędzia stał się opryskliwy – mruknął Schlichtmann. – Chyba chciał nam dzisiaj dopiec.

Do sali wszedł Gordon i ciężko klapnął na krzesło. Większą część dnia spędził na widowni i ani trochę nie podobało mu się to, co oglądał.

– Pozytywne jest tylko to, że dziś nie było na sali Wujka Piotrusia – powiedział. – Musisz obrać jakiś konkretny kierunek. Gdzie się podziela twoja cała energia?

Jan westchnął i potarł palcami oczy.

– Sądziś, że przysięgli zwrócą się przeciwko nam?

Gordon wzruszył ramionami.

– Vogel najwyraźniej nie mógł się skupić – rzekł o przewodniczącym składu.

– Chyba nie powinienem się na razie martwić nastawieniem przysięgłych – powiedział cicho Schlichtmann. – Muszę się skupić na swoim zadaniu i w ogóle o nich nie myśleć.

W wejściu do sali, za plecami Jana, stanęła szczupła i wysoka Patti D'Addieco. Oparła się ramieniem o futrynę, słuchając tej rozmowy. Schlichtmann, wyczuwając jej obecność, zerknął przez ramię.

– No i co o tym myślisz? – zapytał.

– Mam być całkiem szczerą?

Adwokat skrzywił się z niesmakiem.

– Riley wcale nie wyszedł na takiego krętacza, jak sądziłam. – Patti uśmiechnęła się smutno. – Przykro mi, Janie.

Nesson obrzucił Schlichtmanna karcącym spojrzeniem.

– Martwię się o ciebie – rzekł. – Jesteś przemęczony, podobnie jak ja. Jakimś sposobem do rana powinniśmy odzyskać siły. Wciąż jeszcze mamy Beatrice Foods w gronie pozwanych.

Zapaliły się latarnie na Milk Street, a ich mętny blask rozjaśnił trochę salę konferencyjną. Conway włączył telewizor, żeby obejrzeć wiadomości. Reporter lokalnej stacji przesiedział cały dzień na widowni, słuchając zeznań Riley'a. Nesson musiał zająrzeć na uczelnię, obiecał jednak, że jeszcze wróci. Trzech współpracowników kancelarii dyskutowało nad sposobem włączenia pewnych dokumentów do materiału dowodowego bez sprzeciwu Fachera, kiedy w biurze zjawił się Kiley.

– Najważniejsze jest powiązanie go ze sprawą – mówił Schlichtmann, gdy przyjaciel wszedł do sali. – Muszę jakoś tak to załatwić, żeby sędzia nie miał zastrzeżeń, czy ma to związek z naszą sprawą.

Kiley usiadł przy stole, lecz słuchał tej rozmowy tylko przez chwilę. Później zapatrzył się w ekran telewizora.

– Dlaczego nikt z was nie chce mi pomóc, do cholery?! – wypalił Schlichtmann.

Conway ociężale pokręcił głową.

– Nie zadawaj głupich pytań.

Kiley popatrzył na papiery będące przedmiotem dyskusji i powiedział:

– Ten spór nie ma sensu. Nawet jeśli dopniesz swego, dla przysięgłych i tak nie będzie to miało większego znaczenia.

– Poświęciłem cały weekend, żeby zebrać te materiały do kupy! – krzyknął Jan, podniósł plik kartek, machnął nimi w powietrzu i z trzaskiem rzucił na stół. – Jeśli Riley będzie dalej kłamał w żywe oczy, chciałbym mieć coś, co pomogłoby mi zdemaskować jego kłamstwa.

– Odpowiem tak. Jeśli masz coś, co zadziałałoby szybko i skutecznie, powinieneś z tego skorzystać. W przeciwnym razie wdasz się w niepotrzebną pyskówkę, a przysięgli nie rozumieją, do czego zmierzasz.

Spiker dziennika zapowiedział:

– Minał kolejny dzień procesu o zatrucie wody pitnej w Woburn odpadami przemysłowym.

Crowley wstał szybko i zrobił głośniejsze. Pokazano rysunek przedstawiający Schlichtmanna, z uniesionymi rękoma i otwartymi ustami, przed Rileyem siedzącym na miejscu dla świadków. Sędzia przyglądał im się ze zmarszczonymi brwiami. Komentator mówił:

– Rzecznik mieszkańców Woburn, Jan Schlichtmann, zapytał Johna Rileyę: Czy widział pan kiedykolwiek zardzewiałe beczki i sterty śmieci na swojej posesji? A dyrektor garbarni na to: Nie przypominam sobie żadnych beczek. Sędziowie przysięgli już wcześniej widzieli zdjęcia lotnicze, ukazujące las dosłownie zavalony stertami śmieci i obiektami przypominającymi porzucone beczki.

Jan zamrugał szybko, jakby obudził się z drzemki.

– Bardzo ładne podsumowanie – rzekł.

– O wiele lepsze niż na sali rozpraw – dodał Conway.

Schlichtmann klasnął w dłonie i zawołał:

– No, dobra! Bierzmy się do roboty.

W tym momencie do sali konferencyjnej wszedł przyjaciel Conwaya, Tom Neville, który występował w imieniu towarzystw ubezpieczeniowych i co wieczór zaglądał do kancelarii, żeby przygadać Schlichtmannowi. W jego dziedzinie sporadycznie zachodziła konieczność podejmowania większego ryzyka, dlatego z przyjemnością obserwował, jak Jan balansuje na krawędzi finansowego krachu. Jego drobne złośliwości były jednak wyrazem sympatii, wieczorami często odrywał Schlichtmanna od pracy i ciągnął do którejś wytwornej restauracji, żeby zafundować mu obiad.

Jan spojrział na niego przelotnie, lecz nawet nie odpowiedział na przywitanie.

– No i co? – zapytał Neville, będący wyraźnie w doskonałym humorze.

– Sędzia jest wkurzony – odparł Kiley.

– Na co?

– Jan próbuje zdemaskować całe to gówno. – Kiley ruchem głowy wskazał stos papierów na stole. – A Skinner ciągle pokrzykuje, że to nie ma związku ze sprawą.

– Wykorzystałeś ten raport sanitarny z pięćdziesiątego szóstego roku, dotyczący osadów ściekowych z garbarni? – zapytał Neville.

– Owszem – odparł Schlichtmann.

– I to też Riley'a nie ruszyło?

– Wszystkiemu zaprzeczył.

– A więc przysięgli wciąż czekają, aż coś wyciśniesz z tego łobuza.

Jan rozejrzył się dookoła.

– Gdzie się podział Charlie? Jest mi potrzebny, do diabła.

Dla Kileya tego było już za wiele. Wstał, oparł zaciśnięte pięści o krawędź stołu, aż pod materiałem koszuli zarysowały się napięte mięśnie, pochylił się w stronę Schlichtmanna i warknął:

– Musisz zastosować wobec Riley'a reguły żelaznej logiki! Przedstawiaj kolejne fakty jak rzeczy powszechnie wiadome. Pokaż mu zdjęcie lotnicze i nie pytaj, tylko stwierdź: Panie Riley, widzi pan te beczki i sterty śmieci w pańskim lesie. Bo czyż nie jest to kupa śmieci? O, a tu druga! Tam następna! Jak pan sam widzi, te śmieci były na pańskiej posesji w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym czwartym. Prawda? Nigdy nie wyrzucał pan w tym miejscu żadnych starych beczek? Ani razu? – mówił w podnieceniu, prawie wykrzykując. – Niech zaprzecza ciągle: Nie. Nie. Nie. Jeśli go skłonisz, żeby choć raz powiedział: tak, będzie po nim!

Neville poderwał się z miejsca i stanął nad Janem z drugiej strony.

– Racja! Musisz go skołować!

– Łatwo wam mówić – bąknął Schlichtmann, pochylając głowę. – Można urządzić takie przedstawienie, lecz wolałbym zdobyć niezbite dowody.

– Na Boga! Przecież to ten facet przyczynił się do śmierci dzieci! – wrzasnął Neville. – Powinieneś go zaatakować z furją, jakbyś trzymał kij od baseballa! A nie pytać grzecznie: I co pan wtedy uczynił, panie Riley? – zakończył piskliwym głosem, małpując uprzejmość.

Jan osunął się na krzesło do pozycji półleżącej. Przez chwilę przენosił wzrok z Kileya na Neville'a i ekran telewizora.

Wreszcie Kiley chwycił pierwszą lepszą kartkę i podetknął ją Schlichtmannowi pod nos.

– Panie Riley, czy w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dostał pan pismo z urzędu miejskiego, ponaglące do uprzątnięcia śmieci z pańskiej posesji? Jak odpowie, że nie, to ciśnij mu ten list przed oczy... – Rzucił trzymane kartki na stół – ...i zapytaj: Więc co to jest, panie Riley?!

– Właśnie! W ten sposób dopniesz swego, nie próbując wciągnąć listu do materiału dowodowego – dodał Neville.

– I wtedy nie będzie już miało znaczenia, co odpowie! – ciągnął Kiley. – Zdemaskujesz go! – Urwał nagle, odetchnął głęboko i usiadł z powrotem. Popatrzył ze zdumieniem na Jana i dodał: – Przez jedenaście lat mojej kariery nigdy nie widziałem naraz tyle gówna, które można by ciskać świadkowi w twarz. Kurwa! Powinieneś go rozgnieść jak pluskwę! Czego jeszcze trzeba, żeby cię wyprowadzić z równowagi?

Tego wieczoru Schlichtmann z Conwayem wychodzili z kancelarii ostatni. Dochodziła północ.

– Jak sądzisz, Kevin? – spytał Jan, gasząc światła w biurze. – Mogłem to rozegrać ostrzej?

Conway zamyślił się, wreszcie odparł oględnie:

– Riley i mnie dzisiaj zaskoczył. Wpadł znacznie lepiej, niż się spodziewałem. Wcześniej zeznawał arogancko, był wojowniczo nastawiony.

– Kłamie jak z nut, ale nie jest idiotą.

Conway pokiwał głową i wkładając płaszcz, dodał:

– Czyba rzeczywiście warto cię wyprowadzić z równowagi.

Doszło do tego już nazajutrz i w zgodnej ocenie przesłuchanie poszło lepiej. Po wyjściu z sądu Schlichtmann sam uznał, że jest zadowolony, a gdy zapytał Kathy Boyer o zdanie, odpowiedziała:

– Trochę go dziś przycisnąłeś.

Tom Kiley nadal jednak nie widział większych postępów. W jego ocenie dyrektor garbarni sprawiał wrażenie jeszcze bardziej rozluźnionego. Gdy tylko Jan próbował go przyciskać, przerywając mu ostro:

– Czy to prawda, panie Riley?! Proszę odpowiedzieć tak lub nie!

Natychmiast interweniował sędzia:

– Chwileczkę, proszę pozwolić świadkowi dokończyć.

A Riley uśmiechał się ironicznie i podejmował monolog, w którym po raz setny powtarzał przysięgłym, że w jego garbarni nigdy nie używano trichloroetyleny i nie wywożono żadnych odpadów do lasu za płotem. Kiedy Schlichtmann poprosił świadka o podejście do mapy ustawionej na wprost ławy przysięgłych, zaczął pokazywać zaznaczone miejsca i porównywać je ze zdjęciami lotniczymi z 1985 roku, na których wyraźnie widać było zardzewiałe beczki, Riley, wciąż zachowując niemal wyszukaną uprzejmość, odpowiadał z uporem:

– Niemożliwe, w roku osiemdziesiątym nie było tam niczego podobnego... Nie przypominam sobie w tym miejscu żadnej sterty śmieci... To mi wcale nie wygląda na stare beczki...

Facher bez przerwy protestował, że pytania są tendencyjne i powtarzane w kółko. Skinner podtrzymywał sprzeciwy.

– Zgadza się, pan po prostu dyskutuje ze świadkiem – upominał go przed ławą przysięgłych.

Tego rodzaju publiczne napomnienia bardzo cieszyły Fachera. W czasie przedpołudniowej przerwy, gdy cały zespół obrony Beatrice Foods zebrał się w kawiarni na drugim piętrze, był w wyśmienitym humorze. Powiedział swoim kolegom, stojącym dookoła z kubeczkami kawy w rękach:

– Wszystko zależy od umiejętności sprowokowania świadka, a Schlichtmann nie potrafi tego zrobić. Nie wie, jak sformułować właściwe pytanie. Pod względem fachowości wypada miernie.

Przyjęli to z uśmiechem.

Mimo wszystko obrońca martwił się o Rileyę. Wiedział, że garbarz jest wybuchowy i w każdej chwili może się zdradzić. Do tej pory jednak trzymał się świetnie, a najgorsze miał już raczej za sobą.

Ale Facher był w błędzie. Następnego ranka pojawiła się wyraźna rysa w twardej jak skała postawie Rileyę. Co dziwniejsze, doszło do tego podczas odpowiedzi na pytania obrony. Facher zapytał, czy dyrektor wie coś na temat jakichś osadów ściekowych wylewanych za płot garbarni.

Rileyę skrzywił się z niesmakiem, słysząc po raz kolejny to samo pytanie. Nagle jakby zapomniał, że rozmawia ze swoim obrońcą.

– Już to mówiłem – burknął zniechęcony.

– Więc proszę powtórzyć – rzekł Facher łagodnym tonem.

– Nie! – huknął świadek z poczerwieniałą twarzą. – Nigdy! Nic mi o tym nie wiadomo! Nigdy nie było żadnych osadów!

– Zakładając jednak, że ktoś po kryjomu mógł wylewać osady z garbarni na sąsiednią posesję, to czy mogły one być skażone omawianymi chemikaliami?

– Nie! – ryknął jeszcze głośniejszą Rileyę. – Pod żadnym pozorem! Na pewno nie! Pójdę do grobu z tą świadomością!

Fachera zaskoczyła gwałtowna reakcja świadka. Otworzył szeroko oczy i zmierzzył go piorunującym spojrzeniem. A po chwili zaśmiał się cicho i rzekł:

– Wcale tego nie pragnę. Życzę panu wielu lat w zdrowiu i pomyślności.

Keating, kierujący obroną zakładów Grace'a, od kilku dni nie miał okazji do zabrania głosu. Przysługiwało mu prawo do przepytania świadka, mimo że zeznał on w sprawie innego pozwanego. Postanowił więc z niego skorzystać.

– Czy to prawda – zwrócił się do Rileyę – że pańska garbarnia udziela się społecznie, wspomaga aktywność mieszkańców Woburn, sponsoruje miejscową drużynę baseballową i tak dalej?

To pytanie wyraźnie uspokoiło dyrektora.

– Oczywiście, wszyscy jesteśmy bardzo dumni z Woburn. Kochamy nasze miasto.

– Urodził się pan i wychował w Woburn, pańskie dzieci również tam dorastały?

– Tak.

– Zatem jest to pańskie rodzinne miasto, prawda?

– Oczywiście.

Keating nawiązał do piętnastoakrowej działki.

– Ta ziemia jest obecnie pod zarządem organizacji dobroczynnej o nazwie Wildwood Conservation Corporation, której garbarnia jest jedynym udziałowcem?

– Zgadza się.

– I decyzją tejże korporacji las ma zostać zagospodarowany do celów rekreacyjnych dla wszystkich mieszkańców Woburn?

W głosie adwokata nie było nawet śladu ironii, lecz Riley przez chwilę patrzył na niego ze zdziwieniem, zanim odpowiedział:

– Tak, powołana została specjalna komisja do spraw zachowania mokradeł w dolinie Aberjony.

– Nie mam więcej pytań, Wysoki Sądzie.

Schlichtmann spojrział na przysięgłych. Ciekawiło go, czy wyłowili hipokryzję w oświadczeniu garbarza, że chyba najbardziej skażony fragment ziemi w Nowej Anglii został przeznaczony na „tereny rekreacyjne dla mieszkańców Woburn”. Nie zdołał jednak niczego wyczytać w twarzach sędziów.

Miał jeszcze prawo do drugiej tury pytań do świadka. Początkowo zamierzał rozwinąć temat „specjalnej komisji” do ratowania przyrody, ale szybko doszedł do wniosku, że przysięgłym nie mogła umknąć jawna ironia tej sytuacji. Zostało tylko pół godziny do końca posiedzenia, a był to ostatni dzień przepytывania Rileya, postanowił więc maksymalnie wykorzystać ten czas. Zależało mu, by obrady zakończyły się jakimś mocniejszym akcentem, ale do tego musiał najpierw stworzyć odpowiednią atmosferę. Zaczął ponownie pytać świadka o jego kontakty z inspektorami ochrony środowiska, sterty śmieci i zardzewiałe beczki walające się w lesie. Riley odpowiadał szorstko. Wreszcie Facher zgłosił sprzeciw, twierdząc, że Schlichtmann „gra na zwłokę”.

Kilka minut przed końcem posiedzenia Jan wrócił do tematu zniszczonej dokumentacji garbarni.

– Panie Riley – rzekł – nie dysponuje pan żadnymi dokumentami z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, które mogłyby poświadczyć, jakich używano chemikaliów, prawda?

– Nie. Mam wszystko w pamięci.

– Starsze dokumenty zostały zniszczone, zgadza się?

– Tak.

– Przechowuje pan w biurze tylko dokumentację od roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego dziewiątego, czyli od zamknięcia ujęć G i H?

– Tak.

– Panie Riley, kiedy zniszczył pan starsze dokumenty?

Dyrektor nagle poczerwieniał. Pytanie odniosło zamierzony skutek, ponieważ bardzo głośno, z wściekłością, odpowiedział:

– Nie wiem, kiedy te papiery zostały zniszczone, ale powtarzam chyba po raz setny, że nigdy nie używaliśmy trichloroetylenu...

– Nie musi pan tego powtarzać – przerwał mu sędzia. – Padło pytanie: kiedy dokumenty zostały zniszczone. Odpowiedział pan, że nie wie. To wystarczy. Proszę kontynuować, panie Schlichtmann.

– Nie mam więcej pytań – powiedział z uśmiechem Jan.

Na Milk Street, wracając do biura z Nessonem i Conwayem, śmiał się w głos.
– To było piękne, prawda, Charlie? Dlaczego Riley sam powiązał skażenie trichloroetylenem ze zniszczeniem dokumentów? Bo usiłował się kryć! Przysięgli na pewno to wyłapiać! A widzieliście Fachera? Jak był doszczętnie załamany? Kiedy wychodzili z sali i Frederico coś do niego powiedział, warknął: „Wcale nie chcę się czuć lepiej!” To było naprawdę wspaniałe! Tak się cieszę!

Ujawniony ostatecznie fakt był rzeczywiście znaczący, a szczególnie wymowę miało to, że Riley sam się zdradził. Nesson uważał jednak, że Schlichtmann niewystarczająco zaakcentował to powiązanie, zakładając chyba, iż przysięgli muszą natychmiast zwrócić na nie uwagę. Zapominał, że chodzi o niuanse, które łatwo jest przeoczyć.

Niemniej i on się cieszył z efektu uzyskanego przez Jana. Nie wykluczał, że przysięgli mogli już uznać dyrektora garbarni za kłamcę. Według niego w odizolowanym, pełnym rytuałów świecie sal sądowych – gdzie sędziowie nosili czarne togi, świadków zaprzysięgano, że będą mówić prawdę, a losy ludzkie oddawano w ręce gromadki skupionych, zupełnie obcych ludzi – rzeczywistość często stała się krainą cieni.

4

Każdego ranka Kathy Boyer wysyłała do Woburn gońca z ośmioma kopiami sprawozdań z poprzedniego dnia, przeznaczonymi dla powodów. Gонец dostarczał je do skromnego mieszkanka Donny Robbins przy North Main Street, gdzie każdy z zainteresowanych wpadał po południu bądź wieczorem i odbierał swój egzemplarz. Zazwyczaj przy okazji wywiązywały się dyskusje, ponieważ Donna pozostawała w stałym kontakcie telefonicznym ze Schlichtmannem, a przez to umacniało się poczucie solidarności łączącej poszkodowanych ludzi.

Na początku wszyscy dorośli próbowali uważnie czytać grube maszynopisy, ale ze względu na prawniczy żargon i monotonne omawianie w kółko tych samych zagadnień większość wołała artykuły publikowane codziennie w „Woburn Daily Times”, gdyż były o wiele krótsze i bardziej przejrzyste.

Richard Toomey należał do nielicznych, którzy każdego wieczoru z uporem przekopywali się przez obszerne protokoły. Po powrocie z walcowni zjadał obiad i zasiadał w głębokim fotelu z maszynopisem w dłoni. Jemu również czytanie szło z trudem, ale zmuszał się do tego i po pewnym czasie zaczął z niecierpliwością oczekiwać na ciąg dalszy. Przebieg rozprawy wciągnął go tak, jak innych szmirowate seriale telewizyjne. Jego uwagę przykuwały zwłaszcza prowadzone szeptem narady adwokatów z sędzią. Początkowo żywił do Fachera pogardę, ale wkrótce zaczął się o nim wyrażać z szacunkiem.

– Strasznie zaatakował Johna Drobinskiego – relacjonował najbliższym, pobłkany kartkami sprawozdań – a sędzia w ogóle nie reagował przez kilka dni. Wygląda na to, że Facher zdominował wszystkich, nie wyłączając Jana i Skinera. Jakby dawał im lekcję solidnego rzemiosła.

Spośród ośmiu rodzin tylko Gamache'owie nie przywiązywali prawie żadnej wagi do tych protokołów. Pół roku wcześniej u Rolanda zaczęło się ostatnie stadium białaczki, które lekarze nazywali zanikiem blastocytów limfatycznych. Zaaplikowano mu serię bardzo silnych leków, ale nie udało się wywołać remisji. Jedyną nadzieją na uratowanie mu życia był przeszczep szpiku kostnego, lecz nikt z najbliższej rodziny nie nadawał się na dawcę. Za namową lekarzy Roland zgodził się na przeszczep od obcego dawcy i po krótkim oczekiwaniu polecił wraz żoną, Kathryn, do Iowa City na operację. Nie przebiegła ona jednak pomyślnie, powstały liczne komplikacje, a hospitalizacja pacjenta, jak zapisano w karcie, miała „burzliwy przebieg”. Gamache zmarł 17 kwietnia, w trakcie szóstego tygodnia rozprawy. Jego zwłoki przewieziono samolotem do Woburn. W skromnej uroczystości pogrzebowej w kościele Świętego Józefa uczestniczyły niemal wszystkie rodziny powodów.

Po fali wielkich oczekiwań i podniecenia, jakie zrodziło rozpoczęcie procesu, wobec ciągnących się tygodniami przesłuchań i rosnących stert protokołów wszystko stopniowo wróciło do normy. Ludzi znów pochłonęły codzienne obowiązki, nauka w szkole, praca zawodowa. A z rozprawy – ich rozprawy – pozostało tylko echo rozgrywających się gdzie indziej wydarzeń.

Tymczasem na sali sądowej Schlichtmann przystąpił do przesłuchiwania świadków występujących przeciwko zakładom Grace'a. Nesson nie mógł zrozumieć, w jakim celu powołał byłego pracownika fabryki, Franka McCanna, który przyznał, że używał trichloroetylenu do zmywania smarów z rąk i odtuszczania pasów napędowych maszyn, lecz nigdy nie wylewał resztek rozpuszczalnika za płot i nie widział, aby robił to ktoś inny. Nesson tylko kręcił głową z niedowiarzania, słuchając zeznać McCanna.

– Myślałem, że on zezna prawdę. Nie mam pojęcia, czemu go powołałeś na świadka.

– Charlie, Charlie! – wykrzyknął Schlichtmann, robiąc zdziwioną minę. – Naprawdę nie wyłowiłeś najważniejszego? Przecież on zeznał, że zużywał dwa litry trichloroetylenu dziennie! Rozumiesz? Dwa litry! Powiedział, że pasy napędowe zbyt rozmiękały, jeśli zostawił je za długo w rozpuszczalniku. Jeśli przysięgli usłyszą to parę razy, na pewno wbiją sobie te informacje w pamięć.

Nesson przyznał, że to faktycznie dość istotne, ale zaraz wytknął, że jeśli jemu umknęło właściwe znaczenie tych zeznań, równie dobrze mogło umknąć przysięgłym. Tak czy inaczej, sprawa potoczyła się teraz znacznie szybciej. Mimo pewnych zastrzeżeń profesor ocenił:

– Moim zdaniem zarzuty przeciwko zakładom Grace'a znajdują potwierdzenie.

Schlichtmann powołał na świadków sześciu byłych pracowników fabryki, od których przyjął zeznania jednego dnia, bijąc dotychczasowe rekordy. Było to możliwe głównie dzięki temu, że Facher stał się jedynie biernym obserwatorem wydarzeń. Później zeznawał Tom Barbas. Przepytanie go ciągnęło się półtora dnia,

jednak i ono przeszło gładko. Lakiernik, ubrany w granatowy sweter i czerwony krawat, początkowo siedział wyprostowany na brzegu krzesła, ale z czasem zaczął się coraz bardziej garbić, a sędzia musiał go upominać, żeby mówił głośniej.

– Proszę dać z siebie wszystko, jakby wołał pan do kolegi na terenie zakładu – rzekł w końcu zniecierpliwiony Skinner.

Schlichtmann poprosił świadka, żeby opisał, co robił pod koniec dnia z pojemnikiem pełnym resztem farby i rozpuszczalnika.

– Wynosiłem go poza teren zakładu i stawiałem na ziemi – odparł Barbas.

– Po czym opróżniał go pan do rowu, prawda?

– Nie mówiłem nic o opróżnianiu – odparł bardzo cicho lakiernik. – Raczej rozlewałem wszystko na dużej powierzchni, żeby farba wyschła.

Nie ulegało wątpliwości, że adwokaci koncernu Grace’a poświęcili wiele godzin, by przygotować Barbasa na tę chwilę. Jego odpowiedzi brzmiały tak, jakby cytował z pamięci sformułowania prawników. Ale raz za razem wpadał w pułapkę niezgodności z wcześniejszymi zeznaniami. Kiedy Schlichtmann zapytał, jak często świadek widywał Joego Meolę, konserwatora urządzeń, wylewającego resztki rozpuszczalnika za płotem, Barbas odparł:

– Najwyżej kilka razy.

– A nie zdarzało się to średnio raz w tygodniu?

– Trudno mi powiedzieć dokładnie.

Jan wziął ze stołu protokół z wstępnego przesłuchania, otworzył w zaznaczonym miejscu i rzekł:

– Podczas wcześniejszych zeznań na pytanie, jak często widywał pan Joego Meolę wylewającego rozpuszczalnik do rowu, odpowiedział pan, cytując: Co najmniej raz w tygodniu.

– To prawda – przyznał lakiernik.

– Czy zatem potwierdza pan teraz tę informację?

– Tak, raczej tak.

Po pewnym czasie, gdy znów słysząc wykrętną odpowiedź, Schlichtmann sięgał po protokół i odwracał się w stronę miejsca dla świadków, Barbas bez pytania szybko się poprawiał i potwierdzał informacje z wstępnych zeznań.

Tom Kiley jako pierwszy wyszedł z sali po ogłoszeniu przedpołudniowej przerwy i zauważył, że dwaj adwokaci koncernu odprowadzają lakiernika w odległy kąć korytarza. Barbas stanął zasepiony, ze wzrokiem utkwionym w podłogę, podczas gdy tamci półgłosem coś mu tłumaczyli z ożywieniem. Kiley przyjął to z szerokim uśmiechem.

– Robi się coraz większa kałuża krwi na podłogę – powiedział później Schlichtmannowi.

Jan zawsze odnosił się do przysięgłych z wielkim szacunkiem. Był przekonany, że ludzie potrafią wyczuć wrogie nastawienie, toteż zwracając się do sędziów, myślał wyłącznie o ich zaletach, a nigdy o wadach. Najbardziej podobał mu się przewodniczący składu, William Vogel, sześćdziesięcioletni brygadzysta z fabry-

ki. Według większości obserwatorów sprawiał wrażenie uważnego słuchacza, może trochę nazbyt zamyślonego, choć dla Schlichtmanna była to oznaka mądrości i uczciwości. Zapamiętał, że Vogel podziękował mu kiedyś półgłosem, odbierając z jego rąk jakiś dokument włączony do materiału dowodowego. A stół strony powodowej znajdował się na tyle blisko ławy przysięgłych, że Jan miał pewność, iż Vogel ani razu nie podziękował Facherowi, co pozwalało mu uznać przewodniczącego za swojego stronnika.

Któregoś ranka w szóstym tygodniu rozprawy Schlichtmann po raz pierwszy w życiu zdecydował się nie wkładać do sądu kamizelki. Był już zmęczony przedłużającym się procesem i chciał poczuć się na sali nieco swobodniej. Nazajutrz protokolantka powiedziała mu, że znacznie lepiej wygląda w samej marynarce.

– Słyszałam, jak któryś z przysięgłych też to powiedział.

Od tej pory Schlichtmann w ogóle już nie nosił kamizelki.

Co zrozumiałe, prawnicy obserwowali się nawzajem z nie mniejszą uwagą. Pewnego popołudnia Sandra Lynch, współpracniczka Cheesemana, przy stole sędziowskim poskarżyła się sędziemu na Schlichtmanna:

– Słyszałam, jak wczoraj po zakończeniu posiedzenia rzecznik powodów wdał się w pogawędkę z przysięgłymi i rzekł między innymi, żeby wzięli sobie jakiś dokument i dokładnie się z nim zapoznali.

Skinner popatrzył na Jana ze zmarszczonymi brwiami.

– Czy to prawda? – zapytał ostro.

Oślupiały Schlichtmann zerknął na kobietę. Jakikolwiek jego kontakt z przysięgłymi mógł spowodować natychmiastowe unieważnienie procesu.

– Wysoki Sądzie... – bąknął, nie bardzo wiedząc, jak zareagować.

– Absolutnie nie życzę sobie żadnych rozmów z przysięgłymi! – wycedził ze złością Skinner.

– Nie było żadnej rozmowy – wyrzucił Jan jednym tchem. – Jeden z sędziów, trzymając dłoni w dokument, popatrzył na mnie takim wzrokiem, jakby chciał coś powiedzieć. Odwróciłem się szybko. Nie doszło do żadnej rozmowy, do żadnego kontaktu. – Dopiero teraz zacerpnął tchu i dodał cicho, jakby do siebie: – Tylko tego by mi jeszcze brakowało.

– W porządku – rzekł sędzia, nie przestając go mierzyć groźnym wzrokiem.

Następnego ranka, podczas krótkiej przerwy w obradach, inna przysięgła, Linda Kaplan, dostała ataku kaszlu. Schlichtmann stał przy swoim stole, parę kroków od niej, i miał tuż pod ręką karafkę z wodą i papierowe kubeczki. Spojrzał na kobietę, zastanawiając się gorączkowo, czy może jej pomóc, ale postanowił nie ryzykować. Za to Facher, który siedział kilka metrów dalej, szybko nalał wody do kubeczka i ruszył w stronę ławy przysięgłych, lecz ubiegł go jeden ze współpracowników Cheesemana. Adwokat zatrzymał się niepewnie na środku sali, po krótkim namyśle upił trochę wody i zawrócił na swoje miejsce.

Jan obserwował to wszystko z bolącym sercem. Miał straszną ochotę wyjaśnić pani Kaplan, dlaczego nie podał jej wody, lecz to nie wchodziło w rachubę. Tłumaczył sobie, że nie ma to większego znaczenia, ale i tak brzydził się myślą, że był zmuszony odwrócić się plecami do człowieka w potrzebie.

Pewnego wieczoru po powrocie do biura stwierdził, że telefony nie działają. Niezwykła cisza trwała tylko do chwili, aż Gordon w trybie nagłym uregulował zaległe rachunki. Gdy zostali z powrotem podłączeni, jako pierwszy dodzwonił się pewien prawnik z Nowego Meksyku, szukający rady Schlichtmanna w sprawie toksycznych odpadów przemysłowych.

– Chcesz z nim porozmawiać? – zapytała Kathy Boyer.

– Nie – odparł stanowczo, a po chwili dodał: – Powiedz mu, żeby za żadne skarby nie brał tej sprawy.

Jako następna zadzwoniła jego matka. Z nią także nie chciał rozmawiać, ale Kathy go ofuknęła:

– Lepiej się zastanów!

– U niej wszystko w porządku? – spytał.

– Przecież nie chcesz z nią teraz rozmawiać – rzekł Gordon, krzywiąc się z niesmakiem.

– Dlaczego? – zdziwił się Jan, zerkając podejrzliwie na przyjaciela. – Dostała nakaz eksmisji, czy co?

– Może?

– James! – wrzasnął Schlichtmann. – Jak mogłeś zapomnieć o jej sprawach?!

Gordon wzruszył ramionami i mruknął, że wyleciało mu to z głowy. Obiecał nazajutrz porozmawiać z właścicielem domu.

Po powrocie z sądu Conway poszedł do kuchni, żeby się napić kawy, ale dzbanek był pusty. A kiedy chciał nastawić ekspres, znalazł w szafce tylko puste pudełko po papierowych filtrach. Wyjął zużyty, ostrożnie wysypał z niego fusy, przepłukał wodą, wsadził z powrotem do ekspresu i zaczął się rozglądać za kawą. Ale i po niej została tylko pusta puszka. Zapytał więc Peggy, dlaczego nikt nie kupił kawy.

– Bo nie ma już pieniędzy – odparła.

Schlichtmann wezwał biegłego, Andy’ego Lorda, absolwenta MIT*, by przedyskutować z nim sprawę nowych map. Do prezentacji poprzednich sędzia nie dopuścił, gdyż Facher zgłosił sprzeciw, że proporcje na nich są zniekształcone.

– Na kiedy chce je pan mieć? – zapytał Lord.

– Na jutro rano.

– Na rano?! Wykluczone! Nie zdążę ich zrobić.

– Musi pan! Za co, do cholery, panu płacę?!

– Nie dostałem ani centa od listopada – rzekł Lord, po czym wyjaśnił, że kancelaria jest mu winna ponad trzydzieści tysięcy dolarów.

– Proszę porozmawiać z Gordonem – rzucił Schlichtmann.

Minutę później do sali konferencyjnej zajrzała Patti d’Adieco.

– Andy potrzebuje trochę drobnych na materiały.

– Niech weźmie z kasetki.

– W kasetce już nie ma pieniędzy.

* Massachusetts Institute of Technology, jedna z najsłynniejszych amerykańskich uczelni technicznych (przyp. tłum.).

Każdego dnia około trzynastej – gdy Conway, Crowley, Nesson i Kiley, a często także Gordon i Phillips wracali z sądu po ogłoszeniu przerwy – cały zespół adwokacki zbierał się w kuchni na lunch. Prawnicy zasiadali na stołkach, niektórzy jedli na stojąco, dyskutując z ożywieniem o przebiegu porannej sesji, podczas gdy reszta pracowników kancelarii przysłuchiwała się rozmowie, niekiedy wtrącając jakieś uwagi. Schlichtmann, który zwykle nie jadał śniadań, o tej porze był już bardzo głodny. Preferował kuchnię chińską, lecz sekretarki w celu obniżenia kosztów najczęściej zamawiały kanapki.

– Co, znowu kanapki?! – wykrzykiwał ze złością. – Boże, nawet szczury laboratoryjne mają urozmaiconą dietę. Nie moglibyśmy dostać czegoś porządnego do zjedzenia?

Po takiej reprimendzie któraś z kobiet, najczęściej Kathy lub Peggy, szybko zamawiała dostawę z pobliskiej chińskiej restauracji. Rachunki trafiały do Mary Zozy, księgowej kancelarii, starej panny mieszkającej z trzema kotami, która siwiejące włosy upinała w gruby, staroświecki kok. Pewnego popołudnia, w siódmym tygodniu rozprawy, Zoza omal nie zemdląła, kiedy dostała rachunek z tej restauracji na sto dwadzieścia cztery dolary. Zaczęła więc szykować posiłki w domu i przynosić do biura pieczone kurczęta, duże miski sałatek, spaghetti czy też klopsiki. Schlichtmann aż pojękiwał z zachwytu nad tymi smakołykami, co z kolei sprawiało ogromną radość Mary.

Gordon próbował jeszcze bardziej ograniczyć wydatki i nakazał jej regulować rachunki tylko za to, co było absolutnie niezbędne dla funkcjonowania kancelarii. Między innymi polecił wycofać prenumeratę wszelkich gazet i czasopism, wstrzymać opłaty składek członkowskich w Federalnym Związku Prawników, Bostońskiej Palestrze i Stowarzyszeniu Amerykańskich Adwokatów Procesowych, zrezygnować z zakupów książek i fachowych periodyków w firmach wysyłkowych West Publishing oraz Martindale-Hubbell. Zerwał umowę na dostawę świeżych kwiatów z Fleural Lis dwa razy w tygodniu, zaoszczędził nawet dwieście dolarów płaconych co miesiąc firmie Greening Touch Company, która pielęgnowała fikusy i paprotki zdobiące biuro. (Kurwa! To po prostu śmieszne! – warknął, obejrawszy kontrakt). Wstrzymał spłatę studenckiego kredytu, jaki Schlichtmann zaciągnął na wydziale prawa Uniwersytetu Cornella, jak też rat za jego porsche, za którego nie zapłacił również obowiązkowych ubezpieczeń. Przykazał Kathy Boyer, aby od tej wszyscy pracownicy korzystali z komunikacji miejskiej, bo nie będzie więcej zwrotów za taksówki.

Wszystko to jedynie w małym stopniu obniżyło bieżące wydatki na sprawę Woburn. Nie nadawali nawet z regularnymi wypłatami dla protokolantek, które przepisywały na maszynie stenogramy posiedzeń i codziennie wieczorem dostarczały je do kancelarii. Te „pośpieszne protokoły”, jak je nazywano, pochłaniały około tysiąca dolarów tygodniowo, w zależności od liczby stron, a dodatkowych kosztów przysparzała konieczność ich powielania w ośmiu egzemplarzach, które wysyłano do Woburn.

Gordon wierzył, że ma szansę wyprosić u Briggsa jeszcze jedną pożyczkę z Banku Bostońskiego, ale zostawiał tę ewentualność na czarną godzinę. Wujek

Piotruś od czasu do czasu pojawiał się w sądzie, a Gordon był przekonany, że bankier stał się wobec nich bardziej powściągliwy.

– Dzieje się z nim coś niedobrego – powiedział któregoś wieczoru Schlichtmannowi.

– Myślisz, że jest zaniepokojony przebiegiem procesu?

– Nie wiem, trudno wyczuć – odparł, kręcąc głową. – A nie chcę pytać, bo i tak nie odpowie.

Jednocześnie Gordon pokładał wielkie nadzieje w sprawie o uchybienia w sztuce lekarskiej, nad którą pracował Bill Crowley. Powódka, trzydziestopięcioletnia kobieta, została przyjęta do szpitala na stosunkowo prosty zabieg chirurgiczny, wyłyżczkowanie szyjki macicy w celu usunięcia niegroźnego guzka. Dzieśnięć minut po rozpoczęciu operacji pacjentka, niejaka Helen O’Connell*, zaczęła się skarżyć na trudności z oddychaniem i wkrótce straciła przytomność. Kiedy się ocknęła, już na sali ogólnej, w ogóle nie mogła poruszać nogami. Z czasem częściowo odzyskała czucie w kończynach, ale wciąż doskwierało jej nietrzymanie moczu.

Kilka lat wcześniej Schlichtmann zawarł ugodę w podobnej sprawie i wywalczył dziewięćset tysięcy odszkodowania. Co prawda tamta klientka ucierpiała bardziej niż O’Connell, Jan był jednak przekonany, że i w tym wypadku zdołają wynegocjować podobną sumę. Gordon z niecierpliwością czekał na finał tej sprawy. Adwokackie honorarium, sięgające kilkuset tysięcy dolarów, pozwoliłoby na pokrycie bieżących wydatków i spłatę tych wierzycieli, którzy zaczęli już straszyc wystąpieniem do sądu.

Pewnego deszczowego popołudnia pod koniec kwietnia, w siódmym tygodniu procesu, Crowley i Mark Phillips spotkali się z przedstawicielami towarzystwa ubezpieczeniowego w sprawie Helen O’Connell. Chcieli zażądać ośmiuset pięćdziesięciu tysięcy odszkodowania, chociaż nie liczyli, że już to pierwsze spotkanie zaowocuje podpisaniem ugody. Spodziewali się kontrpropozycji opartej na rzeczowej wycenie tego przypadku, która pozwoliłaby oszacować, jak szybko i na jaką sumę da się osiągnąć porozumienie.

Crowley i Phillips wrócili do kancelarii około osiemnastej. Schlichtmann odprowadził ich wzrokiem zza swojego biurka. Mimo że był bez butów, szybko wybiegł na korytarz.

– Ile? – zapytał.

Phillips, nie zdejmując płaszcza, z włosami ociekającymi wodą, przypalił papierosa i sięgnął po słuchawkę aparatu stojącego na biurku Peggy Vecchione. Wcisnął klawisz, pod którym było zakodowane automatyczne połączenie z biurem Gordona przy Newbury Street. Crowley z namaszczeniem otrząsnął parasol i zamknął się w swoim pokoju. Wszyscy patrzyli więc na Phillipsa, nastawiając ucha na to, co powie przez telefon.

* To nazwisko jest fikcyjne.

– No, ile? – powtórzył Schlichtmann.

Phillips podniósł aparat z biurka, zarzucił go sobie na ramię, uniósł głowę i wydmuchnął dym w stronę sufitu.

– Matko boska! Stałem się niewidzialny, czy co? – warknął Jan, podszedł do niego jeszcze bliżej i huknął: – Ile?!

Phillips zerknął przez ramię i z posepną miną odpowiedział:

– Sto siedemdziesiąt pięć.

Schlichtmann odwrócił się na pięcie, wszedł do swojego gabinetu i zatrzasnął za sobą drzwi. Conway westchnął ciężko i wbił obie ręce głęboko w kieszenie spodni.

Później w sali konferencyjnej Phillips wyjaśnił, że towarzystwo ubezpieczeniowe uznało winę lekarzy.

– W ogóle nie chcieli na ten temat rozmawiać – rzekł. – Utrzymują jednak, że zdaniem chirurgów wszystkie dolegliwości naszej klientki ustąpiły bez śladu. Moim zdaniem chodzi tylko o zyskanie na czasie i wybadanie gruntu. Wiedzą, że mamy ręce związane sprawą Woburn i cholernie potrzebujemy forsy.

Gordon jęknął rozpaczliwie.

Phillips uznał, że chyba trzeba będzie wysłać Helen O’Connell do drugiego urologa, a może nawet powtórzyć kompleksowe badania neurologiczne.

– Jeśli to ich nie przekona – oznajmił – pozostanie nam tylko wprowadzić sprawę na wokandę i ludzię nadzieję, że do jesieni zdążymy zamknąć sprawę Woburn. Nie możemy się sprzedać za tanio. Albo wynegocjujemy godziwe odszkodowanie, albo nie będzie ugody.

Gordon jęknął po raz drugi.

Po ośmiu tygodniach rozprawy kolejne sesje w sądzie zaczęły się zlewać w jeden ciąg, niczym krajobraz oglądany z okna pędzącego pociągu. Ostre promienie wiosennego słońca coraz częściej wpadały przez wysokie okna i odbijały się w msiężnych oprawach lamp nad stołem sędziowskim, przeszywając szarawe, mroczne wnętrza sali złocistymi smugami. W mętym blasku jarzeniówek ludzie wyglądali na chorobliwie białych. Na stołach obu stron wciąż rosły sterty dokumentów, przybywało także wypakowanych nimi kartonowych pudeł na podłodze. Mokra płaszcza adwokatów wisały na barierce, roztaczając woń zawilgoconej wełny. Kaloryfery wciąż tak samo szumiały. Zza okien, z leżącej w dole ulicy dolatywały stłumione odgłosy miejskiego ruchu, zawodzenie syren policyjnych czy warkot ciężarówek z nieszczelnymi tłumikami. Panowała ciężka, przytłaczająca atmosfera. Jeden z przysięgłych rezerwowych regularnie zapadał w drzemkę. Podczas szczególnie monotonicznych dni, na przykład w trakcie odczytywania protokołów wstępnych przesłuchań pracowników koncernu Grace’a przed włączeniem ich do materiału dowodowego, nawet sędzia Skinner zdawał się przysypiać – siedział z lekko rozchyłonymi ustami i głową odchyloną nieco do tyłu.

Facher często ostrzegał swoich słuchaczy na Harvardzie, że jeśli zdarzy im się przysnąć podczas rozprawy, zaraz po przebudzeniu należy poderwać się z miejsca i zgłosić sprzeciw.

– I zanim podniesiecie się z krzesła i staniecie pewnie na nogach, musicie wymyślić jakiś powód tego sprzeciwu.

Oczywiście mówił to w żartach, bo chyba sam się nie spodziewał, że któremuś ze studentów naprawdę zdarzy się przysnąć na sali. Tymczasem w trakcie przedłużającego się, nudnego przesłuchania jednego z dyrektorów zakładów Grace’a, prowadzonego przez Sandrę Lynch, on sam zapadł w krótką drzemkę. Wywrwał go z niej głośny pisk sprzężenia akustycznego.

– Czy nie powinniśmy jakoś poprawić tego mikrofonu? – zwróciła się Lynch do sędziego.

– Zdaje się, że to pan Nesson ostatnio go poprawiał – odparł Skinner.

Właśnie w tym momencie, na dźwięk nazwiska Nesson, Facher poderwał się na nogi i ryknął zachrypniętym głosem:

– Sprzeciw!

Niepewnie rozejrzał się dookoła, zamrugał szybko i usiadł z powrotem.

5

Pewnego ranka na początku maja Kathy Boyer, po raz pierwszy od jesieni, otworzyła okna w sali konferencyjnej, żeby wpuścić do środka trochę powietrza. Przy Post Office Square, naprzeciwko gmachu sądu, tulipany na skwerze były już w pełnym rozkwicie, a nabrzmiałe pąki lip otwierały się w skupiska postrzępionych młodych liści. Schlichtmann zwrócił uwagę, że nadeszła wiosna, lecz i to nie poprawiło mu humoru. Obecna faza rozprawy powinna się była zakończyć dawno temu.

Drobną satysfakcją sprawiały mu pewne postępy w sprawie. Pozostał już tylko jeden świadek, biegły w zakresie hydrologii i spływów wód podziemnych, profesor George Pinder. Miał zeznawać przeciwko obydwu pozwanym, a gdyby wszystko poszło dobrze, w swojej opinii powinien stwierdzić wyraźnie, że trichloroetylen i inne rozpuszczalniki wykryte w gruntach należących do obu przedsiębiorstw musiały z wodą przedostać się do ujęć, i to jeszcze przed wybuchem fali zachorowań na białaczkę.

Schlichtmann był dumny z pozyskania takiego fachowca. Żadnemu geologowi zajmującemu się wodami gruntowymi nazwisko Pindera nie było obce. Dziekan wydziału inżynierii sanitarnej na Uniwersytecie Princeton piętnaście lat wcześniej stworzył pierwszy komputerowy program do modelowania kierunków i szybkości spływów wód podziemnych. Dlatego też Jan traktował go z honorami, wynajął dla niego apartament w hotelu „Ritz-Carlton”.

Dobiegający pięćdziesiątki, szczyły i fertyczny naukowiec, był o głowę niższy od Schlichtmanna. Jego przerzedzone ciemnoblonde włosy, daleko cofnięte nad wysokim czołem, sprawiały wrażenie cienkich i miękkich jak u niemowlaka. Nosił okulary w złotej drucianej oprawce, które nadawały mu dystyngowany wygląd. Mówił powoli, wyrażał się bardzo precyzyjnie, lecz wcale nie był nazbyt pewny siebie. Tego ranka, kiedy miało się zacząć jego przesłuchanie, przyszedł

do kancelarii i uprzejmie przywitał się z wszystkimi sekretarkami. Jana uderzyło, że miał na sobie granatowy sweter, brązowy wełniany krawat, brązowe spodnie i wzorzyste skarpetki. Zawsze prosił świadków, aby do sądu wkładali typowe ciemne garnitury, dla niego strój Pindera był po prostu niestosowny, ale nic nie powiedział.

– George to światowej sławy ekspert w zakresie wód podziemnych – rzekł na osobności do Conwaya przed wyjściem z kancelarii. – Jego wygląd nie powinien mieć w sądzie większego znaczenia.

Pierwszego dnia, odpowiadając na pytania Schlichtmanna, Pinder wypadł całkiem dobrze. Przyniósł do sądu wielkie naręcze schematów i wykresów, by z ich pomocą przybliżyć sędziom przysięgłym tajniki hydrogeologii. Urządził nawet pokaz w akwarium wypełnionym wodą, zanurzał w niej gąbki kąpielowe, do których wcześniej wpuszczał po kilka kropli tuszu.

– Proszę sobie wyobrazić, że zamiast zwykłego tuszu mamy do czynienia z toksycznymi substancjami, w pokazany sposób przenikającymi z gleby do podziemnego zbiornika – tłumaczył.

Mówił o warstwach przepuszczalnych i nieprzepuszczalnych, potencjałach kapilarnych, lejach depresyjnych. Był nadzwyczaj ożywiony i tryskał humorem przez całe przedpołudnie, odpowiadał z wielką swobodą i przekonaniem, jakby występował przed grupą studentów pierwszego roku.

Obrońcy świetnie znali nieposzlakowaną reputację Pindera. Cheeseman chciał go nawet powołać na biegłego ze strony koncernu Grace’a, ale Schlichtmann zrobił to wcześniej. Tylko Facher niczym się nie przejmował.

– Słyszałem, że Pinder to najlepszy ekspert w swojej dziedzinie – powiedział tego dnia w korytarzu, podczas przerwy. – Podobno każdemu przeciwnikowi potrafi wpakować piłkę do bramki. Ale jak na razie gra toczy się na połowie rywali.

Po przerwie sprawy zaczęły się komplikować, choć nie z winy biegłego. Im bliżej Schlichtmann podprowadzał Pindera ku obarczeniu winą zakładów Grace’a i Beatrice Foods, tym częściej Facher i Keating zgłaszali sprzeciwy. Mimo to przed końcem posiedzenia padł wreszcie pierwszy istotny wniosek eksperta – oba pozwane przedsiębiorstwa odpowiadają za skażenie studni G i H. Drugi, obejmujący wyliczenie czasu migracji trichloroetylenu i innych rozpuszczalników z zanieczyszczonych posesji do ujęć wody, musiał poczekać do jutra.

Tego wieczoru w biurze Schlichtmann z radości zacierał ręce i przytupywał.

– Powiedziałeś to, co najważniejsze, George! – wykrzyknął. – Obrona próbowała cię powstrzymać, ale bez skutku. To był nasz wspaniały dzień, George! Po prostu nie mogło wypaść lepiej!

Pinder uśmiechnął się zażenowany.

– Przynięgli zrobili na mnie wrażenie bardzo uważnych słuchaczy – odparł.

Już następnego ranka popełnił jednak błąd. Nie był on zbyt istotny, lecz Schlichtmann natychmiast go wyłapał. Jan zapytał Pindera, jak długo trichloro-

etylen i trzy inne rozpuszczalniki musiały migrować pod ziemią z terenów obu zakładów do ujęć wody. Poprzedniego wieczoru razem sprawdzali wszystkie obliczenia, ale w sądzie biegły podał inne wartości, różniące się od poprzednich o kilka dni dla jednego związku, lecz nawet o rok w wypadku innego.

Skonsternowany Jan zaczął się zastanawiać, czy pamięć go nie zawodzi. Znalazł się w kropce, a przecież nie mógł zapytać świadka wprost, kiedy dokonał zmian w obliczeniach. Zanim sędzia ogłosił przerwę, postanowił jednak nie poruszać na razie tego tematu, nie chciał bowiem wytrącić Pindera z równowagi.

Wieczorem w pokoju hotelowym geologa szybko sam doszedł przyczyn rozbieżności. Pinder, chyba zbyt pewny siebie, musiał po jego wyjściu powtórzyć obliczenia, zapomniał jednak uwzględnić współczynniki porowatości gleby. W niczym nie zmieniło to ogólnego wydźwięku opinii, według błędnych rachunków chemikalia i tak musiałyby się przedostać ze skażonych terenów do ujęć wody na długo przed utworzeniem się ogniska zachorowań na białaczkę. Ale Schlichtmann podejrzewał, że Facher oraz Keating nie przeoczą takiej pomyłki i w czasie przepytывania świadka będą próbowali rzucić cień na jego wiarygodność.

Postanowił więc zacząć i tuż przed zakończeniem piątkowego posiedzenia poprosić biegłego o skorygowanie obliczeń. Chciał przedstawić to jako drobny błąd rachunkowy, nie mający większego znaczenia dla meritum sprawy, lecz wart sprostowania. W ten sposób przysięgli mieliby cały weekend na przemyślenie tej sprawy, zanim w poniedziałek rozpoczęłoby się przesłuchiwanie świadka przez obrońców.

Cały następny dzień upłynął zgodnie z planem. Na dwadzieścia minut przed zakończeniem obrad Schlichtmann powrócił do kwestii czasów migracji i Pinder przyznał publicznie, że podczas wczorajszych zeznań gorączkowo powtarzał obliczenia w pamięci.

– Kiedy później przypominałem sobie własne zeznania – mówił spokojnym, łagodnym tonem – uderzyło mnie, że na sali popełniłem prosty błąd rachunkowy. Bardzo się cieszę, że mam teraz okazję go naprawić.

– Cóż to był za błąd? – spytał Schlichtmann.

– Przemnażając w pamięci dane według wzoru, zapomniałem uwzględnić współczynniki porowatości gleby.

– W jaki sposób wpłynęło to na podane czasy migracji rozpuszczalników?

– Zmieniło je dość znacznie – rzekł geolog, kiwając głową – ale nie do tego stopnia, by odmienić przytoczone wnioski.

Schlichtmann poprosił więc biegłego o podanie skorygowanych wartości, a gdy Pinder skończył wymieniać liczby, spojrzął na wielki ścienny zegar wiszący nad wejściem do sali. Zostało jeszcze dwanaście minut do planowanego końca obrad. Zamierzał na koniec dokonać krótkiego podsumowania i podkreślić to, że badania przeprowadzone we wschodnim Woburn – podczas których wywiercono sto pięćdziesiąt siedem studni kontrolnych, zebrano setki ekspertyz technicznych i wykonano liczące w sumie dwanaście tysięcy stron opracowania – uczyły z doliny Aberjony najlepiej przebadany fragment zlewni na świecie. Poprosił Pindera, by zechciał w kilku słowach porównać prace wykonane w Woburn z innymi, w których dotąd uczestniczył, ale Facher i Keating szybko zgłosili sprzeciw.

– Podtrzymuję – oznajmił Skinner.

Schlichtmann inaczej sformułował pytanie, lecz i ono zostało oprotestowane, a sędzia znów podtrzymał sprzeciw.

– Czy mogę prosić o chwilę przerwy, Wysoki Sądzie?

Skinner przytaknął ruchem głowy. Jan westchnął i zajął się notatkami, ale nie potrafił wymyślić żadnego sensownego pytania. Podszedł do stołu, szepnął kilka słów Nessonowi i ten szybko zapisał pytanie na kartce. Ale gdy Schlichtmann je zadał, Facher błyskawicznie zgłosił sprzeciw, a sędzia go podtrzymał. Jan uznał, że nie ma innego wyjścia. Do końca obrad pozostało zaledwie siedem minut.

– Nie mam więcej pytań, Wysoki Sądzie – powiedział.

Skinner spojrzął na zegar.

– Myślę, że możemy już zakończyć dzisiejsze posiedzenie, a pytania obrony zostawić na poniedziałek.

Nawet drobne potknięcia prawników przynoszą czasami poważne konsekwencje. Schlichtmann obrał przejrzystą strategię, a Facher nie zamierzał dopuścić, by udało mu się skutecznie zrealizować swój plan. Wstał szybko i zwrócił się do Skinnera:

– Czy mógłbym wykorzystać tych siedem minut, Wysoki Sądzie?

– Chce pan już teraz zacząć przesłuchiwać świadka? – zdziwił się Skinner, robiąc kwaśną minę.

– Tak – rzucił obrońca, mierząc surowym spojrzeniem geologa.

Tych siedem minut rozmowy z Facherem sprawiło, że gdy Pinder wieczorem odlatywał do Princeton, z obrzydzeniem myślał o konieczności powrotu do Bostonu w poniedziałek rano. Obrońca zaatakował go bez pardonu, posługując się tak obraźliwym, pełnym pogardy tonem, jakim nikt dotąd się jeszcze do niego nie zwracał.

– Chce pan wmówić przysięgłym, że mając tytuł doktora nauk ścisłych i kierując wydziałem renomowanej uczelni, wczoraj na tej sali popełnił pan drobny błąd rachunkowy w obliczeniach szykowanych od półtora roku?! Twierdzi pan, że jako wykładowca geologii zapomniał uwzględnić w nich porowatość gleby?! Czy wcześniej nie urządził pan przysięgłym godzinnego wykładu na temat doniosłości tych obliczeń? Mamy zatem wierzyć dzisiejszym informacjom, a wczorajszym już nie? Właśnie to chce pan teraz powiedzieć przysięgłym?

Pinder powstrzymał nerwy na wodzy i odpowiadał spokojnie, ale w głębi duszy był wstrząśnięty trybem zadawania pytań. Wcześniej dwukrotnie był powoływany na biegłego, w sprawach Love Canal oraz Versicolu, ale za każdym razem wygłaszał tylko krótkie opinie, których żaden z prawników nie ośmielał się podważyć. Jego żona, Phyllis, która bardzo interesowała się pracą męża, poznała agresywność Fachera na podstawie protokołów z przesłuchań Drobinskiego przysłanych przez Schlichtmanna.

– Uważaj na niego – ostrzegła męża przed jego powtórny wyjazdem do Bostonu. – Chyba powinieneś uważnie przeczytać swoje dotychczasowe zeznania, żebyś przypadkiem sam sobie nie zaprzeczył.

Pinder zlekcewał jej rady. Już od pięciu dni występował przed sądem, sprawozdania liczyły więc łącznie prawie tysiąc stron. Nie miał ochoty ich czytać. Za to zrobił to Facher, który dokładnie się z nimi zapoznał, strona po stronie.

I w poniedziałek rano zapytał świadka, czy przypomina sobie, że według jego obliczeń zanieczyszczenia z terenu garbarni Betrice Foods powinny dotrzeć do ujęć wody po osiemnastu miesiącach. Pinder odparł, że nie pamięta dokładnie, czy tak zeznał.

– Brzmi to jednak logicznie i prawdopodobnie właśnie tak powiedziałem.

– Kiedy zeznawał pan na tej sali w ubiegłym tygodniu, zaprezentował obliczenia, według których te same substancje musiały dotrzeć do obu studni w ciągu roku. Tak było?

– Nie pamiętam szczegółów, lecz skoro pan tak twierdzi, nie będę zaprzeczał.

– Nie zwrócił pan uwagi, że te dwie informacje różnią się o pół roku?

Pinder zamyślił się na chwilę i starannie dobierając słowa, odpowiedział:

– To chyba zależy od kontekstu, w jakim używałem słowa „zanieczyszczenia”, które pan teraz przytacza. Głównie dlatego nie mogę obecnie potwierdzić tego, co mówiłem wcześniej.

Facher zasugerował, że świadek sformułował swą opinię jeszcze przed zapoznaniem się z jakimikolwiek wynikami analiz, czemu Pinder stanowczo zaprzeczył.

– Miał pan jednak wyrobione zdanie co do źródła zanieczyszczeń występujących w wodzie, prawda? – spytał obrońca.

Geolog, który mętnie przypominał sobie, że mógł coś podobnego wyjawić podczas wstępnego przesłuchania, rzekł:

– To chyba nie jest całkiem bezpodstawne twierdzenie. Skłonny jestem przyznać, że chyba wyraziłem się kiedyś w ten sposób.

– Jest pan skłonny przyznać, że kiedyś wyraził się w ten sposób? – powtórzył Facher z niedowierzaniem w głosie.

– Staram się mówić oględnie.

– Aż nadto. Zwykle waży pan słowa, prawda?

– Zawsze dbam o maksymalną precyzję wypowiedzi.

Okazało się jednak, że ta dbałość o precyzję zawocowała istnym gąszczem nieporozumień. Pinder bardzo się pilnował, niemal w każdym pytaniu obrońcy wietrzył jakąś pułapkę. Kiedy Facher zapytał o badania wykonane przez Drobinskiego na terenie piętnastoakrowego lasu, odparł:

– Nie znam wszystkich szczegółów tamtych prac. Sądzę, że Drobinski w istocie się cofnął, by dotrzeć do faktów z przeszłości.

– W istocie się cofnął? – powtórzył z sarkazmem w głosie adwokat.

– Chodziło mi o to, że musiał sięgnąć do starszych warstw gleby w celu uzyskania informacji. Powtarzam, że nie znam szczegółów prowadzonych przez niego badań.

– Zapewne w grudniu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego roku nawet nie wiedział pan jeszcze, kim jest Drobinski, prawda?

– Ależ skąd, znałem go już wtedy – odparł pewnie geolog. – Rozmawialiśmy ze sobą wiele razy.

Facher sięgnął po protokół ze wstępnego przesłuchania, otworzył go i zaczął przrzucać kartki, jakby czegoś szukał.

– Podczas zeznań składanych dziesiątego grudnia zapytałem, czy współpracował pan osobiście z którymś specjalistą z Weston, a gdy pan potwierdził, poprosiłem o wymienienie jakiegoś nazwiska. – ponownie zbliżył się do miejsca dla świadków i położył sprawozdanie na pulpicie. – Co pan wtedy odpowiedział? – Wskazał palcem miejsce w protokole.

Pinder pochylił się do przodu i poprawił okulary na nosie. Facher popatrzył w sufit. Minęło kilkanaście sekund, zanim biegły odpowiedział, jakby wcześniej musiał się zapoznać z całą stroną swoich zeznań.

– „Nie pamiętam” – odczytał na głos.

– Więc chce nam pan teraz powiedzieć, że nie poznałby Drobinskiego, dopóki nie stanąłby przed panem z przypiętą na piersi konferencyjną plaketką z wypisanym nazwiskiem?

– Wtedy bym go nie poznał, bo wcześniej tylko z nim rozmawiałem. Kontaktowałem się z wieloma geologami, których nie potrafiłbym rozpoznać. W istocie taki był sens mojej odpowiedzi.

– Na pewno w istocie taki był sens pańskiej odpowiedzi?

Pinter chyba poczuł się schwytyany w pułapkę zwrotu „w istocie”, ponieważ natychmiast zaczął używać innych wyrażeń. Od tej pory padały sformułowania: „to zależy od kontekstu użycia tego słowa” albo „w takim sensie, w jakim pan pyta”. I te zwroty spotykały się z ironicznymi uwagami obrońcy.

– Nie nadawałem swojemu pytaniu żadnego ukrytego sensu – wtrącał. – Chciałem uzyskać prostą, jasną odpowiedź.

Wreszcie sędzia wezwał prawników do swego stołu i zwrócił się do Schlichtmanna:

– Odnoszę wrażenie, że pański biegły albo gubi znaczenie poszczególnych słów, albo też mówi, co mu ślina na język przyniesie.

– Nie sądzę, aby w ten sposób można scharakteryzować całe wystąpienie świadka – odparł Jan, chociaż był już przekonany, że sprawy przybierają bardzo niepomyślny obrót.

Tego dnia po powrocie do biura Conway zastał Schlichtmanna samego w gabinecie. Leżał na sofie i zasłaniał sobie dłonią oczy, jakby go raziło jaskrawe światło.

– Wyglądasz na wykończonego, chłopie – rzekł, zatrzymując się w przejściu.

Jan uniósł rękę, obrócił głowę i popatrzył na przyjaciela.

– Zapowiada się najbardziej spierdolony tydzień w moim życiu – bąknął.

Conway pokiwał głową.

– To, co powiedział sędzia o zeznaniach Pindera, rzeczywiście napawa niepokojem.

– Stetryczały stary skurwiel – mruknął Schlichtmann.
– Nie ma nic gorszego, niż przyglądać się bezradnie, jak ci gwałcą najlepszego świadka. Ale niczemu nie zaradzisz, siedząc tu beczynnienie.
– Myślisz, że dotrzymy do soboty? Przeżyjemy jeszcze cztery takie dni? – Zachichotał nienaturalnie.
– Nie martw się, przeżyjemy. – Jakby na znak odzyskiwania pogody ducha, Conway podciągnął spodnie i wetknął w nie wylażającą koszulę. – George to prawdziwe bóstwo, ekspert światowej sławy. Nikt tak jak on nie zna całej doliny Aberjony. – Urwał na chwilę, po czym dodał ciszej: – Poza tym nie może się nam przytrafić już nic gorszego.

Schlichtmann błyskawicznie usiadł i popatrzył na niego spod zmarszczonych brwi.

– Naprawdę uważasz, że było aż tak źle? – Znowu zachichotał teatralnie. – George powiedział, że dzisiaj czuł się całkiem nieźle. Masz pojęcie? To zresztą nie jego wina. Jest błyskotliwy, tyle że nie zalicza się do ludzi, którzy potrafią robić wspaniałe wrażenie na innych. Tak jest i koniec.

Przyszli Gordon z Phillipsem. Pierwszy usiadł za biurkiem, położył nogi na skraju blatu i zapalił papierosa. Phillips zajął miejsce w fotelu przy sofie i także starał się pocieszyć Jana.

– Dzisiejsza wiwisekcja Fachera mogła podziałać na prawników, ale nie powinna wpłynąć na opinię przysięgłych – zauważył nerwowo. – Nie zapominaj, że najgłośniejsze zwycięstwa odnosi się wtedy, gdy człowiek balansuje na krawędzi kłęski.

Na chwilę zapadła cisza, jakby wszyscy zastanawiali się nad ukrytym sensem tej maksy. Wreszcie Gordon zapytał:

– Co przez to rozumiesz, Mark?

Schlichtmann poszedł do hotelu „Ritz-Carlton” na wieczorne spotkanie z Pinderem. Pocieszał się myślą, że jeśli nawet Facher zdołał nadszarpnąć wiarygodność świadka, to z pewnością nie udało mu się zakwestionować jego fachowej opinii. Sądził więc, że zdoła tak nastawić geologa, by podobne sytuacje się już nie powtórzyły.

Tymczasem zaczął się martwić czymś innym. Wiedział, że do obrony swego klienta Facher wykorzysta usytuowanie Aberjony, która rozdzielała skażoną posesję Beatrice Foods od ujęć wody pitnej. Nietrudno było wnioskować, że włączenie pomp spowodowało obniżenie poziomu wody w podziemnym zbiorniku, a tym samym wymusiło przesiąkanie wód rzecznych, podczas gdy nurt Aberjony odgrodził spływające ze skarpy po przeciwnej stronie zanieczyszczenia.

Taka teoria nie była całkiem bezpodstawna. Już ubiegłej wiosny sam Pinder go ostrzegał, że w pewnych okolicznościach rzeka może się stać dla zanieczyszczeń „barierą nie do przebycia”, chociaż wyrażał przy tym wątpliwości, czy dałoby się to udowodnić naukowo. Jego komputerowy model kierunków spływu wód podziemnych wskazywał jednoznacznie, że do ujęć musi trafiać woda spod tere-

nu należącego do Beatrice Foods, płynąca prostopadłe do nurtu rzeki przez grubą warstwę piasku i żwiru, leżąca pod dnem koryta Aberjony. Geolog powtarzał jednak, że zyska pewność dopiero wtedy, gdy otrzyma rezultaty planowanego przez Agencję Ochrony Środowiska testu dynamicznego, prowadzonego przy włączonych pompach studni G i H. I kiedy 4 grudnia pompy uruchomiono, nie odstępował ani na krok studni kontrolnej wywierconej na terenie garbarni. W ciągu czterech godzin ich pracy poziom wody gruntowej pod zakładem obniżył się o trzydzieści centymetrów, co w pełni potwierdzało rezultaty modelowania komputerowego.

Dla Pindera wyniki tego testu, jak też analogiczne pomiary przeprowadzone w innych studniach kontrolnych dowodziły niezbicie, że do ujęć G i H trafia woda spływająca spod terenu, który należy do Beatrice Foods, a podciśnienie wytwarzane w podziemnym zbiorniku przez pracujące pompy w żadnym stopniu nie działa na nurt Aberjony. Geolog uzasadniał, że gruba warstwa torfu spoczywającego na dnie koryta – co najmniej sześciometrowy pokład częściowo rozłożonych liści, korzeni i gałęzi – jest całkowicie nieprzepuszczalna dla wody. Krótko mówiąc, rzeka nie mogła stanowić zapory dla spływających zanieczyszczeń, niezależnie od sytuacji hydrologicznej w dolinie.

Dla Schlichtmanna brzmiało to logicznie, ale nie potrafił wyjaśnić innego zjawiska. Razem z Pinderem obserwował w grudniu skutki lodem nurt Aberjony i zwrócił uwagę, że po uruchomieniu pomp jej poziom zaczął wyraźnie opadać, gdyż na brzegach układały się skośnie odłamane lodowe tafle. W rzece ubywało wody, więc jeśli nie była ona zasysana pod ziemię przez pracujące pompy, to gdzie się podziewała?

Teraz, w hotelu, po raz kolejny próbował znaleźć wyjaśnienie tej zagadki. Pinder miał kilka teorii. Tłumaczył, że część wody wyparowała, natomiast część mogła zostać zassana do podziemnego zbiornika, ale w innym rejonie doliny. Badał grubość i przepuszczalność warstwy torfu pod dnem koryta i był całkowicie pewien, że na przeniknięcie przez nią wody do ujęć G i H trzeba by czekać od dziesięciu do dwudziestu lat.

Schlichtmannowi ten problem nie dawał jednak spokoju. Poziom rzeki obniżył się o piętnaście centymetrów, musiało więc ubyc bardzo dużo wody. Nie mogło jej aż tyle wyparować ani przesiąknąć w tak krótkim czasie.

Pinder z ociąganiem przyznał, że to prawda.

– Więc gdzie się podziała woda z rzeki? – powtarzał Jan.

Geolog nie wiedział.

Dyskutowali do północy, wciąż nie mogąc znaleźć odpowiedzi na dręczące pytania. Pinder był zmęczony, nie przywykł do siedzenia o tak późnej porze. Chciał się położyć spać, żeby jutro stanąć przed Facherem w pełni formy, z klarownym umysłem.

Ale Schlichtmann nie rezygnował.

– Musimy to jakoś wyjaśnić, George – nalegał. – Zacznijmy jeszcze raz.

– Nie – powtarzał uparcie geolog. – Muszę się kłaść do łóżka.

Jan z takim samym uporem twierdził, że nie wyjdzie.

– Jeśli nie dasz mi się teraz wypaść – rzekł w końcu Pinder ze złością – jutro rano wracam pierwszym samolotem do Princeton.

Schlichtmann musiał ustąpić.

Nazajutrz rano niecierpliwie czekał w biurze na geologa. Ten zjawił się w poczęty i w doskonałym nastroju. Ewidentnie puścił w niepamięć nocne spory.

– Dziś rano doznałem olśnienia i już wiem, co się stało z wodą Aberjony – oznajmił. – Nie potrafię wytłumaczyć, dlaczego wcześniej na to nie wpadłem. Wyjaśnienie jest bardzo proste.

Schlichtmann był bardzo ciekaw tego prostego wyjaśnienia. Pinder powiedział, że w normalnych warunkach wody z podziemnego zbiornika zasilają rzekę, a tym samym podnoszą jej poziom. Jest to zjawisko powszechne, spotykane niemal we wszystkich rzekach poza pustynnymi i górskimi. W rzeczywistości prawie cała woda tworząca na powierzchni nurty rzek pochodzi spod ziemi i tak też się dzieje w wypadku Aberjony. Kiedy więc uruchomiono pompy ujęć G i H, zmniejszyła się ilość wody w podziemnym zbiorniku i przestała zasilać rzekę.

– Sam widzisz! – tłumaczył z przejęciem Pinder. – W rzece wcale nie u b y ł o wody po uruchomieniu pomp, a tylko przestało jej przybywać z podziemnego zbiornika.

– Jesteś tego pewien, George?

Geolog uśmiechnął się szeroko.

– Doszedłem do tego, kiedy brałem rano prysznic.

– Tylko nie mów o tym przysięgłym.

– Ale tak było.

Do sali konferencyjnej zajrzała Peggy Vecchione.

– Jest za pięć dziesiąta, musicie się pospieszyć.

Schlichtmann zaczął się zwijać jak w ukropie, popadłszy nagle w ten stan gorączkowego podniecenia, jaki go ogarniał każdego dnia przed wyjściem do sądu. Wyjaśnienia Pindera wydały mu się logiczne, ale nie miał czasu, żeby je głębiej przemyśleć.

– Masz przekroje geologiczne sąsiedztwa ujęć wody, George? – zapytał. – Te duże plansze, z zaznaczonymi na żółto granicami warstw? Chyba ty je brałeś, prawda?

Geolog przygryzł wargi, a po chwili bezradnie rozłożył ręce. Nie znosił takiej krzątaniny, która wytrącała go z równowagi, zwłaszcza że teraz najbardziej potrzebował spokoju.

Po chwili Schlichtmann poklepał go po ramieniu, cofnął się o krok i obrzucił uważnym spojrzeniem granatowy sweter, lekko połyskujący różowawy krawat i wzorzyste skarpetki.

– Wyglądasz wspaniale, George. A jak się czujesz?

– Miałem świetny nastrój, dopóki nie zacząłem rozmawiać z tobą – mruknął Pinder.

– Dzisiaj wszystko pójdzie dobrze – zapewnił adwokat.

Popędził do sądu tak wielkimi susami, że na Milk Street geolog musiał prawie biec, żeby dotrzymać mu kroku. Zapowiadał się piękny słoneczny dzień, z rześką bryzą od morza, lecz Jan zdawał się w ogóle tego nie dostrzegać. Myślał o tym, że Pinder wykazuje godny podziwu hart ducha, był jednak pełen obaw o jego wytrzymałość w konfrontacji z Facherem.

Nie wszystko poszło dobrze, ale nie wypadło też najgorzej. W trakcie porannej sesji dwukrotnie geologowi wyrwało się „w istocie”. Facher zareagował ostro.

– Dlaczego znowu musimy rozmawiać o jakichś istotach? Pytałem o konkretne dane liczbowe.

Kiedy zaś Pinder po raz kolejny zaplątał się w pogmatwanej odpowiedzi, przerwał mu sędzia:

– Profesorze, pytanie było naprawdę proste, nie wymagające długich i skomplikowanych wyjaśnień. Proszę odpowiadać jak najkrócej.

Przy stole strony powodowej Schlichtmann starał się sprawiać wrażenie zupełnie spokojnego.

Dopiero po przerwie Facher nawiązał do usytuowania rzeki i sprawy obniżania się jej poziomu. Najpierw zapytał:

– O ile zmniejszył się przepływ wody w Aberjonie podczas testowego uruchomienia pomp w ujęciach G i H?

Pinder jakby tylko na to czekał.

– Niewiele. Rzekłbym, że prawie wcale.

– Zatem nie jest prawdą, że przepływ zmalał prawie o dwa tysiące trzysta litrów na minutę, zgodnie z pomiarami wykonanymi przez Służbę Geologiczną Stanów Zjednoczonych?

– Nie, proszę pana. Nie można tych pomiarów interpretować w ten sposób. I mnie one zaskoczyły, dopóki nie zacząłem się nad tym zastanawiać i nie doszedłem do wniosku...

– Czyżby chciał pan odpowiedzieć na pytanie, którego jeszcze nie zadałem?! – przerwał mu Facher.

– Nie, chciałem tylko pomóc panu zrozumieć...

– Mam uwierzyć, że próbuje mi pan pomóc? – zdziwił się obrońca.

– Oczywiście, proszę pana – przyznał z uśmiechem geolog.

– W takim razie i ja panu pomogę. Wygląda na to, że odkrył pan jakieś niezwykle zjawisko, które laicy potraktowali jako zmniejszenie przepływu w rzece o ponad dwa tysiące litrów na minutę.

– Zgadza się.

– Podejrzewam zatem, że specjalista, który został zaangażowany do wyrażenia swej opinii w rozpatrywanej sprawie, od początku miał gotowe wyjaśnienie, prawda?

– Nie – odparł Pinter. – Ale teraz już mam. Nawet nie zajmowałem się tym problemem, kiedy znalazłem wyjaśnienie zagadki. Olśniło mnie podczas kąpieli...

– Prysownicowe przemyślenia? – wtrącił Facher, unosząc brwi. – Zanim ze-
chce się pan nimi podzielić... – Wrócił do stołu, szybko obliczył coś na kartce
i powiedział: – Mówimy o trzech milionach dwustu siedemdziesięciu tysiącach
litrów wody dziennie, które znikają z rzeki, znikają z całej zlewni...

– Nieprawda, proszę pana. Jest pan w błędzie.

– Więc gdzie się ona, według pana, podziewała? – wtrącił zniecierpliwiony
sędzia.

– O to właśnie chodzi! – wykrzyknął uszczęśliwiony Pinder.

– W porządku – mruknął Facher – Proszę powiedzieć Wysokiemu Sądowi,
sędziom przysięgłym i nam wszystkim... Gdzie się podziewało te dwa tysiące
trzysta litrów wody na minutę?

– Uczynię to z przyjemnością.

Profesor wyszedł zza barierki, stanął przed ławą przysięgłych i zawiesił na
stojaku geologiczny przekrój doliny rzecznej.

Schlichtmann także wstał od stołu, przeszedł powoli pod ścianę i stanął mię-
dzy regałem z książkami a ławą przysięgłych, skąd mógł wszystko obserwować.
Wsunął ręce do kieszeni, chyba po raz pierwszy w życiu pozwalając sobie na to
na sali sądowej, i pochylił głowę, jakby całkowicie pochłaniał go wygląd własn-
ych butów. Słuchał w takiej pozycji, tylko od czasu do czasu zerkając na obu
mężczyzn przy stojaku. Jak mówił później, wyobrażał sobie, że Facher trzyma
długi nóż, pod światło uważnie ogląda ostrze, wreszcie sprawdza jego ostrość,
delikatnie przeciągając po nim kciukiem, następnie przeciąga parę razy po skó-
rzanym pasku i znów sprawdza palcem. W wyobraźni tak właśnie postrzegał obroń-
cę, z radością szukającego się do ulubionej pracy.

Facher kilkakrotnie przerywał pytaniami wyjaśnienia Pindera, a gdy geolog
wreszcie skończył, powiedział:

– Krótko mówiąc, pańskim zdaniem w rzece w ogóle nie ubyłoby wody, a je-
dyndy przestało jej przybywać z dotychczasowego źródła. To zupełnie tak, jakby-
śmy wcale nie stracili pieniędzy, a tylko nie odebrali za dany tydzień wypłaty.
Zgadza się?

– Tak. W rzeczy samej to właśnie chciałem wykazać – przyznał Pinder.

– No cóż, czy chciałby pan jeszcze coś dodać? Zapoznałem się z pańską
teorią i będę musiał ją wieczorem dokładnie przemyśleć.

– To zupełnie oczywiste – odparł profesor.

– Do diabła, George! Ale zabiłeś mu ćwieka! – wykrzyknął Schlichtmann
w drodze powrotnej do kancelarii. – Mam straszną ochotę ucałować cię czule w sam
środek łysiny!

Pinder, do tej pory wyraźnie zadowolony z siebie, ze zmarszczonymi brwiami
przyjął ten dziwny przejaw radości.

Mimo to Schlichtmann odczuwał niepokój. Drepczyło go przeczucie, że coś
nie jest w porządku, chociaż nie umiał sprecyzować swoich obaw. Wieczorem,
gdy zasiadł do rozmowy z geologiem w sali konferencyjnej, rzekł:

- George, wracając to twojej pokrętnej teorii...
- Wypraszam sobie – syknął Pinder.
- Musimy jeszcze o tym porozmawiać.
- Przecież to proste...
- Wiem, że proste, tylko jak się ma do rzeczywistości?

Jeszcze tego wieczoru zyskał pewność, że całkiem mija się z prawdą. Łatwo było to wykazać na podstawie pomiarów Służby Geologicznej. Wielkości przepływów w Aberjonie mierzone w dwóch przekrojach, na wysokości dwóch mostów, jednego przecinającego rzekę na północ od Woburn, drugiego na południu, około kilometra poniżej ujść wody. Gdyby w rzece nie ubywało wody, a tylko przestało jej przybywać, jak utrzymywał Pinder, przepływy w obu przekrojach dążyłyby do identycznej wielkości.

Tymczasem, jak Schlichtmann sam się przekonał, było odwrotnie. Obie wartości nie tylko nie dążyły do wyrównania, ale wskazywały jednoznacznie, że faktycznie z rzeki ubywało ponad dwa tysiące litrów na minutę.

Teraz mógł już winić tylko siebie. Przesłał profesorowi kilka pudeł materiałów, a wśród nich było także sprawozdanie z pomiarów Służby Geologicznej. Później jednak był zbyt zajęty medycznymi aspektami sprawy, żeby skontrolować Pindera, a ten musiał przeoczyć oczywistą wymowę danych liczbowych.

Geolog znalazł się pułapce. Nie mógł przyznać Facherowi, że popełnił tak fundamentalny błąd, nie podając jednocześnie w wątpliwość całej swojej opinii. Poza tym nadal wierzył, że w kwestii zasadniczej ma rację i ujęcia zostały skażone przez wodę spływającą spod terenu garbarni. Dla niego najważniejsze było to, co widział na własne oczy – obniżenie się poziomu wód gruntowych o trzydzieści centymetrów po uruchomieniu pomp.

Mógł jedynie kluczyć i motać, mając nadzieję, że jakoś z tego wybrnie.

Następnego ranka, kiedy Facher zapytał, czy przypomina sobie własne twierdzenie, że wody w rzece wcale nie ubywało, odparł:

– Nie, proszę pana, chyba nic takiego nie powiedziałem.

Obrońca sięgnął po protokół.

– Cytuję: „Woda, która w normalnych warunkach zasilala rzekę, teraz przestała ją zasilać. A to oznacza, że nie ubyło jej z nurtu, tylko przestało przybywać”. Pamiętaj pan to?

– Tak, proszę pana. Chyba dokładnie tak się wyraziłem. Chodziło mi o to, że cząsteczki wody odbierają sygnał, jakby ktoś nakazał: Stop! Nie wolno wam teraz przenikać do rzeki, macie płynąć w kierunku studni! Właśnie w tym duchu udzieliłem odpowiedzi.

– Zostawmy na razie ducha, skupmy się na słowach. Powiedział pan: „Woda, która w normalnych warunkach zasilala rzekę, teraz przestała ją zasilać”. Czy to nie jest wystarczająco jasne? Nie zostało stwierdzone w prostych słowach?

– Owszem – odparł Pinder. – W kontekście udzielanych wyjaśnień właśnie to miałem na myśli.

Tego rodzaju wykręty padały całe przedpołudnie, składając się na dziwnie hipnotyczne, otepiające widowisko. Po którymś pytaniu Fachera geolog ociężałe pokręcił głową i rzekł:

– Przykro mi, proszę pana, ale to, co pan mówi, jest dla mnie nadzwyczaj trudne do przyjęcia, ponieważ na wiele różnych sposobów zawiera sprzeczności.

Obrońca popatrzył na sędziego i westchnął ciężko.

– Chyba będę musiał zacząć wszystko od początku.

Skinner skrzywił się z niesmakiem.

– Powstaje coraz większy zamęt. Zamierzam ogłosić teraz przerwę, lecz stanowczo zalecam, aby świadek zajął do protokołów i przeczytał swoje wczorajsze zeznania.

Do końca posiedzenia sędzia miał jeszcze kilka okazji do oceny wystąpienia biegłego.

– Powołał pan beznadziejnego świadka, który zmienia zdanie jak w kalejdoskopie – powiedział Schlichtmannowi podczas narady przy stole sędziowskim. – Duch jego wypowiedzi chyba pozostał ten sam, ale forma jest dzisiaj zupełnie inna.

– Biegli sądowi mają swoje przyzwyczajenia, nie nabywają ich z dnia na dzień – mruknął adwokat, bardziej sam do siebie.

– Ale to pan go powołał – odparł z naciskiem Skinner.

Pinder siedział na miejscu dla świadków, zaledwie parę metrów od gromadki prawników porozumiewających się półgłosem. Nie wiedział jednak, jak sędzia komentuje jego odpowiedzi, a Schlichtmann, i tak już zmartwiony postawą Pindera, nie zamierzał mu powtarzać tych uwag. Co gorsza, po czterech dniach odpytywania przez Fachera geolog całkiem stracił apetyt i zaczął cierpieć na bezsenność. Nie wytrzymał presji, jaką wywierała ta sprawa – uszkodzone rodziny z Woburn, inni biegli, Schlichtmann i jego wspólnicy, będący na krawędzi bankructwa. Ostatniej nocy leżał w swoim apartamencie hotelowym i nie mógł przestać rozmyślać o sposobach ucieczki z pułapek zastawianych przez Fachera. Ucieszyło go, że zdołał zasnąć na cztery godziny. Codziennie wieczorem dzwonił do Princeton, żeby porozmawiać z żoną.

– Nawet sobie nie wyobrażasz, pod jaką jestem presją – mówił. – Nie mam chwili wytchnienia. Jeszcze nigdy nie spotkałem kogoś, kto by się starał mnie zdyskredytować jako człowieka, a właśnie do tego zmierza Facher.

Ostatecznie Pinder znalazł wytchnienie w piątek, po sześciu dniach przesłuchania przez obronę, kiedy sędzia wezwał do siebie Fachera i powiedział stanowczo, że ma już tego dość.

– Dobraliście się z profesorem jak w korcu maku. Ja tymczasem obserwuję narastającą senność wśród sędziów przysięgłych.

W piątek wieczorem geolog odleciał do Princeton. Jego żona czekała na lotnisku. Była zaszokowana wyglądem męża, bladością i silnie podkrążonymi oczami.

Wrócił jeszcze do Bostonu w poniedziałek rano, ale najgorsze minęło wraz z pytaniami Fachera. Keating przesłuchiwał go jeszcze dwa dni, nie poruszał jednak drażliwych kwestii. Zakłady Grace'a leżały na równinie, na północny wschód od ujęć wody pitnej, i po drodze nie było żadnej rzeki. Z tej strony skażone wody podziemne musiały spływać leżącymi pochyło warstwami ku obu studniom nad brzegiem Aberjony.

Schlichtmann wierzył, że wnioski Pindera są słuszne, nawet jeśli „prysznicowe przemyślenia” były nic nie warte.

– Obrona próbuje szukać ratunku w nurcie rzeki, jak ludzie czynili to od wieków – powiedział sędziemu podczas którejś narady w ostatniej fazie przesłuchań geologa. – Ma to bardzo mało wspólnego z naszą sprawą.

Próbował jeszcze poprawić wrażenie pozostawione przez biegłego w czasie ostatniej rundy swoich pytań, uznał jednak, że szkody poczynione przez Fachera są zbyt rozległe. W trakcie dodatkowych wyjaśnień udzielanych Skinnerowi Pinder przyznał, że woda z rzeki mogłaby trafić do ujęć dopiero po kilku miesiącach pompowania. Do końca jednak utrzymywał, że w znacznym stopniu do sieci trafiły wody podziemne spływające spod skażonego terenu Beatrice Foods.

Jak się później okazało, Pinder miał rację. W końcowym sprawozdaniu, opublikowanym dwa lata po zakończeniu procesu, Agencja Ochrony Środowiska stwierdziła, że posesja Beatrice Foods to „najrozleglejszy obszar wysoce zanieczyszczonej gleby”, który „odpowiada za najsilniejsze skażenie wód podziemnych trafiających do studni G i H”. To sprawozdanie mogłoby zrehabilitować Pindera, ale ukazało się za późno.

Słynny teoretyk prawa, John Wigmore, napisał w swojej rozprawie *On Evidence*, że „krzyżowe przepytywanie to bez wątpienia najpotężniejsze prawne narzędzie do ujawniania prawdy. Podczas przesłuchania adwokat może osiągnąć niemal wszystko(...) Może się posunąć dalej niż powinien i może też sprawić, że prawda zostanie uznana za fałsz”.

– Prawda? – zdziwił się Facher któregoś dnia po wyjściu z sądu. – Leży zagrożona pod dnem bezdennej studni.

6

W dwunastym tygodniu rozprawy, pod koniec zeznań Pindera, przysięgli wręczyli Skinnerowi prezent. Nie uszło ich uwagi, że siwy i przygarbiony sędzia, sprawiający wrażenie niedołęznego, często mocuje się z wypaczonymi i zacinającymi się drzwiami, które prowadzą z sali obrad do jego gabinetu. Podarowali mu więc oszlifowany granitowy klin, umożliwiający blokadę drzwi w pozycji otwartej. Skinner pochwalił się prezentem przed adwokatami („Może to nawet kamień znad Aberjony?” – zażartował) i nikt nie uznał, że jest w tym coś niestosownego.

Ale Schlichtmanna to zaniepokoiło. Wieczorem jadł obiad w towarzystwie Phillipsa i jego żony, Julianny. Kiedy opróżnili butelkę wina i rozmowa zeszyła na temat sędziego, zauważył:

– Ten prezent świadczy, że przysięgli żywią olbrzymi respekt dla Skinnera. Aż boję się myśleć, że mógłby być równoznaczny pytaniu: Panie sędzio, jak mamy zdecydować w tej sprawie?

– Bo jest równoznaczny – odparł Phillips. – Skinner to dla nich najwyższy autorytet. Znalezli się w całkiem sobie obcym świecie prawa, więc traktują go jak przewodnika.

– I to mnie przeraża. Jeśli uznają go za ojca, głowę rodziny, to kim ja dla nich będę? Wyrzutkiem? Synem marnotrawnym?

– A kim byłby Facher w twojej wizji? Nieznośnym wujaszkiem?

Schlichtmann zaśmiał się, ale zaraz spoważniał.

– Facher ma bardzo silną osobowość – powiedział. – Zwróciłeś uwagę, jak zerka na sędziego, zadając pytania? Aż się dziwię, że nawet nie próbuje rozmawiać z przysięgłymi.

Opowiedział Juliannie o swojej wizycie w gabinecie obrońcy, kiedy Facher z dumą pokazywał mu zdjęcie córki. Uznał wtedy, że jego duma wynika z ukrytej tęsknoty za normalnym życiem rodzinnym.

– To rozwiedziony, samotny, stary facet, któremu nie zostało nic oprócz spraw zawodowych – dodał.

Julianna pomyślała, że to strasznie smutne.

– Naprawdę jest sam jak palec? Co się z nim stanie, gdy przejdzie na emeryturę? Ale Schlichtmann znów popadł w nastrój przygnębienia.

– Kogo to obchodzi, do cholery? – mruknął.

W piątek, pod koniec maja – gdy Skinner ogłosił dzień przerwy w rozprawie – Jan zorganizował spotkanie z przedstawicielami towarzystwa ubezpieczeniowego w sprawie Helen O’Connell. Phillips poświęcił jej półtora miesiąca pracy i uznał, że są gotowi do wznowienia negocjacji. Gordon zarezerwował salę konferencyjną w hotelu „Embassy Suits”, a Phillips otrzymał bojowe zadanie kupienia butelki słodowej szkockiej whisky. Stało się już zwyczajem, że w rozmowach z agentami ubezpieczeniowymi wznosi się toasty aż do pomyślnego uzgodnienia warunków ugody.

Tego dnia rano Phillips przyniósł do biura butelkę whisky, narysował kreskę w dolnej części etykiety i powiedział:

– Gwarantuję wam, że wynegotujemy porozumienie, zanim whisky ubędzie do tego poziomu.

Schlichtmann uśmiechnął się szeroko.

– To może już teraz wypijemy po jednym?

Już wczesnym popołudniem przeciwnicy zgodzili się wypłacić pół miliona dolarów odszkodowania, podczas gdy Schlichtmann ograniczył żądania z ośmiuset do sześćdziesiąt czterdziestu tysięcy. Na tym etapie negocjacje utknęły w martwym punkcie. Whisky z wolna ubywało, lecz pojawiła się groźba, że w ogóle nie dojdzie do porozumienia. Kiedy ich trzech rozmówcy udali się do pokojów na naradę, Jan powiódł spojrzeniem po twarzach współników i rzekł:

– Proponuję spuścić do sześciuset tysięcy. Mam wrażenie, że to dla nich jakaś bariera psychologiczna.

– Popelnimy błąd, jeśli zbyt szybko pójdziemy na ustępstwa – zaproponował Phillips. – Lepiej zaczekajmy do poniedziałku, niech się poczują przyparci do muru.

Agenci wrócili, wzniesiono kolejny toast. Schlichtmann zaczął opowiadać o sprawie Woburn. Mówił prawie przez trzy kwadranse, jakby całkiem zapomniał o celu spotkania. Phillips z niepokojem zerkał na butelkę, w której poziom trunku niebezpiecznie zbliżał się do naznaczonej przez niego granicy.

Jeden z agentów ponownie wyszedł z sali, żeby porozumieć się telefonicznie z klientem. Kiedy wrócił, odciągnął Schlichtmanna na bok i przekazał szeptem, że wytwórca środka znieczulającego, który zastosowano podczas operacji, zgodził się dołożyć z własnych funduszy dziewięćdziesiąt tysięcy dolarów. Zatem sumaryczna oferta wzrosła do pięciuset dziewięćdziesięciu tysięcy.

– Czy to wystarczy? – zapytał.

Tym razem adwokaci wyszli na naradę. Po powrocie Jan napenił kieliszki i wznosił toast za uzgodnione polubowne odszkodowanie.

Honorarium kancelarii miało wynieść czterdzieści procent tej sumy. Jeszcze niedawno taki zysk stałby się powodem hucznej, zakrapianej alkoholem uroczystości, obiadu wydanego dla wszystkich pracowników w drogiej restauracji, sowych premii. Ale w tej sytuacji nie mogli sobie na to pozwolić. Cała suma znalazła się w gestii Gordona, który musiał spłacić najpilniejsze długi. Wywalczone honorarium rozdysponowano jeszcze szybciej, niż trwały negocjacje.

7

W środę rano 4 czerwca, w pięćdziesiątym czwartym dniu rozprawy, Facher przystąpił do wzywania świadków w obronie Beatrice Foods. Jednym z nich był Thomas Mernin, główny inżynier magistratu, który od trzynastu lat mieszkał przy Wood Street we wschodnim Woburn, tuż obok Richarda Toomeya. To Mernin kilka lat wcześniej tłumaczył skarżącemu się sąsiadowi, że mimo paskudnego odoru i smaku woda z sieci wodociągowej nadaje się do picia. Także w gestii Mernina leżały działania, jakie należało podjąć w celu poprawy jakości wody. I to on mógł wcześniej podjąć decyzję o zamknięciu skażonych ujęć.

Facher powołał go na świadka właśnie z tego powodu, że nie zdecydował się zamknąć obu studni. W ciągu piętnastu lat pracy na stanowisku głównego inżyniera Mernin wielokrotnie przeprowadzał inspekcje okolic ujęć wody pitnej. Bywał także na terenie należącym do Beatrice Foods.

– Wszędzie, na całej posesji, były tam składowane puste beczki – zeznał przed sądem. – Dla mnie jednak ten teren niczym się nie różnił od terenu innych zakładów, które odwiedzałem. Według mnie nie stwarzały żadnych problemów, nie dostrzegałem żadnych zagrożeń.

– A może zwrócił pan uwagę na jakieś sterty odpadów przemysłowych bądź miejsca skażone chemikaliami? – zapytał Facher.

– Nie, niczego takiego nie widziałem. Naprawdę nie było tam niczego niezwykłego.

Później Mernin powiedział przysięgłym, że zarekomendował nawet budowę kolejnego ujęcia, studni I, która miała być usytuowana między studniami G i H.

– Ta lokalizacja wydawała się oczywista – rzekł.

Władze miejskie zatwierdziły projekt w roku 1978, a Mernin radził burmistrzowi, by jak najszybciej przystąpić do wiercenia, żeby można podłączyć ujęcie do sieci już w następnym roku. Nigdy do tego nie doszło, ponieważ wcześniej odkryto skażenie trichloroetylenem wody czerpanej ze studni G i H.

Schlichtmann nie miał żadnych wątpliwości, w jakim celu Facher powołał inżyniera na świadka. Chciał wykazać, że jeśli taki fachowiec jak Mernin nie dostrzegł żadnego zagrożenia podczas inspekcji piętnastoakrowego lasku, to jakim sposobem mógłby je przewidzieć Riley, zwykły garbarz.

Sprawy ułożyły się jednak źle dla obrony i bez interwencji Schlichtmanna. Raz za razem ujawniał się brak kompetencji Mernina i w efekcie świadek wyszedł na człowieka, który całkowicie zawiódł społeczne zaufanie. W pewnych sprawach w ogóle się nie orientował. Pomylił daty i zeznał, że studnia G została podłączona do sieci miejskiej dopiero w 1974 roku, podczas gdy nie tylko przysięgli, ale wszyscy obserwatorzy procesu wiedzieli już dobrze, że stało się to dziesięć lat wcześniej. Facher uznał to za zwykłe przejęzyczenie i usiłował sprostować pomyłkę inżyniera, ten jednak z uporem powtarzał błędną informację. Podczas prywatnej rozmowy z adwokatami sam sędzia powiedział:

– Wcale się nie zdziwię, jeśli przysięgli wezmą Mernina za kompletnego idiotę. Na mnie zrobił bardzo złe wrażenie.

Obserwując prowadzone przez Fachera przesłuchanie, Schlichtmann doszedł do wniosku, że inżynier jest chory, gdyż wyraźnie schudł i wyglądał na przemęczonego. Spod jego śniadej cery zdawała się wyłaniać chorobliwa bladłość. Dlatego też przepytował świadka tylko przez dziesięć minut. Pokrętnie, mylne zeznania inżyniera mówiły same za siebie, a Jan doszedł do wniosku, iż niczego nie zyska agresywną postawą. Mernin z widoczną ulgą zszedł z miejsca dla świadków.

Miesiąc później nadeszła z Woburn wiadomość, że wykryto u niego chroniczną białaczkę mielogeniczną, a więc tę samą, na którą dwa miesiące wcześniej zmarł Roland Gamache. Schlichtmann z wielką przyjemnością poinformowałby przysięgłych o chorobie inżyniera, lecz nie wolno mu było tego zrobić, a już z pewnością nie na tym etapie rozprawy. Przyszło mu do głowy, że ujawni bulwersującą nowinę podczas przesłuchania Richarda Toomeya w drugiej fazie procesu. Zastanawiał się nawet, czy nie warto powołać na świadka samego Mernina, jeśli tylko dożyje on stosownej chwili.

Oczywiście choroba inżyniera nie mogła wnieść niczego nowego do sprawy znanych już przypadków białaczki w Woburn. Niemniej w mieście ludzie powtarzali, że ironią losu od wody zachorował także człowiek, który z uporem nie chciał zamknąć skażonych ujęć. Po długim pobycie Mernina w szpitalu, gdzie zaaplikowano mu bardzo silne leki, któregoś letniego dnia na poczcie spotkał go wilebny Young. Dobrze się znali, gdyż inżynier należał do kilku parafialnych komitetów.

– I mnie to dopadło – wyznał pastorowi. – Bardzo dużo dzieci ucierpiało z powodu białaczki.

Do Schlichtmanna docierały tylko plotki, że u Mernina choroba rozwija się błyskawicznie. Główny inżynier magistratu zmarł kilka miesięcy po wykryciu u niego białaczki. Miał czterdzieści dziewięć lat.

W procesie sądowym, jak w każdym innym przedsięwzięciu, o wiele łatwiej jest coś zniszczyć niż stworzyć. Pod tym względem Schlichtmann nie różnił się od innych adwokatów procesowych, znacznie bardziej lubił destruktywne krzyżowe przepytывanie świadków obrony od mozolnego ujawniania prawdy w zeznaniach własnych świadków. Był przekonany, że udało mu się zdyskredytować drugiego świadka Fachera, biegłego hydrogeologa, który zaopiniował, że wody podziemne spod terenu Beatrice Foods w żadnym wypadku nie mogły się dostać do studni G i H. W rzeczywistości zdołał tylko ujawnić parę sprzeczności w zeznaniach eksperta, nie doprowadził jednak do sytuacji, w której przysięgli musieliby w całości odrzucić jego opinię.

Znacznie lepiej powiodło mu się z następnym biegłym, specjalistą w zakresie chemizmu gleby, niejakim Olinem Braidsem. Odpowiadając na pytania Fachera, ekspert orzekł, że zdołał precyzyjnie określić moment skażenia ziemi trichloroetylenem na terenie piętnastoakrowego lasku. Dopomogły mu w tym badania mikroorganizmów zasiedlających glebę.

– Chyba byłoby prościej nazywać je robakami ziemnymi – powiedział.

Otóż niektóre z tych robaków żywią się chlorowanymi związkami organicznymi. Doprowadzają w ten sposób do rozkładu trichloroetyleny, najpierw do dichloroetyleny, a następnie do chlorku winylu, związku na tyle odpornego, że nieprzydatnego dla nich jako pokarm. Opisany proces „biodegradacji” trwa od trzech do sześciu lat, ale nie dłużej. Tego Braids był całkowicie pewien.

Na tym właśnie biegły opierał swoją opinię. Na terenie lasku, przynajmniej do listopada 1985 roku, nie stwierdzono w glebie obecności chlorku winylu, a to według Braidsa świadczyło jednoznacznie, że skażenie trichloroetylenem mogło powstać najwcześniej przed sześcioma laty, a więc w listopadzie 1979 roku. Ta data była szczególnie wymowna. Skażone studnie zamknięto w maju 1979 roku, czyli sześć miesięcy przedtem, zanim mogło powstać skażenie. Jeśli więc nawet trichloroetylen zawarty w wodzie pitnej wpłynął na zdrowie mieszkańców Woburn, to z pewnością nie mógł on pochodzić z terenu należącego do Beatrice Foods.

Schlichtmanna zaskoczyła ta opinia. Kiedy przesłuchiwał Braidsa cztery miesiące wcześniej, świadek powiedział stanowczo, że nawet nie będzie próbował określić wieku skażenia gleby. Natychmiast wystąpił więc z wnioskiem o odrzucenie tych zeznań w całości i poinstruowanie przysięgłych, aby nie brali ich pod uwagę.

– Zwykła uczciwość nakazuje, żeby przynajmniej powiadomić mnie o szykowanych posunięciach. A ponieważ nie zostałem poinformowany, muszę uznać to za celowe działanie obrony.

– To nie jest żadne celowe działanie – rzekł Facher urażonym tonem, ledwie się powstrzymując, by nie wykrzyknąć na głos.

– Owszem, jest! – szepnął z naciskiem Jan.

– Spokój! – syknął Skinner. – Ma pan dwie denerwujące wady, panie Schlichtmann. Uzurpuje pan sobie zbyt wiele praw i kieruje się utajoną paranoją.

Sędzia odrzucił jego wnioszek.

Jan nie miał żadnych wątpliwości, że opinia biegłego jest tylko wysaną z palca teorią. Zaangażowani przez niego chemicy i geolodzy utrzymywali, że nie ma żadnych naukowych metod oceny wieku skażenia gleby. Gdyby takie istniały, sami by z nich skorzystali. Poza tym wygłoszona opinia nazbyt dobrze pasowała do potrzeb Fachera, który szczęśliwym trafem natknął się na fachowca, potrafiącego precyzyjnie określić, że trichloroetylen dostał się do gleby na terenie Beatrice Foods akurat pół roku po zamknięciu skażonych ujęć.

Ale Jan nie miał czasu, żeby się przygotować do przesłuchania. Musiał działać na wycucie. Stał na środku sali, przy barierce oddzielającej kilkunastu obserwatorów na widowni, i zapytał biegłego, czy widział stare mapy i zdjęcia lotnicze okolicy, czy zetknął się z jakąkolwiek dokumentacją, która pozwalałaby odtworzyć historię zaniedbanej posesji graniczącej z garbarnią.

– Nie – odparł Braids.

A czy świadek wcześniej zajmował się podobnymi zagadnieniami, to znaczy mikrobiologią i degradacją związków chemicznych?

– Nie, ale czytałem na ten temat kilka artykułów w fachowych czasopismach.

I w tych artykułach było podane, ile czasu zajmuje mikroorganizmom rozkład trichloroetyleny?

– Nie trafiłem na takie informacje.

Czy świadek może dokładnie opisać mechanizm rozkładu cząsteczki trichloroetyleny przez robaki ziemne?

Braids nie był pewien, jak to się odbywa.

– To nie moja specjalność. Znam ten proces wyłącznie z artykułów, które czytałem.

– Rozumiem – mruknął Schlichtmann.

Czy świadek zna kogoś, kto posługuje się tą metodą oceny wieku skażeń? Nie, Braids nie znał nikogo.

– Na swój sposób moje badania można uznać za pionierskie w tej dziedzinie. Chyba nikt ich wcześniej nie robił, ale jestem pewien uzyskanych rezultatów.

A czy ta metoda została uznana przez innych specjalistów?

– Już mówiłem, że to nowa metoda, nieopisywana dotąd szeroko w literaturze, więc zapewne nie jest powszechnie uznana. Trudno mi nawet powiedzieć, ile osób o niej słyszało.

Schlichtmann przerwał zadawanie pytań i poprosił o poradę przy stole sędziowskim. Ponownie wystąpił z wnioskiem o odrzucenie w całości zeznań Braidsa, tym razem motywując go brakiem naukowych podstaw do wygłaszania opinii przed sądem i niespełnianiem przez świadka podstawowych wymogów stawianych biegłym sądowym.

Skinner zamyślił się nad tak poważnymi zarzutami.

– Moim zdaniem ma pan solidne podstawy, by kwestionować wiarygodność świadka – powiedział. – Sam nie wiem, czy można mu wierzyć.

Fachera ogarnął niepokój. W końcu był to najważniejszy biegły obrony Beatrice Foods.

– Świadek opiera się na naukowych podstawach, które są o wiele bardziej przekonujące niż metody stosowane przez Drobinskiego – odparł.

– Bez dwóch zdań Drobinski wykazał się lepszą wiedzą od twojego biegłego.

– Nie sądzę – rzekł z namysłem sędziego. – Braids ma bardziej naukowe podejście od Drobinskiego, który powiedział: „Wystarczył mi rzut oka na te śmieci, żeby zyskać pewność, że są bardzo stare”. I tak przysięgli będą musieli wybierać losowo między zeznaniami Drobinskiego a robakami ziemnymi. Odrzucam wniosek.

Tym sposobem opinia Braidsa znalazła się w aktach sprawy. Schlichtmann z bardzo się tym nie przejmował. Chciał nawet, aby przysięgli sami doszli do wniosku, że skoro jest to najważniejszy biegły, obrona Beatrice Foods opiera się na bardzo kruchych podstawach. Poza tym teraz, gdy role się odwróciły, to on doskonale się bawił, obserwując poczynania Fachera.

8

W czerwcu Gordon wydał ostatnie pieniądze z honorarium w sprawie Helen O'Connell. Gospodarował nimi oszczędnie, zazwyczaj spłacał jedynie część długu, a likwidował go całkowicie tylko w tych wypadkach, w których wierzyciele wystąpili na drogę sądową. Według jego obliczeń koszty prowadzenia sprawy Woburn wynosiły już dwa miliony czterysta tysięcy dolarów, a wciąż nie widać było żadnych innych źródeł dochodów. Nie mając wyboru, zaczął stosować rozmaite wybiegi, do których uciekał się tylko w wyjątkowych okolicznościach.

Uznawał jedną żelazną regułę – nigdy nie okłamywać wierzycieli, a w szczególności Wujka Piotrusia. Ani razu nie odpowiedział przez telefon, że właśnie wysłał czek, gdy w rzeczywistości tego nie zrobił. Potrafił jednak źle adresować koperty czy też zrobić błąd w numerze konta na czeku. Gdy otrzymał wezwanie z firmy Citicorp Mastercard, wysłał czek pod adresem jej siedziby, zamiast do banku w Południowej Dakocie obsługującego rachunki kart kredytowych.

– Minie co najmniej miesiąc, zanim wyprostują tę sprawę – mówił z nadzieją w głosie. – Xerox jest takim molochem, że obieg papierków trwa tam parę miesięcy. Firma Wang Computer, której jesteśmy winni trzydzieści tysięcy za naprawę i konserwację sprzętu, to także biurokratyczny gigant. Z nią też sobie poradzę.

Gordon trzymał w szufladzie biurka imponującą kolekcję ściśniętych gumką kart kredytowych. Były bezwartościowe, ponieważ wszystkie kredyty wykorzystywał do końca, bez wyjątku na pokrywanie bieżących kosztów i przelewy wynagrodzeń. Dzięki sprawie Woburn stał się nadzwyczaj aktywnym kredytobiorcą, często dostawał więc propozycje otwarcia nowych rachunków. Przychodziły z ban-

ków, o których nigdy wcześniej nie słyszał – z Newady, Arizony, Północnej Dakoty, a nawet z Kalifornii. Nazywał je „kredytami paskarskimi”, ponieważ banki pobierały prowizję aż do dwudziestu trzech procent wartości transakcji. Nie przejmował się tym jednak, skoro do otwarcia rachunku wystarczyła wpłata najwyższej dwóch procent limitu. Dlatego wypełniał wszystkie formularze, wysyłał je pocztą Federal Express i najdalej po miesiącu otrzymywał nową kartę kredytową, którą można było obciążać do kilku tysięcy dolarów.

Narastające długi w sprawie Woburn przypominały gigantyczną piramidę, w której każdy wierzyciel był tylko jedną z wielu cegiełek. Utrzymanie tej niezwykłej budowli w całości wymagało nie lada wysiłku.

– Jeśli któregoś dnia nie przyjdę do biura – mówił Gordon – bo zachoruję albo nie będę miał siły wstać z łóżka, to wszystko się zawali.

Zazwyczaj w biurze przy Newbury Street nie pozostawało mu nic innego, jak dopisywać do zestawienia kolejne rachunki i odpowiadać na telefony wierzycieli. A kiedy wracał do swego mieszkania na Beacon Hill, układał się na kanapie w salonie i przerzucał kanały telewizji. Najczęściej szukał starych, dobrze kończących się filmów, by znaleźć wytchnienie od codziennych kłopotów. Pewnego wieczoru w lokalnym programie bostońskim trafił na komunikat państwowej loterii ogłaszający kilkumilionową wygraną. Natychmiast zdecydował, że z samego rana kupi parę losów. Nie wierzył za bardzo w szczęśliwy traf, chciał tylko mieć kolejne, tym razem żartobliwe wytłumaczenie dla Wujka Piotrusia i innych wierzycieli. Kiedy indziej wędrowkę po kanałach przerwał na programie stacji katolickiej, która transmitowała na żywo akcję zbierania funduszy na głoszenie Chwały Pańskiej za żelazną kurtyną. W studiu bez przerwy dzwoniły telefony, zgłaszali się widzowie, napływały dziesiątki tysięcy dolarów. Ksiądz powtarzał:

– Bóg wam zapłać za te datki.

Gordon był pod wrażeniem, także zapragnął coś ofiarować. Zadzwonił i wykupił dwa uczestnictwa „Klubu 700”, jedno dla siebie, a drugie dla Schlichtmanna, dwóch Żydów pochodzenia rosyjskiego. O tym także będzie można jutro powiedzieć Wujkowi Piotrusiowi, pomyślał.

Ale Briggs nie był w nastroju do żartów. Kancelaria Schlichtmanna zaciągnęła w Banku Bostońskim pożyczki na milion dolarów. Bankier miał już wystarczające powody do zajęcia wszystkich zastawionych dóbr – domów Conwaya i Crowleya oraz kolejnych rat dwóch dużych honorariów, jakie miały wpływać na konto kancelarii. Wciąż nie chciał tego czynić, choć przybywało tylko powodów do zmartwień. Gordon miał dostęp do kilku kont: na bieżące wydatki kancelarii, na pokrywanie kosztów prowadzonych spraw, awaryjnego, a nawet osobistego konta Schlichtmanna. Briggs doskonale wiedział, że Gordon pokrywa debety na jednych kontaktach, robiąc je na innych, żeby uniknąć naliczania karnych odsetek. Początkowo przymykał na to oko, stosując przywilej wątpliwości. Uznawał, że Gordon nieświadomie popełnia błąd. Szybko się jednak przekonał, iż jest to celowy proceder, a na to nie mógł już pozwolić.

W siedzibie banku, w centrum komputerowym na drugim piętrze, codziennie punktualnie o jedenastej drukowano listę kont obciążonych debetami. Przyciągała ona uwagę niemal całego kierownictwa, a od paru miesięcy także Briggsa. W skrajnej kolumnie po prawej stronie wydruku podawano, ile razy w ciągu ostatniego roku na danym koncie tworzył się debet. Pięciokrotne zadłużenia nikogo nie dziwiły. Nad liczbami od dziesięciu do piętnastu bankierzy debatowali ze zmarszczonymi brwiami. Jeżeli ktoś robił debet częściej niż piętnaście razy, według Briggsa było to „nie do przyjęcia” i powodowało „włączenie dzwonek alarmowych”.

Tylko w czerwcu Gordon nieustannie był przyczyną takich alarmów, kiedy liczba debetów na obsługiwanych przez niego kontaktach urosła do osiemdziesięciu siedmiu. Zazwyczaj uprzedzał, że zamierza to zrobić, a Briggs najczęściej wyrażał zgodę.

– To moja normalna metoda prowadzenia interesów – oceniał po latach. – Możliwe, że nie powinienem być tak uległy.

Zdarzało się jednak, że Gordon o niczym nie powiedział, ale gdy tylko Piotruś popadał w złość, tłumaczył ze skruchą:

– Miałem zadzwonić. Sądziłem, że ten czek dojdzie dopiero jutro. Przepraszam, powinienem był cię uprzedzić.

Bankier już kilka razy był wzywany na posiedzenia zarządu, żeby wyjaśnić, co się dzieje z kontami kancelarii. Opowiadał wówczas o toczącej się rozprawie, pokazywał dokumenty potwierdzające zastaw zabezpieczający pożyczki, nie miał jednak wytłumaczenia dla pustych przelewów na pokrycie debetów. Po ostatniej takiej rozmowie z przełożonymi zadzwonił do Gordona.

– Koniec z debetami – przykazał. – Nie mam zamiaru cię dłużej kryć. Wychodzę na głupca.

Gordon uczciwie zamierzał dotrzymać słowa danego bankierowi i przez kilka tygodni nie robił żadnych pustych przelewów. Jednak na początku czerwca odwiedził go Vincent Murphy, prezes Weston Geophysical, firmy konsultacyjnej, która w Woburn nadzorowała wiercenie czterdziestu studni kontrolnych, pomiary refrakcji sejsmicznej oraz analizy chemiczne próbek gleby i wód podziemnych. Rachunek za wszystkie prace opiewał prawie na sześćset tysięcy dolarów, był to największy dług kancelarii. Gordon zapłacił Murphy’emu już połowę tej sumy, a jednocześnie zaprzyjaźnił się z geologiem, kiedy ostatniej zimy troszczył się o całą ekipę pracującą w terenie. Teraz jednak Murphy zaczynał się niecierpliwie, chciał koniecznie wiedzieć, kiedy Gordon ureguluje resztę należności. Ten bez namysłu wyjął z portfela losy na loterię i powiedział:

– Jak wygramy, zapłacimy ci w pierwszej kolejności.

Murphy nawet się nie uśmiechnął.

– Powiedz mi szczerze: jest bardzo źle?

Gordon z ociąganiem pokazał mu wydruk komputerowy, liczący czterdzieści cztery strony i zawierający alfabetyczny oraz chronologiczny spis wszystkich wierzycieli w sprawie Woburn.

– Tu jest Weston Geophysical, tuż przed szpitalem Winchester.

Murphy wiedział, że jest najważniejszy z wierzycieli, poprosił więc o jakąkolwiek, choćby i drobną wpłatę. Gordon obiecał wysłać mu czek pod koniec miesiąca, a gdy geolog wciąż był niezadowolony, wpadł na chytry pomysł. Zaproponował mu porsche'a Schlichtmanna. Murphy parokrotnie widział ten wóz w Woburn i bardzo mu się podobał.

Przez chwilę poczuł się zaszczycony taką propozycją, lecz po namyśle pokręcił głową i odparł:

– Nie mogę go przyjąć, bo czym Jan by wtedy jeździł?

Gordon nie odpowiedział. Schlichtmann miał własny garaż na Beacon Hill, dzięki czemu oszczędzał na opłatach parkingowych, lecz zarówno ten garaż, jak i niespłacony do końca samochód były teraz częścią zastawu bankowego. Gordon nie chciał nawet mówić geologowi, że adwokat najczęściej chodzi pieszo.

Zgodnie z obietnicą pod koniec miesiąca zadzwonił do Murphy'ego i zapowiedział, że wysyła czek na dwadzieścia tysięcy dolarów. Na wszystkich kontaktach w Banku Bostońskim nie uzbierałoby się pieniędzy na jego pokrycie, ale Gordon postanowił dotrzymać słowa. Szacował, że miną co najmniej cztery dni, zanim czek dotrze do adresata i przejdzie przez kanały bankowe. W tym czasie wiele się mogło zdarzyć. Gdyby nie wygrali na loterii bądź Schlichtmannowi nie udało się pożyczyć pieniędzy od Kileya czy Neville'a, zawsze można było jeszcze namówić Briggsa, by wyjątkowo zgodził się na jeden debet.

Gordon wrzucił list do skrzynki przy Newbury Street kilka minut po osiemnastej. Wiedział z doświadczenia, że wieczorna poczta jest z niej wybierana właśnie o szóstej, ale przed wruczeniem koperty jeszcze raz dokładnie przeczytał informację na skrzynce. Był czwartkowy wieczór, szacował więc, że Murphy otrzyma list dopiero w poniedziałek i jeśli nawet od razu zdeponuje go w swoim banku, potwierdzenie przelewu dotrze do Banku Bostońskiego najwcześniej we wtorek.

Następnego przedpołudnia, dokładnie dwie minuty po jedenastej, sekretarka powiadomiła go, że dzwoni prezes Briggs i jest wyraźnie rozwścieczony.

– Matko boska! – jęknął Gordon.

Oczywiście chodziło o czek Murphy'ego, który dotarł do adresata w rekordowym czasie. Brzmiało to niewiarygodnie, lecz list dostarczono do siedziby Weston Geophysical tego dnia rano, a geolog poszedł z nim natychmiast do Banku Bostońskiego. Gordon nie miał najmniejszych szans, żeby uprzedzić Wujka Piotrusia.

– Ten pieprzony czek przeleciał przez biurokrację, jakby cały system nagle dostał sraczki! – mruknął zdumiony.

Miał własną żelazną rezerwę gotówki, którą chował na czarną godzinę. W domowej bieliźniarce trzymał kilka ciasno zwiniętych i schowanych w skarpetce banknotów studalorowych. Na dnie szuflady biurka leżały czeki podrózne American Express na dwa tysiące dolarów, a w szafie na akta było ukrytych dziesięć złotych krugerrandów.

Po telefonie od Briggsa wyciągnął złote monety, upchnął je w kieszeni płaszczka i ruszył do banku. Zszedł prosto do podziemia, gdzie mieściły się biura Prywatnego Konsorcjum Bankowego i gabinet jego wiceprezesa.

Wujek Piotruś zerknął podejrzliwie na jego wypchaną kieszeń.

– Co tam masz? Rewolwer? – zapytał.

Gordon zaczął wyciągać po jednej monecie i na skrajku biurka układać je w wysoki stosik.

Briggs z politowaniem pokręcił głową.

– Sytuacja jest naprawdę kiepska – wyjaśnił Gordon tonem pełnym skruchy.

Oczywiście liczył na współzucie, podejmując tę teatralną próbę pozbycia się tak cennych dla niego krugerrandów. Briggs świetnie to rozumiał, ale i tak po paru minutach złość całkiem mu przeszła. Zapowiedział jednak, iż pod żadnym pozorem nie zgodzi się więcej na debet. Nie mogło też być mowy o następnej pożyczce.

9

Pewnego ranka pod koniec czerwca Schlichtmann stwierdził, że nie ma pieniędzy na taksówkę. Do pracy poszedł pieszo Charles Street, a później przez Boston Common ocieniony wysokimi, majestatycznymi drzewami, których korony okrywała już żywa zieleń liści. Cały świat wokoło rozkwitał w ciepłym wiosennym powietrzu, ale on ledwie to dostrzegał. W kancelarii przy Milk Street fikusy oraz paprocie zżółkły i uschły. Przed drzwiami sali konferencyjnej z doniczki sterczał gnijący kikut jakiejś rośliny, lecz i ten widok nie przyciągnął jego uwagi.

Tylko na sali sądowej bardzo dbał o zachowanie pozorów. Jego szyte na miarę garnitury były zawsze perfekcyjnie wyprasowane, koszule śnieżnobiałe i świeże, a buty marki Bally wypolerowane do połysku. Gordon wiedział, że nawet gdyby na nic innego nie było już pieniędzy, i tak musiałby na bieżąco regulować rachunki z pralni chemicznej.

Jan zaczął odzyskiwać nadzieję od czasu, gdy udało mu się rzucić cień wątpliwości na zeznania biegłego chemika obrony. Przesłuchania świadków występujących ze strony Beatrice Foods trwały niespełna tydzień i nawet adwokaci zakładów Grace'a, którzy przecież nie życzyli dobrze Schlichtmannowi, przyznawali między sobą, że ich przebieg nie był dla Fachera korzystny. Mijał sześćdziesiąty pierwszy dzień procesu i etap wodociągowy zbliżał się do końca. Nie licząc przemówień końcowych, mieli jeszcze wysłuchać zeznań wezwanych przez Keatinga świadków obrony koncernu Grace'a. Schlichtmann czekał na to z niecierpliwością. Był przekonany, że Keatingowi nie uda się zmontować silnej linii obrony. Nie dało się zaprzeczyć, że gleba i wody podziemne na terenie garbarni zostały zanieczyszczone na początku lat sześćdziesiątych na skutek działań pracowników. Nie sposób było też wykazać, że skażone wody nie spływały pochyłą warstwą wodoosną prosto do ujęć miejskich.

Keating miał jednak plan obrony. Jak dobry obrońca w sprawie o morderstwo zamierzał odwrócić uwagę przysięgłych od koncernu Grace'a i skierować ją ku innym podejrzany – zakładom przemysłowym z północnej części miasta, które

przez wiele lat spuszczały ścieki do Aberjony. Chciał zasugerować ławie, że to zanieczyszczona rzeka zatrula studnie, a nie wody podziemne.

Strategia ta okazała się całkiem spójna i dobrze zaplanowana. Jeden ze świadków, inżynier sanitarny, opowiedział, jak podążając wzdłuż strumienia będącego dopływem Aberjony, dotarł do kompleksu zabudowań przemysłowych, które znajdują się trzy kilometry na północ od studni G i H. Na podmokłym terenie dzielącym budynek od strumienia walało się mnóstwo starych dwustulitrowych beczek i blaszanych kanistrów.

– Im bliżej tych zakładów podchodziłem, tym bardziej włos mi się jeżył na głowie – powiedział.

Z którejś hali wypływały „gęste, silnie spienione ścieki koloru jaskrawoczerwonego” i barwiły wodę strumienia oraz jego brzegi.

Drugi świadek Keatinga, naczelnik Wydziału Kontroli Zanieczyszczenia Wód, opowiedział podobną historię. Przez ostatnie dziesięć lat prowadził śledztwo w sprawie jednej tylko firmy, National Polychemical.

– Wokół terenu zakładów wciąż wykrywaliśmy duże stężenia zanieczyszczeń – zeznał. – Nie brały się przecież z powietrza, logika wskazywała, że właśnie ta firma zatrula środowisko.

Schlichtmann zapytał świadka:

– I przez dziesięć lat kierownictwo zakładów uparcie twierdziło, że nie odpowiada za zanieczyszczenie wody?

– Zgadza się – przyznał świadek.

– Wciąż powtarzano, że winien jest ktoś inny, prawda?

– Tak, proszę pana.

– W swojej pracy często styka się pan z tego rodzaju podejściami?

– Owszem, bardzo często.

Jan pokiwał głową, chcąc dać do zrozumienia, że świetnie to rozumie.

Keating potrzebował czterech świadków i tygodnia porzesłuchań, aby przygotować grunt dla swojego ostatniego i najważniejszego bieglego. Był to specjalista od wód podziemnych, niejaki John Guswa, który przypadkiem dość dobrze znał George'a Pindera.

– Pracowaliśmy razem w Służbie Geologicznej – powiedział. – Jadaliśmy razem obiady. Bardzo go szanuję jako człowieka i fachowca.

Mimo to Guswa był pewien, że Pinder pomylił się co do nurtu rzeki. To właśnie z niego, jak zapewniał, pochodziła woda pompowana do sieci miejskiej i obecne w niej zanieczyszczenia.

Najpierw jednak musiał wyjaśnić, dlaczego – według jego fachowej opinii – zakłady Grace'a nie mogły być winne skażenia ujęć. W trakcie studiów specjalizował się w badaniach nad lodowcami i właśnie na podstawie zdobytej wówczas wiedzy zamierzał wytłumaczyć zjawiska zachodzące w dolinie Aberjony. Tereny wschodniego Woburn, jak mówił, zostały ukształtowane przed dwunastoma tysiącami lat, pod koniec ostatniej epoki lodowcowej, kiedy ogromny jezior lodowy o grubości ponad trzech kilometrów pokrył całą Nową Anglię. Nasuwając się, a potem wycofując, naniósł na platformę skalną, na której skraju stały obecnie

zakłady Grace'a, warstwę ziemi o grubości około piętnastu metrów. Tego typu glebę, sprasowaną przez olbrzymi ciężar lodowca i tworzącą morenę denną, geologowie nazywają orsztynem. Jest ona bardzo zbita i wody podziemne przesiąkają przez nią nadzwyczaj powoli, jakby płynęły rurą zapchaną osadem.

Właśnie owa „zapchana rura” była według Guswy najlepszą analogią drogi wód podziemnych łączącej teren zakładów Grace'a z ujęciami miejskimi. Czterdziestoletni geolog, gładko ogolony, z gęstą czupryną ciemnoblonde włosów często opadających mu na czoło, mówił o glacijomorfologii z niemal chłopcym zapalem. Wykorzystując setki danych pomiarowych, stworzył skomplikowany trójwymiarowy model komputerowy spływu wód podziemnych we wschodnim Woburn. Tłumaczył, jak deszcz wsiąka w glebę, zmywając na terenie zakładów trichloroetylen i inne rozpuszczalniki wylewane przez robotników na ziemię. Przyznał, że skażona woda rzeczywiście spływa w dół ku rzece, ale „zatkana rura”, jaką stanowi morena denną mająca „przepuszczalność betonu”, przegradza jej dalszy bieg. Model komputerowy to potwierdzał.

– Na tej podstawie można wnioskować, że nawet gdyby chemikalia dostały się do wód podziemnych w chwili uruchomienia zakładów w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym roku, nie zdążyłyby dotrzeć do studni G i H do maja tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego dziewiątego roku – powiedział Guswa.

Schlichtmann był zaskoczony tymi informacjami. Kiedy przesłuchiwał geologa pół roku wcześniej, świadek zeznał, że nie potrafi określić szybkości spływu wód podziemnych spod terenu zakładów do ujęć. Gdyby Guswa miał rację, sprawa przeciwko koncernowi Grace'a byłaby z góry przegrana.

Jan wiedział jednak, że geolog jest w błędzie. Same fakty – skażenie terenu zakładów, obecność stosowanych tam rozpuszczalników w sieci wodociągowej oraz istnienie przepuszczalnej warstwy, którą wody podziemne spływały w kierunku rzeki – powinny sprawić, że opinia Guswy będzie wyglądała równie śmiesznie, jak teoria Olina Braidisa dotycząca robaków ziemnych. Tak przynajmniej mu się wydawało. Ale z drugiej strony nie miał złudzeń, że z Guswą pójdzie mu równie łatwo jak z Braidsem. Geolog opierał swoją opinię na uznanych metodach naukowych, był świadkiem wiarygodnym, przyciągającym uwagę. W przeciwieństwie do teorii Braidisa jego wyjaśnienia przynajmniej brzmiały sensownie.

Tego wieczoru w biurze Schlichtmann i Nesson spędzili kilka godzin nad protokołami z zeznań Guswy. Pinder pojechał do Europy na jakąś konferencję geologów i nie mogli się z nim skonsultować. Pracowali do późna, ale nie wpadli na żaden pomysł. Keating zamierzał przesłuchiwać Guswę jeszcze przez dwa dni. W tym czasie musieli znaleźć sposób na udowodnienie, że świadek się myli. Wychodząc z biura, Nesson wziął ze sobą kilka podręczników hydrogeologii Pindera.

Następnego dnia rano Schlichtmann przyglądał się, jak Guswa ponownie zajmuje miejsce dla świadków i po raz kolejny powtarza swoje wcześniejsze zapewnienia. Wreszcie padły wyniki najnowszych obliczeń. Pracujące pełną mocą pompy obu ujęć czerpały cztery tysiące dwieście litrów wody na minutę. Nawet gdyby cała skażona woda z terenu zakładów dotarła do studni – co było według geologa niemożliwe ze względu na zwartość warstwy morenowej, stanowiło więc

założenie czysto teoretyczne – jej przepływ nie mógł być większy od dwudziestu litrów na minutę. A zatem udział wód pochodzących spod terenu zakładów wynosiłby w takiej sytuacji niespełna pół procenta ogólnej ilości wody pompowanej do sieci miejskiej, czyli byłby przysłowiową kroplą w morzu.

Nesson, który zasiadał na sali obok Schlichtmanna, słuchał tych wyjaśnień z wielką uwagą. Kiedy Guswa zapisywał wartości kredą na tablicy, Nesson spisywał je do notatnika. Tymczasem przed ławą przysięgłych geolog tłumaczył, że średnio każdego roku spada trzysta milimetrów deszczu, który przesiąka przez glebę i zasila wody podziemne. Ilość tę, równoznaczną trzystu litrom, należy pomnożyć przez powierzchnię terenu zakładów Grace'a, będącego w przybliżeniu kwadratem o boku stu osiemdziesięciu metrów. W sumie daje to rocznie około dziewięciu milionów siedmiuset tysięcy litrów wody, która przenika przez glebę. Guswa podsumował, że ta z pozoru duża ilość wody jest znikoma, jeżeli obliczy się jej szybkość przepływu w litrach na minutę i porówna do ilości wody wypompowywanej z obu studni.

Kiedy tylko geolog zakończył swoje wystąpienie, Nesson pospiesznie zapakował notatki do teczki i niemal wybiegł z sali rozpraw, napańszy ramieniem na ciężkie skrzydło wahadłowych drzwi.

Schlichtmann ledwie zauważył jego nagłe zniknięcie, gdyż Nesson, jako jedyny z prawników, miał zwyczaj wychodzenia z sali w dowolnym momencie. Zresztą Jana także bez reszty pochłaniały obliczenia Guswy. Cała ta teoria trzymała się kupy, zastanawiało go jednak, w jakim celu Keating zdecydował się przytoczyć szczegółowe rachunki. Przecież Guswa dzień wcześniej przekonująco uzasadnił tezę, iż żadne zanieczyszczenia nie mogły się przedostać z terenu zakładów do ujęć. Przyszło mu do głowy, że na ten pomysł obrona wpadła w ostatniej chwili, podczas wczorajszej wieczornej narady ze świadkiem. Niemalże widział w wyobraźni, jak Keating i Cheeseman mówią do siebie z uśmiechem: „Wiesz co? To jest świetne! Włączmy to do zeznań”. Dlatego też przeczuwał, że coś się za tym kryje, nie potrafił tylko określić co. Postanowił omówić swoje wątpliwości z Nessonem, gdy tylko profesor wróci.

Ale tego dnia Nesson nie pojawił się już na sali rozpraw ani nie przyszedł do biura po południu. Schlichtmann zadzwonił na jego wydział, lecz sekretarka nie widziała go na uczelni. Później, coraz bardziej skonsternowany, zadzwonił do mieszkania Nessona w Cambridge, nikt jednak nie odbierał. Czasu było coraz mniej, następnego dnia Jan miał przystąpić do odpytywania świadka.

– Gdzie jest Charlie, do diabła?! – wykrzykiwał w sali konferencyjnej.

Nazajutrz rano Nesson nie zjawił się też w sądzie. Kiedy Keating skończył przesłuchanie, wstał Facher, aby zadać biegłemu kilka pytań. Wcześniej obrona uzgodniła, że nie będzie ułatwiać Schlichtmannowi zadania, nawzajem wytykając sobie palcami błędy w czasie rozprawy. Dlatego Facher był pewien, że Guswa nie rzuci umyślnie winy na Beatrice Foods. Geolog wyznał otwarcie, że na podstawie zebranych przez niego danych nie da się ustalić, czy trichloroetylen z terenu garbarni mógł dotrzeć do ujęć miejskich. Orzekł, iż wody podziemne w zachod-

niej części doliny przepływają przez obszar, który nazwał „strefą niepewności”. Ta opinia w pełni usatysfakcjonowała Fachera.

Przyszła kolej na Schlichtmanna. Wspólnie z Nessonem opracowali wcześniej strategię wystąpienia przeciwko biegłym Beatrice Foods, ale nie zakładów Grace’a. Nie mieli jeszcze żadnej recepty na walkę z zagrożeniem, jakie stanowiły zeznania Guswy, lecz mimo to ich plan wydawał się obiecujący i Jan postanowił go realizować, mając nadzieję, że jakoś dotrwa do końca posiedzenia. Chciał wykorzystać wiedzę geologa do potwierdzenia słuszności wniosków Pindera dotyczących spływu wód podziemnych spod terenu garbarni pod rzeką do ujęć.

Z protokołu odczytał Guswie wyniki pomiarów poziomu wód podziemnych wykonanych podczas testu dynamicznego, a następnie poprosił świadka, aby obliczył kierunek ich spływu najprostszą metodą triangulacyjną. Rezultat obliczeń geologa wskazywał jednoznacznie, że wody spod terenu Beatrice Foods spływają w kierunku studni.

Sędzia przysłuchiwał się temu z uwagą. Wreszcie przerwał Schlichtmannowi i sam zaczął zadawać pytania.

– Czy rzeka może stanowić barierę przegradzającą wodom podziemnym drogę do studni?

– Nie, koryto rzeki nie stanowi żadnej bariery ani przegrody. – odparł geolog.

– Nie ma bariery? – upewnił się sędzia.

– Nie.

– Zatem woda mogła spływać spod terenu zakładu, pod rzeką, do miejsca, gdzie znajdują się studnie. Jest taka możliwość?

– Tak, proszę pana, istnieje taka możliwość – przyznał Guswa.

Przy stole obrony Facher poruszył się niespokojnie. Zgłosił sprzeciw wobec pytań sędziego, lecz Skinner nawet na niego nie spojrział. Kiedy Jan podjął przesłuchanie, Facher wstał i bez słowa ruszył w stronę miejsca dla świadków, zmuszając Schlichtmanna do przerwania w pół słowa. Było to do niego całkiem niepodobne.

– Zaraz, chwileczkę! – powstrzymał go sędzia, unosząc dłonie.

Facher obejrzał się na niego.

– Wyniki pomiarów... Skoro chodzi o wyniki...

– Do tej pory świadek rozumiał wszystkie pytania – powiedział sędzia. – Nie sądzę, żeby potrzebował pańskiej pomocy.

Guswa nie zamierzał zrzucić winy na Beatrice Foods, zrobił to nieumyślnie. Pod koniec przesłuchania, wyraźnie zdenerwowany, powiedział do Schlichtmanna:

– Powinniśmy się skupić na sprawach, których dotyczy moja opinia. Drugi pozwany niech się broni sam. Każdy musi dbać o własne interesy.

Schlichtmann osiągnął jednak to, na czym mu zależało, obrócił zeznania geologa przeciwko Beatrice Foods, a zarazem przetrwał bez kłopotów do końca posiedzenia. Ale wciąż nie wiedział, jak, używając słów Guswy, zadbać o własny interes w sprawie przeciwko zakładom Grace’a. Nie miał żadnego planu na następny dzień, a Nesson wciąż nie było. Szukając go, Kathy Boyer wydzwaniała we wszystkie znane im miejsca, lecz bez skutku.

Tymczasem Nesson zaszył się tam, gdzie mógł bez przeszkód pracować: w bibliotece wydziału prawa Uniwersytetu Harwardzkiego, na ostatnim piętrze Griswold Building. Podobnie jak Schlichtmann miał wrażenie, że istnieje jakiś prosty i oczywisty sposób wykazania błędów w rozumowaniu Guswy. Stał przed zagadką, a tego rodzaju problemy zawsze go pociągały.

Na początek przyjął, że wody podziemne spod terenu zakładów Grace'a dopływały jednak do ujęć. Potraktował to jako niezbity fakt. W tym świetle teoria o nieprzepuszczalnej warstwie morenowej była błędna. Nie mógł zakładać, że znajdzie się błąd w modelu komputerowym. Sprawdzanie i weryfikowanie setek danych, na których był oparty, trwałoby wiele tygodni, a on miał tylko parę godzin.

Sposób rozwiązania zagadki podsunęła Nessonowi informacja Guswy o szybkości spływu wód podziemnych, wynoszącej dwadzieścia litrów na minutę. Nie umiał jeszcze wykazać, gdzie tkwi błąd, zyskał jednak przeświadczenie, że ma wystarczająco dużo danych, by go odnaleźć. Dlatego tak nagle wyszedł z sali rozpraw.

Już wcześniej poznał podstawowe prawa hydrogeologii. Od Pindera dowiedział się o prawie Darcy'ego, leżącym u podstaw niemal wszystkich obliczeń dotyczących wód podziemnych. Był to prosty wzór, opracowany przez dziewiętnastowiecznego uczonego francuskiego, służący do obliczania szybkości przepływu wody przez ośrodek porowaty. Według tego prawa objętość wody (Q) przesiąkająca przez daną warstwę jest równa iloczynowi współczynnika przenikalności hydraulicznej (K) ośrodka, grubości warstwy (A) oraz wielkości gradientu, czyli jej kąta nachylenia (I). Zatem $Q = K \times A \times I$. Jeśli tylko znało się odpowiednie dane, wystarczyło je podstawić do wzoru. W odróżnieniu od wspomniałego trójwymiarowego modelu komputerowego, do wykonania obliczeń potrzebny był jedynie papier i ołówek.

Nesson powtórzył rachunki Guswy, stosując te same dane wyjściowe, które według porannych zeznań biegłego doprowadziły do określenia szybkości spływu na dwadzieścia litrów na minutę. Natychmiast zauważył, że dwie strony równania nie są sobie równe. Na swoje potrzeby założył więc, że geolog przyjął prawdziwe wielkości średniej rocznej sumy opadów, kąta nachylenia warstwy przepuszczalnej oraz jej współczynnika przenikalności. Następnie zadał sobie pytanie, jaka powinna być grubość warstwy, czyli jak duży musiałby być otwór wpustowy tejże „zatkanej rury”, aby mogła przez nią przepłynąć podana ilość wody. Oznaczając niewiadomą X, Nesson przekształcił wzór do postaci:

$$X = \frac{Q}{K \times I}$$

Zaledwie skończył obliczenia, wiedział już, że znalazł sposób udowodnienia błędu Guswy. Był prosty i elegancki, a w dodatku miał tę zaletę, że podważał opinię biegłego na podstawie podanych przez niego samego informacji.

Późnym popołudniem Schlichtmann siedział w sali konferencyjnej z Conwayem i Kileyem, próbując ustalić jakiś plan postępowania na następny dzień, kiedy do biura wkroczył uśmiechnięty Nesson. Jan poderwał się z miejsca.

– Charlie! Na miłość boską, gdzieś ty się podziewał?! – wykrzyknął.

Profesor uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Szukałem sposobu na przygwożdżenie Guswy.

Wszyscy zgromadzili się przed tablicą, na której Nesson zaczął wypisywać wzór wynikający z prawa Darcy’ego.

– Tylko powoli, Charlie – mruknął Schlichtmann, zerkając podejrzliwie na równanie. – Masz przed sobą człowieka, który nie potrafi zliczyć salda swojej książeczki czekowej.

Nazajutrz rano Schlichtmann zaczął bardzo ostrożnie drażyć temat, nie wspominając na razie o prawie Darcy’ego. Poprosił świadka o potwierdzenie wcześniej podanych wartości – współczynnika przenikalności hydraulicznej moreny, powierzchni terenu zakładów Grace’a, średniej rocznej sumy opadów. Zajęło mu to więcej czasu, niż planował, i gdy pod koniec posiedzenia zastawił wreszcie pułapkę Nessona, zorientował się, że nie zdąży do jej finału.

– Chce pan w tym miejscu przerwać przesłuchanie? – zapytał skonsternowany sędzia. – Rozumiem, że te wywody do czegoś prowadzą. Wydaje mi się, że nie padło jeszcze najważniejsze pytanie.

– Mogę kontynuować – powiedział Schlichtmann – jeśli Wysoki Sąd zechce mi dać jeszcze kwadrans.

Keating przeczuwał, że nadchodzi niezbyt korzystny dla obrony finał, toteż dla formalności zgłosił sprzeciw, ale sędzia go oddalił.

– Tylko piętnaście minut – rzekł Skinner. – Lepiej nie zostawiać takich spraw w zawieszeniu.

Schlichtmann napisał wzór na tablicy.

– Według prawa Darcy’ego ilość wody wypływającej z warstwy przepuszczalnej musi być równa ilości wsiąkającej, bo w przeciwnym razie woda kumulowałaby się w jej wnętrzu, zgadza się? – zapytał.

– Oczywiście – potwierdził Guswa.

– Szybkość przepływu oblicza się z iloczynu przenikalności hydraulicznej, czyli stopnia przepuszczalności ośrodka, grubości warstwy wodonośnej oraz stopnia jej nachylenia względem poziomu, prawda?

Guswa ponownie przytaknął. Schlichtmann poprosił go o podejście do tablicy ustawionej przed ławą przysięgłych i podstawienie do wzoru podanych wcześniej wartości liczbowych.

– A teraz – ciągnął – założmy, że nie znamy grubości warstwy wodonośnej, czyli nie wiemy, jak duży jest otwór, do którego wcieka woda. Oznaczmy niewiadomą literą X i przekształćmy wzór, aby można ją było obliczyć.

– Proszę bardzo – powiedział geolog. – To proste przekształcenie algebraiczne.

Schlichtmann zapisał poniżej drugi wzór, umieszczając X po lewej stronie równania. Następnie poprosił Guswę o wykonanie obliczeń i podanie grubości warstwy wodonośnej.

Geolog w milczeniu zaczął wystukiwać liczby na swoim kalkulatorze.

– Niecałe osiemnaście metrów – powiedział wreszcie.

– Ach, osiemnaście metrów – powtórzył z naciskiem Schlichtmann.

Poprosił biegłego, by wyjaśnić przysięgłym, jak głęboko pod powierzchnią ziemi musi się znajdować górna granica tejże warstwy wodonośnej, licząc od poziomu nieprzepuszczalnej platformy skalnej.

Guswa zrobił głupią minę, po czym bąknął:

– Według tych obliczeń byłaby... około trzech metrów nad ziemią.

Na tym właśnie polegało odkrycie Nessona. Przyjmując, że wzięte do obliczeń wartości są prawdziwe, według prawa Darcy'ego zakłady Grace'a musiałyby stać na dnie jeziora, prawie trzy metry pod powierzchnią wody.

Kiedy wieczorem w biurze Schlichtmann usłyszał huk młota pneumatycznego, dolatujący z ulicy od strony gmachu sądu, wykrzyknął:

– Posłuchajcie! To Guswa próbuje zrobić w platformie skalnej ujście dla wody!

– Podczas wczorajszego posiedzenia byliśmy świadkami, jak przez dolinę Aberjony przewaliła się trzymetrowa ściana wody – powiedział Skinner następnego ranka, kiedy tylko przysięgli zajęli miejsca.

Tego dnia Schlichtmann zrezygnował z krzyżowego przesłuchania świadka. Zrobił to, co odradza każdy doświadczony adwokat i każdy podręcznik prawa: zostawił biegłemu wolną rękę. Był pewien, że nie uda mu się wyjaśnić elementarnego błędu rachunkowego.

– Czy mógłby pan jeszcze raz przedstawić przysięgłym swoją opinię? – rzekł zachęcająco. – Proszę powtórzyć obliczenia na tablicy.

– Chcesz, żeby doktor Guswa... udzielił wykładu? – spytał zaskoczony Keating.

– Oczywiście.

W ten sposób geolog spędził niemal całe przedpołudnie z kredą w ręku. Zgodnie z przewidywaniami Schlichtmanna zmuszał wodę do wnikania głęboko w skały, na trzydzieści metrów, sto, a nawet trzysta, każąc jej przenikać we wszystkich kierunkach, wszelkimi możliwymi pęknięciami i szczelinami, które istniały tylko w wyobraźni świadka. Wypisywał dziesiątki liczb, zmieniał kąty nachylenia warstw i współczynniki przenikalności, mnożył i dzielił, a wszystko to w celu uratowania własnej teorii. Stał przy tablicy przed ławą przysięgłych, mamrotał pod nosem dane i przeliczał je na kalkulatorze.

– I co mam teraz z tym zrobić? – głośno szepnął w pewnym momencie.

Schlichtmann pozwolił mu się pomęczyc jeszcze przez pewien czas, obserwując go w milczeniu z boku. Wreszcie sędzia zapytał:

– Jak rozumiałem, platforma skalna zawsze znajduje się w stanie nasycenia wodą? Może pochłonąć tylko ściśle określoną jej ilość?

– Zgadza się – przyznał Guswa.
– A zatem – ciągnął Skinner – jeśli codziennie pewna ilość wody wnika w szczeliny, taka sama ilość musi z nich wypływać?
– Oczywiście. Woda ścieka w głąb, unosząc zanieczyszczenia z powierzchni, ale...

– Nie wie pan tylko, dokąd może spływać? – podpowiedział sędzia.
– Nie wiem – odparł świadek.

Wyglądał na skrajnie przemoczonego, po jego chłopięcym entuzjazmie nie zostało nawet śladu. Schlichtmann zajął się ostatnim elementem obrony Keatinga: teorią, że trichloroetylen i inne toksyczne zanieczyszczenia pochodzą z zakładów przemysłowych w północnym Woburn i przedostały się do ujęć z nurtu rzeki. Ponownie zaprosił Guswę do tablicy. Geolog westchnął ciężko.

Jan zapytał, czy wykryto tri w próbkach wody z rzeki lub w glebie na jej brzegu w okolicy studni. Nie, nie wykryto. Czy gdyby trichloroetylen, którym zostały skażone ujęcia, rzeczywiście pochodził z rzeki, nie należałoby się spodziewać przynajmniej jego śladów w korycie Aberjony lub w piaszczystym dnie.

– Tak – odparł Guswa. – Należałoby się tego spodziewać.

– A jednak w materiale pobranym z dna rzeki niczego nie znaleziono, prawda?

Guswa przytaknął.

– W głębszych warstwach również go nie wykryto. Dopiero w wodzie pochodzącej głęboko spod dna stwierdzono obecność trichloroetyleny w stężeniu setek części na miliard. Zgadza się?

– Owszem, taką sytuację zaobserwowano kilkakrotnie – odpowiedział geolog.

– Przyznaje pan więc, że ta... zaobserwowana sytuacja doskonale pasuje do założenia, iż substancje toksyczne nie mogą pochodzić z nurtu Aberjony?

– Można też przyjąć inne założenia... – mruknął Guswa – Ma pan jednak rację, pasuje.

– Pozwoli pan, że sformułuję następujące pytanie: Czy jest możliwe, że toksyczne zanieczyszczenia pochodzą z terenów leżących na północny wschód i na zachód od ujęć wody? Czy taka hipoteza jest w ogóle prawdopodobna?

Było to szczególnie istotne, ponieważ zakłady Grace'a znajdowały się na północny wschód, a garbarnia Beatrice Foods na zachód od studni. Według wstępnego raportu Agencji Ochrony Środowiska zanieczyszczenia mogły pochodzić z tamtych terenów, chociaż nie wymieniano nazw żadnych ewentualnych truciciel. Sędzia nie zgodził się na wciągnięcie tego raportu do materiału dowodowego, ale Guswa z pewnością go czytał.

Zastanawiał się dość długo nad odpowiedzią, prawdopodobnie kojarząc pytanie z wnioskami raportu agencji. Wreszcie w zamyśleniu rzekł:

– Owszem, jest prawdopodobna.

Schlichtmanna to zadowoliło, ale Skinner wołał usłyszeć jednoznaczną opinię, gdyż wtrącił:

– No cóż, po tym pytaniu należałoby oczekiwać następnego. W jakim stopniu jest to prawdopodobne?

– W jakim stopniu? – powtórzył Guswa, oglądając się na sędziego. – Myślę, że wielkość prawdopodobieństwa...

– Nie o to mi chodziło – przerwał mu sędzia. – Zapytam inaczej i proszę o konkretną odpowiedź. Czy wyjaśnienie przedstawione przez pana Schlichtmanna jest prawdopodobne?

– Mam odpowiedzieć konkretnie? – zdziwił się geolog.

– Tak.

– No więc tak, źródło zanieczyszczeń podane przez pana Schlichtmanna jest prawdopodobne.

Jan zdołał rzucić cień wątpliwości na opinię Guswy, choć w dużej mierze zawdzięczał to pomysłowości i zdolnościom matematycznym Nessona. A w dodatku nie mógł sobie do tego wymarzyć lepszej chwili – zakończenia zeznań ostatniego świadka pod koniec długiego procesu.

Tego wieczoru wszyscy pracownicy kancelarii, łącznie z sekretarkami, aplikantami i recepcjonistkami, poszli uczcić sukces do baru Pattena, gdzie dziewięć miesięcy wcześniej Rikki Klieman po raz pierwszy wymieniła nazwisko Nessona. Schlichtmann miał tam od dawna otwarty kredyt, a właściciel, który wiedział wszystko o sprawie Woburn, nie domagał się szybkiego uregulowania długu.

Jan pił jedno martini za drugim i wznosił toasty za Nessona. Panował radosny nastrój, który w połączeniu z alkoholem pozbawił Schlichtmanna współczucia dla przeciwnika.

– Guswa zaprzedał nam dziś swoją duszę! – wykrzykiwał. – A raczej te marne resztki, które mu z niej zostały.

10

Pierwszego lipca, w słoneczny i bezchmurny poranek, na Post Office Square prawnicy, sędzia i przysięgli zajęli miejsca w żółtym szkolnym autobusie i ruszyli na wycieczkę. Kilka miesięcy wcześniej, niedługo po rozpoczęciu procesu, przysięgli zapytali Skinnera, czy będzie im wolno obejrzeć miejskie ujęcia wody w Woburn i dolinę Aberjony. Teraz, kiedy przesłuchania świadków dobiegły końca, sędzia zdecydował, że powinni zobaczyć miejsca, o których tyle się nasłuchali. Sześciu sędziów składu podstawowego i sześciu rezerwowych zasiadło z przodu, w pierwszych rzędach autobusu. Skinner i adwokaci ulokowali się z tyłu, zostawiając cztery puste rzędy siedzeń. Przysięgłych uprzedzono, aby włożyli stare, solidne buty.

– Sam muszę znaleźć coś w rodzaju polowego munduru – powiedział Schlichtmann, po czym ruszył do sklepów w poszukiwaniu stroju odpowiedniego na safari.

Phillips, który nie odstępował go ani na krok, zafundował mu spodnie w kolorze khaki, zieloną koszulę, pasek i traperskie buty. Jan chciał jeszcze panterkę i filcowy kapelusz z szerokim rondem, ale Mark się nie zgodził.

Tylko Facher przyszedł w tym samym garniturze, w którym występował w sądzie.

– Jest pan gotów go poświęcić? – zapytał sędzia.
– Dla mnie ta wyprawa to jak spacer po własnym podwórku – rzekł obrońca. – Zdejmę krawat. Mogę pójść na takie ustępstwo.

Podczas wycieczki odwiedzili większość miejsc mających związek ze sprawą. Po obu stronach głównej bramy zakładów Grace’a stały dwa maszty, na jednym wisiał sztandar amerykański, na drugim flaga ze znakiem firmowym koncernu. Lśniąca czystością fasada biurowca z czerwonej cegły sprawiała nawet miłe dla oka wrażenie, a przy pięknej słonecznej pogodzie, kiedy metalowe litery tworzące nad wejściem nazwę firmy połyskiwały srebrzyście i flagi łopotwały na wietrze, cała ta sceneria mogłaby posłużyć do pamiątkowej fotografii w dorocznym sprawozdaniu koncernu.

Przysięgli i prawnicy ruszyli za Cheesmanem na obchód zakładu. Odwiedzili halę produkcyjną, gdzie panował wzorowy ład i porządek, maszyny lśniły tak, jakby je wypolerowano. Tego dnia chyba nikt nie pracował. Robotnicy uważnie obserwowali gości z oddali. Grupa miała właśnie opuścić halę tylnym wyjściem, obok lakierni, w której pracował Barbas, kiedy jedna z przysięgłych, Jean Cousley, na co dzień operatorka wózka widłowego, stanęła w pół kroku i powiedziała:

– Chwileczkę, panie Schlichtmann. Chcę zobaczyć komorę malarską w lakierni.

Jan, który dotąd nie był pewien przekonania Cousley, natychmiast poczuł sympatię do starszej pani.

Wcześniej dowiedział się od swoich klientów, że ostatnio w fabryce sporo się zmieniło. Na tyłach hali ustawiono stoły piknikowe i uporządkowano ogródki warzywne, przygotowując się do wizyty przysięgłych. Poprosił sędziego, aby pozwolił mu o tym poinformować przysięgłych, ale Skinner się nie zgodził. Kiedy wyszli tylną bramą poza teren zakładów, gdzie Barbas, Joe Meola i inni robotnicy wylewali rozpuszczalniki, wszystkich zaskoczył widok paru rozległych, wypielegnowanych działek. Dorodne krzaki pomidorów były starannie poprzywiązywane do palików.

– Trujące pomidorki z domowego ogródka Joego Meoli – szepnęła Patti D’Addieco do Schlichtmanna.

Później pojechali autobusem wąską, pokrytą dziurawym asfaltem uliczką przez las, na skraj mokradeł Aberjony, gdzie znajdowały się pozostałości studni G i H. Już w marcu, trzeciego dnia procesu, burmistrz polecił rozebrać budynki i teraz mogli obejrzeć tylko parę niewielkich stert gruzu i dwa duże kwadratowe fundamenty. Ze szczelin w betonie wyrastały chwasty.

Przez jakiś czas przyglądali się temu w milczeniu, z powagą patrząc na zalane słońcem ruiny, jakby w nadziei, że ujawnią im swoje tajemnice. Nie było tu jednak nic do oglądania i wkrótce nastrój uroczystej zadumy prysnął jak bańka mydlana.

Rozmawiając wesoło i śmiejąc się, niczym klasa na wycieczce do lasu, przysięgli ruszyli w kierunku wschodniego brzegu Aberjony. Szli szerokimi pomostami z desek przerzuconymi nad kępami bagiennej roślinności. Wiosna była sucha i rzeka skurczyła się do rozmiarów leniwego strumienia o szerokości kilku me-

trów. Sędzia uważnym spojrzeniem obrzucił skarpe na przeciwległym brzegu, na której szczycie, sto metrów od rzeki, stała garbarnia Beatrice Foods. Osłoniwszy dłonią oczy, powiódł wzrokiem po mokradłach usianych połyskującymi w słońcu metalowymi i plastikowymi rurami studni kontrolnych, których w sumie było ponad sto pięćdziesiąt.

– Zastanawiam się, kogo obarczymy winą, jeżeli cały ten bezlitośnie zryty teren zapadnie się pod wodę – rzekł w zamyśleniu Skinner.

Facher natychmiast podchwycił tę myśl.

– Co do tego nie mam żadnych wątpliwości. Pozwie się pierwsze lepsze duże przedsiębiorstwo, do którego ta ziemia należy.

Cała grupa poszła dalej piaszczystą drogą w kierunku piętnastoakrowego lasu Beatrice Foods, obok składowiska nieistniejącej już Whitney Barrel Company, i wkroczyła na jego teren przez otwartą bramę w nowym ogrodzeniu z siatki, postawionym na polecenie Agencji Ochrony Środowiska. W gęтым zagajniku bujnie pleniły się krzewy, przy bitej drodze rosły wysokie osty. Facher schylił się i zerwał stokrotkę, którą dał Patti D’Addieco. Podziękowała mu z uśmiechem. Obiecał, że po lunchu kupi jej loda w rożku, ale tej obietnicy nie dotrzymał.

Agencja przestrzegała, żeby nie zbaczali z drogi ze względu na silne skażenie gleby. Po obu jej stronach, gdzie do niedawna wałał się gruz i zardzewiałe beczki po chemikaliach, teraz było czysto. Nesson zwrócił uwagę Schlichtmanna na leżące wszędzie nasiona świeżo wysianej trawy. Właściciel terenu bardzo się postarał, żeby przysięgli nie zauważyli tu niczego podejrzanego.

Jan obserwował z uwagą, jak jeden z przysięgłych, Robert Fox, przystanął na skraju lasu i popatrzył stąd na odległe o sto metrów ruiny miejskich ujęć wody. Po chwili mężczyzna rzekł cicho:

– Mój Boże, nie zdawałem sobie sprawy, że to tak blisko.

Kiedy grupa ruszyła dalej drogą, Patti pociągnęła Jana za rękę i wyznała półgłosem, że nie ufa Foxowi.

– Ten facet raczej nie będzie głosował na naszą korzyść – powiedziała.

– Mylisz się – odparł Schlichtmann. – To miłośnik dzikiej przyrody. W formularzu osobowym napisał otwarcie, że współpracuje z organizacją społeczną działającą na rzecz interesów publicznych.

11

Piramida, w którą Gordon starannie układał narastające długi, zaczynała się walić. Całkiem bezradny, szukał już pomocy nawet w horoskopach, chcąc poznać najbliższą przyszłość. Kupił numer „Town & Country”, gdzie jego zdaniem publikowano najlepsze horoskopy, ale ich lektura tylko pogorszyła mu humor. Układ planet w Rybach, znaku Schlichtmanna, był złowieszczy.

– Będziesz miał bardzo trudny okres – oznajmił Janowi nazajutrz po wyjeździe do Woburn. – Ma się wyłonić coś, czego nikt się nie spodziewał, i spieprzyć wszystkie plany. Jedyna pociecha, że niedługo powinno się poprawić.

– Musisz mówić mi takie rzeczy? – odparł zirytowany Schlichtmann. – Pozostaje tylko mieć nadzieję, że sytuacja się zmieni, zanim ława przysięgłych rozpoznie obrady.

Do tego etapu pozostało już tylko parę dni. Sędzia zwolnił przysięgłych do końca tygodnia, jak zwykle upominając, żeby nie czytali artykułów o sprawie i z nikim o niej nie rozmawiali. Przed wygłoszeniem mów końcowych chciał się jeszcze naradzić z rzecznikami obu stron.

Miesiąc wcześniej, kiedy Schlichtmann zakończył prezentację materiału dowodowego przeciwko obu pozwanym na opinii Pindera, sędzia wydał orzeczenie. Zarówno Facher, jak i Keating wystąpili wówczas z wnioskami, aby w tym momencie zakończyć proces i wydać werdykt bezpośredni na korzyść ich klientów, ponieważ dowody przedstawione przez stronę powodową są niewystarczające do tego, by ława przysięgłych mogła na ich podstawie ustalić wyrok.

Wnioski takie wpływają w większości spraw z powództwa cywilnego po przedstawieniu całego materiału dowodowego, ale sędziowie rzadko je przyjmują. Kodeks Cywilny nakazuje sądom ocenę dowodów w świetle jak najkorzystniejszym dla powoda i nawet drobne prawdopodobieństwo winy pozwanego zwykle wystarcza, aby przekazać decyzję ławie przysięgłych. Skinner orzekł wówczas wprost, że nie wyda werdyktu bezpośredniego w sprawie przeciwko koncernowi Grace'a („Bez dwóch zdań robotnicy wynosili te świństwa poza zakład i wylali do rowu” – powiedział Keatingowi), lecz uzasadnienie zarzutów stawianych Beatrice Foods pozostawiało wiele wątpliwości i sędzia jasno dał Facherowi do zrozumienia, że powinien tylko „mocniej przycisnąć”, a uzyska werdykt bezpośredni.

Po zwolnieniu przysięgłych wysłuchał obszernych uzasadnień złożonych wniosków i obiecał stronom, że jeszcze tego popołudnia poinformuje ich o swojej decyzji. Dla Schlichtmanna to posiedzenie prawie w niczym nie różniło się od poprzednich i zaraz po powrocie do biura czuł się pewien swego. Ale już wczesnym popołudniem zaczęło go ogarniać zwątpienie. O szesnastej powiedział Conwayowi, że „odczuwa dokuczliwe, mdlące ściskanie w dołku”. Godzinę później szepsem odmawiał modlitwy. O osiemnastej, stojąc przy oknie i patrząc w dół na Milk Street, powiedział:

– Sędzia chce mnie wydymać. Czuję to przez skórę.

Skinner w końcu zadzwonił kwadrans przed siódmą. Jak należało oczekiwać, odrzucił wniosek obrony zakładów Grace'a. Ale w sprawie przeciwko Beatrice Foods zgłosił poważnie zastrzeżenia do materiału dowodowego. Po pierwsze, zamierzał wyłączyć spod oceny przysięgłych kwestię jakichkolwiek zaniedbań kierownictwa garbarni sprzed roku 1968, to znaczy do momentu, kiedy Riley dowiedział się od specjalisty wierzącego studnię na terenie zakładu, że poziom wód podziemnych wyraźnie się obniżył wskutek uruchomienia nowych ujęć. Sędzia uznał, że wcześniej właściciel garbarni nie mógł nawet podejrzewać, iż toksyczne odpady na jej terenie doprowadzą w przyszłości do skażenia wody czerpanej ze studni G i H. Poza tym, tłumaczył Skinner, koncern Beatrice Foods nie był w żaden sposób „specjalnie powiązany” z rodzinami strony powodowej i innymi od-

biorcami wody, zatem nie miał obowiązku informowania opinii publicznej lub władz miasta o warunkach panujących na jego terenie, nawet po otrzymaniu alarmującego raportu z 1968 roku.

Schlichtmann do późna w nocy omawiał ze współnikami możliwe konsekwencje tego orzeczenia. Decyzje sędziego wszystkim wydawały się dziwne. W końcu Riley wiedział już w latach pięćdziesiątych, że odpady z garbarni mogą zanieczyścić dolinę Aberjony. Próbując podążyć za logiką sędziego, Schlichtmann powiedział:

– Równie dobrze ktoś mógłby w środku nocy wrzucić kapsułkę cyjanku do buteleczki syropu na kaszel i odstawić ją na półkę w aptecce, skoro nie ma w tym nic złego, a o przestępstwie można mówić dopiero następnego ranka, kiedy apteka zostanie otwarta.

Nesson był przekonany, że sędzia popełnił olbrzymi błąd interpretacyjny. Nie wziął pod uwagę powszechnie uznawanej zasady, że sam fakt posiadania jakiegoś terenu narzuca obowiązek ostrzegania wszystkich osób, które mogłyby ucierpieć z powodu panujących tam niebezpiecznych warunków. Następnego dnia profesor poprosił Skinnera, żeby ponownie rozważył swoją decyzję. Sędzia odpowiedział rozdrażniony:

– Jeśli mam być szczerzy, już raz nadstawiłem tyłka i nie zamierzam tego zrobić po raz drugi. Odrzucam wnioski.

Schlichtmann odnosił wrażenie, że Skinner najpierw podjął decyzję, a dopiero później szukał jej uzasadnienia. Pocieszał się tylko tym, że Facher wciąż był obecny na sali, nadal siedział za stołem obrony. Wreszcie Conway podsumował ostatnie wydarzenia:

– Jest gorzej niż sądziliśmy, ale to jeszcze nie porażka. Najważniejsze, że przetrwaliśmy ten pierwszy etap.

Sędzia był podobnego zdania. Tydzień później serdecznie powitał przysięgłych i oznajmił, że podjął kilka ważnych ustaleń.

– Na razie nie muszę państwa zdręzczać ich szczegółami. Wciąż macie do rozstrzygnięcia podstawowe aspekty tej sprawy.

W trakcie procesu wydarzenia sprzed miesiąca często przypominają fakty z historii starożytnej. Decyzje sędziego co do bezpośrednich werdyktów zwykle nie mają istotnego wpływu na bieg rzeczy i szybko schodzą na dalszy plan. Schlichtmann był zbyt zajęty, by się tym martwić. Ale teraz, wobec konieczności wygłoszenia mowy końcowej, kiedy wszyscy znowu zasiedli na sali, decyzje Skinnera stały się nagle bardzo ważne. Sędzia orzekł, iż wyłączy spod oceny przysięgłych wszelkie dowody rzeczowe i fakty przedstawione w zeznaniach przeciwko Beatrice Foods odnoszące się do wydarzeń sprzed roku 1968. Między innymi miały być wykluczone zeznania takich świadków jak Walter Day, który w dzieciństwie bawił się na terenie lasu i opisywał jedno miejsce jako Dolinę Śmierci.

– Nie rozumiem, jaki to ma związek ze sprawą – powiedział sędzia.

– Jaki to ma związek?! – wyrzyknął zdumiony Schlichtmann. – Przecież chodzi o bardzo ważne zeznania, mówiące o walających się po całym lesie beczkach!

– Ma pan tyle beczek w innych zeznaniach, że nie wiadomo, co z nimi robić – odpowiedział sędzia, po czym wykluczył też z materiału dowodowego „zabójczy dokument” – raport inspektora stanowego Bolde’a z 1956 roku, który nakazywał Rileyowi usunięcie prawie dwustumetrowej hałdy osadów ściekowych zalegających nad samym brzegiem rzeki. Według Skinnera był to „bardzo stary dokument dotyczący bardzo starych spraw”.

Schlichtmanna zaczęła ogarniać panika. Ten dowód, tłumaczył, świetnie obrazuje stan wiedzy Riley’a i beztrochę, z jaką garbarz traktował ryzyko zanieczyszczenia Aberjony. Sędzia nie dał się jednak przekonać. A kiedy Nesson jeszcze raz próbował wytknąć mu błąd w interpretacji przepisów, zdołał go tylko rozgniewać.

– Jednym ze sposobów naprawienia tego błędu, o którym pan mówi, byłoby orzeczenie bezpośredniego werdyktu na korzyść Beatrice Foods – powiedział profesorowi.

– Skutecznie udało się panu mnie zranić.

– Mówię zupełnie poważnie – odparł sędzia. – Wszystkie wasze zarzuty przeciwko Beatrice Foods są grubymi nićmi szyte. Naprawdę ledwie uniknęliście przyjęcia wniosku o orzeczenie werdyktu bezpośredniego.

Dyskusja przeniosła się na temat zagadnień, które przysięgli będą musieli rozpatrzyć. Zazwyczaj wymaga się od nich odpowiedzi na pytanie, czyje racje uznają za słuszne, powoda czy pozwanego. Skinner zauważył jednak, że w drugim, medycznym etapie procesu decydujące znaczenie będzie miał termin dotarcia trichloroetylenu i innych rozpuszczalników do studni miejskich – zakładając oczywiście, że w ogóle dojdzie do tego etapu.

– Nie wystarczy stwierdzić, że chemikalia były obecne w wodzie wodociągowej od maja tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego dziewiątego roku – powiedział.

Poprosił rzeczników obu stron o przygotowanie propozycji pytań, na które ich zdaniem powinni odpowiedzieć przysięgli. Schlichtmannowi zależało na ustaleniu tylko jednego – czy koncerny Grace’a i Beatrice Foods są odpowiedzialne za skażenie ujęć wody przed majem 1979 roku. Ale nic w tej sprawie nie było aż tak proste. Facher i Keating dostarczyli długie listy skomplikowanych pytań, uznawszy, że przysięgli na wszystkie musieliby odpowiedzieć twierdząco, aby mógł się rozpocząć drugi etap procesu.

Dyskusje z sędzią na temat tych pytań ciągnęły się przez dwa dni. Co chwila wybuchały sprzeczki o sformułowania czy pojedyncze słowa, a nawet o przyimki lub przecinki, jakby uczniowie w szkole rabinackiej roztrząsali ukryty sens wybranych fragmentów Talmudu. Jan próbował rzeczy uprościć, Facher i Keating robili wszystko, żeby z tekstu nie zniknęła nawet jedna litera. W tym względzie Skinner popierał stanowisko Schlichtmanna.

– Mój Boże! – jęknął w pewnej chwili. – Jak można zadawać takie pytania?! Nie zapominajcie, że mamy do czynienia z prostymi ludźmi. Trzeba się do nich zwracać przystępnym językiem, bez tych wszystkich zastrzeżeń, klauzul, ograniczeń i odnośników.

– Dla mnie to oczywiste! – dodał Schlichtmann. – Chyba jeszcze nigdy nie widziałem czegoś tak uduziwnionego.

Tak więc, w wersji ostatecznej, powstały pytania sformułowane przez zespół ludzi, którzy nawet w najprostszych sprawach nie potrafili znaleźć wspólnego języka. Sędzia zdecydował, że każdy z pozwanych ma prawo zadać przysięgłym cztery pytania, we wszystkich jednak pozostały rozmaite klauzule, zastrzeżenia i warunki. Pierwsze brzmiało następująco: Czy strona powodowa na podstawie materiału dowodowego wykazała niezabicie, iż rzeczzone chemikalia, to znaczy trichloroetylen, tetrachloroetylen oraz 1,2-trans-dichloroetylen, zanieczyściły glebę na terenie garbarni Beatrice Foods po 27 sierpnia 1968 roku (w wystąpieniu przeciwko zakładom Grace’a była to data uruchomienia studni G, czyli 1 października 1964 roku), i czy te chemikalia w znaczącym stopniu przyczyniły się do skażenia ujęć wody przed 22 maja 1979 roku? Gdyby przysięgli odpowiedzieli twierdząco względem jednego lub więcej rozpuszczalników, musieliby znaleźć odpowiedź na drugie pytanie: Kiedy, z dokładnością do miesiąca, każda z rzeczonych substancji w świetle materiału dowodowego przyczyniła się do owego znaczącego skażenia ujęć? I dalej: Czy nastąpiło to wskutek niedopełnienia przez pozwanych ich obowiązków w zakresie należynej troski o powodów?

Wreszcie, gdyby i na to pytanie przysięgli odpowiedzieli twierdząco, czekała ich kolejna łamigłówka: Kiedy (również z dokładnością do miesiąca) w świetle materiału dowodowego powstał tenże znaczący udział w skażeniu, o którym była mowa w punkcie trzecim, będący wynikiem zaniedbań pozwanego?

W rezultacie pytania kierowane do przysięgłych zostały spisane takim językiem, jakby przetłumaczono je z angielskiego na japoński i z powrotem. Nawet sędzia zwrócił na to uwagę.

– Na pewno można by to jeszcze poprawić – mruknął pod koniec zebrania. – Ale biorąc pod uwagę, że życie jest krótkie, musimy na tym poprzestać.

W rzeczywistości treść pytań była po prostu niezrozumiała. Nawet specjalista od semantyki miałby kłopoty z wyłowieniem sensu w gąszczu słów. A co gorsza, nie dało się na nie jednoznacznie odpowiedzieć. Nawet naukowcy nie potrafili określić terminu powstania zanieczyszczeń z taką dokładnością, jakiej sędzia domagał się od przysięgłych. Wychodziło więc na to, że Skinner prosił o arbitralne ustalenie fikcyjnych warunków, które następnie zostałyby uznane za prawdę. Gdyby zaś nie było to możliwe, przysięgli musieli rozstrzygnąć sprawę, stwierdzając, że materiał dowodowy nie pozwala na rozsądzenie kwestii postawionych w pytaniach. Jeśli więc udzielenie odpowiedzi było niezbędne w celu uchwalenia sprawiedliwego wyroku, to może całą sprawę należało uznać za niedającą się rozstrzygnąć przez wymiar sprawiedliwości. W tym świetle równałoby się to orzeczeniu, że nigdy nie powinna się znaleźć w sądzie.

Nesson, jak wszyscy pozostali, dobrze wiedział, że przed przysięgłymi stoi bardzo trudne zadanie. Nie wierzył jednak, że błąd tkwi w procedurach sądowych czy nawet sposobie sformułowania pytań. Według niego kłopoty zaczęły się pięć miesięcy wcześniej, kiedy sędzia podzielił proces na odrębne etapy. Wszystko potoczyłoby się inaczej, gdyby Schlichtmann mógł zaprezentować sprawę w ca-

łości. Przysięgli dowiedzieliby się, kiedy rodziny z Woburn po raz pierwszy zaczęły odczuwać symptomy zatrucia – nieznikającą wysypkę u dzieci, problemy żołądkowe, pieczenie oczu, arytmie serca i oczywiście białaczkę. Można by powiedzieć, że wszystkie te objawy, niczym odciski palców przestępcy, wskazywały, że winna jest skażona woda wodociągowa. A dopiero na podstawie tych dowodów należałoby określać termin dotarcia zanieczyszczeń do ujęć wody. Toteż sędzia, dzieląc sprawę na etapy, pozbawił przysięgłych dostępu do najistotniejszych informacji.

Ale temu można już było zaradzić. Nesson postanowił więc przynajmniej wpłynąć na treść formułowanych pytań i poprosił o głos. Powiedział, że w tak złożonej sprawie, gdy przysięgli nie mieli jeszcze okazji do zapoznania się z całością materiału dowodowego, pytanie ich o konkretny termin powstania zanieczyszczenia może przynieść więcej szkody niż pożytku.

Sędzia wysłuchał go z uwagą.

– To, co pan mówi, jest bardzo interesujące – odparł w zamyśleniu. – A jednocześnie bardzo niepokojące. Z jednej strony twierdzi pan, że to trichloroetylen musi być przyczyną wszystkich objawów chorobowych, skoro jest nim zanieczyszczona woda wodociągowa, lecz chwilę później odwraca pan logikę wyводу i argumentuje, że na podstawie objawów występujących u ludzi należy uznać, iż woda jest zanieczyszczona trichloroetylenem. Obawiam się, że gonicie w piętę. A jeśli tak, to może warto by się zastanowić, czy jest sens ciągnąć tę sprawę dalej. Chyba równie dobrze moglibyście już teraz złożyć wniosek o jej zakończenie, bo nie widzę sposobu, żebyście ją wygrali.

Schlichtmann pociągnął Nessona za łokieć.

– Nie pozwól mu się na sobie wyżywać, Charlie – szepnął.

Ale profesor nie poddawał się tak łatwo.

– Nie jestem upoważniony, aby się wypowiadać o medycznych aspektach tej sprawy, znanych o wiele lepiej panu Schlichtmannowi – oznajmił dumnie. – Za pańskim pozwoleniem oddam mu głos.

Jan zapewnił, że nie zamierza wykorzystywać dowodów medycznych do wykazania, iż ujęcia wody zostały skażone trichloroetylenem. Pan Nesson chciał tylko powiedzieć, że niektóre dodatkowe informacje mogłyby dopomóc przysięgłym w podjęciu decyzji, choć stanowią one „dwa, najwyżej pięć procent danych, które trzeba uwzględnić w tym równaniu”. Toteż i bez nich ława dysponowała wystarczającymi dowodami, żeby określić termin powstania skażenia.

– Szczerze mówiąc – zakończył Schlichtmann – nie jest dla mnie ważne, czy pytania skierowane do przysięgłych będą łatwiejsze czy trudniejsze. Wierzę, iż sędziowie właściwie zinterpretują przedstawione dowody i podejmą słuszną decyzję.

Później, już na Milk Street w drodze powrotnej do biura, Jan zatrzymał się nagle, odwrócił plecami do Nessona i zapytał przez ramię:

– Mocno krwawię?

– Co?! – zdziwił się profesor.

– Pytałem, czy krwawię z tego miejsca, gdzie wbiłeś mi nóż w plecy.

Dopiero wtedy się zaśmiał. Było piątkowe popołudnie, w poniedziałek czekało go wygłoszenie mowy końcowej. Cieszyła go perspektywa bezpośredniego zwrócenia się do przysięgłych, pierwsza taka okazja od pięciu miesięcy, przy której ani Facher, ani sędzia nie mogli mu przerywać.

– Minęło siedemdziesiąt sześć dni procesu – rzekł ponuro. – A ile powinien być trwać? Miesiąc?

Conway skrzywił się z obrzydzeniem.

– To przez Fachera musieliśmy zapłacić tak wysoką cenę za wniesienie sprawy do sądu.

12

W poniedziałek rano, 14 lipca, tęga, poczciwa kobieta w pralni chemicznej przy Charles Street nie chciała wydać Schlichtmannowi popielatoszarego garnituru, który dotąd przynosił mu szczęście. Pokazała tylko niezapłacony rachunek na dwieście dziewięćdziesiąt cztery dolary i smutno pokręciła głową. Wyglądało na to, że Gordon się w końcu poddał. Zawiódł Schlichtmanna. Przestał płacić rachunki z pralni.

Jan zaczął wyjaśniać, że dziś jest najważniejszy dzień w jego życiu. Musi mieć właśnie ten garnitur, bo on ma cudowne właściwości. Kobieta pamiętała Schlichtmanna z jego poprzednich wizyt. Często zabawiał ją swymi opowieściami. Powiedziała, że gdyby to od niej zależało, wydałaby mu garnitur, ale kierownik zabronił jej tego. Adwokat począł ją błagać. Bez tego garnituru, tłumaczył, na pewno przegra i nigdy już nie będzie mógł uregulować rachunku. Kobieta raz i drugi zerknęła przez ramię w stronę drzwi na zaplecze i szybko podała mu ubranie.

To dobry omen, myślał Schlichtmann, energicznym krokiem zmierzając do biura. Pierwszy dzisiejszy test jego siły przekonywania zakończył się sukcesem.

Od dawna tęsknił za chwilą, kiedy będzie mógł przemówić do przysięgłych. Zdarzało się, że w czasie trwania rozprawy ta tęsknota stawała się wszechogarniająca. Kiedy zeznawał Riley, Schlichtmann miał ochotę odwrócić się w kierunku ławy i wykrzyknąć: „Posłuchajcie sami, jak ten człowiek kłamie!” A tłumaczając swojego biegłego, powiedziałyby, że owszem, Pinder popełnił kilka błędów, ale mówił prawdę. Chciałby też wyjaśnić przysięgłym powody ciągłych sprzeciwów Fachera oraz zaakcentować, że nawet jeśli sędzia nie wierzy w winę Beatrice Foods, to wcale nie znaczy, że oni muszą podzielać to zdanie.

Zależało mu, aby przysięgli rozumieli tę sprawę tak dobrze jak on. Tymczasem historia tragicznych wydarzeń w Woburn została rozbита na kawałki – najpierw przez sędziego, który podzielił rozprawę na etapy, później przez Fachera nieustannie zgłaszającego sprzeciwy, wreszcie przez zawilość pytań. Miał przed sobą trudne zadanie poskładania tych części z powrotem w całość, którą przysięgli mogliby zrozumieć. Wiedział, że sami nie znajdą rozstrzygnięcia kwestii zawartych w pytaniach sędziego. To on musiał im podsunąć właściwe odpowiedzi – jedyne, które pozwalały kontynuować rozprawę.

W czasie weekendu Nesson nalegał, żeby Schlichtmann mówił z serca i z głowy, żeby nie uczył się przemowy na pamięć. Ale historia, którą zamierzał opowiedzieć na sali, była długa i skomplikowana, zatem spisał ją całą. A później, nie chcąc, by cokolwiek mu umknęło, zlekceważył radę Nessona i wyuczył się jej od początku do końca.

Jak zwykle nie spał przez całą noc. Wolał czuwać, szczególnie przed tak ważnym dniem. Nie chciał być wypoczęty i spokojny, wolał mieć poczucie, że znalazł się nad przepaścią, czuć adrenalinę krążącą we krwi. Teresa spędziła z nim tę noc i kiedy przebudziła się o świcie, słyszała jego cichy głos, monotonna powtarzający słowa przemówienia.

Przed gmachem sądu znów pojawiły się telewizyjne wozy transmisyjne z antenami satelitarnymi na dachu, blokując niemal cały Post Office Square. Na czternaste piętro gmachu po długiej nieobecności powrócił tłum gapiów, ściśniętych teraz ramię przy ramieniu na drewnianych ławkach widowni. Teresa siedziała z matką Schlichtmanna i sekretarkami z kancelarii, Wujek Piotruś przyprowadził młodą asystentkę z Banku Bostońskiego, przyszły obie córki Fachera, a Keating zjawił się w towarzystwie licznej grupy członków zarządu koncernu Grace'a.

Według wieloletniej tradycji pierwszy mowę końcową wygłasza ten prawnik, który z przemową wstępną wystąpił jako ostatni. Tak więc teraz pierwszy powinien mówić Facher, po nim Keating, ostatnie słowo zaś miało należeć do Schlichtmanna.

Popijając sprawę popisów oratorskich, treść podsumowań jest zazwyczaj łatwa do przewidzenia i Facher niczym nie zaskoczył uważnych obserwatorów procesu. Schlichtmann siedział za stołem w otoczeniu swoich współpracowników, zwrócony plecami do obrońcy. Później miał wyznać otwarcie, że nawet nie pamięta wystąpienia Fachera. Był jednak pewien, iż obrońca przekonywał przysięgłych, że opinia Drobinskiego została oparta na wątpliwych założeniach, natomiast Pinder, ten powszechnie uznawany ekspert, po prostu nie odrobił pracy domowej i naprędce sfabrykował wytłumaczenie przyczyn niedoboru wody w rzece. Schlichtmann nie miał też wątpliwości, że tak samo Keating zaatakuje Pindera i winą za skażenie wód podziemnych obarczy zakłady przemysłowe leżące w północnej części doliny. Po zakończeniu posiedzenia nie mógł sobie również przypomnieć, jakie jeszcze sprawy poruszał Keating.

Lipcowe słońce stało już wysoko i świeciło jasno przez otwarte okno nad ławą przysięgłych, kiedy sędzia ogłosił godzinną przerwę na lunch. Jan nie mógł przełknąć ani kęsa. Poszedł wyłożonym marmurową posadzką korytarzem do męskiej toalety i ochlapał twarz wodą. Kiedy wrócił, stanął przy drzwiach sali obok Conwaya i Kathy Boyer. Kevin próbował coś do niego mówić, pytał, jak się czuje, ale Schlichtmann tylko kiwał głową i nerwowo zacierał dłonie. Sprawiał wrażenie, jakby znajdował się w transie, był bardzo blady i wodził dookoła niewidzącym spojrzeniem. Conway nigdy jeszcze nie widział go aż tak zdenerwowanego, nawet w czasie oczekiwania na decyzję sędziego podczas rozpatrywania

wniosku o oddalenie pozwu na podstawie paragrafu jedenastego. Wszystko zależy od tej mowy końcowej, rozmyślał – dalsza kariera, gigantyczne długi, los ich rodzin, jego dom. Dlatego wmawiał sobie, że Jan natychmiast odzyska równowagę, gdy tylko zacznie przemawiać.

Thum na powrót wypełnił salę. Prawnicy zgromadzili się przy stole sędziowskim na krótką naradę z Skinnerem. Schlichtmann poprosił wcześniej zaprzyjaźnionego rysownika sądowego, Andy’ego Lorda, o wypisanie na dużym arkuszu papieru wszystkich pytań, na które obrońcy musieli odpowiedzieć. Kiedy tylko pokazał tę planszę sędziemu, obaj obrońcy zgłosili sprzeciw. Facher powiedział, że przedwczesne ujawnianie tych pytań przysięgłym jest wyrazem „braku odpowiedzialności”.

– Dałem taką możliwość każdemu z panów – odparł Skinner. – To wasza sprawa, że z niej nie skorzystaliście. Pan Schlichtmann ma do tego pełne prawo.

Jacobs przyglądał się uważnie wypisanym pytaniom.

– Tu, w pytaniu trzecim, jest błąd – wytknął. – Dodaliśmy na końcu zwrot „przed dwudziestym drugim maja tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego dziewiętego roku”. Na planszy brakuje daty.

– Zgadza się – przyznał sędzia. – Zapis jest niepełny.

– Mogę dopisać datę? – odezwał się Schlichtmann.

– Tak, proszę dopisać, tylko wyraźnie, dużymi literami.

– Nawet jeśli to będzie zapisane wyraźnie, wołami, a nawet wykaligrafowane, rzecznik powodów zmarnuje tylko swój czas – burknął Facher. – Zresztą to nie moja sprawa.

Schlichtmann nie był pewien, czy zdoła równo dopisać datę. Bał się, że ręce zanadto mu się trzęsą.

– Proszę, panie Nesson. Może pan się tym zajmie – powiedział.

Prawnicy wrócili na swoje miejsca, sędzia poprosił o ciszę na sali. Schlichtmann wstał i zwrócił się twarzą do przysięgłych. Milczał przez chwilę, podobnie jak przed mową wstępną, ze spuszczoną głową i palcami lewej ręki na brodzie. Wreszcie wziął głęboki oddech, spojrzał na przysięgłych i zaczął mówić.

Przy stole strony powodowej Nesson obrócił się z krzesłem tak, by przez cały czas widzieć Jana, który stał po jego lewej, nieco z tyłu. Jednak po kilku minutach odwrócił się z powrotem. Sięgnął po długopis i zaczął szybko coś zapisywać w notatniku. *Jan jest trochę roztrzęsiony. Stara się o niczym nie zapomnieć. Robi przerwę, ale nie dla efektu, lecz w celu przypomnienia sobie, co dalej mówić. Wykuł się na pamięć... Dlaczego nie mogę na niego patrzeć? Czemu jego argumentacja uprawia w zażenowanie, zamiast mnie porwać?*

Po kilku minutach od rozpoczęcia przemowy Schlichtmann usłyszał jakieś poruszenie przy stole obrony Beatrice Foods. Kątem oka zauważył, że Jacobs nachyla się i szepcze coś gorączkowo do Fachera. Mówił właśnie, że „społeczność przedsiębiorców” ma prawo szczyścić się swoimi osiągnięciami, jednak „nie może być dumna z koncernów Grace’a i Beatrice Foods, z ich niezdolności do wyjawienia instytucjom rządowym, poszkodowanym rodzinom i wam, sędziowie przysięgli, prawdziwej roli, jaką obie firmy odegrały w zanieczyszczeniu studni G i H”.

Ledwie skończył zdanie, Facher poderwał się z miejsca i powiedział głośno:
– Zgłaszam sprzeciw, Wysoki Sądzie. Moim zdaniem te wnioski nie dotyczą rozpatrywanej sprawy.

Schlichtmann odwrócił się i spojrział na niego zaskoczony. Zgłaszanie sprzeciwów w trakcie mów wstępnych i końcowych nie jest zabronione, zdarza się jednak niezwykle rzadko, gdyż tak dyktuje zwyczaj grzeczność.

Skinner także sprawiał wrażenie zmieszanego sprzeciwem Fachera, ale mimo to go podtrzymał. Upomniał Schlichtmanna:

– Chyba rzeczywiście powinien się pan skoncentrować na udokumentowanych zarzutach.

– Oczywiście, Wysoki Sądzie – odparł Jan – ale te zarzuty zostały przecież udokumentowane w materiale dowodowym.

Sędzia pokiwał głową.

Schlichtmann zaczął od nowa:

– Społeczność przedsiębiorców nie może być dumna z niezdolności Beatrice Foods...

Facher znów poderwał się z miejsca.

– Sprzeciw!

– Oddalony – zareagował sędzia.

Fachera ani trochę to nie zniechęciło. Odczekał może z minutę i zgłosił kolejny sprzeciw, tym razem wobec słowa „trucizny”, którym Schlichtmann określił substancje skażające glebę na terenie garbarni.

– Oddalony – powiedział sędzia. – Adwokatowi wolno opisywać rzeczy według własnego uznania. Akceptuję to określenie.

Sprzeciwy Fachera tylko zbiły Schlichtmanna z tropu. Z coraz większym trudem przypominał sobie tekst długiego i szczegółowego przemówienia. Przez chwilę obleciał go strach, że stracił uwagę przysięgłych. Próbował się rozluźnić i skoncentrować na tym, co chciał powiedzieć. Czuł straszliwe zmęczenie. Zamilkł na dłuższą chwilę, żeby się pozbierać i uporządkować myśli, a wszystkie sprawy, które zamierzał poruszyć, przemknęły mu przez głowę chaotycznie i nieskładnie.

Zaczął mówić o koncernie Grace'a oraz zarzutach Keatinga, który winą za skażenie ujęć wody obarczył zakłady przemysłowe z północnego Woburn. Wkrótce odzyskał pewność siebie i ożywił się trochę. Dochodził do finału, w którym pragnął zaakcentować, iż obaj pozwani wolą zrzucić winę na kogoś innego, niż wziąć na siebie choćby drobną część odpowiedzialności.

– Koncerny Grace'a i Beatrice Foods nie mają prawa wskazywać palcem nikogo spoza tej sali – powiedział z zapałem, gestykulując szeroko – dopóki wcześniej ich rzecznicy, zasiadający przy tych stołach, nie wskażą wzajemnie na siebie!

Facher poderwał się na nogi.

– Sprzeciw! To nie jest odpowiedni argument! – wycedził z wściekłością.

– Nie widzę podstaw dla zgłaszania teraz sprzeciwu – rzekł sędzia z dezaprobatą w głosie. – To jest zwykły element prawnego sporu.

Schlichtmann mówił dalej. Zwrócił uwagę na poruszenie z lewej strony sali, przy stole obrony Beatrice Foods, gdzie Jacobs, mimo ostrzegawczego tonu sę-

dziego, z naciskiem tłumaczył coś szeptem Facherowi. Bez wątpienia namawiał go do zgłoszenia kolejnego sprzeciwu. Gdy tylko Facher wstał po raz kolejny i otworzył usta, Jan szybko obrócił się w jego kierunku i krzyknął ze złością:

– Sprzeciw! On mi przeszkadza w wystąpieniu!

– Proszę kontynuować, panie Schlichtmann – rzekł spokojnie sędzia.

Nesson siedział ze spuszczoną głową, gorączkowo notując: *Jan wciąż używa słowa „należy”*. *Kiedy opisuje pułapki pytań sędziego, mówi przysięgłym, jakiej udzielić odpowiedzi, ale nie podaje żadnych argumentów na jej poparcie.*

Tymczasem Schlichtmann czuł się bardzo dziwnie na środku sali, słyszał swój głos, ale miał wrażenie, jakby siedział w odległym końcu widowni i był tylko obojętnym obserwatorem, który analizuje grę aktora. Wydawało mu się, że z boku spogląda na siebie stojącego przy stojaku z zawieszoną planszą z pytaniami dla przysięgłych. W wyobraźni widział, jak obok nich zapisuje wynikające z obliczeń Pindera daty, które przysięgli powinni uznać za termin powstania skażenia na terenie garbarni Beatrice Foods.

Skinner przerwał mu grzecznie:

– Sądzę, że wystarczy, jeśli odczyta pan analogiczne wartości odnoszące się do zakładów Grace’a, panie Schlichtmann.

Jan w osłupieniu popatrzył na sędziego, później na trzymane w dłoni notatki, wreszcie na planszę z pytaniami. Przez chwilę czuł ogarniającą go na nowo panikę.

– Przepraszam, proszę mi wybaczyć. Sami państwo widzą, jakie to trudne – rzekł do przysięgłych i zachichotał nerwowo, po czym mruknął pod nosem: – Już dobrze, nie wolno mi popełniać takich błędów.

Protokolantka usłyszała jednak to zdanie i je zastenografowała. Nie ulegało wątpliwości, że słyszeł je także przysięgli i wszyscy zebrani na widowni.

Jan zbliżał się do końca przemowy. Od jej rozpoczęcia minęło ponad półtorej godziny.

– Materiał dowodowy jest bardzo złożony – powiedział – trudny i nadzwyczaj obszerny. Bardzo łatwo stracić w nim orientację, wybrać niewłaściwą drogę rozumowania, skrócić w ślepe uliczkę. – Urwał i powiódł spojrzeniem po przysięgłych, po czym dodał cicho, niemal błagalnym tonem: – Proszę tego jednak nie robić.

Proszę tego nie robić? Czyżby przejaw słabości?

– Szanowni państwo, musicie zebrać w sobie odwagę i siłę, musicie pamiętać o poszkodowanych rodzinach...

Musicie, musicie, musicie! Dyktuje im, jak mają myśleć! Czyżby im nie ufał? Nikt nie lubi, jak mu się coś dyktuje.

Kiedy Schlichtmann zakończył mowę, wyglądał na skrajnie wyczerpanego. Miał pustkę w oczach i wypieki na twarzy. Siadł zmęczony obok Nessona.

– Jak poszło, Charlie? – szepnął. – Nie zanudziłem ich?

– Spytaj Kevina – rzucił profesor.

Czuwanie

1

Następnego dnia, we wtorek rano, Skinner objaśnił przysięgłym przepisy prawa, którym podlegają do czasu uchwalenia werdyktu. Było to długie i skomplikowane prawnicze błogosławieństwo, trwające prawie całe przedpołudnie. Później zwolnił z obowiązków sędziów rezerwowych, przypominając im, że nadal są związani przysięgą i nie powinni z nikim rozmawiać o rozpatrywanej tu sprawie. Wreszcie odesłał skład podstawowy do sali obrad.

I tego dnia widownia zapełniła się niemal do końca. Po zakończeniu posiedzenia wiele osób jeszcze przez jakiś czas snuło się po korytarzach, lecz wkrótce gmach opustoszał. Raczej nikt nie oczekiwał, że przysięgli wydadzą szybko werdykt w tak długiej i skomplikowanej sprawie. Około trzeciej w korytarzu nie został już prawie nikt, tylko jedna samotna postać stała przed drzwiami sali sądowej niczym wartownik. Był to Schlichtmann, ubrany w czarny elegancki garnitur i przynoszący mu szczęście krawat.

Przy wejściu na schody, kilka kroków dalej, pochylony nad gazetą szeryf federalny strzegł spokoju przysięgłych obradujących piętro wyżej za zamkniętymi drzwiami. Jan nie zamienił z nim dotąd ani słowa. Był pochłonięty własnymi myślami. Tego rodzaju czuwanie w sądzie stanowiło nieodłączny element każdej prowadzonej przez niego sprawy i nie zamierzał z niego zrezygnować także i tym razem. Był gotów czekać na korytarzu tak długo, jak długo potrwa dyskusja przysięgłych nad werdyktem.

Protokolantka wyszła z biura po drugiej stronie korytarza i podeszła do niego, stukając obcasami na wyłożonej terakotą podłodze. Wyglądała na zaskoczoną jego widokiem.

– Pan tutaj czeka na przysięgłych? – zapytała.
– To najlepsze miejsce, żeby się umartwić – odpowiedział z uśmiechem. – Próbuję przekazać im swoją pozytywną energię.

Kobieta pokręciła głową i też się uśmiechnęła.

– Nie sądzę, żeby podjęli decyzję wcześniej niż pod koniec tygodnia.

Otworzyła sąsiednie drzwi i zniknęła w środku, a Schlichtmann podjął oczekiwanie.

Wytrwał na posterunku przez cały pierwszy tydzień. Pojawiał się na korytarzu każdego ranka, krótko przed ósmą, kiedy przysięgli rozpoczynali obrady, a opuszczał go zaraz po ich wyjściu, około czwartej po południu. Rano Conway albo Kathy Boyer przynosili mu śniadanie i zostawali przez jakiś czas, niczym znajomi odwiedzający chorego w szpitalu. Później ich miejsce zajmowali Gordon, Phillips, Tom Kiley albo Patti D'Addieco. Najbardziej wytrzymałym towarzyszem Schlichtmanna okazał się jednak Nesson. On również na swój sposób hołdował takiemu czuwaniu. Tuż po zakończeniu przemówień końcowych rozpoczął głodówkę i nie zamierzał niczego brać do ust aż do ogłoszenia werdyktu. Już trzeciego dnia zaczął odczuwać dziwne sensacje, przytrafiały mu się urojenia.

– Nasz wymiar sprawiedliwości jest wyjątkowy, nie sądzisz? – odezwał się profesor po dłuższym okresie milczenia. – Sześciu przysięgłych trzyma w swoich rękach losy dwóch potężnych amerykańskich korporacji. Sześciu zwykłych ludzi. W żadnym innym kraju coś takiego nie byłoby możliwe. Prawo stało się naszą religią.

Obrońcy zakładów Grace'a i Beatrice Foods wkrótce zwrócili uwagę, że Schlichtmann nie rusza się z korytarza. Podjęli więc decyzję, że i oni powinni trzymać się w pobliżu. Wyznaczyli sobie zmiany i od tej pory Jan znalazł się pod strażą.

– To przypomina taktykę nuklearnego odstraszenia – tłumaczył Neil Jacobs, zerkając na Schlichtmanna tkwiącego w drugim końcu korytarza. – Trzeba mieć oko na przeciwnika.

Facher także zaglądał od czasu do czasu, ale rzadko zostawał na dłużej. Służbę wartowniczą pozostawiał młodemu adeptom sztuki adwokackiej. Niemniej z obrony zakładów Grace'a zmiany objęły wszystkich, od najstarszych wspólników do najmłodszych aplikantów kancelarii. Zazwyczaj przesiadywali na widowni sali rozpraw, trzymając się z dala od Schlichtmanna. Czasami jednak znudzony Cheeseman zbliżał się, żeby zamienić parę słów.

– Słysząc coś? – zapytał pewnego dnia.

– Ani słowa – odparł Jan. – Obradują w takiej samej ciszy, jaka otacza strumień toksycznych chemikaliów spływających z terenu zakładów Grace'a.

Cheeseman zacerwienił się, ale szybko pokrył zmieszanie śmiechem.

– I działają tak samo powoli – rzekł.

Kiedy pierwszy tydzień zbliżał się ku końcowi i nic nie wskazywało, że werdykt niedługo zapadnie, stan pacjenta na korytarzu zaczął się pogarszać. Dopiero w piątek rano ożywił go widok Williama Vogla, przewodniczącego sądu, który po raz pierwszy od zakończenia procesu przyszedł do sądu w garniturze.

– Miał na sobie nową koszulę i ładny szary krawat – poinformował Conwaya, kiedy przysięgli zniknęli na klatce schodowej. – Coś mi mówi, że dziś czeka nas

wielka chwila. Wygląda na to, że Vogel nie zamierza spędzić całego dnia w tym dusznym pokoiku na górze.

Ale w ten piątek przysięgli nie uchwalili werdyktu. Schlichtmann nabrał przekonania, że ich zdania są podzielone. Poczekał, aż zakończą obrady przed week-endem, i wyszedł wraz z Conwayem z sądu. Popołudniowe słońce przeświecało między wysokimi budynkami przy Milk Street. Ulice były pełne ludzi w letnich ubraniach, urzędników z marynarkami zarzuconymi na ramię, kobiet w jasnych wzorzystych sukienkach, turystów z aparatami fotograficznymi na szyi. Jan włożył ręce do kieszeni spodni i szedł ze wzrokiem wbitym w chodnik, a ludzie rozstępowali się przed nim i omijali go łukiem.

– Cały czas myślę o tym, czego nie powiedziałem – rzekł do Conwaya. – Zastanawiam się, czego nie wyjaśniłem wystarczająco dokładnie.

W poniedziałek Schlichtmann nie miał ani nastroju, ani siły, by stać przez cały dzień. Większość czasu przesiedział na ławce, podnosił się jednak za każdym razem, kiedy przysięgli wchodzili i wychodzili.

W takich momentach obserwował ich uważnie, zachowując ostrożność. Najczęściej zerkał kątem oka, próbując odgadnąć nastawienie poszczególnych sędziów i określić, kto jest po jego stronie, a kto nie. Vogel, na co dzień kierownik zmianowy w firmie telekomunikacyjnej, zawsze przewodził grupie schodzącej do kawiarni na lunch. Jan niemal od początku wierzył, że znajdzie w nim sprzymierzeńca, i teraz nawet nie umiałby myśleć inaczej. Tak samo pewny był drugiego sędziego, Lindy Kaplan, młodej niezamężnej urzędniczki dużego towarzystwa ubezpieczeniowego. Mijając go na korytarzu, często uśmiechała się przyjaźnie. Następnym był Robert Fox, dobrze ubrany przystojny mężczyzna około trzydziestki, który w trakcie procesu prowadził skrupulatne notatki. Schlichtmann miał co do niego wątpliwości aż do ostatnich dni rozprawy, zanim wbił sobie do głowy, że i Fox jest po jego stronie. Ale teraz już nie był tego wcale pewien. Dalej klasyfikował Vincenta O'Rourke, schorowanego, prawie sześćdziesięcioletniego pracownika poczty, który miał trudności z chodzeniem. Podczas wyboru ławy przysięgłych O'Rourke odpowiadał na pytania sędziego powoli i z namysłem. Według Jana należał do ludzi gotowych podporządkować się większości, aby nie stwarzać żadnych problemów w czasie obrad nad werdyktem.

Jego zdaniem zawięcej kłopotów mogła sprawić albo Harriet Clarke, organistka kościelna, dobiegająca pięćdziesiątka chuda kobieta o groźnym wyglądzie, albo też Jean Coulsey, tęga, siwowłosa, zażywna babcia, która na pół etatu jeździła wózkami widłowym w magazynie supermarketu. To właśnie ona powiedziała w czasie przesłuchań kandydatów, że cały ten proces może być efektem knowań „samotnej kobiety, która chce się jedynie wzbogacić”. Mimo to Schlichtmann instynktownie darzył ją sympatią. Podczas procesu był przekonany, miał niemal pewność, że jest mu przychylna. Ale teraz, kiedy obserwował ją na korytarzu, zastanawiał się, czy nie popełnił błędu w jej ocenie. Zawsze przechodziła obok niego z dumnie zadartą głową, zaciśniętymi ustami i wzrokiem skierowanym w drugą stronę. Całe jej zachowanie wskazywało na to, że z niechęcią widuje go w korytarzu sądu.

Pod koniec drugiego tygodnia matka i Teresa postanowiły dotrzymać mu towarzystwa. Razem z pracownikami kancelarii podejmowały dyskusje na różne tematy, on jednak się nie włączał, zachowywał milczenie i stał z boku ze wzrokiem utkwionym gdzieś w dal. Czasami ruszał wzdłuż korytarza, wpatrując się w podłogę. Chodził powoli, drobnymi kroczkami, jak starzec, który nie może już polegać na swoim poczuciu równowagi. Conway przyglądał mu się kiedyś w czasie takiego spaceru i odliczał: trzydzieści kroków w jedną stronę, trzydzieści z powrotem. Janie stąpał ostrożnie, stawiając stopy dokładnie pośrodku płytek terakoty, a kiedy popełniał błąd, nadeptując na spoinę, zatrzymywał się, robił krok do tyłu i dopiero wtedy ruszał dalej.

- Co ty robisz, Janie? – zapytał.
- Koncentruję się – odparł Schlichtmann.

2

Jean Coulsey nieodmiennie dostrzegła adwokata na końcu pogrążonego w półmroku korytarza, kiedy każdego ranka wysiadała z windy.

– To było żalosne, gdy spotykałam go codziennie – powiedziała kilka miesięcy po procesie. – Musiałam walczyć ze sobą, żeby się do niego nie odezwać.

Wiedziała jednak, że wszelkie kontakty są zabronione, odwracała więc spojrzenie i zaciskała usta, żeby oprzeć się pokusie.

W trakcie rozprawy przysięgli wymieniali między sobą uwagi o zmanierowaniu i dziwactwach prawników, o sędzi, świadkach, a nawet o kilku stałych bywalcach, którzy zasiadali na widowni każdego dnia. Nie mogli oczywiście słyszeć, o czym adwokaci rozmawiają ze Skinnerem, gdy ten prosił ich na poradę przy stole sędziowskim, ale zawsze potrafili ocenić, kiedy Schlichtmann otrzymywał reprimendę.

- Robił się purpurowy – wspominała Coulsey.

Sposób, w jaki sędzia traktował Schlichtmanna, czasami wzbudzał ich zaniepokojenie. Wszyscy lubili Skinnera i mieli odczucie, że jest sprawiedliwy i bezstronny, zauważali jednak, że zachowanie Jana często go złości, a nie zawsze rozumieli przyczynę tego rozdrażnienia.

– Sędzia wydawał się szczególnie przeczulony na zachowanie pana Schlichtmanna – oceniała Coulsey.

Natomiast Facher ani trochę jej nie obchodził. Zaprzyjaźniła się z sędzią rezerwowym, Henrym Jasonem, emerytowanym oficerem policji, który powiedział kiedyś ze złością:

– Facher wyskakuje jak diabeł na sprężynie z tymi swoimi sprzeciwami. Miota się po całej sali.

Coulsey podzielała to zdanie.

Przysięgli mieli sporo okazji do tego rodzaju obserwacji i wymiany poglądów, zwłaszcza wtedy, gdy rozprawa utknęła w martwym punkcie, a posiedzenia przekształciły się w ciągłe narady sędziego z adwokatami przy stole sędziowskim.

Według Coulsey John Riley dał się poznać jako „niezła gnida”, niemal wszyscy przysięgli byli co do tego zgodni. Po drugim dniu jego zeznań Henry Jason szepnął wystarczająco głośno, żeby inni usłyszeli:

– Kogo on chce nabrać?

Odpowiedziały mu chichcoty.

– To, co mnie dobiło – wyznała później magazynierka – to twierdzenie Rileya, że pragnie zamienić swój piętnastoakrowy lasek w tereny rekreacyjne.

Bardzo podobały jej się zeznania Drobinskiego, który mówił jasno i przekonująco. Tym bardziej ją denerwował pogardliwy stosunek Fachera do biegłego.

– Kto mu pozwolił obrażać takich ludzi? Wszystko traktuje ironicznie, ale są przecież sprawy, których nie można lekceważyć. Niech Bóg ma w swojej opiece ludzi mających do czynienia z panem Fachere.

Coulsey sądziła, że skoro przysięgli wyznają podobne poglądy i zgadzają się ze sobą w wielu szczegółach, na całość sprawy także będą się zapatrywali podobnie jak ona.

Kiedy sędzia odesłał ich do sali obrad, a woźny przeniósł cały materiał dowodowy – co wymagało kilku męczących kursów po schodach – mogli wreszcie skupić się na liście pytań, które Skinner dał im do rozpatrzenia. Te zaś całkowicie ją zaskoczyły. Zresztą wszyscy byli zdumieni, spoglądali na siebie z zakłopotaniem.

– A ja myślałem, że będziemy musieli tylko ustalić, czy są winni czy niewinni – powiedział wówczas William Vogel.

– Coś tu nie gra – odezwała się Coulsey. – Nie rozumiem, jak pan Schlichtmann mógł na to pozwolić.

Przysięgli przeczytali pytania kilka razy, próbując dokonać najprostszego rozbioru tasiemcowych zdań. Jak mogli ustalić z dokładnością do miesiąca termin dotarcia zanieczyszczeń do ujęć miejskich? Pinder i Guswa w swoich opiniach mówili jedynie o „szybkości rozprzestrzeniania się” chemikaliów, ale ich zeznania były co najmniej mętne i sprzeczne ze sobą. A co miał sędzia na myśli, pytając o „znaczący udział” zanieczyszczeń? Jak należało rozumieć „niezbite wykazanie w świetle materiału dowodowego”?

– I co teraz zrobimy? – zapytała Coulsey.

Vogel zaproponował, żeby zacząć od głosowania, które pozwoli im ustalić nawzajem własne stanowiska. Był przekonany, że obie pozwane firmy są „winne”, jak to określał, zatrucia studni, ale nie mógł od razu podzielić się tą opinią z resztą składu. Pomyślał, że jako przewodniczący powinien zaczekać, aż wypowiedzą się pozostali. Gdyby panowała jednomyślność, mogliby wtedy przejść do dużo trudniejszego zadania, jakim było ustalenie terminu dotarcia zanieczyszczeń do studni.

W rozumieniu Vogla pierwsze pytanie wymagało od nich rozsądzenia, czy chemikalia z garbarni Beatrice Goods dotarły do ujęć wody przed 22 maja 1979 roku, czyli przed zamknięciem ujęć. Jego zdaniem w istocie nie chodziło tu o nic innego niż ustalenie winy pozwanego. Odczytał więc pytanie na głos i poprosił, aby rękę podniosły te osoby, według których koncern Beatrice Foods jest odpo-

wiedzialny za skażenie. Jean Coulsey i Linda Kaplan natychmiast podniosły ręce, ale reszta siedziała bez ruchu. Vogel popatrzył po zebranych i także powoli uniośł dłoń. Chwilę później jego śladem poszedł Vincent O'Rourke, pracownik poczty, człówek bardzo nieśmiały i małowówny.

– A kto uważa, że firma jest niewinna? – zapytał Vogel.

Harriet Clarke zgłosiła się od razu. Robert Fox – jedyny, który nie ujawnił dotąd swego stanowiska – powiedział, że nie jest jeszcze do końca przekonany i na razie wstrzymuje się od głosu.

Kiedy Vogel postawił analogiczne pytanie dotyczące zakładów Grace'a, wynik był podobny. Tym razem Fox opowiedział się wzorem Harriet Clark, że zakłady nie są winne skażenia.

Jean Coulsey nie mogła się nadziwić. Sędzia powiedział wyraźnie, że muszą uchwalić jednogłośny werdykt. Ona zaś była przekonana, że już w tym pierwszym głosowaniu jednomyślnie uznają winę obu pozwanych przedsiębiorstw. Dla niej sprawa odpowiedzialności była zupełnie oczywista.

Przysięgli zabrali się do pracy jeszcze tego samego dnia po południu. Zaczęli od garbarni Beatrice Foods, rozłożywszy na wielkim stole wszystkie akta. Poprosili woźnego o szkło powiększające, aby móc się przyjrzeć zdjęciom lotniczym dostarczonym przez Schlichtmanna. Robert Fox, który wstrzymał się od głosu w pierwszym głosowaniu, szybko uznał, że firma nie może zostać obarczona odpowiedzialnością. Po południu drugiego dnia dyskusja pomiędzy Foxem i Coulsey zaczęła się zaostrzać. Sędzia zezwolił przysięgłym na prowadzenie notatek w czasie rozprawy i Fox zapisał aż cztery szkolne zeszyty. Odczytywał więc teraz swoje uwagi, chcąc poprzeć nimi zajmowane stanowisko.

Coulsey prawie w ogóle nie notowała. Intuicyjnie czuła, że firmy są odpowiedzialne, ale miała spore kłopoty z precyzyjnym sformułowaniem myśli, a wielokrotnie nie potrafiła powołać się na fakty, co z taką łatwością czynił Fox. Coraz bardziej żałowała, że nie ma z nimi sędziów rezerwowych, w szczególności Henry'ego Jasona.

Tymczasem Fox coraz zacieklej próbował ją wciągnąć w rzeczową dyskusję. Chodził wokół stołu i żądał takich czy innych wyjaśnień, podania powodów czy też poparcia jakiegoś twierdzenia cytatami z akt sprawy.

– Po prostu nie ma na to dowodów – tłumaczył – a my musimy się opierać tylko na dowodach. Proszę mi je wskazać.

Czasami nawet podnosił głos. Pod koniec tygodnia był już tak rozemocjonowany, że w którymś momencie z hukiem walnął pięścią w stół. W takich chwilach nawet jego sojuszniczka, Harriet Clarke, prosiła, żeby się uspokoił.

Jean Coulsey często z trudem powstrzymywała się od łez podczas obrad.

– Nie umiem dobrze wyrazić tego, co myślę – wyznała któregoś wieczoru mężowi.

Czuła, że nie znieśnie dłużej tego napięcia. Zdarzyło się, że rozmawiając z doradcą budynku, w którym mieszkała, bez widocznej przyczyny wybuchnęła płaczem. Zgłosiła się do lekarza, który uznał, że przyczyną jej kłopotów jest silny stres, i przepisał środki uspokajające.

Pomimo swojej wrażliwości Coulsey w czasie obrad była nieustępliwa. Pewnego ranka oznajmiła, że zamierza sprawdzić materiał dowodowy, strona po stronie, zanim nie znajdzie czegoś, co udowodni fakt wylewania rozpuszczalników na terenie garbarni Beatrice Foods w okresie od roku 1968 do 1979. Przynęła sobie wielki stos akt i zaczęła uważnie przeglądać dokumenty. Fox przyglądał jej się przez chwilę, po czym wybuchnął szyderczym śmiechem. Wyszedł z pokoju obrad i poszedł do łazienki na półpiętrze.

Linda Kaplan, jej najwierniejsza sojuszniczka, odprowadziła go wzrokiem.

– Zachowuje się, jakby był adwokatem – powiedziała z niesmakiem.

W piątek, 17 lipca, pod koniec pierwszego tygodnia obrad, Vogel stwierdził, że nie dokonali żadnych postępów w sprawie przeciwko Beatrice Foods. Coulsey znalazła dwa przykłady składowania toksycznych odpadów na obszarze piętnastoakrowego lasku w rozpatrywanym okresie, ale Fox ocenił, że nie mają one „wagi dowodu rzeczowego”. Dlatego też Vogel zaproponował, żeby dla odmiany zajęli się sprawą zakładów Grace’a.

Podział zdań był już jednak wyraźnie widoczny. Poniedziałkowe i wtorkowe obrady nie wniosły wiele nowego. Vogel czasami szedł na pewne ustępstwa wobec Foxa i Clarke, a Vincent O’Rourke niekiedy przychylił się ku opinii Foxa, uznając jego argumenty. W kilku głosowaniach opowiedział się po jego stronie. Coulsey i Kaplan niewzruszenie trwały na swoich stanowiskach. We wtorek po południu Fox zaproponował, aby przyznać, iż obrady utknęły w martwym punkcie i poinformować sędziego, że nie mogą podjąć jednogłośniejszej decyzji. Coulsey i Kaplan gwałtownie się temu sprzeciwiły.

– Nie obchodzi mnie, jak długo będziemy musieli tu siedzieć – powiedziała Coulsey. – Gotowa jestem poświęcić nawet całe lato.

I nikt z pozostałych, nie wyłączając Harriet Clark, nie zamierzał rezygnować z odpowiedzialnej funkcji.

Tego popołudnia, po dyskusji w sprawie impasu w obradach, William Vogel przekazał im ważną wiadomość. Wkrótce musiał zrezygnować z przewodniczenia ławie przysięgłym, ponieważ za niecałe dwa tygodnie powinien się zgłosić do szpitala. Czekala go operacja wszczepienia by-passów. Lekarz powiadomił go o tym dopiero przed tygodniem.

Przysięgłych to zaskoczyło. Przekazali Voglovi wyrazy sympatii i zaczęli się zastanawiać, co w tej sytuacji zadecyduje Skinner. Vogel podejrzewał, że na jego miejsce zostanie powołany jeden z sędziów rezerwowych. Wszyscy byli jednak zgodni, że nowy przysięgły, niezależnie od jego poglądów na sprawę, nie rozwiąże problemu.

Chyba ze względu na Vogla śródowe obrady miały spokojniejszy przebieg, przynajmniej na początku, bo po kilku godzinach podziały znów dały o sobie znać. Fox perorował, chodząc wokół stołu, a Coulsey usiadła na uboczu i zawzięcie przeglądała teczkę z aktami.

Linda Kaplan podejrzewała, że Fox zabiera swoje notatki do domu i z kimś omawia sprawę. Sędzia zabronił im czegokolwiek wynosić z pokoju narad, a pod koniec każdego dnia szeryf federalny miał zamykać ich notatki w szafie pancerniczej.

nej. Przez kilka dni Kaplan nie mówiła nikomu o swoich podejrzeniach, ale w środę po południu, po szczególnie gwałtownej kłótni z Foxem, wyszła z pokoju i poprosiła woźnego o wezwanie asystenta sędziego Skinnera. Miała wypieki na twarzy i ze złości ledwie mogła złapać oddech. Poinformowała prawnika, że mimo zakazu Skinnera jeden z przysięgłych codziennie zabiera swoje notatki do domu. Asystent obiecał, że przekaże sędziemu tę sprawę.

Na tym etapie Vogel musiał już przyznać otwarcie, że utknęli w martwym punkcie.

– Do niczego w ten sposób nie dojdziemy – rzekł, a spojrzawszy na Jean Coulsey, zapytał: – Naprawdę nie umiałyby pani darować winy obu firmom?

Kobieta zaprzeczyła energicznym ruchem głowy.

– Musimy zatem poinformować sędziego, jak się sprawy mają – powiedział Vogel.

Na kartce z notatnika napisał: „Po siedmiu dniach obrad, mimo sprawdzania dowodów udostępniionych ławie przysięgłych, nie umiemy podjąć jednogłośnie decyzji w sprawie odpowiedzi na pytanie pierwsze ani w stosunku do zakładów Grace’a, ani Beatrice Foods”.

Zrobił to bardzo niechętnie. Wiedział, że niemożność uchwalenia werdyktu oznacza dla prawników konieczność zorganizowania nowego procesu. Czas, wysiłki i pieniądze, które pochłonęła trwająca pięć miesięcy rozprawa, poszłyby na marne. A jako przewodniczący ławy przysięgłych czuł się współodpowiedzialny za powstały impas. Złożył kartkę i zdecydował, że wstrzyma się z jej doręczeniem do końca następnego dnia. Dostrzegwał jeszcze cień szansy, że nazajutrz dojdą jednak do porozumienia.

3

Skinner otrzymał wiadomość od Vogla w czwartek o drugiej po południu. Włożył czarną togę i wezwał prawników do sali rozpraw, gdzie odczytał im na głos komunikat.

– Utknęli w martwym punkcie – powiedział.

Schlichtmann, który stał z boku stołu prezydialnego, oparł się ramieniem o marmurową kolumnę. Przygarbił się, a krew odpłynęła mu z twarzy.

Sędzia jeszcze raz popatrzył na kartkę i powiedział:

– Ta wiadomość jest dość dziwna. „Nie umiemy podjąć jednogłośnie decyzji w sprawie odpowiedzi na pytanie pierwsze”. Zastanawiam się, czy nie dopuścić werdyktu uchwalonego stosunkiem głosów pięć do jednego. – Zamilkł na chwilę, po czym dodał: – Mogę również panów poinformować, że przysięgła numer dwa zgłosiła podejrzenia, iż drugi sędzia zabiera notatki do domu i prawdopodobnie omawia sprawę z kimś z zewnątrz. Nie mam możliwości sprawdzenia tych podejrzeń, mógłbym jedynie wszcząć oficjalne dochodzenie. Z tego, co mi przekazano, ta pani wyszła z sali obrad po jakiejś bardzo burzliwej dyskusji. Niewykluczone,

że w ten sposób chciała jedynie dać upust swemu oburzeniu, ale nie mogą zignorować jej podejrzeń.

Sędzia doszedł do wniosku, że powinien udzielić przysięgłym dalszych instrukcji. Facher i Keating sprzeciwili się wywieraniu jakichkolwiek nacisków, które mogłyby zmusić przysięgłych do uchwalenia werdyktu niezgodnego z ich opiniami. Schlichtmann, wciąż oparty ramieniem o kolumnę, nie odezwał się ani słowem.

– Wcale mnie nie dziwi brak jednomyślności – powiedział Keating, któremu zależało na utrzymaniu obecnego stanu rzeczy. – Stanowczo się sprzeciwiam wszelkim próbom wymuszenia na przysięgłych zmiany poglądów w sprawie, co do której wszyscy rozsądni ludzie mogą mieć odmienne zdania.

Sędziego rozzłościła ta uwaga.

– To samo można powiedzieć o każdej sprawie. Bez różnicy zdań nie byłoby procesu.

– Przysięgli najwyraźniej czekają na odpowiedź – wymamrotał w końcu Schlichtmann.

– Pewnie chcą, żebym im powiedział, że mogą iść do domu – odparł Skinner. – Ale nie usłyszą tego, nie pozwolę im tak łatwo wykręcić się od obowiązków.

Prawnicy wrócili na swoje miejsca za stołami, a woźny wprowadził przysięgłych do sali. Mieli zaszępienie twarze i wyglądali na zmęczonych. Skinner powiedział, że otrzymał wiadomość, a następnie wygłosił rutynową przemowę, którą wcześniej wielokrotnie rządził przysięgłych nie mogących dojść do porozumienia.

– Nie zamierzam unieważniać procesu – oznajmił. – Gdybym to zrobił, inny skład ławy przysięgłych musiałby od nowa wysłuchiwać zeznań tych samych świadków. A nie ma żadnych powodów, które skłaniałyby mnie do opinii, że inni przysięgli rozstrzygnęliby tę sprawę lepiej niż państwo. Jest waszym sędziowskim obowiązkiem prowadzenie obrad tak długo, aż osiągniecie porozumienie. Nie obawiajcie się weryfikacji własnych poglądów i zmiany stanowiska. Przysięgli nie są nieomylni i zmiana opinii nie może być powodem do wstydu.

Później, ze szczególną ostrożnością, nawiązał do podejrzeń Lindy Kaplan. Nie wymienił żadnych nazwisk.

– Zakładam, że nie rozmawiali państwo z nikim i nikt nie próbował wywierać na was żadnej presji – powiedział, przyglądając się bacznie przysięgłym. – Jeśli coś takiego miało miejsce, macie obowiązek mnie o tym poinformować.

Zamilkł, czekając na reakcję.

Nikt się nie odezwał.

– Doskonale. W takim razie zechcą teraz państwo wznowić obrady.

Woźny odprowadził przysięgłych do ich pokoju. Prawnicy rozeszli się po sali, dyskutując między sobą, kiedy Skinner nieoczekiwanie wrócił na miejsce i ruchem ręki przywołał ich do siebie.

Schlichtmann popatrzył na sędziego z niedowierzaniem.

– Kolejny komunikat?

– Od pana Vogla, przewodniczącego składu. Napisał: „Proszę o zwolnienie mnie z obowiązku zasiadania w ławie przysięgłych, ponieważ szóstego sierpnia

tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego szóstego roku muszę się poddać operacji serca”. Dołączył pismo z kliniki: „...zostanie pan przyjęty do New England Medical Center trzeciego sierpnia...”

Do wyznaczonego terminu pozostało tylko dziesięć dni.

– Chyba sądził, że zwolni pan cały skład i nie będzie musiał informować o czekającej go operacji – powiedział Keating.

– Niewątpliwie – przyznał Skinner. – Pierwszym przysięgłym rezerwowym jest pani Gilbern, Dina Gilbern. Jutro ją wezwę.

Facher z niechęcią zapatrywał się na zmianę składu przysięgłych. Dla niego taki zespół, niezdolny do uchwalenia jednogłośniego werdyktu, był równie dobry jak zwycięstwo, a zmiana składu mogła odmienić ten stan rzeczy. Co więcej, Facher w żadnym wypadku nie chciał widzieć wśród przysięgłych Diny Gilbern, emerytowanej pracownicy społecznej, matki dwojga dorosłych dzieci, która w czasie przesłuchań kandydatów przyznała otwarcie, że należy do Audubon Society i jest miłośniczką pism wydawanych przez Sierra Club.

– Nie lepiej wstrzymać się jeszcze z tą decyzją? – spytał.

– Dlaczego?

– Pan Vogel musi iść do szpitala dopiero pod koniec przyszłego tygodnia. Nie wiem nawet, czy to konieczne...

– Chodzi o operację serca – przerwał mu sędzia. – Tego się nie robi dla czyichś zachcianek. Jeżeli musi się poddać operacji, to znaczy, że cierpi na coś poważnego.

– Chce pan z nim porozmawiać? – zapytał Schlichtmann.

– Chyba nie ma innego wyjścia – przyznał Skinner.

Kiedy chwilę później zjawiał się Vogel, sędzia powiedział:

– Otrzymałem pańską wiadomość. Bardzo mi przykro z powodu pańskich problemów. Czy jest pan w stanie pełnić swoje obowiązki do trzeciego sierpnia?

– Nie stoi nic na przeszkodzie, żebym brał udział w obradach jeszcze przez cały przyszły tydzień. Chciałem tylko zawczasu poinformować, że czeka mnie pobyt w szpitalu. Po pięciu miesiącach spędzonych na tej sali chciałbym wreszcie mieć już tę operację za sobą. – Zamilkł na chwilę, wreszcie dodał: – Lecz jeśli chce pan powołać na moje miejsce sędziego rezerwowego, może pan to zrobić już teraz.

– Czy pańskim zdaniem istnieje szansa, że uda się wam udzielić odpowiedzi na pytania w ciągu następujących kilku dni?

– Niewielka – przyznał szczerze Vogel.

– Będzie pan miał wszczepiony by-pass?

– Tak. Poczwórny.

– Przykro mi, że przytrafiło się to panu – powtórzył sędzia.

– Z pewnością nie bardziej niż mnie. – Vogel uśmiechnął się smutno.

– Byłbym wdzięczny, gdyby pan mógł zostać jeszcze jutro – ciągnął Skinner. – Zobaczmy, czy do poniedziałku się coś zmieni. Kto wie? Może dopisze nam szczęście i nastąpi jakiś przełom. No cóż, życze panu powodzenia.

– Dziękuję – powiedział Vogel. Odwrócił się i z szacunkiem skinął prawnikom głową. – Panowie – rzekł, po czym zniknął w wąskim przejściu prowadzącym do pokoju przysięgłych.

Wieczorem Schlichtmann stał przy kuchennym blacie w kancelarii, próbując otworzyć butelkę soku jabłkowego. Dłonie miał spocone i ręce mu się trzęsły, toteż nakrętka wyslizgiwała się z palców. W końcu odstawił zamkniętą butelkę i mocno oparł się dłońmi o kant stołu, jakby próbował utrzymać równowagę na lodzi miotanej przez rozszalały sztorm.

– Czyżbym się mylił? – mruknął do siebie. – Czyżby tylko jeden wynik był możliwy? To jakiś koszmar!

Podczas weekendu szeryf przyjechał po jego porsche'a. Dla Schlichtmanna miało to tak niewielkie znaczenie, że dopiero znacznie później wspominał o tym swoim współnikom.

4

W poniedziałek rano, 28 lipca, sędzia Skinner zasiadł za stołem sędziowskimi poprosił adwokatów do siebie.

– Proponuję wezwać przewodniczącego ławy przysięgłych i poprosić go o zdanie sprawy z obecnej sytuacji. Jeśli nie doszli do porozumienia, będę musiał zwolnić przewodniczącego z obowiązków i powołać do składu panią Gilbern, która już tu jest. Przysięgli zaczną obrady od początku.

Woźny poszedł na górę po Vogla.

– Dzień dobry, panie Vogel – powitał go uprzejmie sędzia. – Może nam pan powiedzieć, czy pojawiła się szansa na uchwalenie jednomyślnego werdyktu?

– Tak.

– Naprawdę? – spytał zaskoczony Skinner.

– Oczywiście. Właśnie kończymy go spisywać, Wysoki Sądzie – rzekł przewodniczący. – Uzgadniamy jeszcze ostatnie sformułowania.

– Widzę, że od zeszłego czwartku nastąpił wyraźny postęp.

– Owszem, udało się znaleźć porozumienie – przyznał Vogel z uśmiechem. – Na szczęście obyło się bez łamania sobie rąk, wybijania zębów i innych tego typu rzeczy.

Powtórzenie przez sędziego pouczeń oraz perspektywa rezygnacji Vogla przyczyniły się do przełamania impasu. W piątek rano przewodniczący wziął sprawy w swoje ręce. Narysował na tablicy dwie tabele, jedną dla zakładów Grace'a, drugą dla garbarni Beatrice Foods. Korzystając z pomocy innych, wypisał wszystkie dowody przemawiające na korzyść i przeciwko każdej z firm. Sędzia powiedział: „Nie obawiajcie się weryfikacji swoich poglądów”, dlatego też Vogel poprosił przysięgłych, żeby jeszcze raz rozważyli swoje opinie, choćby na chwilę zapomnieli o dotychczasowych poglądach i postarali się ocenić przeciwną stronę sprawy.

To podziałało. Robert Fox i Harriet Clarke stwierdzili, że tabela jasno wskazuje na przewagę dowodów świadczących przeciwko zakładom Grace'a. Natomiast Coulsey musiała przyznać, że obecność tylko dwóch pozycji obciążających

garbarnię, jakie pozostały po uwzględnieniu ustalonej przez sędziego granicy, czyli roku 1968, nie pozwala na orzeczenie winy zakładu według kryterium niezbitych dowodów.

Sprawa przeciwko Beatrice Foods musiała zatem zostać umorzona. Pozostało jeszcze uporać się z odpowiedziami na resztę pytań dotyczących zakładów Grace'a. Zaczęli się więc przekopywać przez skomplikowaną frazeologię. Drugie pytanie wymagało od nich ustalenia z dokładnością do miesiąca terminu, w jakim chemikalia z fabryki dotarły w „znaczących” ilościach do ujęć wody. Szybko uzgodnili, że nie znają odpowiedzi na tak postawiony problem. W formularzu wpisali „NU”, przyjęty skrót od „nie ustalono”. Trzecie pytanie brzmiało prawie jak pierwsze. Jedyna różnica polegała na tym, że trzeba było rozsądzić, czy kierownictwo zakładów „nie dopełniło obowiązku zachowania należnych środków ostrożności wobec powodów”. Odpowiedzieli „tak”.

Na czwartym pytaniu znów utknęli na dłużej. Podobnie jak w drugim oczekiwano od nich ustalenia terminu, ale nie bardzo wiedzieli jakiego. Padła propozycja, żeby wpisać „nie ustalono”, ostatecznie jednak zdecydowali, żeby odłożyć tę sprawę na weekend i rozważyć ją ponownie w poniedziałek przed posiedzeniem. A w poniedziałek rano Fox zgłosił gotową propozycję – wrzesień 1973 roku. Jak wyjaśnił, była to data odcięcia kanalizacji burzowej zakładów, do której robotnicy wylewali rozpuszczalniki. Wszyscy szybko zgodzili się na ten termin, choć nadal nie mieli pojęcia, w jaki sposób wiąże się on z treścią pytania.

Tak oto zakończyli obrady. Każdy z przysięgłych wciąż miał pewne obawy, zapanowało jednak ogólne przekonanie, że wywiązali się z obowiązku i zrobili wszystko, co było w ich mocy.

Szybko rozniosła się wieść, że ława przysięgłych uzgodniła werdykt. Tłum widzów i reporterów zaczął gromadzić się w korytarzu. Schlichtmann stał ze spuszczoną głową i dłońmi splecionymi pod brodą, jak do modlitwy. Kathy Boyer kręciła się w pobliżu, oddzielając go od tłumu. A Jan mruczał pod nosem w kółko to samo, jakby rzeczywiście nucił mantrę:

– Na pewno... Na pewno... Na pewno...

Kiedy przysięgli zeszli do sali i zajęli swoje miejsca, asystent Skinnera poprosił przewodniczącego o powstanie.

– Panie przewodniczący, panie i panowie przysięgli. Czy uzgodnili państwo werdykt?

– Tak, uzgodniliśmy – odpowiedział Vogel i wręczył urzędnikowi formularz z odpowiedziami.

Sędzia rozpostarł kartkę i przeczytał w skupieniu. Po chwili oznajmił podniosłym tonem:

– W odniesieniu do szczegółowych zapytań w sprawie przeciwko Beatrice Foods odpowiedź na wszystkie części pytania pierwszego jest przecząca. Oznacza to oddalenie wszelkich zarzutów stawianych pozwanemu.

Schlichtmann ukrył twarz w dłoniach. Można było odnieść wrażenie, że nagle opuściły go wszystkie siły. Siedzący obok Nesson położył ręce na stole i oparł na nich głowę.

Sędzia kontynuował:

– W sprawie przeciwko zakładom Grace’a, w odniesieniu do tego samego pytania, ława przysięgłych odpowiedziała „tak” dla trichloroetylenu...

Kiedy skończył czytać odpowiedzi przysięgłych, dodał od siebie:

– Udzielenie twierdzącej odpowiedzi na pytania dotyczące zakładów Grace’a oznacza, że proces przeciwko pozwanemu będzie się toczył dalej. Poproszę rzeczników obu stron na naradę w celu ustalenia terminu rozpoczęcia drugiego etapu rozprawy.

Facher, uśmiechając się szeroko, wstał i ruszył w kierunku stołu prezydyjnego, ale sędzia powstrzymał go:

– Pański udział nie jest już konieczny, panie Facher. Dziękuję panu.

Obrońca przystanął na środku sali, obejrzał się najpierw na Schlichtmanna i jego zespół, a potem na Keatinga prowadzącego kolegów do stołu sędziowskiego. Uśmiech na jego twarzy przerodził się w bolesny grymas. Bez wątpienia Facher był zawiedziony, że wyłączono go z dalszej części rozprawy. Nie podobał mu się sposób, w jaki sędzia odprawił go z kwitkiem, tak zwyczajnie, bez żadnych ceregieli. Stał jeszcze przez chwilę, wreszcie westchnął ciężko, zawrócił do stołu i zaczął pakować swoją zniszczoną teczkę.

Przysięgli pozostali na miejscach. Sędzia, który wcześniej dostrzegł gest rozpaczy Schlichtmanna, pochylił się ku niemu i szepnął:

- Cóż, lepszy rydz niż nic, prawda?
- Zgadza się – mruknął zrezygnowany adwokat.
- To nie koniec procesu.

Sędzia przyznał, że odpowiedzi przysięgłych nie były całkiem jasne i stwarzały pewne problemy, co dotyczyło głównie terminu ustalonego na wrzesień 1973 roku.

– Zapewne będzie pan chciał zgłosić jakieś wnioski formalne – zwrócił się do Keatinga. – Powinniśmy je rozważyć przed rozpoczęciem drugiego etapu.

Oświadczył następnie, iż zamierza spędzić cały sierpniowy urlop w Maine.

– Chciałbym już zastać gotowe wystąpienia obu panów, kiedy wrócę po Święcie Pracy, piątego września. Jeżeli mamy kontynuować proces, a zapewne do tego dojdzie, proponuję, byśmy go rozpoczęli piętnastego września.

Później Skinner podziękował przysięgłym za ich pracę i przypomniał, że nadal nie powinni z nikim rozmawiać o tej sprawie.

– Proces się jeszcze nie skończył – powiedział. – Wszyscy jednak chcielibyśmy trochę odpocząć. Tak więc żegnam się z państwem do piętnastego września i mam nadzieję, że przyjemnie spędzą państwo resztę lata.

Z automatu w korytarzu Schlichtmann zadzwonił do Donny Robbins. Drugie ucho zakrył dłonią, żeby cokolwiek słyszeć w otaczającym go gwarze. Powiedział Donnii o werdykcie i poprosił, aby przekazała informację pozostałym rodzinom. Chciał się z nimi wszystkimi spotkać o trzynastej w Kościele Episkopalnym Świętej Trójcy. Tam też miała się odbyć konferencja prasowa.

Na parterze gmachu sądu, w głównym holu przy windach, czekała grupa dziennikarzy i cztery ekipy telewizyjne. Jako pierwszy pojawił się Facher. Kiedy tylko wyszedł z windy, zapaliły się jupitery przenośnych kamer, przyciągając natychmiast tłumek ciekawskich. W sali sądowej obrońca zawsze czuł się swobodnie, ale przed kamerami ogarniała go trema, nieodmiennie uciekał spojrzeniem gdzieś w bok. Głowę trzymał tak, jakby nosił kołnierz ortopedyczny, a teczkę nerwowo przekładał z ręki do ręki, zanim ją w końcu odstawił na podłogę. Odpowiedział, że jest bardzo zadowolony z werdyktu.

– Zyskaliśmy dowód, że instytucja sędziów przysięgłych funkcjonuje skutecznie – dodał, zmuszając się do uśmiechu. – Będę uważnie śledził drugi etap procesu, zasiadając na ławce w parku Fenwaya.

Kilka minut później przed kamerami stanął Keating. On także wyglądał na skrepowanego.

– Podjęli taką decyzję, jaką podjęli – powiedział reporterom. – Proces trwa nadal. Czekamy na drugi etap.

Wreszcie w holu pojawił się Schlichtmann, który jako jedyny z adwokatów słyszał ze swobody w kontaktach z mediami. Teraz jednak nawet nie starał się ukryć rozczalenia.

– Jestem do głębi rozczarowany – powiedział, wpatrując się w podłogę i kręcąc głową. – Potrzebowaliśmy jasnego orzeczenia, lecz go nie uzyskaliśmy. To nam bardzo utrudni dalszą pracę, ale nie zamierzamy zrezygnować.

Dobrze wiedział, że drugi etap rozprawy będzie o wiele trudniejszy. Wyłączenie Beatrice Foods z grona pozwanych było bolesnym ciosem. Ale ogłoszony werdykt sprawiał znacznie większe kłopoty przez określenie arbitralnego terminu powstania skażenia na wrzesień 1973 roku. Tymczasem troje dzieci z Woburn – Jimmy Anderson, Michael Zona i Kevin Kane – zachorowało na białaczkę wcześniej. Czy zatem roszczenia ich rodziców należało po prostu oddalić? Schlichtmann podejrzewał, że Keating we wrześniu będzie twardo obstawał za takim rozwiązaniem. A jeśli sędzia uzna jego argumentację, grono powodów zostanie zmniejszone prawie o połowę. Jak to wpłynie na pozostałe skargi? Jak przyjmą to rodziny? Czy wybuchną między nimi kłótnie?

Nie miał jednak czasu ani wystarczającej przytomności umysłu, aby zastanawiać się nad tymi problemami już teraz. Musiał pojechać do Woburn na spotkanie z klientami. Z kancelarii wyruszyła mała karawana. Schlichtmann pojechał z Kileyem jego mercedesem. Ledwie zajął miejsce obok kierowcy, w milczeniu zapatrzył się przed siebie. Kiley obrzucił go zatroskanym spojrzeniem.

– Nie chcę słuchać więcej bzdur w rodzaju: „Jestem do głębi rozczarowany” – powiedział.

Schlichtmann zdobył się na skąpy uśmiech.

– Żadnego uzalania się nad sobą, co?

– Chyba nie sądzisz, że Keating teraz świętuje? – ciągnął Kiley. – Całemu zarządowi koncernu Grace’a nadal cholernie żal, że ma ciebie za przeciwnika. Właśnie uznano go winnym zanieczyszczenia wody w mieście, w którym wykryto ognisko zachorowań na raka. Trzeba teraz dokręcić śrubę, Janie. Nie możesz popuścić.

Schlichtmann westchnął, ale zabrzmiało to jak łkanie.

– Przepraszam – powiedział ochrypłym głosem. – Wciąż nie mogę się otrząsnąć. Przez tyle miesięcy trwałem w niepewności. Potrzebowałem pomocy przysięgłych. Liczyłem na tych sześciu zwykłych ludzi, a oni mi dali kopa w dupę. Myślałem, że ich nabieram.

Kiley spochmurniał.

– Musisz się zebrać do kupy. Nie możesz pozwolić, żeby twoi klienci zobaczyli cię w takim stanie.

W sali katechetycznej Kościoła Episkopalnego Świętej Trójcy poszkodowane rodziny zasiadły wokół stołu na składanych krzesłach. Nad nimi powoli obracały się wentylatory sufitowe, ale i one nie potrafiły rozegnać parnego, dusznego powietrza. Ludzie wachlowali się kartkami papieru i ocierali czoła chusteczkami.

Schlichtmann bez przerwy spoglądał w dal i mówił głuchym, monotonnym głosem, ale udało mu się jakoś opanować. Powiedział klientom, że odwoła się od wyroku w sprawie przeciwko Beatrice Foods. A co do zakładów Grace’a, odpowiedź ławy przysięgłych była zastanawiająca. Nie rozumiał, w jaki sposób ustalono termin powstania skażenia, i potrzebował czasu, żeby to przemyśleć. Zapewnił jednak, że wciąż istnieje szansa wygrania sprawy dla wszystkich powodów. Obiecał, że będzie próbował znaleźć sposób ominięcia fatalnego terminu, a jeśli mu się nie uda, wciąż będzie mógł udowodnić, że kontakt z rozpuszczalnikami doprowadził do pogorszenia stanu Jimmy’ego Andersona i pozostałych chorych dzieci, czyli w konsekwencji przyspieszył ich śmierć. Te słowa pociechy przyniosły ulgę rodzinom, których pozwy stały pod znakiem zapytania. Lecz mimo to wszyscy wiedzieli, że sprawa wygląda kiepsko w porównaniu z tym, od czego zaczęli.

Kiedy prawnicy wrócili do biura, sekretarki wniosły butelki szampana trzymane z myślą o świętowaniu zwycięstwa. Zaraz po wejściu Schlichtmann odkorkował jedną z nich i niemal jednym haustem wypił cały kieliszek. Telewizor w sali konferencyjnej był włączony, nadawano wiadomości. Urywały się telefony z gratulacjami i pytaniami dziennikarzy.

– Nie, wcale nie jesteśmy zawiedzeni – Kiley przekonywał reportera „Washington Post”, który widział wywiad ze Schlichtmannem w holu sądu. – To była tylko pierwsza reakcja.

Phillips dowiedział się, że kursy akcji koncernu Grace’a spadły o trzy punkty przed zamknięciem giełdy. Potwierdził to telefonicznie i poszedł powiedzieć o tym Schlichtmannowi. Obliczył, że werdykt kosztował akcjonariuszy spółki sto pięćdziesiąt pięć milionów dolarów. W doniesieniach sieci kablowych i stacji CBS orzeczenie przysięgłych nazywano „przełomową decyzją”.

Gordon wyglądał na zdumionego.

– Jeśli „The Wall Street Journal” napisze jutro, że wygraliśmy, wtedy uwierzę. – Po chwili dodał: – Dotąd wcale tego nie odczuwam.

W kuchni Conway czekał, aż napelni się dzbanek ekspresu do kawy. Phillips wszedł, usiadł okrakiem na taborecie, zapalił papierosa i zaciągnął się głęboko.

Na blacie pełno było do połowy opróżnionych kieliszków szampana, pootwieranych puszek z napojami gazowanymi i popielniczek, z których wysypywały się niedopałki.

– Jest gorzej, niż mogliśmy zakładać, biorąc pod uwagę skład ławy – powiedział Phillips i zakasłał nerwowo. – Powinniśmy się cieszyć z tego, co mamy.

– A ja sądzę, że ten werdykt to dość wyraźny znak dla innych – powiedział Conway, podniesiony na duchu doniesieniami prasowymi. – Koncert Grace’a nie został uwolniony od najcięższych zarzutów. To jest spawa, która...

– Musi się szybko skończyć – wpadł mu w słowo Phillips. – Powinniśmy ratować resztki naszego honoru i wycofać się tak szybko, jak to możliwe. Kurwa! Nic innego nam nie pozostało!

– Jak myślisz, ile moglibyśmy dostać? – zapytał Conway.

Phillips zastanawiał się przez chwilę.

– Dwadzieścia pięć milionów. – Odkasznął. – Jeśli dopisze nam szczęście.

W swoim gabinecie Schlichtmann odbierał telefony. Redaktor *Good Morning America* poprosił go o przyjazd do Nowego Jorku i udział w jutrzejszym programie w towarzystwie któregoś z klientów. Jan przyjął zaproszenie i zadzwonił do Woburn, do Donny Robbins. Powiedział, że będzie na nią czekał na lotnisku o wpół do ósmej wieczorem. Kiley zdecydował się polecieć z nimi. Wiedział, że Jan nie ma ani jednej karty kredytowej, za pomocą której mógłby opłacić bilety lotnicze i pobyt w hotelu.

Do kancelarii wpadła Rikki Klieman. Wyglądała olśniewająco w kremowym letnim kostiumie, jej wspaniałe kasztanowe włosy lśniły. Wcześniej wysłała do biura kwiaty, co mogło być odczytane jako gratulacje bądź kondolencje.

– Jak się czuje Jan? – zapytała Conwaya.

– Kiepsko – odparł.

– Ktoś powinien z nim porozmawiać.

– Jedź do Nowego Jorku, żeby wystąpić w *Good Morning America*. Polec z nim, podniesiesz go na duchu.

– Nie zostałam zaproszona.

– Po prostu jedź – powiedział Conway.

Rikki weszła do gabinetu Schlichtmanna. Pakował małą torbę podróżną.

– Chcesz, żebym z tobą pojechała?

Spojrzał na nią oczyma bez wyrazu.

– Pewnie – powiedział matowym głosem.

Nie rozwiązało to wątpliwości Rikki.

– Mówisz poważnie? Naprawdę?

Jan przytaknął ruchem głowy.

Rikki wyszła, by przygotować się do podróży. Do gabinetu wszedł Conway i zamknął za sobą drzwi.

– Jeśli uważasz, że przegraliśmy, tak samo pomyślą wszyscy, którzy zobaczą cię jutro rano w telewizji. Nie rób nam tego, Jan. Obiecay mi, że tego nie zrobisz.

Na lotnisku Schlichtmann przedstawił Rikki Donnę Robbins.

– Rikki jest moją najlepszą przyjaciółką i świetnym adwokatem – wyjaśnił Donnie. – Wspierała nas i bardzo mi pomogła.

Zajęli miejsca w samolocie do Nowego Jorku odlatującym o dwudziestej. Schlichtmann usiadł przy przejściu, obok Donny, która zajęła fotel przy oknie. Klieman i Tom Kiley siedzieli razem po drugiej stronie, dwa rzędy dalej. Donna była zdenerwowana. Panicznie bała się publicznych wystąpień, sądziła, że trema odbierze jej mowę. Perspektywa występu na żywo w *Good Morning America* po prostu ją przerażała. Zawsze w podobnych sytuacjach Schlichtmann udzielał jej wskazówek i zapewniał, że sobie poradzi. Ale teraz, w samolocie, był dziwnie milczący. Kiedy coś do niego mówiła, tylko kiwał głową w odpowiedzi. Dopiero po pewnym czasie uprzytomniła sobie, że od startu nie odezwał się do niej ani jednym słowem.

– Wszystko w porządku, Janie? – zapytała.

Mruknął twierdząco i skinął głową. Jakkolwiek mocno się starała, nie mogła go nakłonić do rozmowy. Jeszcze nigdy nie spotkała człowieka, który by się zachowywał w ten sposób. Jeszcze bardziej ją to przeraziło.

Schlichtmann słyszał, że Donna coś mówi, zadaje mu pytania, ale jej głos zdawał się dochodzić z bardzo daleka. A on, nawet jeśli chciał odpowiedzieć, bał się, że gdy tylko otworzy usta, zaraz się rozplacze. Oddychał szybko i płytko. Nigdy dotąd nie odczuwał w samolocie klaustrofobii, a teraz wydawało mu się nawet, że ubranie go dusi. Każda minuta trwała niemal całą wieczność. Marzył mu się ciepła kąpiel. Miał dziwne wrażenie, że gdyby udało mu się wyskoczyć z własnej skóry i wejść do ciepłej wody, od razu poczułby się lepiej. Wyobrażał sobie zamek błyskawiczny na swoim ciele biegnący od szyi do pępka. Pragnienie rozpięcia go było tak silne, że obawiał się, iż stanie w przejściu między fotelami i rozbierze się do naga. Znowu słyszał głos Donny, ale mógł tylko patrzeć nieruchomo przed siebie. Po głowie kołatała mu się myśl: Może samolot się rozbije i ten koszmar wreszcie dobiegnie końca.

Siedząca dwa rzędy z tyłu Rikki obserwowała Schlichtmanna sztywno wyprostowanego, tkwiącego nieruchomo w fotelu. Pochyliła się do Kileya i powiedziała:

– Chyba wiem, o czym on teraz myśli. Wbił sobie do głowy, że byłoby dla niego lepiej, gdyby samolot się rozbił. Rozumiesz? On podświadomie pragnie katastrofy.

Kiedy wylądowali w Nowym Jorku, Kiley przejął sprawy w swoje ręce. Kazał taksówkarzowi jechać na Manhattan. Doszedł do wniosku, że Schlichtmanna w tym stanie trzeba odseparować od klientki. W hotelu „Barbizon” odprowadził Donnę do recepcji, zapłacił za jej pokój i powiedział, że przyjadą po nią nazajutrz o wpół do siódmej rano. Wrócił do taksówki i polecił kierowcy jechać do „Helmsley Palace”. W recepcji jednak się zawahał. Gdyby nie było z nimi Klieman, wzięłby jeden wspólny pokój z Janem. Ale w tej sytuacji nie potrafił zdecydować, czy poprosić o trzy pokoje, czy tylko o dwa. Spojrzał na Rikki i pytająco uniośł brwi. Wzruszyła ramionami. Zamówił więc dwa pokoje.

Pojechali windą na osiemnaste piętro. Przy drzwiach pokoju Schlichtmann skinął na bagażowego, aby wniósł jego torbę i walizkę Rikki. Kiley poszedł sam do drugiego pokoju. Wrócił po paru minutach, żeby powiedzieć, że schodzi do baru na drinka i kolację. Zapytał, czy chcą z nim pójść.

„Harry’s Bar”, w którego wystroju dominowało ciemne drewno i błyszczący mosiądz, o dwudziestej trzeciej wciąż tętnił życiem. Kiley zauważył wolny stolik i pociągnął Jana w jego kierunku. Zamówili drinki i kanapki. Razem z Rikki przystąpił do trudnego zadania poprawy nastroju Schlichtmanna, który tylko wypijał koktajl za koktajlem, nie wziął nawet jednej kanapki. Kiley próbował wyciągnąć go z dziwnego, niemal katatonicznego odrętwienia. Spytał, co zamierza powiedzieć przed kamerą. Jan tylko obojętnie wzruszył ramionami i nie odpowiedział. Przez godzinę oboje mówili do niego, starali się go uspokoić, przemówić mu do rozsądku. Kiley okazywał wyjątkową troskliwość, był cierpliwy i wyrozumiały, co imponowało Rikki. Dotąd nawet nie przypuszczała, że masywnie zbudowany i szorstki w obejściu adwokat, mówiący z silnym bostońskim akcentem, może być aż tak wrażliwy.

Schlichtmann rozluźnił się dopiero po północy. Powiedział, że ludzie obdarzyli go zaufaniem, a on ich zawiódł; nie powinien być zostać prawnikiem; nie miał siły, żeby prowadzić sprawę dalej; zmarnował swoje życie. To ostatnie zdanie zaniepokoiło Rikki bardziej niż cokolwiek innego.

Później znowu zamilkł. Klieman zastanawiała się, czy w ogóle da radę wystąpić w telewizji. Kiley, myśląc o tym samym, zdecydował, że powinien przygotować się do zastąpienia Schlichtmanna w programie. Podjął jeszcze ostatnią próbę.

– Jeśli nawet zmarnowałeś życie, Janie, to jutro o siódmej rano musisz wystąpić przed kamerami i powiedzieć coś sensownego.

Wreszcie Rikki wstała i powiedziała, że idzie spać. Schlichtmann również się podniósł. Kiley został przy stoliku. W pokój Jan rozebrał się szybko do naga i wsunął pod kołdrę. Rikki zgasiła światło, także się rozebrała i położyła obok niego. Przez dłuższy czas mówiła do niego półgłosem i czule gładziła go po rękę, a później kochała się z nim. Potem, wyczerpana, szybko usnęła.

Schlichtmann nie mógł zasnąć. Czuł, że serce wali mu jak młotem, i mimo działającej klimatyzacji pocił się intensywnie. O trzeciej nad ranem wstał, poszedł do łazienki i długo wpatrywał się w swoje odbicie w lustrze. Pomyślał, że przez ostatni tydzień postarzał się o dziesięć lat. Siwizna pokrywała mu już prawie całą głowę, oczy zapadły się w głąb czaszki, wyzierało z nich przerażenie i lęk. Dokuczał mu nasilający się ból głowy i kwaśny posmak drinków oraz szampana wypitego wcześniej w kancelarii. Nie jadł nic przez całą dobę. Wrócił do łóżka, ale nadal nie mógł zasnąć. Leżał obok Rikki, wsłuchując się w jej regularny cichy oddech. Tak doczekał poranka.

Wstał przed piętą, o pierwszym brzasku, i poszedł pod prysznic. Stał w kabynie przez dłuższy czas, pozwalając ciepłej wodzie spływać po jego ciele. Wreszcie poczuł się nieco lepiej. W jego głowie zaczęły się krystalizować plany na najbliższą przyszłość. Miał nadzieję, że ława przysięgłych zrozumie „polityczny” charakter tej sprawy. Na razie jednak trudno było liczyć na to, że decyzje przysię-

głych skłonią zarządy wielkich amerykańskich koncernów choćby do chwili refleksji. Sprawa, którą chciał przekształcić w krucjatę na rzecz ochrony środowiska, która miała przynieść mu sławę i pieniądze, nagle stała się zwyczajnym postępowaniem cywilnym.

Ta świadomość podziałała na niego jak kubeł zimnej wody. Żal spowodowany uwolnieniem Beatrice Foods od wszelkich zarzutów dotąd go zaślepił, kazał się koncentrować na własnych cierpieniach, ale teraz stopniowo wracała mu trzeźwość myśli. Przy takiej ławie przysięgłych nie miał zbyt wielkiego pola manewru. Pozostawało mu szukanie możliwości zawarcia ugody z zakładami Grace'a. Gdyby zdołał wywalczyć duże odszkodowanie, wówczas zakończenie procesu można by określić mianem zwycięstwa. Zdecydował więc, że w tej chwili jest to dla niego największe wyzwanie.

Wyszedł spod prysznica odświeżony. Znowu mógł jasno myśleć, chyba po raz pierwszy od tygodnia. Poczuł się wreszcie tak, jakby spokojnie przespał całą noc.

W hotelu „Barbizon” Donna Robbins także źle spała. Powtarzała w myślach to, co powinna wygłosić przed kamerami, i próbowała obudzić w sobie nadzieję, że strach jej nie sparaliżuje.

O wpół do siódmej, kiedy przyjechał Schlichtmann, czekała już w hotelowym lobby. Zapytała go, jak się czuje.

– Doskonale – odpowiedział.

Od razu dostrzegła zmianę w jego zachowaniu. Wyglądał dużo lepiej i był wyraźnie ożywiony. W taksówce, w drodze do studia telewizji ABC, siedziała z tyłu obok Kileya i Rikki. Schlichtmann zajmował miejsce z przodu, ale odwracał się ciągle, aby udzielać jej ostatnich rad. Kiedy powiedziała mu, jak bardzo jest zdenerwowana, próbował rozwiać jej obawy. Później, gdy dojeżdżali już do celu, znowu ucichł, ale nie było to owo dziwne zacięte milczenie jak w samolocie.

Potem Donna z zażenowaniem wspomniała swoje krótkie wystąpienie w *Good Morning America*, mówiła nawet o wstydzie dławiącym w gardle, ilekroć przypominała sobie tamte nerwowe chwile. W rzeczywistości świetnie sobie poradziła. Była ubrana w jasną letnią sukienkę i białą bluzkę bez rękawów. Kiedy siedziała obok Schlichtmanna na kanapie w studiu, promieniała spokojem i godnością, wręcz niezmaconym pięknem. Pierwszych kilka minut rozmowy upłynęło gładko. Gdy tylko zaczęła mówić o Robbie'em i jego chorobie, szybko się rozluźniła. Prowadzący program David Hartman zapytał, co chciała osiągnąć, występując z pozwem. Była jednak przygotowana na to pytanie.

– Sądzę, że proces ma trzy główne cele – zaczęła śmiało.

Omówiła pierwszy z nich – chęć zwrócenia uwagi wielkim koncernom na powszechny problem toksycznych odpadów i zanieczyszczenia środowiska, gdy nagle straciła wątek. Zerknęła na Jana, po czym spuściła głowę i przygryzła dolną wargę.

– Przepraszam – szepnęła. – Mam pustkę w głowie.

– Nic nie szkodzi – powiedział półgłosem Hartman, odwrócił się do Schlichtmanna i jemu zadał pytanie.

Podczas przerwy na reklamę Hartman delikatnie ścisnął jej dłoń i uśmiechnął się przyjaźnie.

– Proszę się nie martwić – powiedział. – Takie rzeczy zdarzają się o wiele częściej, niż potrafi sobie to pani wyobrazić. Także i mnie samemu.

Donna była mu niesamowicie wdzięczna za ten drobny gest pocieszenia.

Schlichtmann nie zawiódł Conwaya. Był błądy i zmęczony, ale dość przekonująco mówił o sukcesie, doskonale wcieliwszy się w rolę, która była mu chyba całkiem obca. Twierdził, że jest „zadowolony i podbudowany tym, że przysięgli zdobyli się na odwagę i orzekli odpowiedzialność zakładów Grace’a”. Z niecierpliwością czekał na okazję „zaprezentowania społeczeństwu dowodów tego, co się stało” w drugim etapie procesu.

Kiedy po południu wylądowali z powrotem w Bostonie, Schlichtmann odprowadził klientkę do taksówki i kazał kierowcy zawieźć ją do Woburn. Donna powiedziała, że nie ma pieniędzy na taksówkę. Jan spojrzął na Kileya, a ten wyjął portfel i bez słowa wręczył kobiecie banknot dwudziestodolarowy.

Schlichtmann jechał taksówką do centrum Bostonu razem z Klieman i Kileyem. Kiedy Tom wysiadł, Rikki miała nadzieję, że Jan choć słowem nawiąże do wspólnie spędzonej nocy w hotelu, wiedziała jednak, że nie romanse mu teraz w głowie. Gdy stanęli przed kancelarią na Milk Street, Schlichtmann wysiadł, później zajrzał przez otwarte drzwi taksówki i podziękował Rikki za towarzysztwo. Odwrócił się i przeskakując po kilka stopni, wbiegł po schodach do budynku.

Kilka miesięcy później Rikki miała sobie przypomnieć myśl, która wtedy przemknęła jej przez głowę:

– Kiedy Jan wysiadł z taksówki, uderzyło mnie, że spędziłyśmy w Nowym Jorku cudowną noc, z której on nie zapamiętał ani jednej sekundy.

Negocjacje

1

Schlichtmann zasiadł ze współnikami w sali konferencyjnej. Zamknęli drzwi i pozaciągali zasłony w oknach. Od trzech dni nie przyjmowali telefonów, nie odpowiadali na wezwania ani listy polecane, które przychodziły codziennie rano od wierzycieli. Żywili się tylko kanapkami i zimnymi przekąskami. Klimatyzator zainstalowany pod oknem pracował pełną mocą, a mimo to w pokoju panował coraz większy zaduch. Siedmiu mężczyzn siedziało w samych koszulach z podwiniętymi rękawami. Z zespołu brakowało jedynie Nessona, który wyjechał z rodziną na urlop.

Zaczęli od oceny sytuacji. Mogli kontynuować, czyli rozpocząć etap merytoryczny procesu, ale biorąc pod uwagę okres powstania skażenia, o którym zdecydowali przysięgli, było wielce prawdopodobne, że sędzia wyłączy ze sprawy trzy śmiertelne przypadki białaczki. Ponadto skład przysięgłych był wyraźnie podzielony.

– Przez to następna faza musi się zmienić w zwykłą loterię, jakbyśmy przystępowali do gry w kości – oświadczył Schlichtmann.

Dochodziła do tego fatalna kondycja finansowa kancelarii. Gordon wycofał już wszystkie pieniądze z funduszy emerytalnych pracowników biura i ocenił, że dzięki nim przetrwają jeszcze trzy miesiące, do października. Później, jak przepowiadał, musiał nastąpić całkowity krach.

Jedynym rozsądnym wyjściem, które Janowi przyszło do głowy podczas bezsennej nocy w Nowym Jorku, było doprowadzenie do ugody z koncernem Grace’a, nim sędzia zacznie oddawać kolejne zarzuty o spowodowanie białaczki w rodzinach powodów. Ale przed rozpoczęciem negocjacji musieli się przygotować do drugiego etapu procesu. Zarząd koncernu Grace’a musiał zyskać przeświadczenie, że zależy im na kontynuacji rozprawy, a chcąc to osiągnąć, musieli najpierw sami wyrobić w sobie tę wiarę.

– Nie możemy nawet rozmawiać o ugodzie, nie mając przekonania co do drugiego etapu procesu – zawyrokował Phillips.

– Równie dobrze można byłoby wsiąść na tratwę i na pół roku zdać się na łaskę prądów morskich – wtrącił Schlichtmann – mając ze sobą tylko parę wizytowych garniturów.

Argumetowali, że pozwanemu także powinno zależeć na ugodzie. Od września Keatinga czekało występowanie przed tą samą ławą przysięgłych, która już raz zdecydowała na niekorzyść jego klienta. Ale teraz świadkowie mieli mówić o śmierci swoich dzieci, a nie o kierunkach splywu wód podziemnych.

– Przegrają – zapewniał Gordon. – Te sukinyzny m u s z ą przegrać!

Przez pierwszy dzień narady wojennej sami siebie przekonywali, że są gotowi do drugiego etapu rozprawy. Następnego ranka Schlichtmann udał się do kancelarii Foley, Hoaga i Eliota na rozmowę z Keatingiem. Wrócił pół godziny później z wiadomością, że obrońca zorganizował spotkanie z wiceprezesem i głównym radcą prawnym koncernu, niejakim Albertem Eustisem, który miał przylecieć do Bostonu w piątek rano.

Gordon przypomniał sobie to nazwisko. Podczas mowy końcowej pierwszego etapu zwrócił uwagę na kilku mężczyzn w ciemnych garniturach siedzących na widowni za stołem Keatinga, a domyślając się, że są to przedstawiciele zarządu Grace'a, podszedł do nich w przerwie, żeby się przedstawić. Został przyjęty chłodno, tylko Eustis serdecznie się z nim przywitał. Był atletycznie zbudowanym sześćdziesięcioletkiem o gęstych, całkiem siwych włosach. Otaczała go aura niekwestionowanego przywódcy.

Schlichtmann też go pamiętał.

– Ten przystojny facet to był właśnie Eustis? – zapytał.

Gordon przeszukał komputerową bazę danych i znalazł krótką biografię: urodzony w Mahoney City, w Pensylwanii, w listopadzie 1921 roku, ukończył studia na Uniwersytecie Columbia, a następnie prawo na Harvardzie, żonaty od 1959 roku, od 1961 w zarządzie koncernu Grace'a, od 1982 roku wiceprezes i główny radca prawny, członek Klubu Harwardzkiego i Amerykańskiego Jachtklubu.

Resztę dnia i cały następny Schlichtmann i jego współpracownicy poświęcili na ustalanie warunków ugody. Po burzliwej dyskusji ustalili, że sprawa w dalszym ciągu jest warta dwudziestu pięciu milionów dolarów, prawie tyle samo, co rok wcześniej, zanim dołączył do nich Nesson. Na początek postanowili zażądać więcej, około trzydziestu pięciu milionów. Chcieli też obwarować tę propozycję dość złożonym systemem spłat, od jednorazowego odszkodowania gotówką, poprzez ratalne dywidendy, do rozmaitych lokat kapitałowych – podobnie jak uczynili to w przeddzień procesu, kiedy zażądali stu siedemdziesięciu pięciu milionów, a Facher bez słowa wyszedł z sali. Tym razem żądania nie dotyczyły Beatrice Foods, nie spodziewali się więc tak gwałtownej reakcji z niczyjej strony.

– Zarząd koncernu nie przysyłałby na negocjacje kogoś takiego jak Eustis, gdyby sądził, iż może się tanio wykręcić – zauważył Schlichtmann.

Tylko Conway czarno widział przyszłość.

– Poszedłeś na spotkanie z Keatingiem nazajutrz po ogłoszeniu wyroku. Na pewno w pierwszej chwili pomyślał, że jesteśmy już na krawędzi bankructwa.

Schlichtmann nie przejął się jego zrzędzeniem.

– Gdyby tak było, przysłaliby do negocjacji adwokatów, zwykłych krwiopijców. Ale stało się inaczej. Naprawdę wiele można wyczytać, gdy się patrzy człowiekowi prosto w oczy. A ja nie zauważyłem, żeby Keating się łakomie obliżywał.

Do wieczora ściany sali konferencyjnej zniknęły pod rozklejonymi na nich wielkimi schematami postępowania, a olbrzymi stół był zawalony notatkami i pomiętymi kartkami papieru, oraz pustymi puszkami po napojach, kubeczkami po kawie i niedojedzonymi fragmentami kanapek. Wyglądało na to, że wszystkie sprawy sporne zostały omówione. Chcieli zażądać trzydziestu pięciu milionów, ale byli gotowi zgodzić się nawet na dwadzieścia pięć.

I wtedy odezwał się Conway:

– Trzeba rozpatrzyć jeszcze krańcową ewentualność. Chciałbym wiedzieć, na jakim etapie zerwiemy negocjacje i zaczniemy się szykować do rozprawy. Musimy wyznaczyć nieprzekraczalną granicę.

Wyglądał jeszcze bardziej niechlujnie niż zwykle, koszula prawie całkiem wylazła mu ze spodni, a potargane włosy sterczały na wszystkie strony. Sprawiał wrażenie, jak mawiał Schlichtmann, uciekiniera z ogarniętego wojną kraju. Zresztą faktycznie wisiła nad nim groźba utraty domu, którego akt własności spoczywał w sejfie Wujka Piotrusia.

– Nikt z nas nie chce tego robić, Kevin – odparł zasepiony Gordon.

Ale Conway się upierał, toteż Gordon w końcu mruknął:

– Pewnie wszyscy się już nad tym zastanawiali. W każdym razie ja mam propozycję.

– Chciałbym ją poznać – rzekł posepnie Conway i usiadł z powrotem.

Postanowili się wypowiadać kolejno, poczynawszy od Kileya.

– Piętnaście milionów – rzucił.

Phillips poszedł w jego ślady, Gordon również. Następny był Schlichtmann. Zamyślił się na dłużej, w końcu rzekł:

– Dwadzieścia pięć milionów.

– Dwadzieścia pięć?! – wykrzyknął Phillips. – Nie gadaj bzdur! Naprawdę nie zamierzasz spuścić z tego poziomu?!

– To nie są bzdury – odparł spokojnie Jan. – Sumiennie wycenialiśmy sprawę, więc nie widzę powodów, dla których mielibyśmy zejść poniżej jej wartości.

Wreszcie przyszła kolej na Conwaya.

– Dziesięć milionów.

Schlichtmann poderwał się z krzesła.

– To idiotyzm! – wrzasnął, mimowolnie zaciskając pięści. Pochylił się nad współnikiem i syknął: – Tylko ostatni tchórz mógłby coś takiego zaproponować. Właśnie tak, do cholery, jesteś zwykłym tchórzem!

Conway przygarbił się, oparł łokcie na stole i pochylił nisko głowę. Jan stał nad nim jak kat, z poczerwieniałą ze złości twarzą i pianą w kącikach ust.

– Mówiłeś, że spieszyliśmy negocjacje z Beatrice, bo byliśmy zbyt zachłanni! Dla mnie będzie to oczywiste dopiero wtedy, gdy dostaniemy od Grace'a wymie-

nioną przez ciebie sumę! Kurwa, chyba ci rozum odjęło! Chcesz łapać to, co dają, i w nogi?!

Kiley też się poderwał z miejsca. Podszedł do Schlichtmanna i rzekł pojednawczo:

– Przecież to nie oznacza, że musimy się godzić na taką sumę. Mówimy jedynie o nieprzekraczalnej granicy.

Schlichtmann odwrócił się na pięcie i odszedł od stołu, ciężko dysząc. Conway podniósł głowę, obejrzał się i westchnął głośno.

– Naprawdę nie widzicie, że wszystko wisi już na włosku? – zapytał łamiącym się głosem. – Od początku nie chcieliśmy tej sprawy, uważaliśmy, że to samobójstwo. Tyle że nie mogliśmy się od niej uwolnić. Uważam, że dążenie do wyroku w drugim etapie przy tym składzie przysięgłych byłoby lekkomyślne. – Urwał, a po chwili dodał ciszej: – To prawda, że nie mam wybujałych ambicji.

Schlichtmann w zamyśleniu pokiwał głową.

– W takim razie rzeczywiście popełniliśmy błąd, odrzucając ugodę z Beatrice przed procesem.

– Nieprawda – odparł Phillips.

– Źle mnie zrozumiałeś, Janie – ciągnął Conway. – Nie mam pretensji o odrzucenie ugody z Beatrice. Ale nasza sytuacja się zmieniła i musimy teraz walczyć o przetrwanie. Dziesięć milionów to kupa forsy. Myślę przede wszystkim o uratowaniu kancelarii. Dla mnie to nawet ważniejsze od rodziny, bo jej los całkowicie zależy od sytuacji firmy.

Nie udało się uzgodnić nieprzekraczalnej granicy, ale dyskusja nad nią ujawniła głęboko skrywane obawy, o których dotąd nie rozmawiali. Na koniec omówili jeszcze kilka innych spraw. Gordon zarezerwował na negocjacje apartament w hotelu „Lafayette”.

– „Staroświecka elegancja” – zacytował z broszury reklamowej. – Kryształowe kandelabry w jadalni, srebrna zastawa... A w dodatku możemy to mieć na kredyt, co jest olbrzymim plusem.

Spotkanie w hotelu „Lafayette” nie zaczęło się najlepiej. Czterej negocjatorzy, Schlichtmann, Conway, Gordon i Phillips, zjawili się przed czasem i musieli czekać na Eustisa i jego świętę. Prezes spóźnił się dwadzieścia minut, od początku potraktował ich szorstko, niemal wrogo. Nie dał się wciągnąć w luźną rozmowę, nie interesowała go wymiana grzeczności. A kiedy Schlichtmann zaczął omawiać dotychczasowy przebieg rozprawy i przewidywania co do wysokości wyroku, słuchał niecierpliwie, co chwila zerkając na zegarek.

– Nie mam zbyt wiele czasu – przerwał w pewnym momencie. – Jestem bardzo zajęty. Proszę przedstawić swoje żądania.

Phillips przystąpił do rzeczy. Zaczął od dwóch i pół miliona dolarów na wyposażenie dla jakiejś instytucji ekologicznej.

Nieoczekiwanie Eustis się rozchmurzył.

– To mi się podoba. Naprawdę – powiedział. – Chyba sami wiecie, jak mało się u nas robi w tej dziedzinie. A przecież badanie skażeń środowiska jest tak bardzo potrzebne.

Phillips przedstawił dalsze żądania. Prezes zapisywał kolejne sumy, ze zrozumieniem kiwając głową. Kilka razy pytał o podatki bądź odsetki, na co Gordon udzielał wyjaśnień.

– To konstruktywna propozycja – ocenił w końcu. – W grę wchodzi wysokie kwoty, ale od czegoś trzeba zacząć.

Poinformował, że musi przedyskutować te warunki z zarządem koncernu, a przede wszystkim z prezesem rady nadzorczej, Peterem Grace'em. Dodał, że szczęśliwym trafem już w czwartek odbędzie się zebranie zarządu.

Na zakończenie powiedział coś, co zaskoczyło, ale i ucieszyło Schlichtmanna:

– Trzeba wreszcie odpocząć od tych stert rachunków za usługi adwokackie. – Spojrzał na Keatinga. – Dosyć wyrzucania pieniędzy w błoto. Nie tak robi się interesy.

Obronca skrzywił się z niesmakiem i ewidentnie urażony odezwał się po raz pierwszy w czasie tego spotkania:

– Jeśli to panu nie sprawi różnicy... – uśmiechnął się ironicznie – proszę tego nie nazywać wyrzucaniem pieniędzy w błoto.

Eustis powiedział, że będą w kontakcie, na co Schlichtmann zaproponował, że przyjedzie do Nowego Jorku w piątek, po zebraniu zarządu.

– Doskonale – odparł prezes. – Nie ma potrzeby spotykać się na neutralnym terenie.

– Zatem jesteśmy umówieni? – upewniał się Jan. – W najbliższy piątek o dziesiątej?

Eustis nie chciał zostać na lunchu, ale Schlichtmann nie widział powodów, aby się tym przejmować. Już w wyjściu prezes mimochodem nadmienił, że lubi dobre wina. A co oni pijają do lunchu? – zapytał

Gordon zamówił wyśmienite chardonnay. Wypili je sami przy suto zastawionym stole, do lunchu zamówionego na znacznie więcej osób. Jan nie mógł się nacieszyć złośliwą uwagą Eustisa na temat rachunków za usługi adwokackie.

– Czemu to powiedział? – pytał wszystkich po kolei. – A widzieliście reakcję Keatinga?

Phillips uznał, że poszło nieźle.

– Chyba się spodziewał, że zażądamy osiemdziesięciu czy nawet dziewięćdziesięciu milionów. Kiedy usłyszał propozycję, od razu się rozchmurzył. Przystał na nas patrzeć wilkiem.

Nawet Conway nie był tak spięty jak zwykle.

– To prawda, jakby nagle Hyde zmienił się z powrotem w doktora Jekylla.

Schlichtmann rozsiadł się wygodnie. Ciągłe coś nie dawało mu spokoju, mimo że przebieg spotkania nie stwarzał powodów do zmartwień. Doszedł więc do wniosku, że jest to zwykła gorycz po porażce w sprawie przeciwko Beatrice Foods. Usilnie się starał odzyskać dobry nastrój.

Strzelił palcami i oznajmił buńczucznie:

- Wygląda na to, że trafiliśmy w dziesiątkę. Ani trochę się nie pomyliliśmy.
- Nie bądź taki pewny siebie – ostudził go Phillips.

2

Przylecieli do Nowego Jorku w czwartek, 7 sierpnia. Przecucia, które nie opuszczały Schlichtmanna od pierwszego spotkania z Eustisem, wciąż psuły mu humor, a w nerwowej atmosferze udzieliły się pozostałym, zaczęli więc na każdym kroku dostrzegać złe wróżby. Najpierw przeczytali w „Boston Herald” horoskop Jana: „Niezależnie od tego, czy twoje kłopoty mają charakter prywatny czy zawodowy, nie działaj na oślep i nie zgadzaj się na mniej, niż uważasz za słuszne i uczciwe”.

Obrócili to w żart, ale zdarzenie z limuzyną nikogo już nie rozbawiło. Wypożyczyli samochód na lotnisku La Guardia. Dzień był nadzwyczaj upalny, a powietrze parne jak w tropikach. Auto zepsuło się dwie przecznice od „Helmsey Palace”, spod maski strzeliły strumienie białej pary. Resztę drogi do hotelu przebyli pieszo, uginając się i pocąc pod ciężarem walizek. To zły omen, uznał Schlichtmann, i nikt nie zaprzeczył.

Razem z Conwayem zajęli apartament na czterdziestym trzecim piętrze, złożony z dwóch sypialni, kuchni oraz trzech łazienek i wyposażony w trzy telewizory. Przez całościennie okno mieli panoramiczny widok na drapacze chmur osiemsetne wokół Central Parku i rzekę Hudson w oddali. Apartament kosztował osiemset pięćdziesiąt dolarów za dobę, Gordon opłacił go nową kartą kredytową. Dla Conwaya był to zbyt dobry luksus, równie dobrze by się czuł w podrzędnym „Holiday Inn”. Rozumiał jednak wymogi stawiane przez fakt prowadzenia negocjacji.

– Otoczenie także świadczy o człowieku. Nie mogliśmy się zjawić w Nowym Jorku jak zbite psy, z ogonami podwiniętymi pod siebie. Ten zbytek miał służyć podbudowaniu naszej psychiki, poza tym był niezbędny dla Jana.

Ale nawet „Helmsley Palace” nie mógł im zapewnić wystarczającej siły psychicznej. W pewnym momencie Schlichtmann stanął przy oknie, popatrzył na strzeżone wieże katedry Świętego Patryka i zapytał niespodziewanie:

– A co z moją polisą na życie? Chyba jej nie zlikwidowałeś?

– Tak – mruknął niepewnie Gordon. – Nie zlikwidowałem, ale zalegam ze składkami za ostatni miesiąc, może nawet dwa...

Jan spiorunował go wzrokiem.

– Gordon, jeśli dopuścisz do wygaśnięcia polisy, na pewno zaraz umrę.

– A więcej wart jesteś żywy czy martwy?

Phillips siedział zasępiony na uboczu, dym z papierosa kłębił mu się nad głową.

– Jeśli jutro pójdzie nam kiepsko, zabijemy cię i upozorujemy wypadek – mruknął, lecz nawet się nie uśmiechnął z własnego dowcipu.

Schlichtmann skrzywił się z niesakiem.

– Nie będziecie musieli mnie zabijać. Sam to zrobię.

Siedem miesięcy wcześniej, przed rozpoczęciem procesu, zamówił trzy garnitury u Dmitriego, swego nowojorskiego szmuklerza. Nie mając teraz nic innego do roboty, postanowił je odebrać, żeby mieć co na siebie włożyć na jutrzejsze rozmowy. Miał nadzieję, że nowy garnitur przyniesie mu szczęście. Próbował namówić Gordona, aby z nim poszedł.

– Krawiec będzie się domagał zapłaty.

Schlichtmann zachichotał piskliwie, jak opętany.

– Czekiem!?! Proszę bardzo, może być czekiem! Mamy ich całe mnóstwo!

Zatelefonował do salonu.

– Cześć, Dmitri! To ja, Schlichtmann... Jan Schlichtmann... Pamiętasz mnie?... No cóż, miałem długi i ciężki proces. Dopiero gdy wróciłem, znalazłem na biurku wiadomość od ciebie... – mówił spiętym głosem, jakby zażenowany.

Gordon wyciągnął kartę kredytową.

– Masz, ale tylko na jeden – powiedział. Jan chciał wziąć od niego kartę, ale Gordon szybko cofnął rękę. – Słyszysz? Tylko jeden!

Schlichtmann odłożył słuchawkę i nerwowo odchrząknął. Dmitri ostro go złażał. Nie można było zapłacić tylko za jeden garnitur, skoro wszystkie trzy czekały gotowe już od miesiący. Jeszcze raz spróbował namówić Gordona, by poszedł z nim do krawca, lecz ten znowu pokręcił głową.

Dopiero późnym popołudniem zlitował się nad przyjacielem. Poszli jednak do salonu Saksa przy Piątej Alei, gdzie Schlichtmann wybrał sobie nowy krawat na szczęście – czerwony, jedwabny, za sześćdziesiąt pięć dolarów. Gordon zapłacił kartą kredytową.

Najważniejszy omen, najbardziej wymowny, przytrafił im się wieczorem, podczas kolacji. Pojechali taksówką do śródmieścia, do nowej wykwintnej włoskiej restauracji o nazwie „U Elia”. Schlichtmann polecił kierownikowi sali, żeby wybrał dla nich potrawy. Obsługiwał ich bardzo gorliwie młody Włoch, który mówił po angielsku z wyraźnym akcentem świeżo przybyłego imigranta. Pod koniec kolacji, kiedy rozważali wielkość napiwku, Gordon zapytał kelnera:

– Jesteś szczęśliwy?

Chłopak uśmiechnął się szeroko i odparł, że tak.

– Jak bardzo?

Włoch zastanawiał się dłużej nad odpowiedzią, wreszcie wyjął, że przed trzema miesiącami kupił akcje jakiejś firmy elektronicznej i sprzedał je wczoraj, zarobiwszy na czysto półtora tysiąca dolarów.

Gordon nie mógł się nadziwić. Przecież chłopak ledwie dukał po angielsku.

– Nie zmyślasz? Grasz na giełdzie? A słyszałeś kiedyś o koncernie Grace’a?

– Grace?... – Kelner zagryzł wargi i popatrzył w sufit. – Tak, już pamiętam. Mieli jakieś kłopoty w... Massachusetts. – Z trudem przesylibizował nazwę stanu. – Oni tam... zatruli?... wodę i zabili jakieś dzieci... Chyba sześć.

Schlichtmann aż podskoczył z głośnym okrzykiem, wywracając krzesło. Gordon też poderwał się z miejsca i uściskał kelnera, jakby spotkał starego przyjaciela. Conway, Crowley, Phillips i Kiley ustawili się w kolejce, żeby uścisnąć dłoń i pogratulować chłopakowi, który uśmiechał się wstydliwie. Przy sąsiednich sto-

likach nagle umilkły rozmowy, goście oglądali się i karcącym wzrokiem mierzyli grupkę mężczyzn będących przyczyną niezrozumiałego zamieszania.

Gordon uznał, że młody kelner jest zwiastunem wielkiego sukcesu, a powołanie krąży tajemniczymi, niezbadanymi ścieżkami. Dał mu więc nadzwyczaj duży napiwek, mając nadzieję, że w ten sposób ściągnie choć odrobinę dopisującego chłopakowi szczęścia.

Następnego ranka kwadrans przed dziesiątą Schlichtmann, Conway, Gordon i Phillips wyruszyli do siedziby zarządu koncernu Grace'a. Kiley i Crowley zostali w hotelu. Zespół negocjacyjny wynurzył się z tonącego w półmroku, klimatyzowanego holu hotelowego na zalaną słońcem Piątą Aleję, przeszedł na drugą stronę ulicy, gdy nagle Schlichtmann uświadomił sobie, że nie zna adresu firmy. Gordon odparł, że jego zdaniem chodzi o wieżowiec na rogu Szóstej Alei i Czterdziestej Ósmej Ulicy, kilkaset metrów dalej. Ruszyli energicznym krokiem. Już z daleka Gordon zadzierał głowę, wypatrując znaku firmowego na budynku. Przy skrzyżowaniu stanęli zakłopotani. Jan zapytał jakiegoś przechodnia o siedzibę koncernu Grace'a, ale człowiek tylko wzruszył ramionami.

Conway zachichotał nerwowo. Oczekiwali od zarządu firmy dwudziestu pięciu milionów dolarów, a nawet nie mogli trafić do jej siedziby. To był kolejny omen, w dodatku bardzo zły.

Gordon w końcu wszedł do holu jakiegoś biurowca i znalazł adres w książce telefonicznej. Wieżowiec Grace'a stał u zbiegu Czterdziestej Trzeciej Ulicy i Szóstej Alei – pięć kwartałów w przeciwną stronę, a już byli spóźnieni. Próbowali złapać taksówkę, ale bez powodzenia. Musieli iść pieszo. Było dopiero przedpołudnie, lecz sierpniowy skwar i wilgotne powietrze znad oceanu sprawiały, że ubrani w ciemne garnitury ociekali potem. Schlichtmann miał mokry cały kołnierzyk i koszulę na piersi. Gordon co chwila ocierał chusteczką twarz.

– Boże, jak ja nie znoszę upałów – jęczał.

Tymczasem w „Helmsley Palace” Kiley i Crowley nerwowo chodzili po pokoju, spoglądali na zegarki i nawzajem podawali sobie godzinę. Włączony telewizor brzęczał monotennie, nadawano jeden talk show za drugim.

– Za piętnaście pierwsza – oznajmił Kiley.

Negocjacje trwały już prawie trzy godziny, można więc było liczyć, że dochodzi do ustalenia warunków ugody.

– Co zamierzacie zrobić, żeby utrudnić Janowi dostęp do tej forszy? – zapytał.

– Trzeba mu będzie wyznaczyć pensję – odparł Crowley. – W ogóle warto by ustalić jakieś sztywne reguły finansowania kancelarii.

W tym momencie otworzyły się drzwi i Schlichtmann wszedł do pokoju. Stał na środku w rozpiętej marynarce, opierając dłonie na biodrach. Popatrzył obojętnie na Kileya i Crowleya, po czym spokojnie, bez żadnej emfazy, jakby relacjonował coś mało istotnego, powiedział:

– Dają sześć milionów sześćset. Albo bierzemy, albo koniec dyskusji.

Zaraz za nim pojawił się zacierwiony Gordon ze zwichrzonymi włosami. Ciężko opadł na krzesło i mruknął:

– To było najbardziej deprymujące doświadczenie w moim życiu. – Spojrzał na Kileya i z bolesnym uśmiechem dodał: – Powinieneś się cieszyć, Tom, że cię to ominęło. Podali ohydną kawę, jakieś stare ciastka zawinięte w serwetki i papierowe talerzki. Nawet nie zaprosili nas na lunch.

Conway i Phillips przyszli kilka minut później. Dołączyli do grupki stojącej na środku pokoju. Tylko Gordon tkwił w pozycji półleżącej przy stole.

– Zachowywali się wrogo – opowiadał Conway. – Eustis był dziś zupełnie innym człowiekiem. Obwiniał nas za to, że nie doszło do ugody, zanim sprawa dostała się do gazet. „Gdybyście wtedy szukali porozumienia, dziś bylibyście bogaci” – rzekł, naśladując władczy ton prezesa. – „Dziś musicie się zadowolić zwrotem kosztów i zdobytym rozgłosem”.

– Był również Keating – wtrącił Gordon zza stołu. – Prawie się nie odzywał. Od początku staliśmy na przegranej pozycji. Próbowaliśmy wszystkich sposobów, żeby nawiązać dyskusję, ale nic się nie kleiło.

Schlichtmann zdjął marynarkę, podszedł do okna i zapatrzył się na miasto.

– Najgorzej, że to oni zerwali rozmowy.

– Zrobili to popisowo – dodał Phillips, po czym mruknął pod nosem: – Łobuzy.

– Trudno mieć do nich pretensję – odparł Schlichtmann, nie odwracając się od okna. – Wszystkiemu winni są przysięgli. Z jakiegoś powodu nie uznali moich argumentów. Pewnie nie chcieli się wychylić.

Gordon popatrzył na Kileya i Crowleya.

– Jan był dzisiaj cholernie dobry, jeszcze nigdy nie widziałem go w takiej formie. Doprowadził Eustisa do łez, kiedy opowiedział mu, co przeszedł Patrick Toomey przed śmiercią. A ten drań podsumował: „To straszne, ale pieniądze nie przywrócą chłopcu życia”. A potem zwrócił się do Jana z ojcowską radą: „Ta sprawa nie jest warta waszego poświęcenia. Jeśli zdecydujecie się na proces, możecie stracić wszystko. Więc może lepiej schować broń do kabury i zaoszczędzić coś na rozpoczęcie nowej sprawy”. Stwierdził też, że sześć milionów sześćset tysięcy to kupa forsy. „Będziecie mogli już zaraz ogłosić zwycięstwo”.

Schlichtmann odwrócił się, podszedł do stołu i stanął obok Gordona. Wziął jabłko z koszyka, będącego podarunkiem od kierownictwa hotelu, w zamyśleniu odgryzł kawałek, kiedy zauważył butelkę wina. Wyciągnął ją spośród owoców i popatrzył na nalepkę.

Gordon bacznie go obserwował.

– To było bardzo ciekawe doświadczenie, lekcja pogładowa – rzekł. – Zostałem w znacznym stopniu wyleczony z egoizmu.

Schlichtmann zaśmiał się krótko.

– Mogę powiedzieć to samo.

Z drugiego końca pokoju odezwał się Kiley:

– Mamy kłopot, Janie. Etyka nakazuje, byś poinformował klientów o tej ofercie. W końcu to prawie po milionie dolarów na rodzinę.

– Z tym rzeczywiście będzie kłopot – przyznał Schlichtmann. – Od piątego września sędzia zacznie eliminować kolejnych powodów, począwszy od Zonów. Na drugi ogień pewnie pójdą Kane’owie i Anne Anderson. To nas wykończy.

– Trzeba działać szybko – rzekł Kiley. – Bądźmy realistami. Czy mamy szansę wywalczyć dziesięć milionów, żeby zakończyć sprawę?

– Ona już jest skończona – zawyrokował Conway, podciągając spodnie. Bez przerwy nerwowo dreptał dookoła. – Naszym największym zwycięstwem był kelner z wczorajszej kolacji.

Zapadło milczenie. Na zmianę to siadali, to znów zaczynali krążyć po urządzonym krzykliwie saloniku o ścianach oklejonych satynowaną, różową tapetą i zastawionym ciężkimi fotelami o połączanych poręczach. Za oknem miasto złoć się w promieniach słońca.

– Łobuzy – powtórzył cicho Phillips.

Schlichtmann westchnął ciężko.

– Chyba jednak wciąż mamy wybór. Kombinuję na różne sposoby i nijak nie mogę uznać tej sprawy za beznadziejną. Gdybym doszedł do takiego wniosku, od razu bym się starał wyciągnąć dla klientów, ile się da, zapewniając sobie jakieś sutenerskie honorarium. Pod żadnym pozorem nie dopuszczę jednak, aby sytuacja finansowa kancelarii rzutowała na moje podejście do sprawy.

Kiley skrzywił się szyderczo.

– Czy ty naprawdę musisz stracić dom, zrujnować sobie zdrowie i karierę, a do tego zawęzić horyzonty myślowe? W końcu wszystko sprowadza się do forsy. Tu nie chodzi o nic innego. Możesz wywalczyć po pół miliona dla każdej z rodzin, co im pozwolić opłacić naukę dzieci w college’ach. Sądziś, że miałbyś się czego wstydić? Pół miliona dla tych ludzi to naprawdę uczciwe odszkodowanie.

Schlichtmann odkorkował butelkę, nalał trochę wina do kieliszka i ostrożnie pociągnął łyk. Oblizwał wargi, a po chwili upił więcej.

– Niezłe.

– Musimy jak najszybciej zakończyć tę sprawę, niezależnie od wyniku – wtrącił Conway. – Doprowadziliśmy ją tak daleko, jak tylko się dało. Ale na tym koniec.

Schlichtmann znów podszedł do okna i zapatrzył się na miasto. Wydawało się, że ma dość tej dyskusji i powędrował myślami gdzieś daleko. Kiley ciągnął jednak dalej. Przypomniał, że gdy przed tygodniem wracali z Nowego Jorku, tego dnia, kiedy nadawano program *Good Morning America*, Donny Robbins nie było nawet stać na taksówkę z lotniska do Woburn.

– Dla tych ludzi to naprawdę kupa forsy. Myślisz, że odszkodowanie będzie się dla nich równało przegranej? Pół miliona dolarów?

– To beznadziejne, absolutnie beznadziejne – mruknął Conway. Krawat mu się przekrzywił, a usta wygięły w wyrazie skrajnego obrzydzenia. – Przy tym składzie przysięgłych nie mamy szans na korzystny wyrok. Wiesz o tym równie dobrze jak ja. Nie jestem nawet pewien, czy dotrzemy do piątego września, sędzia może nas wcześniej załatwić. To naprawdę koniec.

Schlichtmann stał jak posąg, nie odpowiadał.

Gordon spojrzął na Phillipsa.

– Ty też uważasz, że to koniec, Mark?

– Owszem – powiedział cicho Phillips. – Nie rozumiesz, Janie, że sędzia ma ochotę obciąć ci jaja? Nic już nie dasz rady zrobić. Znaleźliśmy się w okrażeniu, jak na wzgórzu Pork Chop.

– A co się stało na Pork Chop? – spytał Gordon.

– Obrońcy zostali wybici do nogi.

– To prawda – powiedział Schlichtmann, odwracając się w ich stronę. – Ale nie poddali wzgórze.

Gordon westchnął.

– Więc co robimy, do jasnej cholery? Zaczynamy etap medyczny czy nie?

– W sprawie Velisicolu zapadł wyrok na korzyść powodów – rzekł Jan, nawiązując do niedawnej rozprawy z Tennessee, w której mieszkańcy oskarżyli właściciela składowiska odpadów przemysłowych o spowodowanie ich rozlicznych kłopotów zdrowotnych.

Kiley zaśmiał się gardłowo.

– Ale tam chodziło o trzysta tysięcy beczek, z których różne świństwa wyciekały przez wszystkie szczeliny.

– A na terenie zakładów Grace’a odkopano tylko sześć beczek, z czego dwie puste – mruknął zrezygnowany Gordon.

Schlichtmann wybuchnął tak gwałtownym śmiechem, że aż wino pociekło mu po brodzie. Conway popatrzył na niego ze zdziwieniem, lecz zaraz i on się zaczął śmiać. Chwilę później zawtórował im Phillips, a potem Kiley. Wkrótce wszyscy rechotali na cały głos, trzymając się za brzuchy. Kiedy po minucie śmiech zaczął cichnąć, atmosfera była już całkiem rozładowana.

– Macie rację – powiedział Schlichtmann, ocierając łzy z twarzy. – Zaślepiła nas chciwość. Ale to nic złego, mieliśmy przez to silną motywację. Chcieliśmy uczynić precedens, wygrać głośną sprawę polityczną. Gdybyśmy od początku traktowali ją jak zwykłą sprawę cywilną, już dawno byśmy ją załatwili polubownie.

– I wiesz już, co chcesz dalej robić? – spytał Conway z nadzieją, że Jan uzna sprawę za zakończoną, przyjmie warunki ugody i uwolni ich wreszcie od tego brzemienia.

Schlichtmann zastanawiał się przez chwilę.

– Nikt z was nie cierpi tak jak ja – powiedział w końcu. – I nikt bardziej nie pragnie zakończenia tej sprawy. Ale nie mogę jej zakończyć tylko dlatego, że cierpię.

– Teraz wzięłyś piętnaście milionów od ręki? – zaciekał się Phillips.

– Pewnie.

– To czyste szaleństwo! – wykrzyknął Kiley. – Omal nie skoczyliśmy sobie do oczu, ustalając żądania. A teraz chcecie mi wmówić, że za piętnaście milionów to sprawa polityczna, a za osiem tylko zwykła cywilna?

– Więc co robimy do piątego września? – naciskał Conway. – Nie chodzi mi o płacenie rachunków, tylko o robotę, o wszystkich bieglech. Mamy kontynuować przygotowania?

– Jest jeszcze jeden kłopot, personel kancelarii – odezwał się Gordon. – Ludzie muszą za coś żyć. A my powinniśmy się zająć przygotowaniami. Nic nie wyjdzie z negocjacji, jeśli nie będziemy gotowi do drugiego etapu. To nie jest wybór między czarnym a białym.

Phillips skrzywił się pogardliwie.

– Nie próbuj nas brać pod włos. To do ciebie nie pasuje.

Ale Gordon jeszcze nie skończył.

– W poniedziałek mają nam zabrać te pieprzone komputery.

Schlichtmann spojrział na niego ze zmarszczonymi brwiami.

– Naprawdę?

Gordon przytaknął ruchem głowy.

– Myślicie, że jak zwolnimy ludzi, to dostaną zasiłek dla bezrobotnych?

– A w ogóle płaciliśmy składki? – zapytał Conway.

– Chyba nie – odparł Gordon.

– Zwolnienie ludzi też nam nic nie da, bo nadal trzeba będzie płacić za przepisywanie protokołów.

– Do cholery, znaleźliśmy się w jakimś zaczarowanym świecie czy co? – Gordon znów wpadał w złość. – Nie płaciliśmy nawet zaliczkowych podatków od wynagrodzeń.

– Byłoby chyba lepiej, gdyby nie przedłożyli nam żadnej oferty – rzekł cicho Schlichtmann.

Conway poszedł do sypialni, żeby się spakować. Po chwili Schlichtmann stanął w drzwiach, wciąż trzymając w dłoni kieliszek z winem. Kevin położył walizkę na łóżku, zdjął marynarkę i zaczął ją powoli składać. Jan oparł się ramieniem o framugę i obserwował go w milczeniu.

– To koniec, Janie – powtórzył Conway, układając swoje rzeczy w walizce. – Jeśli przystąpimy do drugiego etapu, sami doprowadzimy się do zguby. Trzeba jak najszybciej zakończyć tę sprawę.

Schlichtmann nie odpowiedział. Wzruszył tylko ramionami, odwrócił się i wyszedł.

Conway popatrzył za nim. Wiedział, że sprawa nie będzie skończona, dopóki Jan o tym nie zadecyduje. I gdy Schlichtmann zniknął mu z oczu, powiedział na głos:

– On zawsze chciałby pójść o krok dalej niż ktokolwiek inny. Bóg jeden wie, jak uwielbia ryzyko. Jeśli podejmie decyzję, że zaczynamy drugi etap, ja się dostosuję. Mam jednak nadzieję, że zmieni zdanie. Bardzo bym tego chciał.

Tropikalny skwar ustąpił nawałnicy deszczu, niebo zaciągnęło się skłębionymi czarnymi chmurami. Wieczorne połączenie z La Guardia do Bostonu zostało opóźnione z powodu ostrzeżenia o tornadzie. Jak Michael Keating później wspominał, stał w zatłoczonej poczekalni, pośród setek innych pasażerów, gdy nagle w drugim końcu sali zauważył wysoką postać Schlichtmanna. Nie miał najmniejszej ochoty na rozmowę, złapał więc swoją torbę i ruszył do bocznego wyjścia

z sali. Myślał, że udało mu się to zrobić niepostrzeżenie, ale za jego plecami rozległ się okrzyk:

– Mike! Zaczekaj!

Stanął w przejściu i odwrócił się. Od przepełnionego kosza przy drzwiach dolatywał fetor nasiąkniętych deszczem śmieci.

Schlichtmann wyraził żal, że negocjacje zakończyły się w ten sposób.

– Moim zdaniem zakończyły się w tym miejscu, w którym powinny – odparł Keating.

– Musimy kontynuować dyskusję – ciągnął Jan. – Nie zrywajmy rozmów, stawiając sztywne żądania. Porozumienie da się osiągnąć tylko z postępowaniem negocjacji.

Obronca nie odpowiedział. Musiał wysłuchać dłuższej tyrady na temat doniosłości „postępu” rozmów i konieczności znalezienia sposobu na polubowne, a więc korzystne dla obu stron zakończenie sprawy.

– Spotkajmy się w Bostonie, w poniedziałek rano – zaproponował Schlichtmann. – pogadamy otwarcie.

Na to Keating nie mógł się zgodzić bez akceptacji Eustisa. Powiedział, że zadzwoni w poniedziałek i przekaże odpowiedź. Rozstali się bez pożegnania.

Obronca przeszedł przez parking i skręcił do sąsiedniego terminalu. Nie mógł się otrząsnąć z zaskoczenia. Kilka godzin wcześniej był przekonany, że do ugody nie dojdzie, bo Schlichtmannowi zależy na rozpoczęciu drugiego etapu procesu. Robił szczegółowe notatki z jego relacji o cierpieniach Patricka Toomeya, sądząc, że słyszy zarys mowy wstępnej. Oceniał zresztą, że byłaby to mowa porywająca.

Odnalazł automat i zadzwonił pod domowy numer Eustisa, który mieszkał w Scarsdale. Odebrała jego żona. Keating wyjaśnił jej, kim jest, i chwilę później w słuchawce rozległ się głos prezesa. Adwokat przeprosił, że zakłóca mu spokój w domu, po czym wyjaśnił:

– Właśnie przed chwilą na lotnisku spotkałem Schlichtmanna. Przyszło mi do głowy, że powinienem pana o tym zawiadomić.

– Tak, rozumiem.

Keating streścił rozmowę z Janem i dodał:

– Nie spotkałem się jeszcze z sytuacją, by komuś tak bardzo zależało na ugodzie. Nie wiem, czy wreszcie skończyły mu się fundusze, czy jest jakiś inny powód.

Eustis podziękował za tę wiadomość.

– Zaczekamy na ich następny krok – powiedział.

3

W Bostonie Schlichtmann stanął przed perspektywą dwudniowej przymusowej beczynności. Sobotnie popołudnie, kiedy słońce stojące nisko nad rzeką Charles pozłacało liczne żagle łodzi pływających po Back Bay, spędzał na łóżku w mieszkaniu Teresy i borykał się z własnymi myślami. Nie miał wątpliwości, że powinien rozpocząć przygotowania do drugiego etapu procesu. Dlatego w naj-

drobniejszych szczegółach rozpatrywał zarówno swoje atuty, jak i czyhające na niego pułapki, traktując to jak nader skomplikowaną partię szachów. Materiał dowodowy składał się z dwudziestu tysięcy stron spisanych zeznań i wielu dziesiątek tysięcy stron opinii lekarskich oraz wyników badań. Na pewno czytałem protokół z drugiego przesłuchania Colvina? – myślał. Czy Lappe rozmawiał z Conibear? A może porozumiał się z Paigenem? Analiza rodzajowa limfocytów T, Studium Harwardzkie, elektrokardiogramy Cohena, pomiary czasu odruchu mrukania wykonane przez Feldmana – to wszystko przypominało bezkresne, zdradzieckie bagno detali. Ilu powołać biegłych? Dwudziestu? Może więcej? W porównaniu z czekającymi go przejściami pierwszych pięć miesięcy rozprawy zdawało się teraz prostym ćwiczeniem dla początkujących studentów prawa.

Teresa zajrzała do pokoju i spytała, czy chce zjeść obiad. Burknął, że nie jest głodny. Ale gdy tylko zaczęła smażyć omelet, przybiegł natychmiast. Pożarł go tak łapczywie, jakby właśnie zakończył długotrwałą głodówkę, po czym zapytał, czy ma coś jeszcze. Wyjęła z zamrażalnika gotową pizzę.

– Nie chcę jej, to trucizna – powiedział.

Teresa i tak ją upiekła, a Jan zjadł całą, opróżniając do niej pół butelki piwa. Później wrócił na łóżko, włączył telewizor i zaczął bezmyślnie przerzucać kanały, nie zatrzymując się na żadnym dłużej niż przez kilka sekund.

Nadal była w kuchni, kiedy usłyszała jego paniczne, pełne przerażenia wołanie. Pobiegła do sypialni. Leżał z rozrzuconymi nogami i stopami zwieszonymi za krawędzią łóżka, jedną rękę przyciskał do piersi.

– To chyba zawał – jęknął. – Boli mnie tak, że nie mogę oddychać.

Sprawdziła mu tętno, było przyspieszone, ale miarowe.

– To tylko atak nerwowy – powiedziała.

W apteczce miała walium, które kiedyś przepisał jej lekarz. Przełamała jedną tabletkę na pół i zaniosiła mu.

– Weź, zaraz poczujesz się lepiej.

– Co to jest? – zapytał.

Kiedy wyjaśniła, orzekł stanowczo, że nie weźmie leku.

– Piłem alkohol, mógłbym dostać halucynacji.

– Przecież to bzdura. Wypiłeś tylko szklankę piwa.

Pomyślała, że jeśli on nie połknie walium, ona będzie musiała to zrobić. Wróciła do kuchni, wlała resztę piwa do szklanki, wrzuciła tabletkę i rozgniotła ją łyżeczką. Wypił, niczego nie podejrzewając. Pół godziny później przełączanie kanałów w telewizorze wyraźnie straciło tempo i wkrótce Jan zapadł w głęboki sen.

W poniedziałek rano, 11 sierpnia, Schlichtmann spotkał się z Keatingiem w kawiarni na parterze hotelu „Meridien”, stojącego naprzeciwko gmachu sądu federalnego. Oznajmił, że zależy mu na ugodzie, gdyż byłoby to „pozytywne” rozwiązanie dla zakładów Grace’a. Kiedy obrońca zapytał, dlaczego w ogóle rozważa porozumienie w tych kategoriach, powiedział:

– Bo wolę być postrzegany jako człowiek, który potrafi zamienić najgorszy senny koszmar w zdarzenie pozytywne, a nie tylko jako ktoś, kto wywołuje wojnę.

Keating wyjaśnił, że zdaniem Eustisa każde polubowne odszkodowanie, a zwłaszcza tak wysokie, jest równoznaczne z przyznaniem się do winy. Zapadł wyrok niekorzystny dla koncernu, toteż teraz ugoda sugerowałaby, że pozwany całkowicie zgadza się z tym wyrokiem. Co więcej, prezes obawiał się efektu „stada hien”. Wpłata odszkodowania mogłaby zachęcić innych adwokatów do szukania w Woburn następnych klientów, mających nadzieję wzbogacić się bez konieczności występowania przed sądem.

Schlichtmann doskonale rozumiał te obawy, uważał jednak, że działają na jego korzyść. Wnioskował, że to nie pieniądze są największym zmartwieniem Eustisa, lecz powszechny odbiór ewentualnej ugody – sposób przedstawienia jej w prasie oraz wpływ na zatamowanie fali dalszych pozwów. Te sprawy musiały być dla prezesa koncernu znacznie ważniejsze od pieniędzy.

– A gdybyśmy założyli – podsunął Schlichtmann – że da się tak sformułować warunki porozumienia, by gwarantowały brak następnych żądań ze strony mieszkańców Woburn?

Brak dalszych wystąpień? Zdaniem Keatinga to powinno zainteresować Eustisa.

– Czy można też zakładać, że jeśli zwiększycie ofertę, a ja obniżę żądania, to uda się znaleźć jakąś sumę, która wszystkich zadowoli?

– Można – odarł Keating.

Jedyny problem polegał na tym, że Eustis przebywał na urlopie i żeglował samotnie po Long Island Sound. Nie można się było z nim skontaktować, a miał wrócić do pracy dopiero za tydzień.

Do następnego poniedziałku trwały narady Schlichtmanna ze współnikami. Nowa strategia ugodowa powoli nabierała kształtów. Przed 5 września, podczas wstępnego posiedzenia, Keating powinien wystąpić z wnioskiem o unieważnienie procesu, uzasadniając, że zapadł wyrok niewspółmierny do wagi dowodów obciążających, na co Jan miał się zgodzić, dając jednocześnie Skinnerowi do zrozumienia, iż spełnia jeden z warunków szykowanej ugody. Wszczęcie nowego postępowania służyłoby wyrobieniu opinii, że kierownictwo koncernu nie poczuwa się do winy. W dodatku można było namówić mieszkańców Woburn, by w rozmowach z dziennikarzami winą za zatrucie studni obarczyły garbarnię Beatrice Foods i inne przedsiębiorstwa z północnej części miasta.

Kileyowi ten plan przypadł do gustu.

– Według mnie to znakomity pomysł. Możemy im dać wszystko, czego zapragną, jeśli zapłacą dwanaście milionów dolarów.

Conway znowu kręcił nosem. Jego zdaniem Eustisowi chodziło wyłącznie o pieniądze.

– Przecież to proste. Naprawdę boi się tylko tego, że wypłata odszkodowania wywoła efekt stada hien, wszystkie inne obawy to zwykłe mydlenie oczu. Nie twierdę, że są bezpodstawne, uważam tylko, że ich nic nie obchodzą.

- Mylisz się, obchodzą – powtarzał Schlichtmann.
- Jednak Conwaya nie tak łatwo było przekonać.
- A co będzie, jeśli rzeczywiście próbują nam tylko mydlić oczy i nie zaofe-
rują ani centa więcej ponad tych sześć milionów sześćset?
- To nie zawrzemy ugody – oznajmił Jan takim tonem, jakby musiał tłumaczy-
czyć rzeczy oczywiste. – Rozpocniemy drugi etap.

Na kilka sekund zapadła grobowa cisza.

- Wpadliśmy jak śliwka w kompot – mruknął w końcu Gordon.
 - Nie, wpadliśmy w bardzo poważne tarapaty – poprawił go Conway.
- Schlichtmann powiódł spojrzeniem po przyjaciółach.
- Nie możemy przyjąć takich marnych groszy jak sześć milionów sześćset
tysięcy – rzekł spokojnym tonem. – Nie zostałyby nic po odliczeniu kosztów i wy-
nagrodzeń ludzi, musiałbym więc pojechać do Woburn z pustymi rękami i powie-
dzieć klientom: „Bardzo dziękuję za przywilej reprezentowania was w tej sprawie”.

Wątkowali ten temat przez cały tydzień, wciąż wprowadzając jakieś poprawki do szykowanej strategii. W kółko powtarzało się to samo: ze stanu desperacji wyłaniała się nadzieja, przeradzała w radość, a ta znowu ustępowała miejsca przygnębieniu. Schlichtmann przekazał wiadomość Keatingowi, ale musiał czekać kilka dni na odpowiedź. Gdy wreszcie obrońca zadzwonił w piątek rano, oznajmił tylko, że nie jest upoważniony do żadnych ustaleń i trzeba poczekać na powrót Eustisa.

Tego popołudnia, gdy Conway w swoim pokoju rozmawiał z aplikantem, a sekretarki w kuchni popijały kawę, z gabinetu Schlichtmanna doleciał głuchy łoskot, a po nim odgłosy jakichś ciężkich przedmiotów spadających na podłogę. Chwilę później rozległy się okrzyki:

- Ratunku! Pomocy! Zabiję się! Jak amen w pacierzu!

Wszyscy wybiegli na korytarz. Conway ostrożnie uchylił drzwi, sekretarki ciekawie zaglądały mu przez ramię. Schlichtmann klęczał za biurkiem. Objął rękoma głowę i powoli osunął się na podłogę.

- Boże, pomóż mi! – jęczał.

Patrzyli na niego w osłupieniu, bali się nawet poruszyć. Tymczasem Jan przelazł pod biurkiem, zadarł głowę i spojrzął na nich z dołu. Nie wstając z klęczek, wyprostował się tak szybko, że aż uderzył potylicą w kant biurka.

- Czy jestem już na samym dnie? – zapytał.

Conway przytaknął ruchem głowy.

- Który dziś jest?
- Piętnasty sierpnia – odparła Kathy Boyer.
- Zostało jeszcze dwa tygodnie do końca sierpnia? Wspaniale! To kupa czasu! – Popatrzył na dwóch młodszych asystentów. – Jak wam idzie robota?
- Świetnie – mruknął jeden z nich bez przekonania.
- Nie trzeba wam w czymś pomóc? – spytał Schlichtmann i zachichotał.

Conway wybuchnął śmiechem na myśl, że Jan w tym stanie mógłby komukolwiek w czymś pomóc.

Schlichtmann dźwignął się na nogi i nieco chwiejnym krokiem ruszył do drzwi.

– W porządku, już dobrze – powiedział. – Nic mi nie jest.

Peggy Vecchione przecisnęła się przez tłum i jednym spojrzeniem ogarnęła podłogę zasłaną książkami, sprawozdaniami, protokołami, listami, rachunkami, długopisami oraz rolkami perforowanych taśm z aparatury medycznej. Na blacie pozostał jedynie komputer, ale monitor był przekrzywiony ekranem do podłogi.

– Przynajmniej masz wreszcie porządek na biurku – powiedziała, kiedy ją mijał.

4

Schlichtmann przystanął na zalanym słońcem chodniku i popatrzył na fasadę biurowca koncernu Grace'a, którego od skrzyżowania Szóstej Alei i Czterdziestej Trzeciej Ulicy oddzielał niewielki skwer, przez co obłożone marmurem, żłobione kolumny portyku sprawiały wrażenie pni olbrzymich drzew. Masywny gmach zdawał się kryć w sobie nieujarzmioną potęgę, a on czuł się jak karzełek stojący przed gigantem.

Poprzedniego dnia Eustis powiedział przez telefon:

– Może pan przylecieć, kiedy panu pasuje.

Schlichtmann zabrał ze sobą Gordona. Drogę z „Helmsley Palace” pokonali razem pieszo, tu jednak Gordon życzył mu szczęścia i serdecznie uściśnął rękę, zwracając uwagę, że adwokat ma silnie spocone dłonie. Ruszył dalej, przeszedł przez ulicę, ale obejrzał się raz i drugi, zaniepokojony, że Jan ciągle stoi z zadartą głową, wpatrzony w budynek. Zaczekał na Szóstej Alei do czasu, aż tamten zniknął w drzwiach, dopiero wtedy poszedł z powrotem do hotelu.

Schlichtmann wszedł do windy wyłożonej jakąś kosztowną ciemną boazerią i pojechał na czterdzieste dziewięte piętro, gdzie mieściły się biura zarządu. Strażnik wpuścił go przez ciężkie przeszklone drzwi z elektromagnetycznym zamkiem, uprzejmie poprosił o wpisanie się do książki gości i dał plakietkę identyfikacyjną. Jan usiadł na kanapie w recepcji i powiódł wzrokiem po prawdziwych dziełach sztuki wiszących na ścianie, połyskujących niczym klejnoty w blasku nakierowanych na nie punktowych reflektorków. Nie docierały tu żadne odgłosy pracy biurowej, ani przytłumione rozmowy, ani dzwonki telefonów, tylko delikatny szum wentylatorów. Poczul, że jest straszliwie spięty, jakby nawet w tych murach widział dla siebie zagrożenie.

Wieczorem, przed odlotem do Nowego Jorku, wybrał się do Woburn na rozmowę z Anne Anderson. Przyjęła go w małej, mrocznej kuchni ranczerskiego domu przy Orange Street, podczas gdy dwa z hodowanych przez nią kotów kręciły mu się wokół nóg. Przy stole kuchennym dyskutowali o przebiegu drugiego etapu rozprawy. Powiedział wtedy, że niewielkie są szanse na osiągnięcie ugody z koncernem Grace'a, a uzyskanie korzystnego wyroku jest w przybliżeniu równie prawdopodobne jak porażka. Zbliżali się do końca długiej i wyczerpującej drogi. Później Anne zaczęła bezgłośnie płakać, łzy pociekły jej po policzkach. Wytarła je

papierową chusteczką. Wyjaśniła, że przeraża ją perspektywa zajęcia miejsca dla świadków. Obawiała się, że straci nad sobą panowanie, załamie się czy wpadnie w histerię. Próbował ją pocieszać, lecz ku swemu zdumieniu poczuł, że i jemu lży cisną się do oczu. Przy porysowanym laminowanym stole w ciemnej kuchni zapadło milczenie, przez jakiś czas oboje szlochali.

Teraz, kiedy czekał na Eustisa, uderzyło go, jaka niesamowita, niepojęta przepaść dzieli te dwa bieguny amerykańskiego społeczeństwa, z którymi się stykał – od maleńkiej kuchni popadającego w ruinę ranczerskiego domu we wschodnim Woburn do tej tętnącej spokojem dźwiękoszczelnej recepcji jednego z największych i najbogatszych koncernów w kraju.

Wkrótce zjawiała się jakaś kobieta i poprowadziła go wyłożonym miękką wykładziną korytarzem do gabinetu prezesa. Eustis ubrany w koszulę z krótkimi rękawami, podniósł się zza biurka i przywitał Jana z szerokim uśmiechem. Sprawiał wrażenie bardzo ożywionego, widoczna opalenizna świadczyła o tygodniowym urlopie spędzonym na jachcie na wodach Long Island Sound. Dobrze zbudowany i szczupły, nie wyglądał na swoje lata, mógł uchodzić za mężczyznę w sile wieku, choć w rzeczywistości planował odejście na emeryturę. Zajmował olbrzymi narożny pokój z panoramicznymi oknami od podłogi do sufitu, za którymi rozciągał się widok na drapacze chmur południowego Manhattanu, rzekę Hudson i Palisady. Schlichtmannowi ten wielki gabinet wydał się nadzwyczaj skąpo umeblowany, prawie całkiem pusty. Pod przeciwległą, oddaloną ścianą – jakby patrzyło się przez odwróconą lornetkę – stała kanapa, dwa fotele i stolik kawiariany. Na biurku, będącym misternym osiemnastowiecznym antykiem, zapewne francuskim oryginałem wartym niezłej fortuny, stał tylko aparat telefoniczny, a obok leżała pojedyncza kartka papieru. Kiedy prezes wskazał mu krzesło przed biurkiem, Schlichtmann usiadł sztywno, z dłońmi na kolanach. Czuł się bardzo niezręcznie.

Zaczął się od luźnej rozmowy. Eustis zadał parę grzecznościowych pytań o samopoczucie, zwracając się do Schlichtmanna po imieniu, potem krótko opowiedział o swoim urlopie na jachcie. Oświadczył, że czasem wspaniale mu się wypoczywa w samotności.

Schlichtmann wyobraził sobie, jak Keating porozumiewa się z nim przez radio: „Tak, panie Eustis. Oczywiście, panie Eustis”. obrońca zawsze zwracał się do swego klienta z pełnym uniżenia szacunkiem. On jednak nie musiał tego robić.

– W porządku – powiedział prezes. – Przejdźmy do rzeczy.

Schlichtmann zaczął omawiać warunki proponowanej ugody, która powinna zapewnić „spokój w Woburn”. Eustis słuchał w milczeniu, od czasu do czasu kiwając głową. Wreszcie zapytał o wielkość polubownego odszkodowania.

– Chyba możemy się dogadać, uwzględniając zarówno wasze potrzeby, jak i nasze, na sumę niższą od dwudziestu milionów dolarów.

Prezes zagryzł wargi, przymknął oczy i krótko energicznie pokręcił głową.

– A konkretnie?

– Al, w ten sposób do niczego nie dojdziemy.

– Zamierzasz udawać nieśmiałego? – zapytał Eustis z uśmiechem.

– Ależ skąd. Domagasz się konkretnej sumy, ale ja nie chcę wymieniać kolejnych, coraz niższych kwot, na które uparcie będziesz mówił: nie.

Rozległo się pukanie do drzwi. Weszła sekretarka i podała prezesowi kartkę. Jan zauważył tylko, że była zapisana odręcznie. Eustis przebiegł ją wzrokiem, zmiał i wyrzucił. Spojrzał na zegarek, po czym zaproponował:

– Co byś powiedział na wspólny lunch? Zapraszam do Klubu Harvardzkiego.

Schlichtmann nabrał przekonania, że ktoś, może nawet sam Peter Grace, przysłuchiwał się tej rozmowie i wydawał Eustisowi polecenia. Przekazał na kartce, aby zabrać gościa na lunch. Rany boskie, nie mam najmniejszej ochoty iść z tym człowiekiem do żadnego klubu, pomyślał. Czuł się niezręcznie i niepewnie, a poza tym wcale nie odczuwał głodu. Musiał jednak podtrzymać rozmowę. Prezes wstał i sięgnął po marynarkę, toteż Jan także podniósł się z miejsca.

Kilkaset metrów dzielące biurowiec od klubu pokonali pieszo. Eustis był w świetnym humorze. Sypał dowcipami i opowiadał z przejęciem o swoim żeglowaniu. Na początku Schlichtmann próbował coś odpowiadać, ale słabo mu to wychodziło. Wkroczyli do chłodnego, mrocznego wnętrza klubu – istnego sanktuarium z dala od ulicznego zgiełku – gdzie ludzie zagłębieni w przepaścistych, obitych skórą fotelach przeglądali „The Wall Street Journal” bądź porozumiewali się półgłosem w niewielkich grupach. Eustis zwrócił jego uwagę na portret Teodora Roosevelta i wiszące obok prezydenckie trofeum, spreparowany łeb zabitego zwierzęcia.

Schlichtmann, coraz bardziej zakłopotany, bąknął:

– Rety, w takim otoczeniu załatwia się pewnie mnóstwo transakcji.

Prezes uśmiechnął się wyrozumiale i pokręcił głową.

– Obowiązuje niepisana reguła, że nie prowadzi się tu żadnych interesów.

Jana coś ścisnęło za gardło. Eustis należał do innego świata, który dla niego chyba już na zawsze miał pozostać całkiem obcy. Zaczął się zastanawiać, jak dotrwa do końca lunchu, nie wracając do sprawy.

Kierownik sali zaprowadził ich do stolika. Kelner przyniósł menu i koszyk bułeczek. Schlichtmann utkwiał w nich spojrzenie, miał straszną ochotę wziąć bułkę i przełamać ją w palcach tylko po to, żeby zająć czymś ręce, ukryć zdenerwowanie. Ale gdy pomyślał o okrucinach na śnieżnobiałym obrusie, zdusił w sobie pragnienie.

W milczeniu przejrzeni jadłospis. Jan zamówił smażoną flądę oraz lampkę białego wina. Eustis zaczął ze znużeniem mówić o winach i sztuce ich wytwarzania. Powiedział, że lubi z żoną napić się do obiadu dobrego wina. Schlichtmann, dla którego był to zupełnie obcy temat, odpowiadał pojedynczymi słowami. Nadmieniał jednak, że przed rokiem podczas wycieczki zwiedzał winnice w Napa Valley. Szybko wyczerpał jednak zasób swej wiedzy i rozmowa utknęła w martwym punkcie. Później Eustis zaczął opowiadać o swoich dzieciach, już dorosłych, zachynających własne kariery. Jan znowu nie miał nic ciekawego do dodania. Dopiero gdy prezes zapytał go, dlaczego wybrał prawo, mógł się trochę rozgadać o swoim biurze w Newburyport i procesie Eatona. Później znów przerwy w rozmowie zaczęły się wydłużać. Każda wymiana zdań kończyła się niezręcznym

milczeniem, ale Eustisowi najwyraźniej to nie przeszkadzało. Wszystkie myśli Schlichtmanna sterowały w kierunku Woburn, tylko o tej sprawie mógłby dyskutować bez końca, ale już na początku skutecznie zamknęto mu usta.

Wreszcie kelner przyniósł na srebrnej tacy rachunek i położył go między nimi. Eustis nawet na niego nie spojrział. Zapytał Schlichtmanna, czy na pewno nie chce się napić kawy, ale Jan odmówił po raz kolejny.

Rachunek zaczynał go niepokoić. Nie wątpił, że powinien zapłacić Eustis, który go tu zaprosił. Ten jednak spokojnie sączył kawę, nie zwracając uwagi na zdradliwy świstek leżący dokładnie w połowie dzielącej ich odległości. Może on się spodziewa, że to ja zapłacę? – rozmyślał Jan – W końcu zażądałem od jego firmy wielomilionowego odszkodowania. Miał jednak przy sobie tylko jedną kartę kredytową, wystawioną na Gordona, którą dostał od niego rano w hotelu. A jeśli Eustis zwróci uwagę, że podpisuję rachunek nie swoim nazwiskiem? – myślał gorączkowo. – Co będzie, gdy się zorientuje, że jestem tak samo splukany jak pierwszy lepszy obdartus z Central Parku?

Prezes jednak uregulował rachunek, podpisał go szybko, ledwie rzuciwszy nań okiem.

Ledwie zdążyli wyjść z Klubu Harwardzkiego na ulicę, Schlichtmann natychmiast podjął przerwana dyskusję.

– Al, nie mogę ci podać konkretnej sumy, jeśli i tak się na nią nie zgodzisz. Nie sądzisz chyba, że zacznę przelicytowywać samego siebie.

– Mimo wszystko oczekuję konkretnej propozycji – odparł Eustis. – Do niczego nie dojdziemy, jeżeli nadal będziesz unikał konkretów.

Szli z powrotem w kierunku siedziby zarządu. Schlichtmann zachodził w głowę, co dalej robić. Eustis ewidentnie nie chciał się angażować w typowe negocjacje, polegające na wzajemnych ustępstwach, które Jan doskonale znał z dotychczasowych kontaktów z przedstawicielami towarzystw ubezpieczeniowych. Wyglądało na to, że Conway miał rację. Wymieniane obawy o „spokój w Woburn” musiały być tylko mydleniem oczu. Prezesowi chodziło wyłącznie o pieniądze.

Przez jakiś czas Schlichtmann szedł ze wzrokiem wbitym w ziemię.

– W porządku – odezwał się wreszcie. – Możemy się umówić na drugie spotkanie po południu? Podam ci wtedy konkretną sumę.

Stanęli przed biurowcem koncernu.

– Jeśli chcesz się z kimś porozumieć, udostępnię ci pokój z telefonem – zaproponował Eustis.

Siedziba firmy nie zaliczała się jednak do tych miejsc, skąd Jan chciałby prowadzić tego rodzaju rozmowy.

– Nie, dziękuję. Lepiej wrócę do „Helmsley Palace”.

Prezes obojętnie wzruszył ramionami.

Z hotelu Schlichtmann natychmiast zadzwonił do swego bostońskiego biura. Conway odebrał telefon w sali konferencyjnej i przełączył rozmowę na głośnik.

– Do tej pory jedynie zafundował mi lunch – zaczął Jan, po czym zrelacjonował Conwayowi i Phillipsowi przebieg spotkania, nie wspominając tylko, jak bardzo czuł się nieswojo w Klubie Harvardzkim. Na zakończenie rzekł: – Chyba nic z tego nie wyjdzie. Wciąż domaga się konkretnej sumy. Powtarza to jak katarzynka. I co mam mu powiedzieć? Ni stąd, ni zowąd zażądać piętnastu milionów?

– Raczej powinienes zacząć od nieprzekraczalnej granicy. Piętnaście milionów mogłoby być tylko punktem wyjścia w zwykłych negocjacjach – podsunął Conway.

– Jesteś gotów, żeby zacząć się targować od tego poziomu? – spytał Phillips.

– O czym ty mówisz, Mark?! – huknął Schlichtmann ze złością. – Eustis w ogóle nie chce negocjować! Zachowuje się jak kupiec. Nie mam innego wyjścia, jak dostosować się do jego taktyki. Chyba rzeczywiście będę musiał mu wyjawić naszą nieprzekraczalną granicę.

– Piętnaście milionów to nie jest nasza nieprzekraczalna granicą – odparł cicho Phillips.

– A ile?

– Nie ustaliliśmy.

– Może dwanaście? – rzucił błagalnym tonem Schlichtmann.

– Jak Eustis to usłyszy, to pewnie postawi ci także obiad – rzekł ironicznie Conway.

Phillips przysunął sobie notatnik i zaczął gorączkowe obliczenia, pozostawiając ciężar prowadzenia rozmowy Kevinowi. Przez kilka minut bębnił w klawisze kalkulatora, wreszcie powiedział:

– Dobra, mam propozycję. Co powiesz na takie rozwiązanie: po milionie dwieście tysięcy jednorazowo dla każdej z rodzin i po pięć tysięcy miesięcznie przez trzydzieści lat? To daje w sumie szesnaście milionów dwieście.

– Mnie się podoba – odparł Jan.

– Nieważne, czy ci się podoba, tylko czy jest do przyjęcia.

– Nie powinniśmy przygotować pisemnej propozycji ugody? – wtrącił Gordon, który siedział w hotelu przy drugim aparacie.

– Przestań się wygłupiać! – ofuknął go Phillips.

– Tak byłoby chyba lepiej – uznał Schlichtmann. – Sprawiałoby wrażenie konstruktywnej propozycji.

O szóstej wieczorem ponownie zadzwonił do Bostonu.

– Kiedy przyszedłem, Eustis stał przy oknie i podziwiał panoramę miasta – przekazał Conwayowi i Phillipsowi. – Chciał wziąć mój płaszcz, ale się na to nie zgodziłem, bo miałem w kieszeni kartkę z wyliczeniami. Powiedziałem, że jestem gotów do omówienia naszej propozycji. Wyjął z szuflady notes i zapisywał kolejne sumy, wreszcie powiedział: „No cóż, to dla mnie za dużo. Trzeba było zadzwonić i przekazać te żądania przez telefon, nie musiałbyś iść pieszo taki kawał drogi”. Pomyślałem, że to koniec i trzeba się stamtąd zbierać. Ale Eustis położył nogi na biurku, na tym swoim francuskim antyku, i zachęcił, że-

bym zdjął marynarkę, i zrobił to samo. Czuję się jak krety. Przez pewien czas nie mówił o niczym innym, tylko o wygodzie i relaksie. „No, śmiało”, powtarzał, „rozluźnij się trochę”. Wreszcie oznajmił: „Sześć milionów sześćset tysięcy to kupa forsy”. Na to ja: „Pozwól, że coś ci wyjaśnię. Na same przygotowania wydaliśmy już ponad dwa i pół miliona”. Zdjął nogi z biurka, wstał i zaczął łązić z kąta w kąt. Potem znów sekretarka przyniosła mu jakąś wiadomość. Przeczytał ją, podarł kartkę i rzekł: „Sądzisz, że powinienem to wziąć pod rozwagę?” Zapytałem więc: „A ty nie widzisz takiej możliwości?”. Oparł: „Nie, w żadnym wypadku”. Dopiero po chwili dodał: „Zresztą nie mogę niczego wykluczyć. Decyzja nie zależy tylko ode mnie, będę musiał przedyskutować tę propozycję z resztą zarządu”.

Schlichtmann urwał, jakby się nad czymś zamyślił, po czym ciągnął:

– Chyba nastąpił przełom. Odniosłem wrażenie, że Eustis miał swobodę decyzji do wysokości dziesięciu milionów, zażądaliśmy jednak więcej, dlatego musi się naradzić ze współnikami. Poprosił, żebym został do jutra. Co prawda ocenił, że raczej nie uzyska zgody, ale cały ten cyrk ze zdejmowaniem marynarki i kładzeniem nóg na biurku według mnie wskazuje, że i jemu zależy na ugodzie. Na pewno by nie prosił, żebym został w Nowym Jorku, gdyby miał tylko zaoferować osiem milionów. Był podekscytowany, niezwykle ożywiony, co wydało mi się niepodobne do niego. Wspomniał, że zadzwoni do Charlesa Erharta z Maine i paru innych bubków. Mamy się spotkać jutro o jedenastej.

Erhart był naczelnym dyrektorem administracyjnym koncernu i wiceprezesem rady nadzorczej. Phillips uznał, że to dobry znak.

– Zapowiada się obiecująco – powiedział. – W każdym razie zaczęli się liczyć z naszymi żądaniami.

Tego wieczoru Schlichtmann kładł się do łóżka z nadzieją, ale w duchu nakażywał sobie ostrożność. Po tak długiej huśtawce euforii i przygnębienia raczej nie mógł już ufać własnym przecuciom. I w takim też stanie wewnętrznego rozdarcia odebrał nazajutrz rano telefon od Eustisa.

– Nie da się podjąć decyzji już dzisiaj – powiedział prezes. – Zadzwoni do mnie jutro koło jedenastej. Zostaniesz w Nowym Jorku?

Schlichtmanna zatkało. Bąknął niepewnie, że może poczekać do jutra. Kiedy odłożył słuchawkę, Gordon wrzasnął:

– Kurwa! Z jakiej racji mam tu siedzieć jeszcze jeden dzień, gapić się bezmyślnie w telewizor i czyścić buty do połysku?! Zadzwoni do niego i powiedz, że wyjeżdżamy!

Jan, całkiem już zdezorientowany, posłusznie zadzwonił i przekazał sekretarce prezesa, że jednak zdecydował się wracać do Bostonu.

– Proszę powtórzyć, żeby Al zadzwonił do mojego biura.

– Co się stało? – zapytała ironicznie. – Nie podoba się panu w Nowym Jorku?

Przez cały następny dzień w kancelarii przy Milk Street wszyscy czekali na telefon od Eustisa. Phillips, który w nocy nie zmrzął nawet oka, zajął się lekturą traktatu Clausewitza *O wojnie*. Kiedy odłożył książkę na stół, otworzyła się sama na rozdziale zatytuowanym „Odwrót po klęsce”. To kolejny omen, powiedział Schlichtmannowi.

Conway tępo wyglądał przez okno swego gabinetu. W biurze panowała atmosfera zaraźliwej ospałości. W pewnej chwili Phillips wszedł do pokoju i usiadł przy biurku, lecz jeszcze przez pewien czas panowało milczenie. Wreszcie Conway westchnął ciężko.

- Nie poszedłbyś do kina?
- A który jest dzisiaj? – zapytał Phillips.
- Dwudziesty pierwszy sierpnia, czwartek.

Mark przyłożył dłoń do skroni, jakby dokuczał mu nieznośny ból głowy.

– Dłużej tego nie wytrzymam – mruknął. – Nawet nie ustaliliśmy dotąd nieprzekraczalnej granicy, a już za dwa tygodnie ma się rozpocząć drugi etap procesu. Najdalej jutro trzeba osiągnąć porozumienie.

– Jak chcesz to zrobić? – zainteresował się Conway.

– Może warto położyć uszy po sobie i jeszcze trochę zmniejszyć żądania? Jan naprawdę nie jest gotów do drugiego etapu.

Po chwili wstał i powlókł się do gabinetu Schlichtmanna. Ten siedział bez ruchu, jak manekin na wystawie sklepowej. Na jego biurku nadal nic nie leżało z wyjątkiem kartki z wiadomością od Normy Nathan, polującej na sensacje dziennikarki „Boston Herald”, która szykowała doroczną listę najatrakcyjniejszych bostońskich kawalerów i chciała umieścić na niej Schlichtmanna. Do tego celu wystarczyła jej w zasadzie tylko jedna informacja: wysokość rocznych dochodów.

– Powiedz, że jesteś jednym z czterech chętnych do podziału miliarda – poradził Phillips.

Jan podarł kartkę i wyrzucił do kosza.

Siedzieli w milczeniu, czekając na telefon. Phillips palił jednego papierosa za drugim i obserwował w napięciu, jak smugi dymu wiją mu się wokół palców. Schlichtmann patrzył przez okno na grupę turystów.

– Nagle wszyscy przestali do nas dzwonić, nawet wierzyciele? – odezwał się w końcu. – Mamy jeszcze jakieś inne sprawy?

Phillips przypomniał o pani Gallagher, której pękł tętniak mózgu. Zajmował się jej przypadkiem, kiedy ława przysięgłych obradowała nad wyrokiem w sprawie Woburn. Nie ukończył przygotowań, więc nie można było jeszcze przystąpić do procesu, lecz Phillips zastanawiał się już nad warunkami ugody, gdyż ta mogłaby im zapewnić dopływ gotówki. Poprosił więc Schlichtmanna, żeby się skontaktował z rzecznikami pozwanych.

Jan energicznie pokręcił głową.

- Przecież to zajmie najwyżej minutę.
- Nie teraz, później.

Schlichtmann odchylił się na oparcie fotela, splótł palce za głową i popatrzył w sufit.

– Przypominam sobie, jak pięć lat temu pojechałem do Woburn i przekonywałem ludzi, że to beznadziejna sprawa, zbyt kosztowna, długotrwała i niegwarantująca żadnych efektów. Wtedy jej akta miały najwyżej centymetr grubości, w teczce było tylko wstępne sprawozdanie Centrum Badań Epidemiologicznych i podpisane przez Mulligana indywidualne umowy z klientami. Ile razy spojrzalem na tę pieprzoną teczkę, rzygać mi się chciało.

Dołączył do nich Conway. Klapnął ciężko na kanapę i zasluchał się w te reminiscencje. Schlichtmann spojrział na niego.

– Sądysz, że powinienem był rozmawiać z Eustisem, a nie z sekretarką?

– Oczywiście. Przecież zapowiedziałeś mi, że lecisz do Nowego Jorku, żeby podpisać porozumienie.

– Gordon nakrzyczał na mnie, że nie ma zamiaru dłużej tam siedzieć. Kazał mi zadzwonić i przekazać, że wyjeżdżamy. Więc zadzwoniłem.

– To był szczyt głupoty i przejaw słabości – ocenił Conway, ale w jego głosie dominował smutek, a nie złość.

– Zatem popełniłem jeszcze jeden błąd.

Conway nie odzywał się więcej, siedział ze zmarszczonymi brwiami, stopą kręcił młynka, a wokół palca owijał sobie pasemko zdecydowanie już za długich włosów. Phillips zaczął się bawić gałką drzwi, otwierał je i zamykał, a postukiwanie zamka było jedynym dźwiękiem słyszalnym w pokoju.

Tego dnia Eustis nie zadzwonił.

Nazajutrz rano Schlichtmann zjawił się w biurze z nowym pomysłem.

– To prawdziwa wojna – powiedział Phillipsowi. – Nie zamierzam się czołgać u stóp Eustisa o parę marnych dolarów. Najlepszą odpowiedzią na tę zniewagę będzie rozpoczęcie drugiego etapu rozprawy. Niewykluczone, że przegramy, ale wyjdziemy z tego z honorem. Gotów jestem zapłacić każdą cenę. Pojadę do Woburn i dam klientom do zrozumienia, że nie będzie żadnej ugody. Powiadomię też biegłych, że nie jesteśmy w stanie im zapłacić. A potem zadzwonię do Eustisa i odrzucę jego ofertę. Piątego września spotkamy się w sądzie, może wtedy zechce przyjąć nasze warunki. A jeżeli nie, to najwyżej w zmniejszonym gronie powodów przystąpimy do rozprawy.

Phillips słuchał tej deklaracji, potakując ruchem głowy.

– Muszę przyznać, że jestem z ciebie dumny – odparł. – To najtrudniejsza decyzja, jaką przyszło ci podejmować w całej karierze. – Urwał na chwilę, a następnie zaczął podśpiewywać: – A jednocześnie całkiem zwariowana, tra la la... Tak samo wariacka, jak zajęcie się tą sprawą, tra la la... Trzeba ściągnąć tego drania Eustisa z postumentu, tra la la...

Schlichtmann zaczął sobie wyobrażać początek rozprawy. Chciał zapełnić widownię mieszkańcami Woburn, sąsiadami i znajomymi powodów, członkami obywatelskiego komitetu ochrony środowiska o nazwie Face.

– Jeśli sędzia nie pozwoli tym ludziom zeznawać, nakłonimy ich, żeby w korytarzu udzielali wywiadów dziennikarzom. Tuż przed rozpoczęciem procesu urządzimy konferencję prasową wszystkich chorych na białaczkę.

– Najbardziej przeraża mnie wizja kapitulacji – mrucał pod nosem Phillips. – Wczorajsze czekanie na telefon Eustisa przepełniło czarę goryczy. To był najohydniejszy, najbardziej poniżający dzień w moim życiu. Całe dwa ostatnie tygodnie były okropne, ale ten poniedziałek będę wspominał najgorzej.

– Damy radę utrzymać biuro za pięćdziesiąt tysięcy dolarów miesięcznie – oznajmił Jan.

Mark popatrzył na niego z ukosa.

– Damy radę i za trzydzieści pięć, za pięćdziesiąt moglibyśmy opływać w dostatki. Pewnie sam byś się zdziwił, jak niewiele w gruncie rzeczy potrzeba człowiekowi. Nawiasem mówiąc, właśnie tak skromnie egzystuje większość podobnych kancelarii.

– Mnie by wystarczyły tylko czyste ubrania.

– Wypierz wszystkie na początku września, a przekonasz się, na jak długo ci to wystarczy. Facher zawsze chodzi w tym samym, poplamionym krawacie. Może i ty powinieneś tego spróbować?

Podjąwszy decyzję, Schlichtmann zadzwonił do Eustisa. Phillips, Conway i Crowley siedzieli przy jego biurku, wpatrując się w napięciu.

– Cześć, Al – zaczął Jan, po czym obrócił się w fotelu tyłem do przyjaciół i wyjrzał przez okno na Milk Street. – Ciekaw jestem, czy już coś uzgodniście... Tak, jasne... Mhm... Oczywiście, to świetni prawnicy... – Słuchał przez pewien czas, wreszcie odpowiedział: – Wygląda na to, że odkryliście bardzo ważne dowody. Jak rozumiem, wycofujesz swoją ofertę. Oczywiście, masz do tego pełne prawo.

Odrzucił się z powrotem i odłożył słuchawkę.

– No to koniec. Eustis dostał sprawozdanie Keatinga, a ten odkrył parę interesujących rzeczy. Przyczyną śmierci Jarroda Aufiero była salmonelloza, a Roland Gamache od siedemdziesiątego czwartego roku pił wyłącznie wodę butelkowaną. Wiecie, co powiedział? „Chyba powinienem poczekać do piątego września i przekonać się, jak na to zareaguje sędzia”. – Zacerpnął głęboko powietrza, spojrzał na Crowleya i dodał z uśmiechem: – Przystępujemy do działania, a ty możesz się od dziś uważać za głównego adwokata procesowego w tej kancelarii. Tylko najpierw uważnie wysłuchaj, co się mówiło o twoim poprzedniku. – Wybuchnął śmiechem.

Phillips także zachichotał i poklepał Crowleya po plecach.

– Na pewno odniesiesz błyskotliwy sukces, a potem stoczysz się na samo dno.

Schlichtmann westchnął głośno.

– Zapowiada się niezły ubaw – mruknął w zamyśleniu.

– Mowa! – Phillips znowu zaczął nucić: – Bez szans na wygraną, nie masz już nic do stracenia.

– Następne pół roku w nędzy – jęknął Conway. – I co ja powiem żonie? – Nikt mu nie odpowiedział, więc sam znalazł rozwiązanie: – Będę musiał skłamać,

że osiągnęliśmy porozumienie. Nie domyśli się prawdy, dopóki nie usłyszysz w wiadomościach, że rozpoczął się drugi etap procesu.

6

Właściciel nie zabrał jeszcze komputerów, jak przepowiadał to Gordon, lecz wszyscy w biurze spodziewali się tego lada moment. Poprzedniego dnia przyszedł technik z elektrowni, żeby odciąć dopływ prądu, ale sekretarka uprosiła go, by się wstrzymał, zadzwoniła do Gordona i ten zaraz przyjechał z wypisanym czekiem.

Gordon bez przerwy narzekał na rosnące długi, nieprzyjemne rozmowy telefoniczne z wierzycielami i napływające pozwы. Phillips słuchał tego z ledwie skrywaną irytacją.

– W każdej chwili mogą przepaść wszystkie dane wprowadzone do komputerów – powtarzał Gordon. – Nie da się temu zapobiec. Nie płacimy za wyposażenie już od listopada.

– Mówiłem, że znaleźliśmy się w bajkowej krainie głupców – odpowiadał Phillips. – I jest nam w niej dobrze.

Gordon narzekał, że nie może nawet zapłacić podatku drogowego za swojego ukochanego mercedesa. Nie stać go też na opłacenie miejsca w garażu, przez co w najbliższym czasie auto zostanie wystawione na ulice, gdzie służby miejskie zaraz je zajmą za nieuregulowane zaległe podatki, jeśli komornik nie dopadnie go pierwszy za niespłacone raty kredytu bankowego.

Phillips nie miał już siły tego słuchać.

– Tak samo cię nie stać na kupno jakiegoś zasranego jachtu i wykupienie miejsca na przystani w Palm Beach. No i co z tego?

W takich sytuacjach Gordon grzmiął, że zły los czyha tuż za progiem.

– Zamknij się wreszcie! W końcu to głównie ty i Schlichtmann ponosisie winę za obecne kłopoty. Wyszliście z założenia, że skoro w drużynie jest gwiazdor na pozycji ćwierćbeka, to nie ma się co martwić o obsadzenie ataku. To przez takie lekkomyślne podejście jesteśmy teraz w tarapatkach. Koniecznie trzeba zmienić reguły gry.

– Mark, przecież to już bez znaczenia, czy koszty sprawy wyniosą dwa czy dwa i pół miliona – rzekł spokojnie Gordon, pragnąc ułagodzić współnika. – Tak czy inaczej, tkwimy w gównie po uszy.

– Mylisz się. Teraz każdy dolar ma już znaczenie.

W czwartek, 28 sierpnia, dzień wstał szary i deszczowy, w powietrzu czuć było nadchodzącą jesień. Conway wyszedł z domu w Wellesley, mając w kieszeni dolara i siedemdziesiąt pięć centów, w sam raz na bilet podmiejskiej kolejki. Od dawna przestał dojeżdżać do pracy samochodem, bo na parkingu przy Milk Street nigdy nie mógł znaleźć wolnego miejsca. Przed wyjściem pokłócił się jeszcze

z żoną o pieniądze. Wbrew zapowiedziom nie okłamał jej w sprawie ugody, wyznał prawdę, że dojdzie do drugiego etapu rozprawy. Omal nie wpadła w furię. Wściekała się głównie na Schlichtmanna, którego obwiniała za ich sytuację finansową, ale do niego miała pretensję za oddanie w zastaw aktu własności domu. Dlatego też Conway jechał do pracy przygnębiony myślami o rosnących wciąż długach i podupadającej kancelarii, wizją utraty domu i żony koczującej z dziećmi na ulicy.

Można było jeszcze tego uniknąć, przyjmując ofertę Eustisa. Nie tylko pozbyliby się wreszcie tej sprawy, ale i zyskali szansę wystartowania od nowa. Przez ostatnie pięć lat zarobili miliony dolarów na innych sprawach, powinni zatem wrócić do takiego trybu działania. Ale Conway wiedział, że to nie będzie proste. Schlichtmann czuł się upokorzony warunkami ugody narzuconymi przez Eustisa. Dlatego wolał stawać przed sądem, ryzykując utratę wszystkiego. Jemu łatwo było podejmować takie ryzyko, bo nie miał na utrzymaniu rodziny. Zapominał jednak o swoich klientach z Woburn. Ostatecznie to oni powinni decydować w kwestii przyjęcia warunków ugody, a nie on.

Takie rozważania całkowicie pochłaniały Conwaya, kiedy czekał na pociąg. Wyjątkowo kupił tego dnia gazetę, został mu więc tylko dolar i czterdzieści centów. Pojął swój błąd dopiero wtedy, gdy w wagonie zobaczył konduktora zbierającego za bilety. Zakłopotany, gęsto przeprasząc, dał mu wszystkie drobne, jakie miał. Konduktor obrzucił go litościwym spojrzeniem i upokorzył jeszcze bardziej, proponując pożyczanie kilku dolarów. Conway – z jednej strony wdzięczny za okazaną mu troskliwość, z drugiej zaś przerażony poziomem biedy, w jaką popadł – nie przyjął propozycji i obiecał solennie, że nazajutrz dopłaci brakującą kwotę.

Tego samego ranka Gordon zaczął przeszukiwać swoje biurko i szafy na akta w nadziei odnalezienia choć jednego krugerranda lub banknotu studolarowego, które mogłyby przeoczyć we wcześniejszych takich akcjach. Z dna którejś szuflady wyciągnął pomietaną niebieską książeczkę oszczędnościową z kasy Brookline Savings. Ostatniej wpłaty dokonano w maju 1962 roku, kiedy miał osiem lat, a stan oszczędności wynosił trzydzieści dziewięć dolarów i czterdzieści dwa centy. Natychmiast zadzwonił do banku z poleceniem likwidacji rachunku, a przy okazji dowiedział się, że po dopisaniu odsetek jego stan wynosi obecnie sto siedemdziesiąt siedem dolarów. To go podniosło na duchu.

W codziennej poczcie, oprócz zwykłej sterty rachunków, ponagieł i gróźb wystąpienia na drogę sądową, czasami trafiała się również pomyślniejsza korespondencja, a tego dnia przysłano mu nową kartę kredytową. Gordon natychmiast wybrał z niej cały kredyt w wysokości trzech tysięcy dolarów, żeby pospłacać najpilniejsze długi, między innymi ratę pożyczki na zakup mercedesa. Kiedy tylko odebrał gotówkę, zadzwonił do banku, w którym zaciągnął kredyt na samochód.

– Cześć, Ron! – przywitał się radośnie. – Mówi twój ulubiony klient!

Przez kilka następnych godzin starał się przez telefon odwieść kolejnych dłużników od podejmowania działań prawnych. Zaczął od tych, którym winni byli

najmniej, i systematycznie posuwał się w górę listy. Pomijał sprawy beznadziejne, jak bank American Express, który już wystąpił do sądu o ściąganie należności, albo chicagowską spółkę Heller Financial, właściciela zestawu komputerowego i innych urządzeń biurowych.

– Mamy spore kłopoty ze zdolnością płatniczą – wyjaśniał księgowemu firmy West Publishing z Saint Paul w Minnesocie, z której rachunek, zwiększający się nieuchronnie już od siedmiu miesięcy, opiewał teraz na trzy tysiące czterdzieści dziewięć dolarów i sześćdziesiąt sześć centów. – Czy nie dałoby się jeszcze odroczyć spłaty zadłużenia?

– Jaką część mógłby pan teraz zapłacić?

– Na razie to niemożliwe.

Przez chwilę w słuchawce panowała cisza.

– A kiedy będzie możliwe?

Gordon wyjaśnił, że w połowie września sytuacja powinna zacząć się klarować, i księgowy zgodził się do tego czasu nie podejmować żadnych kroków prawnych.

Zaczynał mieć coraz lepszy nastrój. Kiedy sekretarka przekazała, że dzwoni Conway, Gordon przełączył rozmowę na głośnik i powitał go z entuzjazmem. Ale dobry humor prysnął jak bańka mydlana, gdy tylko Kevin zaczął wyraźnie roztrzęsionym głosem:

– Jestem naprawdę przerażony. Z samego rana obleciał mnie strach. Pracuję nad pisemnym wyjaśnieniem dla sędziego na posiedzenie, do którego został tylko tydzień, i nagle zrozumiałem, że nie mam pojęcia, co dalej pisać.

Gordon zelektryzowało to, że nawet Conway, zawsze zrównoważony, stąpający twardo po ziemi, teraz zaczyna panikować. Próbował go uspokoić.

– Może się spotkamy i razem spróbujemy wymyślić coś sensownego? Kiedy wraca Charlie?

Nesson wyjechał z rodziną do Montany i miał wrócić pod koniec tygodnia. Po krótkiej wymianie zdań Gordon rzucił:

– Zaraz będę u ciebie.

Zamiast jechać jak zwykle metrem, poświęcił część swego nowego kredytu na taksówkę.

Conway czuł przerażenie na myśl o wstępnym posiedzeniu drugiego etapu rozprawy, wyznaczonym przez Skinnera na 5 września. Teraz, gdy negocjacje zostały zerwane, bardzo wiele zależało od sędziego. Wszystko wskazywało na to, że wykluczy trzy wystąpienia o spowodowanie śmierci na skutek białaczki, ale mógł też podjąć znacznie dalej idące decyzje.

Conway właśnie skończył czytać złożony przez Keatinga wniosek o unieważnienie wyroku i powtórne rozpatrzenie sprawy. W uzasadnieniu obrońca pisał, że nie można rozpocząć drugiego etapu procesu, skoro przysięgli nie zdołali ustalić, kiedy chemikalia spływające z zakładów Grace'a skaziły ujęcia wody. W celu orzeczenia winy Schlichtmann musiałby najpierw udowodnić, że jego klienci byli

narażeni na kontakt z substancjami kancerogennymi, zanim powstało ognisko zachorowań. Ogłoszony wyrok całkowicie mu to uniemożliwił. Dlatego jedynym wyjściem, argumentował Keating, jest rozpoczęcie procesu od nowa.

Zdaniem Conwaya sędzia mógł przyjąć wniosek obrony, chociaż Schlichtmann uważał, że to mało prawdopodobne, bo tym samym Skinner musiałby przyznać, iż pytania postawione przez niego przysięgłym narobiły tylko straszego zamieszania i sprawiły, że pięciomiesięczna rozprawa poszła na marne. W dodatku nowy proces musiałby się dalej toczyć pod przewodnictwem Skinnera, a on miał już po dziurki w nosie tej sprawy.

Nie zmieniało to faktu, że zarówno sam wyrok, jak i kwestie postawione przysięgłym do rozstrzygnięcia zaskoczyły wszystkich. Skinner oświadczył wyraźnie, iż nie widzi możliwości rozpoczęcia drugiego etapu bez ustalenia terminu powstania skażenia. To zaś stwarzało szansę, że teraz zwróci się do przysięgłych, których nikt jeszcze nie zwolnił z obowiązków, o uściślenie werdyktu. Tymczasem Schlichtmann w najmniejszym stopniu nie potrafił przewidzieć decyzji tego składu, nie umiał nawet ocenić, jaka byłaby reakcja przysięgłych na taką prośbę. Obawiał się jednak, że po pięciu miesiącach roztrząsania nudnych problemów sędziowie będą przede wszystkim chcieli jak najszybciej zakończyć ten proces.

– Niewykluczone, że w piątek nastąpi koniec świata – pośepnie zauważył Schlichtmann, zbierając materiały na posiedzenie.

Phillips znalazł w „Wall Street Journal”: krótki opis sprawy, w której o odszkodowanie wystąpiła rodzina kobiety zmarłej z powodu wstrząsu toksycznego. Przysięgli zasądziła dziesięć milionów dolarów, ale sędzia uchylił wyrok i przyznał tylko milion trzysta tysięcy. W postępowaniu apelacyjnym i ta decyzja została uchylona, rodzina zmarłej nie dostała ani centa.

– Matko boska! – jęknął Schlichtmann. – Z dnia na dzień sześć milionów sześćset coraz bardziej mi się podoba.

7

W piątek Jan zauważył Eustisa w pierwszym rzędzie widowni, pogrążonego w lekturze „New York Timesa”. Prezes tylko spojrzął na niego przelotnie, nawet nie skinął głową na powitanie. Schlichtmann postawił teczkę z aktami na stole i zawrócił do barierki. Eustis podniósł głowę, ale nie wstał, ściskając mu dłoń. Nie odezwał się ani jednym słowem, nie uśmiechnął się nawet.

Sędzia Skinner zajął miejsce za stołem sędziowskim, popatrzył na prawników i rzekł:

– Witam ponownie. Mam nadzieję, że wypoczęli panowie podczas urlopu. Jeśli miał to być żart, najwidoczniej nikt go nie zrozumiał.

Tego popołudnia posiedzenie trwało ponad trzy godziny. W pewnym momencie sędzia przerwał Keatingowi i zaproponował, by zwrócić się do przysięgłych o uściślenie werdyktu. Nie uszło uwagi Schlichtmanna, że Keatinga ten pomysł przeraził nie mniej niż jego.

– Sądzę, że byłoby to niebezpieczne – odparł obrońca. – Ta sprawa wzbudziła już zbyt wiele sensacji. Konferencja prasowa, którą pan Schlichtmann zorganizował w Woburn zaraz po ogłoszeniu wyroku, była całkiem nie na miejscu. Przysięgli mogli poznać jej przebieg, szczerze mówiąc, nawet sobie nie wyobrażam, jak mieli tego uniknąć, jeśli choć trochę interesują się bieżącymi wydarzeniami. Mogli nabrać przekonania, że to na nich spada odpowiedzialność za krywdy tych ludzi, a przecież nie o to im chodziło.

– Przepraszam, lecz jeśli nie zamierzali brać na siebie odpowiedzialności, mogli ustalić inny werdykt, prawda? – wtrącił Skinner.

Uzasadnienie wniosku o uchyleniu wyroku niezbyt przypadło sędziemu do gustu, ponieważ zdjął okulary i przez pewien czas siedział w milczeniu, wsparłszy głowę na rękach. Nieco bardziej spodobała mu się odpowiedź Schlichtmanna, który podkreślał, że mieszkańcy Woburn byli narażeni na kontakt z rozpuszczalnikami wylewanymi w zakładach Grace’a co najmniej od września 1973 roku, bo taki termin ustalili przysięgli, a zapewne również i wcześniej.

– Dobra robota – ocenił Skinner, gdy Jan skończył czytać swą odpowiedź. – Być może pańskie argumenty nie są prawdziwe, ale trafiają do przekonania.

Mimo wszystko nie był w pełni zadowolony.

– Sam nie wiem, jak moglibyśmy rozpocząć drugi etap procesu, skoro w pierwszym zapadł tak niejasny wyrok – oznajmił rzecznikom obu stron. – Przyznaję, że bardzo mnie to martwi.

Stało się jasne, że Skinner ma do wyboru dwie możliwości: poprosić przysięgłych o uściślenie werdyktu albo go uchylić i zarządzić powtórny rozprawę. Oświadczył, że potrzebuje trochę czasu do namysłu i powiadomi o swojej decyzji na początku przyszłego tygodnia.

Wreszcie, pod sam koniec posiedzenia, niemalże mimochodem, sędzia dał im odczuć, co myśli o perspektywach drugiego etapu procesu. Doszło do tego, gdy Schlichtmann wspomniał o notatce służbowej przesłanej z zarządu koncernu Grace’a do zakładów w Woburn, w której nakazywano dyrektorowi zaprzestać używania trichloroetyleny.

– Wyraźnie stwierdza się w niej, że trichloroetylen jest rakotwórczy... – mówił Jan.

– Dla ludzi? – przerwał mu sędzia.

– Owszem. Właśnie z tego powodu wycofano go z użycia w innych przedsiębiorstwach.

– Nie sądź, aby na podstawie materiału dowodowego dało się to jednoznacznie stwierdzić – odparł Skinner.

– No cóż... – zawahał się Schlichtmann. – W każdym razie w tej notatce z roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego napisano: „Jest to karcynogen, mogący wywoływać nowotwory...”

– Ale u zwierząt – ponownie przerwał mu sędzia. – W tamtym okresie było wiadomo tylko tyle, że trichloroetylen powoduje choroby nowotworowe skóry u zwierząt, nic poza tym. A i do dzisiaj stan wiedzy w tym zakresie nie uległ więk-

szej zmianie. Na pewno brak jest przekonujących dowodów, że styczeń z tym rozpuszczalnikiem rzeczywiście powoduje raka u ludzi.

Schlichtmann wziął głęboki oddech.

– Jeżeli Wysoki Sąd zapyta, czy na podstawie wykonanych badań można było wnioskować, że trichloroetylen działa kancerogennie na ludzi, odpowiem: Tak, można było. A jeśli Wysoki Sąd zakwestionuje, moją odpowiedź, argumentując, iż przecież większość tych badań przeprowadzono na zwierzętach, przyznam, że to prawda.

– Mówimy więc o raku skóry u szczurów i myszy.

– Choroba zaatakowała również organy wewnętrzne.

– Nieprawda, był tylko rak skóry – upierał się Skinner.

– Jeśli dobrze pamiętam, stwierdzono też guzy na wątrobie.

– Poza tym zwierzętom aplikowano olbrzymie dawki, na pewno nie wyrażane w częściach na miliard. Trudno się dziwić, że zdychały.

Mój Boże, nie mam najmniejszych szans na zwycięstwo przy takim nastawieniu sędziego, pomyślał Jan. Nawet modły nic tu nie pomogą.

Po wyjściu z sądu Schlichtmann, Conway i Phillips poszli prosto do lokalu Pattena. Usiedli przy barze i zamówili whisky.

– Wypijmy za to szczególnie cenne doświadczenie. – Schlichtmann uniósł szklaneczkę w toaście, zakreślił nią lekko i pociągnął łyk alkoholu. – Czuję się tak, jakbym właśnie pochwalał narzeczoną. Więc jak? Mamy przyjąć ofertę Eustisa i skończyć tę zabawę czy brnąć dalej w drugi etap procesu? Gdyby dobro było wyraźnie oddzielone od zła, a w życiu człowiek napotykał drogowaskazy znaczące drogę do bohaterstwa, wszyscy postępowaliby słusznie. Ale tak nie jest, nie ma co czekać na znak z nieba. Do końca nie wiadomo, czy wyjdzie się na bohatera czy na głupca.

Phillips błyskawicznie opróżnił szklaneczkę.

– Wolałbym przystąpić do drugiego etapu, nawet gdybym miał wydać na to ostatniego centa.

Conwayowi wyrwał się złowieszczy pomruk.

– Czyli dobrowolnie ułożyć się na ołtarzu ofiarnym. – Jan zachichotał.

Phillips z poważną miną przytaknął ruchem głowy.

– Najtrudniej jest skapitulować, dużo łatwiej się sflukać do ostatniego centa. Przez te ostatnie trzy tygodnie poznałem siebie znacznie lepiej niż przez całe dotychczasowe życie.

Schlichtmann wybuchnął gromkim śmiechem.

– I pewnie odkryłeś u siebie cechy, o których chciałbyś jak najszybciej zapomnieć.

– No pewnie, gigantyczne pokłady tchórzostwa.

Jan zaczął mówić o swoich wystąpieniach do sędziego, które ciągle układa w myślach.

– Przygotowałem setki przemówień, ale żadnego z nich nie będę miał okazji wygłosić, bo gdy tylko znajdziemy się na sali rozpraw, sędzia powie: „Niech się

pan pochyli, panie Schlichtmann, jeszcze trochę”, a kiedy to zrobię, kijem od szcztoki złoi mi skórę. Proces potrwa pół roku, a przysięgli nie zasądzą nam żadnego odszkodowania. Wtedy sędzia przy stole sędziowskim zauważy: „Co prawda nie wygrałeś, chłopcze, ale odwaliłeś kawał dobrej roboty”. Będę mógł tylko odpowiedzieć: „Pocałuj mnie w dupę”. I ławie przysięgłych powiem to samo: „Pocałujcie mnie w dupę”. A potem odwrócić się do Kevina i powiem: „Chodź, stary, zbierajmy się stąd”.

– I zaczniemy się żywić odpadkami wygrzebywanymi ze śmietników na bostońskim rynku – dokończył za niego Conway.

– Bogactwo, sława i szlachetność... – mruknął Schlichtmann. – O bogactwo wcale nietrudno. O sławę także. Nawet jednoczesne zdobycie bogactwa i sławy jest dość proste. Ale żeby przy tym zachować szlachetność... O to już bardzo trudno.

Na sobotę rano zwołał w swoim biurze zebranie wszystkich klientów. Chciał im przedstawić ofertę Eustisa i poinformować o stanie przygotowań do dalszej części procesu.

Kathy Boyer przyjechała wcześniej niż zwykle, żeby uprzątnąć stopy dokumentów ze stołu w sali konferencyjnej. Zmyła talerze i filiżanki, w dwóch dzbankach zaparzyła świeżą kawę, po czym wyszła do sklepu po herbatniki. Kiedy wróciła, przed kancelarią czekali już Donna Robbins, Kathryn Gamache oraz Kevin i Patricia Kane’owie. Donna zaproponowała jej pomoc w kuchni. Później zjawili się państwo Aufiero, Toomeyowie, Anne Anderson i Zonowie. Wszyscy rozsiedli się w sali konferencyjnej przy kawie i pograżyli w luźnej rozmowie z Conwayem.

Poprzednie takie zebranie odbyło się pod koniec lutego, w przededniu rozprawy. Przed rokiem w luksusowo urządzonej kancelarii panował wzorowy ład. Teraz goście ze zdumieniem spoglądali na oznaki ubóstwa. Rośliny pousychały, a sterczące z doniczek nagie badyle sprawiały żałosne wrażenie. W ścianie ziała ogromna dziura, bo kiedyś Schlichtmann otworzył drzwi z takim impetem, że odbił gałką wielki kawał tynku. W kuchni jarzeniówka denerwująco migotała. Odkurzacze się zepsuły, więc na wykładzinach ciemniały plamy powdeptywanego błota.

Wreszcie do sali wkroczył Schlichtmann. Miał na sobie koszulę z krótkimi rękawami i letnie płócienne spodnie. Schudł jeszcze bardziej i niemal całkowicie osiwił.

– Nasze perspektywy nie przedstawiają się najlepiej – zaczął.

Dalej szczegółowo omówił ryzyko podzielenia się składu przysięgłych na dwa przeciwstawne obozy. Powiedział, że szanse na zwycięstwo mają tylko wtedy, gdy zastosowany zostanie przywilej wątpliwości, czyli kwestie niepewne rozstrzygnie się na ich korzyść. Trzeba się było jednak liczyć z tym, że na każdym kroku obrona będzie próbowała zasiać nowe wątpliwości.

– Największe kłopoty czekają nas, jeśli przysięgli zaczną sobie zadawać pytania: Jak mam podjąć decyzję, skoro lekarze i naukowcy nie są zgodni co do pewnych wniosków? Niewykluczone więc, że obiorą najprostsze rozwiązanie i nie ogłoszą żadnego wyroku.

Dopiero później opowiedział o swojej wyprawie do Nowego Jorku i negocjacjach z zarządem concernu Grace’a w sprawie warunków ugody.

– Zaoferowali polubowne odszkodowanie – powiedział. – Podam wam konkretną sumę, ale chciałbym, żebyście zachowali ją wyłącznie dla siebie. – Powiódł wzrokiem po twarzach klientów. Niektórzy ze zrozumieniem kiwali głowami. – Zaproponowali sześć milionów sześćset tysięcy dolarów, ale później zerwali negocjacje do chwili, aż sędzia podejmie decyzję w sprawie drugiego etapu. Mają nadzieję, że uchyli wyrok albo przynajmniej oddali część wystąpień.

Wszyscy wiedzieli, czyje pozwy mogą zostać oddalone wobec niezgodności z terminem powstania skażenia ustalonym przez przysięgłych.

– Zwykle gdy dochodzi do dyskusji o konkretnych sumach, robi się gorąca atmosfera – ciągnął Schlichtmann. – To w pełni rozumiałe, a w tym gronie tym bardziej, ponieważ chodzi o sprawy osobiste. Dlatego wszyscy musicie zrozumieć, że nadal powinniśmy się trzymać razem. Nie chciałbym słyszeć żadnych skarg, że na przykład Toomeyom należy się więcej niż Robbinsom czy Zonom, bo oni więcej wycierpieli, a zatem ich pozew jest więcej wart.

Urwał, pragnąc ocenić reakcje poszczególnych osób. Ale wszyscy spoglądali na niego z uwagą. Nikt nie zabierał głosu.

– Jeśli wśród ośmiu rodzin nie będzie jednomyślności, znajdziemy się w poważnych kłopotach. Gdyby teraz wynikły jakieś nieporozumienia, stracę pewność, kogo naprawdę reprezentuję. W takiej sytuacji byłoby najlepiej, żeby poszczególne rodziny zaangażowały własnych adwoatów.

Przez pół minuty w sali panowała głucha cisza. Schlichtmann czekał na odpowiedź. Ludzie nawzajem zerkali na siebie badawczo, zastanawiając się, kto powinien pierwszy przemówić.

Richard Toomey, ojciec zmarłego Patricka, zajmował miejsce przy odległym końcu stołu, naprzeciwko Schlichtmanna. Jeszcze przez jakiś czas siedział z przymrużonymi oczami i rękoma szryżowanymi na atletycznej piersi, wyczuł jednak, że to on powinien się pierwszy odezwać. Przemówił dźwięcznym, donośnym głosem:

– To nasza wspólna sprawa. Razem składaliśmy pozew i dalej będziemy się razem trzymali.

Anne Anderson uśmiechnęła się szeroko, poczuwszy ogromną ulgę. Nagle wszyscy zaczęli powtarzać, prawie chórem:

– Jesteśmy jednomyślni! Będziemy się trzymać razem!

Zapanowała luźna atmosfera, wywiązała się otwarta dyskusja nad perspektywami przyjęcia proponowanej ugody i przystąpienia do drugiego etapu procesu. Znowu Toomeyowi przypadł w udziale decydujący głos.

– Zapomnijmy na razie o polubownym odszkodowaniu. Za żadne pieniądze nie chciałbym rezygnować z doprowadzenia sprawy do końca. Ci ludzie są winni skażenia, a mój syn zmarł przez ich głupotę. Nie występowałem do sądu, żeby się wzbogacić. Wszedłem w to, bo pragnąłem osądzenia winnych. I nadal chcę, żeby cały świat się o tym dowiedział.

Większość zgadzała się z tą opinią. Pasquale Zona dodał:

– Ugoda bez wskazania winnych to nie jest żadna ugoda.

Tylko Anne była odmiennego zdania.

– Raczej powinniśmy się pogodzić z tym, że nikt z zarządu Grace’a nigdy nie przyzna się do winy. Prędzej można by czekać sądu ostatecznego.

Ron, syn Pasquala Zony, wysoki i krzepki dwudziestopięcioletek, poczuł się urażony.

– Jak można teraz mówić, że nikt nie jest winien? – zapytał z niesmakiem. – W końcu od początku chodziło o ujawnienie prawdy.

Anne obejrzała się na niego.

– Chyba sam wiesz, ilu specjalistów powtarza, że palenie powoduje raka płuc, a producenci papierosów wciąż temu zaprzeczają. Nie wiem, jak wy, ale ja się nie czuję na siłach odpowiadać na pytania obrońców. Jestem na to za słaba, tak trudno mi się powstrzymać od płaczu. Oni porozgniatają nas jak muchy.

– To tacy sami ludzie jak my – odparł Ron. – Po co w ogóle było zaczynać proces, jeśli teraz mielibyśmy się wycofać? Przecież zaczynaliśmy go właśnie po to, żeby znaleźć przyczynę chorób.

Inni zaczęli wyrażać obawy, że rozpoczęcie drugiego etapu wiąże się z ryzykiem utraty wszystkiego, na co odpowiadano, że takie ryzyko istniało od samego początku. Donna Robbins powiedziała, że ma mieszane uczucia co do perspektyw drugiego etapu.

– W końcu sześć milionów sześćset to dla koncernu niezbyt silnie odczuwalna strata.

Schlichtmann jeszcze przez jakiś czas przysłuchiwał się dyskusji, wreszcie poprosił o uwagę. Zarządził głosowanie. Kto uważa, że mają szansę na zwycięstwo w drugim etapie procesu? Toomeyowie, Zonowie oraz Kevin Kane i Donna Robbins podnieśli ręce. A kto się obawia, że przegrają? Ręce podniosło siedem osób, między innymi Patricia Kane i Anne Anderson.

– Każdy, kto śledził przebieg procesu, musi zdawać sobie sprawę, że w drugim etapie mamy jeszcze mniejsze szanse niż w pierwszym – powiedziała Anne.

Zdania były podzielone, ale z wyjątkiem Rona Zony nikt nie obstawał twardo przy swoim stanowisku. Donna Robbins zapytała, co będzie, jeśli Jan im doradzi przyjęcie ugody, a oni się na to nie zgodzą.

– Zaczniemy drugi etap – odparł Schlichtmann. – Ja was tylko reprezentuję, nie mogę dyktować, co macie robić.

Dopiero pod koniec zebrania Patricia Kane wyraziła głośno wspólne obawy.

– Myślę, że wszyscy woleliby przyjąć ugodę, niż ryzykować oczekiwaniem na niepewny wyrok. I wcale nie chodzi tu o pieniądze, bo wszystkim nam zależy na ujawnieniu winy zakładów Grace’a.

Tuż przed pierwszą klienci wyszli z kancelarii w ponurym nastroju. Schlichtmann pożegnał się z nimi w sali konferencyjnej i został przy stole po zakończeniu zebrania, pogrążony w zadumie. Po chwili wrócił Conway i usiadł naprzeciwko niego.

– I co o tym myślisz?

Jan podniósł głowę i spojrzał na niego z ukosa.

– Przyszło mi na myśl, że reprezentując takich klientów, miałbym kłopoty z wygraniami każdej sprawy.

- Są bardzo podobni do ciebie.
- Nie twierdzą, że to źli ludzie. Warto nadstawić za nich karku. – zamilkł na chwilę, po czym dodał: – Jasna cholera! Bardzo bym chciał, żeby sprawy potoczyły się inaczej.
- Powinieneś zacząć od Anne – podsunął Conway. – W drugim etapie nie znajdziesz lepszego biegłego od niej.
- Bez dwóch zdań to bardzo silna osobowość – odparł Schlichtmann. – Obrona ją zamęczy podczas przesłuchania, lecz ona i tak wyjdzie z tego z honorem.

Tego wieczoru wybrał się z Teresą do restauracji. Po obiedzie poszli do kina na dreszczowiec science fiction pod tytułem „Obcy, ósmy pasażer Nostromo”. Kiedy w niedzielę rano ułożył się na słońcu na płaskim dachu swojego domu, w jego pamięci odżyły sceny z filmu. Odnosił wrażenie, że upodobnił się do jego bohaterów – zorganizował polowanie na potwora, lecz mimo woli z myśliwego stał się zwierzyną. Znalazł się w pułapce. Nie było już żadnych drzwi, które mógłby za sobą zatrzaskać. Nie miał dokąd uciekać.

I w poniedziałek rano przerażenie poderwało go z łóżka. Był przekonany, że właśnie dziś sędzia ogłosi swą decyzję, a jemu ani trochę się ona nie spodoba. Jego zdaniem Skinner musiał nakazać powtórzenie procesu. Wszystko poszłoby więc na marne, trzeba byłoby zaczynać od początku, ale tym razem bez żadnych funduszy, na skraju bankructwa.

Wstał, błyskawicznie się ubrał i pognał na Boston Common. Wbiegł po schodach i skierował się prosto do biura Skinnera. Powiedział woźnemu, że koniecznie musi się zobaczyć z sędzią i Keatingiem w sprawie polubownego załatwienia sprawy. Wyjaśnił, że negocjacje ciągnęły się przez całe lato i szkoda by było, żeby teraz decyzja sędziego wpłynęła na ich rezultat.

Woźny obiecał, że przekaże sędziemu wiadomość, jak również zadzwoni do Keatinga, by się przekonać, czy obronie także zależy na włączeniu się Skinnera do negocjacji. Na zakończenie wspomniał, że sędzia nawet wczoraj, czyli w niedzielę, z powodu wniosku Keatinga zjawił się w biurze, co było wyjątkowym zdarzeniem.

Po przyjściu do kancelarii Schlichtmann przystanął na środku pokoju, wziął kilka głębszych oddechów, podszedł do okna i wyjrzał na Milk Street. Zachodził w głowę, jakie to mogło mieć znaczenie, że Skinner przyszedł do biura nawet w niedzielę. Na pewno nie zamierzał mi ułatwić życia, pomyślał. Później cofnął się do biurka, wziął plik kart chorobowych Patricka Toomeya, zwinął je w rulon i w zamyśleniu zaczął postukiwać nim o brodę. Wreszcie wyrzucił je w powietrze, a gdy rozsypały się wokół jego nóg, popatrzył, którymi stronami odwróciły się ku gorze. Po chwili wyszedł z gabinetu i zajął do sali odpraw. Niewidzącym wzrokiem popatrzył dookoła, omiótł spojrzeniem komputery, szafy na akta, sterty protokołów, grube rulony map wetkniętych na najwyższą półkę regału, między ciężkie dębowe belki stropu. Ponownie odwrócił się i wyszedł. W bibliotece sięgnął po akta nowej sprawy dostarczonej przez jakiegoś neurologa, a dotyczącej

niemowlęcia, które podczas narodzin doznało uszkodzenia mózgu. Usiadł i zaczął je przeglądać.

Conway zastał go w bibliotece pochylonego nad dokumentami. To dobry znak, pomyślał, Jan po raz pierwszy od dawna zainteresował się jakąś inną sprawą.

Schlichtmann wyczuł jego obecność, odwrócił się i zapytał:

– Wiesz, że sędzia może od razu napisać sentencję wyroku korzystnego dla koncernu Grace’a?

A jednak wcale nie myślał o nowej sprawie, przemknęło przez głowę Conwayowi.

– Sądzę, że Eustis będzie chciał poczekać na decyzję sędziego. Jest gotów podjąć ryzyko związane z drugim etapem rozprawy.

Wczesnym popołudniem zadzwonił Keating z wiadomością, że on też by wolał, aby Skinner wstrzymał się z decyzją do czasu zakończenia kolejnej tury negocjacji. Dodał, że już przekazał woźnemu prośbę o kilkudniowe odroczenie drugiego etapu procesu. Dzwonił też do Eustisa, który obiecał skontaktować się ze Schlichtmannem pod koniec dnia.

Jan odłożył słuchawkę i w zamyśleniu popatrzył na Conwaya.

– To bardzo ciekawe – rzekł. – Keating też jest przestraszony. Uważa, że prędzej dogada się z nami w sprawie ugody bez udziału sędziego. Dla niego bezczynne oczekiwanie na decyzję Skinnera również musi oznaczać loterię, tak jak dla nas. Niepewność dokucza jednakowo obu stronom.

Conway przytaknął ruchem głowy.

– Zatem wszystko powinno się rozstrzygnąć na neutralnym gruncie.

Schlichtmann uśmiechnął się tajemniczo.

– Niewykluczone, że odzyskamy panowanie nad biegiem spraw.

– Boże, obyś miał rację.

– Nie twierdzę, że tak będzie. Powiedziałem tylko, że to niewykluczone.

– Jak znam życie, nawet nie ma co dzisiaj czekać na telefon od Eustisa – rzekł Conway.

– Mylisz się. Teraz sytuacja uległa zmianie.

Zadzwonił telefon. Chwilę później Kathy Boyer zajrzała do pokoju.

– Niejaki Grendon.

– A któż to jest, do cholery?! – warknął Schlichtmann.

– Egzekutor długów – wyjaśnił Gordon, który leżał wyciągnięty na wznak na kanapie.

Czekali jeszcze trzy godziny, ale o siedemnastej Eustis w końcu zadzwonił. Conway i Gordon nadal siedzieli w gabinecie. Jak poprzednio, Jan obrócił się w fotelu tyłem do nich. Bardzo długo słuchał w milczeniu, wreszcie powiedział:

– Al, pozwól, że ci wyjaśnię, na czym polega kłopot. Wcale nie próbujemy przekraczać granicy zdrowego rozsądku, ale musimy także myśleć o innych sprawach... Nie, skądże. Wcale nie twierdzę, że to nie do przyjęcia. Jestem jednak przekonany, że gdybyśmy usiedli przy wspólnym stole i pomówili o wszystkim otwarcie, dałoby się znaleźć rozwiązanie satysfakcjonujące obie strony.

Schlichtmann zamknął oczy i lekko ścisnął palcami nasadę nosa. Conway westchnął ciężko.

– Naprawdę nie chciałbyś odwiedzić mojej kancelarii? Nie lubię załatwiać takich spraw przez telefon. Moglibyśmy zejść na do baru... W porządku. Zadzwonię najpóźniej za godzinę.

Jan odłożył słuchawkę i popatrzył na współników.

– Zwiększył ofertę do ośmiu milionów. Dodał jeszcze: „W kasie nie ma ani centa więcej”.

– Przyjmij propozycję i skończmy wreszcie ten cyrk – burknął Conway.

– Chwilę, nie tak szybko. – Schlichtmann zmrużył oczy i popatrzył w sufit, przeliczając coś w pamięci. – Skoro jest gotów wypłacić osiem milionów, to może udałoby mi się wycisnąć dziewięć albo nawet dziewięć i ćwierć, gdybym pojechał do Nowego Jorku?

– Nie sądzę – odparł Gordon. – Znów przemawia przez ciebie chciwość. Próbowaliśmy już naciskać i nic z tego nie wyszło.

– Otóż to, nie bądź zachłanny – wtrącił Conway. – To koniec sprawy.

Jan wziął nie był przekonany.

– Jestem tylko ciekaw, jak daleko poszedłby na ustępstwa.

– A jak to oceniasz po rozmowie telefonicznej? – zapytał Gordon.

Schlichtmann zamyślił się na chwilę.

– Jakby chciał powiedzieć: „Lepiej nie próbuj mnie brać pod włos”.

Gordon pokręcił głową.

– Nie jestem w nastroju do takich zgadywanek. Naprawdę warto zakończyć wreszcie tę sprawę.

– Według jednego z warunków ugody sędziego musiałby unieważnić wyrok i zarządzić nowy proces. To się może nie spodobać naszym klientom.

– Spodoba się – zawyrokował Conway. – Jak prasa skomentuje po milionie dolarów dla każdej z rodzin? Jako nasze zwycięstwo? Chyba tak. – Zdusił niedopałek w popielniczkę, podniósł wzrok na Schlichtmanna i bardzo powoli, z naciskiem dodał: – Skończ to wreszcie. Zamknij sprawę.

Wstał, podciągnął spodnie i wyszedł z pokoju.

– Po odliczeniu wydatków i naszych honorariów każda z rodzin dostałaby tylko około czterystu pięćdziesięciu tysięcy – rzekł Gordon.

– Niecałe pół miliona – mruknął Jan.

– Netto, po odliczeniu podatków.

Conway zadrżał z powrotem do gabinetu.

– Rusz się, Janie. Zrób to od razu.

– Masz rację. – Teraz Schlichtmann westchnął ciężko. – Gdybym pojechał do Nowego Jorku, musiałbym się złościć u jego stóp.

Gordon zachichotał nerwowo.

– To żaden powód do żartów, skoro już tyle razy to robiliśmy. Raczej warto by wreszcie coś zmienić w tej monotonii.

Od ogłoszenia wyroku minęło pięć tygodni. W tym czasie, ilekroć Schlichtmann popadał w przygnębienie, mówił o śmierci, jakby dla niego przegrana w są-

dzie była wystarczającym powodem do samobójstwa. Według jego kryteriów takie warunki ugody oznaczały przegraną. Nadal jednak uważał, że to wcale nie koniec sprawy. Zamierzał się odwołać od wyroku oddalającego zarzuty przeciwko Beatrice Foods, wciąż miał więc szansę wygrania z Facherem w powtórnym procesie. Wcale nie musiał jeszcze zamykać sprawy Woburn. I nie musiał też umierać z jej powodu.

Chciał się dogadać z Eustisem na osobności, Gordon poszedł więc do kuchni, gdzie Conway rozmawiał z Peggy. Musiał jej już powiedzieć, że sprawa jest zakończona i doszło do ugody z koncernem Grace'a, gdyż podskakiwała, klaskała w dłonie i wykrzykiwała radośnie:

– To cudownie! Wreszcie nie będę musiała tu codziennie zmywać naczyń!

Conway obracał w palcach dzbanek do kawy. Odstawił go nagle i powiedział chrapliwym głosem:

– Ciągnęło się to pięć długich lat...

W oczach zakręciły mu się łzy.

Peggy objęła go i przytuliła. Przez parę sekund stali tak bez ruchu.

– Za kilka minut będzie po wszystkim – szepnęła.

Schlichtmann wyszedł na korytarz i zajrzał do kuchni.

– Daje osiem milionów i ani centa więcej. Powiedział, że to i tak zdzierstwo.

Gordon zaczął pospiesznie robić obliczenia na kalkulatorze. Jan zerkał mu ciekawie przez ramię.

– Chciałbym tylko odebrać moje garnitury od Dmitriego, odzyskać zastaw hipoteczny i spędzić urlop na Hawajach – powiedział. – Dolicz mi jeszcze czterdzieści tysięcy w gotówce... Nie, lepiej zamiast gotówki daj mi na Hawaje kartę kredytową. Platynową.

– Nic z tego – odparł Gordon.

– Muszę przecież żyć na jakimś poziomie – zaproponował Schlichtmann.

– Ta cholerna Mastercard ci nie wystarczy? Już widzę, jak wyglądałoby saldo karty platynowej po twoim miesięcznym pobycie na Hawajach.

– Marzy mi się powrót do tej sytuacji, w jakiej byliśmy dwa lata temu. Chciałbym poskładać to wszystko z powrotem do kupy.

– A jak zamierzasz spłacać kredyty z nowych kart, gdy przyjdzie termin ich rozliczenia?

– Znów zacznę polubownie załatwiać kolejne sprawy – odparł Schlichtmann.

Ciuciubabka

1

W poniedziałek rano, 22 września, sędzia Skinner pobłogosławił ugodę o wartości ośmiu milionów dolarów. Przysięgli w sprawie Woburn, wezwani rano przez woźnego sądowego, czekali na górze, w pokoju sędziów. Spodziewali się rozpoczęcia drugiego etapu procesu.

W swoim gabinecie sędzia zapytał Schlichtmanna:

– Mam rozumieć, że każda z poszkodowanych rodzin otrzyma wielotysięczne odszkodowanie?

– Tak.

– W takim razie należy się cieszyć, że doszło do ugody – rzekł Skinner. – Przede wszystkim powinni się cieszyć poszkodowani. Jeśli wziąć pod uwagę wyjątkową złożoność materiału dowodowego, istniało duże prawdopodobieństwo, że strona powodowa niczego nie wywalczy.

Jan nie odpowiedział.

Ostatnie dwa tygodnie były dla niego trudne. Keating stawiał wiele żądań w imieniu koncernu Grace'a. Oświadczył, że nie dojdzie do porozumienia, jeśli sędzia nie zapewni pozwanego, iż wystosuje wniosek o ponowne rozpatrzenie sprawy i unieważni wyrok. Co więcej, domagał się takiego załatwienia sprawy, by ugoda została ujawniona dopiero po ogłoszeniu przez sędziego decyzji o wszczęciu procesu od nowa. To drobne kręctwo irytowało Schlichtmanna, ale musiał na nie przystać, nie miał wyboru. Podejrzewał zresztą, że sędzia i tak chce zarządzić ponowne rozpatrzenie sprawy, a pozbył się wszelkich wątpliwości, gdy Skinner od razu wyraził zgodę na fikcyjną chronologię zaproponowaną przez Keatinga.

– Sędzia nawet nie zamierzał organizować drugiego etapu – powiedział z gorzycą Conwayowi. – Od samego początku chciał nas wydymać. Dostaliśmy forse na godzinę przed tym, jak wszystko rozsypało się w gruzy.

Sprawa przeciwko spółce Grace'a oficjalnie zakończyła się tak, jak i zaczęła, w zapelnionej szczelnie sali sądowej. Sędzia poinformował przysięgłych o ugodzie i podziękował im za pracę. Chwilę później reporterzy pragnący poznać szcze-

góły porozumienia otoczyli Schlichtmanna i Keatinga. obrońca uparł się – a był to kolejny warunek umowy, na który Schlichtmann musiał się zgodzić – że wielkość odszkodowania pozostanie tajemnicą. Jednak wiele osób, przede wszystkim sami poszkodowani, znało wysokość uzgodnionej sumy i w wieczornych dziennikach sieci telewizyjnych mówiono już o „prawdopodobnie” ośmiomilionowej umowie.

Tego popołudnia w Kościele Episkopalnym Świętej Trójcy w Woburn Schlichtmann ogłosił zwycięstwo przed kamerami i tłumem gapiów. Jego klienci, siedzący półkolem przed ekipami telewizyjnymi, złożyli podobne oświadczenia. Niektórzy wyrazili przekonanie, że – według słów Donny Robbins – „cały przemysł amerykański dostał nauczkę”, a więc główny cel wystąpienia do sądu został osiągnięty.

Nie wszyscy obecni w to uwierzyli, nawet ci, którzy byli najbardziej przychylni sprawie. Wielebny Bruce Young, który z boku obserwował konferencję prasową, ocenił z goryczą:

– Założę się, że dzisiaj w centrali zarządu koncernu zostanie zorganizowane huczne przyjęcie.

Gdy rano usłyszał o ugodzie, był wściekły – jak sam to później określił, „wkurzony jak diabli”. Bardzo się zaangażował w tę sprawę i z jego punktu widzenia wzięcie pieniędzy od pozwanej firmy bez ujawnienia jej winy i bez wyrażenia skruchy przez osoby odpowiedzialne było jakby zaprzeczeniem przyświecających im ideałów. W końcu wszystko się zaczęło od walki o zasadę. Przypominał sobie, jak Anne Anderson powiedziała swego czasu, że nie chodzi jej o pieniądze, ale o to, by Peter Grace zapukał do jej drzwi i osobiście ją przeprosił. Tymczasem, według pastora, po schrzanieniu pierwszej i najłatwiejszej części procesu, gdy Schlichtmannowi zjrzało w oczy widmo porażki, sprzedał ich za marne grosze. A jeszcze gorszy jego zdaniem był sposób, w jaki adwokat wykorzystywał obecnie swoje prawnicze umiejętności perswazji, żeby wmówić poszkodowanym, iż rzeczywiście odnieśli zwycięstwo. Wszystko to budziło obrzydzenie Younga.

– Liczyłem, że ta sprawa będzie naprawdę miała jakieś znaczenie – powiedział. – Stało się inaczej.

Wśród poszkodowanych rodzin również powstały niesnaski. Schlichtmann od początku uprzedzał, że gdy tylko zostaną wyłożone pieniądze, sprawy mogą obrać nieprzyjemny obrót. Tak też się stało, choć w nieco innym zakresie, niż się spodziewał. Kilka dni po konferencji prasowej w kościele Świętej Trójcy rodziny spotkały się w jego kancelarii, aby omówić kwestię podziału odszkodowania. Schlichtmann poinformował, że każda z nich otrzyma trzysta siedemdziesiąt pięć tysięcy gotówką, a za pięć lat drugą ratę w wysokości osiemdziesięciu tysięcy dolarów. Koszty przygotowania materiałów wyniosły dwa miliony sześćset, a honoraria prawników dwa miliony dwieście tysięcy. Zwrócił przy tym uwagę, że to jedynie dwadzieścia osiem procent sumy wynikającej z umowy, a więc mniej niż czterdziestoprocentowe honorarium, na które wszyscy się zgodzili, podpisując pełnomocnictwo.

W czasie spotkania nikt nie zgłosił sprzeciwu. Później jednak, gdy Donna i Anne wracały razem do Woburn, ta ostatnia wyraziła się z oburzeniem o wielko-

ści adwokackiego honorarium. Według niej prawnicy nie powinni otrzymać więcej niż poszkodowani.

– Sądzę, że Jan zasłużył na te pieniądze – powiedziała Donna. – Wykonywał całą pracę. My musieliśmy tylko przychodzić na zebrania.

– Ale on nie stracił dziecka – odparła Anne.

– Mam nadzieję, że nigdy nie będzie musiał przejść przez to samo, co my.

Tego wieczoru Anne nie odzywała się więcej, lecz dla niej nie był to jeszcze koniec sprawy. Ostatnio z coraz większą niechęcią myślała o Schlichtmannie. Denerwowały ją jego maniery, protekcyjnalne traktowanie swoich klientów, jakby miał do czynienia z gromadką dzieci. Tylko dzięki jej wysiłkom doszło do procesu, a mimo to ani ona, ani żaden inny z powodów nie miał większego wpływu na podejmowane decyzje. Ilekroć jej zdanie różniło się od jego, zawsze odpowiadał: „Zaufajcie mi. Zaufajcie mi”. Powtarzał to setki razy. Drażniło ją takie podejście, ale najbardziej martwiła się coraz bardziej dręczącą świadomością, że teraz, po zakończeniu procesu, zupełnie przestał się nimi interesować. Zyskiwała przekonanie, że wykorzystał ich do zaspokojenia własnej ambicji, zdobycia sławy i bogactwa.

– Robiłam to wszystko dla mojego dziecka, dla Jimmy’ego – tłumaczyła później. – Na początku mieliśmy szczytne ideały. Nie chcieliśmy, żeby taka sama tragedia przydarzyła się innym. Lecz zanim jeszcze wszystkie nasze kontakty z Janem dobiegły końca, poczułam się zhańbiona. Ten proces wzbudził we mnie obrzydzenie.

Nadal powtarzała, że wcale nie chodziło jej o pieniądze. Ale dla Schlichtmanna, jak twierdziła, tylko one się liczyły. Doszła więc do wniosku, że skoro dla adwokata ważny był tylko zysk, ona przyjmie taką samą postawę. Dość szybko jej argumenty znalazły podatny grunt u Zonów, których znała już od piętnastu lat.

Nie mogli zakwestionować honorarium Schlichtmanna, skoro według podpisanych kontraktów zgodzili się oddać mu czterdzieści procent uzyskanego odszkodowania. Ale mogli zrobić to w stosunku do wydatków kancelarii, obliczonych na dwa miliony sześćset tysięcy dolarów. Kiedy zgłosili adwokatowi swoje zastrzeżenia, zaproponował, aby wynajęli księgowego, który sprawdzi setki rachunków. Przystali na tę propozycję, a księgowy podał w wątpliwość koszty przepisywania protokołów, stawki godzinowe, wypłaty za nadgodziny i wiele innych pozycji. Anne i Zonowie zaangażowali innego adwokata. Pewnego wieczoru Ronald Zona zadzwonił do Donny Robbins, by wciągnąć ją do grona poszkodowanych. Powiedział wprost, że Schlichtmann ukraść im pół miliona dolarów.

– Jakim sposobem? – zdziwiła się Donna. – O jakich pieniądzach mówisz?

– O wydatkach, którymi w ogóle nie powinniśmy zostać obciążeni – wyjaśnił.

– Przecież Jan nigdy nie prosił o pieniądze – odparła. – Za nic nie musieliśmy płacić. Uważam, że nie masz racji.

Schlichtmann oświadczył jednak, że nie będzie się spierał z niezależnym księgowym. Postanowił zwrócić klientom całą zakwestionowaną sumę. Księgowy przedstawił listę najbardziej wątpliwych wydatków, sięgających w sumie osiem-

dziesięciu tysięcy dolarów. Ale gdy Jan chciał podzielić tę kwotę równo między wszystkie rodziny, żadna – poza Anne Anderson i Zonami – nie przyjęła od niego pieniędzy.

Schlichtmann rzeczywiście był hojny, leżało to w jego naturze. Nigdy nie oszczędzał na kosztach przygotowań do rozprawy, a przecież w Woburn można było wywiercić jeszcze więcej studni kontrolnych i przeprowadzić następne serie badań lekarskich. Nawet nie miał szans dorównać kancelarii Foleya, Hoaga i Eliota, której koncern Grace’a zapłacił za obronę siedem milionów dolarów, albo firmie Hale’a i Dorra, która zarobiła kolejne miliony od Beatrice Foods.

Jak się okazało, przedstawione wydatki były tylko częścią rzeczywistych kosztów poniesionych przez kancelarię, bo trzeba było do tego doliczyć pensje i premie wypłacane sekretarkom, asystentom i aplikantom oraz fundusze na prowadzenie biura i nadzwyczajne zakupy. Zwykle koszty te pokrywa się z honorariów napływających rytmicznie z kilku innych prowadzonych równolegle spraw. Ale przez ostatnie dwa lata cały personel był zaangażowany w sprawę Woburn. Z prawników najwięcej skorzystał Joe Mulligan, który jako pierwszy pojechał do Woburn i podpisał kontrakty z poszkodowanymi. Pięć lat wcześniej w barze „Najmniejszym”, za cenę drinka i paru pochlebstw, przekonał Jana, by przejął od niego sprawę. Teraz jednak zażądał odstępnego. Schlichtmann zaprotestował, tłumacząc, że jego były szef poświęcił sprawie niecały tydzień. Mulligan złożył pozew w Sądzie Najwyższym. Chcąc uniknąć procesu, Jan zgodził się zapłacić mu trzysta pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

Jednocześnie Adwokaci Procesowi na Rzecz Sprawiedliwości Społecznej zaczęli się domagać sześciuset czterdziestu ośmiu tysięcy za pomoc Anthony’ego Roismana w początkowej fazie przygotowań. Schlichtmann spotkał się z zarządem stowarzyszenia w hotelu przy lotnisku na obrzeżach Chicago. Razem z nim przylecieli Gordon i Phillips. Spotkanie trwało cały dzień. Zarząd uznał, że sprawa została źle poprowadzona, wydatki były za duże, a polubowne odszkodowanie za małe. Phillips, dając wyraz obrzydzeniu, wyszedł z zebrania. Gordon załamał się i rozpłakał ze złości. Siedząca obok niego kobieta, prawniczka z Kalifornii, zajmująca się sprawami uszkodzeń ciała, syknęła lodowatym tonem:

– Przecież nikt do pana osobiście nie ma żadnych pretensji.

Schlichtmann nawet nie próbował się specjalnie bronić. Ale nie mógł też zapłacić stowarzyszeniu pełnej sumy wynikającej z podpisanej przed laty umowy. Ostatecznie zarząd zgodził się przyjąć trzysta tysięcy dolarów.

Pewnego wieczoru, podczas obiadu, Phillips zapytał Jana, czy żałuje, że wziął sprawę Woburn.

– Czy żałuję?! – wykrzyknął Schlichtmann i zaśmiał się gardłowo. – Jakbyś pytał kalekę, czy żałuje tej chwili, kiedy zdecydował się przebiec przez jezdnię i wpadł pod autobus. Przecież ta sprawa zrujnowała mi życie!

Wierzyście nie dawali im spokoju. Gordon przystąpił do spłacania długów, w tym również milionowej pożyczki od Wujka Piotrusia. Gdy wreszcie cały ze-

spół – czyli Nesson, Kiley i Tom Neville oraz Gordon z Phillipsem – odebrał swoje wynagrodzenia, a wśród personelu biurowego rozdzielono sto tysięcy dolarów premii, Schlichtmannowi zostało zaledwie trzydzieści tysięcy. Uwolnił się od długów, ale nie miał też pieniędzy, żeby odzyskać porsche. W dodatku Gordon nie mógł mu załatwić nowych kart kredytowych, gdyż w bankach kwestionowano jego wiarygodność. Conway i Crowley, którzy nie byli aż tak zadłużeni, odebrali po sto tysięcy dolarów honorarium. Oczywiście odzyskali też prawa własności swoich domów. Pragnąc przekupić niezadowoloną żonę, Conway kupił jej na gwiazdkę prawdziwe futro i kamerę wideo, aby mogła filmować dzieci.

Dopiero po nowym roku Conway poznał pełne rozmiary klęski, jaką ponieśli. Gordon nie spłacił wszystkich długów i nie odłożył żadnych pieniędzy na podatki.

2

W grudniu Schlichtmann wyjechał na miesięczny urlop na Hawaje. Podczas jego nieobecności Agencja Ochrony Środowiska opublikowała raport z wynikami przeprowadzonego rok wcześniej, jeszcze przed rozpoczęciem procesu, dynamicznego testu działania pomp studni G i H. Na ich podstawie specjaliści stwierdzali, że oba koncerny, Grace'a oraz Beatrice Foods, są odpowiedzialne za skażenie wód podziemnych w dolinie Aberjony oraz miejskich ujęć wodociągowych. W trakcie konferencji zorganizowanej w Woburn kierownik projektu badawczego agencji oświadczył, że teren garbarni jest najbardziej zanieczyszczonym fragmentem doliny i Beatrice Foods w największym stopniu przyczyniło się do zatrucia ujęć wody.

W świetle tych ustaleń przysięgli popełnił błąd. Wody podziemne, pochodzące spod piętnastoakrowego lasku, rzeczywiście spływały prostopadle do nurtu rzeki w kierunku studni miejskich, jak twierdzili biegli Schlichtmanna. Biorąc pod uwagę odległość dzielącą skażony las od ujęć, wynoszącą tylko dziewięćdziesiąt metrów, powinno to być oczywiste nawet przed ogłoszeniem wniosków Agencji Ochrony Środowiska. Tak oto werdykt w tej sprawie stał się najlepszym dowodem, że system kontryktoryjny oraz skostniałe procedury i zwyczaje sądowe mogą przesłonić rzeczywisty obraz. A zdaniem Schlichtmanna to sędzia wprowadził przysięgłych na manowce.

Od samego początku było jasne, że Skinner silnie różnicuje zarzuty stawiane obu pozwanym firmom. Już po procesie dokonał kilku dodatkowych ustaleń. Między innymi zawyrokował, że na podstawie materiału dowodowego należy uznać, iż wody podziemne spod piętnastoakrowego lasku nie dopływają do ujęć G i H. A ponieważ przysięgłym zostawił do rozstrzygnięcia nader złożone kwestie, ten jeden podstawowy problem nie został wyjaśniony. Dlatego sędzia sam wziął na siebie ten obowiązek i tym sposobem znacznie utrudnił złożenie apelacji od wyroku w sprawie przeciwko Beatrice Foods. W efekcie dał Schlichtmannowi do zrozumienia, że nawet gdyby przysięgli orzekli na jego korzyść, on uchyliłby wyrok i oczyścił pozwaną firmę z zarzutów.

Mimo że skażenie piętnastoakrowej posesji było oczywiste, Schlichtmann nie znalazł niezbitych dowodów na to, że za jej stan odpowiada osobiście Riley. Chyba na tym polegał cały problem. Janowi nie udało się znaleźć świadka, którego zeznania byłyby przełomowe dla sprawy, takiego jak Al Love, ujawniający tajemnice zakładów Grace'a.

Przed wyjazdem na Hawaje Schlichtmann obiecał rodzinom z Woburn, że złoży odwołanie od wyroku w sprawie Beatrice Foods. Nesson podjął się napisać wniosek i osobiście go uzasadnić przed Federalnym Trybunałem Apelacyjnym, a Jan z chęcią na to przystał. Był szczęśliwy, że może się zająć czymś innym.

Po powrocie do Bostonu zaczął pracować nad trudną sprawą dotyczącą błędu w sztuce lekarskiej, na skutek którego u pacjentki nastąpiło pęknięcie tętniaka mózgu. Jego kancelarii były bardzo potrzebne pieniądze, i to szybko. Brak rezerw na opłacenie podatków spowodował, że zaczęli go nachodzić najbardziej natrętni wierzyciele: agenci Federalnego Urzędu Skarbowego.

Nie udało się jednak doprowadzić do ugody i w kwietniu Schlichtmann z Conwayem rozpoczęli proces. Na jego przygotowanie wydali trzydzieści tysięcy dolarów, które znowu pożyczili od Wujka Piotrusia. Po dwóch tygodniach przesłuchań ława przysięgłych rozpoczęła naradę. Schlichtmann spacerował nerwowo przed drzwiami sali rozpraw. Wyrok, ogłoszony cztery dni później, był dla niego niekorzystny. Jan zaczął się zastanawiać, czy kiedykolwiek jeszcze zdoła wygrać. Zła aura z Woburn zdawała się promieniować na wszystko, czego się tknął.

W tym samym czasie zerwała z nim Teresa. Byli razem przez pięć lat. Jeżeli nawet żałował rozstania, niczego po sobie nie okazał.

– One świetnie potrafią zwąchać, kiedy kończą się pieniądze – twierdził, mając na myśli kobiety w ogóle, a w szczególności Teresę, od dawna nieszczęśliwą w ich związku.

Wydawało się, że zła aura z Woburn pozbawia go nawet szacunku dla samego siebie.

Wobec braku wpływów długi firmy znowu zaczęły rosnąć. Akt własności domu Cowaya wylądował z powrotem w sejfie Wujka Piotrusia w Banku Bostońskim. Tej wiosny odłączono domowy telefon Schlichtmanna. Chcąc zadzwonić, musiał chodzić aż na Charles Street, do automatu przy remizie straży pożarnej. Korzystał z niego do spółki z podejrzanym bookmacherem, który ani trochę nie był zadowolony z takiego współnika. Wciąż wybuchały kłótnie na temat długości prowadzonych rozmów.

Komornik zajął wszystkie meble Schlichtmanna, zostawił mu tylko jeden olbrzymi fotel. Jan ściągał z niego piankowe poduchy i robił sobie legowisko na podłodze. Kiedy potrzebował stołu, układał je w stos i siadał przed nim po turecku. Posiłki jadła również w tej pozycji. Żywił się głównie najtańszymi konserwami z tuńczyka. Od czasu do czasu Kiley zabierał go na obiad, a po wyjściu z restauracji wciskał mu do kieszeni studolarowy banknot.

Nesson od kilku miesięcy pracował nad apelacją w sprawie Beatrice Foods. Sporządził proceduralną historię przypadku i zgromadził wszystkie formalne argumenty przeciwko arbitralnym ustaleniom Skinnera dotyczącym werdyktu, brakowało mu jednak wiedzy Schlichtmanna o wszystkich szczegółach sprawy. Dlatego przekazał mu wstępną wersję wniosku i poprosił o pomoc w zakresie materiału dowodowego.

Schlichtmann ocenił, że profesor doskonale się spisał. Wniosek był świetnie uzasadniony i poparty cytowanymi precedensami. A najlepsze było to, że Nesson wykorzystał własne słowa sędziego, aby wykazać, że Skinner sam dostrzegł popełniony błąd przy ustalaniu odpowiedzialności prawnej właściciela nieruchomości i jego obowiązku zlikwidowania zagrożenia.

Oszacował, że uzupełnienie brakujących szczegółów zajmie mu około trzech dni. Początkowo czytanie protokołów z procesu przypominało rozdrapywanie świeżych ran. Ale im dłużej czytał, tym bardziej był wściekły na Skinnera, a im bardziej był wściekły, tym większej nabierał pewności, że jego klienci powinni wygrać apelację. Trzy dni przeciągnęły się najpierw do tygodnia, potem do miesiąca. Kiedy Conway przychodził rano do biura, zastawał Schlichtmanna od dawna pogrążonego w pracy.

On sam sceptycznie oceniał ich szanse. Naciskał na przyjaciela, żeby poświęcał choć trochę czasu również innym sprawom i nie wiązał zbyt wielkich nadziei z apelacją. Ale Schlichtmann go nie słuchał.

Złożył wniosek apelacyjny w środę, 7 czerwca. W poniedziałek zadzwonił do niego Neil Jacobs. Facher przebywał w Anglii, gdzie prowadził cykl wykładów z prawa amerykańskiego na Uniwersytecie Oksfordzkim. Jacobs zapoznał się właśnie z jego wnioskiem i chciał porozmawiać.

– To wspaniała poezja – powiedział wieczorem.

Zaproponował ugodę, jeżeli Schlichtmann wycofa apelację. Oferował około dwustu tysięcy dolarów, czyli równowartość adwokackich honorariów, które Beatrice Foods musiałoby wypłacić za obronę w czasie postępowania apelacyjnego.

Jan pokręcił głową.

– Nie wygrasz – oznajmił Jacobs. – Gdyby nawet wniosek został przyjęty, spotkasz się z sędzią najwcześniej za trzy lata.

– I co z tego? A może ja lubię się katować? – odparł Schlichtmann.

Facher wrócił do Bostonu w środku lata. Razem z Jacobsem złożyli we wrześniu formalną odpowiedź na wniosek apelacyjny. Także był znakomicie napisany. Po przeczytaniu go Nesson uśmiechnął się wstydliwie i powiedział Schlichtmannowi:

– Chyba wolałbym, żebyś to ty stawał przed trybunałem.

Zaczął tłumaczyć, że konieczne trzeba szukać niepodważalnych dowodów łączących Riley'a i jego garbarnię ze skażeniem piętnastoakrowego lasku trichloroetylenem.

– Dopiero wtedy dokonalibyśmy przewrotu w tej sprawie – oznajmił.

Riley uparcie twierdził, że w garbarni nigdy nie stosowano tri, a cała dokumentacja została zniszczona na długo przed procesem. Jan nigdy w to nie wierzył, ale jego poszukiwania nie ujawniły niczego, co podważałoby słowa Riley'a.

W niedzielę wieczorem, pod koniec września, rok po zawarciu ugody z koncernem Grace'a, Schlichtmann wyszedł z domu i z automatu na Charles Street zadzwonił do Gordona. Uwaga Nesson'a nie dawała mu spokoju. Poprosił przyjaciela, aby nazajutrz rano w miejscowej filii Agencji Ochrony Środowiska sprawdził dokumenty dotyczące Beatrice Foods. Agencja w dalszym ciągu gromadziła do swoich celów informacje o garbarni, można więc było przypuszczać, że znajdzie się tam coś nowego i ciekawego. Zdawał sobie sprawę, że szanse są niewielkie, ale uważał, że mimo wszystko warto poświęcić na to kilka godzin.

Następnego dnia w siedzibie agencji Gordon przejrzał sprawozdania, które wcześniej oglądał wielokrotnie. Znał je tak dobrze, że wystarczył mu jeden rzut oka, pobieżna ocena grubości czy zważenie ich w ręce, aby od razu wiedzieć, czy przybyło materiałów. Było ich jednak bardzo dużo i musiał poświęcić na to całe przedpołudnie. Ostatecznie nie znalazł niczego nowego.

Wychodząc, zajrzał jeszcze do gabinetu kierowniczki projektu oczyszczenia wschodniego Woburn, żeby podziękować jej za pomoc. I wtedy, na półce za jej plecami, zauważył cienki, mniej więcej centymetrowej grubości raport w jasnoniebieskiej okładce, którego nigdy dotąd nie widział.

Schlichtmann siedział w swoim pokoju, gdy Gordon wszedł i rzucił mu raport na biurko.

– Czy nie powinniśmy tego dostać w czasie zbierania materiału dowodowego? – zapytał.

Sześćdziesięciostronicowe sprawozdanie zostało wykonane przez firmę o nazwie Yankee Environmental Engineering i nosiło tytuł: „Ekspertyza hydrogeologiczna terenu Przedsiębiorstwa Garbarskiego Johna J. Riley'a”. Badania zlecone przez właściciela garbarni przeprowadzono w 1983 roku, trzy lata przed rozpoczęciem procesu.

Jan osłupiał. Dotąd nawet nie wiedział o wykonaniu takiej ekspertyzy, chociaż w czasie wstępnych przesłuchań i rozprawy, jak też w kolejnych wezwaniach – łącznie jedenaście razy, jak teraz obliczył – domagał się ujawnienia wszelkich tego rodzaju materiałów.

Czytając raport z rosnącym podnieceniem, szybko się przekonał, że specjaliści z Yankee wywiercili na terenie garbarni sześć studni kontrolnych, których istnienie pozostało tajemnicą zarówno w trakcie testów dynamicznych Agencji Ochrony Środowiska, jak i podczas procesu. W sprawozdaniu stwierdzano, że wody podziemne spod garbarni spływają nadzwyczaj porowatymi warstwami ziemi na wschód, w stronę miejskich ujęć – dokładnie tak, jak wyliczył to Pinder, powołany przez niego biegły. Opisywano też hałdę osadów ściekowych, scharakteryzowanych jako „czarny muł przypominający torf”, która znajdowała się tuż za tere-

nem zakładów, na skraju piętnastoakrowego lasku. Schlichtmann od razu skojarzył ich opis z próbką Z, pobraną przez Drobinskiego z którejś sterty śmieci w lesie. W czasie rozprawy próbował wykazać, że jest to właśnie próbka garbarskich osadów ściekowych, ale sędzia podważył jego argumenty i poinstruował przysięgłych, aby nie traktowali jej jako dowodu rzeczowego.

Gdybym miał wówczas ten raport, myślał Schlichtmann, proces potoczyłby się zupełnie inaczej. Sprawozdanie potwierdzało zeznania wszystkich jego świadków i prawdopodobnie mogło doprowadzić do kolejnych odkryć. Z całą pewnością Facher musiał je znać. Dlaczego zataił tak istotny dowód? A może ukrył jeszcze inne raporty? Czyżby jednak zachowała się jakaś dokumentacja?

Był podekscytowany, ale zarazem ogarniała go niepokohamowana wściekłość. Niszczenie lub ukrywanie dowodów przez adwokata jest występkiem tylko odrobinę lżejszym od kradzieży pieniędzy klienta. Najważniejszym zadaniem materiału dowodowego, jak napisał sędzia William Douglas w 1958 roku, jest „przekształcenie procesu z zabawy w ciuciubabkę w rzetelną debatę, mającą na celu możliwie najpełniejsze ujawnienie faktów i wyjaśnienie zdarzeń”. Kodeks Cywilny udostępniał środki przeciwko tego rodzaju nadużyciom. Jeżeli celowe zatajenie dowodów wypaczało przebieg procesu i wpływało na jego rezultat, zgodnie z przepisami poszkodowani mieli prawo do nowej rozprawy.

3

Sprawiło to wrażenie, jakby Schlichtmann zyskał szansę wymazania przeszłości, wykreślenia z niej największego niepowodzenia w życiu i przeobrażenia go w spektakularny sukces. Z tego właśnie powodu sprawa Woburn znów pochłonęła go bez reszty.

Wolałby skierować ją bezpośrednio do trybunału apelacyjnego, ale procedura wymagała, by wrócił do pierwszej instancji. Tak więc znalazł się z powrotem w sali rozpraw Skinnera. Sędzia wcale nie krył swojej niechęci, wynikającej stąd, że ponownie będzie miał do czynienia ze sprawą Woburn i Schlichtmannem. Podobnie zareagował Facher, który obrzucił wściekłym spojrzeniem Schlichtmanna i Nessona, kiedy ci dwaj wkraczali na salę.

Pomimo rozwścieczenia Facher wyglądał dziarsko. Na sprawie Woburn zarobił mnóstwo pieniędzy dla swojej kancelarii. Rok wcześniej, tuż po wyroku, księgowy wznosił nawet toast na cześć Schlichtmanna podczas wielkiego przyjęcia w hotelu „Ritz-Carlton” urządzonego z okazji zwycięstwa. Potem Facher występował jeszcze w dwóch sprawach, jednej w Nowym Orleanie, a drugiej w Maine, i wygrał obie. W bostońskiej palestrze nigdy wcześniej nie cieszył się tak wielkim szacunkiem. A teraz Schlichtmann obsmarowywał go, oskarżając o oszustwa i manipulacje, o czym doniósł „Lawyer Weekly”.

W trakcie posiedzenia Schlichtmann szczegółowo omówił raport firmy Yankee, próbując wykazać, w jaki sposób wpłynął on na wynik postępowania. Miał nadzieję, iż sędzia oburzy się na ukrywanie dowodów, ale wkrótce uświadomił

sobie, że zbyt wiele oczekiwał. Skinner słuchał cierpliwie, od czasu do czasu zadając pytania. Jan zakończył słowami:

– Wysoki Sąd z całą pewnością przyzna, że ta informacja w ogromnym stopniu pomogłaby wykazać słuszność zarzutów sformułowanych w naszym pozwie.

– Sądzę, że pan się jednak myli – odparł sędzia. – W chwili obecnej niczego nie mogę przyznać. Procedura wymaga, abym wysłuchał argumentów obu stron.

Przyszła kolej na Fachera. Wystąpienie Schlichtmanna było dla starego wygi wręcz nie do zniesienia.

– Byłem świadkiem wielu rzeczy – zwrócił się do sędziego – ale nigdy jeszcze nie słyszałem czegoś takiego, jak dzisiejszy pokaz nieodpowiedzialnych i bezpodstawnych oskarżeń. To kalumnie!

Trzęsący się z gniewu i oburzenia Facher stał bezpośrednio za Schlichtmannem. Gdy uniósł rękę, wyglądało to tak, jakby chciał uderzyć go w głowę.

Nesson kątem oka dostrzegł ten ruch i zerwał się, by powstrzymać Fachera. Także Skinner wstał gwałtownie, a wtedy zrobił to również Schlichtmann.

– Mogę się z nim spotkać w holu, jeżeli ma na to ochotę – parsknął Facher, spoglądając na znacznie wyższego od siebie Jana. – Z Charliem również.

– Wszyscy siadać! – huknął sędzia. – Nie będę tolerował takiego zachowania rzeczników!

Po chwili zapytał Fachera, czy przed procesem wiedział o raporcie firmy Yankee. Tak, odparł obrońca, widział go, ale w ostatniej chwili, najwyżej dwie minuty przed posiedzeniem. Nigdy nie miał okazji dokładnie się z nim zapoznać. Osobisty adwokat Rileya, Mary Ryan, która była wówczas w sądzie, tylko mu go pokazała. Uznał wtedy, że raport nie ma znaczenia. Tak samo uważa i dzisiaj.

– To jedno niezbyt istotne sprawozdanie wśród setek, może nawet tysięcy odmiennych, trudno powiedzieć dokładnie.

Co się zaś tyczy złożonego przez Schlichtmanna wniosku o ujawnienie raportu, został on niewłaściwie sporządzony. Adwokatowi brakowało „pilności” i „zaangażowania” podczas gromadzenia materiału dowodowego, a więc sam sobie jest winien, że do niego nie dotarł.

Skinner miał już zamiar zakończyć posiedzenie, gdy Nesson wstał i przypomniał mu o drugim wniosku, dotyczącym uzyskania od Fachera i Mary Ryan informacji o jakichś innych istotnych dla sprawy dokumentach, które nie zostały dotąd ujawnione.

– Bardzo panu dziękuję – odparł sędzia z udawaną kurtuazją. – Nie mam także ochoty wysłuchiwać pouczeń, w jaki sposób powinienem prowadzić rozprawę.

– Wysoki Sądzie – rzekł Nesson – leży przed panem wniosek, który dotyczy sprawy integralności tego trybunału i zasad gromadzenia materiału dowodowego. Pan nadzwyczaj szybko irtuje się na pana Schlichtmanna i na mnie.

– To nieprawda, obie strony denerwują mnie w takim samym stopniu.

– Ani razu nie okazał pan złości wobec pana Fachera – oznajmił Nesson. – Chciałbym się przekonać, że za pańskimi reakcjami na wystąpienia pana Fachera kryje się prawdziwa troska o uczciwość tego przewodu sądowego.

Ta uwaga rozwścieczyła Skinnera.

– Bez przerwy nadużywa pan mojej cierpliwości. Robi to pan od samego początku.

Nesson ponownie poprosił sędziego, aby rozpatrzył drugi wniosek.

– Nie zamierzam tego zrobić.

– W takim razie prosimy o powołanie na świadka Mary Ryan jeszcze w trakcie tego posiedzenia. – oznajmił Nesson

– Nie.

– Nie zapytał pan o informacje, których ujawnienia się domagamy – ciągnął profesor – dlatego wnioskujemy o powołanie na świadka Mary Ryan...

– Nie zamierzam rozpatrywać... żadnych dalszych wniosków... podczas tego posiedzenia! – wrzasnął Skinner, jękając się z wściekłości. – Przechodzimy do następnej sprawy, karnej... której nazwa uleciała mi z pamięci.

Schlichtmann wstał.

– Wysoki Sądzie...

– Nie będę pana słuchał! Wysłuchałem już wszystkiego, czego chciałem wysłuchać! Teraz zamierzam rozpocząć postępowanie w sprawie karnej, Stany Zjednoczone przeciw... komuś tam!

Schlichtman czekał z niepokojem na orzeczenie sędziego, chociaż dla wszystkich obserwujących zachowanie Skinnera w czasie posiedzenia wynik zdawał się już z góry przesądzony. Nie wiadomo kiedy minęło Boże Narodzenie. W Nowy Rok Schlichtmann stracił swoje mieszkanie. Następnego dnia, w przenikliwie zimny styczniowy poranek, gdy na chodnikach Bostonu piętrzyły się sterty śniegu, przeprowadził się do biura. Co prawda miał jeszcze dach nad głową, ale w gruncie rzeczy był już bezdomny. Poupychał swoje garnitury od Dmitriego w szafie w recepcji, a jedwabne krawaty i buty marki Bally w szafce przy drzwiach łazienki. Sypiał na składanej kozetce w gabinecie Crowleya. Co wieczór w kuchni parzył sobie ziołową herbatkę, a potem oglądał telewizję w sali konferencyjnej.

– Wcałe mi nie przeszkadza, że tu mieszkam – twierdził. – Jestem miłośnikiem stanów ekstremalnych. Nie umiałbym znieść przeciętności.

Każdego ranka dzwonił do biura Skinnera, aby się dowiedzieć, czy sędzia wydał już orzeczenie. Nie tracił nadziei na nowy proces. Bez przerwy wmawiał sobie, że fakty są przytłaczające, ewidentnie obciążające.

– Sadzę, że Skinner znalazł się w impasie. Nie ma w tej sprawie żadnego wyboru – powtarzał.

Kiedy indziej popadał w przygnębienie i mówił:

– Nie, to niemożliwe. Na pewno znajdzie sposób, żeby mnie wydymać.

Czerpał nadzieję z rozmaitych mętnych plotek. Od Kathy Boyer, która umawiała się z prawnikiem grywającym w squasha z Michaeliem Keatingiem, usłyszał, że zdaniem obrońcy sędziego nie ma wyboru i musi zarządzić ponowne rozpatrzenie sprawy. Była to pogłoska z trzeciej ręki, oparta na bezpodstawnych domy-

ślach, ale wprawiła Schlichtmanna we wspaniałą nastrój. Powtarzał wszystkim dokoła:

– To jest coś, prawda? Keating nie twierdziłby tego bez powodu. Musi czuć pismo nosem.

Niewiele czasu poświęcał innym sprawom, mimo że Conway go o to błagał. Znow musieli wziąć pożyczkę od Wujka Piotrusia. Agent urzędu skarbowego, niejaki Welch, wzywał Schlichtmanna przynajmniej raz w tygodniu. Wraz z odsetkami i karami jego zadłużenie podatkowe wzrastało każdego roku o dwadzieścia pięć procent i wynosiło obecnie około pół miliona dolarów.

Skinner w końcu ogłosił swoją decyzję 22 stycznia 1988 roku, dziewięć tygodni po pamiętnym posiedzeniu. Ustalił, że „w ostatecznym rozrachunku” raport firmy Yankee przemawia „bardziej na korzyść” Beatrice Foods niż przeciwko niej oraz „w zasadzie ma wydźwięk neutralny”. Zaliczenie go w poczet materiału dowodowego nie miałooby zatem istotnego wpływu na rezultat procesu.

Sędzia przyznał jednak, że wniosek Schlichtmanna o ujawnienie tego raportu był w pełni uzasadniony. Facher i Mary Ryan powinni byli mu go udostępnić. Ale ich „zwłoka” (tak określił to sędzia) wynikała jedynie z „błędnej oceny” materiału i nie mogła być uznana za „celowe działanie”, o co wielokrotnie Jan oskarżał obronę. W rzeczywistości, stwierdzał Skinner, Schlichtmann po części sam jest winien temu, że nie otrzymał sprawozdania, ponieważ uporczywie, „na złamanie karku” dążył do jak najszybszego rozpoczęcia procesu, chociaż Facher prosił o jego odroczenie. Nietrudno zatem zrozumieć, że w ostatnim okresie przed rozprawą, w wywołanej przez Schlichtmanna „gorączce odkryć”, Facher mógł „uznać ten raport za mało ważny”.

Po nocach, gdy Schlichtmann leżał na kozetce w biurze, dręczyły go koszmary. Był opętany nienawiścią do sędziego Skinnera.

– Nachodzą mnie myśli, żeby wyrządzić mu jakąś krzywdę – powiedział któregoś dnia.

Wyobrażał sobie, jak pochyla się nad stołem sędziowskim ku ubranemu w czarną togę sędziemu i zaciska palce na jego gardle, na obwisłych, zwiotczonych fałdach skóry na szyi, a na twarzy pozbawionego tchu starucha maluje się wyraz bezgranicznego zdumienia. Nie żywił takich uczuć w stosunku do Fachera. Brzydził się metodami obrońcy, ale mógł zrozumieć jego motywę. Tylko sędzia, przewodniczący Federalnego Sądu Okręgowego, ten fałszywy i skorumpowany, rzekomy reprezentant wymiaru sprawiedliwości, doprowadzał go do furii. Im więcej o nim myślał, tym bardziej nabierał podejrzeń, że Facher musi jakimś sposobem wywierać naciski na Skinnera.

– Wydaje mi się, że to wszystko zostało ukartowane – powiedział pewnego ranka Conwayowi.

Ten jedynie pokręcił głową. Bardzo chciał, żeby Schlichtmann po prostu zapomniał o Woburn i zajął się nowymi sprawami.

Jan zdał się całkowicie na decyzję trybunału apelacyjnego. Do wstępnego posiedzenia, wyznaczonego na lipiec, pozostało jeszcze pół roku, zabijał więc czas pisaniem nowego uzasadnienia do złożonej wcześniej apelacji, w którym poruszał także kwestię zatajenia przez obronę raportu firmy Yankee. Kilka dni spędził na galerii w sądzie apelacyjnym, skąd przysłuchiwał się różnym odczytanym uzasadnieniom. Uważnie przejrzał wszystkie opinie wydane przez trybunał w ostatnim roku. Szczególnie jedna z nich wprawiła go w podniecenie. „Przypominamy rzecznikom stron, że nie mogą liczyć na pobłażliwość wobec wszelkich prób manipulowania naszym systemem prawnym – pisał członek trybunału apelacyjnego, sędzia Juan Toruella. – Nie można tolerować oszustwa, celowego wprowadzania w błąd i świadczenia nieprawdy...”

Każdą sprawę rozpatrywał trójosobowy zespół sędziowski wybierany drogą losowania. Schlichtmann modlił się, aby w czasie rozpatrywania apelacji w sprawie Woburn za stołem sędziowskim zasiadał Toruella.

Na wiosnę razem z Nessonem zaczęli poświęcać coraz więcej czasu na planowanie różnych strategii. Spotykali się w domu profesora w Cambridge i zwykle zasiadali w cieniu drzew nad basenem kąpielowym. Nesson chciał wygłosić mowę uzasadniającą, a Schlichtmann godził się na to, wychodząc z założenia, że pozycja profesora na Harvardzie nada ich wystąpieniu większy ciężar gatunkowy. Ta perspektywa niezwykle podniecała Nessona. Wierzył, że apelacja dotyka samego sedna wymiaru sprawiedliwości.

– Nie potrafię sobie wyobrazić, żeby trybunał mógł wydać nieprzychylną dla nas opinię – powiedział.

– Liczysz na jednomysłność? – zapytał Schlichtmann.

– Oczywiście – odparł Nesson, a po chwili dodał niepewnie: – Przynajmniej tak powinno być.

4

Nesson wystąpił przed trzema sędziami trybunału apelacyjnego (wśród których rzeczywiście znalazł się Juan Torruella) 28 lipca 1988 roku, dokładnie dwa lata po ogłoszeniu wyroku w sprawie Woburn.

W oczekiwaniu na werdykt Schlichtmann zaczął wreszcie pracować nad innymi sprawami. Nie miał wyboru. Na jego biurku piętrzył się stos rachunków, monitów i wezwań, w tym również do sądu rozpatrującego w trybie doraźnym sprawy niewielkich wierzytelności, jak również nakaz aresztowania za przeterminowaną należność wobec Neimana Marcusa. Odnosił wrażenie, że czas płynie w zwolnionym tempie. Tymczasem drzewa na Boston Common okryły się wspaniałymi barwami jesieni, a potem straciły liście. Coraz krótsze, szare dni nadchodzącej zimy przyprawiły go o depresję. Za każdym razem, gdy wracał do biura, nawet tylko po krótkiej nieobecności, od progu pytał:

– Coś już wiadomo?

Jego zdaniem Nesson wygłosił przed sądem apelacyjnym wspaniałą mowę, a Facher wypadł kiepsko. Ale im dłużej sędziowie obradowali nad werdyktem, tym bardziej się niepokoił.

– Czuję się, jakby mi ktoś przystawił rewolwer do głowy – oznajmił Kilewowi pewnego wieczoru przy obiedzie. – Mogliby wreszcie pociągnąć za spust albo puścić mnie wolno.

Trybunał apelacyjny ogłosił decyzję 7 grudnia. Tak się złożyło, że Schlichtmann w tym czasie przebywał niemal na drugim końcu kraju i udzielał konsultacji pewnemu adwokatowi z Denver, który prosił go o pomoc w sprawie dotyczącej toksycznych odpadów. Conway przesłał mu faksem kopię orzeczenia sądu, liczącego pięćdziesiąt cztery strony. Najpierw rozpatrzono apelację dotyczącą pierwszego etapu rozprawy. Dokonane przez sędziego Skinnera poprocesowe ustalenie, że wody podziemne spod piętnastoakrowego lasku nie dopływały do ujęć miejskich, zdaniem trybunału było „zarówno wiarygodne, jak i odpowiednio udokumentowane”. Wniosek apelacyjny został odrzucony.

W sprawie drugiej apelacji, dotyczącej uchybień proceduralnych, uznano, że „dokumentacja zawiera oczywiste i przekonujące dowody, nie budzące żadnych wątpliwości”, iż rzecznicy Beatrice Foods dopuścili się zarzucanego czynu. Uchybienia proceduralne mogą mieć jednak różną formę. Czy zatajenie sprawozdania było dziełem przypadku, zwykłym przeoczeniem? Czy też świadomym, popełnionym z premedytacją oszustwem? Nawet jeśli raport firmy Yankee nie mógł wpłynąć na wynik przewodu sądowego, jak utrzymywał sędzia Skinner, to „doświadczony adwokat opiera swoje działania na pojawiających się systematycznie informacjach i dostosowuje strategię do wynikających wciąż nowych poszlak, jednocześnie rezygnując ze starszych”.

Jeżeli, stwierdzał dalej trybunał apelacyjny, Beatrice Foods świadomie i celowo zataiło raport, można było zakładać, że dane zawarte w sprawozdaniu doprowadziłyby Schlichtmanna do istotnych dla siebie odkryć na terenie garbarni. Sędzia Skinner wzbraniał się przed orzeczeniem uchybień proceduralnych, mimo że rzecznicy strony powodowej wielokrotnie składali wnioski o przyjęcie zeznań Fachera i Mary Ryan na okoliczność innych materiałów, które również mogły zostać zatajone. Trybunał uznał, że sędzia Skinner postąpił w tym względzie zbyt arbitralnie, popełnił „błąd, który pociągnął za sobą dalsze konsekwencje w postaci konieczności dokonania ustaleń w sprawach, jakie z pewnością przesłuchanie wnioskowanych świadków jednoznacznie by wyjaśniło”.

Trybunał udzielił sędziemu Skinnerowi surowego napomnienia. W celu usunięcia skutków rzeczonego błędu podjęto niecodzienną decyzję – odsyłano sprawę do ponownego rozpatrzenia przez Skinnera, zalecając mu wszczęcie „intensywnego” przesłuchania, a po jego zakończeniu złożenie sprawozdania trybunałowi, który rezerwował sobie prawo wyrokowania w kwestii objętej apelacją.

W pokoju hotelowym w Denver Schlichtman z wściekłości zaczął walić pięściami w ściany. Czuł się schwytany w pułapkę. Jeszcze raz musiał wrócić do sali

rozpraw Skinnera. Trybunał apelacyjny tylko odrobinę uchylał przed nim furtkę, stwarzał możliwość wszczęcia nowego postępowania, ale jego przedmiotem mogła się stać wyłącznie kwestia odpowiedzialności garbarni za skażenie miejskich ujęć wody. Jednocześnie utrzymywano w mocy ustalenie Skinnera, według którego wody podziemne spod piętnastoakrowego lasku nie dopływały do obu studni, chociaż stało ono w sprzeczności z wnioskami specjalistów z Agencji Ochrony Środowiska. A ponieważ skażony lasek był położony między garbarnią a ujęciami wody, wytoczony garbarni proces mógł być jedynie farsą, bezcelowym ćwiczeniem z zakresu procedur sądowych. Facherowi wystarczyło napisać wniosek o rozpatrzenie sprawy w trybie doraźnym, wobec ustaleń sędziego Skinnera i werdyktu sądu apelacyjnego jego zwycięstwo było przesądzone.

Dla Schlichtmanna stało się oczywiste, że trybunał chciał wyjaśnić sprawę uchybień proceduralnych bez jakiegokolwiek podważania wyroku. Stara zasada *res judicata* – mówiąca, że decyzja podjęta przez sąd nie podlega zmianie – nadal obowiązywała, nawet jeżeli decyzja ta stała w sprzeczności z faktami. Najpierw Agencja Ochrony Środowiska, a teraz – nie dalej jak przed miesiącem – Służba Geologiczna Stanów Zjednoczonych opublikowały raporty, z których wynikało jasno, że zanieczyszczenia z terenu piętnastoakrowego lasku zatruły ujęcia wody. W świetle prawa nie miało to jednak żadnego znaczenia.

Tej nocy Schlichtmann nie zmrużył oka. Nazajutrz rano na lotnisku w Denver zamówił w barze podwójną whisky. Czuł się tak zmęczony i przygnębiony, że oparł głowę na blacie baru. Widząc to, barman szybko wyszedł zza kontuaru i zabrał szklaneczkę, zanim Jan zdołał wypić choć łyk.

– Widzę, że ma pan już dosyć – powiedział. – U mnie nic pan nie dostanie.

Tydzień po wydaniu orzeczenia w sprawie apelacji Skinner wezwał prawników do swojego gabinetu na spotkanie w celu ustalenia terminarza postępowania sądowego. Oświadczył, że rozpatrzy tę sprawę arbitralnie, dokładnie tak samo, jak siedem lat wcześniej podczas pierwszego posiedzenia, kiedy rozpatrywał wniosek o odsunięcie Schlichtmanna na podstawie przepisów paragrafu jedenastego. Przeprowadzi zaleconą mu przez trybunał apelacyjny rozmowę z Facherem i Ryan, ale na tym koniec. Nie powinno mu to zająć dłużej niż parę godzin.

Schlichtmann zaprotestował. Zażądał szczegółowego przesłuchania zaprzysiężonych świadków. Argumentował, że mogą istnieć inne zatajone dokumenty poza raportem firmy Yankee. Gdyby tak było, trybunał apelacyjny mógłby zdecydować, że uchybienia proceduralne wpłynęły na przebieg całego procesu. Zacytował przy tym zdanie, że sędziemu polecono przeprowadzić „intensywne” przesłuchanie.

– Oceni pan sobie jego intensywność wedle własnego uznania – oświadczył Skinner. – Nie zamierzam jednak organizować powtórnego procesu i będę bardzo uważnie kontrolował przebieg tego posiedzenia.

Po powrocie do biura, Schlichtmann zadzwonił do Nessona, który uczestniczył w konferencji na Florydzie i nie mógł być obecny na spotkaniu.

– Chce mnie wydymać – powiedział. – Facher mówił, a Skinner kończył zdania za niego. Gdy tylko Facher otwierał usta, sędzia powtarzał: „Zgadza się”. Musiałem się bardzo kontrolować. Byłem greczny, spokojny i stanowczy. Chce mnie wydymać bez względu na to, co zrobię. To ucieleśnienie zła.

– Nie bądź dziecinny – odparł Nesson.

– Może i jestem, ale widzę, co się wyrabia na moich oczach.

Kiedy odłożył słuchawkę, popatrzył na Gordona, Phillipsa i Conwaya, którzy siedzieli w jego gabinecie.

– Skinner przystąpił do niego – skonstatował.

– Do czego? – zapytał Phillips.

– Do spisku.

Wiele wskazywało na to, że sędzia stracił cierpliwość do Schlichtmanna, trudno jednak było znaleźć dowody na istnienie spisku. Phillips spojrzął na Jana z troską, jak lekarz mający do czynienia z pacjentem, który nagle zaczął majaczyć.

– Dlaczego sądzisz, że uknuto spisek?

– To cholernie poważna sprawa – odparł Schlichtmann. – Jesteśmy w olbrzymich kłopotach, nawet nie rozumiesz, co tu się dzieje. To walka na śmierć i życie. Ja się nie poddam, a i oni nie ustąpią.

Conway przechylił się w bok i oparł na łokciu. Krawat miał rozwiązany, znozione skarpetki zsunęły mu się do kostek. Wziął z biurka recepturkę i zaczął jej się bardzo uważnie przyglądać. Wspominał ten dzień sprzed siedmiu lat, gdy błagał Schlichtmanna, aby nie brał sprawy Woburn. To czarna dziura, powiedział wówczas, niekończąca się historia. Zrobił taką minę, jakby miał się zaraz rozpląkać.

– I co teraz zrobimy? – zapytał.

Jan spojrzął na niego i smętnie pokręcił głową.

– Przepraszam, Kevin. Wciągnąłem cię w tę aferę, ale już nic na to nie mogę poradzić.

Spacerował po gabinecie przez pół godziny. Był wzburzony, ale nie utracił do końca zdolności racjonalnego myślenia. Mógł pozwolić Skinnerowi, aby pokierował dyskusją według swojego uznania, czyli po prostu znosić wszystko w milczeniu, a wtedy sprawa Woburn ostatecznie by się zakończyła. Ale mógł też podjąć próbę wpływania na przebieg posiedzenia. Tylko jak miał to zrobić? Przystanął obok biurka Peggy i grzmotnął w nie pięścią.

– Cholera! Zrobię to sam. Pojadę w teren i zobaczę, co tam ukrywają.

– Pojedziesz w teren? – zdziwił się Gordon. – Nie masz nawet samochodu.

Ostatecznie to Conway wziął na siebie rolę szofera i zawiózł go w teren. W sprawozdaniu firmy Yankee wymieniano nazwisko jednego z ludzi odpowiedzialnych za wiercenie studni kontrolnych, niejakiego Lawrence’a Knoxa. W sobotę wieczorem Schlichtmann dowiedział się, że zastanie Knoxa w domu jego byłej żony w Saugus, brudnym, przemysłowym mieście na północ od Bostonu.

Conway został w samochodzie. Kobieta przez uchylone drzwi wyjaśniła, że mąż poszedł na gwiazdkowe przyjęcie Klubu Łosiów. Pojechali więc do klubu, gdzie Jan musiał błądzić w tłumie zataczających się i tańczących gości. Pod nogami pijanych mężczyzn kręciły się małe dzieci, po parkiecie krążyło co najmniej dziecięciu tak samo nietrzeźwych Świętych Mikołajów. Schlichtmann odnosił wrażenie, że przeistoczył się w bohatera filmu Felliniego. Nie miał pojęcia, jak wygląda Knox, dlatego zaczepiał ludzi i pytał o niego. Tak, Butch jest gdzieś tutaj, odpowiadali, nawet widzieli go przed chwilą. A kiedy pokazywał swoją wizytówkę, dziwili się:

– Adwokat? To Butch ma jakieś kłopoty?

– Nie, to ja potrzebuję jego pomocy – wyjaśniał Schlichtmann.

Wreszcie znalazł go w barze na dole. Knox miał rumianą, pokrytą bliznami twarz, haczykowany orli nos, małe, spoglądające hardo oczy i wąskie usta. Nosił workowate brązowe spodnie i wielką jak namiot niebieską bluzę Łosiów z syntetycznej tkaniny. Był średniego wzrostu, miał za to imponujący obwód w pasie. Popatrzył na Schlichtmanna z wyczuwalną z daleka nieufnością.

– Przez pana wszyscy myślą, że szeryf mi depcze po piętach – burknął. – Psuje mi pan opinię wśród przyjaciół.

Jan zwrócił uwagę, że Knox nie ma jednego siekacza. Uznał, że to nie najlepiej o nim świadczy. Próbował tłumaczyć, że chciałby się czegoś dowiedzieć o pracy, którą wykonał kilka lat temu.

– Sprawa sądowa? Nie mieszam się w takie rzeczy – oświadczył Knox i odwrócił się, zamierzając odejść.

– Proszę – jęknął Schlichtmann. – Chciałbym tylko z panem porozmawiać. Niech mnie pan posłucha przez kilka minut.

Pozwolił mu mówić. Po jakimś czasie ostatecznie ustąpił. Zgodził się porozmawiać o konkretach następnego dnia rano, tutaj, w barze Klubu Łosiów

Nazajutrz Knox – Butch, jak nazywali go przyjaciele – powiedział Schlichtmannowi, że firma Yankee Engineering rzeczywiście zleciła mu wywiercenie studni kontrolnych na terenie garbarni. Zajmował się tym od dwudziestu pięciu lat, wiercił studnie w waszyngtońskiej siedzibie FBI i w Lake Placid przed olimpiadą.

– Zaliczyłem prawie całe wschodnie wybrzeże.

Kiedy w garbarni skończył wiercić pierwszą studnię – na samym końcu terenu, od strony mokradeł Aberjony – i zrobił sobie przerwę na papierosa, jego uwagę przykuły odgłosy pracujących za płotem maszyn. Zauważył w położonym nieco niżej piętnastoakrowym lasku koparkę, która zgarniała ziemię i wraz ze śmieciami ładowała ją na tonową półciężarówkę. Ludzie pracowali tam jeszcze przez kilka dni, może nawet tydzień. Knox zorientował się, że są to pracownicy garbarni, ale nie znał ich nazwisk. Po napełnieniu skrzyni auta zakrywali ją plandeką i wyjeżdżali z lasu na ulicę. Nie wiedział, dokąd wywozili ziemię.

Schlichtmann zapytał, jak ona wyglądała, czy była to zwykła gleba.

Nie, odparł Knox. Znał się na tym, w końcu musiał dostosowywać tryb wiercenia studni do rodzaju gleby. Tamta była ciemna, czarna i sypka, przypominała torf.

– Mniej więcej taka sama, jaką wydobywałem z odwiertów w garbarni.

Mój Boże, to by się zgadzało z opisem próbki Z, pomyślał Schlichtmann, skażonych osadów ściekowych z garbarni, które Drobinski znalazł w lesie.

– Czy zechciałby pan złożyć w tej sprawie zeznania pod przysięgą? – zapytał swego rozmówcę.

Knox zawałał się. Wolał uniknąć jakichkolwiek kłopotów. Nie lubił prawników i sądów. Trzymał się od nich możliwie jak najdalej.

Schlichtmann zapewnił, że potrzebne mu tylko zaprzysiężone oświadczenie, nic więcej. Ostatecznie Knox niechętnie się zgodził.

Gdy Jan wrócił do samochodu, powiedział Conwayowi:

– Otworzyliśmy puszkę Pandory i robactwo zaczyna z niej wypęłać. To wcale nie ukrywanie dowodów rzeczowych, ale ich niszczenie.

Znowu przystąpił do poszukiwania byłych pracowników garbarni, którzy mogli coś wiedzieć o wywożeniu ziemi z lasu. Szczególnie zależało mu na dotarciu do ekip technicznych zakładu. Na podstawie doświadczeń z koncernem Grace'a wnioskował, że zazwyczaj właśnie tacy ludzie najwięcej wiedzą o usuwaniu skutków skażenia. Zadzwoił do domu byłego pracownika obsługi technicznej garbarni, Williama Marcusa. Kiedy przedstawił się i zaczął wyjaśniać sprawę, kobieta, która odebrała telefon, przerwała mu:

– Wiem, kim pan jest. Proszę przyjechać i porozmawiać z mężem.

William Marcus został zwolniony z garbarni po trzydziestu ośmiu latach pracy, bez emerytury. Okazało się również, że umiera na rzadką odmianę chłoniaka. Jego żona powiesiła na drzwiach lodówki parę wycinków prasowych, w tym jeden ze zdjęciem Schlichtmanna. Marcus wyznał, że wiedział o badaniach prowadzonych przez firmę Yankee, ale nie pamiętał, aby ktokolwiek wywoził ziemię albo garbarskie osady ściekowe z lasu. Poradził mu, żeby rozmawiał z inżynierem Jamesem Grangerem, byłym kierownikiem działu obsługi technicznej zakładów. Parę lat temu Granger przeniósł się do Vermont i kupił tam farmę.

Schlichtmann odnalazł go w Middletown Springs, w Vermont, miejscowości liczącej zaledwie sześciuset mieszkańców. Zadzwoił, żeby się umówić na spotkanie, ale Granger nie bardzo wiedział, czy powinien z nim rozmawiać. Przyznał jednak, że dokładnie przypomina sobie ten okres z 1983 roku, kiedy Yankee Engineering przybyło do garbarni i wywierciło kilka studni kontrolnych. Jack Riley przedstawił mu wówczas młodą kobietę o wspaniałych płomiennie rudych włosach, która kierowała badaniami, i kazał jej we wszystkim pomagać.

– Czy wiedział pan coś o wywożeniu ziemi i śmieci z piętnastoakrowego lasku? – zapytał Schlichtman.

Na dłużej zapadło milczenie. Wreszcie Granger powiedział:

– Tak, wiedziałem.

Następnego dnia, 29 grudnia, Schlichtmann poleciał z Crowleyem do Rutland w stanie Vermont. Tam wynajęli samochód i pojechali do Middletown

Springs. Po drodze zatrzymali się w mieście, aby zabrać notariusza. Granger otworzył drzwi, ale nie wpuścił ich do środka. Z domu dolatywało groźne warczenie olbrzymiego psa.

– Prawnicy? – powiedział Granger. – Przekreślił pan moje słowa.

– Błagam pana – rzekł Jan. – Proszę tylko o dwie minuty rozmowy.

– Zapytam żonę – burknął Granger i zamknął drzwi. Doleciał zza nich gniewny głos kobiety. Kiedy mężczyzna ponownie otworzył, rzekł: – Wcale nie muszę z panem rozmawiać, prawda?

– Nie – przyznał Schlichtmann. – Nie musi pan.

– Więc mogę wam kazać się wynosić z mojej posiadłości, prawda?

– Tak.

Granger skinął głową, jakby ta odpowiedź potwierdzała jego przypuszczenia. A potem otworzył drzwi i wpuścił do środka Schlichtmanna i notariusza.

Dwie godziny później odjeżdżali stamtąd z zaprzysiężonym oświadczeniem inżyniera. Znajdował się w nim następujący fragment:

Jesienią 1983 roku pan Riley polecił mi usunąć materiał z działki zwanej wówczas Dzikim Lasem. Zanim podjęto działania oczyszczające, pan Riley poszedł ze mną na tę działkę i wskazał rozmaite materiały, które należało usunąć. Następnie zrealizowałem jego polecenie, a pan Riley sprawdził i polecił mi usunąć jeszcze inne materiały. Te działania trwały tydzień albo dłużej. W czasie tych prac wykorzystywaliśmy koparkę marki Michigan, będącą własnością garbarni. Pan Riley wyraźnie mi powiedział, że nasze prace powinny być przeprowadzone w tajemnicy, zanim Agencja Ochrony Środowiska wejdzie na ten teren podczas planowanych prób uruchomienia pomp. Usunęliśmy materiały z nieruchomości, zgodnie z poleceniem pana Riley, i o ile wiem, Agencja Ochrony Środowiska w ogóle się o tym nie dowiedziała. Pamiętam, że w tym okresie odnalezienie pewnych materiałów bardzo zmartwiło pana Riley. Nie wiem, skąd materiały te pochodziły.

Czyżby chodziło o próbkę Z? – zastanawiał się Schlichtmann. Jeżeli tak, to dlaczego Granger nie rozpoznał osadów ściekowych z garbarni? W końcu pracował w niej prawie dwadzieścia lat. Tak czy inaczej, to musiała być próbka Z. Bo co innego poza osadami ściekowymi mogłoby tak zmartwić Rileyę?

Noc spędzili w hotelu w Rutland, ponieważ samolot powrotny do Bostonu startował dopiero rano. Schlichtmann nie wypuszczał oświadczenia z rąk. Jak chłopiec, który dostał upragnioną zabawkę, zabrał je ze sobą do łóżka, położył obok poduszki i co chwila przysuwał do światła, aby jeszcze raz przeczytać.

Następnego dnia w kancelarii zajął się przeglądaniem protokołów z przesłuchania Rileyę w czasie procesu. Znał je niemal na pamięć, ale chciał zobaczyć czarno na białym to, czego szukał. Znalazł ten fragment w protokole z dwudziestego drugiego dnia procesu.

FACHER: Czy cokolwiek panu wiadomo o składowaniu osadów ściekowych na terenie tych piętnastu akrów?

RILEY: Już panu powiedziałem.

FACHER: To proszę powtórzyć.

RILEY: Nie. Nigdy. Nigdy o tym nie słyszałem. Absolutnie nigdy.

FACHER: I nie kazał pan niczego wywozić z tego terenu?

RILEY: Nie.

FACHER: Dlaczego, proszę pana?

RILEY: Prawnicy koncernu poradzili, żeby niczego nie ruszać, ponieważ w tej sprawie prowadzone jest dochodzenie.

Roześmiał się w głos.

– Nie ma szans, aby się z t e g o wykręcili – powiedział Conwayowi. – Jezu, ci ludzie są zakłamanymi do szpiku kości. Aż nie chce mi się w to wierzyć. Sądzę, że Riley pójdzie do więzienia za krzywoprzysięstwo.

Schlichtmann wierzył, że udało mu się rozwikłać zagadkę, która pozostawała nie do ugryzienia pomimo wielu lat pracy i wydanych milionów dolarów. Był przekonany, że gdyby dysponował tymi informacjami w czasie procesu, zapadłby zupełnie inny wyrok. Conway przyznał mu rację, a Phillips doszedł do wniosku, że sformułowana przez niego teoria spiskowa nie sprawia już wrażenia obłąkańczych majaczeń.

Gordon zadzwonił do Agencji Ochrony Środowiska i poinformował kierownika badań w Woburn o najnowszym odkryciu Schlichtmanna. David Delaney wcale nie był tym zaskoczony. Wyznał, że pewnego ranka jesienią 1983 roku widział na własne oczy akcję wywożenia ziemi i śmieci z lasu. Sporządził wówczas notatkę służbową i obiecał, że udostępni jej kopię.

Gordon natychmiast pojechał do biura Delaneya. Wrócił po dwudziestu minutach z fotokopią notatki.

Schlichtmann dowiedział się z niej, że rankiem 9 września 1983 roku Delaney widział wyjeżdżającą z piętnastoakrowego lasku ciężarówkę z „pełnym” ładunkiem. „Samochód wrócił w czasie mojej rozmowy z operatorem koparki, najwyżej po dziesięć minutach. Operator powiedział, że zbiorą jeszcze trochę różnych śmieci i wkrótce odjadą.(...) Zdziwiło mnie, że zajmowali się wywożeniem śmieci, które musiały zalegać w lesie od dawna.(...) Przygotowany do wywiezienia ładunek składał się z rozmaitych odpadów zgarniętych z pewnego obszaru. Zawierał ponadto jakąś brunatną substancję. Po usunięciu hałdy na ziemi pozostały jedynie resztki tej brunatnej substancji”.

– Mój Boże! – zawołał Schlichtmann. – Próbką Z! Nawet inspektor z Agencji Ochrony Środowiska widział, jak Riley wywozi z lasu to garbarskie gówno!

Notatka służbowa Delaneya kończyła się zdaniem: „Osobista uwaga: Usuwanie śmieci robiło wrażenie zacierania śladów. Obaj kierownicy wydawali się przestraszeni moją obecnością”.

Schlichtmann przedstawił Skinnerowi oba zaprzysiężone oświadczenia i kopię notatki Delaneya razem z wnioskiem o rozszerzenie zakresu dochodzenia. Wysłał

je *in camera*, wyłącznie do wiadomości sędziego. W piśmie przewodnim napisał: „Przedwczesne ujawnienie tych odkryć może utrudnić dalsze dochodzenie”. Inni słowy obawiał się, że Facher zmusi Knoxa lub Grangera do zmiany zeznań.

Sędzia odrzucił wniosek tego samego dnia, zaopatrując go w gniewną adnotację skreśloną ukośnicą na pierwszej stronie pisma Schlichtmanna: „Odrzucone. Nie będę rozpatrywał żadnych oświadczeń *in camera*. Zarówno oświadczenia, jak i wszelkie następne wnioski rzecznika powodów dotyczące rozszerzenia zakresu dochodzenia mają być natychmiast odsyłane rzecznikowi powodów”.

Tak więc Skinner nawet nie spojrzął na materiały. Schlichtmann następnego ranka podjął kolejną próbę, sporządzając „notatkę dla sądu” opisującą zeznania naocznych świadków dotyczące uchybień proceduralnych i niszczenia dowodów rzeczowych. W świetle postanowienia trybunału apelacyjnego, nakazującego przeprowadzenie „intensywnego” przesłuchania, czuł się zobowiązany do wystąpienia z takim pismem.

Tym razem odpowiedź Skinnera była zupełnie inna. Sędzia zarządził całkowite ujawnienie materiału dowodowego, połączone z krzyżowym przesłuchaniem świadków. Aby ostatecznie zamknąć sprawę, miał zwoływać kolejne posiedzenia we wtorki i czwartki po południu, tak długo, jak będzie to konieczne, choćby do następnego lata. Stwierdzał przy tym wyraźnie, iż życzy sobie wyłącznie żywych świadków gotowych do składania zeznań, a nie dopuści do rozpatrywania żadnych zaprzysiężonych oświadczeń.

Schlichtmann próbował się skontaktować z Larrym Knoxem w nadziei, że namówi go do składania zeznań w sądzie. Przez pięć dni pod rząd dzwonił do niego sześć czy siedem razy dziennie i zostawiał wiadomości. Knox nie odpowiadał. W poniedziałek rano, przed wyznaczonym terminem posiedzenia, Schlichtmann obudził się o szóstej i nie wstając z łóżka, zadzwonił jeszcze raz do miejscowości na północy Massachussetts, niedaleko granicy z New Hampshire, gdzie Knox obecnie pracował. Po trzecim sygnale podniósł wreszcie słuchawkę. Schlichtmann zaczął go błagać:

– Posłuchaj, Larry, to bardzo ważne. Tylko ty możesz ujawnić prawdę, możesz spowodować, że sprawiedliwości stanie się zadość... Czemu nie chcesz tego zrobić, Larry? Czy ktoś z obrony się z tobą kontaktował?... Nie, to wykluczone. Nikt cię nie będzie wypytywał o twoją przeszłość. Opowiesz tylko, co widziałeś. Postaram się, żeby wszystko poszło szybko i bezboleśnie... To jedyny powód, Larry? A może nie wszystko mi powiedziałeś? Larry, proszę... Larry?

Knox odłożył słuchawkę. Schlichtmann natychmiast zadzwonił po raz drugi.

– Larry, proszę, po prostu chcę... Larry, nie odkładaj słuchawki!...

Wstał z łóżka, miotając przekleństwami.

W kancelarii przygotował wezwanie dla Knoxa i poprosił o ochronę sądowego strażnika. Przesłano mu osiłka w sportowej tweedowej marynarce, z wielkim rewolwerem w kaburze na biodrze. Schlichtmannowi nie znosił takich oficjalnych wezwań sądowych, ale nie miał wyboru. Razem z Crowleyem pojechali na północ

stanu, pod granicę New Hampshire, gdzie Knox wiercił studnię. Strażnik przyjechał swoim samochodem za nimi. Był dopiero koniec stycznia, ale nastaly wyjątkowo ciepłe dni. Znaleźli Knoxa na błotnistym terenie, przez który miała biec nowa autostrada międzystanowa. Adwokat ruszył przez pole, na zważając na błoto, które oblepiało jego pantofle marki Bally, warte dwieście dolarów, i szargało nogawki spodni. Podeszedł do stojącego tyłem Knoxa obsługującego dużą wiertnicę. Ten miał na sobie podartą flanelową koszulę i zabłocone spodnie, wiszące tak nisko na jednej szelce, że widać było rowek między jego pośladkami. Wiertnica straszliwie hałasowała i Knox najwidoczniej nie usłyszał zbliżającego się adwokata. Jan powoli obszedł go łukiem, aż wreszcie znalazł się w jego polu widzenia. Ukłonił mu się z szacunkiem i uśmiechnął szeroko. Nic nie było słyhać przez hałas pracującego sprzętu, ale z ruchu warg odczytał słowa:

– O kurwa!

Poszedł dalej i stanął przy furgonetce Knoxa. Ten co chwila podnosił głowę i zerkał na niego. Minęła godzina, a Schlichtmann wciąż stał przy samochodzie. O trzeciej trzydzieści zawyla syrena ogłaszająca koniec pracy i Knox wyłączył wiertnicę. Ruszył w stronę furgonetki, z daleka omijając Schlichtmanna, jakby miał przed sobą ducha.

– Larry – odezwał się adwokat.

– Spadaj – burknął Knox. – Już ci dałem oświadczenie. Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego.

Crowley ze strażnikiem zostali przy drodze. Schlichtmann nie chciał wręczać oficjalnego wezwania, dopóki Knox nie zacznie się zbierać do odjazdu.

– Proszę poczekać, aż dam panu znak – powiedział do strażnika.

Knox obszedł furgonetkę i usiadł za kierownicą. Schlichtmann nie odstępował go na krok.

– Ostrzegam cię, do cholery! – rzucił ostro Knox, pokazując zacisniętą pięść.

Jan zdjął okulary, ale nie przestał mówić. Nawet za cenę utraty paru zębów zamierzał doprowadzić tego świadka przed oblicze sędziego Skinnera.

Jakieś sto metrów dalej Crowley odezwał się do strażnika:

– Lepiej niech mu pan już wręczy to wezwanie. Coś mi się zdaje, że chce odjechać.

Strażnik ruszył biegiem przez pole. Kiedy Schlichtmann zauważył jego ciężkawy galop, pomyślał, że lada chwila może sięgnąć po rewolwer. Zaczął mu dawać energiczne znaki, lecz osiłek je zlekceważył. Podbiegł bliżej i dysząc ciężko, cisnął wezwaniem w Knoxa. Koperta trafiła go prosto w pierś i powoli opadła w błoto.

– Proszę! – zawołał strażnik. – Właśnie odebrał pan nakaz stawienia się w Federalnym Sądzie Okręgowym.

Schlichtmann pochylił się, aby podnieść wezwanie. Oczyszczył kopertę z błota i z zakłopotaną miną podał Knoxowi. Ten wziął ją i ze złością machnął Janowi przed nosem.

– Dobra, kutasie! Dopiąłeś swego!

Trzasnął drzwiami auta, przekręcił kluczyk w stacyjce i furgonetka zatańczyła na rozjeżdżonej ziemi. Spod szerokich opon na Schlichtmanna trysnęły strugi błota.

Jan z wściekłością zamachał rękoma, jak człowiek walczący z demonami. A potem, nie mówiąc ani słowa, utkwiał spojrzenie w ziemi. Crowley podszedł do niego i powiedział łagodnym tonem:

– Chodźmy już.

Schlichtmann w milczeniu wsiadł do samochodu, oparł głowę o zagłówek i zapatrzył się przed siebie nieruchomym wzrokiem. Crowley wyjechał z błotnistej pola na szutrową drogę. Jakies pół kilometra dalej zobaczył na poboczu kilka półciężarówek. Knox stał przy szoferce swojej furgonetki. Crowley zatrzymał samochód w pewnej odległości za nimi. Schlichtmann wysiadł i ruszył w kierunku Knoxa, który przez chwilę patrzył na niego wrogo, a potem wsiadł z powrotem do wozu. Boże, nie pozwól, żeby teraz odjechał, pomyślał Schlichtmann. Powtarzał to sobie jak mantrę.

Podszedł do furgonetki i położył dłoń na krawędzi otwartego okna w drzwiach. Najważniejsze dla niego było dobranie odpowiednich słów, którymi mógłby przekonać Knoxa. Tak bardzo bał się powiedzieć coś niewłaściwego, że ostatecznie nie był w stanie nic z siebie wykrztusić. Łzy zakręciły mu się w oczach.

Knox spoglądał na niego ze zdziwieniem.

– Jezu Chryste, ależ z ciebie uparty skurwysyn – powiedział wreszcie.

Schlichtmann skinął głową i otworzył usta, ale z gardła wydobył mu się tylko nieartykułowany charkot.

– Przestań – rzucił Knox.

Po policzkach Schlichtmanna zaczęły spływać łzy. Zdjął okulary, aby je wytrzeć.

Knox westchnął i zapalił papierosa.

– No, dobra – mruknął. – Powiedz tylko, gdzie mamy się spotkać.

5

W ciągu dwóch miesięcy przesłuchano dwudziestu sześciu świadków, a sędzia Skinner włączył do materiału dowodowego dwieście trzydzieści sześć dokumentów liczących w sumie prawie trzy tysiące stron. Posiedzenia w sprawie uchybień proceduralnych ciągnęły się dłużej niż niejedna poważna rozprawa. Larry Knox dotrzymał słowa i złożył zeznania. Przyszedł do sądu w swoim wyjściowym ubraniu, niebieskiej kurtce Łosi i jaskrawoczerwonej bluzie drużyny Red Sox. Spokojnie odpowiedział na pytania Fachera. Jego obawy, że na światło dzienne zostaną wyciągnięte jakies jego dawne występki, okazały się płonne. Obrona nie miała czasu, aby grzebać w przeszłości świadka.

Operator koparki Michigan z garbarni, tykowały blondyn o nazwisku William Sorenson, zeznał, że w piętnastoakrowym lasku przepracował zaledwie jeden dzień i nie usuwał stamtąd niczego niezwykłego, tylko złom i gnijące gałęzie. Wykonał przecinkę w zaroślach, żeby umożliwić dojazd do miejsca wiercenia studni kontrolnej. Powiedział, że oprócz wyciętych krzaków i śmieci zebrał trochę ziemi, ale nie więcej niż trzy metry sześciennie. Leśna gleba w niczym nie

przypominała osadów z garbarni, stwierdził Sorensen. Zeznający po nim inżynier, który nadzorował wiercenie studni, potwierdził, że z lasu wywożono jedynie rozmaite śmieci, złom i karpny wyrąbanych krzewów.

Skinner uznał, że wszystkie te zeznania mają niewielką wartość, i surowo upomniął Schlichtmanna za marnowanie czasu.

– Ma pan to, czego szukał, czyli potwierdzenie, że właściciel coś wywoził z terenu lasu – powiedział. – Należy jeszcze ustalić, czy były to legalne działania, czy też raczej jakiś straszliwy spisek.

Schlichtmann chciał wezwać na świadka specjalistę z Agencji Ochrony Środowiska, Davida Delaneya, który wyjaśniłby przed sądem, że akcja czyszczenia lasu była jednak podejrzana, a wywożony materiał niezwykle przypominał próbkę Z. Agencja jednak nie wyraziła na to zgody, motywując, że nigdy nie zezwala pracownikom składać zeznań w sprawach cywilnych. Tylko Skinner mógł wpłynąć na zmianę decyzji kierownictwa agencji i powołać Delaneya na świadka, ale nie dostrzegł takiej konieczności.

Jan włączył służbową notatkę Delaneya do materiału dowodowego. Mimo uwagi: „Obaj kierowcy wydawali się przestraszeni moją obecnością” Skinner nie znalazł w jej treści niczego podejrzanego. Ponownie oskarżył Schlichtmanna o marnowanie czasu.

– Przecież Delaney podszedł tam i rozmawiał z ludźmi! – warknął ze złością. – Chce mi pan wmówić, że nadal usuwano dowody przestępstwa tuż pod nosem stróża prawa?!

W drugim tygodniu przesłuchań Schlichtmann odebrał telefon od najnowszego członka zespołu Fachera, czterdziestotrzyletniego Jamesa Quarlesa. Należał do „chłopców Jerry’ego”, gdy przed piętnastu laty Facher rozpoczął pracę w kancelarii Hale’a i Dorra. Teraz ściągnięto go z Waszyngtonu specjalnie do pomocy w prowadzeniu tej sprawy, chociaż Facher wciąż radził sobie doskonale. Quarles był wysoki, nosił długie, sumiaste wąsy i okulary w rogowej oprawie. Miał dość miły, nienarzucający się sposób bycia, świadczący o nienagannych manierach. Jan go polubił.

Spotkali się w restauracji niedaleko sądu. Quarles chciał porozmawiać o możliwościach zawarcia ugody na tym etapie rozpatrywania sprawy. Powiedział, że Facher bardzo mocno przeżywa jej obecny wydzwitek i nadzwyczaj mu zależy na doprowadzeniu jej do końca, bo chce się oczyścić z zarzutów. Z drugiej strony Facher powtarzał, że jakiegokolwiek polubowne odszkodowanie wyższe od pięćdziesięciu tysięcy jest równoznaczne przyznaniu się do winy. Mimo to, ciągnął Quarle, firma oferowała teraz po sto tysięcy dolarów dla każdej z rodzin, czyli w sumie osiemset tysięcy.

Schlichtmann odparł, że nawet nie powiadomi o tej ofercie swoich klientów.

– Mogę ją od razu odrzucić.

– Nie popełniliśmy żadnego wykroczenia – oświadczył Quarle, wstając z miejsca i sięgając po płaszcz. – To nie nasz problem. A jeśli nawet Jack Riley i Mary Ryan coś tam naknócili, to i tak nie masz szans na powtórzenie procesu.

Położył na stole banknot dwudziestodolarowy. Słyszał o jego długach. Inspektor z urzędu skarbowego, który prowadził kontrolę w kancelarii Hale’a i Dorra,

powiedział Jacobsowi, że władze stanowe wydały nakaz zajęcia każdej sumy wynegocjowanej przez Schlichtmanna w ramach ugody.

Jan się oburzył.

– Przecież wypieś tylko dietetyczną coca-colę – rzekł, odsuwając od siebie banknot.

– Ja stawiam – rzucił Quarles, odwrócił się i wyszedł.

Schlichtmann zadzwonił z restauracji do Conwaya i Crowleya. Poprosił ich, żeby przyszyli. Później zrelacjonował im przebieg spotkania. Dwadzieścia dolarów wciąż leżało na stoliku. Jan podniósł banknot i powoli rozdarł na pół, potem złożył obie części razem i rozdarł po raz drugi.

Conwayowi opadła szczeka.

– Matko boska! Janie, co ty wyprawiasz?

Schlichtmann podarł dwudziestodolarówkę na strzępy i usypał z nich na środku stolika małą, zieloną kupkę.

– Nie chcę od nich ani centa.

Tego wieczoru w biurze Conway nastawił ekspres do kawy i usiadł na stołku, czekając, aż woda się zagotuje. Kiedy do kuchni weszła Peggy, musiała wysłuchać jego pełnych niepokoju wynurzeń.

– Zsuwamy się coraz głębiej w mroczną przepaść – mówił Conway. – Nikt nie zachowuje się racjonalnie, ani sędzia, ani Facher, ani Jan. Może i ja także straciłem zdrowy rozsądek? Strasznie boli mnie głowa. Powołujemy świadka za świadkiem, a na Skinnerze nie robi to żadnego wrażenia. Mówi, że wszelkie zarzuty celowego ukrywania dowodów to bzdura. A Jan brnie w to dalej. Może tak ciągnąć w nieskończoność, aż do grobowej deski. Zupełnie jak w dziewiątym kręgu piekła Dantego. Wygrana, porażka, apelacja, wygrana, porażka, apelacja.

W drugim tygodniu przesłuchań Schlichtmann powołał na świadka Jamesa Grangera, byłego inżyniera działu technicznego garbarni. Granger nie miał ochoty zeznawać. Powiedział sędziemu, że wcale by nie przyjechał, gdyby wiedział, że wezwanie przekazane mu przez adwokata jest ważne tylko w promieniu stu mil od miejsca wystawienia. Kiedy tego dnia Schlichtmann wszedł do sali rozpraw, zauważył Grangera siedzącego obok Mary Ryan w pierwszym rzędzie widowni. Wyglądało na to, że prawniczka dyktowała inżynierowi, co ma mówić. Gdy Jan przechodził obok nich, złowił nienawistne spojrzenie Grangera. Później świadek zeznał, że na polecenie Rileya przez kilka tygodni zajmował się usuwaniem złomu i śmieci z piętnastokrowego lasku. Podczas tego zajęcia natknął się na pas paszebarwionej ziemi.

– Jak wyglądała ta gleba? – zapytał sędzia.

Granger z pewnym zakłopotaniem odparł, że przypominała garbarskie osady ściekowe, z resztkami tkanek zwierzęcych i sierści, „jak szlam, który czasami wygarnialiśmy z odstojnika”.

I jak próbka Z. Schlichtmann był zaskoczony, bo Granger nie wspominał o tym w oświadczeniu.

Nie było tego wiele, ciągnął inżynier, najwyżej jedna pełna łyżka koparki, czyli jakieś trzy metry sześciennie. Riley kazał im to wywieźć. Kiedy później Granger sprawdzał ten teren, zauważył tylko resztki brunatnego szlamu. W jednym miejscu, gdzie miała być wiercona studnia kontrolna, przysypał go liśćmi.

– Nie chciałem, żeby było widać, że coś tam wykopywaliśmy.

– Dlaczego? – zapytał sędzia.

– Od początku się staraliśmy, żeby wszystko tam wyglądało tak, jak gdzie indziej, i nikt nie mógł nam niczego zarzucić.

– Nam? To znaczy komu?

– No, chyba... – zaczął Granger z zakłopotaną miną – ...chyba zrobiłem to z własnej inicjatywy. Głównie dlatego, że... jak pamiętam, pan Riley był bardzo zmartwiony, że znaleźliśmy w lesie ten szlam. Poczuję się tak, jakbym osobiście był odpowiedzialny za to, co odkryliśmy.

Schlichtmann skorzystał z prawa do powtórnego odpytania świadka. Granger z ociąganiem przyznał, że usunęli nie tylko jedną hałdę brunatnego szlamu. Jan poprosił, aby narysował schematyczny plan lasu i zaznaczył na nim miejsca, z których wywozili osady. Inżynier nakreślił kilka dużych okręgów. Pierwszy obejmował środek lasu, gdzie wykryto najsilniejsze skażenie gleby trichloroetylenem, drugi sąsiedował z ujęciem wody technologicznej, a trzeci znajdował się tuż za bramą wjazdową na teren działki.

Riley wrócił na salę sądową na początku marca, trzy lata po tym, jak w czasie procesu pierwszy raz zajął miejsce dla świadków. Wtedy był agresywny i wrogi, ale teraz wyglądał na człowieka chorego, markotnego i apatycznego. Wcześniej spacerował po korytarzu z zagryzionymi wargi i spoglądał dookoła podejrzliwie spod przymrużonych powiek. Był już sporo po sześćdziesiątce i cierpiał na okresowe ataki depresji. Schlichtmann pokazał mu próbkę z próbką Z. Riley rzekł z naciskiem, że to nie może być osad ściekowy z garbarni. Oświadczył, że nie przypomina sobie, by kiedykolwiek kazał Grangerowi wywozić jakieś śmieci z lasu.

– Nie pamiętam – rzekł, kręcąc majestatycznie głową.

– Ale mogło tak się zdarzyć? – naciskał Schlichtmann.

Riley wzruszył ramionami.

– Mogło albo i nie. Nie pamiętam.

Tego popołudnia przez półtorej godziny na kolejne pytania odpowiadał w kółko:

– Nie pamiętam.

Gdy Schlichtmann zapytał o raport firmy Yankee, Riley odparł, że trzymał go u siebie w domu. Później, ku zdumieniu adwokata, przyznał, że miał w domu również inne materiały garbarni.

– Wyniki moich osobistych obserwacji dotyczących urządzeń i zeszyty z re-
cepturami.

Receptury? Schlichtmann poczuł identyczne podniecenie, jak przed laty, gdy zadzwonił do niego Al Love. Starał się jednak niczego po sobie nie okazywać.

Siląc się na spokój, zapytał Riley, czy chodzi o receptury sporządzania roztworów chemikaliów stosowanych do wyprawiania skóry.

– Tak, oczywiście.

– I gdzie one teraz są?

– Te receptury i reszta papierów? Najstarsze ciągle mam w domu. Przepisów na roztwory nigdy nie wynosiłem. Przynajmniej odkąd sięgam pamięcią.

– Z jakiego okresu pochodzą?

– Och, na to pytanie nie mogę odpowiedzieć. Niektóre są nowsze, inne starsze. Nazbierało się ich przez lata. Teraz są bezwartościowe, te receptury. Jak stare przepisy aptekarskie.

Facher wstał, wyraźnie zaniepokojony omawianą tematyką.

– Nie rozumiem, co mogą mieć do rzeczy stare receptury – zwrócił się do sędziego.

– Ale ja rozumiem – uciał Skinner.

Później Riley zeznał, że przy różnych okazjach pokazywał adwokatom te zeszyty z recepturami, ale nie mógł sobie przypomnieć, kiedy to było.

Schlichtmann próbował go naprowadzić.

– Może w czasie postępowania sądowego?

– Tak, chyba tak.

A czy Riley nie zeznał w czasie przesłuchania i podczas procesu, że cała dokumentacja dotycząca używanych chemikaliów została zniszczona w 1979 roku? Że nie zachowało się nic, ani jeden świstek potwierdzający rodzaj chemikaliów stosowanych w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych?

Schlichtmann zwrócił się do sędziego:

– Powinienem uzyskać dostęp do tych receptur w trakcie gromadzenia materiału dowodowego. Chciałbym zobaczyć je teraz.

Facher oświadczył, że ich nie ma. Mary Ryan, która siedziała za jego plecami, w pierwszym rzędzie widowni, wstała i przyznała, że dysponuje pewnymi „dokumentami, które wcześniej przeoczyła”. Później dodała:

– Złożyłam je w magazynie. Część znajduje się w moim biurze.

Na swoją obronę miała tylko tyle, że w czasie gromadzenia materiału dowodowego Schlichtmann ani razu nie zwrócił się do niej o ujawnienie tej dokumentacji, chociaż musiał wiedzieć o istnieniu „wielu teczek z papierami, do których nikt nigdy nie zaglądał”.

Jan ponownie zwrócił się do sędziego z prośbą o zgodę na przeszukanie magazynu.

– Mówimy o magazynie pełnym starych papierów – odparł Skinner. – Uznanie ich za materiał dowodowy przekształciłoby to postępowanie wyjaśniające w długotrwały proces. Ja natomiast chciałbym jak najszybciej zamknąć tę sprawę.

Tym razem Schlichtmann stracił zimną krew.

– Na litość boską! – wykrzyknął. – Przyczyną tego posiedzenia są przecież zatajone materiały. Dowiedzieliśmy się właśnie, że pozwany ukrył całą dokumentację. Jak może pan twierdzić...

– Wcale nie jestem pewien – przerwał mu sędzia – czy rzeczywiście zwracał się pan o ujawnienie wszelkich dokumentów, jak teraz pan utrzymuje. Żaden pozwany nie ma obowiązku dobrowolnie przedstawiać niczego, o co nie występowała strona powodowa.

Do końca przesłuchania Riley'a wyszło na jaw, że garbarz zaczął sobie „nagle przypominać” o wielu sprawach. Tak więc kłamał, że nigdy niczego nie wywożono z piętnastoakrowego lasku, że nigdy nie widział na tym terenie żadnych śmieci, że zniszczono całą dokumentację garbarni sprzed 1979 roku. Kłamał nawet w kwestii urządzeń, w których stosowano tetrachloroetylen. Na tę rozbieżność sam sędzia zwrócił uwagę i zapytał:

– Zatem w czasie procesu zeznał pan nieprawdę?

W sali zapadała grobowa cisza. Dotąd, ilekroć Schlichtmann udowadniał kłamstwa Riley'a, garbarz uparcie powtarzał, iż niczego nie pamięta. Teraz jednak pochylił nisko głowę i powiedział:

– Zgadza się, zeznałem wtedy nieprawdę.

Donna Robbins siedziała na widowni i obserwowała zeznania Riley'a. Można się było spodziewać, że zdemaskowanie dyrektora sprawi jej radość, tymczasem mruknęła pod nosem:

– Boże, jak mi go szkoda.

Facher doskonale rozumiał, że Riley sam się zdradził, ale nie mógł dopuścić, by zostało to uznane za celowe krzywoprzysięstwo.

– Pytania spływają po nim jak woda po gęsi – ocenił podczas przerwy.

Zamierzał jako okoliczność tłumaczącą mylenie faktów i luki w pamięci jego klienta przedstawić dowody powracających stanów depresyjnych Riley'a, ten jednak zaznaczył ostro:

– Ani mi się waży poruszać ten temat.

Kiedy wreszcie przesłuchanie dobiegło końca, Riley wyszedł z sali, nie odezwawszy się do swoich prawników ani słowem. Facherowi wydawało się, że pod koniec dostrzegł na zapadniętych policzkach garbarza kilka łez. Jeszcze w przejściu Riley nałożył beżowy płaszcz i powlókł się korytarzem do windy. Szedł przygarbiony, powłócząc nogami. Gdy winda przyjechała, wszedł i stanął w kącie, oparty plecami o ścianę. Jeden z widzów obserwujących przesłuchanie wszedł tuż za nim.

– Tu wcale nie chodzi o prawdę – odezwał się z goryczą w głosie Riley. – To jest walka o pieniądze. – Łzy spływały po jego policzkach. Otarł je olbrzymią pięścią. Spojrzał na współpasażera i zapytał: – Kiedy to się wreszcie skończy?

– Może za rok?

Riley jęknął.

– Wtedy już będę martwy.

Schlichtmann powołał następnych świadków – kierowcę ciężarówki z Woburn i siedemnastoletniego chłopaka, który często jeździł motorowerem po terenie pięć-

nastoakrowego lasku. Obaj poświadczyli, że było tam wielkie wysypisko odpadów garbarskich. Następnie biegły, biochemik z MIT, który analizował próbkę Z i znalazł w niej komórki oraz tłuszcz zwierzęcy, zeznał, że najprawdopodobniej były to odpady tkanek pochodzących z surowych skór dostarczanych do garbarni. Facher przesłuchał własnego biegłego, Olina Braidsa – tego samego specjalistę od chemizmu gleby, który podczas procesu wysunął teorię „ziemnych robaków”. Ponoć zidentyfikował on w próbce Z jakąś żywicę i plastyfikator, twierdził zatem, iż nie mogą to być garbarskie osady ściekowe, skoro zawierają składniki polimerów.

Na koniec obrońcy sami wystąpili w roli świadków. Obaj pod przysięgą zeznali, że nie znali raportu firmy Yankee ani przed procesem, ani w czasie jego trwania. Kiedy Facher przesłuchiwał Jacobsa, ten początkowo sprawiał wrażenie zdenerwowanego, a potem poirytowanego dziwną sytuacją, w jakiej się znalazł. Natomiast Facher na miejscu dla świadków zachowywał się zupełnie swobodnie. Powiedział, że wcześniej zdarzało mu się przegrywać sprawy.

– Przegrywałem je w taki sam sposób, w jaki wygrywałem inne, zawsze zgodnie z zasadami – oznajmił, spoglądając na sędziego. – Ta rozprawa była trudna, ale uczciwa, a jej wynik ma charakter czysto merytoryczny.

Później Conway nie mógł zapomnieć tej przedziwnej sytuacji, w której dwaj adwokaci przepytują się nawzajem pod przysięgą.

– Kiedy w pewnym momencie Neil spojrział na mnie, mrugnął porozumiewawczo – rzekł ze zdziwieniem. – To była czysta paranoja.

Przesłuchania, rozpoczęte w styczniu, zakończyły się ostatecznie w marcu. Ale upłynęły jeszcze cztery miesiące – dla Schlichtmanna okres nieustającej udreki – zanim sędzia ogłosił swoją decyzję. Uznał, że Riley dopuścił się krzywoprzysięstwa, a Mary Ryan była winna „świadomego naruszenia zasad etyki zawodowej”, do jakich zaliczył zatajenie przed Schlichtmannem raportu firmy Yankee. Facher został całkowicie oczyszczony z zarzutów. Skinner napisał w uzasadnieniu: „Nie mam powodu wątpić w prawdziwość jego zeznań. Pan Facher jest adwokatem procesowym o uznanej reputacji, jego działania wielokrotnie mogłem podziwiać na swojej sali rozpraw. W tutejszym środowisku od dawna słynie z nieustępliwości i skrupulatnego przestrzegania zasad etyki”.

Sędzia uznał także, iż „działalność porządkowa” na terenie piętnastoakrowego lasku „była w uzasadniony sposób powiązana z planowanym wierceniem studni kontrolnych oraz prowadzonymi czynnościami dochodzeniowymi”. Wbrew zeznaniom Grangera Skinner na własny użytek porównał garbarskie osady ściekowe z próbką Z i stwierdził, że „całkowicie różnią się one kolorem, konsystencją oraz zapachem”. Oparł się natomiast na opinii powołanego przez Fachera biegłego z zakresu chemizmu gleby i ustalił, że próbka Z „jest w istocie produktem ubocznym pochodzącym z instalacji produkcyjnej polichloroku winylu” i „w żaden sposób nie wiąże się z procesem garbowania skóry”.

Niezależnie od tego, pisał dalej sędzia, stwierdzone uchybienia proceduralne zostały zawinione przez stronę pozwaną, gdyż Mary Ryan, winna naruszenia za-

sad etyki zawodowej, jest zatrudniona w Beatrice Foods, a ponadto blisko współpracowała z Facherem kierującym obroną firmy. Na tej podstawie Skinner zarządził dalsze przesłuchania, w których Facher powinien udowodnić, że działania Mary Ryan nie miały „istotnego wpływu” na zakres materiału dowodowego zbieranego przez Schlichtmanna na poparcie zarzutów wysuniętych garbarni.

Jan znowu popadł w euforię. Był przeświadczony, że sędzia w końcu zmienił front.

– Gdy uzyskam sankcję, zorganizujemy proces od nowa – powiedział Conwayowi.

Ten był jednak innego zdania. W końcu Skinner tylko w jednym punkcie zdecydował na ich korzyść. Zresztą nawet orzeczenie uchybień proceduralnych, za jakie uznał zatajenie raportu firmy Yankee, w gruncie rzeczy było jedynie potwierdzeniem wcześniejszego orzeczenia trybunału apelacyjnego. Sędzia ani trochę nie zmienił frontu, tłumaczył Conway.

– Nawet nie mógł postąpić inaczej, chcąc zachować twarz!

W ostatniej serii przesłuchań Facher usilnie starał się powołać na świadka Schlichtmanna. Argumentował, że byłby to najlepszy sposób na ustalenie, czy orzeczone uchybienia proceduralne wpłynęły na rezultat procesu przeciwko garbarni.

Schlichtmann doskonale pamiętał ten dzień sprzed siedmiu lat, kiedy podczas rozpatrywania wniosku o odsunięcie go na podstawie paragrafu jedenastego tego samego próbował Cheeseman. Cały ten przewód sądowy trwał już tak długo, że niektóre jego elementy zaczynały się powtarzać. Znowu nie zgodził się zeznawać. Skinner nalegał, tłumacząc, iż nie może się dłużej zaślaniać etyką zawodową adwokata, skoro wskutek jego posunięć wcześniej w roli świadków musieli wystąpić Facher i Jacobs. Jan twierdził, że wcale nie chciał ich przesłuchiwać, to oni sami przyjmowali nawzajem swoje zeznania. W końcu Skinner wzruszył ramionami i ostrzegł go, że stawia na szali losy powtórnej rozprawy. Podobnie groził siedem lat temu, strasząc przyjęciem wniosku i odsunięciem go od sprawy.

Tak więc Facher musiał sobie radzić bez jego zeznań i w efekcie nie powołał żadnego świadka. Wyłącznie na podstawie protokołów uzasadniał, że zatajenie materiałów nie wpłynęło na wynik procesu, ponieważ Schlichtmann nie wykazał dostatecznej aktywności w celu dotarcia do nich, skupiając się niemal bez reszty na sprawie zanieczyszczenia piętnastoakrowego lasku. I gdyby tylko zgodził się teraz złożyć zaprzysiężone zeznania, teza ta z pewnością znalazłaby potwierdzenie.

Skinner zażądał dostępu do wszystkich notatek Schlichtmanna z okresu gromadzenia materiału dowodowego przeciwko garbarni. Jan zaprotestował, argumentując, że jego notatki nie mają żadnego związku z celem obecnych przesłuchań. Sędzia wyjaśnił, że chce się jedynie upewnić, czy na pewno nie dysponował żadnymi informacjami porównywalnymi z treścią raportu firmy Yankee. Gdyby

się okazało, że zdobył podobne dane, jego twierdzenie o „istotnym wpływie” zatajonych materiałów na wynik rozprawy byłoby bezpodstawne.

Schlichtmann ponownie zaprotestował. Nie miało znaczenia, jakimi danymi dysponował, a jakimi nie, chodziło o sam fakt zatajenia przed nim dokumentów. Poza tym jego notatki były tylko produktem pośrednim pracy adwokackiej, podlegały tajemnicy zawodowej i nie mogły zostać udostępnione stronie przeciwnej. Sędzia zapewnił, że nie musi się niczego obawiać, gdyż on pragnie je przejrzeć na osobności, *in camera*. Obiecał, że nie pokaże ich Facherowi.

W tej sytuacji Schlichtmann wyraził zgodę, choć uczynił to niechętnie. Wmawiał sobie, że nie ma się czego obawiać. Sędzia musiał w nich znaleźć dowód, iż starannie zbadał każdy trop i nie dotarł do raportu firmy Yankee ani innych podobnych dokumentów.

6

Przesłuchania zakończyły się w drugiej połowie października. Nie obyło się jednak bez niespodzianki. Mary Ryan, która na tym etapie wynajęła własnego adwokata, zwróciła się do sędziego o ponowne rozpatrzenie decyzji uznającej ją winną „celowych uchybień proceduralnych”. Skinner odmówił. Skłoniło to ją do złożenia oświadczenia, w którym stwierdzała, że w czasie rozprawy „rzecznik obrony wiedział o istnieniu sprawozdania firmy Yankee”. Oświadczyła, że Neil Jacobs miał okazję się z nim zapoznać już w listopadzie 1984 roku – otrzymał egzemplarz, który ona przesała mu przez posłańca dwa miesiące przed rozpoczęciem procesu. Ryan zapewniała, że ma na potwierdzenie aż czterdzieści jeden różnych dokumentów: listów, notatek służbowych, wykazów rozmów telefonicznych i pokwitowań gońców.

Czytając to oświadczenie, Schlichtmann pomyślał przez chwilę, że ma halucynacje.

– Czy mnie oczy nie mylą? – pytał sam siebie.

Jacobs zeznał pod przysięgą, że po raz pierwszy zobaczył raport rok po procesie. Jeżeli w oświadczeniu Ryan pisała prawdę, był to ewidentny dowód krzywoprzysięstwa, który powinien rozwścieczyć sędziego. Ale Jan stracił już nadzieję na jakąkolwiek reakcję Skinnera.

– To same kłamstwa, nic więcej – powiedział Conwayowi. – A ten stary kutas za stołem sędziowskim powtarza bez przerwy: „Jeszcze nie zrobił pan na mnie wrażenia”.

Jego obawy się potwierdziły, Skinner odmówił rozpatrzenia pisma Mary Ryan. Uznał, że powinna była o tym poinformować przed trzema miesiącami, w czasie pierwszej serii przesłuchań, lecz tego nie zrobiła. „Nie są mi znane żadne zasady proceduralne, zgodnie z którymi adwokat będący w sytuacji pani Ryan, to znaczy zobowiązany do złożenia wyczerpujących wyjaśnień, mógłby zataić pewne informacje do chwili, kiedy ich ujawnienie będzie przemawiało na jego korzyść, i na tej podstawie domagać się od sądu rewizji dokonanych ustaleń”. Tym samym

Skinner odciął Mary Ryan możliwość składania jakichkolwiek wniosków formalnych.

Schlichtmann czekał jeszcze na wpłynięcie do trybunału apelacyjnego sprawozdania sędziego. Nastął szary, pochmurny listopad, kiedy to kolejne dni w niczym nie różniły się od poprzednich. Jan nie miał nic do roboty poza roztrząsaniem własnych kłopotów i ciągłymi naradami z Kileyem, Nessonem i Neville'em. Każdy, kto tylko był chętny wysłuchiwać jego monologów na temat sprawy Woburn, mógł się spodziewać dwóch albo trzech telefonów dziennie.

W niedzielę 11 grudnia Schlichtmann położył się spać o wpół do pierwszej w nocy, lecz obudził się dwie godziny później z krzykiem, w skotłowanej pościeli. Przyszło mu się ogłoszenie decyzji Skinnera.

Dzień miał mu zesłać następny senny koszmar. Rano woźny z biura Skinnera powiadomił telefonicznie, że sędzia wysłał właśnie swoje sprawozdanie do trybunału. Schlichtmann w towarzystwie Crowleya poszedł Milk Street do gmachu sądu.

– Przeczuwam, że się wścieknę, gdy to zobaczę – rzekł do przyjaciela. – Ten stary, pokręcony skurwysyn na pewno wykręcił mi jakiś numer.

Na szóstym piętrze, w sekretariacie wydziału cywilnego, asystent Skinnera wręczył mu kopię pisma. Jan zaczął pospiesznie je czytać. W jego notatkach („dowodzących wnikliwej i sumiennej analizy materiału dowodowego”, jak ocenił sędzia) „nie było żadnego potwierdzenia zarzutów, jakoby pozwany składał jakiejkolwiek odpady chemiczne czy to na terenie garbarni, czy w obrębie piętnastoakrowego lasku”. Na tej podstawie Skinner wnioskował, że przez cały okres trwania procesu, rozpatrywania apelacji i postępowania wyjaśniającego aż do chwili obecnej Schlichtmann „zdawał sobie sprawę, że nie istnieją niezbite dowody składowania rzeczonych chemikaliów ani na terenie garbarni, ani w piętnastoakrowym lesie”.

W związku z tym sędzia uznawał, że Schlichtmann naruszył przepisy paragrafu jedenastego i wystąpił z bezzasadnym powództwem, którego zarzuty nie miały potwierdzenia w faktach. Dopuścił się więc naruszenia zasad etyki zawodowej.

Jednak to uchybienie, pisał dalej sędzia, zostało zrównoważone przez równie naganne postępowanie Mary Ryan, która zataiła raport firmy Yankee. Dlatego też, konkludował Skinner, „wobec złożoności sprawy, zalecałbym nie rozstrzygać wątpliwości na korzyść którejkolwiek ze stron i nie wyciągać konsekwencji względem drugiej, co powinno zostać odebrane jako kara wymierzona obu stronom równocześnie”.

Koło się zamknęło. Rozprawa zaczęła się od wniosku dotyczącego przepisów paragrafu jedenastego i na tych samych przepisach się zakończyła.

– Twierdzi, że to m n i e należałoby ukarać?! – wrzasnął Schlichtmann. Był tak rozwiścieczony, że ręce mu się trzęsły.

– Miałem tylko oddać to pismo – powiedział urzędnik, odsuwając się od niego.

– Ten człowiek z w a r i o w a ł ! – ryknął Schlichtmann ochryplym głosem.

Wszyscy gapili się na nich. Crowley pociągnął Jana za rękę, wyprowadził go na korytarz i skierował się do windy.

– Już dobrze, chodź. Wynośmy się stąd – powiedział, z niepokojem zerkając na boki.

Kiedy wyszli na Post Office Square, Schlichtmann stanął, odchylił głowę do tyłu i ryknął:

– To pieprzone bydlę! Pewnie się teraz cieszy, kretyn! On mnie chce ukarać!

Po otrzymaniu sprawozdania Skinnera trybunał apelacyjny ogłosił wydykt 26 marca 1990 roku. Stwierdzano w nim, że nie jest rolą trybunału podważanie ustaleń sędziego przewodniczącego rozprawie, który dogłębnie poznał „dwoistą, niejasną naturę tej niezmiernie skomplikowanej sprawy”. Skinner zasługiwał na pochwałę za to, że „z zapałem i dociekliwością uporał się z tak niewdzięcznym zadaniem”. Jego arbitralne ustalenia uznano za „rzeczowe i dobrze uzasadnione, podjęte w zgodzie z obowiązującymi przepisami prawa”. Przyjęto również jego zalecenia w kwestii kar dla rzeczników obu stron. „To nadzwyczaj długotrwałe postępowanie może zostać wreszcie zakończone”, pisano w uzasadnieniu wydyktu.

Tego samego dnia wieczorem poszkodowane rodziny przyjechały do Bostonu na spotkanie ze Schlichtmannem. Nie było wśród nich Anny Anderson i Zonów. Po raz ostatni zasiedli w sali konferencyjnej. Jan zrobił na klientach wrażenie człowieka przygnębionego, oszołomionego i zdezorientowanego. Mówił o wystąpieniu do trybunału z wnioskiem o ponowne rozpatrzenie apelacji, a gdyby i to nie przyniosło rezultatu, o odwołaniu się do Sądu Najwyższego, ale robił o matowym, beznamiętnym głosem i dla wszystkich było jasne, że znajduje się w stanie skrajnej desperacji.

Kathryn Gamache spoglądała na niego z bezgraniczną troską.

– Boimy się, że skończy pan, skacząc z okna – powiedziała, siląc się na łagodny ton.

– Wolelibyśmy nie zobaczyć w jutrzejszych gazetach takiej wstrząsającej wiadomości – dodał Richard Aufiero.

Schlichtmann pokręcił głową i uśmiechnął się smutno.

– Możecie się nie martwić. Za bardzo kocham życie.

Wciąż mieszkał w kancelarii, ale nie zajmował się nowymi sprawami, gdyż żadna nie mogła go zainteresować. Crowley na własną rękę załatwił ugodę na duże odszkodowanie. Kiedy do kancelarii wpłynęły akta kolejnej sprawy dotyczącej pęknięcia tętniaka mózgu – bardzo podobnej do tej, którą przegrali tuż po ogłoszeniu wyroku w sprawie Woburn – Schlichtmann nawet nie chciał na nie spojrzeć. Przekazał je Kileyowi, który doprowadził do procesu i wygrał olbrzymie odszkodowanie w wysokości dziesięciu milionów trzystu tysięcy dolarów, wyższe od wypłaconego polubownie przez koncern Grace’a, mimo że poświęcił na przygotowania zaledwie kilka miesięcy. Później zaproponował Janowi współpracę, ale ten odmówił. Coraz częściej powtarzał, że chce w ogóle zrezygnować z praktyki adwokackiej.

Złożył w trybunale wniosek o ponowne rozpatrzenie apelacji, ale został on odrzucony przez sędziego Stephena Breyera, ówczesnego prezesa trybunału. Później wystąpił do Sądu Najwyższego stanu Massachusetts o zwrot kosztów związanych z postępowaniem wyjaśniającym uchybianie proceduralne, jakich dopuściła się Mary Ryan i jej współpracownicy, lecz i ten wniosek został odrzucony. Kilka miesięcy wylegiwania się na kozetce w biurze poświęcił na pisanie wystąpienia do Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych o *certiorari*, czyli nakaz przesłania akt sprawy celem rozpatrzenia możliwości rewizji. Tylko podczas pracy nad tym pismem znów się ożywił, choć w głębi duszy był przekonany, że traci jedynie czas i w sądzie najwyższym nikt nawet nie przeczyta uważnie jego wystąpienia. Czuł się jednak zobowiązany do wystosowania takiego pisma.

Ostatecznie Sąd Najwyższy również odesłał go z kwitkiem.

– Jestem taki samotny – zwierzył się Schlichtmann znajomemu cztery lata po ogłoszeniu wyroku. – Czasem się zastanawiam, czy nie zwariowałem. Czuję się tak, jakby za moimi plecami ludzie mówili: „Rety, jakie to smutne, że ten facet na naszych oczach popada w załamanie nerwowe”. Mam wrażenie, że zamknęto mnie w najdalszej izolatce szpitala dla wariatów, a wszyscy ostrzegają: „Nie zagłądajcie tam, ten człowiek w kółko gada wyłącznie o sprawie Woburn”.

Pocieszały go niektóre opinie ludzi obserwujących wydarzenia z dystansu. Pewnego dnia zatrzymał go na ulicy sędzia sądu najwyższego i powiedział:

– Gdybym to ja przewodniczył rozprawie, ci ludzie już by siedzieli w więzieniu.

Jan wiedział jednak, że w środowisku bostońskich prawników krążą już żarty na temat jego beznadziejnej donkiszoterii. Nie przejmował się nimi.

Większość posiłków jadał w restauracjach. Nie miał kart kredytowych i wiecznie brakowało mu gotówki, ale w kilku lokalach zawsze mógł liczyć na kredyt przez wzgląd na dawne czasy, kiedy był bogaty i dawał sute napiwki. Pewnego dnia zaszedł do włoskiego baru, czyli do *trattorii*, z którego właścicielem się zaprzyjaźnił. Powiedział mu wprost, że jego konto w banku jest puste, ale zapłaci czekiem, na który uzyska pokrycie w przyszłym tygodniu. Od lat opowiadał Włochowi o sprawie Woburn. Ten odparł:

– Nie ma sprawy, panie Schlichtmann.

Siedząc przy stoliku w głębi sali, Jan spostrzegł Teresę, która jadła obiad z jakimś mężczyzną. Wstał i podszedł, by się z nią przywitać. Przedstawiła mu swego nowego znajomego. Jakaś godzinę później, kiedy oboje wychodzili, Teresa podeszła do jego stolika. Ręce trzymała w kieszeniach i uśmiechała się nieśmiało. Powiedział jej, że pięknie wygląda. Zaczerwieniła się. Musnął jej rękę pod pretekstem sprawdzenia materiału bluzki.

– To jakaś nowa moda? – zapytał.

– Tak. Podoba ci się?

– Owszem – zapewnił.

Spytał ją o pracę. Powiedziała, że wciąż dużo podróżuje i coraz bardziej jest tym zmęczona.

– Dostajesz za to chociaż jakąś premię?

Skinęła głową, a potem zapytała go o sprawę. Opowiedział o wszystkim w dużym skrócie. Jej nowy przyjaciel czekał przy drzwiach.

– Jan, uważaj na siebie – powiedziała.

Położyła mu rękę na ramieniu i zatrzymała ją przez chwilę, na tyle długo, by ten gest można uznać za intymny.

Schlichtmann odprowadził wzrokiem jej szczupłą i zgrabną postać, uświadamiając sobie nagle, jak bardzo go pociąga. Pogrzyżył się we wspomnieniach, rozmyślając z bólem, jak bardzo zmieniło się jego życie i jak wiele utracił. Nie trwało to jednak długo, bo zaraz jego myśli powędrowały ku sprawie Woburn. A wieczorem, w biurze, przyszło mu do głowy, że nie tylko Facher kończy swoją karierę, on także.

7

W bostońskim porcie mewy krążyły na tle posępnego, zaciągniętego ołowianymi chmurami listopadowego nieba. Było tak zimno, jakby zanosilo się na śnieżycę, ale Schlichtmann zdjął kurtkę i pracował w samej koszuli z krótkimi rękawami. Razem z Crowleyem robili porządki w położonych przy Morrissey Boulevard magazynach firmy „Safe Sound Storage”, gdzie kancelaria wynajmowała dwie klitki o gołych betonowych ścianach. W nieogrzewanych, zawilgoconych pomieszczeniach trzymali wszystkie akta sprawy Woburn, a pragnąc zaoszczędzić na comiesięcznych opłatach za ich wynajem, Jan postanowił zabrać stąd papiery.

Czterysta kartonowych pudeł piętrzyło się aż pod sufit z zardzewiałej blachy falistej. Schlichtmann chciał tylko oddzielić karty chorobowe, które zamierzał zwrócić klientom, a całą resztę wywieźć na śmieci. Krążąc wśród pudeł, nie mógł się jednak opanować, żeby nie zajrzeć do niektórych teczek. Przekładał protokoły z rozprawy i wstępnych przesłuchań, spisane zeznania rodzin, biegłych oraz pracowników zakładów Grace’a i Beatrice Foods, wyniki badań lekarskich mieszkańców Woburn, sprawozdania Agencji Ochrony Środowiska i Służby Geologicznej Stanów Zjednoczonych. Znalazł wielką planszę z przekrojem geologicznym doliny Aberjony, wykonaną przez jednego z biegłych Beatrice.

– Ten facet to dopiero gadał bzdury. Śmiechu warte! – powiedział i zaśmiał się gardłowo. Zmiał planszę, a później ją podeptał.

Crowley wynajął śmieciarkę, która podjechała tyłem do drzwi magazynu. Przenoszenie ciężkich kartonów okazało się męczącą pracą i obaj wkrótce byli złani potem. Schlichtmann ciskał kartony w czarną cuchnącą paszczę śmieciarki niczym palacz wrzucający węgiel do pieca. Kiedy zdyszany przystanął na chwilę, zauważył, że między walcami zgniatarki pękają kartonowe pudła i teczki, z których wysypują się tysiące zapisanych kartek.

– Tyle papieru... – mruknął pod nosem, bardziej do siebie niż do Crowleya. – Dziewięć lat mojego życia. I po co mi to było? – Urwał, żeby po chwili odpowiedzieć na własne pytanie: – Duma, chciwość, ambicja. Chciałem się wzbogacić, dziając w imię dobra.

Krótki chichot Crowleya przypominał ironiczne parsknięcie.

– Mam trzydzieści dziewięć lat – ciągnął Jan – i przez ten czas wykopałem jedną, kurewsko wielką dziurę. Nikt inny nie umiałby wyryć większej.

Schlichtmann wystąpił o orzeczenie bankructwa. Miał nadzieję, że uda mu się spłacić długi, ale go przerosły. Poczuł, że nie zdoła już poprowadzić żadnych spraw. Postanowił zrezygnować z praktyki adwokackiej i przenieść się na Hawaje. W punkcie siódmym wniosku upadłościowego złożonego w bostońskim sądzie wyliczył swój majątek: czternaście dolarów na koncie bankowym, radiomagnetofon o wartości pięćdziesięciu dolarów, sto dolarów gotówką i ubrania warte pięćset dolarów. (Ostatecznie szyte na miarę, eleganckie garnitury nie były już nowe). Natomiast jego długi wynosiły milion dwieście trzydzieści jeden tysięcy pięćset czterdzieści dwa dolary, z czego prawie dwie trzecie stanowiły niezapłacone podatki federalne i stanowe.

Tymczasem w Woburn Agencja Ochrony Środowiska przystąpiła do oczyszczania całej doliny Aberjony. Jednocześnie wystąpiła na drogę sądową, żądając od koncernów Grace'a i Beatrice Foods pokrycia kosztów realizacji projektu. Zakłady Grace'a zgodziły się stworzyć odpowiedni fundusz, ale nowi adwokaci garbarni odrzucili roszczenia agencji, powołując się na werdykt oraz arbitralne ustalenia sędziego Skinnera. Agencja zaskarżyła to stanowisko. Wykonane badania jednoznacznie dowiodły, że skażony teren należący do Beatrice Foods stał się źródłem zanieczyszczenia wód podziemnych. Po krótkich targach koncern ostatecznie również się zgodził na pokrycie części kosztów.

Podczas seminarium zorganizowanego dla mieszkańców Woburn specjaliści agencji przedstawili plan rekultywacji terenu, którego realizacja ma potrwać pięćdziesiąt lat, a sumaryczny koszt sięgnąć prawie siedemdziesięciu milionów dolarów, co sprawia, że jest to największy i najdroższy projekt oczyszczania środowiska naturalnego w Nowej Anglii.

Kiedy dziennikarz „Boston Herald” poprosił Schlichtmanna o komentarz, ten oznajmił krótko:

– Najwyższa pora.

Prokurator federalny oskarżył zakłady Grace'a o zatajanie informacji przed inspektorami Agencji Ochrony Środowiska. Zarzuty te były efektem dochodzenia, które Schlichtmann zainicjował w Departamencie Sprawiedliwości na skutek szczyrych i otwartych zeznań Ala Love'a. Koncern przyznał się do zarzucanych czynów i został obłożony maksymalną wówczas grzywną za tego rodzaju wykroczenie, wynoszącą dziesięć tysięcy dolarów. Wkrótce zarząd koncernu ogłosił, że zamierza zamknąć zakłady metalowe w Woburn, zatrudniające dziewięćdziesięciu pięciu pracowników. Większości z nich zaproponowano pracę gdzie indziej.

– Niewykluczone jednak, że część załogi będziemy musieli zwolnić – powiedział rzecznik pracowy koncernu.

Kiley pożyczył Schlichtmannowi pieniądze na bilet lotniczy na Hawaje i dał mu też trochę drobnych na wydatki. Mniej więcej przez tydzień Jan mieszkał w obokurnym, brudnym pokoju motelowym po dwadzieścia siedem dolarów za dobę, korzystając ze wspólnej łazienki na końcu korytarza. Potem kupił plecak oraz śpiwór i wyruszył na wędrowkę autostopem po zachodnim wybrzeżu wyspy Kauai. Pieszko pokonał przełęcz dzielącą zaludnione tereny od dzikiej doliny Kalalau.

Przez kilka dni obozował na białym piasku plaży, z dala od ludzkich siedzib. Gotował posiłki na ognisku, pływał i wylegiwał się na słońcu. Wmawiał sobie, że oczyszcza umysł, ale w rzeczywistości bez przerwy się głowił, po czym można poznać, że człowiek zmarnował swoje życie. Zarazem bał się znaleźć odpowiedź. Z minuty na minutę tracił pewność, co naprawdę chce przez to osiągnąć. Trzeciego dnia pobytu na plaży o zmierzchu rozebrał się do naga i popłynął prosto przed siebie. Ocean był spokojny, przypominał tafłę szkła, dopiero później pojawiły się drobne fale. Przez długi czas Jan płynął na zachód, w stronę zachodzącego słońca, a gdy wreszcie spojrzął za siebie, brzeg wyspy przypominał ciemniejszą kreskę na linii horyzontu. W ciepłej wodzie ogarnął go bezgraniczny spokój. Unosił się w niej, leniwie pracując rękami i patrząc na odległą wyspę. Zastanawiał się, czy nie popłynąć dalej – tam, skąd nie będzie już widać brzegu.

W końcu zdusił w sobie to pragnienie i bez pośpiechu zaczął płynąć z powrotem.

Podziękowania

Książka ta nie powstałaby bez pomocy wielu osób będących jej bohaterami. Serdecznie dziękuję rodzinom z Woburn, wielbnemu Bruce'owi Youngowi, a zwłaszcza Donnie Robbins, która była moim przewodnikiem po mieście.

Mam nieopisany dług wdzięczności wobec Jana Schlichtmanna, który ukazał mi całe swoje życie i zawsze chętnie odpowiadał na pytania. Kevin Conway i Mark Phillips byli moim pierwszymi doradcami, gdy zacząłem pisać o tej sprawie. James Gordon, Teresa Padro, Rikki Klieman, Bill Crowley, Tom Kiley, Charles Nesson, Fern Nesson, Tom Neville, Pete Briggs, Andy Lord, John Drobinski, George Pinder, Anthony Roisman, Arthur Licata, Paul Schneider oraz Julianna Hallowell – wszyscy służyli mi wszechstronną pomocą, podobnie jak Claudia Barragan, obecnie żona Schlichtmanna, i jego matka, Bea. Pracownicy kancelarii Schlichtmann, Conway & Crowley – a wśród nich Kathy Boyer, Peggy Vecchione, Patti D'Addieco, Susan Denehy, Sharon Hollis, Rick Conway, Ron Homer, Mary Zoza, Sylvia Chin-Caplan i Stan Eller – traktowali mnie uprzejmie i wyrozumiale.

Jak już nadmieniałem, Jerry Facher hojnie poświęcał mi swój czas. Neil Jacobs, Don Frederico i Stan Greenidge z kancelarii Hale'a i Dorra również chętnie odpowiadali na pytania.

Poza Billem Cheesemanem, który cierpliwie znosił moje częste telefony, Michael Keating parokrotnie udzielił mi wywiadów i przejrzał wraz ze mną swoje szczegółowe notatki z negocjacji nad warunkami ugody. Sandra Lynch, Marc Temin oraz James Brown z kancelarii Foleya, Hoaga i Eliota udostępnili mi różne informacje.

Śród sędziów przysięgłych dziękuję za pomoc Jeanowi Cousleyowi i Williamowi Vogelowi.

Nie napisałbym tej książki, gdyby nie namowy Tracy'ego Kiddera, i nie ukończyłbym jej bez jego pomocy. Poświęcił niezliczone godziny na czytanie brudnopisów, podsuwał liczne propozycje i pomagał mi przebrnąć przez coś, co często przypominało nieprzebyty gąszcz. Uczynił więcej, niż mogłem oczekiwać od przyjaciela

Kilkoro znajomych prawników również poświęciło czas na lekturę i zaopiniowało końcową wersję powieści. Wiele skorzystałem z propozycji Williama Newmana oraz rad Laury Undercuffler i Eda Etheredge'a. Doktor Sam Topal, który zawsze był na miejscu, kiedy go potrzebowałem, oraz jego żona, Cathy, także bardzo mi pomogli przy tworzeniu ostatecznej wersji książki. Doktor Arthur Grant przeczytał fragmenty z zakresu neurologii i w kilku wypadkach zaoszczędził mi wstydu. Marshall Shalk, mój sąsiad, legendarny już wykładowca geologii w Smith College, zmarł w tym roku i nie zdążyłem mu podziękować za uwagi dotyczące geologii i hydrologii wód podziemnych. Dziękuję mojemu ojcu, Jackowi Harrowi, za wszelkie sugestie odnoszące się do wczesnych wersji powieści, a także Thatcherowi Freundowi, Richardowi Toddowi, Susan Barron, Andy'emu Houldingowi, Gary'emu Neilsonowi, Barry'emu Werthowi oraz Robertowi Lescherowi.

Moja żona, Diane, cierpliwie znosiła ciągnącą się latami pracę nad książką. Przeczytała każdy z wielu brudnopisów, a jej niezmiennie poparcie i zachęta pomogły mi w zmaganiach z kolejnymi wersjami.

Wiele zawdzięczam wreszcie Robertowi Loomisowi, mojemu redaktorowi z wydawnictwa Random House. Jeżeli wstrząsnął nim widok liczącej półtora tysiąca stron pierwszej wersji książki, nawet nie okazał po sobie zdumienia. Poświęcił mi więcej czasu, niż miałem prawo oczekiwać, i nigdy nie tracił wiary w efekt końcowy, nawet gdy upływały lata od chwili planowanego zakończenia prac nad powieścią.